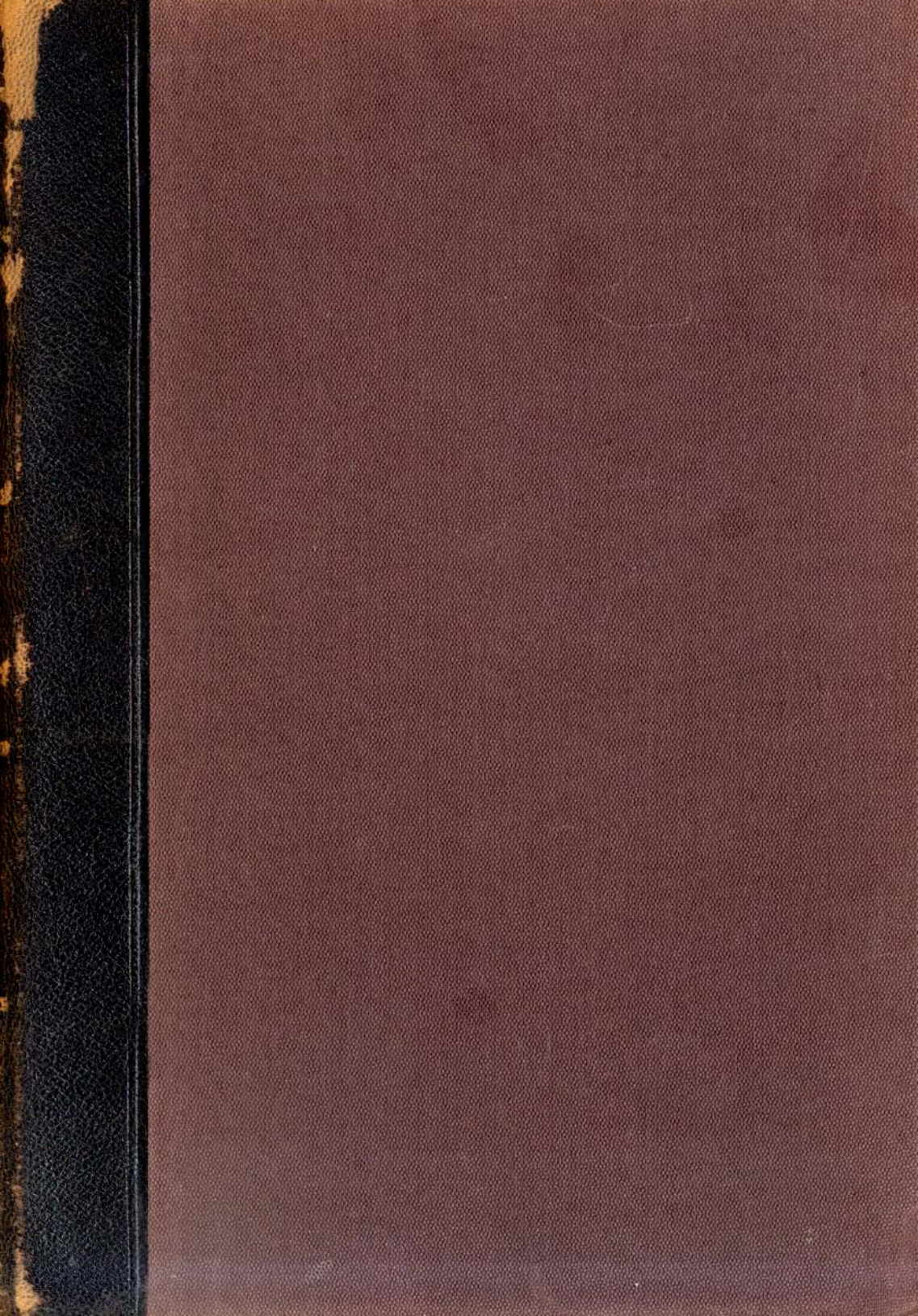




SFINKS

CZASOPISMO LITERACKO-ARTYSTYCZNE I NAUKOWE

WYDAWANE I REDAGOWANE

PRZEZ

WŁADYSŁAWA BUKOWIŃSKIEGO.

ROK 1908. TOM III.

WARSZAWA

Adres Redakcji: Hortensja 4.

—
1908.

K-15/68
Mca 17/2010

0838
11/05



11/05

BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW
w Białymstoku



FUWC006073

Spis rzeczy, zawartych w tomie III Sfinksa.

(lipiec, sierpień i wrzesień r. 1908.)

I. Studja i rozprawy naukowe i społeczne.

- Kazimierz Krauz, jako pisarz polityczny, przez Józefa Kwiatka . 18
O ideale Syna Bożego, rozmyślanie, przez Andrzeja Baumfelda . 143
Paradoksy pamięci wzruszeniowej, przez Edw. Abramowskiego . 358

II. Studja i rozprawy literackie i artystyczne.

- Odczyty o Juliuszu Słowackim, przez Cyprjana Norwida . . 1 i 250
Rzeźba współczesna, przez Jana Kleczyńskiego 74 i 309
Edmund de Amicis, przez Wł. Jabłonowskiego 84
Wystawy sezonu' ubiegłego, przez Stefana Popowskiego 123
Poeta melodji i głębin (Adam Asnyk), przez Wł. Bukowińskiego 177
Spadkobiercy romantyzmu (J. Meredith i A. K. Swinburne),
przez Marję Rakowską 376

III. Poematy, sceny dramatyczne, powieści, nowele i szkice.

- Echa, poemat, przez Wł. Bukowińskiego. 24 i 293
Nietota, powieść z tajemnej księgi Tatr, przez Tadeusza Miciń-
skiego 40 i 392
Ostatni przyjaciel, nowela przez Edmunda Amicisa, w przekła-
dzie Zofji Ankowskiej 90
Rówieśnice, powieść przez Zofję Rygier-Nałkowską . . . 128 i 209
Szkic do współczesnego obrazu, Na polach Kartagi (z utworów,
nie objętych wydaniem zbiorowym), przez Adama Asnyka 204
„Szlakiem Kaina“, przez Stanisława Przybyszewskiego. . . . 278
Z cyklu „Michał Anioł“, djałóg, przez Hr. A. Gobineau, w prze-
kładzie Ign. Grabowskiego 327
Po przebudzeniu, przez Różę Hemplównę 337
Sztuka kochania, przez Owidjusza, w przekładzie Józefa Jan-
kowskiego 353
Scena niesceniczna, przez Romana Kreczmara 370

IV. Liryka.

- Pieśni współczesne, przez Henryka Heinego w przekładzie Wła-
dysława Nawrockiego 103
Z cyklu „Mistica“ („Samotność“) przez Wacława Wolskiego . . 343

Z Ogrójca róż i miłości („Taneczny kwiat“, „Junak“), przez Józefa Ruffera	344
O północnej godzinie, przez Savitri	345
Muza, przez Kazimierza Gronkiewicza	345
Wśród zbóż kwitnących, przez Jadwigę Lipińską	346
Sonet, przez Stefana Popowskiego	347
Klejnot, przez Marylę Czerkawską	348
Nad przepaścią, przez Jana Iwańskiego	348
Najlepszy w żalu tren, przez A. Szczęsnego	349
Pytasz..., przez Walentego Zielińskiego	349
W szumiącym lesie, przez Henryka Korala	350
Śmieć się, pajaculi, przez Stanisława J. Kozłowskiego	351

V. Wspomnienia pozgonne, odezwy i rzeczy bieżące.

Konrad Prószyński (K. Promyk), przez Wł. B.	161
Konkurs Towarzystwa Naukowego.	171
Z przemówień Adama Mickiewicza	325
Pamięci Jana Adamowicza, przez Antoniego Szecha	330

VI Oceny i sprawozdania.

Literatura polska.

„Pamiętnik do historii polskiej“ A. Moszczeńskiego, „Pamiętniki Józefa Wybickiego“, „Z dziejów Hajdamaczyny“ z przed- mową H. Mościckiego, przez Józefa Dąbrowskiego	151
„Z dziejów narodu“ H. Orszy, przez H. J. Rygiera	157
„Maksymiljan Gierymski“ Ant. Sygietyńskiego, przez St. Masłow- skiego	426
„Kontrapunkt, kanony, warjacje i fuga“ Zygmunta Noskowskiego, przez Adolfa Chybińskiego	430

Literatura francuska. Korespondencja Zoli, przez Marję Rakowską 158

Literatura ukraińska. Starzy i młodzi, przez Bohdana Łepkiego . 433

Przegląd prasy. Czasopisma polskie 164

Czasopisma francuskie 167

Odpowiedzi Redakcji, Książki nadesłane, notatki, ogłoszenia.

VII. Dodatki artystyczne.

Portret Adama Asnyka (według fotografii ostatniej). Dodana oso-
bno reprodukcja portretu Asnyka, według fotografii z obrazu
Jacka Malczewskiego. Reprodukacja rzeźb: Rodina („Myśliciel“),
L. della Robbia, Michała Anioła (fragment z pomnika Waw-
rzyńca Medyceusza), rysunków A. Bronzina, Burne Jones'a;
nadto rysunki i ozdoby T. Jankowskiego, St. J. Kozłowskiego,
H. Minkiewicza, Z. Plewińskiej, M. Płonowskiej, St. Popow-
skiego, J. Rembowskiego, A. Tabińskiego i innych.



Norwid o Słowackim.

Odczyty, wygłoszone przez Cyprjana Norwida w Paryżu w r. 1860.

I.

Słowa publiczne i prywatne nie różnią się przez tła i formy, ale więcej przez ich naturę samą; prawda ta ważna jest szczególnie dla nas, jako nie mających bytu politycznego, a przeto opierających się na bezwzględnej ważności słowa. Pod klasycznymi filarami frontonu Magdaleny widzieliście dorodnego człowieka w hełmie rzymskim, odzianego szatą podobną do *sagum* i mówiącego patetycznie; tło tutaj klasyczne, forma klasyczna, jednak słowo człowieka tego publicznym nie jest—jest to bowiem sprzedawca ołówków. Gdyby zaś Kopernik kilku pouf-
nym przyjaciółom zwierzał prawdę, objaśniającą harmonię światów, słowo jego, lubo przy mniej patetycznych warunkach, należałoby do całego świata. Taka to wielka

Sfinks.

jest różnica między słowem prywatnym a słowem publicznym. Obowiązkiem mówcy publicznego jest: *jasność w Prawdzie*, nie jasność w *literze* samej, a która przeto zależy od wielu poza nami będących warunków, nie koniecznie zaś od nas samych. Jasność w sferach nie umysłowych nawet jest to *przezroczystość*, światło jest przezroczyste, mowa niemniej jasną jest wtedy, gdy jest przezroczystą. Tak na przykład gmach architektury doskonałej przezroczysty być może i powinien, chociaż z granitu, a jest on nim wtedy, gdy fronton pozwala odgadnąć plan i budowę wewnętrzną gmachu całego. Gdy tymczasem szyba kryształowa może owszem zakrywać przedmioty za nią będące, skoro ten, który patrzy, obierze niewłaściwy, t. j. obierze *wskośny* punkt zapatrywania się. Od mówcy więc samego nie zależy tu wszystko: jeżeli albowiem dla uprzytomnienia jakiej prawdy potrzeba pierw długich komentarzy,⁵ uwaga słuchaczy odciąga się poza *oś* kryształu tej szyby—poza *ogół* planu tego gmachu, i oto zarazem przezroczystość owa ztraca się.

Jeżeli wiecie, co jest poeta? nie dziwię się; każdy, kto nie medyk, wie przecież w pewnym względzie, co jest krew, dość aby się skaleczył... Jeżeli Akademyje nie żądały definicji poety, nie dziw,—najłatwiej definjować to, co w oddali.

Ale jeżeli kto zna stanowisko poety w społeczeństwie i jego służbę pojmuje, ten wie bardzo wiele, więcej niżeli wszyscy wiedzą, więcej aniżeli wiedzieć można, więcej niżeli jest uznanego w rzeczywistości. Kiedy się mówi *żołnierz*, *urzędnik*, *rzemieślnik*, daje się zarazem pojęcie pewnego tła ich działalności, kiedy się zaś mówi *poeta*, nie określa się tego. Żołnierz, urzędnik przyjmuje to ze społeczeństwa, co ono mu dać i co on przyjąć może, gdy tymczasem poeta przyjmuje to jedynie, czego mu zaprzeczyć nie można. Nawet urzęda i stopnie akademickie udzielane bywają poetom wtedy jedynie, kiedy im onych odmówić niepodobna.

Język uświęcił to formą osobną wyrażenia zarówno potocznego, jak głębokiego, to jest: „*nie można odmówić*

mu talentu, nie można odmówić zasługi“ i t. p. Byłoby tak zawsze? jest że poezja tak młoda, że nie miała dosyć jeszcze czasu, aby wyrobić dla swych zwolenników stanowisko w społeczeństwie, nie — zaprawdę; pytania te są ważne choćby dlatego, że nigdy dotknięte nie były. Spójrzmy w przeszłość.

U ludu Izraelskiego, od którego poczynam, gdyż chronologia i archeologia społeczna nie poczyną się pierw, poeta miał zupełnie jasne i społeczne stanowisko; urząd i godność jego odpowiadały owdzie temu, co dziś nazywamy sędzią przysięgłym; prorok nie był przypadkowym — lud, urząd i królowie wiedzieli, co jest prorok, owszem, to było właśnie piękne i wielkie, że *osobistość* tylko proroka mogła ulegać krytyce, że, powiedziabym, wątpić można było, czy *ten* i *ów* jest prorokiem prawdziwym, nie wątpiąc wcale, że prorok jest, co jest i jakie jego stanowisko.

U Greków poeta *orfeiczny* wielce do proroka izraelskiego podobny, *dramatyczny*, to kapłan, albowiem ołtarz jest przed sceną — *bohaterski* zaś, to znów historyk, albo muzyki wojennej przewodzca. Ci, co z Koryntu do Rzymu z kapitulacją miasta wysłani byli, to już oratorowie, nie poeci, poeta do tak praktycznej misji nie byłby zdolny! Proza historyczna, oratorstwo i dyplomacja u Greków zaczęły się dopiero pod koniec ich istnienia, gdyż historia Grecji na epopei się raczej opierała. U Rzymian dopiero, których misja była najmniej wyłączną, najmniej, że tak powiem, rzymską, gdyż na cały świat się rozlewała — poeci przechodzą już na stanowisko wyłącznie literackie. W miarę zaś, jak do Objawienia się zbliżamy, prawdziwi poeci milkną, albo są to już pedagogowie, nauczyciele i klienci, co bez Mecenasów się obejść nie mogą z powodu, że ich stanowisko społeczne jest wątpliwe, Horacy pisze *wierszem sztukę wierszowania*. Od tego więc czasu *pieśń* na *samą siebie się obejrzała* i ujmuje swoje prawa w formę, i odtąd to aż do Tyberjusza wszelka praca intuitywna ucicha; Sybille zaczynają przestawać mówić — jest to godzina, w której na krańcach państwa Rzymskiego przechadza się *Słowo*

wcielone z uczniami swemi.—Niemniej, za czasów Nerona, to jest współcześnie do pierwszego prześladowania chrześcijan, rodzi się Plutarch, a ten za rzecz niezbędną uważa upowszechnienie już rozprawy swojej, prawie akademickiej, o zasadzie pojmowania poetów i o *sposobie ich czytania*. Tak dalece nie tyle już tworzenie, ile z utworów korzystanie obowiązuje. Egipt zostawiłem na boku — o jego poezji nie wiemy nic, jest to dom niewoli, naród, w którym martwa symbolika pożarła wszystko; gdyby się tam poeta zjawił był, to nie mógłby być kto inny, jak Mojżesz — lecz ten egipskie tylko mleko ssał, ale przez krew i ducha do Izraela należy.

Dlaczegóż socjalna godność poety upada i korony poetyckie zlatują w miarę, jak ku godzinie Objawienia się zbliża, i dlaczego na pole literackie poezja przechodzi? Tajemnica tego bardzo jasna, kapłanowie nadziei nie mieli już co robić u Betleemskiego żłobu. Nadzieja wszelako odsłoniła nam przez to samo opony i pokazała pierwociny całokształtu architektury swojej, objawiła się niejako i stała się *jedną* z trzech cnót, gdy pierwiej była *jedyną*. Gdzież więc ci kapłanowie nadziei od chwili, w której spełnia się na ołtarzu święta Ofiara, od czasów pomiędzy Horacym a Plutarchem, od chwili, w której poeta nie chrześcijański z kartek sybilijskich spisuje proroctwo, że się narodzi Syn z dziewicy, który będzie królem wieków, od czasów, kiedy i Druidy w Galji dzikiej na kamieniach wnijsiecia do Świątyni kładli napis „*Virgini Pariturae*“, od chwili, w której Sybille przestają mówić... Gdzież więc, mówię, ci kapłanowie odchodzą! Oto odchodzą oni poza Niedzielę tej nadziei, oto odchodzą w dniu jej powszednie i robocze, albowiem dla człowieka pojedynczego nadzieja jest już spełniona, ale dla człowieka zbiorowego, narodu i narodowości poczynającej się, spełnienia nie było. Tam więc oni odchodzą, a przeto urzędu swego *Kapłaństwa nadziei* nie składają, który zaś nie poruszył się z miejsca i przy ołtarzu pozostał, ten stawał się świątecznego języka poeta, jak nasz Sarbiewski, gdy tymczasem inni

odchodzą witać całość, co jeszcze blasku Zbawicielowego nie doznała. Idą na pola, gdzie światłość Pańska nie zajaśniała jeszcze, idą do tego, co ma się nazwać ojczyzną, a czego ludy starożytne wcale nie rozumiały, albowiem doskonałość ciał ich zbiorowych nie była w stanie nigdy wytrzymać doskonałości człowieka pojedynczej—owszem, w walce z nią była i jakoby na zatrzymywaniu onej własny zyskiwała rozwój.

Bo choć Izrael posiadał wszystko, aby całością wielką stanął, jednakże rozwoju prawdy chrześcijańskiej wytrzymać nie mógł. Nie wytrzymał on tego, co ta prawda nauczyła, że nietylko święty, ale i obcy włóczęga, to jest Samarytanin, równych praw miłości doznawać powinni, i że *pożytecznym nie jest wcale, aby jeden dla narodu zginął*.

Widzę się obowiązany objaśnić tę peryfrazę, wziętą z wniosku senatorskiego żydowskiego, kiedy szło o sprawę obywatela izraelskiego, czyli obywatela narodu w prowincję rzymską i gubernję jedną zamienionego. Wtedy albowiem wniosek ów brzmiał: iż *pożyteczna jest*, aby Jezus Nazareński, czyli, jak tam mówiono, *aby jeden dla narodu zginął*, albowiem *Rzymianie mogliby po zaburzeniu, które nastać mogło, przyjąć i gorzej ucisnąć tę ojczyznę, to jest tę Gubernję Rzymską*. Wykazując przeto, o co się rozbiła izraelska całość, położyłem na boku rzecz Religji w tym względzie i mówię jedynie, *dajmy na to*, o proroku izraelskim, stawianym przed sąd izraelski. Sąd zaś ten o obywatelu i proroku swoim pontyfikalnie wyrokuje, że *pożyteczna jest*, aby zginął, dlatego, iż najeźdźcy ojczyzny mogliby przez życie jego uszwankować i obrazić się. Jest to pierwszy i ostatni dyplomatyczny krok, którym zakończyła się pielgrzymka izraelskiej ojczyzny do nicości. Długo wypadałoby określać i czas na to nie pozwala, aby w całości wypowiedzieć, iż polarnie przeciwne stanowisko zajęła w tym względzie najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska w rozwoju dziejów ludzkości—gdzie *liberum veto* nauczyło przeciwnie, to jest: że *dla jednego sprawiedliwego cały naród na kartę postawić można*: w czym wszelako drogą mi jest rzeczą, iż do tak nie-

roztropnego narodu mam zaszczyt się policzać. I nie mniemam bynajmniej, aby *liberum veto* (ten przeznacny i wielki klejnot) zgubiło Polskę; ale że *nieoświecona onegoż liberum veto aplikacja* uczy, iż nie należy wielkich narodu myśli zniżać do nieoświeconych obywateli; ale raczej umysły ludzi do wielkich narodu myśli wznosić.

Była też i Grecja ponad wszystkie nieledwie ludy uposażona, ale ta nie tylko Zbawiciela, ale nawet przeznacności sokratesowej znieść nie mogła i, podawszy mu truciznę, aby narodu nie przerósł, poniżyła się sama. Gdy tymczasem na zewnątrz wywiódł ją właśnie najpiękniejszy jej bohater i profilem podobny do stawianych przed narodzeniem się jego posągów w świątyniach... Ten to najpodobniejszy do niej i najukochańszy jej syn, to dziecko, jej wykołysane pieśnią, które zasypiać nie mogło bez *Iliady* i miecza pod głową — Aleksander! On *wywiódł ją poza nią i immolował jej egoizm*... Byłci nareszcie i Rzym, ale ten znów zamiaru nigdy nie miał, aby się kusić o otrzymanie tej ojczyzny, do której my zdążamy. Rzym też nie miał być nic po temu, aby taką całością stał się, *nie miał nawet jednej familji*, była to bowiem szajka zbiegów, zmuszona sąsiednich narodów niewiasty porywać, aby pierwsze utworzyć stadła. Nie miał niemniej granic ani środka; środkiem dla niego była kolumna na forum, na której naznaczone były odległości od miast i koczowisk ludów świata, gdy znów granicami państwa — granice świata. Nie mógł się więc Rzym kusić o zrozumienie słowa *Ojczyzna*, i jeśli w nim błyszcza postacie wytworonym patryotyzmem, są to raczej resztki greckiego słońca, jest to patrycjat rzymski, wychowany na greckiej pieśni i wiedzy. Ja sam — przy kagańcu świetle w grobach Scypionów widziałem zamiast *c* rzymskiego greckie *k* na napisach, a jeżeli kto ortografią obcą na familijnych grobach pisał, zaiste, że musiał być mniej na żywiole rodzinnym wykarmiony!

Jeżeli zatem powiedziałem, że poeci odchodzą w te strony, w których światło Zbawicielowej prawdy jeszcze

nie świeciło, i idą przecież, nie tracąc właściwego im kapłaństwa nadziei — powiedziałem rzecz słuszną. Od tej chwili albowiem zajaśniała dla historii prawda nowa, że Ojczyzna nie tylko w chrześcijaństwie się zaczyna, ale zawsze jest ziemią obiecaną, że, ściślej mówiąc, pierwszej była *ziemią obiecaną*, potem społecznością obiecaną, a teraz mówię, że razem i ziemi i *społeczności obiecaniej* wygląda się. I poczęła się oto dla poetów służba nowa, której świadomości lubo nie mają, dziś wszelako, po wyciskach stóp ich, domyślamy się kierunku dróg, które przebiegali i natury owoców, które przynieśli. Mając oni za jedyną potęgę i środek słowo, słuszną, iż rozpoczęli od języków; gdy więc jedni zatrzymali się przy ołtarzu rzymskim, jak Sarbiewski; drudzy szli we właściwym im kierunku kapłaństwa nadziei. Ten i ów lud albowiem, dziś polany wodą, dziś też policzony został w księgę i epopeję chrześcijańską, ale języka lud żaden z dnia na dzień nie przemienia, języka, mówię, pasji uczuć i całej dramy życia, które się za przyjściem chrześcijaństwa odmieniło — zwłaszcza, iż lud takowy składał się z rozmaitych warstw; kapłanowie więc owi podnieśli od dołu język ludu. I byli to truwery, minesingery, bojanowie i resztką skoldów, którzy uchrześcijańczając języki, choćby wytwornością i formą onych wyższą, nadzieję nową przynosili. Aż po czasach służb takich powstawały potęgi ogólniejsze, jak Dant naprzykład, który nie tylko już ojcem chrzestnym języka swojego został, ale teologicznego tłumaczem i politycznego twórcą. Postwarzali oni też wiekom i czasom swoim języki; a o socjalnym jednak poety stanowisku i w tej drugiej erze ich działania nie się nie dowiadujemy, owszem na mecenasach każdy się z nich opiera. Scaliger jest Danta mecenasem, Kalderona król Filip uwzględnia, Jana i Piotra Kochanowskich król Jegomość. Nie mówię też tu o zasługach wyłącznie filologicznych tych poetów: kwestja *języka transfiguracji społecznych* i samego wreszcie *języka fenomenów* jeszcze nie była spostrzeżoną. Ważności zaś takowej między innemi najlepiej dowodzi to, że pod

ostatnie czasy, gdy Chiny (acz przy niewidzialnym chrześcijaństwie oryflamie) poczęły się już rozłamywać, największą trudnością, jaką sprawy tej ogromnej spotkało rozstrzygnięcie, było nie więcej, tylko *jednego wyrazu używanie*, to jest: że nie wiedzano, czy wyrazu *czing*, lub też *czing-ti*, użyć na określenie chrześcijańskiego Boga? Kiedy więc już wszystkie języki gminne stanów i narodów utworzone były, rozpoczęły się znowu, że tak powiem, nowe, *języki fenomenów*, właśnie, że z samej składni i z samego postaciowania się i ruchu ciał zbiorowych powstałe.—Bez tych zaś języków nie możemy zaiste poznać epoki, w której się żyje, chyba, że po liczbach kalendarzowych i matematycznych cyfrach, nieomylnych tam zwłaszcza, gdzie właśnie że już życia niema! Od tej to zaś chwili prace poetów na dwie się połacie rozłożyły: *przeszłości i przyszłości*. Na jedną, aby rozwiązać mowę wieków w ustach sfinksa, i na drugą, aby mowę chrześcijańską odtworzyć na nowo w chwili, gdy dąży do ubóstwienia formy samej, a przeto do spogańszczenia się, lubo częstokroć bezwłasnowolnie i bezsamowiednie. Skoro zaś poeci odeszli w te już strony, nastąpiła dla nich straszna próba. Ież razy albowiem musieli spotykać te momenta, w których formy prawd samych zamieniały się w fałszu bałwany, i trzeba było walczyć z tym chaosem form, który przez wszystkie wieki we wszystkich wyobraźniach rodził potwory — Sfinksy, Chimery, Minotaury i Smoki, zawsze i wszędzie u ludów wszystkich wyrażane *zbiegowiskiem bezładnym rozmaitych form w jedną poczwagę*. O tych to straszliwych walkach pięknie mówi Juljusz Słowacki:

„Cierpienia moje i męki serdeczne
I ciągłą walkę z szatanów gromadą,
Ich bronie jasne i tarcze słoneczne,
Jamy, węzową napelnione zdradą...
Powiem... wyroki wypełniając wieczne,
Które to na mnie dzisiaj brzemię kładą,
Abym wyśpiewał rzeczy przeminięte
I wielkie duchów świętych wojny święte!“—

Zajmujemy się tu wyjaśnieniem obowiązków poety, bo i jakże możemy oceniać, jak je wypełniał, skoro nie wiemy pierwszej, jakie miał obowiązki? Krytyka dzisiejsza mało się tym zajmuje, owszem, opiera się ona zawsze na *smau recenzenta*, kryterjum ze wszech miar względne i nieuprawnione niczym! Poszukujemy więc zasad, rysujących obowiązki poety, krytykę zostawiwszy na stronie. Jestem przekonany, że wszelkie prawo i na innych polach obowiązuje zupełnie o tyle tylko, o ile zupełnemi, żywemi postaciami prawych obywateli zapieczętowało ważność swoją. *Ludzie prawi* dają dopiero obowiązującą moc *prawu ludzi*!

I tak naprzykład prawda ta, iż *Mądrość* nie jest samą tylko *wiedzą*, lecz że ona w *życie* przejść musi i je ogarnąć, jak i ta druga, że dusza jest nieśmiertelną, dawno były znane: pierwsza — u wszystkich mędrców, druga — u Egipcjan; ale prawdy te nie obowiązywały były tyle, aż dopiero od chwili, gdy w życiu samego Sokratesa kielich jego prawdom tym moc nadał. Grek ten jest tu pieczęcią: kielich dopełnił i na *statuę* żywą obowiązku zamienił *statut* pisany. Byłże wszakże poeta, któryby w dziejach poezji to zajmował miejsce, które Sokrates w filozofji dziejach zajmuje! któryby przeto niemniej, jak ów mędrzec, na polu swoim wcielił żywioł poetyczny i zapieczętował śmiercią?... Pytanie to jest arcyśmiałe — gdzież albowiem obrócić oczy, aby znaleźć *Cyklicznego*, że tak powiem, poezji męża!

Miałbym się aż wrócić do owego, który był piękny i złotowłosy, jak Apollo — silny, jak Herkules, gdyż lwy rozdzierał, skoro napadały trzodę... który, skoro mu królewską podają zbroję, przenosi nad nią kamienie, z potoku wzięte; który na biodrach nagich czuje wiatr z poświętem pędzonej przez zazdrość włóczni — i przebacza, który, śpiewając, walczy — zwycięża i rządzi pieśnią (Dawid). — Orfeusz jeden, gdybyśmy więcej o nim wiedzieli, może się do niego przybliżyć! A jakkolwiek Dant był najcenniejszym z poetów i w kilku bitwach udział wziął i w politycznym życiu i na wygnaniu — idzie nam tu

przecież o takiego, któregoby nie już fenomenologiczny późniejszych wywód tak postawił, ale któryby sam współcześnie świadczył i wiedział, czemu świadczy.

Tu uczynię przerwę i zapytam, *coż jest Byronizm?* Odpowiedzią będzie:

„Najpowszechniej bajronizmem zowią rozczarowanie, technące niesmakiem, pieśń samobójczą, epopeję antysocjalną, antyreligijną, tudzież bez wątku i końca.“ Trzydzieści siedem lat za dni naszych wystarcza zaiste na epokę polityczną; ale trzydzieści siedem lat nie wystarcza jeszcze na wydanie sądu o człowieku, bo przy obecnych rękomiach prawdy plotka nawet wypowiedziana pobieżnie trzydzieści siedem lat trwać może. Otóż właśnie, że trzydzieści siedem lat dobiega temu, bo to było, jak dziś, około *Wielkiej nocy*, gdy w miasteczku greckim zerwała się burza, pod tę porę nieprzewidywana. Wicher wielki porywał dachy i figowe drzewa w piasku okręcał wierzchołkami, a lud, pokazując palcem na okno niepozornego domostwa, wołał: „*Burza jest wielka, albowiem kona człowiek wielki*“. Człowiekiem tym był Archistrategos Noel Byron, o którym Mickiewicz powiedział był, że jest Napoleonem poetów, a co jest jednakże niewłaściwe. Mickiewicz albowiem powtórzył tylko słowa współczesnych, którzy tak Byrona nazywali za życia, i gdyby był chciał swoją myśl powiedzieć, znalazłby odpowiedniejszą dla niego nazwę. Za czasów Napoleona wszelką doskonałość na każdym polu mężczyźni nazywali Napoleonem, kobiety zaś Janem Jakóbem Rousseau; takby i dziś jeszcze jakiego figlarza zwano małym Meternichem. Matka Noela Byrona zwała go—J. J. Rousseau, jest to zaś *język czasu*, echo czasu—znaczenia istotnego nie mające. Tak samo i za czasów Cezara ludy dzikie wszelką potęgę zwały Kaesar (Caesar) i stąd wyraz niemiecki *Kajser*; tak i za Karola Wielkiego ludyszcza północne wszelką potęgę zwały *Karól*, i stąd wyraz polski *król*. Odrzuciwszy więc *te okrzyki, nie zaś zdania*, współczesnych na stronę, ze stanowiska historii powiedziałbym raczej, że: *Byron Sokratesem jest poetów*,

umiał albowiem żywioł poetyczny w życie i w czyn wprowadzić z wiedzą tego, co czyni, a poparł to myślą, pieśnią, energią czynności swojej—owocem, przez nią otrzymanym, i śmiercią wreszcie.—*Ecce poeta!*

II.

Na posiedzeniu zeszłym zapytywaliśmy siebie, co jest poeta i jakie są jego obowiązki? Ponieważ zaś nikt o to nigdy nie pytał, przeszliśmy cały tok historii. I widzieliśmy stanowisko poetów starożytnych, od Izraela przez Grecję i Rzym przeszedłszy. Widzieliśmy, jak umilkła pieśń w imię spełnienia nadziei człowieczeństwa, w miarę jak do Objawienia się zbliżyło i jak poeci na nowe pola idą nowej szukać nadziei Ojczyzny! Widzieliśmy następnie, że jedni przy ołtarzu rzymskim zostali, jak Sarmieński (wyraźnik całego tego cyklu poetów); drudzy aż na krańce formujących się dopiero narzeczy gminnych podążają, a inni nareszcie w jedną rękę pieśń gminną, w drugą harfę kościelną wzięwszy, tak pośredniczą w onym rozejściu się, jak Zaleski.

Widzieliśmy albowiem, że jakkolwiek lud jaki był już sakramentalnie ochrzczony, nie przeto jednak istota jego z dnia na dzień całej swojej nie odmieniła treści, bo trzeba było nietylko dusze pojedyncze do słowa objawionego chrztem powołać, ale i ducha narodu i ducha języka nową słowa potęgą uszlachetnić. A idąc tak za dziejami poezji i poetów losami i przeto obowiązki ich wysledzając, doszliśmy aż do elementów, poprzedzających dzisiejszą epokę. Alić pojawiła się nam tu zaranna mgła, czy chmura, i nie zadziwiło nas bynajmniej, że za takową tak nazwany *bajronizm* uważany jest, owszem pocieszyło nas: że ilekroć się z fałszywego wychodzi punktu, tylekroć i punkt dojścia nie może zadowolnić. Jeżeli albowiem przez tyle wieków krytykując, uwielbiając lub prześladując poetów, nie pytano się o ich obowiązki, jakże i ocenienie tak stanowczego zjawiska mogło być słuszne?

Tu, zaiste, że pora jest obrócić się do tych, o któ-

rych powiada Byron: „*pocięci scyzorykiem, atramentem złani*“, i dostroić, czym urywa strofę Julisz Słowacki: „Chociaż mi serce pęka, śmiech mię bierze...“

Posiedzenie więc to miało być poświęcone wyłącznie Byronowi, wszelako, posłyszawszy, iż zdanie moje, że po niedzieli historycznej są przecież i poniedziałki historyczne, i że nadzieja przeto, jakkolwiek spełniwszy się za przyjściem chrześcijaństwa, nie przestała jednakże być nadzieją, ostatecznie zrozumianym nie było, winien jestem najprzód to objaśnić.

Ja umyślnie unikam *bezpośrednio religijnych subtelności*, ale jeżeli miałbym kogo gorszyć, to i owszem, gotów jestem się z tego wytłomaczyć, proszę tylko o wyłączną indulgencję na minut dziesięć dla przytoczenia anegdoty, że zdarzenia istnego wziętej, a która za wstęp mi posłuży do wykazania ciemności określeń moich i do objaśnienia *tezy*, że nadzieja wieków nie przestała przecież za chrześcijaństwa nadzieją być; że znowu zeszła do dni powszednich swoich.

Kiedy podróżowałem po Polsce, byłem na górze Św. Krzyskiej i ostatni Benedyktyn pokazywał mi bibliotekę. Ze stosu zakurzonych foljałów podniósł książkę, dostrzegłem tytuł „*O szlachetnym z zacnem domy paragonowaniu*“, to jest *Manuel du bon ton du XV (II) siècle*. W rozdziale, w którym uczono, jakie formy ma przybierać młody człowiek, starający się o rękę panny, ojciec Jezuita radzi, aby młodzieniec, wchodząc do komnaty, gdzie są antenatów wizerunki, do żadnej figury malowanej tyłem się lub bokiem nie obrócił. Posadzają Jezuitów o chytróść i przebiegłość: tu widna, że i owszem najszczerzej autor rzecz określił, gdyż im ród szlachetniejszy, tym więcej wizerunków, tak dalece, że nareszcie do arcy starożytnego rodu wcale bez obrazy wejść nie można, ludzką mając ciała budowę. Takie same jest właśnie położenie i każdego pisarza, skoro głos podnosi w społeczeństwie, które nie mogło się ustrzec ekstremów, chociażby one najszanowniejszymi były. Wobec osób historycznego zna-

czenia, objawiający publicznie zdanie swoje stawia zaraz w pozycji owego młodzieńca — pozycji niejasnej, a w której przeto bardzo łatwo niejasnego użyć wyrażenia...

Jeden z historyków francuskich napisał te słowa: „*Przedwieczny wciąż historję pisze i żadnemu ludowi jej nie zbraknie, dopóki są białe karty, na których pisać można*“ — bez tych to kart białych słowo traci wartość swoją pierwotną i przyrodzoną, a mianowicie odrodzalną... Po tym wstępie wracam do tezy naszej.

Nadzieja, mimo zwycistwa na Golgocie, odnadzieja się nieraz napowrót, to zwycięstwo albowiem bynajmniej nas od prac i obowiązków nie uwolniło, skąd jest też wiele do walczenia we dnie powszednie nadziei, chociażby dlatego tylko, że z pogaństwem się ciągle spotykamy, bo znow przez 19 wieków nagromadzały się i nagromadziły żywioły barbarzyństwa. Nieraz przecież jeszcze chrześcijański trup kładzie się od chrześcijańskiego miecza tysiącami, i pytanie jest, czy nie jak gladjatorowie raczej dla uciechy patrzących walczymy, a nie wiemy, czy na *Via crucis* idziemy! Nie trzebaż to nam jeszcze filozofję uczłowieczyć, politykę i ekonomję uchrześcijanić, praktyki religijne odserdecznić choćby w nas samych? Salnowe formy uprostodusznić, a rubasznosc gminną wznieść nad poziom! Jeszcze przecież w postępie pogwałconym lub opóźnionym jakby antropofagi spychamy starców, a młodzieńcom dostępu nie dajemy, jeszcze bibułę drukowaną zaklejamy sobie oczy, a słowa natury i liter, palcem pisanych Bożym, czytać zaniechaliśmy. Jeszcze ja sam widziałem, jak czcienkami ołowianemi strzelby nabijano na bratobójczy okrzyk, ale karty narodów rozcinało w biurach kościanym nożem, jak karty książek. Jeszcze się pochamy, jeszcze się wałesamy, między tą cywilizacją *atradycyjną*, której wielka praktyczność jest często wielce niepocziwa, a pomiędzy naszą ukochaną cywilizacją tradycyjną, której wielka pocziwość jest wielce niepraktyczną, jeszcze jednym słowem jesteśmy DOPIERO ludźmi XIX wieku. Ale głównym przedmiotem naszym, po zary-

sie historii poezji, było na dziś wyświecenie pojęcia o bajronizmie, do tego przeto powracamy. Ilekroć pojawi się pisarz, który wonie i kwiaty historyczne ułoży w piękne tomy, tylekroć arcybudująca sława jego rozejdzie się po wszechświecie, i chociaż tylko z żywych praw chrześcijańskich ułożył on kilkanaście tomów encyklopedji podręcznej, np. „Encyclopédie du Christianisme pour les gens du monde”—imię jego zaskarbi sobie rozgłos. Często wszakże pisarz takowy wziął oto przejrzystą chustę S-ej Weroniki i z tej ulotnej tkani uszył codzienną bieliznę dla współczesnych! Ale ilekroć prosty żołnierz jakiego zakonu Maltańskiego, braciszek jaki Templariusz, szczery, jaki i wolność kochający duch, w imię miłości i w kierunku prawdy, prosto a samodzielnie dąży, tylekroć na potępienie jego rozpowszechnią się tylko wątpliwości sumienia, jeżeli jakie miał, lub licencje i kłatwy, które z ust nie dosyć zaciśniętych wylatywać mu mogły. Niechże się nikt rzeczami temi nie gorszy, a kto łaskaw, niech do mnie się odniesie, abym objaśnił je. Licencje niczyje mnie nie obchodzą: przyjęto jest albowiem usuwać się od krat konfesjonau, zajętych osobistością cudzą. Wątpliwości zaś sumienia ludzi publicznych pomierzać się zwykły na łokcie kościołów i społeczeństw, z których indywidua te wychodzą: co zaś do przekleństw, te, co znaczą i czy ich poetom używać wolno — powiemy osobno, jak będziemy mówili o poemacie Słowackiego „Beniowskim”. Wtedy niemniej i kłatwy, które w pismach Byrona spotykamy, lepiej się nam wyjaśnią.

Religijnym był Byron więcej od kościoła i wieku swego. Lord nie tylko był za emancypacją katolików w Anglii, w czym zaiste, że ponad swobody, przez oficjalny kościół angielski uznawane, wznieść się umiał, ale nawet, jak sam to wyznaje, bał się dlatego starości, aby nabożniem z czasem nie zostać. Oto bowiem (powiada), kiedy pod sklepienia katolickich świątyń wchodzi, czuje jakoby promień pociągający mię. Był on zaś nie tylko więcej tolerującym, niżli kościół i społeczeństwo, w którym żył, ale bar-

dzo nad ten wieku wyższym. Dowiedziawszy się, że nieznana mu osoba zmarła, a ta odmawiała była modlitwę na intencję poety, zawołał: „Największa sława, która uolbrzymia człowieka w oczach jego, nie może iść w porównanie ze znaczeniem takiej modlitwy! Wszystkie wieńce Homera i Napolena, gdyby je razem na jedno czoło wkładać można — nikną mi w porównaniu do tak bezosobistej intencji”. Nie od rzeczy tu będzie, jeżeli przypomnę, że Jego Świętobliwość Pius IX papież, kiedy przyjmował Mickiewicza, a poeta, ukląwszy, odezwał się: „Oto jestem syn marnotrawny” (ecco mi il figliol prodigo), odpowiedział: „Syn najukochańszy” (figliol carissimo). Ja zaś od papieża większym nie jestem katolikiem. A któż, zawołam, przeto marnotrawniejszym synem był i tak wychylił do dna truciznę pieśni, jak to uczynił Byron, pieśni Sokrates?

Urodził się on w ojczyźnie lordów i był lordem, więc miał ojczyznę: mógł przeto wielkim mężem w społeczeństwie szczęśliwym zostać. Jak zaś pojmował to zadanie, najlepiej pokazuje pierwsza jego depesza do lorda Holland, której treść prawie dosłownie brzmi, jak następuje: „Odsyłam raport, dotyczący wypadków w Nottinghamshire, przekonanie moje w zapatrywaniu się na nie jest zupełnie różne. Usprawiedliwiam zbuntowanych i staję w ich obronie. Klasa rzemieślnicza jest bardzo upośledzona, jeden człowiek przez mechaniczne środki zastępuje siedmiu i wraz reszta pozostawiona jest bez pracy; należy się cieszyć z postępu machin, ale, Milordzie, nie godzi się, aby *machin doskonałość okupować człowieka degradacją*.” Oto pierwsza depesza wstępującego do parlamentu angielskiego męża stanu: — Poeta!...

Urodził się on pod kotarą, w palestyńskich rycerzy godła ubraną, ale herb jego nikomu nie zawadza, zabłysnął on trzy razy tylko na trzech hełmach, gdy do Grecji wyjeżdżał... — Poeta!

Był on obdarzony wytwornością mowy i dziwnym słowa czarem, ale często w listach swoich schodzi do naj-

niższej prozy, są albowiem listy, w których pisze o trzewikach dla emigrantów włoskich... Poeta!

Wielkim mógł być zapewne dyplomata, jeżeli pokolenia zbuntowane i nie chcące służyć powstającej Grecji w imię *Byrona* tylko przysięgowały do Konfederacji — jeżeli baszowie tureccy z nim się tylko znosili, tak, iż do dziś szkołą byłoby dla dyplomaty rozpatrywać się, jak od pierwszej chwili przybycia do Grecji umiał *Byron* zażywać wszystkich języków, dla każdego stronnictwa i stanowiska zrozumiałych. Ale do Komitetu niepodległej Grecji pisząc, ten lord angielski mówi:

„Myślę, że wystarczającym celem jest wolność i niepodległość narodu, że jednak u Anglików, rodaków moich, nałóg do handlarstwa i przemysłu górę bierze nad wszystkim, tedy dołączam i konsyderacje o handlu angielskim w stosunku do położenia Grecji...”

Poeta!...

Poeta! — powtarzam, albowiem dyplomaci, a nawet i niedyplomaci uważaliby raczej za stosowne rozpoczynać przez okazywanie owszem, iż nałogi zła ojczyzny są drogocenną spuścizną pamiątek lub głębokiemi na przyszłość narodu widokami: Poeta!...

Mógł on też swobodnie, jak to mówią, karierę swoją zająć się przy tak znacznym majątku, jaki posiadał, ale on pieniędzmi długo wspierał ludzi nieszczęśliwych — potym powstający naród, a pod koniec tej *Byrona* służby zastawione były nawet jego książki prywatne:—Poeta!

Mógł nareszcie militarną karierę wziąć za cel swój, zwłaszcza, że urodzenie dawało mu już stopień w armji, co więcej, że strzelał jak Tyroleczyk, bił się na pięści, jak najlepszy bokser, pływał, jak nikt na świecie, ale archistrategos przeniósł nad to pojęcie wojska zreformować raczej system karny w garnizonie greckim: — Poeta!

Pierwsze jego słowa, w parlamencie angielskim powiedziane, były: „nie poświęćcie człowieka dla machinacji i machin“, ostatnie w Grecji, „nie poświęćcie narodu dla

rutyny“. Pomiędzy temi dwoma wszakże są całe dzieje Europy aż do dzisiaj jeszcze!

A gdy już tak na *Homera* ziemi *Iljadę* wskrzesił, tedy w *Fidjaszów* i *marmurów* ojczyźnie niema jego posagu *), Europa zaś literacka naucza, że bajronizmem zowiemy antyreligijny, antysocjalny, antyreality pierwiastek. Wolę ja za *Juljuszem Słowackim* powtórzyć: „pobielanym grobów nie godzi się być cyprysami“—albo westchnąć z nim razem: „żeby też jedna pierś była zrobiona, nie podług miary krawca, lecz *Fidjasza*!“ Żeby też jedna!...

I oto jest jakoby *Ultima Thula* pieśni, albowiem *Epopeja* tu przenikła w siebie samą, siebie w rzeczywistość odradzając. *Napoleon Wielki* przymuszany był pojmywać kosmopolityzm *de la manière défensive* i pobito go; ale tylko *Kościuszko* w *Ameryce* i *Byron* w *Grecji* pojmywali kosmopolityzm ze strony dodatniej i zwyciężyli też dla *Ameryki* i dla *Grecji*.

Nie wiem, *kto* w 30 roku był tym Archistrategosem *Epopei*, co na sztandarach napisał „za naszą i waszą wolność“ — ale wiem, że to był on: potwierdza to albowiem kwestja włoscjańska, agitująca właśnie państwo Rosyjskie z inicjatywy polskiej i niegdzieindziej czerpiąca pierwotną siłę swoją. Do *Belwederu* z bagnetem idzie poeta,—dalej powstaje *Okonel* i *Lamartine*, — dalej jeszcze *Mickiewicz* we *Włoszech* zakłada to, co się teraz robi: a przed oczyma naszymi *Ludwik Kossuth* też samą kończy *Epopeję*, co się w *Missolongi* rozpoczęła. Dlaczego *epopeja* na tym *Europy* pasie jest większa od sił trzech gabinetów? dlaczego *Mikołaj* do tyła obawiał się i zabraniał poezji, do łał prochu? czyliż nieprzyjaciele nasi mają być bystrzejsi od nas samych! O! zaiste, że służba poetów jest poważna, ale prawda ta dopiero na wstępie do epoki dzisiejszej świtać poczęła, u bram której z *Homera* *liry* i *Leonidasa* mieczem spoczał *Byron*, trzy słowa o sobie rzec mogący: *veni, contavi, vici*.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Jest obecnie w *Atenach* (Red.)





JÓZEF KWIATEK.

Kazimierz Krauz

(*Michał Luśnia*),

jako pisarz polityczny.)

Miał badawczy umysł i żądną czynu duszę. Drogo-cenną rudę prawd naukowych, zdobywaną w mozolnej, lecz entuzjastycznej pracy, natychmiast z radością twórczą przetapiał i przekuwał w oręż walki dla siebie i współszermierzy. A ciężką i niezmiernie odpowiedzialną zajmował placówkę.

W obozie ideowym, do którego należał i którego, być może, najlepszym, w każdym razie najpowołanszym stał się rzecznikiem, rola pisarza politycznego nad wyraz dużo nastrocza niebezpieczeństw. Płyną one z tak często, niestety, uświęconego w stronnictwach proletariackich dogmatyzmu, który łatwo wypacza wielką i wszechstronną teorię socjologiczną Marksa w zwulgaryzowany szablon i przez to samo kusi niejednego pozorną prostotą i niemal niewymagającą wysiłku umysłowego, arcywygodną stereotypowością. Już Engels wyraził gdzieś tę niedość przypo-

*) W czerwcu upłynęło trzy lata od śmierci przedwczesnej nieodżałowanego badacza i szermierza przyszłości (*Red.*)

minaną myśl, że gdyby stosowanie materializmu historycznego do skomplikowanej rzeczywistości mogło być tak szematycznie dokonywane, jak to sobie wyobrażają niektórzy osobliwego nabożeństwa marksisci, to przepowiadanie przyszłości nie sprawiałoby większego kłopotu, niż rozwiązywanie równań algebracyjnych z jedną niewiadomą. Otóż tych niebezpieczeństw, zagrażających naukowej samodzielności, a zwłaszcza politycznej przenikliwości wybitnych nawet teoretyków-trybunów. Kazimierz Krauz uniknął całkowicie. Co więcej, można rzec, że poza czysto teoretycznymi jego pracami, w których tak niezmordowanie, wszechstronnie i oryginalnie krzewił, pogłębiał i komentował idee naukowego socjalizmu, wszystkie jego rozprawy agitacyjne i pisma polityczne, pośrednio czy bezpośrednio wymierzone były właśnie przeciw wyżej scharakteryzowanemu pseudo-marksizmowi, nazwanemu przezeń „odruchowym, pierwotnym, prostackim pojmowaniem klasowości.” Skutkiem tego właściwa treść rozmyślań i wywodów politycznych Krauz — a była nią najczęściej kwestja narodowości i dążeń narodowych w świetle materialistycznego pojmowania dziejów — występuje nieraz w zasadniczo mniej ponętnych szatach bieżącej polemiki partyjnej. Wprawdzie sama przez się ta polemika była niezwykle owocna. Polegając na wytrwałym zwalczaniu sekciarskiej ślepoty wobec najistotniejszych potrzeb kulturalnych ludu, stała się ona czynnikiem, który skutecznie rozpowszechniał w szerokich warstwach robotniczych i wśród młodej inteligencji wyższą koncepcję klasowości, zawierającą w sobie nie samą już tylko negację, lecz przede wszystkim „ideę przebudowania całego społeczeństwa podług potrzeb i celów proletariatu.” Jednakże wychowawczo-partyjne znaczenie tej polemiki nie może odjąć jej znamion przemijającej codzienności, spieszenie aktualnego szyderstwa pod adresem antagonistycznych grup i tego wszystkiego, co nawet naukowo słuszne i politycznie trafne enuncjacje obniża przez skwapliwie doraźne argumenty *ad personas*.

Dlatego też, dopiero po usunięciu wszelkich, bądź co bądź na krótką trwałość obliczonych ornamentów polemicznych, potrafimy dać odbicie kunsztownego gmachu wskazań programowych Kazimierza Krauz. Będzie ono blade, z konieczności zastosowane do warunków, w jakich piszemy.

Już wspominałem, że najczęściej uwagę polityczną Krauza zaprzętała kwestja narodowości i dążeń narodowych. Jeśli uwzględnimy, że marksizm najbujniej rozkwitał w krajach, gdzie ta kwestja nie istnieje, jako nierozwikłane zagadnienie polityczne, i że dalej „pierwotnie” pojmowana międzynarodowość i klasowość zazwyczaj stoją w bezwzględnej opozycji do jakichkolwiek żądań narodowych proletariatu, zrozumiemy, jak niełatwe było zadanie tych publicystów, którzy, jak Krauz, postanowili cele narodowe klasy robotniczej oprzeć na tych samych naukowych podstawach, co i dążenia jej społeczno-gospodarcze.

Wychodząc z założenia, że dzisiejsze żądania programowe, mówiąc słowami Marksa, „są świadomym wyrazem rzeczywistych warunków istniejącej walki klasowej i procesu historycznego”, i opierając możliwość urzeczywistnienia tych żądań na ich zgodności z kierunkiem rozwoju ekonomicznego społeczeństw, musiał Krauz, by uniknąć zarzutu utopijności, dowieść, rzecz prosta, że i te postulaty narodowe, których bronił, nie są sprzeczne z warunkami ekonomicznymi obecnej epoki. Ale Krauz posunął się dalej i dał znacznie szerszą podstawę swoim dowodom. Już nietylko szło o to, by obalić rzekomą sprzeczność stawianych żądań narodowych z tendencją rozwoju społecznego, lecz by wykazać, że wypływają one zeń z niezłomną koniecznością i że należyce pojmowany materializm historyczny wprost wyklucza inną odpowiedź na kwestję narodową.

W ten sposób postawiwszy zadanie, nie ustawał w wytrwałym prostowaniu mylnych poglądów na politykę klasową proletariatu, na istotę międzynarodowości, a na-

dewszystko w gruntownym oświeclaniu stosunków ekonomicznych obchodzących nas państw.

Z talentem i niesłabnącym zapałem, w całym szeregu prac, z roku na rok interpretował i rozwijał tezę Marksa, że proletariąt „w ruchu teraźniejszości jest obrońcą i zarazem przedstawicielem przyszłości.” O czymkolwiek pisał, czy o międzynarodowej polityce, o Polsce, Austrii czy Finlandji, czy wreszcie zdawał sprawę z poszczególnych objawów ruchu robotniczego, zawsze wracał do swego „*ceterum censeo*”. Ustalał równorzędny z szerzeniem się umiłowanej idei wyzwolenczej fakt rozwoju zasady klasowej: z początku jest owa klasowość czymś w rodzaju „*exodus plebis*”, wyodrębnieniem z całości społeczeństwa, bezwzględnym przeczeniem wszystkiego, co nie jest *bezpośrednim* gospodarczym interesem klasy robotniczej; stopniowo zaś staje się jakby „powrotem z góry Awentyńskiej”, klasowością nowoczesną, wciąż jeszcze stojącą w walce, ale już przystosowującą do siebie całe społeczeństwo, już ogarniającą olbrzymi splot najróżnorodniejszych interesów, blizkich i dalekich, zarówno w sensie rozciągłości, jak i czasu.

Na tak oczyszczonym gruncie polityki klasowej już łatwo mu było wznosić rusztowania dowodów, bezpośrednio stwierdzających słuszność bronionego programu. Czynił to wielokrotnie. Najlepiej jednak, w sposób systematyczny i logicznie jednolity praca ta wypadła w rozprawie, drukowanej już po śmierci autora, w „Krytyce” krakowskiej. Ogromnie ciekawą jest tu analiza „tendencji rozwoju ekonomicznego” w stosunku do tworzenia się i trwania państw. Wbrew komunałowi, który zacieśnia pojmowanie czynnika ekonomicznego do stosunków wymienionych między poszczególnymi krajami, względnie prowincjami jednego państwa, Krauz stwierdza, że jakkolwiek rozwój kapitalizmu wymagał powstania scentralizowanych państw, to z tego wcale jeszcze nie wynika, by państwa współczesne były jedynie i bodaj przeważnie wytworem przyczyn ekonomicznych. Po pierwsze bowiem państwa

w epoce przedkapitalistycznej powstawały najczęściej pod wpływem czynników dynastycznych i militarnych, i sam fakt ich istnienia już stawiał opór jednoczeniu się państwowemu na podstawach ekonomicznych; powtóre łącznie z czynnikiem kapitalistycznym w nowoczesnych tendencjach państwo-twórczych występował czynnik językowo-narodowy, jako zakreślający pierwszemu formy i granice; po trzecie zaś ten czynnik drugi ujawniał i ujawnia, w postaci dążeń odśrodkowych i zgoła separatystycznych, swoją sprzeczność ze starymi państwami, które do tendencji centralistyczno-kapitalistycznych przystosować się potrafiły. Rzecz prosta, że spójnia państwowa powoduje pewną współzależność stosunków handlowych, jedność celną i t.p. „Ale jedność celna bynajmniej nie pociąga za sobą jakiejś trwałej, niejako naturalnej jedności państwowej. Dzisiaj jedność ekonomiczno-wymienną stanowi nie jedno jakiekolwiek państwo, lecz cała Europa, całość krajów cywilizacji białej, ba! cała kula ziemiska, i jedność ta daje sobie doskonale radę z granicami celnymi, ze względną różnicą prawodawstw, z samorządem tak nawet niewielkich, a w międzynarodową sieć tak ściśle wplecionych dróg żelaznych, jak belgijskiej, węgierskiej, nawet bawarskiej i saskiej.“

Zatrzymując się następnie na tym, że masy pracujące muszą zmierzać do jak najdalej posuniętej demokracji, bo tylko przy niej możliwą się staje istotna i skuteczna dążność do zastąpienia kapitalistycznej anarchji przez wyższy ustrój gospodarczy, Krauz udowadnia, że koniecznym warunkiem osiągnięcia tej demokracji musi być wysnucie wszelkich praktycznych konsekwencji z powyżej naszkicowanego procesu ekonomiczno-państwowego. Boć „jedyną formą, w której może być urzeczywistnione społeczne kierownictwo produkcji“ — jest wspólność językowa. A to tym bardziej, „że cały system uspołecznienia środków produkcji i ich zarządu przez ogół oparty jest na zasadzie większości tak samo, jak wogóle demokracja, której jest on tylko najkonsekwentniejszym zastosowaniem i do

gospodarstwa publicznego“. Otóż zasada większości też tylko w granicach tej samej wspólnoty językowo-narodowej może być stosowana. Wola dziesiątków milionów Anglików nie może mieć mocy prawa dla setek tysięcy Boerów. Twierdzenie to nie przeczy bynajmniej zasadzie walki klasowej, ponieważ w tej walce chodzi o rozwiązanie *ogólno-społecznych* zadań, o przeobrażenie *całego* społeczeństwa zgodnie z interesami i dążeniami danej klasy. Zwycięstwo, czyli ziszczenie idei większości, stać się może rzeczywistością tylko w konkretnym, narodowo jednolitym społeczeństwie.

Jakkolwiek się zapatrywać będziemy na wartość wewnętrzną tego wywodu logicznego, który zresztą pod względem formalnym jest bez zarzutu, przyznać musimy, że realny bieg życia najzupełniej odpowiada wynikającym stąd wnioskom. Całkowicie słusznym jest, że idea międzynarodowości, znajdująca już dziś wyraz w solidarności proletariatu, opierać się może jedynie na uznaniu zupełnej równości poszczególnych narodów, i że jedynie „pod tą rękojmią może zachodzić wspólność kryterjum“ między nimi. Niemniej słusznym jest, że jeżeli następstwem rozwoju kapitalizmu jest powstawanie, skupianie się, zsolidaryzowanie klasy robotniczej i coraz szerszy i wszechstronniejszy udział tej klasy w oświacie i kulturze, to „równie niezbędnym następstwem niepowstrzymanego rozwoju ekonomicznego jest określanie się świadomości klasowej w proletariacie, obrona narodowości przez tę klasę“.

Czas i miejsce nie sprzyjają szczegółowszej analizie poglądów politycznych nieodżałowanego publicysty i działacza. Pragnąłem tylko w miarę możliwości ująć zasadniczy wątek jego wskazań praktycznych, wysnutych z gruntownych badań nad życiem i ruchem społecznym i ożywionych gorącym umiłowaniem sprawy robotniczej.



WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI.

ECHA.

*Nieodżałowanej i niezapomnianej pamięci
KAZIMIERZA KRAUZA i ZYGMUNTA
ROSTKOWSKIEGO, przedwcześnie zgasłych
przyjaciół i towarzyszy pierwszych dni mło-
dości. strofy te, za życia ich jeszcze rozpoczęte
poświęcam.*

I

Jesień rozsnuła już przedziwa
Babiego lata, co w przestrzeni,
Jak rój motyli białych, pływa,
Gdy raz ostatni gród Syreni
W swych murach przyjął mnie na krótko.
Wyjazd — odwiedzin był pobudką...

ECHA.

25

Królowa moja bladolica,
Z którą — astronom wniebwnięty —
Patrzyłem ongi w twarz księżycy
I, zachwyt czując, jak dla świętej,
Nie śmiałem wyznać zawrzeć w słowa,
Do drogi była już gotowa.

Na powrót mój już tylko czeka
W wiosce, gdzie latośmy spędzili.
Wzgórza, jodłowy las i rzeka
Dały tam życiu kształt idyli
Lub srebrnej nitki z kołowrotka,
Którą stargała w końcu — plotka...

Tak, mimochodem, mówię o tem.

A teraz żegnaj, o Warszawo,
Ze spadających liści złotem,
Z tym ruchem swoim, gwarem, wrzawą,
Z gorącym sercem, młodym wiecznie,
Warszawo, żegnam cię serdecznie!

Dziesięć lat mija, gdy stawałem
U bram twych, zbrojny w patent świeży.
Tu marzeń cześć się stała ciałem,
Większość — zdeptana w prochu leży,
Wiatr z niemi igra, ten, co życia
Łódź pcha — szalony — do rozbicia.

Sam nie wiem, czemu smutny taki.
Gdy myśl do chwil rozstania wraca.
Wszak nieraz dała się we znaki
Bezmyślna dni powszednich praca,
Dzienników ton plotkarsko-babski,
Gdzie płytkość trzyma prym... Arabski

Rumak, na północ gdzieś wiedziony,
Nie tęski tak do swej pustyni,
Jak mnie się czasem w nasze strony
Rwie serce... Dziwna to władczyni

Tęsknota... Tu, gdzie cudów tyle
Uderza wzrok i myśl co chwilę.

Ach, znów romantyzm się odzywa,
Drzemiący w duszach naszych na dnie...
Jakie są uczuć tych ogniwa
I jakie źródła — ktoś odgadnie!
W badania wdawać się nie mogę,
Bo w drogę czas nam, czas już w drogę.

Z kolei zatym, czytelniku,
Wysłuchaj innych ech odgłosu:
Lokomotywy świstu, syku,
Pakunków stuku i chaosu
Pożegnań, pytań, odpowiedzi...
Szczęśliwy ten, kto w domu siedzi,

Lub chociaż bilet w ręku trzyma
I miejsce zajął już w przedziale...
Muza się moja nieco zżyma,
Że w poetyckim swym zapale
Od spraw, poziomych tak, nie stronię...
Szczęściem — i myśmy już w wagonie.

Dzwonek. Gwizdawka. Pociąg rusza.
Krajobraz znany się roztacza:
Pagórki, rżyska, ciemna grusza
Na miedzy, dworek lub wieśniacza,
Pokryta szarą słomą chata,
Nad którą siwy dym ulata.

Zazdroszczę czasem tym, co mają
Swoją własny domek w brzóz girlandzie,
Gdzie im po nocach świerszcze grają,
A oni mogą na werandzie
Dumać, wchłaniając pół aromat,
Lub śledzić drogi złotych gromad

Na lazuruwej niebios łące.
Z jaśminów śnieżnych lub liljowych

Bzów płyną wówczas tony drżące.
To słowik, naszych snów tęczowych
Powiernik i akompanjator,
Improwizuje na cześć Hator,

Zwanej u Greków Afrodytą.
(Mniejsza o nazwę, rzecz tu w treśćil)
Za miedzą już się kłosi żyto,
Wietrzyk wśród liści brzóz szeleści...
Z dodatkiem kilku krów lub owiec
Sielankę miałyby już „Wędrowiec“,

A ja zdobyłbym, jak ktoś oto,
Nie marny wianek laurowy,
Lecz lilję srebrną albo złotą,
Zdobiając dzisiaj wieszczów głowy,
Wzniesione w górę w dumnym rzucie,
Lub może — klapy przy surducie.

To żart! O liljach już nie marzę.
Kwiat niewinności tym przystoi,
Którzy w życiowych walk rozgwarze
Nie potrzaskali lśniącej zbroi
Wiary w ziszczalność Idealu,
W zwycięstwo prawdy i zapalu.

Mnie dziś... Ach! gdyby kącik cichy
Los mi wyznaczył szczodłą ręką,
Gdzie latem polnych róż kielichy
Zagładałyby wprost w okienko,
Gdzie słowik lkałby wieczorami
Tę pieśń, co dotąd w duszy gra mi...

Rzuciłbym może kij pielgrzyma,
Siadł w cieniu brzozy lub akacji,
Po gwiazdnych szlakach wiódł oczyma,
Szukając znanych konstelacji...
Nad ziemskich spraw znikomość, sprzecznosc
Myśl by się mogła unieść w wieczność

I bić skrzydłami... W co i po co?!

Nieprzeniknione, tajemnicze
Iks dręczy zawsze z dawną mocą

I po dawnemu ma oblicze,
Jak przez stuleci nieskończony
Szereg, spowite w chmur osłony.

Próżno w nie bije myśli strzała,

Próżno się duch w zagadkach miota,
Z za chmur dotychczas nie wyrzała

Objawień gwiazda szczerozłota,
Mająca spalić swym zarzewiem
To straszne wieków wszystkich: *nie wiem!*

O myśli ludzka, złotopióry

Ptakul! Nie ująć ciebie w sidła!
To mkiesz gdzieś hardo ponad chmury,

To w błocie tarzasz białe skrzydła,
To znowu, szarej przędzy motek
Snując, jak wiejski kołowrotek,

Z nad Hadrji fali lazuruwej

Lub z nad Libijskich pustyń piasku—
Tam wracasz, kędy bór sosnowy

W zachodzącego słońca blasku
Ciemnozielone swe konary
Kapie i szumi hymn prastary.

To znów przez groźne morz bałwany

Za szczęściem gonisz w kruchej łodzi,
Choć szczęścia sokół obłąkany

Gdzieś w coraz dalszy mrok uchodzi
I drwi ze wszystkich ludzkich sideł,
Niezdolnych dotknąć jego skrzydeł.

Dosyć. Ten ustęp przerwać pora,

Położyć kres rozmyślań fali.
Oto już czuję chłód wieczora,
I zachód krwawo już się pali.

Październikowy dzień zbyt krótki
Na poetyczne wszystkie smutki.

Od wzgórz sosnowe płyną szumy,
Mijamy ciemne Chęcin baszty,

Które, poważnej pełne dumy,
Strzelają w górę, niby maszty
Korwety, co, przetrwawszy boje,
Znalazła wreszcie tu ostoję.

Zaszło już słońce. Z pastwisk stada

Wracają, wznosząc lby ciekawie
Na sznur wagonów. Mrok zapada.

W dali skrzypnęły gdzieś żórawie...
Kończą swą pracę najemnicy,
A pociąg — pędzi ku Granicy.

II.

Za dawnych czasów, gdy Jan Trzeci

Leopoldowi szedł z pomocą,
Do Wiednia musiał — wiedzą dzieci,

Jak długo — śpieszyć duiem i nocą,
Nie chcąc, by go minęła zręczność
Austrjacką zdobyć wdzięczność.

Dziś bliżej trochę Wiedeń leży,

Do jego bram nikt z dział nie wali,
A potomkowie tych rycerzy,

Co tutaj piersi nadstawiali,
W pół doby bez znużenia mogą
Dojechać doń żelazną drogą.

O dziwna przyzwyczajęń władzo!

Choć nam się odwróciło szczęście,
A w Wiedniu dzisiaj tylko radzą,

Lub, jeśli waleczą, to — na pięście —
My wciąż, wtłoczeni w nowe ramy,
Austrię z toni ocalamy.

I dyplomaci z nas nielada,
 O czym tradycja świadczy żywa.
 Kto w domu śmieiej od nas gada,
 A w Wiedniu — palcem w bucie kiwa,
 Pędząc pozatym czas wesoło?
 Ach tak! Niech żyje — Polskie Koło!

Tak rozmyślałem, ściśnion wielce
 W wagonie — z krzywdą tualety,
 Kurcząc się, patrząc w kamizelce,
 Czy zapasowi mej monety
 Nie ulżył jaki dobry człowiek.
 I przeszła noc bez zwarcia powiek.

Aż wreszcie ranek mglisty, szary
 Rozbudził okoliczne wzgórza.
 Wznosząc się czołem nad opary,
 Kahlenberg najpierw się wynurza
 I szle nam uśmiech powitania.
 Stolicę jeszcze mgła przysłania.

Podmiejskie stacje. Ruch się wzmacnia
 I gwar. Roznoszą pisma, kawę.
 Ogłoszeń różnobarwna blaga
 W zmęczonym mózgu tworzy wrzawę.
 Tańczą kolory i nazwiska,
 Gdy wtym — Dunaju wstęga błyska.

Przed kilku laty po tej wstędze
 Płynąłem z Wiedna aż do Buda-
 Pesztu, dziś wpoprzek tylko pędzę
 Przez most z szybkością wielkoluda,
 Który co krok to milę stąpa:
 Fantazja ludu jest — nieskapa.

Przed kilku laty po raz pierwszy,
 Tak jakoś w wakacyjnej porze,
 Wyrzależem trochę na świat szerszy.
 Z Trjestu przepłynąwszy morze,

Byłem w Wenecji i nad Garda
 Jeziołem grałem rolę barda.

Jak kwiat na Adrjatyku fali,
 Wyrasta dożów gród wspaniały,
 Nie ludzie, zda się, słabi, mali,
 Ale boginie budowały
 Te gmachy, których czar i przepych
 Zachwyca wszystkich, oprócz — ślepych.

Z parowca popłynąłem barką,
 Lub, gdy wolicie tak — gondolą.
 Musiałem jednak plac San Marco
 I kanał wielki zwiedzać *solo*,
 Gdy — od „Sospiri“ do Grimani
 Co łódka — patrzę — zakochani.

Mym towarzyszem było — palto,
 Więc też Sospiri most mijałem,
 Wzdychając, kłamię koło Rialto,
 A strofę kończę tym morałem:
 Pamiętaj! Po Grande Canale
 Z kochanką pływaj, albo — wcale!

Otóż i Wiedeń w owym czasie
 Zwiedzałem nader szczegółowo.
 Niekiedy turystyczne ma się
 Zapędy takie — daję słowo —
 Że, niby jakiś wagabonda,
 Człowiek wciąż zwiedza i ogląda

Osobliwości wszelkie miasta:
 Pomniki, place i muzea,
 Im więcej, tym apetyt wzrasta.
 Ach, nieraz w życiu — *culpa mea* —
 Zgorszenie budząc różnych osób,
 Traciłem czas w podobny sposób.

Tym razem jednak inny magnes
 Nad modry Dunaj innie sprowadza,

Niż Burg i *ringi*, albo Agnes

Lub złotowłosych Gretchen władza.
Przyjaźń ma czasem większe prawa,
Niż wielkomiejski kurz i wrzawa.

Był czas... Młodości srebrna piana,
Jak szampan, w duszy musowała.
I wierzyliśmy — rzecz to znana —
Że w mroku życia gwiazda stała —
To przyjaźń, — przed nią spuszcza oczy
Nawet miłości kwiat uroczy.

Najbliższych jednak miałem zawdy
Was dwóch, przyszłości nowej gońce,
Głoszących stale jedne prawdy
I zapatrzonych w jedno słońce.
Przyjaźni węzeł, zawiązany
Wśród nas, przetrzymał życia zmiany.

A chociaż losu wiatr szalony
Jednemu skrzydła porwał w strzępy,
Drugiego pogał w obce strony,
Trzeciemu zsyła zwątpień sępy.
Ta przyjaźń dziś, druhowie moi,
Probierczych dotknąć się nie boi.

I w Wiedniu znów po latach tylu
Jej moc się przypomniła żywa,
Więc oto z nad wybrzeży Nilu
Do was się serce moje zrywa,
I jakaś w nim niezwykła siła
Pozdrowień okrzyk wam przesła.

Czy go słyszycie? Ach, są drgnienia
Elektrycznego duchów prądu,
Tak odczuwane z oddalenia,
Jak gdyby przestwór mórz i ładu,
Znany skądinąd zbyt wyraźnie,
Udręczał tylko wyobraźnię

I nie miał sam dla siebie bytu.
Jeżeli w życiu, w uczuć rzędzie,
Mają niektóre moc granitu,
To nasze jednym z takich będzie.
W to wierzę. Z innych wiar zbyt dużo
Uniosłaś z sobą, życia burzo!

Piekłem istnienia jest tęsknota,
W której się duch samotny błąka.
Do tego piekła wiodą wrota,
Na których napis lśni: *Rozłąka...*
Ach, czemuż ja na życia drodze
Tak często do tych wrót podchodzę!

Po tej dygresji nie wypada
O prozaicznym mówić Wiedniu,
Gdzie zresztą myśl powróci rada,
Byle nie dzisiaj, gdy — w przededniu
Wycieczki do piramid Gizeh —
„Wszystkiego w miarę“ — mam dewizę.

Tak krótki czas ludzkiego trwania!
Czar życia chwytać w lot należy.
Spojrzenie jedno pożegnania
Świątostefańskiej rzucam wieży,
Która w swej szacie koronkowej
Ma wygląd nimfy lub królowej.

I dalej w drogę, w przyszłość dalej!
Nim życia łódź swą przystań spotka,
Czekają nas pieszczoty fali,
Nieznanych wrażeń czara słodka,
I znów, jak zwykle, na dnie czary
Rozczarowania ferment stary.

W tym życia treść — lub brak tej treści.
Porywów szczytnych zapal młody,
Nadziei kwiaty, czar niewieści —
Przemija wszystko. Lecz przyrody

Potężny urok—ach, on jeszcze
Zachwytyłów szczerých budzi dreszcze.

Kocham przyrodę, zwłaszcza góry.
Te w sercu, do uniesień skorem,
Koroną nazwałbym natury,
Jeziora górskie — pereł zbiorem,
Co lśnią, jak gwiazdy, w tej koronie,
Zdobiającej dumnie świata skronie.

Zapewne we śnie lub na jawie
Już robił kto te porównania...
Nie wiem. Krytykom pozostawię
Zasługę wszystkich odszukania
Wzorów, co na mnie wpływ wywarły
W poezji żywej lub umarłej.

To ich rzemiosło i zadanie
W utworach nowych widzieć zawsze
Pomysłów cudzych zmartwychwstanie
Lub, gdy wyroki są łaskawsze,
Uległość wpływom wieszczów dawnych,
Wielbionych, czczonych, wielkich, sławnych.

Lecz cóż my winni, że fatalność
Żyć nam kazała w takim czasie,
Gdy rzadkim ptakiem oryginalność,
Gdy poprzedników legion ma się,
Z którymi w formie lub pomyśle
Każdy się spotka, mówiąc ściśle.

Choć oni wobec nas olbrzymy,
Lecz uczuć wspólnych mamy wiele.
Do celów ich i my dążymy,
I my się modlim w ich kościele,
I z nas niejeden pióro macza
W sercu — ojcostwo czas wyznacza.

Ach, czytelniku, źle cię wiodę,
We mgle nam zginął cel podróży.

Spróbujmy jednak zawrzeć zgodę,
I niech się czoło twe rozchmurzy.
Znów, niby ptaki dwa, pomkniemy,
Wymowny jeden, drugi niemy!

Na błędną drogę swoją wróć,
Choć znów Arystarch warknie który,
Że — pisząc — grzeszę przeciw sztuce,
Że wiersze moje, istne wióry,
W najlepszym razie są, o zgrozo,
Zwyczajną tylko, nędzną prozą...

III.

Gdy w jednym dniu chcesz poznać zbliżka
Poemat wyżyn przewspaniały,
Jak orzeł, wzbić się nad urwiska,
Ponad przepaście, poprzez skały,
W tunelach skąpać się czterdziestu —
Jedź przez Semmering do Trjestu.

Wąziutkim szlakiem na krawędzi
Przepaści, w której ginie oko,
Jak wąż ognisty, pociąg pędzi,
A tam—nad nami gdzieś, wysoko,
Rycerskich twierdz ruiny sterczą,
Na których ręką swą morderczą

Czas wypisuje pieśń zagłady
Temu, co życia moc straciło.
Tu każda piędź ma dotąd ślady
Walk lub przeszłości jest mogiła,
Zroszoną ludzką krwią obficie,
Z której wyrasta — nowe życie.

Niekiedy pośród drzew iglastych,
Obrastających zbocza skalne,
Zarysy migną wież śpiczastych —
Ostatnie widmo feodalne,

Co dotąd trwa i pod osłoną
Krzyża przygniata ziemi łono.

To znów w dolinie nad potokiem,
Co z gór spienione nurty toczy,
Pod groźnym baszt zamkowych okiem —
Wioska. W jej domkach lud roboczy,
Jak z *primae noctis jus* należy
Wnosić, ma w żyłach krew rycerzy,

Lecz ją przez pracę uszlachetnia...
O wieki średnie, barwna, zmienna
Mozajko zdarzeń tysiącletnia!

Minęłyście, jak mara senna,
Lecz w wyobraźni nieraz jeszcze
Błysnicie, budząc zgrozy dreszcze,

To znów zadumę tęskną w duszy...
Byłyście w oczach moich ongi

Epoką mieczów, pióropuszy,
Rycerzy, niby enót posagi,
Wpatrzonych w glorię świętych celów
Lub zasłuchanych w pieśń minstrelów.

Grzmią oto Piotra z Amiens słowa...

„Tak Bóg chce!“ — pada z ust papieża:
I przepotężna moc krzyżowa
W niewiernych burzą już uderza,
Lecz w Jeruzalem Pan z Bouillon'u
Zrzeka się krwią zlanego tronu.

Trąb heroldowych srebrne głosy
Zwołują mężnych na turnieje:

Padają w szrankach tępe ciosy,
Nieraz „błękitna“ krew się leje,
Po tarczach dzwoni miecz uparcie,
Kiedy na ostre zawre starcie.

A na krużgankach złotowłose
Dziewice, białe marzeń kwiaty,

Jednemu uśmiech lub łez rosę,
Innemu wstęgę, rąbek szaty,
A najmiłszemu — na podziękę
Za męstwo — dają z sercem rękę.

Tak wyglądały wieki średnie
Pod kątem marzeń mej młodości.
Lecz dziś — te poetyczne brednie,
Których tak wiele w duszach gości,
Tracąc powoli dawne barwy,
Wychyla nieraz głowę larwy.

Krzyżowy rycerz z raubryterem
Puszczają się w piekielne tany.
Wobec dogmatu myśl jest zerem,
Rozsądek — owoc zakazany...
Ciemnota, ucisk, pięści prawo,
Nad wszystkim — stosy płoną krwawo.

Tak czy inaczej — mniejsza o to!
Niech historycy z pyłu kronik
Wydobywają prawdy złoto,
Bo pegaz mój, narowny konik,
Wciąż zbaczający z prostej drogi,
Na tych wertepach zerwie nogi.

A zresztą jeszcze król jegomość
Salomon, pan Jerozolimy,
Orzekł, że marność i znikomość
To wszystko, czym się tu trapimy,
Lub co nam w chwilach zapomnienia
Osladza bóle i cierpienia.

Jedna przyroda! Wracam do niej.
I oto znowu myślą jestem
Wśród wzgórz i lasów, pełnych woni,
Z szumem potoków i szelestem
Drzew, co — poemat wiecznotrwały! —
W szkarłat i w złoto się przybrały.

W tych ramach bystry Mur się pieni,
 To znów wśród skał strzelistych ginie
 I wody górskich stu strumieni,
 Jak ojciec, niesie ku równinie,
 Na której cichy Gratz wyrasta
 Z zamkową górą w środku miasta.

A wkoło „grodu emerytów“,
 Który przecina Muru fala.
 Ciemnieje wieniec zwartych szczytów,
 Za którym słońce się zapala,
 I, trudy ukończywszy dniowe,
 Do snu w purpury kładzie głowę.

Pomknąłem dalej, próżen troski,
 Wesoły, niby młode chłopię.
 Styryjskie miasta, zamki, wioski
 Mignęły, jak w kalejdoskopie,
 Widnokrąg zmienił się nieznacznie —
 Słoweńców kraj się wkrótce zacznie.

Patrz — tak, jak u nas: niwy, wzgórza,
 Po wsiach — pochyle, ciemne strzechy,
 Wśród lip kościółek się wynurza,
 Pod karcznią słychać piosnki, śmiechy,
 Niekiedy brzęknie z miodem czasu,
 Mowa, jak nasza, lecz — nie nasza.

Przez kraj ten, jak zielonowłosa
 Rusałka, Sawa nas prowadzi,
 Nad rzeką brzóz się zwiesza kosa,
 Którą witamy z okien radzi,
 I dziwnie swojsko nam w Lublanie,
 Choć ją Lajbachem zwa Giermanie.

Lublana zresztą, choć przechrzczona,
 Słoweńską pozostała z ducha,
 Bo wolne serce w głębi łona
 Podszeptów obcych nie posłucha,

Nie ugnie się pod obcym młotem —
 Niemiec i Węgier wiedzą o tem.

I nieraz jeszcze rogi wraże
 Pierś słoweńskiego ludu zetrze...

Lecz dość! O polityce gwarzę,

A tu już inne czuć powietrze:
 Adrjatyku ciepła fala
 Westchnienie pierwsze śle nam zdala.

Na zbiegu torów dwu — Divacca,
 Gdzie Włochów napływ się zaczyna.

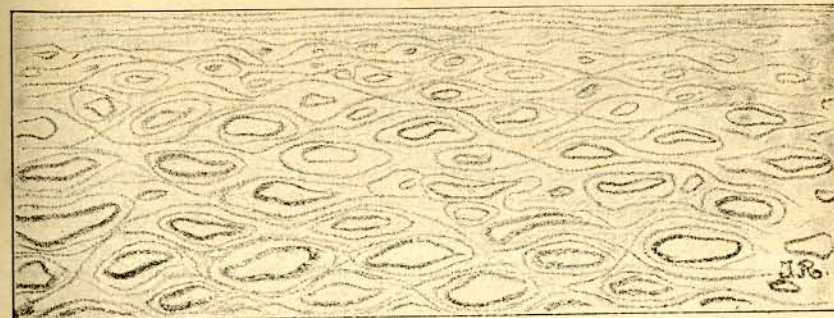
Z niemi niezwykle dla Polaka
 Gwar. A za chwilę Nabresina
 Błyśnie gazowych lamp szeregiem,
 Skąd szyny biegna morskim brzegiem.

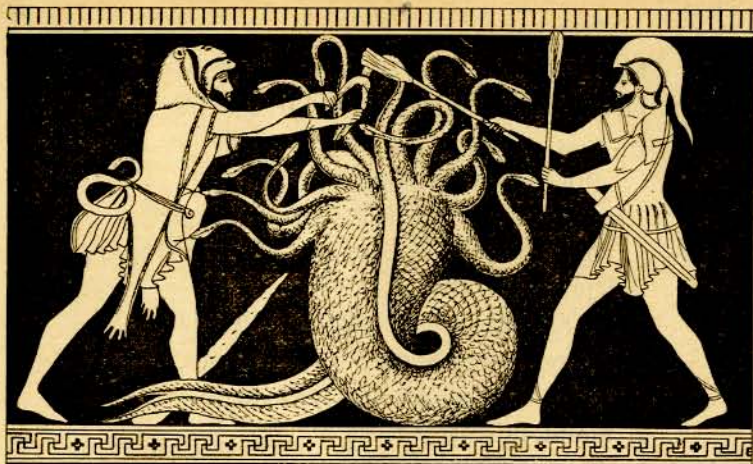
Stałem w oknie, zapatrzonej
 W pomrok, gaszący tak, jak codnia,
 Ostatni słońca błysk czerwony.

A chociaż zgasła dnia pochodnia,
 Pragnę, o falo, poprzez mroki
 Twój obraz dojrzeć modrooki,

Który tak często w snach młodości
 Błękitny stawał nad mym łóżem!
 Dziś znów z tęsknotą, wśród ciemności,
 Przez które przedrzeć się nie mogę
 Do ciebie, modra, niezgłębiona
 Toni, wyciągam w mrok ramiona!

(Ciąg dalszy nastąpi).





TADEUSZ MICIŃSKI.

NIETOTA

powieść z tajemnej Księgi Tatr.

(Ciąg dalszy.)

IV. MASKA I MIŁOŚĆ.

W bliskości Zakopanego znajdowało się Kasyno zabaw.

Wśród iluminowanego podwórca i licznych zabudowań stały furki i powozy góralskie, wyczekujące gości.

Na bramach spodziewał się Mangro znaleźć napisy, głoszące wartość cywilizacyjną domów gry i rozpusty pod wspańiałą dewizą:

„*Sine arte luxuria est bestialis et vita odiosissimum taedium*“, jak to widział w Ostendzie.

Lecz nieumiejętność czynienia *pointe'y* nawet w szelmostwach odznacza naród polski; to też Mangro, wysiadający z powozu, wzgardliwie się uśmiechnął, widząc, jak prymitywnie inteligencja krajowa „nabiera sił i cery“ w drewnianych spelunkach.

Ominawszy długi budynek, wszedł do parku świerkowego, gdzie znajdowały się pawilony, i służącemu kazał roztworzyć apartament — właśnie pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia z Lourdes.

Mangrowi sprawiło nerwowe zadowolenie, gdy drzwi mu rozwarło obok białego z niebieskim posągu, przed którym płonęły kopcące lampki.

Uchylił Mangro kapelusza i wrzucił do puszki na kaplicę Niepokalanek tak ciężko brzęczącego florena, że służący, jak wryty, wpatrzył się we wspańiałego, pobożnego pana.

Mangro, nie opuszczający nigdy sposobności zbudowania innych swą osobą, rzekł:

— Uważasz, garson, że ja przez trzynaście lat w dzikich krajach byłem pozbawiony duchowych pociech, choć (mówię to bez wstydu) niejedną pociechę zostawiłem w murzyńskich korallach. U nas mówi się: „dziecko przychodzi na świat“, Włoch już powie otwarciej: *io fatto mu un figlio*. Ja, uważasz, ojcze świętemu Leonowi XIII proponowałem, by ten ideał niewieści niedościgniony stawiać w każdym miejscu, gdzie człowiek grzeszny mógłby, nie grabiąc po drodze innych, wrzucić do takiej puszki nabożnej automatycznej franka i, wyciągnąwszy za to bilet na loterję, przy pomocy onej Pocieszycielki znędzniałych, dorobić się przyzwoitego majątku. — *Vivat Polonus solus defensor Mariael* tak mi rzekł na to papież, wielki reformator“.

Służący pojął widać to nowe rozwiązanie biedy na świecie, gdyż, schyliwszy się w kabłąk Jaśnie Panu, wprowadził go do trzech pokojów, uważając, iż mniej Hrabiemu zająć nie wypada — — —

Tym wstępem kronikarz „Nietoty“ ma nadzieję zaskarbić sobie względy poważnej części naszych czytelników, bo daje dowód, iż umie malować nasze stosunki obyczajowe i nie zawsze lata w mistycznych zachłaniach. Wolnomysłielec pochwałą go za ironiczne traktowanie legendy z Lourdes, wierzący i wogóle Polacy z „Gazety

Polskiej“ i „Przeglądu polsko-powszechnego“ ucieszą się, iż wnyki sprawia zczudzoziemczonej Mangrze.

Tak, to tak — nareszcie można było przy pewnej wrodzonej inteligencji odgadnąć, jak się robi u nas powieść — ale już Jadwiga królowa pytała: „któż biednym zapłaci ich lży?“ I któż kronikarzowi zapłaci jego auto-znudzenie?

Może on teraz chciałby opiewać Zolimę, idącą wśród gaju jodeł, kiedy z niedalekiego kościoła na Ave Maria biją dzwony, nawołując, iż jest już godzina szósta i należy spieszyć na wieczerzę —; może on teraz chciałby usiąść na siódmym od ogona kręgu Węża Tatrzańskiego i pogwarzyć z dziwożonami w chmurach, tam — pod baldachimem z najdrogocenniejszych, lecz wraz i bezpłatnych zachodnich światel, rozsianych na wiekuistych z epoki Sylurskiej głazach? może poprostu chciałby żyć w swojej wygodnej willi piekielnej i nie mlec tych ciężkich żaren z głupią ludzką mąką?... Ale cóż, jeśli bez tych zasług obywatelskich księgarze nigdy nie zechcą go wydać, jako iż byłby to poemat, a nie powieść! Ucieszą się nareszcie nasi Arabowie, gdyż to będzie kasza, a nie djamenty — zaiste chwalebne wyzbycie się imper-tynenckiej pozy być wzniosłym.

Allons, wesołym krokiem do Rabagasowskich biesiad, gdzie maska będzie włożona cnocie, a obluda podniesiona na piedestał! Patrzmy na góry odwrotnym, t. j. pòmniejszającym końcem lornetki; tonąc i zachlipując się w polskim przemierzłym bagienku, przysiadźmy się do Mangra i studjujemy go z zachwytem, gdyż on jest tym, co zwycięża — mając wypróbowaną mądrość lisa i tasiemca.

Odprawił on służącego i, rozkładając kufry, był tyle uprzejmy, że mówił do siebie sam, przed lustrem, półgłosem, ale właśnie dość wyraźnie, aby audytorjum ciekawych Sfingo-prenumeratorów mogło wygodnie usłyszeć:

„Wiem, że jest to, po rozsądnemu biorąc, szaleństwo. Zagrabiwszy powóz i majątność jadącego w Tatry

hrabiego Rabsztyńskiego, od tej chwili mam grać przed ludźmi jego osobę. Wprawdzie narażam się, że Mag Litwor — Noc współczesnego potopu — niby wielbłąd rozwścieklony wyrzucnie na mnie długo przeżywaną w swych wielu żołądkach sumienia i odwiecznych sprawiedliwości magmę oszczerstw. Lecz któż są magowie, a któż jest Mangro?

Tamci są niedokonaniem wszystkich rycerskich dywinacji i bredów Don Kichota, Parsifala i t. p. kontemplarjuszów. Mangro zaś dokonany projekt Sanceza Pansy na gubernatorstwo ziemi.

Dopóki świat trzyma się w swoich mechaniczno-fizjologicznych zasadach, Sancezos Pansowie będą rządzili Don Kichotami. Osobliwie dziś, gdy Pulver, Ver, i Papaver unoszą się nad ludzkością, zamiast dawnych hekatomb, przez oświecony Mangrowizm z budżetu ludzkości wymazanych“.

W wielkim apartamencie, który zajmował Mangro, blask lampek elektrycznych, ustawionych w kryształowe kwiaty, rozsiewał mrok, a mimo to — wszędzie tam, gdzie przebywał Mangro, zgęstniał się mrok współczesnej światyni złego.

Kto nie wierzy w zło metafizyczne, kto stawia zło, jako socjalne pojęcie tego, co jest nieużyteczne dla gminy lub dla gatunku, — dla tego Mangro będzie tylko nieco zdeprawowanym proboszczem! Lecz kronikarz ma za honor mieć inny pogląd na tę sprawę, ale nie widzi potrzeby wyklądać go szeroko i długo. —

Mangro rozchylił kufry.

Pożądliwie wziął do rąk cudne tkaniny berberyjskie, karykatury z kości słoniowej i złote Fetysze z nad jeziora Njanza; prawdziwe skarabeusze, których tajemnica lazurowości zaginęła; rubinowy posążek bogini śmierci — Amenti; fotografie Karnaku i wspaniałych greckich twarzy z grobowca Kere; akwarele tego głazu na szczycie piramidy Cheopsa, o którym wspominał Słowacki w Po-dróży łódką po Nilu, że Polak na nim pisał płaczem.

Istotnie ryty był ostrzem napis, jak śpiżowy wiersz Simonidesa w Termopilach:

— PRZEKAŻCIE WIEKOM NOC 29 LISTOPADA. 1831 R. —

Uwagę Mangra pochłonęła księga rachunkowa na złożony miljon dwieście tysięcy funtów w banku londyńskim.

Spełnił się jego oraz wszechludzki ideał: zostania milionerem.

Jego Wille zur Macht miał już realną podstawę. Mógł teraz, jak święta malpa w Benaresie, biegać po wszystkich ogrodach, zrywać wszystkie owoce, i nikt nie będzie śmiał oberwać mu pysków. Miljoner... to, czym dawniej był rycerz w swym zamku... pasowany przez króla, a wystający na tarasie z kufem w ręce i patrzący na rzekę, czy nie płynie szkuta kupiecka, tego naładowana, z której wół, beczułka małmazji albo kunsztowny pancerz przechodził wnet, jako okup, do skarbcza pana Rittersa. Lecz Mangro nie lubi staroświeckich analogji. Mangro, możny swym złotem i zbrojny w wiedzę; z nienasyconym apetytem; uśmiechnięty tasemiec w tłustych wnętrznościach losu! świat ma za zbiegowisko schodzących się i rozchodzących dynamicznych sił, których centrum stanowi on jeden. Ani przedtem nie było niczego, ani potym nie będzie nic.

Wygodnie i z elegancją odziewszy się w jedwabny szlafrok, zasiadł przy biurku, by czytać w szkatule przechowane listy. Z nich dowiedział się, że hrabia Rabztyński spędził długie lata w Transwaalu, hodując stada baranów, siejąc zboże, kopiąc węgiel i djamenty, założył tam miasta fabryczne, mnóstwo osad i koleje.

Ze wzmianki jednego listu hrabiego do matki można było sądzić, iż nieszczęśliwa miłość wygnała go w te dale, że tam wyjechał ubogi, a stawszy się majętnym, zapragnął wrócić w Tatry, aby wyrwać je z rąk cudzoziemskich. W korespondencji handlowej był z panem Muzaferidem, inżynierem, który niegdyś udzielił mu

materjalnej pomocy, a teraz razem przemyślali o zajęciu wielkich pokładów węgla kamiennego, od Krakowa w stronę Kalwarji; pan Muzaferid utworzył już wielkie kopalnie pod Tatrami, dobywano antracyt, olej skalny i ametysty.

Rozpisywała się matka hrabiego o nadzwyczajnych zaletach Zolimy, córki Muzaferida, i zaklinała syna, aby przed jej śmiercią połączył się związkiem szczęścia z tą śliczną i mądrą panienką. Wprawdzie ta ostatnia, przebywszy stację doświadczenia na pożytku swoich rodziców — państwa Muzaferidów — uznaje, iż wogóle familja jest zabytkiem epoki krzemiennej, i sama więcej żyje w ślepingu, niż w muzułmańskim zamku Muzaferida nad morzem... Wprawdzie pan Muzaferid miewa napady djonizyjskie, które gorszą całą ludność sąsiedniego miasteczka, a kiedy ukończy pracę w kopalniach i fabrykach, to nocą wybiega nad morze i wydaje dzikie, istic nogajskie okrzyki... ale to już jest taki temperament gienjalnego Tatara.

Zolima czasem odwiedza Turów Róg, tam żyje u bardzo tajemnicznej istoty, pani Ameńskiej, lub też wyjeżdża na swą wyspę, o ile nie wyciera ławek na przyrodzie w Marburgu, nie odpycha spojrzeniem studentów na lekcjach socjologii w Londynie, nie wala rąk w laboratorium Curie-Skłodowskiej w Paryżu, nie prezyduje na konferencjach emancypantek w Sztokholmie lub Abo.

Zresztą o pani Ameńskiej było mówione wiele gorzkich uwag, iż odsunęła się od niej arystokracja z powodu zbyt rewolucyjnych poglądów, a jej patriotyzm staje się obrzędem druidycznym, spełnianym wśród lasu w jakiejś mistycznej przednocy św. Jana. Turów Róg jest wprawdzie doskonałą szkołą polskości, ale na Zolimie owa egzaltacja ducha wywiera skutek wręcz odwrotny, mianowicie stara się ta dziewczeczka wszystko czynić *à rebours*, niż pani Ameńska. To znów może tylko umiarkować syn ukochany, wsławiony w wojnie Boerów bohater, ten udowodni ukochanej Zolimie, iż nie należy pozbywać się szczęścia małżeńskiego, które leży w intencjach Boga

i Ojczyzny, a jak to precudnie dowodzi w swych utworach Mistrz Teodoryk. W imię Boże, przyjeżdżaj, mój ukochany Hektorze! oddawna modłę się o to szczęście, abym pieściła moich wnuków, owoc twego namiętnego szczęścia z Zolimą. Już wyszyłam wam śliczny parawan“ — —

Mangro począł się śmiać swym kwiczącym śmiechem. Wyjął bluzę wojenną i kapelusz z ogromnym rondem, nastrojał się do bohaterskich póz. Tarł ręce długo w doskonałym zadowoleniu. Z fotografii panny Zolimy poznał, że ją spotykał w Oksfordzie, gdy kręcił się w towarzystwie wesołych kotów, pozostałych po hellemskim lwie Oskarze Wildzie, zamkniętym w więzieniu. Wszystko Mangrowi idzie jakby napędzone na strzał.

Zakumkał znów z radości, lecz wnet się pohamował.

Wiedział, iż śmiech nie stanowi jego strony przyciągającej — był to jakiś przeżytek czasów homosimiowych, gdy można było powiedzieć, iż ludzie rechotali, rzęli i szczekali zamiast się śmiać.

Należało przejąć się i całą postawą wyrażać powagę, idąc na zdobycie Tatr, panny Zolimy, mając paść do nóg hrabinie matce i oczarować cały dwór pani Mary Ameńskiej.

Wydobywał Mangro z własnego już puzdra różne blaszki magnetyczne i maski—jedyne artystyczny kukszt, który uprawiał.

Magnetyzm poznał w spelunkach wschodnich, oraz zajmując się teozofją w królewskim towarzystwie; sztukę maskowania wyćwiczył, służąc u księcia truciciela de Mariny. Gdy książę, opłakiwany przez Paryż, leżał w trumnie, Mangro zdjął mu z twarzy maskę dostojności.

I wtedy ujrano straszne oblicze.

Ośłupieli mówcy, wracający z katedr gotyckich i z parlamentu, widząc bez maski dziką i wstrętną twarz wychwalanego księcia Brutusa, najlepszego syna Francji.

Był to zaiste Dorjana Grey'a prototyp, który natęchnął Wilde'a do barwnej, aż w mistykę wchodzącej powieści.

Mangro zniknął, unosząc ze sobą tę maskę szarą, jakby z przędzy pajęczej utkaną. Odtąd twarz jego była zagadką dla tych, którzy widzieli w nim gienjusza-zwierzę ludu, Michała Anioła anarchji, Judasza nowej przyszłości, Giles de Raitz'a, sprzedającego kamloty damom, kelnera, operującego milionami w Banku Narodowego Zaufania, złodzieja-lorda, kradnącego kolczyki szafirowe pięknej Brazylijce, kaznodzieję nowej gminy Kainitów — i tak dalej.

Niedługo jednak oddawała mu maska nieocenione przysługi: wychodząc raz z opery w Londynie, gdzie w loży ambasadora niemieckiego uzyskał przyrzeczenie orderu za utworzenie towarzystwa polskich Junkrów Czarnego Orła, — wychodząc z tą nadzieją i koncesją w kieszeni na kolej między Zanzibarem i Kamerunem — Mangro ujrzał trzech dżentlemenów, którzy prosili o grzeczność zapalenia odeń swych cygar.

Zapalając, wcisnęli mu maskę z chloroformem na twarz i nieprzytomnego wiedli uprzejmie pod rękę, jako swego podpitego towarzysza. Ocknął się w Hyde Parku bez maski chloroformowej, lecz przypadkowo — i bez swojej własnej; z dziurawym bokiem od noża i pustymi kieszeniami.

Pierwszy napotkany detektyw zaopiekował się nim, lecz szukając przeszłości takiej twarzy, jaką miał bez maski Mangro, wpadł na różne rewelacje; okręt, idący do Nowej Kaledonii, musiał z nich zrobić najwłaściwszy użytek, zabierając Mangra ze sobą, zakutego w kajdany. Wiemy już, co nastąpiło dalej.

Uzyskawszy bezpieczeństwo przed policją, dzięki Magowi Litworowi, Mangro postanowił szukać po świecie maski swej, jakby djamentu brahminów. Noce nie spał rozmyślając, że zapisze się do policji i będzie szukał owych trzech dżentlemenów.

Jakież było fascynujące wrażenie, gdy pewnego razu, stojąc w soborze Izaaka za Magiem Litworem, ujrzał, iż na wzrok Maga maska opadła z twarzy wielkiemu Potentatowi i zakrystjan wymiatał ją wraz ze śmiećmi z soboru.

Potentat bizantyjski szukał po soborze zgubionej maski, którą Mangro szczęśliwy ścisnął już w swej kieszeni, i zbożnie ocierał z pyłu. Potentat tejże nocy umarł. Miał odtąd Mangro niepojęty dreszcz przed Magiem Litworem.

Po latach wędrówki teraz dopiero Mangro odważył się maskę przymierzyć — tu w kasynie zabaw dla polskiej inteligencji.

I zaiste była ta maska kunsztem nielada. Wyrobita przez Czarodzieja z masy elastycznej, przylegała do twarzy, zachowując mimo to własny kształt, nadany jej przez magnetyczne wpatrywanie się. Nabierała ona ruchu i życia od każdego drgnięcia woli, była zdolna reprezentować wybrańców ducha i fortuny, umiała czarować cynizmem hr. Requine d'Ora, zarówno jak patetyczną wzniosłością księcia autora „Z rozmyślnych niedoświadczeń“; udawała miłość z „Fuoco“ d'Annunzia i miewała gromy Wilhelma II w brwiach. Miała oczy głębokie, jak butel szampańska Wdowy Cliquot przed lodowcami w Sils-Maria i wargi jej uśmiechnąć się mogły, jak przecudne żuchwy Jaszczura, przedstawiającego Demona Koprolatrji u Bar-num Jonesa.

Mangro, włożywszy ją na twarz, zaczął się magnetyzować wolą swą na hrabiego Rabsztyńskiego. Potym czytał mądrą i przemyślaną książkę Stirnera: „Jedyny i jego własność“.

— — — — —
W tym lesie, okalającym kasyno, gdzie rozlegała się muzyka rautu, siedł znany nam już tatrzański marzyciel.

Huczna muzyka i okrzyki wodzireja tańców, który wołał: panowie i damy razem! albo: changez les dames! mało pozwalały wyczuć głębię i ciszę tatrzańskiej nocy.

Mimo to Arjaman grał na harfie, którą tu wziął chyba dla ironji: żyjąc w górach nad morzem, uzyskał wielkie królestwo, obiecane samotniczemu duchom — złudzenie, iż poza niemi jest również królestwo duchów!

Siła jakaś demoniczna pchała go ku tej sali, gdzie odbywał się kwartet: przecudowna Kreuzerowska sonata Bethowena.

Wszedł do sali przyćmionej, orkiestra rozpoczęła grać z „Tristana i Izoldy“ akt ostatni. Tłum ludzi nie dyszał, wsłuchany w szczęście i męczarnie miłości.

Łkały skrzypce, szumiały burzą morską trąby i puzony, flety, jak mewy, biły o kamienne filary zamku, które wyrzeźbiała muzyka organów. W niebie krążyły wielkie wichry, zmiatające wszystko, co było chwila i doczesnością: w dwojgu ludziach naradzała się metafizyczna głębia pewności, że byli jeszcze przed dniem Genezyjskim świata.

W dwojgu? nie.

Odziany paprociami, wsparty o harfę królewicz z bajki stał w półmroku sali —

on, który wczorajszego wieczoru przed lodowcami myślał o samobójstwie —

teraz rozwarł naraz Bramę Metafizycznego Ziszczoniego szczęścia:

uczul Prometeiczną wolę wydzwignienia tragicznej, lecz nieśmiertelnej iskry z tego chaosu, w który go zaplątało życie.

Dotąd Arjaman był niewolnikiem — krucyfiksu: olbrzymią swą wolę życia poddał wewnętrznemu nakazowi wyrzeczenia się.

Pragnął, jak nikt — miłości i bohaterskiego czynu, lecz uciekał przed miłością, a bohaterski czyn zapalał w takich pustyniach, że z tego istotnie — jeśli nie Bogu, to ludziom był śmiech.

Teraz on zstąpił ze swych lodowców —

i tu był wśród sali, gdzie tysiąc ludzi zamkniętych

w labiryncie muzyki, rzuconych na wszechwładztwo Minotaura Żądry, wyciągało ręce do zjawienia owej chwili, która jest u poczytnych romansopisarzy wszytkiem!!

Królewicz w paprociach patrzył w mrok —

i nagle odwróciły się oczy, wspaniałe morskie oczy kobiety przedziwnej, zaczęły się wświecać w jego serce.

— — — — —

Kronikarz piekielny, który te dokumenty ludzkich dusz przegląda i notuje, nie może powstrzymać zgrzytliwej złości przed nielogicznością umysłu mistyka, który projekcją metafizycznego lśnienia we własnych myślach rozkoszuje się, jako zjawieniem kometo-kobiety.

Zanotujmy: nigdy miłość nie bywa wzajemna; nigdy nie spotykają się ci, którzy istotnie mogą potęgować w sobie wzajem pęd ku piekielności, czyli uwspaniałić wolę Życia; miłość jest zjawiskiem, mającym początek i rozwój w każdej istocie oddzielnie. Innej płci istota wchodzi w krąg bengalskiego ognia i oto jest: zjawiona!

Dama, która wpatrywała się w naszego marzyciela, nie była ani lepszą, ani gorszą od innych sióstr swych. Na razie, zapomniawszy o sprawach życiowych i praktycznych, wpatrywała się w oczy namiętne, szalejące, tragiczne tego bądź co bądź przystojnego mężczyzny, który w mroku, otuloną mając głowę paprociami, z dyskretnym połyskiem harfy — był interesujący, jak aktor w fantastycznej komedji.

Lecz proszę wytłomaczyć, dlaczego ten — zresztą logicznie rozumujący przy lodowcach człowiek (patrz „Wieczne Pustynie“), melancholik i pesymista, uginający wszelkie kanony wiary i miłości, teraz nagle staje się jakimś różokrzyżowcem z XIII wieku, wierzy w magię i w spotkanie dusz nad głębiami, twierdzi, iż był kiedyś Gienezyski dzień i oni tam byli!! gotów przysiąc,

iż to Ona — właśnie ta Jedyna, Wieczna — przemawia przez te oczy panny z dobrego towarzystwa, która pysznie zgrała się w lawn-tenis i stąd czuje mocno bijące pulsa w swym splecie słonecznym.

Trzeba poprostu być analfabetą nauki zdrowego rozumowania! analfabetą, panie Arjamanie, i w tym znaczeniu iście Ramą i Waligórą, poprostu wirchem Durynym! Może ochłodzi cię prosty przebieg dalszych faktów?

Wszedł wytworny dzentlmen o twarzy nieruchomej nowoczesnego *Arbitra elegantiarum*, z dodatkiem wyrazu takiego pana, który dokonał *Umwertung aller Werthe* z powodzeniem, t. j. uzyskawszy dla siebie abstrakcję w postaci $X + \lambda$ milionów, złożonych w banku.

Nietscheanista z piorunem na czole, z kędziórami lwa na barach, ze szpilką w krawacie pięć tysięcy lat mającego rubinowego posążka bogini Amentii!

Tymczasem muzyka wiodła domniemanych kochanków na tortury szczęścia. Mówiliśmy już, że Zolima spojrzała w oczy królewiczowi — władcy mistycznych bredów — ze zdumieniem: ujrzała paprocie nad jego głową i wzrok nad miarę dumny, jakby się nie dopraszał, lecz dopominał — o to, co świat rzucił w kąt jaskini między śmiecie, jak Mag rzucił tam zbrodniczą maskę —

o to, co było jego kapłaństwem i religją jeszcze niewypowiedzianą —

o Miłość!

Nieznajoma, kiedy błysnęły elektryczne światła, ujrzała dokładnie zaiste dziwaczny, choć piękny strój; kiedy uświadomiła sobie ten wzrok, który był sonatą z płomieni luciferowych — kiedy wreszcie ujrzała harfę, zrozumiała naraz wszystko:

to liryk tych uczuć i dla tych ludzi niedowarzonych, którzy traktują życie, jako Otehłań.

Z uśmiechem odwróciwszy się, pomyślała, że są przecież liryce, logicznie myślący o kobiecie, miłe erotopsychjany, a zresztą niech devil weźmie wszystkich

liryków, psychomistyków, filozofów! Miłość — czemu nie ma być ona w doskonale leżącym kostjumie, z rentą fabrykanta dział lub inżynjera rosyjskich kolei państwowych, z orderami ministra austriackiego, z willą prefekta prowincji we Francji i godnością lorda ekonomisty, poprawiającego byt robotników w Manchester? — Nawet nasz polski doktor prowincjonalny, lecz mający tężyznę woli, energię czynu, czekający tylko momentu, aby wyjść na światło dzienne i wraz z partją, rządzącą w kraju, wypłynąć, jako poseł, potem premier, potem — epuzer milionowej panny — no, wystarczy. Wtedy panna Zolima widziałaby też jasno swój cel:

agituje, pisze, żyje w wielkiej i ożywionej sferze stosunków, traktuje miłość *en passant* przed snem w ładniutkiej sypialni, czasem nawet do kuchni wbiegnie i coś ugotuje z książki angielskiej — pudding! lub coś niezwykłego —

będzie miała olbrzymiego psa, koniecznie z rasy molosów, będzie jeździła konno w kostjumie modnym wśród lasku Bulońskiego, a choćby w Alei Ujazdowskiej; słowem — będzie żyła, jako *lady moderne*.

I będzie mogła nie dbać o męża; mąż musi całemi miesiącami oddalać się od niej, zajęty bussiness'em, ona będzie mu wierna, bawiąc się z miłemi, wykształconemi pannami lub pracując w bibliotekach i laboratorjach z tęgogłowemi docentami i profesorami; słowem, będzie brała życie *par force*, polując na lisa t. j. na przyjemność, a goniąc śladem pokrajanych i rozrzuconych papierków przez rowy i płoty, przez żyta i mokradelko, aż pierś rozszerzy się w tęgą amerykańsko-polską *lacto-fermę* wzorowej matki! —

Być poważną, lecz nigdy tragiczną, być mądrą — nigdy delficką, być wesołą — nigdy wniebowziętą!... *last not least*, kobietą być wyzwoloną — uczucia swe i myśli przesiać przez dokładne sito badań o małżeństwie Morgana, Spencera, Forela, poznawszy dziedziczność, psychjatrię sądową, prawo kanoniczne, żyjąc wreszcie dużo

z ludźmi, którzy jedni są hermafrodytami, inni urgensami, inni używają normalnie swych żon.

Wieszcza Mara przy lodowcach opowiadała Arjamanowi o grobowcu Julji w Weronie. Poszła na cmentarz, pełen cyprysów, eukalyptusów, pińji żałobnych, platanów i złocistych akacji.

Ujrzała sarkofag tej panny Kapulet — w rodzaju wyżłobionego kamiennego koryta — tam Anglicy nawrzucaли biletów wizytowych; daremnie kwiaty i drzewa starały się ukryć tę ohydę swemi wędnącemi liśćmi. Była to jesień. Z poza chmur błysnęło zachodzące słońce. Rozogniły się chmury i zakwitły dziwnym życiem; grobowiec zarumienił się krwią rozkoszy; blask nadawał niespodzianych głębin cmentarnym cyprysom. Na jedną chwilę Romeo wychylił się z mroku — wtym słońce zgasło, chmury spopielaly, zrobiło się gorzko i zimno, w mrok wstępował młodzian na złowrogim tle w kurcie łosiowej, niby w zbroi, opięty pasem ze stalową klamrą, silny a melancholijny, o twarzy Druida, jak to widziała na małym obrazeczku Al. Gierymskiego.

Znękanie romantyczne nie trwało długo na twarzy panny Nieznajomej. Teraz ona wpatrywała się w dżentlmena Mangra, jakby on był sąsiadem landlordem, którego zdawna była ciekawą poznać.

Muzyka wzbiła się płomieniem ofiarnym aż po niebo.

Dżentlmen, spojrzawszy w Zolimę, przechylił się i parę słów wyszeptał, Arjaman usłyszał tylko: „Oksford — — Pani pomni na statku na Twent w Szkocji“ — —

poczym ręce ich dotknęły się swemi pierścieniami — Zolima była blada, jakby jej się robiło słabo — dżentlmen znów się nachylił, ona skinęła głową, powstali —

i wśród oburzonej sali, której przerwano słuchanie, szli —

on ze spokojem prawdziwego globtrottera, ona, jak Feniks, lecący w krwawą czelusć, gnany dantejskim wichrem nad otchłaniami.

To ostatnie „jak“ należy się oczywiście poetycznej wyobraźni królewicza, który przyslonił twarz, przypadł nią do kolan swych i patrzył, jakby tam u stóp jego rozwarły się głębie nieznane niesłychanego bólu.

Tu pewien autor niedysponowanej miłości mógłby słuszenie wyrazić swój aforyzm: tylko dla niedołęgi kobieta może być demoniczna. Wprawdzie autor ten jest dość nieznacznym demonem wobec magnifiki, lecz aforyzm jego zachowuje niewątpliwą słuszość wobec publiczności kurjerkowej i pięknych dam z warszawskich raucików.

Arjaman powinien był iść do krawca, zamówić doskonale leżący tużurek, złożyć wizytę tym swoim znajomym, u których bywała panna Zolima, nareszcie prosić ją o pozwolenie bywania w domu jej rodziciela, poczym, w razie, jeśli by panna była wzajemną — z żoną Zolimą zamieszkać choćby w Wenecji i odbijać laury panu Pumpernicklowi, który rozbija się w czerwonym fraku, ze sforą 17 sybirskich chartów i rzuca pieniędzmi Comtessy X, której jest przyjacielem. Ten utalentowany fryzjer ma się za brata Dantego, i zaiste wkrótce to mu potwierdzi swą nagrodą Nobel. Arjaman mógłby pokusić się iść drogą taką w życiu, zostać głośnym literatem, bo zapewne te wszystkie jego fantazje wśród lodowców, samotne wystarczanie sobie znamionują człowieka talentu. Tylko należy, jak M. Barrès, spojrzeć na kobietę, jako na Petite Secousse, zaczym spieniężyć się, umieć siebie wystawić na witrynie świata. Wtedy może Zolima...

W malignie rozpaczy wyszedł przy kończonej sonacie, nie widząc dokoła siebie nic — huczał w nim potężny, straszliwy Atlantyk miłości, w którym, jak dwa obłędne Malsztremy, świeciły jej oczy.

W mroku usłyszał odjeżdżającą karete, tupot koni, od latarń piekielniały kare łby końskie, rozpierał się Murzyn na koźle.

Zapytał Arjaman odźwiernego, który skrzywił się, ujrzawszy jego chmurną twarz i podciemniałe zamogilne oczy.

— Pojechali do zamku nad morzem pana Muzaferida.

— Kto jest ten Anglik?

— Hrabia-Baron de Mangro Rabsztyński, który przyjechał z Astralji... Wszystkie ma kopalnie, zakupuje Tatry. —

Nie słuchał już dalej Arjaman o „astralnym“ kupcu Tatr. Szedł obojętnie, milcząco wśród wielkich, nieruchomych smreków, które są wspaniałymi drzewami, choć nazywają się marnie. I dlatego Arjaman zwykł był las iglasty, ze świerków, modrzewi, jałowcowych krzów i jodeł złożony, nazywać ogólnie: jodłami.

Szedł więc wśród jodeł.

Tu my, kronikarz piekielny, musimy przyznać się, iż, jak maturzyście, który się obcina na egzaminie, przez koleżeńską uczynność zaczęliśmy podpowiadać sentencje, mogące go zbawić z opresji, prosząc, aby zachował choć krztę jeszcze przytomności umysłu.

— Jest wysoce nieprzyzwoite, aby się znęcać w swym sercu nad osobą, która nie miała żadnej racji klangorem żórawi siostrzanych odpowiadać na twą ligawkę, panie Arjamanie, pasterzu obłoków. Ten świat, od którego odsunąłeś się aż nad morze Pratatr, teraz szydzi z ciebie swym prostym kalkulem: małżeństwo zawiera się przy pomocy kopalni, wsi, kamienic, rent, dożywoci i t. d. dla Gaya scienza hotelowych rozkoszy w Monte Carlo i Nizzy, dla prowadzenia domu i robienia przyjęć w Warszawie lub w Wiedniu. Ten, kto wybrał los Mistycznego Rybaka, niech sprawi sobie jeszcze skafander i zapadnie na dno — w lasy koralowe — niech tę przechadzkę wśród feerycznego, szafirowego światła powtarza coraz krytyczniej i coraz płycej, aż przekona się, że baśniowe stwory tylko tam w głębi wydają się przedziwnymi, i gdy taki koralowy kandelabr lub rozchwieja wydobyta jest na wierzch — okaże się w ręku — brzydkie ziele, obślizgła żelatyna. Wtedy może Arjaman zrozumie, iż należy być rozsądnym! Zabawne, jeśli on to zrozumie, znajdując się już pod straszliwym ciężarem oceanu, kiedy pęknie gumowa rura — ciśnienie kilku atmosfer zacznie

miażdżyć mu oczy — czaszkę — tak, otchłań nie wypuści już, chociażby chciał wtedy zostać rozsądnym obywatelem o cztero przymiotnikowym prawie głosowania!...

Spostrzegł, iż zablądził — willa?

Ciemno, tylko przez żaluzję w jednym z okien przedziera się fala światła — obok na werandzie stoi postać wspaniale zbudowanej damy, która wyciąga ręce —

zdziwiony królewicz w paprociach zrozumiał, iż jest wreszcie na serjo wybranym i pożądanym.

Dama otworzyła balkon, królewicz wszedł. Zobaczył się, jak w „Metamorfozach“ Owidjusza, otoczonym przez Meandry, Syleny, Bachantki —

a jednocześnie sędziwy król belgijski i Cléo de Mérode, księżna Chimay i różni generałowie du petit Cri skandalu —

słowem, postacie, wyszłe z marmurów Praksytelesa, jak i z moczarnych illuzjonów dzisiejszego dnia.

Wspaniale zbudowana dama w czarnej powłóczystej szacie stała blisko, otulając go swym białym szalem.

Królewicz —

ale dlaczego komplementujemy bohatera naszego romansu tym arcyniepochlebnym tytułem?

I do tego królewiczem—Tatr? alboż mówimy tu przypowieść dla dzieci? Królem Tatr jedynym jest teraz Mangro, Arjaman niema ani jednej pędzi na własność w całej wszechświatowej ziemi.

Królewiczem — takim z ballady — jak np. może być król i królowa Wartogłowy, no — to przynajmniej znaleźliśmy określenie i należyte ujęcie wyrazu!

Wartogłowicz stał zimny i złowrogi, podszedł do wielkiego posągu Małpy i włożył w jej cztery ręce harfę swą.

Małpa była cudem amerykańskim zaiste, bo umiała czynić to, co należy z każdym przedmiotem: świece zapalała, dziecko nakarmiła, buty oczyszczała, kobietę gładziła, a na harfie — ją grać.

I w jednej chwili poruszyły się w groteskowym tańcu wszystkie marjonetki, które bawiła się fantastyczna dama.

Małpa grała matczicza — marjonetki bachantek, papięzy, królów posuwały się w nabożnym, wielkopostnym, procesjonalnym tanie. Małpa uderzyła w ton Mszy Żałobnej Palestriny — i marjonetka króla Leopolda poklepała po biodrach marjonetkę panny Cléo; Falstaff w tjarze przycisnął księżnę Dosię Drze Pościel do ostatniego muru wyznań, a polski współczesny Parsifal z miłą gracją odśpiewał arję o tonie Mickiewicza wśród zainteresowanych dekadentek.

Wtym z niezmiernej dali rozległ się ponury religijny dźwięk gonga.

Arjaman rozwarł drzwi.

Księżyc, ten sam dobry wieczny Chrystus, mówił z nim — z tym niezawsze rozumnym, niezawsze przytomnym, niezawsze dobrym Nikodemem.

Dama wybiegła na werandę, milczała — a wtym papuga w klatce nad oknem wrzasła:

— Czemu?

Wielkie, rozwarte oczy damy, łagodne, jak u pasącego się zwierzęcia, mierzyły zczerniałą i złą twarz Królewicza.

Papuga zaś darła się:

— Pan chce za dużo naraz — Pan jest niecierpliwy!

Królewicz (został już dla zabawności przy tej nazwie) usłyszał rozkręcanie mechanizmu —

z najwyższym zdziwieniem poznał, że i Dama była automatem.

Wtedy ją pogładził i rad był z czyjegoś tak wielkiego dowcipu.

Myślał, jak dobrze jest być wśród tych zdecydowanych mechanizmów — o ileż lepiej, niż mieć królestwo niepojętych nigdy aż do dna jasnowidzeń!

Dźwięk gonga rozległ się świątyniowym hymnem, harfa wypadła z rąk Małpy, zadźwięczałszy w złowrogim

kassandrycznym rozjęku. Pręga bólu przeleciała po duszy Królewicza; przykrępowany do słupa męczarni, jak umęczony przez wrogów Irokez, śmiał się przeciągle, wspaniale.

Śmiał się, widząc, że takie i tym podobne arcy-ludzkie mechanizmy przyciągną niepohamowanie tę wspaniałą naturę Pentezilei.

Dlaczego obdarzał ją ogromem poetyckiego zaufania? dlaczego aż królowa amazonek? dlaczego nie zwykle, dość naelektryzowane dziewczę, szczególnie, że pan Muzaferid zakłada elektryczną kolejkę przez Orlą Perć i Świtnicę aż pod Lodowce Zgonu?! co nam do tego? nam już zmądrzałym w uniwersytecie piekielnym?

Królewicz wciąż żyje w swej poetyckiej Walpurdze i niech mu się tam jak najniemożliwiej układają astralne esencje i dekokty.

Natura jest zręczną stręczycielką, umie naszeptywać o gwiazdach takim astrologom, którzy wpadają w studnię — na dnie czeka ich małeńki Homunculus imbecilis, w razie spełnienia snów. W razie niespełnienia — kula.

Przed królewiczem Tatry rozciągnęły się melodją światłocieniów błękitnych, czarnych, popielatych, zielonawych —

te płaty śniegu, fosforyzujące na wirchach —

Księżyc z za chmur rozsiewa złote mżenia i wszystko nasiąka listkami złocistemi, jakby wokół przecudnej Danae, na niebie aljaże chemiczne z wielu rozjarzonych metali na chmurach —

oto laboratorium dla myśli twych, samotniku!

Nie idź do tej, która cię odrzuci, nie rozumiejąc tak dokładnie, że choćby jej w 72 przekładach z komentarzami załączyć biblię twej duszy, ona, w najlepszym razie, kazałaby tę biblię ładnie oprawić i umieścić w szafce, aby jej nikt, ale to nikt nie ruszał.

Zapytana o wzajemność — zmierzylaby cię wzrokiem trochę zmieszanym, lecz uprzejmie i chłodno rzekłaby:

— Panie? ja właściwie bardzo się śpieszę — —

Śpiesz się, śpiesz, kołowrotku, kręć się w tej wodzie zatęchłej, cywilizacją nazwanej — wibruj, z tym lub tam-tym de Mangro Rabsztyńskim! —

Królewicz szedł nad morzem, nie czując, że palce pokryły się rubinowymi zagłębieniami na gwoździach harfy.

„I przyszedł jako nędzarz do ogrodu pokazać serce, które więcej warte niż to, co mu za nie dawali na świecie ci, co kupują serca na tandecie“.

Nagle czoło wsparł o drzewo i łzy padały mu, z których się śmiał -- na tę dłoń dziwnie krwawiącą.

Księżyc migotał mu w łzach i tak magnetyzował mu wyciągnięte w pustkę dłonie, że aż krew przestała z nich płynąć.

Waż przewinał po ciemnej trawie, niby płynący strumyczek z merkurjuszu.

Otoczający kosmos był zaiste wielki i groźny: lasy tajemniczyły się odwiecznymi legendami o zbójach, strachach i królu węzów wśród kamiennych, piętrzących się zwalisk tych gór, w mroku wydającymi się niematerjalną kwintescencją mroku —

po drugiej zaś stronie morze: płaczące mniej, straszne mniej, głębokie mniej, niż miłująca nieszczęsna dusza.

Królewicz szedł nad brzegiem szumiących fal.

Około północy ujrzał zamek Muzaferida. Most był zwiedziony, więc obchodził dokoła.

Na murach kładł głowę płomienną.

Wreszcie, wdrapując się na skały, z niebezpieczeństwem najwyższym, namacał jakieś zakratowane więzienne okienko. Wyszarpnął kratę, wszedł, raczej wpadł do potwornych lochów —

tam byli zgromadzeni robotnicy śpiący.

Porwali się, świecąc kagankami, nie rozumiejąc, skąd się tu wziął ten twór z instrumentem muzycznym.

ten z rozpalonemi obłędnie, fioletowo w mroku iskrzącemi oczyma skarbnik, duch kopalniany —

lecz nie badając dalej, zamknęli stracha w sąsiednim lochu, zmówiwszy razem na klęczkach pacierz za dusze, w czyścu cierpiące.

Zapadło wszystko w ciszę mroczną.

Królewicz tylko spoglądał na rosienie gwiazd przez wązki otwór okienny —

potym wszedł dalej w kurytarze, natrafił drzwi, podparł je ramieniem, wyleciały żelaziwa.

Wyszedł na taras zamku.

Wieże olbrzymie mroczniały aż gdzieś wśród chmur. Tam z wieży najwyższej żałobny głos — wśród mroków tych wielkich ścian bił się, jakby śpiew obłąkanego mu-ezzina —

straszny, beznadziejny głos modlitwy do nieba, którego już zdawna w Polsce niema. — I zaiste, był to mu-ezzin w tym pałacu Muzaferida, lecz dla niewiedzącego był głosem jego własnej jaźni.

Królewicz uczył ból serca tak straszny, że wychwycił wielki swój nóż do walki z morskimi potworami i groźnie zatoczył nad piersią swą —

jedna chwila, a byłby go wbił aż po rękojeść w serce.

Lecz oto naraz wiekowy mrok, jak skrzydła olbrzymie, przypiął się mu do piersi. Nie swój ból uczył — lecz miłość kosmiczną. Oparszy harfę o bastjon, grał wśród murów mrocznych, zapominając, w jakich żyje czasach, grał, jakby Księżę Niezlomny, więzień w murytańskich mazamorach, utracił wiarę w swą religję, i przeżywszy to, zapadał w potworniejsze, coraz głębsze piekła.

PIEŚŃ TRYUMFUJĄCEJ MIŁOŚCI.

I tyle jedno pozostało mi szczęścia na tym bezgranicznym świecie, że mi dano czasem rozmawiać z gwiazdami.

Ja więzień — od całej wieczności lat przykuty do ściany, zmuszony obracać żarna pod biczem, krwawiącym moje krzyże —

ja więzień — lichszy od pajaków, które wybiegać mogą na słońce, kiedy zapragną, a kiedy zapragną — chowają się w szczelinę ciemną —

od stęchlizny lochów — przegniły; od wyziewu kości niepogrzebanych — zatruty;

ślepiec — nigdy słońca nie widzący; skąpą jałmużną księżycowych promieni, jak upiór, karmiony;

ja, najnędzniejszy z rabów — miałem też swoje królewskie, niebotyczne szczęście!

Jest chwila późnego wieczora, gdy wypędzają nas szeregami na podwórze, otoczone murem skał i zębatych wieżyc.

I tu, dzwoniąc kajdanami, błakamy się, niby cienie — a żaden w oczy towarzyszowi spojrzeć nie śmie, aby nie ujrzał własnego odbicia.

Nędzni, którzy spoglądają w niebiosy, jakby proszą przeznaczenia o litość — ale my, słysząc potym ich łkania nocne i jęki, przekonywamy się, że matką najokrutniejszych tortur jest nadzieja.

Starzy więźniowie kładą się na piasku i bawią się nim, jako dzieci drobne. Przesypując ziarenka, niejednemu zda się, że zaszumiało morze — które niegdyś kołysało jego dumne okręty, a które dzieli go teraz bezmiarem słonych wód od wszystkiego, czym dusza jego żyła — i z twarzą pokurczoną wsuwa się w ciemny kąt.

Jam był zawsze samotny i uragałem boleściom.

Raz — gdy cienie bastjonów były czarniejsze od skrzydeł kruczych — leżałem w pomroce i zapuszczałem sieci swoich szalonych marzeń w ciche odmęty niebiosów, wśród wieczności gwiazd przepływając, zapomniałem, że jakakolwiekbyż ziemia istnieje — i oto usłyszałem dopiero trąbkę trzeciej zmiany strażnicy. Ocknąwszy się,

ujrzałem podwórze puste, a wrota kazamatów żelaznemi ryglami zasunione.

Próbowałem odciągnąć zawory — wiedząc, jak okrutnie karzą opóźnionych — napróżno.

I uspokoiłem się nagle spokojem konieczności i, przechadzając się, spoglądałem na gwiazdy, swobodnie toczące się w bezkresnych przestworach: Orjon zawieszony był właśnie na szczycie wieżycy — Aldebaran ostatnie promienie słał mi z za blanku — a siedem gwiazd królowej Bereniki prosto nad moją głową świeciło — siedem gwiazd koronowało moje czoło niewolnika.

W północnym zakęcie podwórca skała pionowa odgrażała się olbrzymią maczugą niebiosom.

Nie było podobieństwa wdrzeć się na nią ludziom — ale ja po zrębach wąziutkich piałem się coraz wyżej, aż nagle uderzył głową o wykrot...

Kres tu mojej wędrówki ku gwiazdom!..

Z rozpaczą przycisnąłem się do zimnej skały, jakby próbując rozeprzeć ją swoją tęsknotą —
a w tym stała się rzecz boska.

Srebrzysta melodia rozperliła się — niby słowiki w noc majową — z tajemniczych oddali płynie gondola cudownej, brylantowej pieśni.

O gwiazdy — jedyne powiernice mojej duszy — nigdy potężniej huragan miłości nie uderzył w pierś niewolnika!

Wyciągnąłem ręce — i, chwyciwszy jakąś wizję oparcia, rozkołysałem ciało swoje i, kręgiem je zatoczywszy — przerzuciłem w górę; czepiając się, biegłem po skalistych zrębach, jak łasica, aż na szczyt.

Rozkoszy bezgraniczna!

W różowych blaskach wschodzącego księżyca rozciągnęły się fiolety kamienistej pustyni — śnieżne wiercholki gór, niby śniące lilje — a w dole głęboko u stóp moich — maurytański ogród;

w pozłotach migocą czarne koronki cyprysów — eukalyptusy, niby ogromne srebrne anioły — palmy,

kraszące się bukietami strusich piór — kaktusy, jako węże zasluchane we fletnią, naprężone i groźne. Alkazar purpurowieje przepychem rodyjskich marmurów, na tarasie w złote arabeski rzeźbionym — stoi ona —

Wyciągnęła ręce na spotkanie —

Oczy nasze stopiły się w jedno słońce upojenia —
a z palców jej wybiegła skrzydlata,
wiekuista — święta — niewysłowiona — pieśń tryumfującej miłości.

Pani moja! dzieciątko moje! królewno!

O jakże słodkie są łzy szczęścia — o jakże serce boli od rozkoszy!

Niema przepaści tak głębokich, aby nas rozdzieliły, niema łańcuchów, którychby nie zerwał.

Przylecę do ciebie, serce moje — z tęsknoty uplotę skrzydła Cherubinów, talizmanem siedmiu gwiazd rozświecę bezdenne mroki mego losu i odnajdę cię, serce moje...

Ponad szczyty gór najwyższych wzlecimy i stamtąd pokażę ci królestwa świata — i zważymy je — a poznawszy, że są, jako popiół, marne — odlecimy do rodzinnej ziemi gwiazd.

Ja — Ty — i dusza nasza — Trójca nierozdzielna — nieskończony rozpęd miłości, świetlającej się ponad chaosem niebytu — Adonai!...

Z bezmierną miłością, trzymając ją w objęciach, leciałem, jak Demon, ponad wszechświatami —

jak Demon, którego niegdyś jedna kropla bólu mogła roztopić żelazo — a spojrzenie rezygnacji, rzucone w niebiosy, zatruwało je na wieki świętym wybrańcom i aniołom —

teraz — roztopiony w szczęściu, jako obłok w zorzy porannej, cichy — jako sen kwiatów lub muzyka gwiazd, radosny — jako zwiastowanie słońca w noc polarną, płynąłem w krainy marzeń, jakich niema na ziemi —

i tworzyłem światy wizji, jakich nie było nigdy w raju.

Bądźże ty mi błogosławiona, każdą łzą moją przemieniona w tęczę. o Sawitri, królowno moja, dzieciątko moje!...

Srebrna mogiła księżycy podniosła się do zenitu — cienie drzew skurczyły się i do pniów przypadły — lekki wiaterek morski musnął świeżym aromatem wierzchołki jodeł, jakby szepcąc, że słońce nadchodzi — i ona jakby się ocknęła —

skinęła harfą, abym odszedł; gdym się wzbraniał, ręce do piersi przycisnęła — prosząc!

Spojrzałem raz jeszcze w jej oczy — i jak cichy niewolnik zesunąłem się po głazach.

Ona milcząc patrzyła w miejsce, gdzie zniknął, i tylko palce jej, drżące na strunach, ślały mi pocałunki rozstania.

Trąbka się rozległa strażnika; pomknąłem na dół, ale gdym stanął na ziemi — przebił mnie ostry gwóźdź zwątpienia: może to sen kłamliwe mirażę przesunął mi przed oczyma?

może to nikczemne halucynacje więźnia: ogrody pachnące — pustynie bezkresne — i oczy — oczy jej utkane z poematu aniołów!

Szarpnąwszy się, jak lew znienacka grotem przeżyty, wdrapałem się na skałę, aby sprawdzić, że nie mgławicą był mój raj. Lecz w przeskoku między głazami brakło mi sił — i runąłem.

A gdy mnie podniesiono — po raz pierwszy ujrzałem w śniadych twarzach dozorców jakoby połysk litości.

W tejże chwili rzucono do ciemnicy i mnie szaleńca przykuto łańcuchem do ścian.

Ileż to otehlani czasu zapadło, a ja wciąż wiszę nad bezdenną próżnią. Ptaki migotliwą wstęgą latają w przestworzach, jaszczurki błękitne zwinnie pełzają po ogrzanych kamieniach, muszki z opalowymi skrzydełkami brzę-

czą rozradowane życiem, motyle piją nektar z kwiatów, ryby w kryształowych strumieniach pływają, drzewa jabłoni, osypane białym i różowym kwieciami, kąpią się w słonecznym wniebowzięciu —

a ja z pianą, ciekącą po wargach, krwawymi oczyma widzę w dali to moje zapadające w nicość — szczęście. I oto — ach, to ty, ukochana? — o jakże mi dobrze z tobą!

Trzykroć tyła łańcuchów niech mi piersi skrępują — w trzykroć głębsze czeluście podziemne niechaj mnie zakopią —

spieczono wargi moje niechaj nigdy nie zaznają ochłody —

zapadłe od bezsenności powieki niechaj mi się wrosną w czoło, byleś ty — pozostała przy mnie.

Spojrzenie twoje rozkwieca wiosnę na stepach bezdżystych; morze pieszczotą otula posępny labirynt skał — a nieskończone, w wieczność zapadające niebiosy, ogarnąć nie mogą mego szczęścia...

Dygot przeleciał — niby drobniutki zimny wiatr, marszczący jezioro; szare tumany płachtą wionęły na rozwarłe oczy serca — i dwa żółte ślepia bazyliuszka urągają mi ze dna tej zachłannej szarości i pustki.

Ciało moje, przepalone ogniem wewnętrznym, schnie i czernieje, jako gałąź jodłowa, zawieszona w kominie.

Skonać mi, skonać — prędzej! Śmierć nabiera dla mnie uroku słodkiej twarzy.

Myśli się płaczą, zimno, wiejące od podłogi, przenika nawskroś — gorączka spopiela me usta...

Najmilsza moja — nie opuszczaj mię: ty nie wiesz, jakie mistyczne pokłady miłości leżą we mnie — jakie dżamenty, chryzoprasy, turmaliny i szafiry — jakie oceany, szemrzące pieśnią —

Chodź do mnie!

Nie porzucaj.

Byłbym, jako niemowlę tonące, jako żebrak, obielony trądem od stóp do czaszki, zbierający od psów jałmużnę dla bólów swoich —

Ukochanie moje — gwiazdy moje...

I znowu — i znowu wyrasta błyskawica z mojej piersi; zawierucha ścierających się chmur skłębia moje serce, zimnym gradem kłanane; zielone ognie łyskają po wszystkich dolinach mojego jestestwa; góry w posadach swoich drżą...

Uspokoilo się nagle — i cisza, cisza, cisza!

Po złoto-jedwabnym piasku dna morskiego biegnę to tu — to owdzie; grzywy pieniacego się oceanu wzlatują aż na kamienną ścianę gór...

Koralowe gaje, niby skamieniały pożar szkarłatu; tęczowe konchy, niby dywan bajeczny; zielone aksamitne liście pną się po wszystkich szczelinach; w drobnych, przeźroczystych jeziorkach mrowią koniki morskie, anemony i meduzy...

Rrrum...

Falą wzdęła się ziemia — zniknęły góry w śnieżnej powłoce piany; drzewa koralów, niby gaje mimozy, skurczyły się w okropnej bojaźni;

straszliwe piekielne morze, przeleciawszy zaporę, zalewa cały świat.

Jak łania, pędzę do brzegu...

Zakłębiłem się w pianie ryczącej i, jako szczenię ręką olbrzyma wyrzucone, lecę gdzieś w okropną wysokość, a potem spadam — gdzieś w wirującą otchłań.

Kłęby piasku wżarły się w moje oczy, piersią uderzyłem o ziemię...

Obrus piany śnieżnej rozlał się po gładkiej powierzchni morza, zrywam się, biegnę wzdłuż brzegu — ściana prostopadła bez wyjścia. Morze z okropną szybkością napływa —

czemuż tyle męczarni, aby mnie zabić? smok, lecący do nieba, się wznosi — białą paszczą nachyla się modra Śmierć i za chwilę runie —

W okropnym przerażeniu obudzam się — księżycowy promień srebrzy okienko mojej pieczary.

Duchu mój — czemuś mnie opuścił!

Serce mi bić ustało — a palce u rąk moich drgają kurczowo...

Jestem więc w murach bez wyjścia.

Śmierci — królowo niebieska —
ratuj mnie!

Śmierci — zwiastunko miłosierdzia —
wspomóż mnie!

Śmierci — lekarko nieuleczalnych —
uzdrów mnie!

Śmierci — tęsknoto żyjących —
porwij mnie!

Śmierci — furto niebieska —
wypuść mnie!

Śmierci — gwiazdo zaranna —
zabij mnie!

Takie gorzkie łzy płyną po mej twarzy, takie słone i palące!! czemuż ujrzałem cię ku niedoli mojej — teraz rozbiłbym sobie czoło o twarde kamienie i spocząłbym.

Ale mi tęskno, tęskno — zwodnicza nadzieja szepce mi — że cię ujrzę raz jeszcze, i każe znosić te wszystkie tortury —

Boś mi droższa nad wszystko, co dusza ukochać może: — cały wszechświat z jego bezlicznymi gwiazdami oddałbym, jako dziecinną zabawkę za jedno twoje dotknięcie; za kędzior włosów, które mi pachną; za tętno serca twego, które słyszę w ciszy nocnej.

Ale niema cię, niema i łzy żłobią grób w moim sercu —

Niema cię, niema!

Jak Demon w klatce pazurami rozkrwawiam pierś — z straszną wściekłością biję w nią pięściami i rwę się na łańcuchu to tu, to tam, to tu, to tam! Wydarłbym wnętrzości wszystkiego, co żyje — krew piłbym, mózgi bym rozmiądział...

Kręgi coraz szybsze dokoła jakiegoś nienawistnego bieguna — już tehu mi brak, czarne opary wirują zygzakiem, noc...

Morze — znowu morze: czuję pluskające jego zimne wody, niechaj mnie zatopi śpiącego.

Ktoś brutalnie szarpnął mnie za ramię. Murzyn dozorca, śmiejąc się, oblewa mnie dzbanem wody — idź precz, czarny psie!

Błysnął białkami, i jego podła twarz skurczyła się w złości, jak u buldoga, ale się lękał nademną naigrawać — cisnął mi w twarz sucharem i wyleciał.

Po chwili znowu usłyszałem uchylające się żelazne drzwi — wszedł oficer z dwoma żołnierzami.

Tortury! błysnęła mi obojętna myśl.

Ale on, milcząc, rzucił mi z tacy, którą nieśli żołnierze, nieco pomarańczy, fig i granatów, oraz jeden pieńżek srebrny.

Zapach rozkoszny zapełnił pieczarę i uśmiechnąłem się do owoców, z których promieniowało słońce — i świeże powiewy królewskich sadów.

Uśmiechnął się i oficer.

— Wiedz — rabie: dzisiaj księżniczki Fenixany ślub! Kłamiesz! ryknąłem.

Zdumiał się oficer, a jeden z żołnierzy pokazał na moje czoło.

I wyszli śpiesznie.

Siedzę skurczony, patrząc na fioletowe granaty i złote naranchy — jeden po drugim owoce poczynam rozrywać, krew ich, sącząca się po mych rękach, sprawia mi szalony ból, rozrywam je w strzępy.

Cichy i zamyślony siedzę nad zbłoconym darem słońca.

Światło wieczornego nieba słodką smugą zagląda przez kraty —

Porwałem się.

Trzasnęły kajdany, skokiem pantery rzuciłem się w górę, chwyciłem za kratę — i wydarłem.

Przez czarny otwór prześlizgnąłem się błyskawicą: podemną przepaść, wierzchołki drzew — runąłem.

Powietrze świszcze; księżyc prosto w oczy; czarna gęstwina podemną; uderzyłem o gałęzie, staczam się i już —

Leżę bezwładny — wokół gwiazdziste niebo, czarne koronkowe zarośla. Oczy przymykam — i mdleję. Pięknie tu bardzo. W powietrzu odurzający zapach szafrau, migdałów i róż: tak pewno pachną włosy oblubienic.

Ale co mi?

Szemerzą perliste fontanny, jako śmiech szczęśliwy; białe lilje wynurzają się ku szczęściu...

Wśród pełzających ljan i smukłych terebintów przemykam niepostrzeżony.

Kaskady chińskich lampjonów, a na trójnogach brylantowe płomienie ambry — muszę się ukryć w cień baobabu.

Nie widzę jej twarzy zakwefionej, ale wiem, że to ona być musi.

Nie mogę dosłyszeć ich cichej rozmowy. Ale ją rozumiem.

Mówią o sokołach, sprowadzanych z Persji, które w lot zabijają białe puszyste czaple — mówią o nowej prowincji, zdobytej przez księcia, i bogatym łupie niewolników i niewolnic — mówią o pałacu z kości słoniowej i lapislazuli, jaki się buduje dla nowożeńców...

Zachwycająco umie opowiadać książę o rycerskich czynach! malowniczo rozwiesza swoją miłość, niby kaszemirski szal, wyprzedzony cudną robotą tysiąca niewolnic, oslepiłych przy misternej tkaninie!

Nogi moje obrzękły, pierś zapadła się, ręce obwisły bezwładnie — i tylko w oczach żarzy się moc: wulkany. Ona mimowoli odwróciła się w moją stronę, krzyknęła strasznie.

Porwali się rycerze, obskoczyli mnie dokoła i bezwładnego przyciągnęli do jaspisowych schodów.

— To nie tygrys — to żebrak!

Widać, mnie poznała — bo z dziwnym uśmiechem spogląda na moje łachmany — ruchem ręki każe dworakom uwolnić mnie.

Boję się swego wzroku — wbijam go w ziemię, wzrok potrafi zabijać. —

„—Przyszedłeś posłuchać pieśni weselnej — niechaj ci się stanie zadość!“

I podjawszy harfę z alabastrowej kolumny, musnęła ją ręką.

Ach! świętokradcza pieśń — pieśń zbeszczeszczonej miłości!

Spotkały się nasze wejrzenia i harfa z brzękiem upadła na marmury.

— Związać mu oczy! — Zarzucono mi ciężką materję na głowę — ona grała czarodziejską pieśń, gwiazdami przytękała.

Zagrażony w mroku jakiejś głębokiej cysterny, słucham melodji srebrzystych kropel, które mi spadają wciąż na jedno miejsce mego mózgu —

naprzód, jako płatki róż więdących (nigdy, nigdy...) — potem — jako srebrzyste pieniążki; potem jako ciężkie gwoździe, któremi nabijają tarcze (nigdy! nigdy!...).

I wciąż rośnie ich moc, gradem siekają mnie —

i deszczem kamiennym druzgocą mnie nawskroś... myśli me stają się, jako pale, wbijane żelaznemi babami.

Mruk wydobywa się z moich piersi — obłąkany ból jakoby serca, zrąbywanego na wióry...

W lilowej szacie, płomienistemi różami haftowanej, pukle jej włosów rozplynęły się, jako promienie słońca na niebie...

W oczach jej spieniły się groza i gniew, a potem oto — lzy ciche spłynęły po jej twarzy.

Podeszła ku mnie i zarzuciła mi ręce na szyję — przypadła do moich piersi — i poczułem, że moją jest.

Nagły cios rozkrwawił mi czoło —

Ukochana moja...

Tysiące komet ściga się wzajem — miazdzą, girlandy iskier sypią... i gasną.

Cicho....

Świata nie było i niema — tylko grzęzawisko, w które zapadam; ogniki fosforyczne tańczą nad gnijącą duszą...

Jak cicho...

Wynieśli mnie na pustynię, jako lwa zdychającego — dobrze mi tu — o! —

Te gwiazdy — siedem gwiazd królewskich, które mnie wzbijały ponad wszystkie szczyty mego więzienia — znowu nad głową moją świecą.

Kto wie? Może już od wieków zamarły — i tylko upiory ich światła błądzą po pustyniach, kształtem złamanego krzyża urągające...

Gwiazdy!

na waszych złotych ćwiekach krzyżujecie najbiedniejsze ze stworzeń:

bo już niema nic biedniejszego nad Pana wszechświatów — Syna bożego,

który kona — na krzyżu — gwiazd.

— — — — —
Jak cicho...

Królewicz leżał z dosłownie pękającym sercem.

Nie był to już on, nie była to już jego indywidualna miłość, lecz niezgłębiony Ocean miłości.

Wśród gór Gehenny przechodził Anioł, łamiąc ręce i krwawiąc na głazach swe lazuruwe czoło.

Wicher świata huczał w tym człowieku z siłą gienyjską, jak pierwszego dnia, gdy tworzył Bóg wielkie światło ze swojego serca.

Na majolikach otwartego balkonu ujrzeć można było dwie kobiety i hrabiego de Mangra, którzy nie słuchali pieśni tryumfującej miłości, gdyż przyjemnie bawili się własną rozmową wśród łkających głębin morza.

Jedna z nich klęczała —

włosy jej czarne, jak zgęstniała posoka krwi, staczały się aż na ziemię.

Czy odbłask bólu zaciężył jej Syzyfowym kamieniem, który staczał się z gór Przeznaczenia?

O nie, ze śmiechu aż ukłękła...

Znajoma jej Duta, która, mieszkając w Petersburgu, na drugiej stronie ulicy umiała wyczuwać, który pan ma 15 tysięcy rubli rocznego dochodu, opowiadała tak pyszne kawały z życia nadnewskiej stolicy!

Pieśń tryumfującej miłości — gdyby ją wyśpiewał Battistini na mistycznym wieczorze? A! panna Doda możeby na chwilę przybrała wyraz poważny — wyglądając tak, jak wogóle panny wyglądają dla mężczyzn, kiedy wiedzą, że na nie się patrzy. Pieśń wzięłaby do siebie. I zaiste, jest nad miarę obojętne, czy dla tej blondyny, czy dla tamtej brunety grał królewicz!!

Miłość jest sama w sobie, Ding an sich.

Dla niej człowiek staje się Księciem Golgoty. Krzyż Arjamana, jak na obrazie Previtaliego, wznosi się wśród najjeudowniejszej mrocznej zieleni lasu.

Przy tej opiewanej zostanie zaś trwały rezultat — zadowolenie.

Zachowa ona na pamiątkę taką pieśń, jako dobrą literaturę. Będzie miała ją na dnie jednego ze swych kufrów. Którego? doprawdy nie będzie w stanie przypomnieć. Tyle wchłania ekonomji politycznej, statystyki o lupanarach i nieprawych dzieciach w Monachjum, o cłach na drożdże i wywarach piwa! Ona weźmie też swą miłość, lecz jako Danae — w deszczu złota. Kiedy w niej obudzi się instynkt, będzie kochała pierwszego, który ją zapłodni i uczyni matką. Potym? W wazonie życia kwiat, zerwany ręką niekochaną, cóż że zatęskni i zwiędnie?

Zolima kiedyś będzie takim kwiatem.

Kościotrup, ubrany w ciało, — kiedy się z niego rozbierze i weźmie w swe wyschłe kości rąk gorejące niezużyte swe serce —

położy je przed sobą na stosie trumnianych zgnilizn —

i oburącz ujawszy swą czaszkę, zacznie się wpatrywać —

w to Serce —

któż powie wtedy, że nie przychodzi wielka sprawiedliwość?

Łachmany, łachmany okrywają to wszystko, co ma jeszcze jakąkolwiek wartość w życiowej grotesce! —

— — — — —
Po morzu płynęła barka, a w niej stał Mag Litwor, obleczony światłem, i przyzywał królewicza znakiem nad morze.

Barka leciała z największym pędem, bez żagla, nawet wiosł nie było przy niej, nic nie zdradzało też elektrycznego aparatu. Królewicz przysłonił oczy, wglądając się. Rozbrzmiał śpiewny jęk muezzina. Zaczynał rozumieć Arjaman. Zeszedł ku morzu. Kiedy odpłynęli, ozwał się Mag Litwor:

— Djament, jak wszystkie krystaloidy, oparte na kwasie węglowym, nie jest ograniczony równiami, lecz wygiętymi płaszczyznami. W tych wygiętych płaszczyznach świat staje się niebem i Gehenną. Lecz od zbyt wielkiego żaru djament może się zmienić w zwykły kominowy czad. Nie należy wierzyć automatom! —

— Muezzin zbyt przeraża — rzekł w zamyśleniu Królewicz. — Kto mógł aż tam — do Kasyna zabaw donieść jego głos? Brzmiał, jak duch Baskerwillów, na tym bagnisku.

— Jest to głos, który my dwaj słyszeliśmy: mówił tylko do tych, co mają w sobie świątynię! —

— — — — —
Morze dokoła nich było zaiste niezmierzone!

(Ciąg dalszy nastąpi.)



JAN KLECZYŃSKI.

Rzeźba współczesna.

I.

Witkiewicz w swojej wspaniałej pracy o Juljuszu Kossaku, chcąc wykazać szalone trudności „przeprowadzenia myśli i uczuć przez glinę, drzewo lub kamień, przez dłuta, pędzle, farby, płótno lub papier, przez całą tę materialną, grubą robotę rzemiosła, przez trud i wysiłek fizyczny” — bierze za przykład rzeźbę. Mówi specjalnie o rzeźbie w drzewie, wykazuje długie, wściekle walki, jakie artysta przechodzi, opanowując materiał, i dochodzi do wniosku, że „od pierwszego uderzenia siekiery lub dłuta do ostatniego dotknięcia gładzącego papieru, posąg przeszedł przez wszystkie fazy, przez jakie przechodziła rzeźba w ciągu wielu dziesiątków wieków cywilizacyjnego rozwoju.”

W tym lapidarnym określeniu, a raczej w stwierdzeniu tego zadziwiającego faktu, wielki krytyk miał na myśli wykazanie nie tylko niesłychanych trudności rzeźby, nie tylko rzeźby w drzewie, lecz *wszelkiej* sztuki, gdyż

pisze dalej: „Jest jakaś fatalność w tej konieczności przebywania przez nowoczesnego człowieka całego łańcucha kolejnych stopni, na jakie wstępowała sztuka, w miarę zbliżania się do tego kresu, na jakim dziś się znajduje”. „Michał Anioł, czy dzisiejszy Rodin, musi przebywać wszystkie te stopnie — od zaledwie określającego się pojęcia pierwotnego człowieka, do tej wyżyny artyzmu, na jakiej sam stoi.”

Ale dlaczego wybrał specjalnie za przykład rzeźbę? Dlaczego jego wyobraźni ta właśnie, a nie inna sztuka, podsunęła obraz do wykazania tragicznych zmagani się artystycznej myśli z wykonaniem? Musi tkwić w tym obrazie coś najbardziej wyraźnego, *silnego*, przekonującego. Jeżeli chcemy komu dać charakterystyczny przykład odwagi, mówimy: odważny, jak Leonidas, jak Kozietulski, jak Czarniecki, a nie wspominamy o nazwiskach mniej *symbolicznych*. Otóż mam wrażenie, że w chwili, kiedy myśl Witkiewicza zaczęła o trudności w sztuce, twórczej jego fantazji rzeźba narzuciła się sama, jako *symbol* tych walk straszliwych, jako najbardziej typowe ich uwidocznienie. Gdyby to był umysł mniej twórczy, mniej subtelny i mniej obeznany ze sztuką, nie przywiązywałbym oczywiście wagi do tego lub innego porównania. Ale w twórczości Witkiewicza nie może być dziełem przypadku. Więc chociaż sam autor pisze, iż „to, co powiedziałem o rzeźbie, stosuje się również do malarstwa”, niezmiernie ciekawe porównanie Witkiewicza stało się dla mnie jednym jeszcze więcej dowodem, że rzeźba jest najtragiczniejszą ze sztuk.

Istotnie, jeżeli weźmiemy nawet rzeźbę w glinie, materiał obecnie powszechnie używany, jako „dający się łatwiej i prędszej zamienić w żadaną formę”, to czyż i tutaj odległość między rozpoczęciem roboty i jej końcem nie jest męcząco długą, czyż i tutaj początek pracy nie jest czymś potwornie dalekim od myśli artystycznej? Budowanie „rusztowania” i — żywy kształt — cóż za ogrom wysiłków mieści się w tych granicach! Ileż tu trosk

o moc, równowagę, o tysiące szczegółów czysto architektonicznych, zanim zacznie się właściwa twórczość! Nie babrania się w glinie, wiązania drówek i drutów! Jakże to niepodobne do wyśnionej wizji twórczej! Czyż nie da się tu również zastosować słów Witkiewicza o rzeźbie w innym materiale: „Żeby przejść to wszystko, zachowując pierwotną myśl czystą i świeżą, trzeba nadludzkiej organizacji; żeby nie zniechęcić się, nie zrozpaczeć, patrząc przez całe setki dni (przecież z rzeźbą w glinie widziałem taką długą robotę! Choćby wtedy, gdy rzeźbiarz rozrzuca niedokończone dzieło, zaczynając je odnowa, lub gdy samo się zwali wskutek jakiejś niedokładności) na coś potwornego i wierzyć, że pod tym jest ta czysta i jasna myśl pierwotna, trzeba jakiejś bajecznej niewrażliwości, obłąkanego zacieśnienia myśli, na jakie, nie wiem, czy stać było kogobądź na świecie.“

Zresztą, jak to zobaczymy, omawiając rewolucyjną twórczość Rodin'a i innych — rzeźba współczesna wskutek tego, iż jest sztuką w Europie dopiero rodzącą się — po wielowiecznej śpiączce naśladowniczej, zamęcie pojęć, nieszczerości, martwocie i anemicznej bojaźni form, — posiada całą trudność rzeczy zupełnie nowej i nieopanowanej, pełnej niespodzianych, świeżych zagadnień, związanych ściśle z życiem, otaczającym artystę.

Więc w każdym razie, *teraz* jest ze sztuk najtragiczniejszą...

Lecz musiała być taką zawsze, bo to ściśle wynika z jej właściwości. Jest — jak to już widzieliśmy — najbardziej zależną od długiego, mozolnego wykonania — najbardziej bezpośrednio związaną z ziemią — a jednocześnie zdolną do wyrażenia rzeczy najsubtelniej głębokich, niemal zupełnie abstrakcyjnych — jak te, które żyją wiecznie w Sfinksie egipskim, w posągach Buddy, w rzeźbach Grecji. Jest najtrudniejszą do opanowania, najkonkretniejszą w wyrazie, najbardziej jasną i zdecydowaną, nieznoszącą żadnych nieudomówień. Jest najbardziej syntetyczną w kształcie — stąd najzdolniejszą do ogarniania

najgłębszych, najżywszych symbolów, wprost z twórczej duszy wykwitających. Wymaga połączenia syntetycznego wszystkich sił intelektualnych i uczuciowych: najmądrzejszej i *najpraktyczniejszej* kompozycji przy jednoczesnym odczuwaniu każdego drobiazgu, przy koniecznym, nieuniknionym dążeniu do prostoty.

Realizm — w tym utartym pojęciu ślepego naśladownictwa natury — jest dla rzeźby zabójczym. Trzeba wytworzyć kształty bezwzględnie nowe. Trzeba wyjaśnić sobie stanowczo i nieodwołalnie, czego się chce od siebie, od kształtów w naturze widzianych, od tego, co już w rzeźbie zrobiono — i trzeba znaleźć swój własny styl. Rzeźba, dając kształt tak ściśle określony, tak oczywisty, niezmienny, fizycznie nawet nieśmiertelny, konieczny do opanowania we wszystkich trzech wymiarach — wymaga od artysty wytworzenia w sobie całej filozofii i własnej sztuki w sposób bardziej nieubłagany, niż każda inna sztuka. W rzeźbie z tego powodu trudniej jest o gwałcącą wszelkie przesady śmiałość. Żelazna konsekwencja każdego pomysłu, rozwijanego tak realnie, okazuje w jednej chwili jego wszystkie wady.

Kto rozwiązał zadania rzeźby — ten zrozumiał sztukę — ten przeniknął wszelkie tajemnice twórczości.

Stąd też tylko te narody, które pchnęły naprzód całą kulturę ludzkości, tylko narody wielkie i wyjątkowo twórcze stworzyły *własną* rzeźbę. Stąd najtrudniej było wyjść ludzkości nowszych czasów poza to, co stworzono dawniej — właśnie w rzeźbie. Stąd też tak łatwo w rzeźbie o nieudolność — nawet wśród talentów rzeczywistych, które jednak nie miały w sobie dosyć mocy, by się uświadomić do głębi. Stąd tyle setek lat — od czasów Grecji — Europa żyła tylko jej odbłaskami w rzeźbie. Wyłączyć należy tylko ten wybuch zupełnie samodzielnej twórczości włoskiej, zbliżonej bardzo do dążeń sztuki współczesnej, a wyrażającej się tak potężnie nazwiskami: Donatello, Verocchio, Cellini, oraz niemniej samodzielną, lecz bardziej surową sztukę niemiecką, wyrosłą z gotyku

(rzeźba w drzewie: Syrlin, Riemenschneider, Bochschtütz Kraft, koniec XV i początek XVI wieku.) Nad całą tą twórczością panuje olbrzymia postać Michała Anioła, który jednak był już pod wpływami Grecji. Słusznie mówi o nim Witkiewicz, że on styl grecki rozsadał swoją mocą, nie stworzywszy własnego.

Ale wraz ze śmiercią tego tytana umarła rzeźba w Europie. Zaczęto naśladować Greków, zatraciwszy zupełnie poczucie, czym oni byli i skąd powstała ich sztuka. To, co tworzone i co przeważnie tworzy się dzisiaj, jest albo jakimś pseudoklasycznym nonsensem, „punktowanym“ starannie i na zimno alegoryzmem, bezkrwistym i bezdusznym (stosuje się to szczególnie do obecnej rzeźby niemieckiej), albo też niemniej bezmyślnym, bo nieśmiałym i nieszczerym realizmem—o „idealistycznych“, czyli wygładzonych „estetycznie“ kształtach — najczęściej zaś jakąś mieszaniną całkiem niezrozumianych wspomnień greckich z życiem współczesnym, nie brany jednak z bezpośrednich wrażeń.

Nie w tym dziwnego. Zginęła wielka sztuka w Europie, zginęła i rzeźba, ledwie że narodzona. Obniżył się potwornie poziom wymagań i dążeń, skarłały namiętności, znikła bujność życia, znikły jego wielkie cele, wiary, idee. Sztuka straciła wszelką podporę, wszelki sens. I oto wielcy artyści stali się dzisiaj wyjątkami. Sztuka rozpoczęła dopiero swoje odradzanie się.

Maluje i rzeźbi teraz tylu ludzi—lecz jak i po co? Gdzież w nich to ukochanie, to namiętne oddanie się sztuce, które tworzyło Botticellich, Lippich? Gdzież ta wiara, iż dzieła ich są wyrazem i potrzebą narodu? Czemu służy ta sztuka? Jakiej idei? Ach, zastawianie się hasłem „sztuka dla sztuki“... Cóż z tego hasła? Mizerne portreciki, robione z dnia na dzień pejzażyki, główki... „To nie lwy umieją teraz malować, to małpy“ — woła Peladan *). Przypominanie, iż Leonardo latami pracował

*) „De la sensation d'Art“.

nad jednym dziełem, przyjmowane jest śmiechem. Nie mamy czasu! Wieczność, ludzkość, nieśmiertelność!? — Znaczenia tych wyrazów nie rozumiemy. Dziś mój obrazek się świeci, jutro zezernieje—niech tam! Cóż on mnie obchodzi, skoro wyjdzie z mojej pracowni. Niech go zakupi Niemiec, Francuz, Amerykanin — wszystko jedno. Z cynicznym politowaniem patrzy przeciętny „artysta“ dzisiejszy na Fra Angelica, który dzieła swe poświęcał Bogu. My nie mamy swego Boga. Sztuka Europy jest pusta. Wyobraźnia jej artystów najlepszych błąka się, niema komu się oddać. Najcenniejsze dzieła współczesne to piękne fajerwerki dusz, co w siebie same zwątpiły.

My jeszcze, Polacy, bezpośredniości uczuć, trzeźwości dusz mamy najwięcej. Może to położenie nasze zmusza nas do oddawania się ideom szerokim, do *wiary* w owe idee. Stąd odczuwa się, że sztuka nasza posiada jakąś bezwiedną podporę logiczną, głębszą, niż ta, co kieruje naszym powierzchownym życiem. Mówię *naszym*—życiem naszego ogółu — boć jednostki, a jak teraz nawet masy, cząstki narodu — nie mniej potężnie dawały znać, iż żyją nie dla chwili. Dusza polska nie jest egoistyczną. Tkwi w niej pierwiastek panteizmu, który wyradza się albo w mistycyzm, albo w służenie hasłom *ludzkości* — wielkim rewolucyjnym wichrom, co we wspólnych celach jednoczą narody, jednoczą duchy ich twórcze — albo zamienia się w namiętne ukochanie przyrody, w jej odczuwanie najgłębsze, w zespalandie się z nią w jedność, we wcielanie się w życie wód, zwierząt, drzew—tak samo, jak w życie ludzi. Stąd romantyzm polski jest poezją nieśmiertelną i wszechludzką, stąd Wyspiański nie traci na wielkości nawet wobec galerji Uffizzi, stąd pejzaże nasze są głębsze, treściwsze od tych, które wydaje sztuka obca, stąd wreszcie sztuki naszej świeżość i szczerokość — wieczne warunki odrodzenia i mocy.

Szczerokość, szczerokość bezwzględna. Ach, jakże łatwo sponiewierać to hasło quasi kulturalnym kabotynem, którzy zapominają zazwyczaj o jednym: najpiękniejsza kul-

tura obca nie może stworzyć sztuki rodzimej, żywiącej się sokami własnymi — sztuki wielkiej — lecz co najwyżej parodię jej, wyrosłą z siłą wmawianego w siebie kłamstwa, z siłą narzuconego sobie życia obcego, sprzecznego z życiem duszy własnej.

Tacy dopiero artyści stają się odnowicielami sztuki, którzy przeszli przez ową kulturę, wiekami doświadczeń ludzkości karmioną, zwyciężają ją w sobie i w pokorne narzędzie *własnych* celów zamieniają.

Tacy artyści właśnie odnowili w Europie rzeźbę współczesną, ocucili ją z beznadziejnej martwoty nasładowczej, ucząc *samodzielności*.

II.

Oznaką budzącej się w sztuce szczerości najczęściej bywa *usiłowanie realizmu*.

Artysta jest najwrażliwszym z ludzi. O ile jest szczerym, niepodobna, by zostawał obojętnym na to, co się wokoło niego dzieje. Zresztą, jeżeli jest istotnie artystą, a więc szczerym, wrażliwym człowiekiem, to zupełnie *mimowolnie* wchłania w siebie wszelkie przejawy współczesności. Dusza artysty, świadomie czy nie, żyje więc życiem otaczającym go, zmysły jego karmią się tym, co ono mu nasuwa. Najsilniejsza indywidualność nie może się z pod wpływów tych wyłamać w zupełności. Jeżeli zaś to nastąpi, to właśnie w przezwyciężeniu takich wpływów daje dowód, że je zrozumiała i *przeżyła*. Jeżeli gienjusz życie mu współczesne nienawidzi, to dlatego tylko, że je przejrzy do głębi, że wie, jak dalece jest mu ono obce. Ale gienjusza, któryby pozostał *obojętnym* na to, co moc jego uczuć widzi — jeszcze nie było i nie będzie.

Otóż pierwszym odruchem szczerego artysty po czasach martwoty w sztuce musi być danie wyrazu na otaczające życie — szczególnie, jeżeli ono jest bujne, ciekawe, bogate. Jest to najnaturalniejszy, najprostszy przejaw buntu przeciw wszelkim formułkom i nakazom. Rzecz

wyduje się tak łatwą i bliską, a tak sponiewieraną! Życie daje formy na pozór gotowe — formy żywe, różnorodne do bezmiaru, zawsze nowe! Iść i brać je pełnymi garściami!

Niełatwo tej młodej wrażliwości przeczuć, co z takiej pracy wyniknie, że pełnia uczuć nie zadowolni się wtłoczeniem do sztuki pierwszej z brzegu piękności, z wrażeń życiowych wziętej. Zaczyna się „usiłowanie realizmu“ i artysta przekonywa się, że to, co zamyslił, jest — na szczęście! — utopją, że to nie zastąpi mu ani *syntezy* wrażeń, ani też nie odtworzy — tymbardziej! — całej duszy jego, wyobraźni, męczącej go w wizjach, co rozsądza czaszkę, prac do urzeczywistnienia, wcielenia w wieczne życie sztuki.

Usiłowanie realizmu staje się głęboką, odradzającą nauką. Artysta, pragnąc odtworzenia kształtów zupełnie podobnych, zupełnie takich samych, jak te, na które patrzy, zaostza, pogłębia swoją wrażliwość. Budzą się w nim nie te tylko wzrokowe wrażenia, będące jeno częścią wrażeń, od danego faktu w naturze odebranych, ale budzi się ich tysiące w nierozdzielnym splocie, w trudnej do uświadomienia syntezie. Artysta szczerzy i bezwzględny zaczyna uczuwać, że, odtwarzając wyłącznie i ściśle wzrokowe swoje wrażenie, buduje tylko martwy kształt, bez znaczenia dla sztuki, pozbawiony tej dziwnej treści, jaka zdawała się tkwić w naturze — w obserwowanym kształcie — i wreszcie pojmuje, że treść cała, jaką widział w naturze, *nie w niej była, lecz w nim samym, w artyście*.

Że nie jest to pusty paradoks, dowodzi stwierdzony przez Brzozowskiego *) udział *twórczości ludzkiej* w każdym „badaniu“, w każdym postrzeganiu, w *doświadczeniu*. Istotnie, nie ulega wątpliwości, że *spostrzeżenia* i logiczne

*) Powołuję się tu na filozoficzne, niezaprzeczalnie doświadczone odkrycia Brzozowskiego, które, sądzę, nie wspólnego nie mają z bardzo wątpliwą wartością oskarżeniami tego człowieka. Brzozowski najjaśniej dowodzi tezy powyższej w książce o Nietzschem.

dowiedzenie „sposzrzezeń“ Kopernika, Newtona, Darwina etc. etc. były *twórczością*, która *zbudowała nam świat taki, jakim go dzisiaj widzimy*, jakim sobie go dzisiaj wyobrażamy. Jeżeli zaś stosuje się to kategorycznie do sposzrzezeń naukowych, do wykrywania prawdy naukowej, to tymbardziej stosuje się do wrażeń i sposzrzezeń artystycznych, w których gra tak wielką rolę wzruszeniowa, uczuciowa strona danego wrażenia — o czym pisałem w swoim czasie w „Nowej Gazecie“, dowodząc, iż na tej zasadzie „realizm“ właściwie w sztuce nie istnieje i istnieć *nie może*.

Otóż artysta, który tę prawdę pojął, lub odgadł ją intuicją, jest uratowanym dla sztuki, jest wyzwolonym, nabywa siły niezwalczonej, jaką nadaje tylko twórca, zależna od siebie tylko, potęga. Zaczyna szukać sposobów, by tę tkwiącą w nim syntezę wrażeń odtworzyć. Przypomina sobie wszystkie mimowolne, a nakazująco wylaniające mu się z pod ręki linje, które z przerażeniem zamazywał — bo nie były ściśle zgodne z wzrokowym wrażeniem, zawierały odstępstwa od podobieństwa do natury — wszystkie swoje według uznanej estetyki — herezje artystyczne. Bada je — stara się oddzielić w tych mimowolnościach to, co było istotnie *wyrazem*, życiem, ruchem, siłą, od tego, co wynikało tylko z chwilowej może nieudolności — patrzy w ciemnię duszy własnej, rozświecła ją śmiałymi próbami, stara się zrozumieć samego siebie — zrozumieć charakter tych bezpośrednio wylaniających się zeń strzępów linji i kształtów — i stworzyć z nich jednolitą całość, utrzymaną w jednym charakterze, w tych samych „odstępstwach od natury“, w tym samym *stylu*. Ale tu nowe niebezpieczeństwo. Jakże łatwo wpaść tu w schematyzm, w jałowe formułki kształtu, zatracić życie! Trzeba mieć moc gieńjusz, by zrozumieć ten wykwitający z duszy styl, przeprowadzić go konsekwentnie — i aby przytym każda linja była *wyczutą*, żywą, — by styl ten był tak potężnym, płodnym, zdolnym do rozwoju, żeby zmieściły się weń nietylko te bezpośrednie *wrażenia*, ale też nowe kształty, płody twórczej wyobraźni.

Taką może być droga odradzającego się artysty przez bezpośredniość, szczerość i autoanalizę. W ten tylko sposób istotnie bywa wiecznie ożywczą droga tak słusznie, choć z fałszywego stanowiska chwalona i zalecana: powrotu do natury, „służenia prawdzie“, droga, jak ją nazywałem wyżej, „usiłowania realizmu“.

Usiłowania takie znajdujemy w całej twórczości europejskiej drugiej połowy XIX wieku — we wszystkich dziedzinach sztuki. Jednym z nich był impresjonizm, o którym krytyk francuski, Maclair, słusznie mówi, że obecnie ma on już dla malarstwa tylko znaczenie sposobu wypowiedzania się, środka artystycznego, nie zaś *celu*. Celem takim może być tylko twórczość prawdziwa (Maclair nie wie, że u nas Podkowiński zastosował właśnie impresjonizm w celach wielkiej sztuki — już kilkanaście lat temu). Impresjonizm, którego hasłem było „służenie prawdzie“ — prawdzie w naturze, prawdzie światła i przepojonego nim powietrza — posłużył do badań prawdy znacznie „prawdziwszej“ — do badania, zgłębiania własnych wrażeń. To samo stało się z literaturą. Od badania ścisłego wszelkich faktów, przeszła ona do faktu duszy, do analiz wewnętrznych, do wierzenia w to tylko, co dusza własna stworzyła — od utopji „realizmu“ przeszła do prawdziwej twórczości, do swobody wyobraźni, zaczerpnąwszy tylko z tej drogi nieocenionego, cudownego nałogu ścisłości, logiki — jak mówi Taine — *wewnętrznej*. Tu widać, jak bardzo słuszną jest uwaga Matuszewskiego („Słowacki i Nowa Sztuka“), że cały prąd nowej sztuki zawiera w sobie pierwiastki, świadczące o tym, że przeszedł przez „pozytywizm“, wyszedłszy oczywiście z niego, by wzmocnić się przez kulturę psychologiczną i filozoficzną. Najwyraźniej widać to w Przybyszewskim.

Podobny proces odbywa się właśnie z rzeźbą współczesną — w naszych oczach — dzięki potężnym wysiłkom Rodina, Meuniera, Viegelanda i Dunikowskiego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI.

Edmund de Amicis

(ur. 1846 r., um. 1908 r.).

Po G. Carducci'm i G. Giacosi straciły świeżo Włochy jednego z najpopularniejszych pisarzy swoich: Ed. de Amicis'a. Carducci'ego prawie nie znano u nas, Giacosa w ostatnich czasach dopiero był grywany na scenach naszych (dramat „Come le foglie“), Ed. de Amicis natomiast czytany był przez parę pokoleń w Polsce. Znali go i kochali przedewszystkim ludzie o prostszym składzie umysłu i niezłożonych uczuciach, kobiety, młodzież, osoby, pozbawione pretensji literackich i snobizmu estetycznego, lubujące się w tematach i sprawach życia codziennego, poufnego, w scenach wzruszających, w tragedjach, bądź sielankach, mogących być udziałem wszystkich, wreszcie w ideałach jasnych, optymistycznych.

Sam był bardzo zbliżony duchem do tych żywiołów, które go wielbiły; nie stał pod żadnym sztandarem literackim, nie należał do żadnej szkoły, nie trzymał się określonego kierunku sztuki. Brał swoje dobro wszędzie, gdzie je znajdował, z wszelkich sfer i najrozmaitszych przejawów ludzkiej woli, uczuć i myśli. Żył ze wszystkimi, jednał się, bratał uczuciem bezpośrednim, sercem wzruszającym się łatwo, szczerze jednak i niepowierzchnie, duszą bardzo rozlewną, udzielającą się, niezdolną zasklepić się w jednym dominującym uczuciu, bądź myśli wyłącznej.

Posiadał dar szczerości i żywego odczucia, dar przejmowania się sprawami bliźniego, dotrzymywania mu towarzystwa w najrozmaitszych okolicznościach życia, dzielenia z nim wesela i radości, smutku i rozpacz, chwil zarówno szarych, jak i promiennych.

Nie będąc *humanistą*, był w całym znaczeniu tego słowa pisarzem ludzkim, tak samo, jak nie będąc *naturalistą*, był pisarzem *naturalnym*, prawdziwym — chociaż nie był *werystą*. Biografowie Amicis'a opowiadają następujący fakt z czasów jego młodości, rzucający doskonale światło na jego organizację psychiczną, sposoby czucia i działania. Pierwszą książkę swoją p. t. „*Bozzetti della vita militare*“ (Szkice z życia wojskowego) ogłosił de Amicis, mając dwudziesty drugi rok, w 1868 r. Zjednała ona autorowi sympatje ogółu, żyjącego wspomnieniami długoletniej walki za wolność półwyspu, była bowiem ciepłą, serdeczną apoteozą cnót młodej armji włoskiej, żywym obrazem dzielności żołnierza, jego trudów, poświęceń i cierpień.

Pewnego dnia otrzymuje Amicis list od młodej, umierającej dziewczyny, z błagalną prośbą o ucałowanie ręki autora „Szkiców wojskowych“, które były ostatnią radością i pociechą życia, blizkiego zagaśnięcia. Nie namyślając się, spieszył Amicis do łóża umierającej, która niebawem wyzdrowiała i — w rok potym... stała się jego żoną. Oto niezwykle przykład impulsywności tej dobrej natury, łatwości wzruszania się i tego ciepła serdecznego, jakim wciąż promienieje.

Podobnie zachowywał się de Amicis, jako pisarz. Szedł wciąż za pierwszym porywem duszy, za głosem zapału, współczucia i litości, poślubiał sprawy wielkich i maluczkich świata tego, silnych i słabych, szczęśliwych i wydziedziczonych, jeżeli miały w sobie coś takiego, co poruszało bezpośrednio jego uczuciem, trafiało wprost do jego serca. Zarzucano mu często nadmiar sentymentalizmu, czułościowości zbyt łatwą i letnią — nawet Car-

ducci, który zresztą miał prawdziwe uznanie dla autora „Życia wojskowego“, nazywał go żartobliwie: *Edmondo dai languori* — to wszystko jednak nie było słabością duszy, bądź jej pozą, owszem wyrażało jej żywotność, było niewyczerpaną siłą miłości i dobroci.

Uczuciowość organizmów zdrowych, nieupośledzonych, odżywająca się zarówno żywo na ból, jak i na radość, wrażliwość natur nieegoistycznych, szlachetnych — spragnionych szczęścia i rozkoszy, ale niegłuchych na rozpacz, nie odwracających się małodusznie od widoków niedoli i cierpienia.

A przytym jedno i drugie — uczuciowość i wrażliwość — w postaci najczystszej i jak najnaturalniejszej, powstające bez podniet sztucznych, bez pomocy tych lub owych nauk i filozofji panujących; coś, co obywa się bez doktryny i nie istnieje tak długo, jak długo ona panuje, jak wskazuje interes i wymaga chwila: słowem coś, co czerpie swą moc, treść i zachętę ze źródeł życia samego i istnieje tylko dla niego.

Pierwsze prace Amicis'a rodzą się w epoce, wyładowanej wrzeniem uczuć patriotycznych całego narodu włoskiego, noszą na sobie pieczęć jego: rwania się do swobody, do ziszczenia marzeń odwiecznych o życiu niezależnym. Są odbiciem młodości płomiennej, skłonnej do entuzjasmów i poświęceń w poczuciu godności osobistej, obiecującej sobie i społeczności najbliższej szczęście i harmonję, pokój i pełnię życia — po trudach ofiarnych i bezinteresownym spełnieniu obowiązków.

Przychodzi czas wytchnienia, wczasy po walkach i ofiarach, uwieńczonych zwycięstwem — pomnożeniem dobra wspólnego. Dusza zrzuciła brzemię, uciskające pokolenia w niewoli, zapragnęła wrażeń i zachwytów dla wyobraźni, trzymanej długo na wodzy powinności obywatelskiej, zaczęła śnić o światach czarodziejskich, o urokach krain egzotycznych, o życiu urozmaiconym, czymś nieprzewidywanym, nowością ludzi, stosunków, horyzontów nieznanych.

Pragnienia i uczucia tego rodzaju, w porę zaspokojone, przynoszą cały szereg żywych, gorących, bezpretensjonalnych i prawdziwych opisów krajów zwiedzonych, barwne karty wrażeń i spostrzeżeń, uniesień i rozpędów duszy, rozkoszującej się życiem, wdzięcznej i życzliwej, pragnącej w innych obudzić podobnie dobroczynne i słodkie uczucia. Cały świat zna słynne „Ricordi“ Amicis'a z Paryża, Hiszpanji, Marokka, Holandji, Konstantynopola i t. p. Ziemi ojczystej, jej urokom, pamiątkom wspaniałym przeszłości i rozkwitającej, pod tchnieniem wolności, teraźniejszości, poświęca również stronicę, drgające miłością synowską i odczuciem piękna. (*Alle porte d'Italia* — U wrót Italji — *Le tre capitali: Torino, Firenze, Roma* — Trzy stolice).

„Wiek męski—wiek klęski“—rozwiewa niejedno złudzenie młodości; prócz zawodów natury prywatnej przynosi zawód publiczny, bolesne poczucie, że nie wszystkim dzieciom ojczyzny umiłowanej jednakowo jest dobrze, że wolność, okupiona ofiarą i krwią ogółu, nie wszystkich obdarzyła jednakową niezależnością, szczęściem, dobrobytem. Ewolucje polityczne i społeczne Włoch zjednoczonych dokonały gruntownej zmiany w poglądach Amicis'a na przyszłość narodu, na rolę sfer rządzących, położenie warstw pracujących i t. p. Staje się de Amicis gorącym rzecznikiem ludu roboczego, wyznawcą ideałów socjalistycznych. W to swoje nowe wyznanie jednak nie wnosi oschłego doktryneryzmu, nie zwęża nim swego serca, nie zatruwa go nienawiścią, urazą, brutalnym pragnieniem pomsty na tych, którzy są szczęśliwsi i przed złym losem zabezpieczeni. Jego nowa wiara jest tylko rozszerzeniem instynktu miłości na coraz większe obszary ludzkości, jest kryzysem szlachetnego i odważnego serca, które pragnie zużywać swe moce na cierpienia istotne, wielkie nietyle poezją swoją, ile ogromem fatalizmu, jaki na nich spoczywa. Na ołtarzu nowej wiary nie składa de Amicis dawnych swoich wierzeń, nie wyrzeka się dawnych ukochań lat młodych, nie bluźni temu, co niegdyś

było wyłączną świętością jego życia, głównym źródłem, skąd czerpał zapał, otuchę i zaufanie do tego, czemu służył. To wszystko tylko oczyszcza się w jego sercu, staje się promienniejszym, zatacza szersze kręgi. Pomiedzy patryotą o nastroju sentymentalno-militarnym, a późniejszym ideologiem społecznym — antagonizmu nie ma.

Ten przełom, jaki się w duchu Amicisa dokonał, pod wpływem rozwoju życia narodowego, zmienionych warunków ekonomicznych i t. p., nie uszczuplił wcale jego zasobów uczuciowych, nie zmniejszył daru kochania. Przeciwnie, poruszył on głębiej naturalną dobrocią jego serca, nadał jego sympatjom charakter bardziej świadomy, zwiększył łatwość wchodzenia w szczegóły życia ludzi, pozbawionych słońca i radości, przejmowania się ich dołą powszednią, odartą z powabu, nie przemawiającą do wyobraźni poetów widokami harmonii i szczęścia ziemskiego. Dzieła Amicisa'a z tego okresu jego twórczości (*Speranza e glorie* — Nadzieje i chwały. — *Sull'oceano* — Na oceanie. — *Memorie* — Wspomnienia. — *La carrozza di tutti* — Omnibus — i t. p.), są wyrazem ducha dojrzałego, żywiącego uczucia dobre względem innych, nie dlatego, że jemu samemu jest dobrze, lecz dlatego, że się przeniknął cierpieniami innych i od rozkwileń bezwiednych przeszedł do miłości czynnej.

W jak piękną syntezę zlewały się ideały młodości Amicisa'a z ideałami wieku dojrzałego, o tym świadczyć może dzieło przedziwnie skromne i zarazem wielkie, arcydzieło jego serca, to znakomite „*Il Cuore*” (Serce), które imię autora rozniosło wszędzie po świecie, jednając mu masy oddanych i wdzięcznych czcicieli.

Wszystko, co sam czcił i czym się zachwycił, w czym widział szlachetność natury ludzkiej i rękojmiej zdrowia moralnego; wszystko, co utrwała w sercach młodych najczystsze i najbezinteresowniejsze uczucia, oraz składa w nie zaczyn energii i ambicji dobrych, pragnienie czynów, podyktowanych miłością ojczyzny i człowieka, — to wszystko przesunął Amicis przed wzrokiem

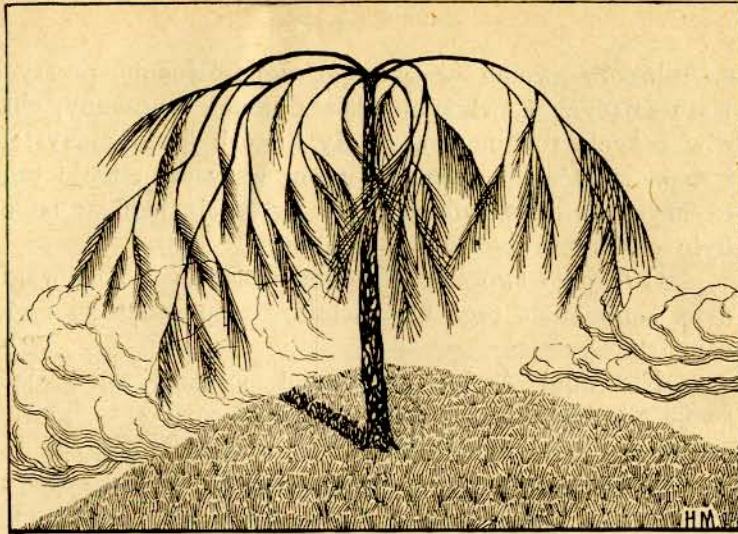
czytelników swoich w szeregu nieporównanie prostych, wzruszających i świeżych, jak poranek wiosenny, obrazów z życia rodzinnego, szkoły, historii kraju ojczystego i t. p., w których zawarł dostępną wszystkim treść tego, czym człowiek powinien być, by życie jego w istocie było pięknym, zbożnym i ludzkim.

Cała jego twórczość zresztą wciąż ma to na względzie, zmierza do tego bezwiednie, bez powziętego z góry zamiaru.

Nie miał Amicis wyobraźni potężnej, stwarzającej swoje odrębne światy, życie wspanialsze, niż to, którego wątek snuje się wciąż codziennie w oczach naszych i za sprawą naszą; nie dawał myśli oryginalnych i śmiałych, któreby wstrząsały umysłami, spragnionymi nowych objawień prawdy; nie mówił o uczuciach wyjątkowych, dających duszy przedsmak nieznanych rozkoszy i zachwytów. Przedmiotów rzadkich, klejnotów odświętnych, na podziw świata całego — nie posiadał w skarbnicy swojej. Miał natomiast rzeczy proste, niewyszukane i nieefektywne, tak jednak niezbędne, że bez nich najbardziej olśniewające życie byłoby czymś potwornym i nieokrzesanym. Tego rodzaju darami szafował hojnie i wspaniałomyślnie. Wskazywał, gdzie się znajdują, skąd mamy je brać. Do korzystania z nich powoływał wszystkich, gdyż mniemał, że wszystkim są one potrzebne, jak woda, powietrze, słońce.

Do czerpania ze źródeł prostoty, współczucia, ofiary, wdzięczności — do korzystania z darów serca wzruszonego i miłującego zwolował Amicis rzesze ludzkie.

Głos jego niósł pokrzepienie, w najuboższych i najciemniejszych duszach, w istnieniach obciążonych, bądź sponiewieranych, wytwarzał poczucie, że mogą wznieść się ponad nędzę własną, stać się mniej nieszczęśliwymi, mniej pokrzywdzonymi. W zetknięciu z jego duchem czuli się ludzie lepszemi i budziły się w nich skłonności dobre. Słusznie go więc nazwano: „*scrittore della bontà*” (pisarz dobroci).



EDMUND DE AMICIS.

Ostatni przyjaciel.

Chodź. Oto siedzę na fotelu wygodnie do twego rozporządzenia. Chodź, jak codzień uciąć drzemkę na moich kolanach.

Nie przypuszczałbym rok temu, że nabiorę przyzwyczajenia odbywać posiedzenia z psem. Rok bowiem upływa w tych dniach od czasu, kiedy syn mój przyniósł go do domu, zawiniętego w kawałek gazety, jak pieczonego gołębia, i położył tu na podłodze, skąd to swoim wyglądem, przypominającym żabę, chwiejący się na rozstawionych szeroko tylnych łapach, biały i okrągły, jak kłębek bawełny, zmusił mnie do uśmiechu pierwszego po tylu dniach smutku. Biedny Dick! Zaledwie przestał ssać pierś matki, odebrano go jej i braciom i przyniesiono tu do tego domu, dotkniętego nieszczęściem, i zdaje się pojał odrazu, dłaczegośmy go wzięli i czego oczekiwaliśmy odeń. Nie przeraził go dom nieznany, nie przygnębiła samotność; odpowiedział odrazu na nasze pieszczoty objawami przywiązania, dając nam do zrozumienia od pierw-

szego dnia, że będzie dla nas nie tylko przyjemną rozrywką, ale towarzyszem i pociechą, i że z czasem bez względu na troskliwość, którą go otoczmy, po obliczeniu wzajemnych długów wdzięczności, on zostanie wierzycielem. Tak, drogi Dicku, nie jesteś tylko psem dla nas; jesteś przyjacielem, przyjacielem, który milczy i nie śmieje się. Nie słuchaj mnie, mówię do siebie; spij sobie.

* * *

Między tyloma długami wdzięczności mam jeszcze i ten względem niego, że mogłem naprawić niesprawiedliwość. Byłem niesprawiedliwy względem jego rasy, nie dlatego, że bym jej nie lubił, ale dlatego, że jej nie kochałem, a nie kochałem, bo jej nie znałem. Nigdy nie miałem psów i wiedziałem o nich tyle tylko, co usłyszałem w rozmowach z przyjaciółmi lub przeczytałem w jakiejś książce, i wszystkie nadzwyczajności i dowody uczucia uważałem za kwiaty ich fantazji. Nie, nie wierzyłem, żeby pies mógł zająć tyle miejsca w duszy i tak zespolić się z życiem wewnętrznym człowieka. Przekonywałem się o tym z dnia na dzień. Teraz to małe stworzenie, które to wałęsa się po pokojach z miną leniucha, pożerającego przez nudę, to biega zadyszane, jak pracowity robotnik, rzuca się do wszystkich kątów i dziur, badając najciemniejsze miejsca, jak komisarz policji; to kradnie chustki i kłębki i gonić się każe ze zdobyczą w pysku, jakby żarty z nas stroił, to napada nieustraszenie na człowieka olbrzymia i ucieka, przerażony łada drobiazgiem, to całą godzinę zabawia się gazetą i udaje oszalałego lwa w walce z trzewikiem, to listy obwąchuje, jak kochanek, a książki węszy, jak bibljoman, to nasłuchuje, jak szpieg, pode drzwiami...

O tobie Dicku... Dick, czemu obudziłeś się i patrzysz na mnie?... Tak, ty, który odpowiadasz warczeniem na moją burzę, wytrzymując mój wzrok, jak zaczepny łobuz, który cofasz się w ukrycie po złym czynie z całą świadomością złego, który zwracasz się do mnie z wdzięczno-

ścią, kiedy ci kładę rękę na głowie, i oddajesz mi liżnięciem pocałunek i kładziesz mi łapkę na ustach, aby przerwać drażniące cię gwizdanie, który śledzisz wzrokiem każde poruszenie i odwracasz się na głos każdego mówiącego o tobie, jakbyś rozumiał sens słów, i przechodzisz ciągle od oznak zdumiewającej inteligencji do głupoty, która, w zestawieniu z poprzednią, jest nie do wytłumaczenia, ty, co w przeciągu godziny przypominasz to poważnego filozofa, to chytrą kobietę, to bezwzględnego tyrana, to żebraka pokornego; ty stałeś się dla mnie przedmiotem ciekawości i ciągłej obserwacji, rozrywką, myślą każdej chwili, która mnie prowadzi tysiącem różnych dróg do innych nieskończonych myśli i marzeń dalekich od ciebie; myśli te wypełniają wszystkie pustki, które w przeszłości zwykle wchodziła nuda, i zacieśniają codzien bardziej tysiące delikatnych lecz silnych węzłów naszej przyjaźni.

* * *

Tak, Dicku kochany. I wiesz, kto obudził pierwsze drgnienie przyjaźni dla ciebie? Zrobił to pomimo woli, słowami, przeznaczonemi na wywołanie wprost innego wrażenia, taki pan z długą brodą i dyplomem doktorskim, którego wezwałem, czując się chorym w miesiąc po twym przybyciu do mego domu. Wiedział, że jesteśmy razem od niedawna i, przypuszczając, że znudziło mnie już twoje zachowanie się, był szczerem: zaledwie spojrzał na ciebie, powiedział: — Brzydki. — Następnie dodał: — Nierasowy. Ile pan zapłacił za niego? — Trzydzieści soldów — odpowiedziałem. — Nie wart tyle — odrzucił z uśmiechem. O biedny mój Dicku! Brzydki, nierasowy i nie wart trzydziestu soldów. Poczułem ogromną litość dla ciebie i pokochałem cię od tej chwili, ponieważ obrażono cię, ponieważ byłeś upośledzony przez naturę i myślę, że na całym świecie znalazłbyś szczęście tylko w moim domu. Brzydki, nierasowy i zapłacony zbyt drogo, bo w cenie kilogramu mięsa. Wtedy wydałeś mi się tak

pięknym i tak czystej krwi, jak ci najlepsi twojego gatunku, którzy otrzymują złote medale na wystawach, i od tej chwili, przewyciężywszy pierwszy wstręt, zacząłem brać cię na ręce, przyciskać do piersi i odczuwać przyjemność dotknięcia do twarzy i dłoni twej wilgotnej, czarnej mordki. I jak prędko odwdzieczyłeś mi się! Pomyśleć, że przez piędziesiąt lat ani razu nie doznałem przyjemności widoku psa, biegnącego z daleka na ulicy naprzeciw mnie, obejmującego mi łapkami kolana, jakby mnie chciał uściskać. Za pierwszym razem odczułem radość i zdumienie dziecinne prawie i wróciłem do domu w palcie, zabłoconym do pasa, nie zauważywszy tego nawet.

Dobry mój Dicku! A potem powoli, powoli nauczyłem się rozpoznawać rozmaite wyrazy jego oczu, w których z początku widziałem jeden tylko nieruchomy, albo lepiej nieruchomość dwóch czarnych czereśni, rozjaśnionych punktem świecącym, jak kroplą rosy błyszczącej. Pomału, pomału rozpoznałem wyraz ciekawości, niecierpliwości, bolesnego zawodu, wymówki za niespełnioną obietnicę, pokornej prośby, stanowczego żądania, opartego na przeświadczeniu prawa, i ten niepewny strach, który podejrzewa żart w groźbie, a tortury w pieszczotach, i tę słodycz, okazywaną wtedy, kiedy upatrujesz odpowiedniej chwili na popełnienie niewinnej kradzieży. Och, jak rozumiem cię teraz, kiedy przychodzisz zapytać mnie: — Czemu nie zwracasz uwagi na mnie tego rana? — Czemu nie wychodzimy dzisiaj? — Czemu obiad tak późno dziś wieczór? — Przebierasz się do wyjścia; czy weźmiesz mnie z sobą? — Czy będziesz łaskaw otworzyć mi drzwi? Albo — co znaczy ten hałas na ulicy, ty, co wiesz wszystko? — A także kiedy mi mówisz: Jak możesz być uprzejmym dla tego złe wychowanego, który widocznie nienawidzi psów i chętnieby mi kości połamał jednym kopnięciem, gdybym nie był twoim?

* * *

Oto obudził się znowu i patrzy, czy śpię.—Nie śpię, nie, ale ty możesz zostać, mój mały przyjacielu. Co ci to? Wyciągnąłem rękę z pewną żywością, aby go popieścić, a on zrobił taki ruch łebkiem, jakby chciał uniknąć uderzenia, i spojrzął na mnie bojaźliwie zmrużonymi oczami. I czemuż to? Nie uderzyłem go nigdy, tak jak i nikt w tym domu; nie bito go i przedtem w przeciągu krótkiego czasu od jego urodzenia do zmiany mieszkania. Jakimż sposobem obawia się bólu, którego nie doświadczył nigdy i znać nie może. Nie jest to nic innego, jak strach dziedziczny przed męką ludzką, wywołany moim nieoczekiwanym ruchem, nie wyjaśnionym dostatecznie przez spojrzenie, jak innym razem. Tak jest, z pewnością. O biedny Dicku! kto wie, jak i wiele razy byli bici jego przodkowie! Pochodzili bowiem z pospolitej rasy psów, z której ani jeden osobnik prawdopodobnie w przeciągu pół wieku nie dosięgnął wartości całego skuda, i żaden też pewnie, zagubiony przez swego pana, nie dostał zaszczytu ogłoszenia publicznego, obiecującego bodaj najmarniejszą nagrodę znalazcy. Kto wie, jaki bolesny łańcuch łączy go z biednymi stworzeniami, bitymi przez swych panów barbarzyńców, tłuczonymi kamieniami przez okrutnych łobuzów, trutymi przez miejskich czyścicieli, męczonymi w laboratorjach fizjologicznych, dawanymi na pożywienie w zwierzyńcach, lub zabitemi i pożartymi przez zgłodniałych nędzarzy! Możnaby pewnie na palcach policzyć, cofając się aż do poprzedniego wieku, tych z jego przodków, którzy byli kochani, tak jak on, a może on tylko osiągnął szczyt szczęścia w rodzie włóczęgów wiecznie głodnych, nieszczęśliwych stróżów wozów i ziemi, ofiar, tańczących pod batami błaznów; może on jeden z wielu poznał słodycz cukru i dostał zaszczytu spania na bałwanianym legowisku. O biedny Dicku!

I kto wie, czy nie miewałem w rękach portmonetek i pugilaresów, czy nie nosiłem rękawiczek, zrobionych ze skóry którego z jego przodków; kto wie, czy nie czytałem w gazetach przygód którego z nich, w tych opo-

wiadaniach o zbrodniach, gdzie pies bywa narzędziem lub nieświadomą przyczyną wykrycia winnego, albo też w innych opowiadaniach wzruszających; i kto wie, czy między tyloma biednymi psami, nie należącymi do nikogo, które widziałem konające na ulicach, otoczone garstką ludzi, przejechane przez powóz, albo też zdychające z głodu lub ze starości, nie było jakiego przodka tego małego, przeznaczonego mi przez los przyjaciela, który następnie zajął takie ważne miejsce w moich myślach i wzbudził tyle uczucia w sercu, że męczy mnie najmniejsze jego niedomaganie, jakby był małym dzieckiem, oddanym mi w opiekę przez rodzinę.

* * *

Biedny mój Dicku, wierny przyjacielu! Przychodzisz co rano powiedzieć mi dzień dobry, jakby to życie miało jeszcze jakąś wartość dla mnie i jeżeli podrażniony tym, że znowu słońce widzę, odepchnę cię, oczekujesz odpowiedniejszej chwili i wracasz.

Poznajesz mnie przez okno na placu i biegniesz, szczekając, aby mi otworzono, nim zadzwonię. Przychodzisz zmusić mnie do wstania od stołu, kiedy przyjaciel wchodzi do domu, mówiąc wyraźnie: „Przestań na chwilę wysuszać sobie mózg: czekają na ciebie!” A jeżeli doku- czliwy śpiewak śpiewa na podwórzu pieśń wesołą, od której serce mnie boli, to ty, szczekając z balkonu, aby ją skończył, zagłuszasz śpiew i wybawiasz mnie od cierpienia. I kiedy powracam w nocy ze świata, gdzie nasłuchiwałem się lub widziałem rzeczy podłe, które mnie napełniają nienawiścią i wstrętem do rodu ludzkiego, pocieszam się, odnajdując dobroć i przywiązanie w tobie, którego pieczyoty czuję i wesołe poszczekiwanie słyszę w ciemności, zaledwie drzwi odtworzę. I kiedy zmęczony, napół chory, z wyrazem niezwykłego przygnębienia pozwalam sobie położyć się na sofie, ty niespokojny podchodzisz polizać zwisłą rękę moją i mówisz: „Odwagi, panie! Wiesz przecie, że mnie boli twoje cier-

pienie — a jeżeli cię nie usłucham, wskakujesz na mnie i póty patrzysz mi prosto w oczy, póki się nie poruszę. Ach te oczy twoje czarne i nieruchome, ile mogą mówić mi rzeczy, których nie rozumiem!

I może ty widzisz i pojmujesz o wiele więcej, niż przypuszczam. Zdaje mi się, że odgadujesz czasami, gnębiące mnie cierpienie bezustanne i straszne, że się go domyślasz i starasz się odgadnąć, i przechodzi mi chwilami przez głowę myśl dziwna, głupia, nieprawdopodobna, którą się łudzę przez jedną sekundę, myśl, że ty wiesz... Biedny Dicku! Aż do tego stopnia życie twoje zlało się z moim! I dzięki tobie odczuwam coś z tej słodyczy, jakiej nie doznałem od lat wielu, zalewającej nam duszę przy pieszczotach z małemi i słabemi, których los jest w naszym ręku, i mówię znowu językiem pieszczotliwie dzieciennym, od którego odzwyczały się usta moje, odkąd dzieci zabrakło w tym domu. I w czasie bezsennych nocy, kiedy uciekam z jednakowym przerażeniem od wspomnień przeszłości i od teraźniejszości i od wszystkiego, co może zatrzymać myśl nad rzeczywistością życia i męką zmusza do zwrócenia wyobraźni poza obręb wszystkiego, co ludzkie, a co mnie przeraża, w rozmyślaniu o tobie znajduję ucieczkę, ty mi zasłaniasz wzrok trupów ludzkich, a będąc z tobą, zapominam o wszystkim i uspakajam się. Ciebie też widuję w snach bolesnych, przyczyną bólu ty bywasz, w następstwie jednak mam słodką pociechę, kiedy śniłem bowiem, że cię zgubiłem i szukałem rozpaczliwie po tłumnych ulicach ciemnego miasta, lub też, że jestem przywiązany i nie mogę biec ci na pomoc, widząc cię broczącego krwią, wzywającego mnie konającemi oczami, męczonego przez nieznanych prześladowców, doznaję ogromnej radości, kiedy po przebudzeniu czuję twoje drżenie i słyszę twój głos pieszczotliwy przy mojej twarzy, jakbyś odgadywał sen mój i przyszedł powiedzieć w swoim języku: „Nie, nie bój się; śniłeś, twój Dick żywy i wesoły, odpędza smutne myśli, zeskakuje i idzie do pracy.“

Oto teraz drży cały, podnosi głowę i węszy, patrząc rozszerzonymi oczami przez okno. Usłyszał oddalony głos brata tam po drugiej stronie placu: głos własnej krwi, który budzi w nim instynkt życia koczowniczego, wolnego, tęsknotę za anarchistycznym, ogoniastym towarzystwem, z którym go rozdzieliłem. W tej chwili może opłakuje los swój i pogardza nim. I ma słuszość. Zapominam o tym, czego go pozbawiłem, kiedy przypuszczam, że zrobiłem mu łaskę, dając to, co dałem. Biedny Dick! Nie, nie robię ci dobrodziejstwa, nie nie daję ci nad to, co ci się należy. Muszę cię żywić, ponieważ nie pozwalam ci szukać sobie pokarmu po świecie, tak jak to robią bracia twoi, nie mający panów. Muszę pamiętać o tobie i pieścić cię, ponieważ zamknąłem cię w więzieniu, narzuciłem ci systematyczność, karność, obrożę, kaganiec i tysiące zależności i względów, które ujmują życie twoje w karby, tak jak życie ucznia, śledzonego na każdym kroku i w każdym czynie, a nawet i myśli. Należy ci się opieka lekarza i ciepła kąpiel z mydłem co tydzień, ponieważ zmuszam cię do oddychania dymem z papierosów, zabraniam szalonych spacerów na świeżym powietrzu, a odbywając je, nie cierpiałbyś nigdy ani na bóle żołądka, ani na zaziębienie, ani na niestrawność. I tak jak nie mam prawa do twojej wdzięczności, którą mnie darzysz, tak też nie mam prawa do robienia ci częstych wymówek za te tak zwane przezemnie wady twoje i nieporządki.

Biedny Dick! Kiedy mnie ubłagasz wreszcie, żebym cię wyprowadził na spacer, zostawiasz mnie, to prawda, na środku ulicy, żeby pójść i zapomnieć o mnie w pieszczotach z pierwszym lepszym spotkanym obrzydliwym psiskiem. Ale cóż robię ja? Ileż razy w życiu uciekałem od towarzystwa akademików i czcigodnych senatorów, z którymi się nudziłem, i szedłem ocierać się o ludzi głupich i niewiele wartych, bo mnie bawili. I z jakiej racji podnoszę głos na ciebie, kiedy przywłaszczysz sobie bez pozwolenia udko kury, ja, co przez zamiłowanie spo-

koju uśmiecham się uprzejmie do nieponiów, zbogaconych złodziejstwem i krzywdą ludzką. I czemu niecierpliwi mnie twoje szczekanie, mnie, co słucham z taką cierpliwością bajania tylu nudziarzy, którzy robią nie mniej hałasu od ciebie, a nie mówią nie nad to, co ty powiedzieć możesz? I czemu przejmujesz mnie wstrętem, kiedy przychodzisz z zawałanym pyskiem, mnie, co czytałem z przyjemnością tyle brudów drukowanych i ściskam wesoło rękę tylu ludziom brudnym, którzy brudem tylko żyją? I jak śmiem skarżyć się... To wstyd, drogi Dicku. Widzisz, jakim małodusznym skąpcem bywa człowiek czasami. Poszedłem niechętnie do zarządu miejskiego zapłacić podatek za ciebie, jakby to nie było niezasłużonym szczęściem mieć przyjaciela dobrego, wiernego, pewnego za marne dwadzieścia lirów.

* * *

I czego chcesz teraz, kręcąc się koło moich nóg i patrząc to na drzwi, to na mnie wzrokiem żebraka, proszącego o kawałek chleba?

Zrozumiałem. Męczy cię ciekawość, chcesz iść zobaczyć, kto przyszedł. Idź, mały plotkarzu. Nie rób jednak zwykłego błazeńskiego hałasu, jakby do mego domu nie przychodził nikt prócz złodziei.

Biedny Dick! Gdyby nawet nie był przywiązany do mnie, lubiłbym go za tę miłą rozrywkę, jaką mi sprawia nieskończoną rozmaitością ruchów i zmiennością postawy, czego nie zauważyłem nigdy dawniej u zwierząt jego rodu. Jest tak milutki, kiedy zatrzyma się nagle z przednią łapką zgiętą i zwieszoną, z głową przechyloną na jeden bok, jakby ogarnięty nagłym zdumieniem, lub kiedy harcuje i kręci się w kółko z miłą zręcznością młodego żrebięcia, lub też siedzi przed płonącym kominem: przednie łapy blisko siebie, biała pierś podana na przód, głowa podniesiona, jak u nowokreowanego dumnego szlachcica przed aparatem fotograficznym. Tyle ma komizmu czasem w swym zachowaniu i ruchach, zdaje mi się, że patrzę na rozmyślne naśladowanie pewnych póż

i poruszeń ludzkich. Przypomina mi słuchaczy pogadek naukowych, kiedy drzemie siedzący, pochylając pomaleńku głowę i podnosząc ją raptownie po to, żeby znowu opadała pomaleńku, pomaleńku, tak jak to robią ci panowie słuchacze, nadając wahaniu ołowianej czaszki wyraz stałego uznania dla wymowy, która ich usypia. Kiedy chodzi przekrzywiony z komicznie wygiętym karkiem, nie mogę patrzeć na niego bez uśmiechu, widzę bowiem w myśli pewnych starych, słabych wojaków dawnej gwardji narodowej, kiedy tak pochyleni szli na plac broni zbawiać Włochy z niewinnym karabinem na ramieniu. Gdy zwinie się w kłębek, śledząc każdy mój ruch jednym tylko wpółotwartym okiem, przypominają mi się pewni starzy małżonkowie, oparci w kącie przedziału w wagonie, którzy chcą spać, lecz obawiają się i dozorują jednym sennym okiem młodą żonę, naprzeciw której siedzi równie młody, niebezpieczny podróżny. Nie jest że to znowu obrazem śmiesznego i politowania godnego widoku, jaki sprawia człowiek własną głupotą, wybuchając groźnemi przekleństwami na siebie samego za wielkie jakieś przez się popełnione głupstwo, kiedy pies kręci się w kółko, jak kula, szczerząc zęby i chwytając swój własny ogon z taką złością, jakby należał do jego wroga? Kiedy zaś poniża swą godność czworonoga, stając jak pajac na tylnych łapach, i nie zwraca najmniejszej uwagi na wywołany tym śmiech, byle tylko dostać przysmak, trzymany wysoko nad jego głową, czyż nie przypomina nam kindydata na posła, który poniża swą godność dwunoga, rzucając się na cztery łapy przed wielkim wyborcą, pokazującym w oddali upragniony mandat? Albo też, kiedy przerywa w połowie przemowę nudnego gościa głośnym, rozdzierającym ziewaniem, przypomina mi naiwnie szczere poziewanie dzieci, wyrażających w ten sposób znudzenie podczas pewnych głupich rozmów salowych, co wywołuje ogólną ukrytą wesołość, dlatego właśnie, że jest wyrazem wspólnego uczucia, którego okazanie szczere jest wzbronione dorosłym światowcom.

A te uszy! te wielkie uszy, które to rozszerzają się jedno w jedną stronę, drugie w drugą i przedstawiają stan duszy kogoś, kto słucha dwóch przeciwników, mówiących jednocześnie, z zamiarem wyciągnięcia korzyści z obydwuch, nie przyznawszy racji żadnemu, ale to dwoje uszu, tak uzdolnionych, zgrabnych i delikatnych, które chwytają jednocześnie setkę dźwięków bliskich i dalekich, niedostępnych słuchowi ludzkiemu, ilu sprytnych złodziei mieć by je chciało! A jeszcze te dwie plamy ciemne, co rozrywają białość jego skóry, jak dwie plamy z kawy na obrusie, przypominają mi te krzyczące łaty, naszyte na plecach błaznów cyrkowych w celu rozweselenia publiczności; te dwie plamy, które natura obdarzyła go jak przez żarty: jedna na krzyżu, druga koło ogona, pobudzają mnie zawsze do wesołości dziecinnej prawie, naiwnej, pogodnej na myśl, że on nie wie o tym, że je ma, i że dziecko stróża zdumione było, widząc je jeszcze, kiedyśmy w jego obecności wyjęli Dicka z kapieli.

* * *

Oto jest znowu tutaj, powrócił z wyprawy, zwinął się w kłębek na swej literackiej kanapie. Posiedź spokojnie teraz, posiedź, kiedy będę ci robił zwierzenia filozoficzne, drogi mój Dicku! Żebyś ty wiedział, co za ciekawość mnie męczy i zmusza do myślenia godzinami, jakby przeniknąć do twego mózgu, żeby się dowiedzieć, co ty rozumiesz, a czego nie rozumiesz, i gdzie jest granica twojej inteligencji, która to wzrasta, to zmniejsza się ustawicznie w moim przekonaniu, jak gdybym patrzył na przedmiot, który się to zbliża, to oddala, i jakie zarodki i błyski myśli podsuwa ci ten świat, i nasze postacie, i czyny, i głos ust naszych! Gdybyś wiedział, jak wysiłam umysł, żeby móc zmierzyć odległość, która nas dzieli i poznać twoją ukrytą naturę i te więzy, które nas łączą, i te zapory, które nas dzielą. Gdybyś wiedział, jaka tajemnica pociągająca i ważna zamyka się dla mnie w tym twoim małym łebku, który mogę objąć cały

rękami, jak pomarańczę; w tym spojrzeniu, pełnym prostoty i niezrozumiałym jednocześnie, w którym dostrzegam czasami przebliski myśli ludzkiej, wysiłek słów, których wypowiedzieć nie możesz, gorycz przymusowego milczenia i prawie spazm duszy, zamkniętej w niewoli kości i ciała, duszy, czującej pokalenie dawnej potęgi i będącej tylko smutnym jej odbiciem! Gdybyś wiedział, jak męczy mnie od czasu do czasu myśl, że się nigdy niczego z tego nie dowiem, że nikt nigdy o tym wiedzieć nie będzie i że moglibyśmy żyć wieki razem i nie zrobić najmniejszego kroku naprzód w poznaniu twego wewnętrznego ja, wyobrażenia, które masz o ludziach i rzeczach!

Jesteś szczęśliwszy odemnie, bo nie możesz suszyć sobie mózgu nad temi zagadkami, i jesteś dobry, nie wiedząc o tym, i kochasz bez myśli i żyjesz, żeby żyć, nie mając świadomości nieszczęścia i śmierci.

* * *

Śmierć. Oto myśl, która nie przyszła mi nigdy do głowy w stosunku do ciebie. Pójdź tu, Dicku, stań prosto, podaj mi łapki i patrzmy sobie w oczy, żeby się rozumieć lepiej. Co się stanie z nami, drogi mój Dicku? Długo też będziemy razem? Który z nas dwóch zostawi tu drugiego?

Prawdę powiedziawszy, nie chciałbym, żebyś ty był pierwszy. Oh, z wielu powodów... Gdybyś ty jednak nim był, jeżeli przeznaczonym mi jest patrzeć, jak się zestarzejesz i zdechniesz, pewnym jest, że będziesz miał starość spokojną i otoczoną szacunkiem, biedny mój przyjacielu, że nie wezmę do domu żadnego z braci twoich, aby dostarczał mi rozrywki, której ty mi już dać nie będziesz mógł; że ty zostaniesz jedynym celem naszego przywiązania i starań naszych w tym domu, gdzieś pierwszy uśmiech wywołał i gdzie przez tyle lat będziesz żyjącym pocieszycielem, i że gdyby nawet jakiś nagły przewrót na bruk mnie wyrzucił, jeszcze chleb mój z tobą

podzielię i pracowałbym do ostatka sił, nie mając nawet żadnych innych obowiązków, jak osłodzenie ci ostatnich dni życia. Drogi mój, dobry Dicku! Możesz stracić wzrok, zęby, głos i stać się bryłą bezwładną, żyjącą po to tylko, żeby cierpieć, nie stracisz jednak mojej wdzięczności i pieszczot nigdy, nie zostaniesz pochowany bez łez, a pamięć o tobie zostanie mi słodka i droga, póki tkwić będzie w sercu ostrze tego noża, który ranił tak boleśnie, nie zabiwszy mnie jednak. Oto znowu drży cały od uszów aż do łap, usłyszał bowiem oddalony głos bratni i wyrывa się z chęcią ucieczki. Ma rację biedactwo. Nudzi się. Ale to jego los. Biada temu, kto wpadnie w ręce mówcy, nawet—gdy jest psem tylko.

— ...A jeżeli ja odejdę pierwszy — posłuchaj tego tylko jeszcze, drogi Dicku — jeżeli ja będę pierwszym, czy nie zapomnisz o mnie, kiedy nie będziesz mnie widział więcej, kiedy ci pozostanie tylko młody pan? Wspomnisz czasem starego pana, który cię tak lubił? Przyjdiesz jeszcze od czasu do czasu szukać go przy tym stole, przy którym tyle razy przerywał swą pracę, aby cię wziąć na ręce, i do tego wezglowia, gdzie przychodzisz teraz co rano witać się z nim i gdzie, oddając ci przywitanie, przytulał tyle razy twój łebek do policzka, mokrego od łez, wywołanych snem rozpaczliwym? A w młodym panu czy wywołasz wspomnienie o mnie? i kiedy będzie zamysłony i smutny, czy zmusisz go do uśmiechu, uprosisz szczekaniem, aby poszedł między przyjaciół, wziął cię z sobą na wieś i obudził w sobie na nowo przywiązanie do życia i do pracy? Zapamiętasz to sobie? Zrobisz to wszystko, dobry piesku, wierny przyjacielu, droga osłodo samotności i trudu mego? Ach, wzrok twój uporeczywy i błyszczący odpowiada, że tak, język, szukając mojej twarzy, wypowiada więcej, niż gdyby mówił, i twój ogonek ruchliwy obiecuje. Dziękuję ci więc. A teraz idź. Ktoś dzwoni. Wiem, kto to. To taki pan, co przyszedł przeczytać mi swój rękopis. Poszczekaj trochę na niego.

Przełożyła z włoskiego Z. ANKOWSKA.

HENRYK HEINE.

Z niemieckich poezji.

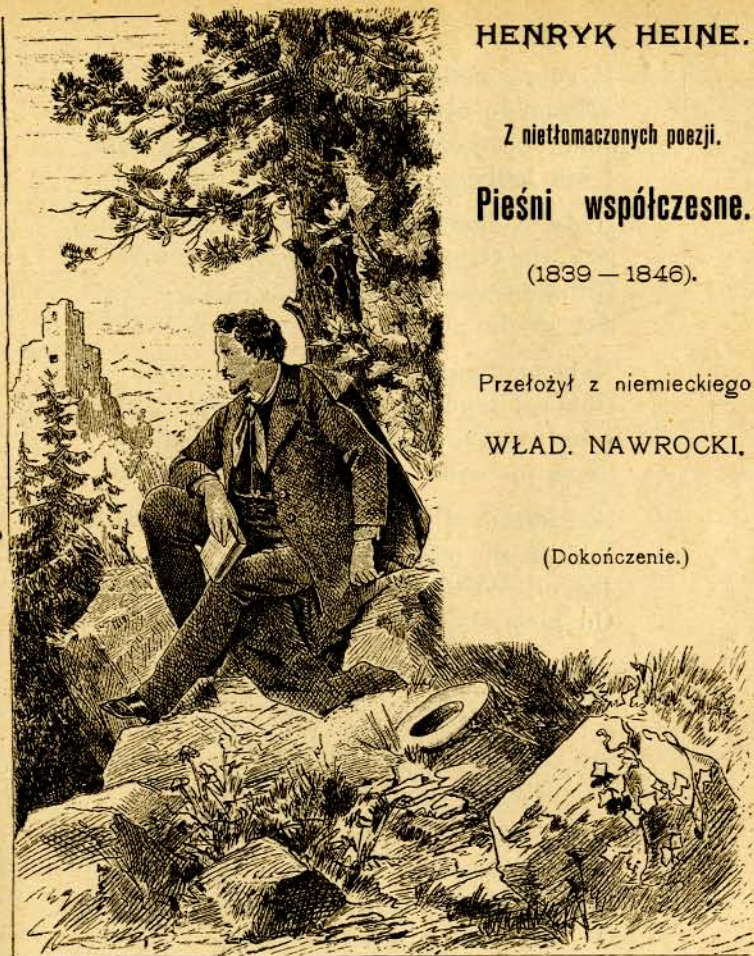
Pieśni współczesne.

(1839 — 1846).

Przełożył z niemieckiego

WŁAD. NAWROCKI.

(Dokończenie.)



XXII.

NOWY ALEKSANDER *).

I

Jest w Tuli król, co by wciąż pił
Szampana, na resztę się boczy;
A gdy go trąbi ze wszech sił,
To łzami zachodzą mu oczy.

*) Z pisma *Vorwärts*, 1846, wydawanego w Paryżu przez Ch. L. Bernays'a.

Rycerze z historycznych szkół
Wkrąg go obsiedli najczulej.
Jemu zaś język stanął, jak kół,
I tak bełkoce król z Tuli:

„Gdy Aleksander cały świat
Z krztą Greków zawojował,
Z dokonanego dzieła rad,
Jał wtedy pić napował.

Najwięcej pijał, gdy wroga bił.
Oblewał tryumfy bojowe;
I po zwycięstwie na śmierć się spił, —
Słabą nieborak miał głowę.

„Że jestem silniejszy — więc czynię wspak
I biorę się mądrzej za dzieło:
Jak on zakończył — zaczynam tak,
Od picia się u mnie poczęło.

„Mnie pijanemu będzie dan
Większy tryumf i więcej chwały;
Od dzbana tocząc się po dzban,
Ja zawojuję świat cały.“

II.

Plącąc językiem, gwarzy rad
On, Aleksander nowy; —
Jak zawojować cały świat,
Oto ma plan gotowy:

„Alzacja i Lotaryngja — już
Same nam pójdą w pęta;
Klacz za ogierem śpieszy tuż,
Za krową śpieszą cielęta.

„Mnie wabi Szampanja, ów cudny kraj,
Gdzie winne grona się rodzą,
Co myśl rozjaśniają — w to mi graj! —
I nasze życie słodzą.

„Tam w boju stanę, jako lew,
Tam moje męstwo zasłynie;
Zahuczą korki, biała krew
Strumieniem z flaszek popłynie.

„Tam młode bohaterstwo me
Wzwyż aż do gwiazd zamusuje!
Lecz ja mej sławie być wiernym chcę,
Na Paryż pomaszceruję!

„Aż do rogatek dojdę — tam
Zatrzymam się — i kwita!
Bo za obrębem miejskich bram
Wino nie płaci myta“.

III *).

„Mój mistrz, mój Arystoteles,
Który na razie kleszką
Pośród francuskiej kolonii był,
Białą przybrany komeszka.

„Jako filozof, ekstremat swój
Ogłosił później światu
I kształcił — Boże, zmiłuj się! — mnie
W myśl swego systematu.

„Jam się mieszańcem dziwnym stał...
Ni z mięsa, ani to z pierza,
Co się uciesznie z naszych dni
Ekstrematami sprzymierza.

„Nie jestem dobry, nie jestem zły,
Ni głupi, ni rozsądny,
I jeśli-m wczora naprzód szedł,
Dziś cofać się jestem żądny.

„Jam oświecany obskurant jest:
Z ogiera coś i z kobyły...
Do Sofoklesa zapalam się,
Lecz knut mi zarówno miły.

*) Z pism pośmiertnych.

„Jest mi ucieczką Chrystus Pan
I u Bachusa zakaty
Szukam pociechy, łącząc wciąż
Oba boskie ekstrematy!“

XXIII.

PIEŚNI POCHWALNE NA KRÓLA LUDWIKA *).

I.

Oto jest Ludwik, bawarski król,
Niewielu takich włada;
Budzi w bawarskim narodzie cześć—
Król z dziada i pradziada.

Miłuje sztukę i z pięknych pań
Portrety każe zdejmować;
I malowany ów seraj zwykł,
Jako eunuch sztuki, lustrować.

Pod Regensburgiem dla czaszek znów
Kostnicę z marmuru wyznaczył
I etykietę dla każdej z głów
Najwyżej sporządzić raczył.

Jest arcydziełem doprawdy ta
Walhallska kompanja, w której
Zasług i czynów wysławia ciąg
Od Teuta do Łupiskóry.

Jedynie Lutra w Walhalli brak
I ów go nie sławi skryba:
Śród ryb w przyrodniczych zbiorach tak
Zazwyczaj brak wieloryba.

Król Ludwik wielkim poetą jest...
Gdy śpiewa, to przed nim Apollo
Na klęczki upada i błaga, i łka:
„O przestań! — bo uszy mię bolą!“

*) Z „*Deutsch-französische Jahrbücher*“, 1844, I, wydawanych w Paryżu przez *Arnolda Rugego* i *Karola Marxa*.—Ludwik I napisał również w roku 1843 dzieło prozą p. t. „*Walhallska Kompanja*“.

I bohaterem król Ludwik jest,
Jak synek jego Ottonik,
Co w Atenach biegunki dostał był
I tam splugawił swój tronik.

Gdy umrze król Ludwik, to papież go
W poczet świętych zaliczy — o, retyle! —
Toż gloria pasuje dla takich lic,
Jak dla kocura mankiety.

Zaledwie w kangurów i małp tłum
Chrześcijaństwa duch poprzenika,
Za swego patrona napewno wnet
Obiorą świętego Ludwika.

II.

Do siebie Ludwik, bawarski król,
Rzecz, wzdychając siarczyście:
„Lato się kończy, a zima tuż...
Coraz żółciejsze już liście.“

„Schelling, Cornelius mogą pójść precz...
Nic nie mam przeciwko temu:
Jednemu w głowie rozsądek zgasł,
A wyobraźnia drugiemu.

„Lecz, że skradziono z korony mej
Najlepszą perłę, że mi
Porwano mistrza gimnastyki,
Massmanna — klejnot ziemi *) —

„To pochyliło, złamało mię,
To duszę ujęło mi w kneble:

*) *J. F. Massmann* (1797—1874), który przez długi czas służył Heinemu za cel szyderstw, był pierwotnie nauczycielem gimnastyki. Następnie, pomimo oporu *Lachmanna*, został profesorem berlińskiego uniwersytetu. Jako badacz językowy, położył zasługi wydaniem zabytków starożytnego niemieckiego piśmiennictwa. Jego własna poetycka twórczość mniej na uwagę zasługuje. *Schelling*, *Cornelius* i *Rückert* zostali powołani do Berlina przez *Fryderyka Wilhelma IV*.

Brak mi człowieka, co w sztuce swej
Najwyższe osiągnął szczeble...

„Płaskiego nosa i krótkich nóg
Brak mi. Jak pudel łaskawie
Wolno, wesoło i wiernie*) on
Fikał koziołki po trawie.

Li Jakób-Grimmski i Zeunski**) znał,
Li język staro-niemiecki;
Obce wyrazy były mu wciąż
Obce — łacina i grecki.

„Kawę li tylko z żołędzi pił...
Duch jego swojski był, bratni...
Francuzów żarł, tudzież limburski ser
I cuchnął, jak ten ostatni.]

„O szwagrze! Wróc mi Massmana... wróc!
Tam bowiem jego mieszczę
Twarz między twarze, gdzie, jako wieszcz,
Siebie pomiędzy wieszczę.

„Wraz z Corneliusem Schellinga dzierz...
(Że i Rückerta także
Możesz zatrzymać — rozumie się! —)
Lecz wróc mi Massmanna, szwagrze!]

„O szwagrze! Miej to za chwałę dziś,
Żeś zaćmił moje zasługi;
Ja, którym pierwszy w Niemczech był,
Dziś jeszcze-m tylko drugi.“

*) W oryginale *Frisch-fromm-fröhlich-frei*, nie dające się tu dosłownie wtłoczyć w wiersz, hasło niemiecko-narodowych stowarzyszeń gimnastycznych, którego to hasła inicjały, cztery F, w krzyż złożone, stanowiły godło owych stowarzyszeń; na wzór ich powstały później u nas *Sokoły*. Heine zabójczo ośmieszał nacjonalistyczne zakusy ówczesnych szowinistów niemieckich, będących w prostej linii przodkami dzisiejszych hakatystów i wszechniemców.

**) *August Zeune* (1778—1853) był również znanym germanistą; przełożył na niemiecki *Pieśń o Nibelungach*.

III.

W mnichowskim zamku, w kaplicy—skarb,
Madonnę masz krasnolicą;
Tuli do piersi dzieciątko swe,
Co wszem wszech łask jest krynicą.

Gdy Imć Pan Ludwik, bawarski król,
Lic świętych ujrzał odbicie,
Zgiąwszy kolana w pokornej czei,
W błogim wyjąknął zachwycie:

„O Ty, co-ś niebios królową jest,
O Marjo! Pani bez zmaży!
Ze świętych składa się orszak Twój,
Anioły masz na rozkazy.

„Skrzydlate pazie u Twoich stóp
Wplatają wstęgi i kwiaty
W Twe złote włosy i noszą wśląd
Za Tobą skraj Twojej szaty.

„Marjo, co-ś gwiazdą zaranną jest!
Ty liljo bez plamy biała,
Ty, coś nam już niejeden cud
Przedziwny okazała.”

„Z Twych błogosławieństw krynicy racz
Obdarzyć mnie choć kropelką —
I łaski Twojej okaż mi znak,
O Boża Rodzicielko!”

Wraz Matka Boska porusza się,
Ustka jej drgają widocznie,
I marszczy niecierpliwie brew
I mówić Dzieciątku pocnie:

„Jakie to szczęście, że Ciebie już
Na rękę mam, a nie w łonie,
Jakie to szczęście, że już się dziś
Przed zapażeniem nie bronię.

„Gdyby mi wtedy ów szpetny kiep
 Łazł w oczy, dziecino droga,
 Napewno urodziłabym
 Bękartą zamiast Boga.“

XXIV.

RADCA KOŚCIELNY-PROMETEUSZ.*)

Cny Paulusie, prawy zbóju,
 Z czołem chmurnem, pomarszczonem...
 Gdy cię bogi ujrzą — wstrząśnie
 Najstraszniejszy gniew ich łonem.

Dla grabieży, dla kradzieży,
 Na Olimpie popełnionej,
 Strzeż się losu Prometeja.
 Gdy Zeusowi wpadniesz w szpony.

Ów skradł wprawdzie jeszcze gorsze...
 By ludzkości błysły świty,
 Światło skradł, płomienia moce —
 Tyś Schellinga skradł zeszyty.

Właśnie światła przeciwieństwo—
 Ciemość, jak widzicie sami,
 Którą można tak pochwycić,
 Jak egipską przed wiekami.

XXV.

DO STRÓŻA NOCNEGO.**)

(Przy późniejszej sposobności.)

Gdy-ć nie zmarnieje serce ni styl,
 Czym chcesz, zapełniaj ciąg życia chwil;

*) Dotyczy H. E. G. Paulusa (1761 — 1851), heidelberskiego radcy kościelnego, który w czwartym dziesiątku lat XIX wieku gorąco zajmował się politycznymi i teologicznymi zagadnieniami czasu. Paulus przepisał odczyty Schellinga o *Filozofji, Mitologii i Objawieniu* i wydał w roku 1843 bez upoważnienia Schellinga. Na tym opiera się jego porównanie z Prometeuszem, który wykradł bogom ogień niebieski.

**) Do Franciszka Dingelstedta, który w Stuttgardzie, jako radca poselstwa i bibliotekarz króla wirttemberskiego, narażony

Druhu! Nie myślę cię postponować,
 Choćbym cię radcą miał tytułować.
 Podnoszą teraz ogromny krzyk.
 Żeś się tak zdradził i zdworszczył w mig;
 Od brzegów Elby do wód Sekwany,
 Krzyk się rozlega, wciąż powtarzany.

Oto się nogi postępu znów
 W nogi wsteczniactwa zmieniły. — Mów:
 Jeździsz na szwabskich rakach? Cholewki
 W istocie smalisz do księcia dziewczki?

Może cię mdłego zmogła snu moc...
 Tak dzielnieś trąbił przez całą noc!
 Na gwóźdź róg wiesz teraz dłoń słaba...
 „Kto chce, niech w tutkę dmucha dla Szwaba!“

Kładziesz się w łóżko i radbyś spać,
 Ale spokoju nie chcą ci dać.
 Pod oknem z ciebie drwią, co-ś był sprawcą:
 „Ty śpisz, Brutusie! Zbudź się, wybawco!“

Czyż taki krzykacz wie, czemu już
 Najlepszy nocny zcichł wreszcie stróż?...
 Ani śni taki bohater pyska,
 Dłaczego człowiek wreszcie pysk ściska.

Co u nas słyhać, ty pytasz mnie?
 U nas jest cicho... wiatr ani technie...
 Stąd, gdzie się zwrócić nie wiedząc, w strachu
 Są chorągiewki wszystkie na dachu...

XXVI.

GWOLI UKOJENIU.

Spaliśmy zgoła, jak Brutus spał,
 Lecz on się zbudził i wbił na schwał

był na zapamiętałe ataki demokratów, biorących mu również za złe uczestniczenie w estetycznych wieczorkach, urządzanych przez pannę von Stubenrauch, tak wpływową naówczas aktorkę.

W piersi Cezara nóż niespodzianie!
Plagą tyranów byli Rzymianie.

My nie Rzymianie — my tytoń éim.
Każdy lud inny jest w guście swym,
Każdy o innych wielkościach marzy!
W Szwabji najlepsze kluski się warzy.

Myśmy Giermanie, co w męstwie swem
Posnęli zdrowym, roślinnym snem;
Zwykle po śpiączce pragniem głębokiej,
Ale nie książąt naszych posoki.

Wierniśmy, jako lipa i dąb,
Stąd pycha syci nam duszy głąb!
Przenigdy, w dębów i lip krainie,
Nijaki Brutus już nie zasłynie.

A choćby śród nas był — to i cóż?
Cezara za to nie znajdzie już!
Czcze poszukiwań będą wyniki...
Przepyszne za to mamy pierniki.

Panów trzydzieści mamy i sześć;
(Niewiele!) Każdy gwiazdę zwykł nieść,
Co mu na sercu, strzegąc, jaśnieje...
Marcowe już mu nie w strach ideje.

My naszych książąt ojcami zwiem,
Ojczyznę tę zaś zowiemy z ziem,
Co ich dziedzictwem jest po wsze czasy;
Kapuszę lubim też i kielbasy.

Gdy się nasz ojciec przechadza ów,
Z respektem czapki zdejmuję z głów;
Niemcom, komnatce skromnej dla dzieci,
Rzymskiej mordowni przykład nie świeci.

XXVII.

ŚWIAT NA OPAK.*)

A toż jest przecie świat na opak!
Na głowach chodzimy sami,
Myśliwi są dziś przez bekasy
Strzelani tuzinami.

Cielęta pieką nam kucharza,
Na ludziach jeżdżą konie,
A katolicka walczy sowa
W wolności praw obronie.

Häring **) zostaje sankiulotą,
Prawda *Bettine* wsławia,
A *Sofoklesa* dziś na scenie
Kot w butach ***).
nam wystawia ***).

Panteon dla niemieckiej sławy
Z rozkazu małpy wznoszą...
Że właśnie Massmann się uczesał,
Niemieckie pisma głoszą.

Oto z giermańskich dziś niedźwiedzi
Stają się ateusze,
Chrześcijaństwo za to wraca znowu
W papug francuskich dusze.

W uckermarchijskim monitorze
Szał się najwścieklej wichrzy:

*) Z „*Pariser deutsche Zeitung*“, 1843. Z tegoż źródła i roku wiersz następujący.

**) Alluzja do *Willibalda Alexisa* (G. W. H. Häringa), który rozpoczął działalność jako autor patryjotycznych powieści, i którego „*Wiedeńskie Obrazy*“, zostały następnie zabronione w Prusiech z powodu liberalnej tendencji. W tym samym czasie *Bettina von Arnim*, której dzieło „*Korespondencja Goethego z dzieckiem*“ okazało się w znacznej części płodem fantazji, ogłosiła pismo polityczne „*Księga ta należy do króla*“ (Berlin, 1843).

***). *Ludwik Tieck*, autor „*Kota w butach*“, został powołany w roku 1843 przez Fryderyka Wilhelma IV do Berlina i wystawił tam na scenie dworskiej „*Antygone*“ *Sofoklesa*.

Martwy wypisał tam Żywemu
Nekrolog jak najlichszy *).

Przestańmy też pod wodę płynąć,
Czyż w tym się korzyść kryje?
Marsz, bracia, na Templową górę
Wzniesć okrzyk: „Król niech żyje!“

XXVIII.

WYJAŚNIENIE.

Niechże wreszcie raz, Michałku**),
Łuski z oczu tobie spadną!
Widzisz, jak ci po kawalku
Co najlepsze kąski kradną.

Raj w nagrodę za ekspensa
Czeka cię najoczywiście,
Gdzie zbawienie ci bez mięsa
Aniołowie warzą czyści.

Słabnie wiara twa, Michałku,
Czy apetyt twój urasta?
Puchar życia chwytasz, śmiałku,
Z bohaterską pieśnią. Basta!

Kaldun zapchać pozwól sobie
Tu, na ziemi tej, bez trwogi...
No a później legniesz w grobie,
Iżbyś trawił w ciszy błogiej.

XXIX.

NIEMCY ***).

Jeszcze dziecięciem Niemcy są,
Lecz mamką dziecka jest słońce;

*) Stosuje się prawdopodobnie do rozkazu, wydającego z granic pruskich *Jerzego Herwegha*, twórcę zbioru „*Poezje Żywego*“.

**) Popularna nazwa Niemca.

***) Z „*Zeitung für die elegante Welt*, 1842“, Nr 11, „*Pisane w lecie 1840*“.

Dziecię nie słodkie mleko ssie,
Ono płomienie ssie lśniące.

Przy takiej karmi można rość
I można krew w żyłach prażyć.
Dzieci sąsiadów, strzeżcie się
Z tym młodzieniaszkiem się swarzyć!

Niezgrabny zeń olbrzymek jest,
Z korzeniem wyrwa dęby
I niemi karki porani wam
Niemi popłata wam gęby.

Do enego Zygryda podobny tak,
Co pieśni sławić go padło —
Który, jak tylko wykuł był miecz,
Na poły rozciął kowadło.

Jako ów Zygryd, z czasem i ty
Ubijesz strasznego smoka...
Z jakąż radością będzie się śmiać
Twa mamka z niebios, z wysoka.

Ty go ubijesz i jego skarb —
Koronne posiędziesz klejnoty.
Hej! jakże będzie głowa twa
W koronie połyskać złotej!

XXX.

CZEKAJCIE TYLKO! *)

Że świetnie błyskawicą władam,
Sądźcie, że nie zagrzmie wam!

*) Wiersz ten został również przełożony przez *Kazimierza Przerwę Tetmajera*:

Że tak wspaniale umiem błyskać,
Sądźcie, że nie zdołam grzmieć?
Mylicie bardzo się — by ciskać
Gromy — talent też mogę mieć.

Mylicie się, i to posiadam;
Do grzmotu również talent mam.

Poznacie go w okropnym zgrzycie,
Gdy przyjdzie ostateczny dzień...
Naówczas głos mój usłyszycie
Z pioruna słów i z grzmotu grzmień.

Wtedy, w dzień owy, mnogie dęby
Zdruzgoce dziki burzy szum,
Mnogie pałaców zadrzą zręby
I zwali się niejeden tum.

Strasznie się kiedyś przeświadcycie,
Kiedy ów dzień nadejdzie już,
Wtedy to głos mój usłyszycie,
Słowo, jak piorun, jak ryk burz.

Niejeden dąb tam pogruchoce
Na owym dniu szalony grom,
Niejeden pałac zadygoce,
Runie niejeden boży dom!

(*Hasta*, str. 59)

oraz przez *Leo Belmonta*:

Ponieważ tak przedziwnie świetnie błyskam,
Sądziecie więc, że grzmotem już nie władam...
Mylicie się, ja równie gromy ciskam,
Do grzmienia też talencik ja posiadam!

Ten talent mój poznacie należycie,
Gdy dobry dzień zabłyśnie wam nad głową:
Straszny mój głos naówczas usłyszycie,
Piorunów dźwięk, gwałtowne grzmotów słowo!

Niejeden dąb rozstrzaska się w kawały,
W tym wielkim dniu, gdy burza mną owładnie,
I pałac wnet niejeden drgnie wspaniały,
Niejedna wraz kościelna wieża padnie.

(*Rymy i Rytm*, Tom III, str. 44)

XXXI.

MYSLI NOCNE.*)

W noc, gdy o Niemczech myślę tu,
Wtedy wybijam się ze snu,
Nie mogą mi się zawrzeć oczy,
Z nich potok wrzących łez się toczy.

Za rokiem rok przemija tak,
Odkąd mi drogiej matki brak...
Zima minęła już dwunasta,
A żar tęsknoty wciąż urasta.

Tęsknoty wciąż urasta żar.
Nademną trwa staruszki czar...
I zawsze lecieć myśl gotowa
Do niej—niechże ją Bóg uchował

Staruszka tak miłuje mnie
I to z jej do mnie listów technie...
Z nich widzę, jak jej drżała ręka,
Jak serce matki z bólu pęka.

O matce zawsze myślę rad.
Przeszło dwanaście długich lat,
Dwanaście długich lat przesnułem,
Odkąd przy sercu jej nie czułem.

Niemcy—to zdrowy kraj na schwał!
I poprzez wieki będzie trwał!
Z ich dębami, lipowemi
Lasy — wciąż znajdę je na ziemi.

Nie tęskniłbym do Niemiec tak,
Gdyby mi jej nie było brak;
Ojczyzna nigdy mi nie zgorze,
Ale staruszka umrzeć może.

*) Z. „*Zeitung für die elegante Welt*“, 1843, Nr 42.

Odkąd kraj opuściłem... w grób
Tylu ich legło — śmierci łup —
Tak ukochanych — gdy ich liczę,
Wtedy sam sobie śmierci życzę.

Im głębiej myślą sięgnę w dal,
Tym większy wzbiera we mnie żal;
Zda się, padają mi ich ciała,
Na pierś — znikają! Bogu chwała!

Znikły! Przez okno jasnych tchnień
Fala — francuski wschodzi dzień;
Żony, jak ranek pięknej, boski
Uśmiech niemieckie płoszy troski.

XXXII.

TKACZE *).

Żadnej lzy w posępnym oku,
Zasiedli przy krosnach i szczerzą kły w mroku:
„O Niemcy! w tym tkany tu przez nas całunie,
Z potrójnym przekleństwem ułożym was w trunie —
My tkamy, my tkamy!

„Przekleństwo bożyszczu, przed którym-śmy modły
Składali, gdy nędza, głód, zima nas bodły;
Ufaliśmy próżno, zawiodło nadzieje,
A dziś nas wyszydza, z nas dzisiaj się śmieje —
My tkamy, my tkamy!

*) Z wydanego w roku 1847 przez H. Püttmanna „Album-Originalpoesien“. Napisanie tego wiersza spowodowała panująca, w roku 1844 wśród śląskich tkaczy wielka nędza, która doprowadziła do wybuchu powstania w górskich wioskach *Peterswaldau* i *Langenbielau* w d. 4 i 5 lipca tegoż roku.

Przekład pierwotny tego wiersza, dokonany przez Władysława Nawrockiego, został wydrukowany w krakowskim, akademickim piśmie „Ognisko“ (1890 lipiec); przedrukowano go w „Lutni Robotniczej“ (Kraków, 1906, nakładem „Naprzodu“ str. 89) w zmienionej, błędnej formie, z opuszczeniem części strof czwartej i piątej. Przekład niniejszy, oparty zresztą na młodzieńczej pracy tłumacza, dokonanej w czasach akademickich, został tylko nieco zmieniony w szczegółach.

„Przekleństwo królowi, królowi bogaczy,
Co naszej niedoli złagodzić nie raczy,
Co od nas już grosik ostatni wyciska,
A potym nas każe wystrzelać, jak psiska. —
My tkamy, my tkamy!

„Przekleństwo tej naszej obłudnej ojczyźnie,
Gdzie jeno srom, hańba przynoszą plon żyźnie,
Gdzie zawsze kwiat każdy umiera najwcześniej,
Gdzie robak się tuczy w zgniliznie i pleśni —
My tkamy, my tkamy!

„Czółenko wciąż biega i krosna turkocą,
My tkamy starannie i dniem wciąż i nocą. —
O stare wy Niemcy, w utkanym całunie,
Z potrójnym przekleństwem ułożym was w trunie. —
My tkamy, my tkamy!“

XXXIII.

NASZA MARYNARKA *).

(Wiersz żeglarski).

Właśnie o flocie mieliśmy sen:
Z wydętym żaglem wspaniale
Wiatr nas na morze otwarte gnał,
A nienajgorszy był wcale.

I z naszych fregat każdą-śmy już
Wyniosłem nazwali mianem;
Jedną z nich *Prutzem***), a drugą zaś
Von Fallersleben Hoffmannem.

*) Drukowane w „Vorwärts“, Paryż, 1846. Poczucie narodowe, które tak gorąco wspierało szlezwig-holsztyńczyków w ówczesnej ich walce z Danją, osobiście najgoręcej marzyło o stworzeniu niemieckiej floty wojennej, dla obrony ojczyzny przed napadem wroga na morzach zachodnim i północnym. Patryotyczne usiłowania wyteżano w tym kierunku do roku 1852.

**) *Prutz* i *Hoffmann von Fallersleben*, współcześni Heinemu poeci niemieccy.

Płynął więc kutter *Freiligrath* *)
Z króla murzynów na przedzie
Popiersiem, które jak księżyc go
(Rozumie się, czarny) wiedzie.

Tuż płynął *Pfizer* i *Gustaw Schwab*,
Kölle i *Mayer*; nam dano
Szwabskie oblicze na każdym z nich
Oglądać z lutnią drewnianą.

Szedł bryg *Birch-Pfeiffer* **), na przednim swym
Maszcie — niemieckiej floty
Herb admirański na szmacie niósł
Czarno-czerwono-złotej.

Śmiało po rejach pięliśmy się,
Jako majtkowie, wygodnie
Przybrani w krótkie kaftany i
W szerokie żeglarskie spodnie.

Ten, co wciąż dotąd herbatę pił,
Za wzór żonkosia poczytan,
Teraz rum ciągnął i tytoń żuł
I kłął, jak stary kapitan.

Nie jeden w morską chorobę wpadł,
A zaś na starym branderze,
Fallersleben i ten i ów
Wygodził sobie szczyrce.

Śniąc pięknie, mieliśmy niemal już
Morską batalję wygraną—
Lecz sen się rozwił i flota z nim,
Gdy słońko błysnęło rano.

*) Poeta niemiecki, pochodzący ze szkoły szwabskiej, do której, oprócz Gustawa Szwaba i Gustawa Pfizera, należeli jeszcze Karol Mayer (1786) i Fr. von Kölle (1781 — 1848).

**) Współczesna niemiecka powieściopisarka i autorka dramatyczna.

Leżeliśmy, kości prostując, wciąż
Jeszcze w łożnicy domowej
I wycieraliśmy z oczu sen
I z temi ziewali słowy:

„Świat jest okrągły, kołysać się
Śród fal leniwych — cóż po tem!
Kto świat opłynie, powraca znów
W to samo miejsce z powrotem.“





STEFAN POPOWSKI.

WYSTAWY SEZONU UBIEGŁEGO.

Sezon wystaw artystycznych zamknięty. Zanim przyszedł jesienny „Salon” warszawski przyniesie znów nowe a niewątpliwie bogate żniwo, należy się słów parę kilku wystawom, które przesunęły się w ciągu sześciu miesięcy przed oczyma Warszawy. Były to wszystko *wystawy wyłączone* (pozwól mi, czytelniku, tym ostatnim wyrazem zastąpić obcy i nieścisły, choć utarty wyraz: „specjalne”). Były więc wystawy: Słoweńców, Owidzkiego i Piątkowskiego, Rapackiego, Słewińskiego, Jabłczyńskiego i Nawrockiego.

Od niezbyt zajmującej (ściślej mówiąc: mało artystycznej i pozbawionej szczerości wyrazu) wystawy Słoweńców, kolejną chronologiczną przejdźmy do wystawy Owidzkiego i Piątkowskiego. Zestawiając wrażenie ogólne dzieł tych dwóch artystów, odczuwamy różnice indywidualne obu: z prac Owidzkiego wydobywa się ponad wszystko uczucie, z prac Piątkowskiego dążenie do plastyki i realistycznego odtworzenia.

Cokolwiek namaluje Owidzki, nawet tak naiwnie i nieśmiało, jak to w niektórych jego ostatnich obrazach dostrzec było można, zawsze jednak z pod męki farby wybija się z dzieł jego szlachetny pierwiastek uczucia, ów bezpośredni wyraz duchowej organizacji, której najpierwszym objawem w stosunku do danego przedmiotu, jest jego szczerze i czyste umiłowanie. Owidzki kocha to, co maluje, i może dlatego maluje, że kocha. To też artystyczny wyraz i wartość jego obrazów przedewszystkiem stąd bierze źródło. Weźmy choćby jeden ze słabszych

obrazów jego obecnej wystawy: myśliwych, podjeżdżających saniami pod stadko sarn. Te sarenki, skaczące po śniegu, są może nieco naiwne w dzisiejszym pojęciu malowania zwierząt, są zbyt twardo modelowane i niewytrzymane w perspektywiecznym nateżeniu właściwych tonów barwnych, a jednak z pod tej naiwności formy plastycznej wydobywa się artystyczny wyraz, pociągający siłą twórczej sugestji wzrok i uczucia widza. Te drewniane nieco sarenki mają tak szczery wyraz przerażenia i trwogi w swych skokach, tak doskonale tłumaczy się uczuciowy stosunek autora do tych miłych zgonionych stworzeń, że widzowi drogą artystycznego wrażenia udziela się uczucie artysty.

Małe opanowanie środków malarskich jest słabą stroną talentu Owidzkiego. Nie wszystko umie on wyrazić, jak czuje i jakby pragnął. Lecz czasem, gdy szczególnie moment podniesie *malarza-wykonawcę* na tę wysokość, na której on stoi, jako *czujący poeta*, wówczas zdobywa się Owidzki na dzieło głębszej wartości, jak to widzimy w obrazie o słonecznym motywie z parku, z pękami kasztanowych gałęzi na pierwszym planie i bujającymi wśród nich motylami.

Inne dążenia stawia sobie Piątkowski w swych obrazach; opiera się więcej na plastyce i barwie, stara się ukryć osobowość swoją plastycznym wyrazem kształtów i tonów barwnych. Wydobyć na płótno nagiej, nietkniętej subiektywizmem upodobań artystycznych natury zdaje się być celem dążeń artysty. W obrazach jego widać to zmaganie się z trudnościami stawianego sobie zadania. Lecz niezwykle czujnej wrażliwości zmysłów wymaga to robienie z płócien „okien na naturę”, jak się to za czasów panowania *realizmu* i *weryzmu* mówiło.

W obrazach Piątkowskiego widać zmaganie się, widać badanie natury, szukanie tajemnic kształtów i tajemnic barw, lecz widać zarazem zatrzymanie się w pół drogi przed tą zaczarowaną granicą, poza którą leży opanowanie całego nieprzebranego bogactwa zjawisk barwnych i subtelności kształtów. Natura w obrazach Piątkowskiego nie ujawnia się w swej szczerzej, głębokiej wymowie; zatracą się w konwencjonalnym ujęciu, w utartych formach rutynicznych podkolorowań zimno zielonych i asfaltowych nacieczeń z obrysowanego konturu. W pejzażach jego roślinność jest tak monotonna w ubarwieniu, tak konwencjonalnie zielona, jak nigdy nie bywa w naturze.

Daleko więcej prawdy i życia wydobyć umie Piątkowski w postaciach. Jego sceny rodzajowe mają ruch i wyraz, a pod względem barwności i różnic tonu są bogatsze i subtelniejsze od pejzażu. Najlepszą jednak częścią twórczości artysty są portrety. Jest w nich i rysunek, i plastyka, i barwa, i co nadewszystko, jest tam często-kroć mocno i jasno zaznaczony wyraz. Żałować należy, że na wystawach Piątkowskiego za mało widzimy portretów.

* * *

Wystawa obrazów Józefa Rapackiego w Tow. Zach. Szt. Pięknych zawierała wśród innych dzieł szereg nastrojów barwnych, na jednym motywie wieży marjackiej opartych. Interesujący ten eksperyment malarski wykazał, z jak subtelnym poczuciem reaguje talent Rapackiego na subtelne wyrazy pór dnia, jak umie zaznaczyć delikatne różnice tonów w zależności od nikłych różnic oświetlenia: Wieża w zmierzchu dnia, wieża przy zachodzącym słońcu, przy księżycu, w rozproszonym świetle pochmurnego poranku, zawsze ta sama, przepiękna w swym bogatym profilu architektonicznym, zdaje się w obrazach Rapackiego nabierać za każdym razem innego wyrazu, zdaje się zmieniać wraz z porą dnia swój nastrój, zdaje się zestrajać z harmonią światła.

Najlepszym z tego cyklu wydaje mi się motyw przy oświetleniu księżycowym. Motyw ten artysta powtórzył raz jeszcze w kolorowej autolitografii, którą nabyło wiedeńskie towarzystwo graficzne do reprodukcji w albumie.

W ostatnich dziełach Rapackiego, składających się na obecną wystawę, możemy zauważyć wyraźne przesunięcie się środka ciężkości w artystycznych dążeniach autora: od brawurowego, dekoracyjnego ujmowania przedmiotu w stronę pogłębienia wyrazu i wydobywania nastroju.

Widok na pokryte lasami wzgórza, z barwnymi płaszczyznami dachów na pierwszym planie, jest właśnie wybitnym objawem tych dążeń. Autor wyczuł i wydobył w tym małym obrazku nastrój z niepospolitą siłą. Jest to jeden z najlepszych obrazów na wystawie Rapackiego. Zaliczyłyby należało do tej grupy i drogę w polu, lecz całość nie utrzymana jest w jednym napięciu. Doskonały teren nie zlewa się w znaczeniu nastrojowym z obłokami.

* * *

Z kolei przejdźmy do wystawy Ślewińskiego. O dziełach tego utalentowanego artysty pisałem już raz z powodu poprzedniej jego wystawy wyłącznej. Obrazy obecnej wystawy, tak pod względem motywów, jak i artystycznego ujęcia, nie różnią się od widzianych poprzednio, jeno pogłębieniem artystycznym i większym zmęgnięciem w osiągnięciu zamierzonych zadań. Ta uczuciowa, wrażliwa dusza polska, skapana i nasiąknięta nie po wierchu, lecz do dna samego czystą i mocną kulturą francuską, bije z dzieł Ślewińskiego, równie jak w dawnych obrazach. Ślewiński maluje morza, rybaków, kwiaty, owoce, wypełnia je lokalnym (bretońskim) wyrazem i charakterem, ale wypełnia je także tym dziwnym naszym sentymentem, który odnaleźć można i w mazurku Chopina, i w pieśni dożynkowej, i w kogutku, wystruganym przez wiejskiego chłopca.

W obrazach Ślewińskiego widzimy mocne opanowanie formy; widzimy tę pewność ręki, która śmiało odrzuca wszelki balast, wszelkie zbyteczne szczegóły, dążąc wyłącznie do syntezy rzeczy i odnajdując ją. Dostrzegamy to równie w zakresie kształtów, jak i w zakresie barw; każdy obraz jego jest wrażliwą syntezą rzeczy.

Z dzieł, które mi się najbardziej podobały, wyróżnić muszę motyw z Kazimierza z rozległym krajobrazem nadwiślańskim, i *martwą naturę* „jabłka“, a także doskonały autoportret.

* * *

Jabłczyński urządził w tym roku liczną i urozmaiconą bardzo wystawę graficzną.

Niezwykła organizacja twórcza tego człowieka i jego płodność zmuszają do szczególnego śledzenia obfitej, wzbuchowej jego działalności artystycznej. Jabłczyński pisze, gra, maluje, rzeźbi, rysuje. Nie zamyka się w bogactwach jednej techniki. Maluje olejno, pastelami, akwarelowo; nie wystarczają mu gotowe środki, więc szuka, próbuje, bada i stwarza sobie środki własne, zgola nowe.

Obecna jego wystawa to właśnie demonstracja nowego sposobu graficznego, który on wynalazł i którego jeszcze nazwać nie zdążył.

Co to jest? Jabłczyński z tajemniczym uśmiechem skrywa jeszcze swój sekret; opowiada tylko o bajecznej łatwości technicznej w pracy, o podatności do skomplikowanych efektów tonowych, o taniości reprodukcji.

Graficzne obrazki jego wyglądają na oko niby akwaforty, z dodatkowym użyciem akwafatinty. A wrażenia artystyczne? Bardzo rozmaite i nierówne, ale na ogół bardzo wysokie.

Jablczyński ma ogromne poczucie tonu i koloru nie tylko w obrazach kolorowych, lecz i w graficznych, tonowych; ma on przytym wielkie zdolności kompozycyjne, umie ująć przedmiot z dobrego, najwłaściwszego punktu, umie położyć nacisk artystyczny w odpowiednim miejscu, że tak rzec trzeba, *wie, czego chce*. Najslabszą stroną Jablczyńskiego, jako plastyka, jest rysunek, nieco chwiejny, niezdeterminowany, chętnie rozpraszający się w mrokach tonów rozlanych. Ten „mistyryzm“ rysunkowy autora jest może przyczyną, że Jablczyński ze szczególnym upodobaniem przebywa w sferze pewnych motywów, sferze dość ciasnej na jego temperament i rozmach twórczy. Lecz jest to talent tak żywotny, gibki i pełen ukrytych mocy twórczych, że na tym, co już dał i daje, nie można budować oceny jego rzetelnej wartości, bo twórczość jego coraz szersze w locie zakreśla kręgi.

* * *

Okres wystaw wyłącznych zamknęła trwająca jeszcze do tej chwili w salonie Kulikowskiego wystawa obrazów B. Nawrockiego.

W obrazach tych jest nieco młodzieńczej pretensjonalności, ale też dużo młodzieńczego impetu, no i jest talent. Talent w fazie młodzieńczej ze wszystkimi cechami młodzieńczymi: więc zbytnią powierzchownością w traktowaniu przedmiotu, bezwiednym naśladownictwem, ciągłą wreszcie kolizją między ambicją twórczą a opanowaniem środków. Tam, gdzie autor maluje „martwą naturę“, wnętrza, sale muzealne, posagi, rzeźby, ozdoby, tam jest poprawny w rysunku, bryle, barwie. Lecz gdy przechodzi do istot żywych, gdzie musi dać ruch, życie lub wyraz, tam już chwieje się i błąka, jak to widzimy w scenach rodzajowych i portretach.

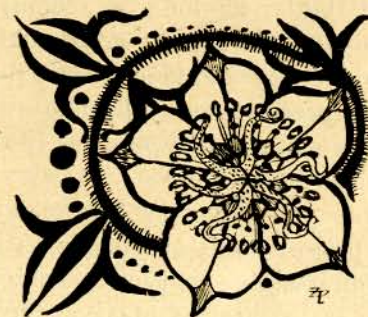
Najgorzej jednak jest z kompozycjami.

Zielono fosforyzująca scena z kobietą i mężczyzną jest bardzo słaba w rysunku, a szczególnie w kolorze; czyż ten wylew surowo-zielonej, prosto z tuby użytej, farby, bez próby stonowania rozwleczonej po całym płótnie, ma wywoływać efekt światła, choćby i „mistycznego“?

Nie, stanowczo nie! Ta „wizja“ jest tylko pretensjonalnym efektem, który nikogo nie wzrusza, nawet, jak przypuszczam, i autora samego.

Jeszcze gorzej jest z apoteozą dwu godzących się narodów. Cóż za teatralna konwencjonalność w układzie, coś za ubóstwo efektów świetlnych i kompozycyjnych! Podobno kupił to rząd włoski. W takim razie ubolewam nad rządem włoskim i lituję się, że ów rząd, mając u siebie, w pałacu Dożów, taką „apoteozę Wenecji“, mając tysiące arcydzieł malarstwa, rozrzucone po miastach i miasteczkach Italji, wzbogaca zbiory swoje młodzieńczym wypracowaniem na temat.

Pan Nawrocki jest młody, a w obrazach jego są wyraźne ślady talentu. Być więc może, że zczasem dorówna albo i przewyższy to, co nie tylko dawniej, ale i co teraz maluje się we Włoszech. Lecz ta wymęczona, akademicko-niezdarna „Apoteoza ludów“ jest dziełem słabym i, co gorsza, pretensjonalnym. Lepszymi o wiele są portrety niewieście i autoportret, plastyczny i żywy, co z przyjemnością zaznaczam.





ZOFJA RYGIER-NAŁKOWSKA.

RÓWIEŚNICE.

(Ciąg dalszy)

Woroński przychodził niekiedy do Ułuskich w godzinach poobiednich i grywał o zmroku najpiękniejsze melodje ziemi. Hania, skulona w ciemnym kącie wielkiego pokoju, słuchała długimi godzinami.

Zaczęły się czasy dziwnie czarodziejskie w życiu. Na tle smutnym przedwiosennych słońc i wichur blademi, marzeniowemi kwiatami haftowały się te zmierzchy, oddalone od życia, wiodące myśl w świat niepowrócony, w świat egzotycznych imion tych kobiet, którym w dani wielcy artyści przypisywali arcydzieła sztuki muzycznej, w dziedzinę śmiertelnie poetyczną kobiet dawno umarłych, wątłych arystokratek, fantastycznych cudzoziemek, pań zasmuconych, cichą zadumą spojrzenia inspirujących natchnienie, w epokę minioną kobiet nieznanych, tajemniczych, których taka dedykacja była jedynym usprawiedliwieniem istnienia w dziejach, jedynym śladem na ziemi.

Hania słuchała i ulegała czarowi. Dziwnym, fantastycznym zachęceniem praw niezbadanych, rządzących marzeniami, przypominały jej się teraz właśnie stany najdawniejsze, pierwsze zadziwienia oczów rozwartych, rojenia podświadome o niepojętej szczęśliwości kochania, wizje promienne bez barw i kształtów, zrobione tylko ze światła. I ta melodja wschodów słonecznych, melodja nieśmiałego podejrzenia: „że pięknym musi być życie—“

Wracały pierwsze wyobrażenia, związane niewidzialnie z pojęciem życia, z owym słowem najbardziej tajemniczym na świecie. Jako dziecko, myśląc o nim, widziała była niekiedy rozległą, zwierciadlaną salę balową z światłami i cichy wir, zamknięty klamrami melodji, opleciony, jak w kwiaty, w spojrzenia i pocałunki („ach, taka pewnie jest miłość...“). Albo ogród, na który patrzy się przez dalekie okno, ogród o szerokich, prostych alejach, wysłany tkaniną trawników, wysadzany klejnotami kwiatów, gdzie chodzą śliczne panie dorosłe w sukniach długich i dekolowanych, z prawdziwemi piersiami, z włosami, upiętymi wysoko. Ogród, w którym dokonywa się napewno to coś najważniejsze, dla czego wogóle się żyje.

Teraz wiedziała już przecież, że życie i miłość zupełnie nie są takie. Ale muzyka jest ogromnie podobna do dzieciństwa. Słysząc w niej zapowiedź niewątpliwą tego, co właśnie napewno nigdy się nie stanie. I trzeba sobie tłumaczyć, że to w samej zapowiedzi jest już zenit i kres, że więcej, niż to, nigdy już nie będzie.

A jednak dobrze jest, że wierzy się czasami w zapowiedź dzieciństwa albo muzyki. I Hania nie broniła się precudnej pokusie wierzenia, że może wszystko, co było, nie było to jeszcze życie — —? nie była jeszcze miłość — —? że to coś najważniejsze, dlaczego wogóle się żyje, nie dokonało się jeszcze — —?

Na zasłuchaną głowę, na opuszczone powieki sypał się deszcz najdelikatniejszych płatków kwiatowych, powiedzeń, szeptań i zapachów, odbierających zmysły. Była

tam zwiewność zdarzeń ogromnie ważnych, zachodzących na dnie kwiatowych kielichów, były jedwabne szelesty rzęs, mrużących się z upojenia, śpiew niewysłowny włosów rozwianych, na których gra cichy wiatr wiosenny. Był smutek kobiety nadmiernie kochanej i tęskniącej za lodowemi polami. Były porozumienia rąk wiotkich, splecionych w zadumie tanecznej. Była jedna róża w życiu, którą kiedyś rycerz przechodzący wrzucił do komnaty zamkowej przez okno wysokie. Były dziwaczne płasy gnomów w grocie, której dno zrobione jest z wody (więc widocznie tańczą w powietrzu?) i śpiew najady, leżącej sobie na brzegu zatoki seledynowej. Był płacz przytłumiony serca, odtraconego ruchem tak miękim i ładnym, jakim kobieta, przez gaj idąca, usuwa z drogi swojej gałąź zieloną. Były uśmiechy królewskie przebaczenia, z łodzi odpływającej rzucane okrucieństwu świata. Był labędź umierający, który w noc błękitną otwiera dziób i opiewa chwałę życia. W jednej elegji było wyznanie kobiety, tęskniącej do obłoku, który kiedyś w życiu przepłynął bezpowrotnie po jasnej przepaści nieba. W melodjach pewnych czaiły się wieści tajemnicze, mówiące o złej rozkoszy sypania ziarn zatrutych ptakom cicho śpiewającym, — o radości utopienia małego sztyletu w rozkochanym sercu, — o pięknie wrzucenia do przepaści rzeczy najbardziej drogocennej. Barkarola jakaś opowiadała o nieskończonej żegludze w długiej łodzi hebanowej ku wybrzeżom, zieleniejącym we mgłach i błękitach, ku wyspie niewidzialnej, co pośród toni promiennej kołysze nad wodami głowy zadumane swoich kwiatów i zwieszonemi liśćmi swoich palm szemrze zew cichy, a nieodparty, — ku wyspie nieistniejącej. W tej łodzi hebanowej można przecież do wyspy takiej żeglować całe życie...

A zaś ciągle — między pieśniami i kwiatami — chodzi śmierć, przebrana w śliczny strój życia, z bukietem bladych, jadowitych kwiatów datury na piersiach i rozdaje ciszę, nieznana jasnym dolinom ziemi.

Gdy Worośnicki nie grał, Hania komunikowała mu nieśmiało niektóre swoje czupurne myśli o sztuce. Słuchał ich z tym samym, niezmiennie smutnym wyrazem oczów. Opowiadał jej nawzajem o ślicznych, romantycznych zdarzeniach, towarzyszących powstawaniu pieśni, wielbionych przez cały świat, o miłości wielkich artystów do kobiet i natury, o świecie kryształowym matematyki dźwięków, skutym w prawa niezłomne, rządzące fantazją, podobnym do nieskończoności, a misternym, jak gotycka struktura.

Hania słuchając marzyła, w spojrzeniu miała skupienie, w słowach odpowiedź na myśl każdą. Umiała słuchać ładnie. Worośnicki powiedział jej to kiedyś. Była to pierwsza uprzejmość, jaką od niego usłyszała, i z tego względu wprawiła ją w osłupienie.

Mąż Hani zachwycony był tą inowacją i oznajmił, że teraz dopiero pojmuje, co to znaczy muzyka. Swoją drogą najeczęściej nie było go w domu. Zato w tej porze przychodziła zwykle pani Awratyńska. Siadała razem z Hanią na małej kanapie i we dwie słuchały tak muzyki Worośnickiego, czasami tylko zamieniając ciche słowa. Hani podobała się ogromnie ta starodawna, delikatna kobieta, ale nigdy nie umiała rozmawiać z nią tak szczerze, jak z Małgorzatą. Z tamtą rozumiały się doskonale, z tą mogły się tylko odczuwać.

Pani Awratyńska lubiła najbardziej melodje beznamienne, łagodne, wiolinowe. Hania domyślała się, że muszą one być podobne do jej miłości. Ogromnie bowiem kochała swego męża, który zawsze musiał być daleko i tylko niekiedy przyjeżdżał. Pani Awratyńska młodziła wówczas, stawiała się wesolą, nosiła najładniejsze swoje suknie. Przez tydzień bawiła się, bywała na koncertach i w teatrach, przypominała sobie radosne czasy młodości. A po wyjeździe męża była znów tylko dobrą mamą Marjety; haftowała wtedy kwiaty jedwabne albo z Hanią słuchała muzyki.



— ...Było to zupełnie stylowe, ja wiem — Dla pana, z artystycznego punktu widzenia zwłaszcza. Ale właśnie literackie efekty w życiu — — — Hania ze smętkiem kiwała małą głową w obie strony.

Tłomaczyła Worośnickiemu, dlaczego teraz nade wszystko kocha życie.

— I te motyle? — — zapytał, uśmiechając się, jakby mówił do dziecka.

— Nawet motyle — — — W domu niezamącona ciska. Mama snuje się w cichych pantofelkach. W każdym pokoju książki, a w ojca gabinecie całe ściany zakryte grzbietami ksiąg. Dwa stoły wielkie, okryte spłowiałą, grubą tkaniną, na których mama napróżno codziennie czyni porządek. Szerokie karły z niezgrabnemi, rzeźbionemi, poczerńniętymi poręczami. Duży pokój, przedzielony od góry arkadą z grubego muru i ciężką, rozsuwaną kotarą. Tam w głębi siedzi zawsze ojciec, starzec z długimi siwymi włosami i siwą brodą. Jest taki obraz Seilera, *der Gelehrte*. Zna pan? — było tam prawie zupełnie tak samo, jak na tym obrazie...

Z wysokości samotni swej patrzył na dachy dziwaczne starożytnego, uniwersyteckiego miasta, na ciężkie gmachy bibliotek i muzeów, na chwałę mającą przeminać poczerńniętych kościołów przepysznej struktury, na rzekę, u stóp grodu płynącą, na doliny zielone pomiędzy pagórkami, pasmo gór dalekie, narysowane już na niebie. Gdy siedział tak u okna, był jak obraz starodawny, na którym duży człowiek pierwszoplanowy ma za tło minjaturowy krajobraz w dali.

...O świcie dzwony niezliczonych kościołów budziły go do pracy, mającej zniweczyć ich władzę. Widział młodzież, dążącą co rana do zabudowań wszechnicy. W tamtych władzy była jeszcze i pozostać miała lat dziesiątki. Podczas uroczystości profesorowie w pięknych strojach średniowiecznych przechodzili tamtędy do kościoła. Kościół i wszechnica związane były łańcuchem, zrobionym z dawnych kajdan, który poprawiano wciąż,

gdy się rozpadał. Ojciec — humanista, wolnomyśliciel, wróg znienawidzony, wyrastał w samym sercu ich państwa, roztaczał swe nieuchwytne panowanie. Przez życie całe nie otrzymał ani jednego tytułu, nie uczestniczył w żadnym zjeździe, gdyż wszystkie zaczynały się od mszy. W starości już ofiarowano mu katedrę, której nie przyjął. Zawsze siedział tak w samotni swojej, nienawidzony przez wszystkich matadorów nauki, niedostępny nawet dla uczniów swych i wyznawców, którzy odwiedzać go chcieli — — Dom był samotny i cichy aż do przerażenia, odgradzony od świata murem tak szerokim, by nie przepuszczał dzikiego wrzasku drapieżców, których pastwom rozwiązywano tutaj skrępowane skrzydła.

Hania wstała, przeszła przez pokój zamyślona i patrzeć zaczęła przez okno. Worośnicki wiedział, że poprzez kształty ulicznej perspektywy natężeniem pamięci ujrzeć pragnie ciężkie, ciemne sylwety średniowiecznych gmachów, gotyckie wniebowstąpienia kościołów uniwersyteckiego miasteczka, doliny zielone i błękitne góry na horyzoncie.

— Rozumiała go pani już wtedy?

Tonem potwierdzenia, głowy nie odwracając od okna, odrzekła:

— Kochałam.

Worośnicki siedział przed fortepianem. Długimi palcami przesuwiał po klawiszach, ale nie grał. Jakby przypominał sobie w myśli jakąś melodję, chciał wywołać z zapomnienia, czy z niebytu.

— Zabawne rozmowy, porozumienia cudowne duszy mędrca z duszą dziecka, wiedzione w szczególnym nareczu. Siedziałam w jego pokoju, charakterem dziecinny przepisywałam jego manuskrypty, w szufladach układałam notatki, robione ołówkiem na świstkach papieru, wewnętrznych stronach rozdartych kopert, — bo był strasznie roztargniony i nieporządnym. I pytałam się go o różne rzeczy. Widziałam wówczas, jak ogromnie dobrą jest mądrość. On, któremu życie całe zbiegło na

walce nieustannej, w domu łagodny był, dla wszystkich jednakowo uprzejmy. Chętnie objaśniał mi znaczenie wyrażen obcego pochodzenia, odrywając się od rozmyślań nad najzawilszemi problematami bytu, wykladał prawdy elementarne, geometryczne aksjomaty. Jako dziecko, znałam już fantastyczną, nieprawdopodobną budowę kosmosu, kochałam się w odległości bajecznej mgławicowych agregatów gwiazdnych, podziwiałam wielkie, spokojne przemiany świata, wobec których ewolucja jest tylko fazą przelotną i znikomą. Tak szłam do życia — od strony jego najbardziej abstrakcyjnej. Więc teraz kocham nadmiernie życie prawdziwe...

W tamtym domu przeszło całe dzieciństwo moje. W lecie nie wyjeżdżaliśmy nigdzie, bo tam było tyle blizkich spacerów za miasto. Przytym koło domu był ogród niewielki, odsłonięty od świata szaremi murami, gdzie wolno było spacerować mieszkańcom. Ojciec nie opuszczał nigdy rodzinnego swego miasta, jak ów mędrzec królewiecki; pomimo tego podobieństwa jednak pałał najwyższą niechęcią do etyki kantowskiej, do owych słów: „niebo gwiazdziste nademną i nakaz moralny we mnie“; te same słowa — przypomina pan sobie? — tak oczarowały Beethovena... Ach, jakie dziwne, dziwne, fantastyczne są owe wciąż przecinające się i rozchodzące drogi, któremi w zimnym świetle białych źrenic tajemnicy przechodzą pośród nieskończoności nauka, sztuka, religja — —

Woroński odwrócił się od fortepianu. — A te motyle? — zapytał po chwili.

— Z motylami było tak: w owym ogrodzie koło domu zbierałam na bladych w cieniu murów roślinach puszyste gąsienice i hodowałam je w domu; codziennie przynosiłam im liście świeże, póki nie zamieniły się w poczwarki. Z atlasów ojca określałam gatunki ich i nazwy, przewidywałam, jaki urodzi się motyl. I raz właśnie zdarzyła się dziwaczna rzecz. Dwa motyle urodziły mi się w samym środku zimy, kiedy w ogródku był śnieg i okna

były zamrożnięte, całe w desenie kwiatów, jak witraże. Poszłam do ojca i powiedziałam: „no zobacz tylko, co one zrobiły! wyszły teraz! Nie mogę ich przecież na zimę wypuścić. Co ja im dam do jedzenia?...“

Powiedział, żebym im dała cukier zmoczony. Obejrzał przelotnie malutkie zwierzątka i dalej przewracał karty książki, jakby szukał czegoś, bo wcale nie czytał. Ale matka, która pisała coś u ojca, odwróciła się nagle i powiedziała:

— Idź, Haniu, do mego pokoju, tam stoi przy łóżku hjacynt kwitnący —

Wszystkie okna naszego mieszkania wychodziły na północ. Tylko u ojca było trochę słońca, które wpadało przez okno boczne. Więc tu przyniosłam doniczkę i na dzwonkach kwiatów chłodnych, pachnących, posadziłam motyle.

Matka wstała od stołu i nachyliła się nad motylami. We dwie patrzyłyśmy ze skupieniem niesłychanym.

Motyle nie uciekały, tylko pajęczynowemi, czarnemi łapkami czepiały się płatków, laziły trzesąc się niezdarnie, miękie jeszcze i wiotkie, ze zdumieniem ruszały wąsami. Nagle jeden rozwinął olbrzymią swoją trąbę i wgłąb kwiatu zatopił. I potym drugi także. „O, jedzą!“ krzyknęłam.

Ojciec zainteresował się i, ściągawszy brwi siwe, patrzył ze swego fotelu.

W tym pokoju poważnym, o ciemnych, grubych murach, między książkami, stał na ziemi w kwadracie słonecznym kwiat jasnofioletowy z dwoma wątłemi motylami. „Zupełnie jakby mały kawałek wiosny“ — powiedziałam. A matka potwierdziła: „Ach, tak, kawałek życia“ — —

Później wyniosłyśmy stamtąd motyle, żeby ojcu więcej nie przeszkadzać, i przypatrywałyśmy im się dalej w pokoju mamy, w którym nie było słońca. Ach — to był największy smutek mamy, że mieszkanie nie jest słoneczne. O to jedynie spierała się niekiedy z ojcem, który znów za nic przeprowadzać się nie chciał gdzie-

indziej ze względu na swoje książki i notatki, gdyż mogłyby się pomieszać lub poginać.

A te sztuczne motyle żyły sobie może tydzień — już nie pamiętam — a później umarły — — Żalowaliśmy ich wszyscy, że żyły tak krótko i nie zobaczyły wcale wiosny prawdziwej — — —

Woroński patrzył na mały, stary portret za szkłem, wiszący nisko na ścianie w staromodnej ramie.

— Czy to jest mama pani? — zapytał.

— Tak, to właśnie jest mama.

— Taka młoda — —

— Tu jeszcze była panna. Ale zawsze wyglądała młodo, miała zupełnie czarne włosy i była naprawdę nie-zrównanie piękniejsza, niż na tym portrecie. Widzi pan, mama była drugą żoną ojca. Młodsza była od niego dość znacznie, ale kochała go bardzo. Zawsze chodziła po domu w maleńkich pantofelkach, by mu nie przeszkadzać hałasem. Nie widywała nikogo, ale nie nudziła się wcale, uśmiechała się często i szczęśliwa była zupełnie. No, powiadam panu: jedynym jej smutkiem było, że mieszkanie nie jest słoneczne. Z taką zabawną rozpaczą powiedziała kiedyś: „Haniu, pomyśl tylko, przecież ja przez całe życie nie miałam słońca!“



Jasne ściany salonu zakryte były zmierzchem, jak dymem. Paliła się tu jedna tylko mała świeca, stojąca na fortepianie. Żółta plama pośród szarego błękitu. W ciemnych liściach, narysowanych koronkowo na tle okien, świeślały blado szklane banie akwarjów ze śpiącymi rybami. Woroński grał coś dziwnie miękko i łagodnie.

Hania siedziała tuż przy brzegu fortepianu, na małym fotelu, oparta łokciami o kolana, z brodą, wciśniętą w dłoń. Śledziła muzyczne ruchy rąk grających, pieściła się liniami pewnych przegięć, przy których ręka stawała się podobna do łabędzia. Podziwiała, jak miękko zatapiały się w głąb klawisze pod pieczętą tych pogłaskań, musnięć powiewnych, dotknięć najdelikatniejszych.

Skulona, wpiła zblizka w tę rękę magiczną swe oczy zielone i głęboko rozważała dziwaczne dzieje melodji, proces tajemniczy powstających dźwięków. Czym jest właściwie owo przelotne uderzenie bezgłowne palców, dźwięczące draśnięcie powietrza — później milknące? Czemu zrozumieć nie można momentu stawania się muzyki, ani nazwać imieniem wiadomym tajemnego związku między lotem marzenia i ruchami owej ręki, odklinającej z uśpionych szumów świata czarodziejskość melodji? Ach — wiedzieć do jakiego mianowicie stopnia egzystuje melodja wówczas, gdy jej nie słyszymy, melodja, zamknięta w nutach czarno oprawnych i w rękach odpoczywających. Pojąć ową tajemnicę szczególną, że nie dźwięki same są muzyką, tylko ich kolejność; zjawisko łaskawe i niezmiernie drogocenne, że słysząc jedno dźwięki, pamięta się minione. Tak mało przecież potrzeba, aby już wcale nie było muzyki.

Hanię głęboko zasmuciła myśl, że pochwycić nie można rzeczy słyszanych, wziąć w ręce, położyć na stęsknionych ustach. Że nie można czoła płonącego przytulić do muzyki. Że byt jej taki jest różny od bytu naszego, od bytu całej natury, że wisi na jednym ze szczeblów fantastycznych i niezliczonych między istnieniem i nieistnieniem. Stąd zwieźność, zniszczalność rzeczy muzycznych, ich niedotykalność, stąd bezziszczałność zasadnicza wszystkich muzycznych przeczuć i zapowiedzi, jako należnych do innej sfery bytu.

Kość blado kremowa i czarne drzewo klawiszów, nuty, leżące gdzieś daleko, pamiętane, napięte druty strun i ruchy magnetyczne rąk długich, pieścących — rąk

ukochanych, ukochanych — — — Co z tego wszystkiego jest muzyką? Czy nie najważniejsze czasami jest medjum całych owych dziejów, kryształ niedotykany, ukazujący się tylko z wielkiego oddalenia — jako błękit. Czy muzyka to nie jest tylko — powietrze śpiewające — — ? Śpiewające na prośbę człowieka — zakłęte błaganiem rąk, szarpiających struny, głaskających klawisze — —

Hania pomyślała o wszystkich tych ołtarzach muzycznego kultu, o przyborach rytualnych, którymi ludzkość od wieków modli się do powietrza, aby śpiewało. Indusi modlili się na winie siedmiostrunnej, którą przyniosła na ziemię żona Brahmy, Saraswati. Monarchowie chińscy na trzydzieści wieków przed Chrystusem „rzadzili wszechświatem i grali na tsinie“, która ma struny z jedwabiu; owa to muzyka jedwabna koila smutek Konfucjusza, gdy rozmyślał o błędach swej ojczyzny. Do zaklinania powietrza służyły ludziom instrumenty, robione w kształcie leżącego tygrysa, gitara o postaci jaszczurki, arfa o postaci kota, do którego ogona przymocowane są struny. U Arabów była lutnia, na której grało się piórem orlim. Pod wpływem dźwięków owej lutni czternastostrunnej Harun al Raszyd przebaczył zdradę kochance swojej, Maridzie. I mówią Arabowie, że muzyka „łagodna, jak mleko, a jak wino płomienna, oswaja dzikie zwierzęta i czaruje serca ludzi“. Egipcjanie umieszczali w hieroglifach rysunek instrumentu muzycznego dla oznaczenia pojęcia dobra. Każda ze strun ich liry była symbolem pory roku, a każdy ton muzyki odpowiadał planecie. Pogodne powietrze Grecji wprawiała w drżenie lira, forminga i epigonion czterdziestostrunny. Ktesibios, matematyk aleksandryjski, na dwa wieki przed Chrystusem wynalazł organy, które przez długie stulecia opiewać miały później chwałę katolickiego Boga. Na flecie, lirze i organach modlili się do powietrza Neron, Heliogabal, Kaligula, a kobiety rzymskie grały na cytarach. Od murzyńskiego balafo aż do naszego fortepianu, którego pierwowzorem był kanun Arabów i gęśla asyryjska, — ileż

sposobów niezliczonych poruszania powietrznych kryształów. Jaka religja miała w dziejach świata tyle serc ekstatycznych, hymny głoszących ust i rąk rozmodlonych — ? Który bóg tyle odebrał hołdów, co powietrze — ?

— Co pani myśli? — spytał Worosnicki. Nie grał już. Przekreślił się na krześle i przyglądał Hani.

— O tym wszystkim, co pan mi opowiadał wczoraj. O tych rozmaitych instrumentach — —

— Podobało się pani?

— O tak — całe to powietrzne państwo muzyki... To jest doprawdy okropne, że do niej nie można się przytulić, jak na przykład do fortepianu. I — jeszcze jedno — dlaczego nie można słyszeć kwiatów — ?

— Chciałaby pani koniecznie, żeby śpiewały?

— Nie, nie. Tylko żeby można było słyszeć ich istnienie.

— Słyszeć istnienie kwiatów — powtórzył z półuśmiechem. — A wie pani, że w muzyce, jak w niebie Platona, znajdują się idealniki wszystkich rzeczy, które są na ziemi. I kwiatów także. Więc można słyszeć kwiaty — —

— Doprawdy? — ucieszyła się Hania. — Ach, gdyby pan chciał mi zagrać na przykład mimozę!

W głębi pokoju stał w wazonie duży bukiet tych kwiatów. Puszyste gałęzie wyglądały pośród błękitnych dymów zmierzchu, jak jasnozłota chmura. Hania uwiesiła się oczami na tej chmurze.

— Nie mogę — tak odrazu, — mówił Worosnicki, z namysłem przebierając klawisze. — Nie dziś. Mimoza jest trudna.

Odszedł od fortepianu, i przechadzając się, ułamał małą puszystą gałązkę z bukietu. „Zabawne jest, że zawsze sobie weźmie jakiś kwiatek z tego wazonu i później męczy go w palcach“ — zauważyła Hania.

— Nie ma pan pojęcia, jaka panu jestem wdzięczna za to wszystko.

— Za co wdzięczna?

— Bo mi się wydaje, że pan jest takim dobrym królem, który mnie wprowadza łaskawie do swego mocarstwa. Kiedy tam jestem, chodzę wszędzie za pana myślami, jak niewolnica. Muszę czuć wszystko, co panu się podoba. Chodzić po tych samych najdalszych krawędziach, schylać się razem nad niepojętymi wodami, usiłować odgadnąć każdy giest woli, każdy wyczuć szmer myśli. Ogromnie się wciągam, aby pan czasem nie był ze mnie niezadowolony — jestem czujna, pełna uwagi, gotowa na każde nieświadome pana skinienie. A pan może nawet nie o tym nie wie — —

— Nic nie wiem — powiedział.

Oczy Hani z pewnym niepokojem skontrolowały jego uśmiech. Zrozumiał to spojrzenie. Wziął w rękę prawą łapkę Hani i pocałował ją, nisko pochylając głowę.

— A to wszystko jest prawda — rzekła, nieco się rumieniąc.

Uczuła wstyd — ale nie z powodu tego pocałunku, gdyż był ładny i dobry. Szło jej o to, co sama powiedziała. Z przykrością wyczuła zasadniczą niemożebność powiedzenia kiedykolwiek prawdy, pierwszej prawdy. To, co powiedziała, nie było fałszywe, ale fałszem był fakt, że mówiła. Było to odegranie roli siebie, stylizowanie na temat własnych uczuć, istniejących przedtym prawdziwie. Owa pośmiertna wtórność każdego uczucia była nieodzownym losem i stałą klęską Hani.

Wiedziała już, że i Worośnickiemu nigdy prawdy nie powie. Wszakże nie znajdowała w nim teraz nic z tego, co było w jego muzyce. Dokąd więc to odchodzi? gdzie w nim śpi? Są za to inne rzeczy niewymownie nęcące... Oczy zasmuczone, uśmiech prawie dobry, cichy głos. Owo takie strasznie uważne przyglądanie się małym kwiatom. Ramiona, które trzeba obejmować, usta, których nie całować nie wolno — —

Drżała od takiej myśli — i wiedziała zarazem, że tego nigdy mu nie powie. Bo gdyby nawet powiedziała,

to w owej chwili byłoby to już kłamstwem. Byłoby skonstatowaniem historycznym czegoś, co już minęło. I Hani przyszło na myśl, że dla niej jedynie możliwym, szczerym wyznaniem miłosnym byłyby słowa: „Kiedyś kochałam“. A przecież to jest ogromnie smutne, jeżeli ma tak trwać całe życie — — —

Ze zdumieniem usłyszała, jak mówił:

— Prawda? — a ja nie wierzę —

— Pan? dlaczego — — ?

— Wogóle trudno jest w panią uwierzyć — —

Hania, marszcząc brwi, rozważała tajemny sens jego uśmiechu. „Cóż znaczy to? czyżby odrazu wszystko wiedział?“

— A dotąd — — zwykle wierzone pani, prawda?

— Naturalnie.

— Ja wiem. A pani — czy także sobie wierzyła?

— Powinnam się obrazić, bo pan mówi ze mną, jak z dzieckiem.

— Ach — bardzo przepraszam... Ale — — — — —

— Jakie?

— Najważniejsze to, że pani chce się bawić...

— To znaczy co?

— A czy nie mówię prawdy?

— To znaczy co? — powtórzyła.

Uśmiechnął się znowu. — Pocóż mam tłumaczyć, kiedy pani wie dobrze — —

Uważnie popatrzyła mu prosto w oczy i zaraz odwróciła wzrok ze smutkiem. Rzeczywiście — wiedziała dobrze to wszystko. Aż nadto często przekonywała się w życiu. A przecież — jakie szczególne zdarzenie! — w tej chwili najbardziej fałszywe było to, co mówił on, wszystko zaś, co uprzednio powiedziała była ona — na powrót stało się prawdą. Ale — — o Boże, Boże — prawdą stało się tylko dlatego, że on nie uwierzył.

„To jest ogromnie smutne, jeżeli ma tak trwać przez całe życie“ — — — — — raz jeszcze pomyślała.

— Widzi pan — w takim razie ja już nigdy nie będę mogła panu nic powiedzieć szczerze.

— Niechaj pani zawsze mówi, jeżeli to będzie prawda.

— Panie — gdybym to ja sama wiedziała, co jest prawdą z tych wszystkich rzeczy, które idą wciąż przez moje myśli!

— To niechaj pani mówi to, w co pani wierzy, że jest prawdą —

— Kiedy nigdy nie wiem zupełnie napewno. Mogę się przekonać znacznie później dopiero, znacznie później. Naprzykład za rok — — A tak — we wszystko wierzę zawsze tylko do połowy. I jeszcze jedno. Wie pan, że to, co jest prawdziwe, najczęściej nie jest rzeczywiste —

— Więc proszę, żeby pani wszystko mówiła. Ja sam już wiedzieć będę, w co mam wierzyć —

— Dobrze. Jak pan chce — — Mnie to jest wszystko jedno...

Nagle popadła w głęboką zadumę. Bawiąc się przepłataniem własnych palców, rozmyślała nad dziwnym tym zdarzeniem, że uczucie, ujęte w myśl, przez sformułowanie nie przyjmuje kształtu owej myśli jedynie, ale chemicznie zmienia się w myśl — i później już wcale nie istnieje.

Powoli podniosła oczy i spojrzała na Worośnickiego ze smutkiem i czułością. „Ach, wiedzieć, wiedzieć w jakim stopniu prawdą jest, że w tej chwili kocham ciebie“ — zapragnęła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



ANDRZEJ BAUMFELD.

O Ideale Syna Bożego rozmyślania.

Rozmyślać o ideale — bezmiar wyczerpywać małym kubkiem słowa — w czterech ścianach pracowni wyznaczać drogę falom życia...

A fale wzbierają, pienią się, bałwaną i w oszalałym rozlewie unoszą z sobą pracownię i rozmyślającego mędrca...

Jedna jest droga dla poznania się w sferze ideału: płomienny ogień, wieczyście się sam z siebie sycący — wizja, w nocnych godzinach budząca ze snu —

oczy i głos, które idą z nami wszędzie od pierwszej chwili spotkania, prześladowają każdą chęć duszy, wywołują się i zjawiają znienacka na węzle wszelkiego utęsknienia.

Stąd ciągła walka i ciągły pokój — ciągle odrzucanie i ciągle poddanie się — klątwa i błogosławieństwo: morze wiecznie burzliwe a takie ukojnie rozwarte — w samym

sercu swej głębi i gdzieś wysoko ponad nią kryjące wiecznych swych przemian tajemnicę.

Tak my i ideał — —

Ale myśl jest niczym, jeno komentarzem—a wszystko jest poza nią.

Jedno mię pociesza:

że i ona dostępna jest tylko tym, którzy są poza nią.

Wiedzieć o czymś — i być w czymś.

Jest między jednym a drugim żelazna brama, o którą się szczerbią miecze Chrobrych — jest toń przepastna, po której przejdą, nie tonąc, *Mający Wiare*.

*

Wszelako dobrze jest -- rozmyślać: w samotnych, chłodem sklepionych komnatach snuć jedno za drugim spokojne wspomnienia, przechodzące cicho refleksje na chwilę jeno wstrzymywać, tak tylko, aby ich szept nieśmiały pochwycić — a potem śledzić spokojnie, jak gasną, gasną—bledną i gasną....

A pozatym jest *samo ognisko*, które zna niestygnące nigdy żary swoje i dlatego właśnie może puścić wolno ciche, spokojne odbłaski—na dalekie, nęcące świadectwo...

„Nie był on światłością, ale iżby świadectwo dał o światłości...”

*

Było zaś raz tak (bodaj każdego dnia „bajki” i każdego dnia „prawdy” tak się dzieje), iż wędrowiec, ciągniony długo tam i sam przez ślepią Noc po zboczach drogi swojej, dostrzegł zdala przyzywające skinienia małego światelka i, poszedłszy, znalazł ciepłą izbę i dobrych gospodarzy, a na dalszą wędrowkę krzepiące rady i skazówki...

* * *

Carlyle nazwiska Jego nawet nie śmie wymienić, mówiąc o Największym z Bohaterów.

Sądzę, że my możemy go nazwać wprost Jezusem, Synem Boga-Ducha i Dziewicy-Marji...

A nie będziemy z tych, którzy, nazwawszy tak, powiedzą: „izaż ten nie jest syn rzemieślniczy? izaż matki jego nie zowią Marja?... skądże tedy temu to wszystko?...”

Bowiem jesteśmy, jako On, z Boga-Ducha zrodzeni, a pragnęlibyśmy wszyscy móc powiedzieć: i z Matki-Dziewicy...

Bracią Jego jesteśmy, a On nam Najstarszy i jeszcze Niedościągły...

„Najmilejsi, teraz synami Bożemi jesteśmy: a jeszcze się nie okazało, czym będziemy.”

To święty Jan w pierwszym liście apostołskim.

On to zaś w czasie wieczerzy złożył głowę na piersi Jezusa i z serca mu wysłuchał one słowa.

*

Oto jest ton ewangeliczny.

Niewiedzący szukają go w miękości i cichej pokorze.

Ale którzy byli z Jezusem na *Górze Przemienienia*, wiedzą, iż dwa są oblicza — *dwa słowa* — jednej Prawdy.

Pierwsze:

„...Ojciec większy jest, niżli ja...”

A wtóre zaś słowo:

„...Ja i Ojciec jedno jesteśmy...”

Pierwsze tedy słowo jest Jezusa, Syna Marji, posłanego na ten świat.

A wtóre zaś jest Jezusa, Syna Boga, oddzielonego, ale nierozłącznego z Nim na wieki.

Pierwsze z niewidzialności wchodzi w oczywistość cielesną.

Wtóre przez cielesność dotykalaną przebija się w rozemknętej nieskończoności.

Jedno tedy i drugie prawdą jest Ciałem odzianego Ducha.

Jedno i drugie wspólnie jest *pełną prawdą Człowieka*.

*

Wtóre z onych dwóch oblicze Prawdy zjawia się jeno na Górze Przemienienia i tam twarz naszą obleka, *naszym* się staje.

A ktoby już nie chciał być bez niego, *musi tam zostać* — i tejże chwili *umrzeć*, co jest: jedno się z Ojcem uczynić na wieki.

Ale jeśli wzrok w niż, na ziemię obróci i kroki ku niej zmierzy, tedy wchodzi świadomie w Ciało — w dalszy ciąg zjawy i uczynków, które są dziećmi jej wiecznie płodnego łona.

Syn Boży łuk dzierży w ręku — tam na Górze, grotem strzały napina cięciwę — może ją spiąć aż poza krańce widomej siły — natedy strzała raz na wszystką wieczność w niedojrzane pomknąć przestworza.

Łuk i cięciwa prysną — — —

*

O Panie, Panie, na cóż mi dałeś ocknienie, a stopom moim kazałeś wstać i pójść?...

Oto oglądałem oblicze Twoje, a słowa ust Twoich rozpały we mnie światło niegasnące, a dłonie Twoje wznicały w rękach moich moc omdlenia wiekuistego — a złożyłeś w oczy moje łaskę wszechwidzącego zawarcia — I już jeno z Tobą byłem i przez Ciebie...

Nie było skrytości, któraby mi się nie otworzyła — ani ciemności, któraby nie zapłonęła dla mnie dziennym blaskiem...

I zawiesiłeś ukojenie i cichość nad „wodami serca mego“...

O Panie, Panie, za cóż mi teraz każesz zniżyć, a patrząc, nie widzieć, a słuchając, nie słyszeć, a postradać wszystko, a nic, nic nie zyskać wzamian?...

Za cóż mi każesz iść w te gąszez, mrokiem wionące, przez które tylu, tylu już szło, a każdy musi nowo, jako pierwszy?...

Czemu mi każesz żyć życiem, które jest śmiercią — a nie dałeś umrzeć w żywocie z Tobą na wieki?...

*

Tak się modlili skargą wyrzutu ongi Święci Pańscy, skazani na powrót ze wzgórz Przemienień...

Ale ten-ci jest Syn Boży, który powiada:

„Ja wiem, skąd idę i dokąd idę.“

A schodząc w dom ciała swego, wie, że miał moc rzucenia go na zawsze...

*

Jest rząd nieświadomej Woli.

Wedle tego Syn Boży staje się powrotnie Synem Marji.

Ale i przez to, co władza poza nim, *On włada*.

*

Są siły, które nawet wtedy, gdy najbardziej błędną jeszcze tyle krwi w sobie mają, że *muszą* żyć dalej.

Wedle nich Syn Boży staje się powtórnie Synem Marji.

Zaś Władzący — bowiem to jest Imię Jego — wita ich zmartwychwstający kształt tak, jakby się pierwszy-kroć rodziły dla życia.

A usta mu rozchyli nie modlitwa więzionych ciałem Świętych, jeno ponowne, potysiącrotne, z radośnie-bolesnym uśmiechem:

Bywaj — przybywaj!...

*

„Królestwo moje nie jest z tego świata“ — ale jest *dla tego* świata.

*

Odkupiciel człowieczeństwa pogańskiego przynosi Tajemnicę Płomienia także nie z tego świata — a *dla* niego daje się rozpiąć na ostrzach skał...

Jest także synem Uranosa i Gai — Nieba i Ziemi.

Ale Prometeusz, rzucając na ziemię iskrę Ognia Bożego, zarzewił na niej wieczystą — zdało się — nieprzyjaźń z niebem.

Ojca swego pokłócił z Matką.

Jezus, syn Ojca Niebieskiego i Ziemskiej Dziewicy,

przyszedł „ogień miotać na ziemię... aby był zapalony”—ale wraz z Tajemnicą Płomienia schodzi na ziemię sam Bóg.

Nieprzyjaźń rodziców Ognia zwarła się w jedność ciała i duszy Syna Bożego.

Prometeusz w buncie, wbrew Bogu tworzący życie ziemi, jest zawsze *spętany* Prometeuszem.

Dopiero, kiedy się staje Synem najmilejszym, schodzącym z Bogiem-Ojcem ku Matce-Ziemi, jest już na wieki *wyzwolonym* Prometeuszem.

*

Świat starego ducha mógł być tylko *spętać* Syna Niebios i Ziemi.

Mógł być potym *zateksnić* do jego wyzwolenia—wyprorokować Zbawiciela—ale sam go zrodzić, znieść z wysoka dośrodek siebie, nie mógł.

Twórczość starego ducha mogła być jeno Spętanego Prometeja dać krwawy dramat. I zamknąć go *niedomówionym* wieszczeniem Tego, który przyjdzie rozkuć.

Reszta zginęła...

*

„Eritis sicut deus” — to były niegdyś ślizkie podszepty kuszenia, a wyciągnięte ku niemu ręce traciły wraz cały raj...

Ale Syn Boży sam bierze na siebie postać światłonośnego Kusiciela i temiż słowy, co były ongi płomienistym mieczem zakazu, nanowo raj otwiera: „Bądźcie, jako Bóg, doskonali” —

Obawa starego zakonu, za którą się nieśmiała tęsknota skrywała, staje się nowego świata poręką i podźwignią.

Prometeusz — Lucyfer — Chrystus.

Groźna, zastraszająca klątwa starego ducha i starego zakonu rozwiązuje się w błogosławiącym kuszeniu zwidnionej Boskości.

Boski Płomień i Boska Wiedza zawieszono są na nowo na drzewach roztworzonego Raju.

*

Pozostał już jeno ten nieprzyjaciół, któremu imię: „Książę świata tego”.

A królestwo tego księcia jest z tego świata — ale nie dla tego świata.

A bronią jego jest czern i faryzeusz—a wiedzą jego: co jest prawda?—a ostatnim dowodem: krzyż.

*

Czym jest Śmierć?

Schłonięciem przemiennej indywidualności przez samą Jaźń.

Ale Syn Boży umiera—to jest: *składa* przemienność swoją na *rzecz* Samości.

Śmierć Syna Bożego jest ostatnim jego *postanowieniem*.

I w śmierci Władzący się jawi.

Gotamo Budda mocą woli swej stanowiącej zdejmując z siebie, jakby w cząstkowej, świadomej rozkoszy, powłokę ostatniego wcielenia. Ulatnia się w cichą i słodką woń wszechducha, a lży przyjaciele nie zdołają go wstrzymać od tej ostatniej, wół-cielesnej rozkoszy.

Jezus Chrystus [zmaga się — Syn Marji z Synem Boga—aż obaj jedni o się stają i Jezus Chrystus *postanawia*.

Pozór wcale odmienny:

Jezus ulega zastawionym przez nieprzyjaciela sidłom, w okropnych kurczach przedzgonnych wije się przez najeżony łańcuch cierni: od żółcia pojonego pragnienia aż do sromoty opuszczenia przez Ojca.

Ale w śmierci obu Synów Bożych toż jest — pełnowolne, pełnoświadome zrzeczenie się widzialności cielesnej.

„Teraz przyszła godzina...”

Sam przesuwając skazówki zegaru.

A podszedłszy do siepaczy, rzekł:

Jam jest.

*

Syn Boży przywodzi *zdobywanie* swoje do kresu — i stanowi i idzie do Śmierci.

Zaś kresem jest poczęcie się godziny *używania*.

A użycie nie jest udziałem pierwszych Synów Bożych, co są, jako „kamień węgielny.“

Oni są na zdobycie i odkupienie.

Po nich zaś ci, co obszary widome ku szczytnemu wiodą skojarzeniu: *zdobywania z użyciem*.

Jezus widział to poza kresem drogi swojej i mówił dlatego:

„Większe nad te (uczynki moje) czynić będziecie.“

*

Większe uczynki — i nie nadto.

Większe uczynki — rozleglejsza zjawia — szersze obejmowanie dziedzictwa — zdobywanie z użyciem — —

Ale wielkość sama jest w sobie.

Widział i to Jezus i mówił dlatego: „Dosyć uczniowi, aby był jako mistrz jego...“

Dosyć-ci, aby ludzkość była, jako Synowie Boga.

*

Krzyż.

Jest jeno koniecznością dla *pierwszych* Synów Bożych — ale ani dla nich upragnieniem.

Jest znakiem zwycięstwa tylko dla nich, co są jako ziarno, które, „jeśli nie obumrze, owocu nie dawa...“

Przeto następnym zostaje nie *krzyża* dziedzictwo (znamię to przejściowe), jeno *zwycięstwa*.

„Ufajcie, jam *zwyciężył* świat.“

*

Tedy imię Jego jest *Zwycięzca* i *Władzący*.

A Pierwszy przez krzyż zwyciężył, aby Następni mogli zwyciężać bez krzyża.

*

I jest w Objawieniu przyszłego tryumfu (Apocalypsis):

„...śpiewali NOWĄ PIEŚN, mówiąc: ...będziemy *królować* na ziemi...“

I jest jeszcze:

„zwycięzcy dam mannę skrytą: i dam mu kamyk biały: a na kamyku IMIĘ NOWE napisane, którego nikt nie zna, jedno KTÓRY BIERZE“

Zakopane, grudzień 1907 r.

OCENY I SPRAWOZDANIA.



LITERATURA POLSKA.

U schyłku.

Wydawnictwa Gebethnera i Wolffa, dotyczące ostatnich czasów Rzeczypospolitej. ADAMA MOSZCZEŃSKIEGO: *Pamiętnik do Historji Polskiej*. JÓZEF WYBICKI: *Pamiętniki. — Z dziejów Hajdamaczyzny*. 2 tomy. Nowe wydania tytułowe, opatrzone przedmową HENRYKA MOŚCICKIEGO.

Szczęśliwą miała myśl firma Gebethnera i Wolffa, odnawiając mało do niedawna znane w Królestwie wydawnictwa, obrazujące żywym słowem ludzi, stosunki i warunki życia politycznego i społecznego u schyłku istnienia Rzeczypospolitej.

Przed oczyma naszymi przesuwają się jaskrawe, może nawet przejawiskawione czasem obrazy znacznej części XVIII stulecia w Polsce.

Wyczerpana bez przerwy niemal trwającami od połowy XVII wieku bojami szlachta znużyła się i łaknie pokoju za wszelką cenę. Wojny kozackie, szwedzkie, tureckie i znów szwedzkie, wraz z towarzyszącymi im konfederacjami, ogólnymi czy wojskowymi, rokoszami i par-

tyzantką, wyniszczyły kraj, zgębiwszy chłopą, obróciwszy w ruiny większość miast i miasteczek. Nędza wołała o pomoc, zewsząd groziło niebezpieczeństwo, a sił brakło. Politycznie żyjąca i życie to w rękach swych monopolizująca szlachta z możnowładztwem na czele kwituje z wielkomocarstwowej polityki. Zjawia się częsty u nas, a zwykły w chwilach klęsk prąd „pracy organicznej”. Precz z orężem! precz z wojnami! precz ze wszelką szerszą polityką, skupiajmy siły, łączmy się, wzmacniajmy się, strzeżmy dóbr naszych, powiększajmy je. Szwed i Turek zgębieni. Kozaków wyzbyliśmy się. Moskwiciniowi zapchaliśmy gardło częścią Ukrainy — skąd nam niebezpieczeństwo może grozić? Wszak chyba nie od małego Brandenburczyka, co dopiero parę lat koronę królewską sobie wyprosił, nie od rzymskiego cesarza, no i nie od Rosji, opiekującej się nami troskliwie. A zresztą... co, jak co, ale politykę ująć w ramy teoretyczne Polak umie i umiał zawsze. Chęć nas dogryźć i strawić ostatni kasek, capnięty przez drugiego, my układamy się wygodniej dla polknięcia, głosząc, że nas „wskrzeszają”. Niemiec pcha nas na wschód, wypierając z kolebki historycznej, my mówimy, że spełniamy „misję historyczną”, cywilizując Ruś; kosztem naszym chęć podreparować się bankruci polityczni—stwarzamy „neoslawizm” i t. d. po wszystkie czasy. Nic też dziwnego, że i wówczas, jak na zawołanie, zjawia się teoria—sprytnie i głęboko pomyślana: „Polska nierządem stoi”. Istnienie Rzeczypospolitej konieczne dla równowagi europejskiej, ale Rzeczypospolitej słabej, nierządnej, porządek ją zgubi.

Na tle tym płynęło życie, o którym opowiada Imię Adam Moszczeński, discipulus Jezuitów, żołnierz Fryderyka Wielkiego, konfederat barski, szambelan Stanisława Augusta, serdeczny przyjaciel Repnina, totumfacki dyktatora Targowicy—Szczęsnego, poseł na sejm czteroletni, zajadły przeciwnik Ustawy majowej, niefortunny marszałek konfederacji w Środzie, szef regimentu „Złotej wolności”, przemianowanego na pułk rosyjski i wreszcie — spisujący wspomnienia swego długiego (1742—1823) życia i używający wywcześnie spokojnych—zdecydowany stronnik nowego rządu.

Autor wprowadza nas odrazu *in medias res*, dając dosadną charakterystykę życia i obyczajów epoki saskiej, kiedy panowały maksymy wzniosłe: *qui fallit in vino, fallit in omni, in vino veritas*, lub też mniej filozoficzne, lecz

za to niesłychanie popularne i wzruszające swą jędrną prostotą: „Za króla Sasa jedz, pij, a popuszczaj pasa.”—Mamy więc i bohaterów, jak generał Komarzewski, mówiacz nawiasem, z kancelarii przybocznej na czoło wojsk postawiony, który w godzinę koszt szampana wychylał, lub też ks. podstoli Lubomirski, samowtór jednym ciągiem beczkę węgryna wypróżniający. Opowiada nam też Moszczeński o puharze Sapiehów, co jedynie przy dźwięku surm i kotłów był wychylany, o kielichu Mnischów, z którego August II się upił i t. d.

Pijaństwo uzupełniała bigoterja, do potwornych dochodząca rozmiarów, wyzysk ogółu przez całą armję kleru z Jezuitami na czele. Wytwarzały się typy, jak pielgrzymujący po kraju, na wózku, przez kozy ciągnionym, pan Komarnicki, wróżbita świętobliwy, lub też pan Wołyński, pijak, „plenipotentem Chrystusa Pana mieniący się”, co przez gorliwość religijną wciąż się procesował, awanturował i „wiele okrucieństw popełniał”. Za bigoterją szła ciemnota i okrucieństwo. Po miastach i miasteczkach sędziowie, czytać nie umiejący, sądzili, torturowali i palili czarowników i czarownice, ćwiczili pod pręgierzem publicznie ludzi wspólnie z bydłami i t. p.

Obok dosadnego obrazu bigoterji i pijaństwa znajdujemy u Moszczeńskiego bardzo dobrą charakterystykę życia wogóle, oczywiście wśród szlachty i na pańskich dworach.

Dalej idą opowiadania z czasów Stanisława Augusta, poprzedzone wspaniałą charakterystyką tego króla-komedianta. Obok wybornie oddanych szczegółów życia dworskiego, znajdujemy nieco rysów i samoistnych kombinacji pamiętnikarza z dziedziny polityki ogólnej. Kombinacje te są jednak bardzo naiwne i zawsze tworzone pod kątem patrzenia bezwzględного czciciela „bogom podobnej Imperatorowej” i przyjaciela Repnina. Bardzo jednak niedyskretnym jest ten przyjaciel, gdy bez ceremonji opowiada o frymarce kochanką-księżną między królem i Repninem. Smutne też świadectwo daje księżnej Czartoryskiej opowieścią o roli jej podczas pamiętnego wywiezienia Sołtyka i Rzewuskiego do Kaługi. Opowieść o tym ostatnim zdarzeniu jest niezwykle wstrząsająca. Mimowoli rumieniec wstydu okrywa twarz czytającego o tym, jak w buduarze metresy, król, ambasador rosyjski, kochanka ich obu, a niedoszła królowa, i płatna metresa królewska, we czworo omawiają gwałt niesłychany, a następnie, gdy

po dokonaniu gwałtu, mimo dziesięćkroć przewyższających wojsko rosyjskie, stojące wówczas w Warszawie, pułków nadwornych, ledwie jeden Zamoyski miał odwagę przeciwko niemu zaprotestować.

Niezbyt dokładną, choć nieraz nowe szczegóły podającą opowieścią o konfederacji Barskiej, rzezi w Humaniu i zniesieniu Sieży Zaporoskiej kończą się pamiętniki.

* * *

Innym charakterem odznaczają się pamiętniki twórcy Pieśni Legionów, a przedtym posła sejmowego, konfederata barskiego, pomocnika Andrzeja Zamoyskiego przy układaniu wiekopomnego kodeksu 1780 r., gorliwego rzecznika chłopów, mieszczaństwa i reform na Sejmie Czteroletnim, członka rady zastępczej w powstaniu kościuszkowskim, emigranta i wreszcie wybitnego publicysty i zdolnego beletrysty — Józefa Wybickiego.

W poprzednim pamiętnikarzu widzimy typ szlachcica-karjerowicza, umiającego zawsze z wody wyjść na sucho. Tu staje przed nami typ biegunowo odmienny. Idealista, tracący często sentymentalizmem, a przytym człowiek czynu przedewszystkim, nie cofający się przed niczym... Już jako dwudziestoletni poseł pruski na sejm 1767 r., Wybicki sam jeden protestuje przeciw gwałtom Repnina i musi uciekać. Wszystkie klasztory, dokąd tylko młody poseł-bohater udał się z prośbą o schronienie chwilowe, wypędzają go. Trybunał Piotrkowski, gdzie Wybickiemu z pomocą pewnego regenta udaje się protestację swoją w aktach umieścić, *unanymi voto* deputatów eliminuje manifest z akt. W Krakowie, o ponownym wpisaniu manifestu do akt nie chcą nawet słyszeć. Wreszcie, po przedostaniu się za granice Rzeczypospolitej, na Śpiżu kapituła węgierska manifest protestu do akt swych wpisała. Wymowny obraz bezsilności i obywatelskiego honoru posłów, senatorów, urzędów i społeczeństwa ówczesnego.

Ciekawą jest opowieść Wybickiego o pierwszych chwilach konfederacji Barskiej. Niedołęstwo wodzów, brak orientacji wśród konfederatów, a tępy fanatyzm ks. Marka, który, według Wybickiego, nie wywierał wcale wrażenia proroka, owszem był cokolwiek hulaką, omal nie pogrzebały odrazu całej sprawy, mającej stać się jednak początkiem odrodzenia szlachty. Zajmujące są niezwykle opowiadania o podróży W. do Cieszyzna, do głowy

ruchu całego, biskupa Krasińskiego. Całą korespondencję dyplomatyczną konfederacji do papieża wioził wraz z W. jakiś przygodny, wędrowny Jezuita, który się wraz z nią zawieruszył. Sam zaś Wybicki na swoją akcję otrzymał połowę kasy konfederackiej — aż 20 czerwonych złotych. Wyborną jest charakterystyka biskupa Krasińskiego, w myśl Pisma „roztropnego, jako wąż“, ostrożnego aż do przesady, lecz słusznie przez Korzona zaliczonego do nie-licznych wyjątków z pośród zgnilego doszczętnie episkopatu ginącej Rzeczypospolitej.

O ile pamiętniki Moszczeńskiego wywierają przygnębiające wrażenie, malując okropny stan rzeczy w końcu istnienia Rzeczypospolitej, o tyle Wybicki pociesza nas, opowiadając, jak jednak na tym ponurym tle pracowano dla lepszej przyszłości. Opowieści jego tchną prostotą i szczerością, choć, pisząc je dla synów, nadaje opowiadaniu charakter dydaktyczny, podkreśla wiele rzeczy, wykazuje skutki, moralizuje często. Przesuwają się też w nich nader sympatyczne postacie, malowane z uczuciem przez pamiętnikarza. Kanclerz Andrzej Zamoyski, podskarbi Tyzenhaus, działacze Komisji Edukacyjnej, dla której czas jakiś Wybicki pracował w godności wizytatora szkół na Litwie, owiani są ciepłem sympatii.

Ze wspomnień o powstaniu kościuszkowskim możemy dowiedzieć się wielu rzeczy, nie poruszanych dotąd przez historję... Wybicki pisze, jako patriota, lecz nie rewolucjonista. Gwałty powstańców stara się usprawiedliwiać, choć niewdzięczna i zbyteczna to praca. Rozruchy ludowe oburzają go bezwzględnie. W Kuźnicy kołłątajowskiej widać „przewrotnego“ ks. Podkanclerzego i oddane mu „poczwary“: Konopkę, Mejera. Machinacji kontrrewolucji możnowładco szlacheckiej nie dostrzega, owszem, o dziwo! Kościuszkę pomawia o słabość dla „polskiego Robespiera“-Kołłątaja. Charakterystyka za to stosunków wewnętrznych w sztabie i Rządzie wyborna.

Wydawca urywa pamiętniki Wybickiego na okresie formowania legionów, obiecując ciąg dalszy, którego jak-najszybciej pragnąć musimy. Okres legionów i powstanie Księstwa Warszawskiego zbyt mało u nas są znane szerszemu ogółowi i każde nowe źródło dla ich poznania skarb stanowi. A cóż dopiero, gdy o tych czasach opowiada jeden z najwybitniejszych działaczy ówczesnych.

* * *

„Z dziejów Hajdamaczyzny“ to szereg opowieści świadków naocznych, lub też charakterystyki poszczególnych osobistości z końca zaprzeszłego wieku. Nowych szczegółów niewiele; w całości mamy okropny obraz stosunków na kresach, które naród nasz tak haniebnie i bezmyślnie wskutek egoistycznej polityki klasowej możnowładców i szlachty utracił, a które były niewyczerpaną skarbnicą. W krótkiej, bezpretensjonalnej notatce pamiętnikowej „Wyprawa na hajdamaków“ znajdujemy ciekawy obrazek kariery wojskowej magnata i stosunków militarnych za Augusta III.

Siedemnastoletni Marcin książę Lubomirski „oberlejttenant w regimencie ojcowskim“ wyrusza z husarją, regimentem piechoty, kozakami i dziesięcioma armatami dla pojmania stu kilkudziesięciu hajdamaków. Instruktorami owej armii (przeszło 2000) są pułkownik Niemiec, co był przedtem wachmistrzem u Sasów, oraz namiestnik chorągwi husarskiej, której rotmistrz, książę podstoli litewski, mieszka na Litwie w dobrach, porucznik — gospodaruje w majątkach kijowskich, a chorąży, już podeszły starzec, osiadł na dewocji u Bernardynów. Za zastrzelenie ze sztucea watażki bandy Lubomirski zostaje pułkownikiem, a za rozbiście pozostałych z pogromu 30 opryszków mianowano chłopca generałem. Jak w bajce!

Straszne są opisy badań, tortur i kar na hajdamaków, jak również wstrząsający obraz rzezi humanistycznej, skreślony przez ocalone z pogromu ofiary: Kreksową, Mładanowicza, Kruszelnickiego i innych.

Wyborne są charakterystyki popularnych w swoim czasie postaci, np. starosty kaniowskiego Mikołaja Bazyłego Potockiego, zdziwaczałego możnowładcy, co, dopuściwszy się mnóstwa okrucieństw, osiadł na dewocji i zapisami na cele kościelne zyskał sobie epitaphium:

„Żył źle, umarł dobrze, dając przykład z siebie,
Jak można świata użyć, a przecie być w niebie“.

Drugą postacią popularną, scharakteryzowaną w omawianych książkach, była kasztelanowa kamińska, Katarzyna Kossakowska, z domu Potocka. Matrona zacna, rozumna, patriotka bez skazy, a przytym słynąca z dowcipu jowialnego, uszczypliwego, choć nieraz niezupełnie salonowego.

Obie charakterystyki powtórzone są za „Pamiętni-

kiem anegdotycznym“, z czasów St. Augusta, ogłoszonym w Poznaniu przez Kraszewskiego.

Wydanie książek staranne. Przedmowy p. Henryka Mościckiego skreślone umiejętnie, objaśnienia w odsyłaczach bardzo dobre.

J. DĄBROWSKI.

H. ORSZA. **Z dziejów narodu.** Wypisy z źródeł i streszczenie opracowań historycznych. Tom I. Warszawa, nakład M. Arcta, 1908, str. 474. Cena rb 2.

Pomimo prawdziwego bogactwa naszej literatury naukowej, dotyczącej dziejów Polski, prac popularno-naukowych w tym kierunku mamy bardzo niewiele, a w dodatku przeważna ich większość to bezwartościowe elukubracje. Z wartościowych prac, dostępnych dla szerszych warstw naszej inteligencji, a dotyczących dziejów wewnętrznego ustroju Polski, posiadaliśmy dotychczas dwie: d-ra Kutrzeby i Heleny Witkowskiej. Obecnie literatura nasza pozyskuje trzecią w dziele p. H. Orszy. Charakter tej ostatniej pracy różni się znacznie od dwu poprzednich: tamte w sposób dogmatyczny podawały czytelnikowi stwierdzone naukowo wyniki badań nad dziejami wewnętrznego ustroju Polski. Pani H. Orsza natomiast, prócz zobrazowania naszych dziejów wewnętrznych na podstawie wyjątków i streszczeń najcenniejszych dzieł historycznych, podaje, jako ilustrację i dowód, olbrzymią ilość urywków z dokumentów, dotyczących danej epoki, t. j. z kronik, roczników, pomników prawnych, dokumentów, ksiąg sądowych, zabytków literackich i t. p. Pozwala to czytelnikowi na wyrobienie sobie samodzielnych sądów lub sprawdzenie sądów, już przyjętych.

Tom I obejmuje następujące przedmioty: metodykę historii, geografję Polski, społeczeństwo, państwo, kościół, życie gospodarcze, prawo, stosunki zewnętrzne, obyczaje i życie duchowe Polski do czasów Kazimierza Wielkiego włącznie.

Zarówno strona metodyczna, jak i bogactwo i dobór materiału zasługują na prawdziwe wyróżnienie. Jest to praca, dokonana tak umiejętnie, z taką znajomością przedmiotu, metody historycznej i duszy czytelnika, że śmiało polecamy ją każdemu, kto chce sumiennie zapoznać się z rozwojem ustroju wewnętrznego Polski.

H. J. RYGIER.

LITERATURA FRANCUSKA.

EMILE ZOLA. *Correspondance (Les lettres et les arts)*. — Paris, Fasquelle, 1908.

Wynurzenia przyjaciół Zoli i historia jego stosunku z Albertem Lacroix, pierwszym jego wydawcą, którą A. Brisson opowiadał niedawno na łamach jednego z czasopism paryskich, świadczyły już dość wymownie o energii, z jaką ten nieustraszony pracownik pióra umiał zdobywać sobie stanowisko w literaturze. Złożywszy u Lacroix pierwsze swe nowele („Contes à Ninon“), Zola puszcza do niego szturm formalny, aby skłonić go do ich przeczytania... do przeczytania choć jednej, mówiąc z taką siłą przekonania o swym rzetelnym talencie, iż wydawca ustępuje w końcu, wobec kolosalnej wiary w siebie tego człowieka, który w stosunku do swego dzieła nie zazna nigdy, od pierwszych już prób twórczych, wahań i wątpliwości, jakie nurtują Flauberta, Maupassanta, Goncourtów i tylu innych z pomiędzy jego współczesnych. Niepowodzenie, jakie spotyka ten pierwszy tom utworów, nie zniechęca go ani na chwilę: przygotował już tom drugi („Confession de Claude“) i umie natchnąć Lacroix takim zaufaniem, iż wydaje mu go, jak książkę poprzednią, a co więcej — mimo trwającą wciąż obojętność czytelników — przyjmuje również „Teresę Raquin“ — trzecią z rzędu pracę. Ta wreszcie zwraca uwagę krytyki i publiczności, dzięki skierowanym przeciw niej purytańskim pociskom cenzury, przejmującym entuzjastyczną radością młodego autora, dla którego wszelkie napaści są stokroć pożądane od martwego milczenia. Zola staje u progu rozgłosu, który przyjdzie już z następną książką „Madeleine Féral“ — powieścią niezaprzeczenie zajmującą, zawiązującą jednak głównie swe szczęśliwe losy reklamie, zorganizowanej umiejętnie przez samego pisarza. Reklama ta zdobywa mu ostatecznie, mówiąc nawiasem, zaufanie Lacroix, który podpisuje z nim wówczas niezmiennie korzystną dlań umowę co do dalszych jego utworów.

Wydany obecnie drugi tom listów pisarza, dotyczących wyłącznie jego stosunków literackich i artystycznych, potwierdza i uzupełnia wrażenie, jakie mogliśmy utworzyć sobie na zasadzie tych zwierzeń. W korespondencji swej z wydawcami, redaktorami pism i przyjaciółmi Zola ujawnia niezmiennie toż samo gorące prze-

świadczenie o wartości swego dzieła i ten sam zapał w narzucaniu go krytyce i publiczności. Z powodu „Teresy Raquin“ pisze do Antoniego Valabrègue'a, poety i przyjaciela swych lat młodzieńczych, któremu spowiada się z niezwykłą w literaturze szczerością ze swych planów i nadziei: „Jest to najlepsza rzecz, jaką napisałem dotąd“. W jednym z listów do Flauberta znajdujemy zdanie: „Skończyłem pierwszy rozdział „Nany“; jestem nim zachwycony.“ Podobne określenia, dotyczące innych utworów, powtarzają się wciąż w listach do wydawców i znajomych. W naturze tej niema zgola miejsca na boskie niepokoje artysty, czującego, iż nie zdola nigdy urzeczywistnić integralnie pożądaną Piękną, wypełniającą go duszę.

Z równą wypukłością występuje dążenie do wywalczenia sobie miejsca na słońcu. „Nie mogę, podobnie jak ty — mówi do Valabrègue'a — zamknąć się w niedostępnej wieży pod pozorem ciemnoty tłumów. Tłum jest mi potrzebny; idę do niego, jak umiem, i używam wszelkich środków do zdobycia go.“ A w innym znów miejscu: „Nie należy zamykać się w swej wielkości... trzeba umieć stwarzać sobie powodzenie“. Lub jeszcze: „Wiem, iż godniej i podnioślej jest zachowywać wobec wszystkiego obojętność. Lecz powiedziałem ci już, iż jesteśmy dziećmi niecierpliwego wieku. Pragniemy namiętnie wynieść się jak najwyżej, wierz mi zaś, że jeśli nie zwalimy sami innych na ziemię, to oni będą po nas deptali.“

Ta wojownicza zaborczość wypływa jednak w znacznej mierze z pobudek nieegoistycznych. Zola przystąpił do warsztatu pisarskiego z wyraźnie określonymi celami i niezłomnym przeświadczeniem o ich słuszności, nakazującym mu dążyć do ich przeprowadzenia całym swym wysiłkiem. A cele te były wysoce moralizatorskie, mimo pozory „amoralności“, jaką nadawał książkom pisarza w oczach powierzchownego obserwatora krańcowy realizm szczegółów, mający budzić wstręt do występku, w połączeniu z nieartystycznym ich nagromadzeniem. Stąd długotrwałe nieporozumienie ogółu, co do intencji jego dzieła. Zgodzono się dojrzeć je dopiero od niedawna, obejmując dobytek pisarski Zoli w jego ciągłości. Li tylko zła wola, jaką wykazał Barrès w swym przemówieniu w Izbie Poselskiej, może odmawiać mu w dalszym ciągu prawa do tak pożądanego przezeń zawsze miana moralizatora. Był nim, niestety, często w sposób bardzo nużący,

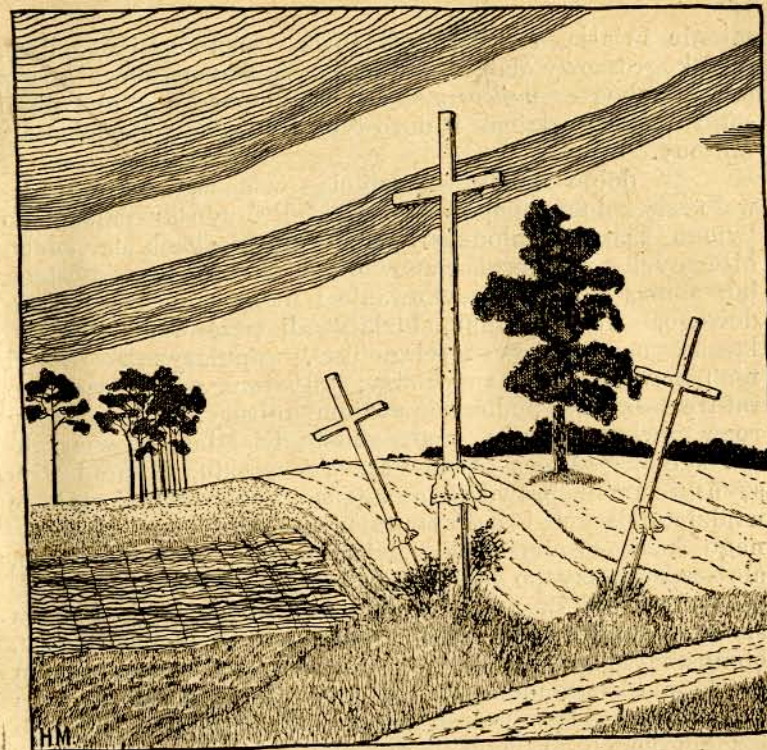
przygnębiając wprost czytelnika wprowadzaniem nieskończonych szeregów argumentów wszelkich kategorii: etycznych, ekonomicznych, patriotycznych, estetycznych i medycznych, mających udowodniać jego założenia. Nie mówię już o „Ewangieljach“, istnych kazaniach laicznych w postaci powieści, nie pozbawionych zresztą stron mocnych i pięknych.

W korespondencji swej nastaje Zola na każdym kroku na te strony swego dzieła. „Trzeba być ignorantem — mówi — lub człowiekiem złej wiary, by zaprzeczać mi chęci umoralnienia społeczeństwa.“ Gdzieindziej znów: „Czyż mam komentować każdą stronę mych powieści, mówiąc: „Sądźcie, że wyprowadzałem tu brudy dla satysfakcji ich wyprowadzania. Nie jest tak bynajmniej. Chciałem jedynie wskazać istniejącą ranę, potępić występki.“ Żywi głęboki żal do Ulbach'a, który nazwał jego powieść „La Curée“ rzeczą brudną i wyrzuca mu to z rozgoryczeniem, mocny przeświadczeniem, iż walczył w niej tylko za swe prawdy. Czyni to, tu, jak zawsze, w właściwy sobie sposób, nie będąc „poetą idylicznym“, lecz człowiekiem, który uważa, że wrzody społeczne „należy wypalać rozżarzonym żelazem!“

I rzeczywiście, formułując wszelkie zastrzeżenia co do wartości literackiej i artystycznej utworów Zoli, grzeszących tak ogólnie brakiem miary, skłonnością do uogólnień, romantyczną przesadą i uproszczoną psychologią postaci, nie wolno nam wątpić nigdy o jego wysokiej uczciwości pisarskiej, czyniącej zeń przekonanego bojownika swych ideałów, którego żadne względy nie skłonią do zboczenia z uznanej za słuszną drogi. Takim też jest w życiu. Dlatego też będzie umiał rzucić swe „J'accuse“ w imię zdeptanej sprawiedliwości, nie bacząc na osobiste następstwa tego szlachetnego giestu. Korespondencja jego uwydatnia nader wyraźnie tego właśnie Zolę, dzielnego szermierza swych zasad i dążeń.

Trzeci jej tom, który ukaże się niezadługo, zawierać będzie wyłącznie listy, związane ze sprawą Dreyfusa.

MARJA RAKOWSKA.



Konrad Prószyński (K. Promyk).

(WSPOMNIENIE POZGONNE.)

Był tylko autorem elementarza i szeregu tanich broszur ludowych, mówiących w sposób prosty, dostępny i jasny—to o Staszycu lub Kochanowskim, to o pożyczkach, kasach pożyczkowych, o gminie, wyborach i głosowaniu, to o odkryciu Ameryki albo wyprawach do bieguna północnego, to nawet o zbieraniu nawozu i urządzaniu gnojenia. Był tylko pisarzem ludowym, nie dbającym o sławę i laury, o rozgłos i uznanie szerokie — skromnym pisarzem „Gazety Świątecznej“, ale gazeta jego rozchodziła się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy pod strzechy wiejskie, niosąc w każdym numerze — pro-

mienie światła, rady i wskazówki rozumne i życzliwe, a kilkogroszowy elementarz Promyka, uznany nawet przez powagi obce *za najlepszy na świecie*, nauczył czytać i pisać setki tysięcy dzieci i dorosłych, a nauczył z pewnością miliony.

W dobie upadku i rozbiecia, w beznadziejnej, zdawało się, dobie powstaniowej, Prószyński należał do lwiego zastępu młodzieży, co — po klęskach na polach bitewnych — rozpoczęła nanowo, acz w zmienionej postaci, bój nieprzeparty o zachowanie i utrzymanie bytu narodowego. Ale gdy inni oddziaływali przeważnie lub wyłącznie na warstwy inteligentne, opularyzując wśród nich nowsze zdobycze wiedzy; gdy inni, odradzając literaturę i sztukę, podnosząc poziom kultury, torując drogę rozwojowi przemysłu, ogarniali swą działalnością wierzchnie tylko, bądź co bądź, warstwy narodu, Konrad Prószyński umiał prawdziwie sięgnąć *do podstaw* i stał się najdzielniejszym i najwytrwalszym wcieleniem popularnego hasła swojej epoki. Nie mówił i nie pisał o nim, ale — zakasawszy po łokcie rękawy — jał się pracy, wymagającej wysiłków olbrzymich, woli niezłomnej, oddania się i zapomnienia o sobie zupełnego. Z elementarzem, obmyślonym przez siebie, a ułatwiającym i skracającym o całe miesiące zmułne początki czytania i pisanie, z książką łatwą a pożyteczną, dostosowaną znakomicie do potrzeb i zdolności chłopów polskiego owej doby, z numerem gazety, której sądzone było wkrótce stać się najbardziej rozpowszechnionym i najbardziej wpływowym pismem polskim, poszedł on między lud, jak pionier w las dziewiczy, dokonał wśród niego rzeczy wielkich, utworował i toruje wciąż jeszcze drogę innym, którzy go naśladowają, a czasem myśl jego szlachetną wykrzywiają...

Byli przed Prószyńskim i jego „Gazetą Świąteczną” pisma ludowe, byli zasłużeni i pożyteczni pisarze ludowi, ale pisma wiodły żywot suchotniczy, pisarze nie zdołali zapewnić im poważniejszego zastępu czytelników, nie zdołali złamać i zburzyć muru, dzielącego chłopów i inteligentów polskiego. Zasługa ta przypada w pełni Prószyńskiemu, który nie tylko przygotował sobie i innym setki tysięcy czytelników, ale zdołał, jak nikt może przed nim i po nim, pozyskać ich miłość i zaufanie, stwierdzone tysiącokrotnie listami, odwiedzinami, czynami.

Ten człowiek cichy i skromny, ten pracownik niezmordowany, ten szermierz i bojownik wytrwały, odsu-

nięty, zdawało się, od ludzi i świata, piszący nocami całemi w ciszy swego gabinetu i odrabiający pracę za dziesięć, więcej nawet — za całe instytucje i stowarzyszenia, zdobył sobie tak rozległy rząd nad duszami, jakim przedtem, ani potym nikt bodaj u nas poszczycić się nie mógł. Gazeta jego i książki rozchodziły się i rozchodzą nie tylko w Królestwie i ziemiach przyległych, lecz idą setkami za ocean, szły przed paru laty na wschód daleki, stanowiąc jedyne nieraz ogniwo między krajem rodzinnym a zagnanym przez losy nad ocean Wielki lub Atlantycki, do Mandżurji, Ameryki lub Japonji. płowłosym synem wsi polskiej, nie umiejącym nawet wypowiedzieć trawiającej go tęsknoty do swoich, którą w części koilo drukowane słowo ukochanego prawdziwie Pisarza „Gazety Świątecznej”.

Pisma codzienne poświęciły zmarłemu przedwcześnie *z wyczerpania pracą nadmierną* działaczowi krótsze lub dłuższe wspomnienia; w tygodnikach umieszczono nadto jego portret, moment jeden lub drugi z pogrzebu tłumnego; na trumnie złożono wieńców kilkanaście; nad mogiłą na cmentarzu powązkowskim wygłoszono mów poglądnych kilka — i życie, obrzydliwe życie w swej wiecznej pogoni za aktualnością chwili bieżącej, przeszło do porządku dziennego nad śmiercią nieustrudzonego pracownika, zająwszy się zjazdem słowiańskim, konstytucją turecką, ostatnimi nowościami teatrów, ostatnimi plotkami czy pogłoskami, bo ja wiem zresztą, czym jeszcze...

Ale tłumny pogrzeb, garść artykułów i mów nadgrobnych nie wyczerpują zasług Prószyńskiego. Ziarna, rzucone przezeń w glebę bogatą, choć zachwaszczoną i wyjałowioną, wydają wciąż i wydawać będą plon bujny, zasługa jego jest wciąż *aktualną*, wzrasta nawet z biegiem czasu, jak kula śnieżna. Pamięć o nim wśród mas ludowych nieprędko z pewnością zaginie.

A gdy kiedyś — pod wpływem oświaty — w duszach tych mas nastąpi wreszcie to, o czym marzyli Słowacki, Mickiewicz i innych tyłu, *powszechne przedziernięcie się niewolnika w człowieka*, na ziemi polskiej stanie może jeden jeszcze kopiec wyniosły, usypany czarnymi od pługa rękami, którym lud ucześci na wieki niewygasłą pamięć nauczyciela i pisarza swojego, ucześci godnie swojego Promyka.

Wł. B.

Przegląd Prasy.

CZASOPISMA POLSKIE.

„Przegląd Filozoficzny” (zeszyt III, z r. b., str. 120) zawiera na wstępie dłuższą rozprawę d-ra I. Halperna p. t. „Filozofia absolutnego idealizmu Hegla w psychologicznym zrozumieniu”, oraz początek pracy d-ra Ludwika Zengtellera p. t. „Poglądy J. St. Milla na przyczynowość”. Dalej idą działy: „Przegląd krytyczny” („Grundle-gung” Kanta w tłumaczeniu polskim — przez H. Bad.). „Przegląd systematów współczesnych” („Książę S. N. Trubeckoj i jego pogląd na świat” przez d-ra H. Święcickiego), „Przegląd nauk poszczególnych” (początek pracy dr. Ady Silberstein p. t. „Współczesna estetyka eksperymentalna”). Dział autoreferatów przynosi streszczenia (w języku polskim) ostatnich prac prof. K. Twardowskiego, dr. Z. Daszyńskiej-Golińskiej, Kazimierza Filipa Wize, oraz streszczenie w języku włoskim dwóch rozpraw prof. L. Michelangela Billia z Turynu. Tej inowacji nie uważamy za szczęśliwą. Pismo, przeznaczone dla czytelników polskich, powinno dawać autoreferaty takie w przekładzie na język polski. W dziale sprawozdań znajdujemy recenzje prac Maxa Wundta, Christiana von Ehrenfels, Fryderyka Klimkego, Olivera Lodge'a i Jerzego Kurnatowskiego, napisane przez d-ra A. Zielenczyka, d-ra A. Złotnickiego i E. St. Rappaporta. Kończą zeszyt sprawozdania z posiedzeń Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, oraz obfita wiązanka „Wiadomości bieżących” z rzutem oka na prace w dziedzinie filozofii wybitnego estetyka czeskiego Otakara Hostinsky'ego przez Mieczysława Tretera.

Drugi zeszyt „Przeglądu Bibliotecznego” (str. 88), wydawanego od nowego roku przez Tow. Biblj. Publicznej w Warszawie, pod redakcją Stefana Dembego, zwraca przede wszystkim uwagę estetycznym wyglądem zewnętrznym, obfitością portretów i ilustracji. Na treść tego zeszytu składa się szereg interesujących artykułów i rozprawek, mogących zająć nie tylko bibliofilów przysięgłych. A więc na wstępie p. Antoni Gawwiński, rozważając stronę zewnętrzną książek Wyspiańskiego, dochodzi do wniosku, że „dzięki marzeniom i kapry-

som artystycznym Wyspiańskiego, dzięki jego zniszczonej w tym kierunku tęsknocie, drukarstwo polskie ożywiło się i okryło kwieciami, a myśl odkrywca zbgaciła zbiory biblioteczne wielu prawdziwymi dziełami sztuki.” Władysław Mickiewicz, którego siedemdziesiąt rocznicę urodzin uczczono niedawno obchodem uroczystym, daje ciekawy zarys dziejów biblioteki polskiej w Paryżu, ozdobiony portretami J. U. Niemcewicza, Karola Sienkiewicza i Macieja Wodzińskiego, oraz podobiznami obecnego pomieszczenia biblioteki, stanowiącej, jak wiadomo, od r. 1893 filję krakowskiej Akademii Umiejętności pod nazwą Stacji Naukowej Paryskiej. „Biblioteka — kończy uwagi swoje autor — posiada papiery Niemcewicza, Kniaziewicza, poselstwa polskiego 1831 r., protokoły różnych towarzystw emigracyjnych, ulotne druki polskie zagraniczne, dzienniki wychodzące z kilkudziesięciu lat ostatnich. Są to materiały, do których opracowania biorą się coraz częściej młodzi pisarze nasi. Stacja Naukowa Paryska pozostanie skarbnicą, w której przechowywać się będą piśmienne i drukowane pamiątki działalności zagranicznej polskiej, dopóki kraj nie upomni się o tę drogą spuściznę, świadczącą o tylu cierpieniach, zasługach, górnych polotach ducha, niezachwianej wierze i płomiennej miłości ojczystej ziemi.”

„Z teki autografów” ogłasza p. Stefan Demby pisaną z werwą autobjografię Karola Brzozowskiego. Dalej idą: „Słów kilka o drukarstwie z powodu wystawy Krakowskiego Towarzystwa Polska Sztuka Stosowana” przez Edw. Trojanowskiego, „Wiadomość o najdawniejszych i nieznanych drukach brzeskich” przez Fr. Puławskiego, „Nowe ex-librysy polskie” z reprodukcją jednego z nich i portretami ich autorów: Edwarda Okunia i Karola Biskego, wreszcie szereg wspomnień pozgonnych i notatek pomniejszych, oraz Sprawozdanie Komitetu Towarzystw Biblioteki Publicznej za rok 1907, z którego przytoczymy ustęp krótki, nader charakterystyczny jednak dla naszych stosunków kulturalnych: „Założyciele Towarzystwa rozesłali w grudniu r. 1906 gorącą odezwę do stu kilkudziesięciu najwybitniejszych obywateli naszego kraju, których nazwiska oraz stanowisko społeczne i majątkowe kazały się spodziewać, że przystąpią do nowo-zawiązującego się Towarzystwa, jako członkowie założyciele i udziałami swemi stworzą mocne oparcie dla Biblioteki. „Mamy głęboką wiarę — pisali założyciele — że ludzie dobrej woli i szczodrej ręki połączą się z nami, aby wspólnymi siłami dźwignąć trwałe podwaliny instytucji, mającej dla sprawy kulturalnego naszego rozwoju znaczenie pierwszorzędne.” *Odezwę ta pozostała bez echa...*”

Na czele czerwcowego zeszytu „Biblioteki Warszawskiej” (str. 200 i 20 str. dodatku „Praca”) zamieściła redakcja pieśń siódmą poematu Marji Konopnickiej p. t. „Pan Balcer w Brazylii”. Z niepo-

spolita siłą przesuwają poetkę przed oczyma naszymi pełne grozy obrazy mąk i udręczeń, przeżywanych przez wychodźców na obczyźnie dalekiej, daje szereg postaci, pełnych plastyki i życia, szereg obrazów natury, godnych pióra Słowackiego. Dziwnym czarem i smutkiem tchnie zwłaszcza zakończenie tej pieśni, z owym przedśmiertnym listem wygnania, pożegnaniem ostatnim rodzinnej ziemi i najbliższych;

...„Piszę ja do was, Rodzicie moi,
Z struchlałym sercem, z mokremi oczyma,
A między nami morze wielkie stoi,
Nie daje do was i przez moc mnie trzyma.
Iż srogie puszcze są i góry straszą
Między mną tutaj, a hań, chatą waszą.

...Więc tylko oczy podnoszę nad szczyty
Ranie i wieczór patrzący w tę stronę,
Gdzie jest kłosaми nasz zagon nakryty,
Gdzie łąki nasze, o rosie koszone,
I radbym ptakiem przelecieć tę drogę,
I wiatrem radbym przez nią — a nie mogę.

...A teraz żegnam i klaniam się pięknie,
Ojczyźnie i Matce, do samych wam kolan,
A jak tam nocą w kominie wiatr jęknie
I z niedogasłych skry rzuca się polan,
Albo jak dzwierzę kto nocą zarusza,
To będę, matuś, ja i moja dusza“...

Poza poematem Konopnickiej przeważają w tym zeszycie „Biblioteki Warszawskiej“ rzeczy historyczne: „Ostatnie chwile Jana III“ przez Ernesta Łunińskiego, „Weselna tragedia“ przez Fr. Rawitę Gawrońskiego, „Przed pół wiekiem“ przez d-ra B. Dybowskiego. W szkicu porównawczym p. t. „Problemat społeczny w powieści polskiej“ dr. Żel-Grotowski przeprowadza paralelę między powieściami Prusa i Żeromskiego, a Tadeusz Jaroszyński w rozprawce p. t. „Współczesna grafika polska“ omawia najnowsze objawy w tej dziedzinie twórczości.

Na ostatni, podwójny zeszyt za Maj i Czerwiec (str. 142 i 20 str. dodatku) wydawanej przez Zenona Pietkiewicza „Kultury“ zostały się następujące prace: „Naukowe zasługi Marxa i Marxizmu przez St. L., „Koncentracja czy ekspansja kapitału przez St. Lichtensteina, „Na szlakach myśli Marxa“ przez Leo Belmonta, „Monsalvat (problemat Mickiewicza)“ przez Jana Bełcikowskiego, „Lud zaczyna żyć“ przez Stefana Poraję, „Muzyka i scena w szkole, jako czynniki wy-

chowawcze“ przez Antoniego Millera, „Z niwy poetyckiej“ przez Jana Iwańskiego, „Religia i wolna myśl“ przez Michała Römera, „Z wszechświatowego ruchu wolnej myśli“, „Przegląd czasopism obcych“, „Z nad mogiły“.

CHASOPISMA FRANCUSKIE.

Nadczłowiek contra Nietzsche.

Mercure de France, 1908. Prace: Louis Dumur: *Nietzsche et „la Culture“*. — Jules de Gaultier: *Le Bovarysme de l'Histoire*. — Louis Dumur: *Le Surhomme contre Nietzsche*.

Powikłana, sprzeczna częstokroć płatanina nietzscheańskiej myśli zmusza do licznych przystanków w drodze do ujęcia całokształtu wierzeń Fryderyka Niewczesnego.

Kilka takich zagadnień, kilka prób rozwiązania zawitych sprzeczności w samej naturze Zaratusztry wylania krytyka francuska z powodu książki *Unzeitgemässige Betrachtungen (Considérations inactuelles)*. Czy Nietzsche, apostoł kultury, wróg hołoty, zatruwającej wszystkie krynice rozkoszy życia, pojmował tę kulturę, jako pewien zmienny co do swego układu przejaw ducha ludzkiego, czy też przeciwnie — poszukiwał jakiegoś granitowo-stałego niezmiennika kultury?

Jules de Gaultier zbliża się do pierwszej z dwu powyższych możliwości, Louis Dumur dopatruje się nietzscheańskiej tęsknoty ku niezmiennikowi kultury.

Osobiście uważam argumentację Jules de Gaultier'a, jako bliższą przybliżonej treści tworzenia Zaratusztry.

Nietzsche — wróg stałości, apostoł *stawiania się*, miłośnik młodości, żądzy życia, uświęciciel wszystkich jego przejawów, w myśl słów, iż „wszelka głębia ma być dzwigniętą ku mojej wyż“ — bardziej wydaje się skłonny w swej miłości ku przemienności kultury, niż ku jej skamieniałościom. Ma wprawdzie kilka umiłowanych jej typów: typ Hellady, Romy, Francji; czyż to jednak, iż odmawia jej Niemcom, stawia go w położeniu wroga wszelkiej zmiennej, płynnej kultury?

Stąd dosyć prostą jest konsekwencja Jules de Gaultier'a, iż Nietzsche nie jest ani rewolucjonistą, ani klasykiem, raczej jednym i drugim: jest miłośnikiem życia, które samo przez się stanowi kompromis ruchu i spoczynku.

Ostatecznie stoi poza wszelką sprzecznością — ów smutny pustelnik z Sils-Maria, któremu dwie główne zmory metafizyków: dobro i zło — wydały się zaledwie reakcjami człowieka na bodźce zewnętrzne w potrzebie samozachowawczej (Zaratusztra — mowa o „tysiącu i jednym celu“).

Cale życie Nietzschego jest wielką fobją przeszłości i teraźniejszości, zimnym strachem przed wszystkim, co niesie rozwątlenie siłom; a mara przeszłości, widm zgasłego życia, staje się jednym z cierpień, co o czczości żywota mówią; wzamian za to, cała dusza rzuca się ku dalom—najdalszym, ku tym pięknym, twardym bożyciom przyszłości.

Ta głęboka, nietzscheańska wiara w migotliwość barwistej wstęgi bytu, w jej bieg w dale—i nienawiść ku skarłalemu już światu, połączona dziwną logiką duszy z cichą miłością przeszłości—jako że przeszłość rzeźwi nas wiarą w życie, które kuleje po to, aby w następnej chwili czasu pobiec wprzód—wszystko to świadczy, iż Nietzsche nie mógł nie chcieć *zmiennej* kultury, chociaż chwilami, przez znaną antynomję swej natury, przez swój lwi pazur paradoksu pragnął kultury „*une de style*“.

* * *

O pewnej ciekawszej jeszcze sprzeczności wspomina Louis Dumur w swym studjum, cytując słowa M. Georges Batault'a:

„*Albo zjawiska są ściśle określone i światem rządzi fatalizm — a więc precz z „wola”*“, albo istnieje wola osobista i świadoma — a więc precz z „wrotem”“.

Staje tedy przed nami sprzeczność pomiędzy pełną cichego piękna teorią *Circulus vitiosus Deus* — a nadcześnikiem, wrotem — a wolą. Razi mnie w tej sprzeczności skłonność krytyka do zasepiania całego zagadnienia owym nieszczęsnym orzechem filozofji o twardości djamentu — *wolną wola*! Jakież ma tutaj związek owo Mare ignotum metafizyków woli z doktryną Zaratustry? Czyż nie czas najwyższy, abyśmy stanęli poza „wolną” wola?

Rozumiem to tak: zagadnienie — czy wola wolną jest, czy nie? należy do owego szeregu poszukiwań, co chcą mówić coś ostatecznego o treści świata, szukają *przyczyn*, starają się zgłębiać rzeczy niezgłębione, ba, nawet wogóle płytkie.

Wola jest dla mnie wolną — i to mi wystarcza, tak jak przestrzeni przypisuję trzy, a nie n wymiarów, ponieważ jest mi tak wygodnie, ułatwia mi to życie (Poincaré!)

Gdyby wola nie była wolną (czyli, że działa wtedy we mnie wolna wola wszechświata, którą ja nazywam *moją*), nie miałbym nigdy żadnej możliwości sprawdzenia tego; przyjmuję więc, iż wola wolną jest.

W przeciwnym razie świat staje się pustym orzechem, życie automatem, a człowiek—nihilistą, wyprowadzającym świat z obłądu.

Otóż w zagadnieniu Batault'a tkwi jedna ciekawa prawda.

Odrzucając niewczesną zaiste dywagację o wolnej woli, otrzymamy zagadnienie następujące:

Jak pogodzić wiarę w nadcześnika z głupim powrotem wszystkich?

Z odradzaniem się po wielokroć robaictwa ziemskiego?

Otóż w mowach Zaratustry jest pewne niedomówienie, które łatwo dopełni każdy, kto w pewien sposób dotarł ku zrębom duszy nietzscheańskiej.

Czy nadcześnik będzie ostateczną formą ziemi, po której nastąpi pustka księżycowego krateru i mróz spełnionego marzenia? Przenigdy! Przeczy temu zdanie Nietzschego, iż rzecz, która się wyjaśni, przestaje nas interesować.

Osiągnięty nadcześnik stanie się przeto zaczątkiem swego nadcześnika; wiekowa praca bytów nad układaniem, różnicowaniem świata wśród wielkiej nocy Maha-Pralaya — nie zna kresów.

Otóż, rozszerzając Byt prawdziwie po nietzscheańsku, powiemy, iż „ciałom niema końca” i że wstęga bytu, przebarwiając się, dąży w nieskończoność“.

Rozumie to Nietzsche i mówi: „czyżby życie potrzebowało nawet i hołoty?”

Otóż błąd leży nie w tym, iż obok nadcześnika zakwili dziecię ludzkie, obok Atlasa—cherlaczyna ziemski, — lecz w tym, iż się wogóle cośkolwiek powtórzy. *Circulus vitiosus Deus* — jest *vitiosus* przez to właśnie, że ma być bezmyślnym i bezsensownym powtarzaniem jednych i tych samych wyrazów, chociażby to były wyrazy najświętsze.

Niema tu wcale powinowactwa z nadcześnikiem — krystalizacją „woli mocy”; błąd, powtarzam, polega nie na tym, że ta wola stworzy nadcześnika, a zostaną wszystkie podczłowiecze kreatury — lecz że wogóle wszystko się wtórzy. Dwa punkty ciężkości wrotu — wieczna trwałość czasu i stała suma energii świata — są obydwie równie chwytne, jak i wszelkie inne usiłowania recepty *par excellence* kosmicznej.

Nakaz etyczny — nadcześnik — wprowadzie nie w chmurach Apokalipsy poczęty, ale wycuty w głębinach życia, które samo pragnie wzrastać, jest wolą mocy — oczywiście wydać się musi szaleństwem nie tylko wobec wrotu, ale i wobec czcigodnej wolnej lub bezwolnej woli (i jakżeby mógł powstać u tych, dla których wszelki nakaz—wobec opowieści o bezwolnej maszynierji świata nie istnieje.)

Ma jednak własną duchową wartość i błogość przystani dla tych, co jeszcze własnego nadcześnika nie zbudowali.

Wrót zaś — poza pokracznością swej myślowej treści, przed którą rzeczywiście należy zatrzasnąć filozoficzne oczy i uszy—posiada cudowne piękno artystyczne; kraśną twarz natchnionej wizji życia „bez dna”, życia — kobiety, o płowej matni włosów, która szeptała głosem cichym coś, o czym nikt nie wie...

Pewne zjawisko psychologiczne — o złudzeniach rzeczy już znanych, przeżytych, które się zowie „*l'impression de déjà vu, de déjà vecu*“, a które bez wątpienia stało się podwaliną całej teorii *circulus vitiosus Deus* — tłumaczyć nam może proces powstania Wrotu (oznaczony cokolwiek przez Nietzschego w Zaratuście — o widmie i zagadce, str. 220.)

W pewnych cichych chwilach życia zdaje się jednostce, iż moment, który przeżywa, był już niegdyś — iż układ barw, głosów, myśli, kształt całej koronki życia tej chwili — *a posteriori* — jest znany — chociaż *a priori* wiemy, iż przeżywamy go po raz pierwszy.

W takich chwilach powstaje strach życia *przed* życiem; w duszy Nietzschego łatwo mogło się to przerodzić w nadzieję życia *po* życiu.

Objaw ten, który, *przypuszczam*, iż przeżywał Nietzsche, tłumaczy psychologicznie całe błędne koło bytu, nadaje mu ciekawy i barwny psychologiczny miąższ, który warto polecić wszystkim upoważnionym do tego krytykom Nietzschego.

Tymczasem, ogólne wrażenie krytyk francuskich badaczy otrzymuje się takie, iż widzą cokolwiek za dużo *sprzeczności* w tworzeniu Fryderyka Niewczesnego, który stanął raz na zawsze, w powinowactwie czasów ze starym Heraklitem — *jenseits jedes Widerspruchs*.

JANUSZ MIKETTA.



Zadania konkursowe Tow. Naukowego Warszawskiego.

A. W wydziale języka i literatury.

„*Życie duchowe i twórczość Juliusza Słowackiego.*“

Żądana jest bądź całkowita synteza krytyczna, bądź częściowe opracowanie jednego z dwu głównych okresów działalności poety (lata 1836—1842 i 1842—1849), bądź wreszcie studjum nad genezą i ewolucją samego artyzmu, przy uwzględnieniu pokrewnych zjawisk w dziejach poezji i sztuki innych ludów Europy.

B. W wydziale nauk antropologicznych, społecznych, historii i filozofji.

„*Znaczenie żywiołu etnicznego litewskiego w ewolucji polityczno-społecznej W. Księstwa Litewskiego przed Unją Lubelską.*“

Praca ta ma stanowić studjum, oparte zarówno na wynikach badań etnograficznych, jako też na danych faktycznych, dotyczących polityczno-społecznego i kulturalnego rozwoju żywiołu rdzennie litewskiego, ze szczególnym uwzględnieniem przejawów tego żywiołu w ustawodawstwie, a mianowicie w Statucie Litewskim.

C. W wydziale nauk matematycznych i przyrodniczych.

„*Zbadanie pod względem mineralogicznym któregośkolwiek z terytorjów Królestwa Polskiego.*“

Przez terytorjum rozumieć należy pewną całość geograficzną, lub pewien kompleks geologiczno-petrograficzny. Praca winna wyczerpywać odnośną literaturę i opierać się nadewszystko na badaniach oryginalnych autora, oraz na laboratoryjnym opracowaniu materiałów zebranych. Autor winien przedstawić duplikaty zbadanych przez się materiałów, jako też i ewentualnych preparatów mikroskopowych.

WARUNKI KONKURSU.

1. Każda z prac, ubiegających się o nagrodę konkursową, winna być napisana w języku polskim, oparta na badaniach samodzielnych i odznaczać się metodą ściśle naukową.

2. Wylęczają się z konkursu wszelkie prace charakteru kompilacyjnego, chociażby odznaczały się zaletami układu i przedstawienia.

3. Praca konkursowa winna zawierać w sobie całkowite opracowanie tematu w granicach, w zadaniu konkursowym określonych.

4. Do konkursu przyjmowane będą tylko prace, nigdzie dotąd drukiem nieogłoszone.

5. Każda z prac konkursowych zawierać winna dokładną literaturę naukową traktowanego przedmiotu tak polską, jak i obcą.

6. Nagroda za pracę konkursową, na każdy z trzech powyższych tematów, wynosi *tysiąc* rubli.

UWAGA. Towarzystwo Naukowe zastrzega sobie możliwość podzielenia tej sumy na dwie równe lub nierówne części, w razie gdyby z pomiędzy prac, nadesłanych na dane zadanie, dwie okazały się godnymi nagrody. W razie gdyby prócz nagrodzonych, znalazły się jeszcze inne prace wyróżniające się, Towarzystwo Naukowe może je odznaczyć wzmianką zaszczytną.

7. Praca, uwieńczona nagrodą, pozostaje własnością jej autora, Tow. wszakże zastrzega sobie pierwszeństwo ogłoszenia jej drukiem, po porozumieniu się z autorem.

8. Termin ostateczny do nadesłania rękopisów oznacza się na 31 grudnia 1909 r. Po upływie tego terminu żadne rękopisy przyjmowane nie będą.

9. Rękopisy prac konkursowych winny być pisane pismem czytelnym po jednej stronie każdej karty, z szerokim marginesem. W żadnym miejscu rękopisu nie powinno być ujawnione nazwisko autora,

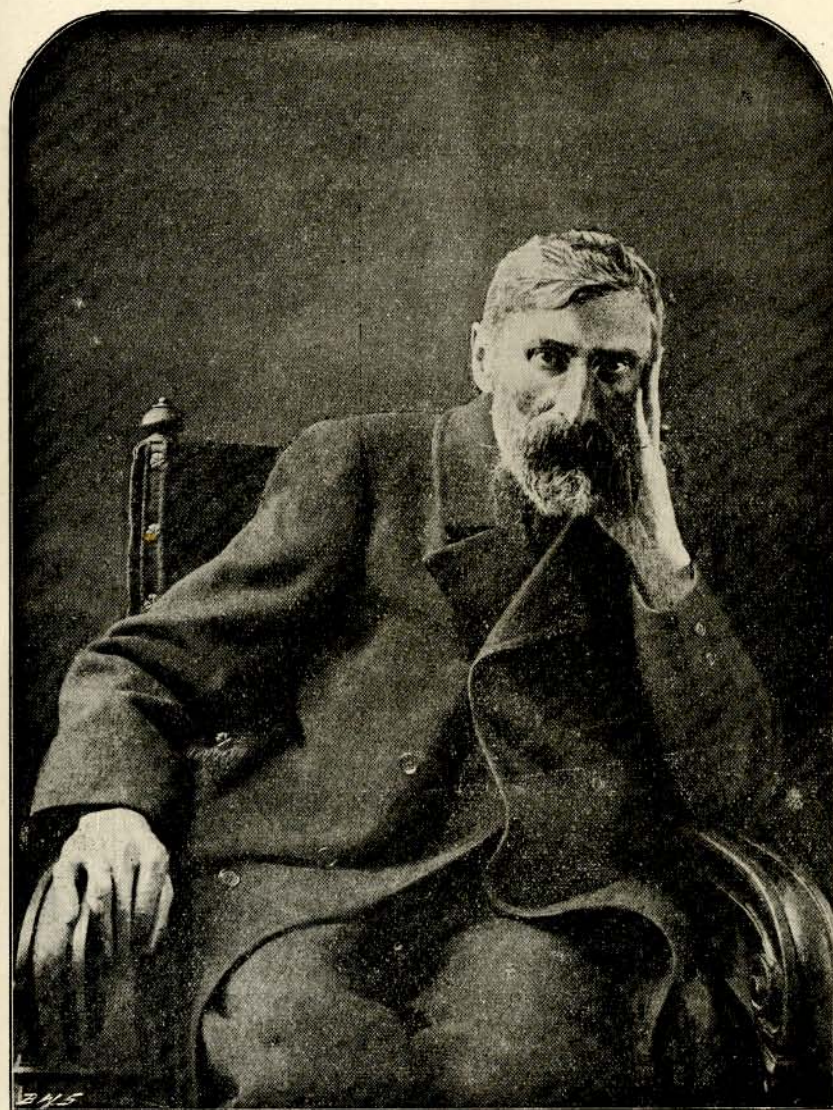
Pożądane jest nadsyłanie rękopisów, pisanych na maszynie, w dwóch lub trzech egzemplarzach.

10. Rękopisy należy nadsyłać bezimiennie w posyłkach poleconych pod adresem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego — opatrzone godłem, z dołączeniem osobnej koperty opieczętowanej, opatrzonej tym że godłem, co rękopis i zawierającej wewnątrz nazwisko autora i dokładny jego adres.

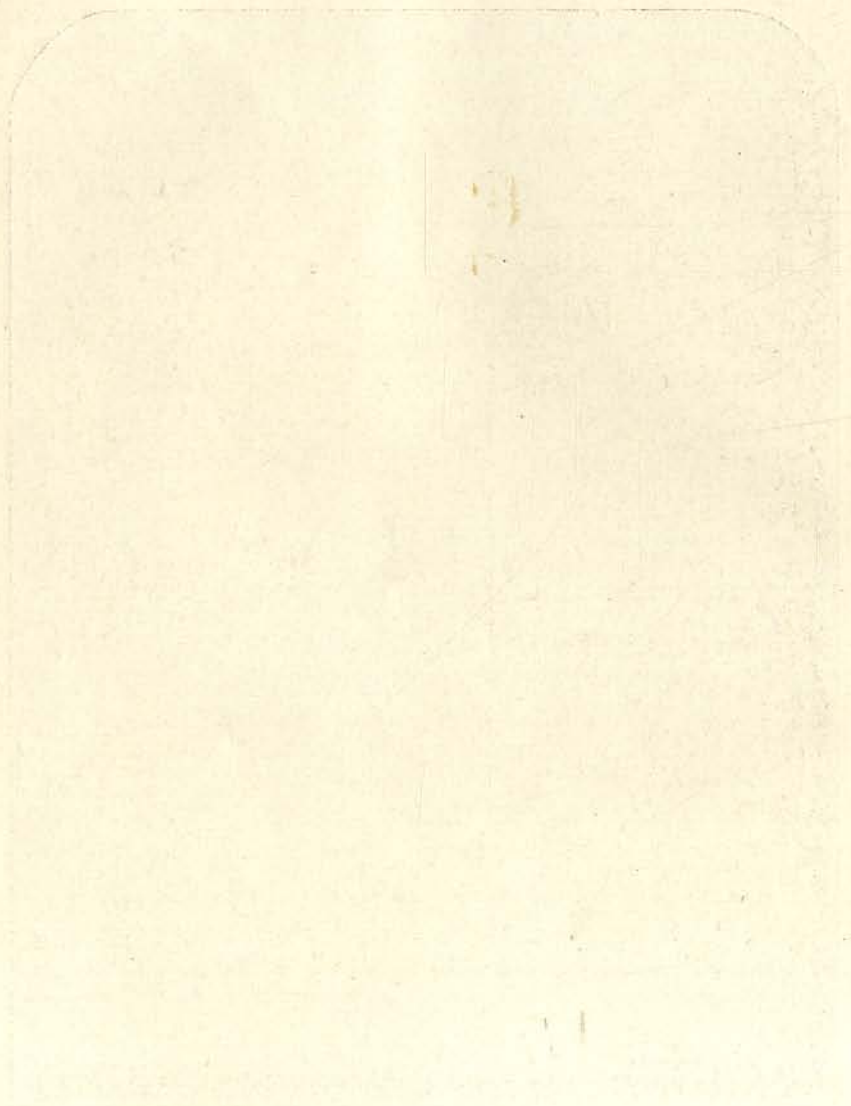
11. Ogłoszenie nagród na podstawie ocen Wydziałów (§ 37 Ustawy Towarzystwa Naukowego Warsz.) nastąpi na dorocznym Zgromadzeniu Ogólnym Towarzystwa Naukowego Warszawskiego w roku 1910. Nazwiska autorów prac uwieńczonych ujawnione będą dopiero na tym posiedzeniu po otwarciu kopert opieczętowanych.

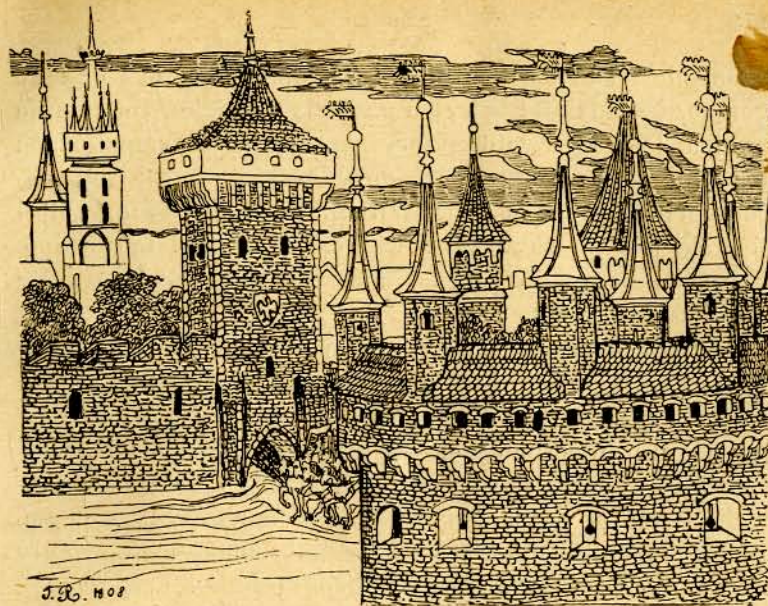
12. Rękopisy prac nieuwieńczonych i nieodznaczonych wzmianką zaszczytną mogą być zwrócone wraz z kopertą opieczętowaną na żądanie, w ciągu jednego roku od daty ogłoszenia wyniku konkursów.

Adres Towarzystwa Naukowego Warszawskiego: Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 7.



Adam Boyko





WŁ. BUKOWIŃSKI.

Poeta melodji i głębin.

(W JEDENASTĄ ROCZNICĘ ZGONU ASNYKA. *)

W dniu 2 sierpnia upłynęło lat jedenaście od smutnej dla literatury naszej chwili, gdy, dobiegszy za ledwie sześćdziesiątego roku życia, w domku swoim przy ulicy Łobzowskiej w Krakowie, zamknął na zawsze powieki „poeta melodji i głębin“, Adam Asnyk, największy niewątpliwie, a niedoceniony dotąd przez ogół szerszy, liryk nasz drugiej połowy XIX stulecia, jeden z największych poetów polskich poromantycznej doby, autor „Snu grobów“, „Kiejstuta“ i niezrównanych cyklów refleksyjno-lirycznych p.t. „W Tatrach“ i „Nad głębiami“, subtelny pieśniarz i głęboki myśliciel, mistrz formy i ję-

*) Odczyt publiczny, wygłoszony w Kaliszu (w dniu otwarcia uniwersytetu ludowego imienia Adama Asnyka) i powtórzony następnie w Warszawie, Łodzi, Kielcach i Kijowie.

zyka, niestrudzony bojownik promiennego jutra, wierzący gorąco, że ludzkość w swym pochodzie dziejowym buduje zwolna, lecz wytrwale zaklęty zamek, zaczarowany gmach lepszej przyszłości. „Nikt—mówi słusznie autor „Współczesnej literatury polskiej“, Wilhelm Feldman,—nie wznosił się tak, jak on, na wyżyny wieku, nie ogarnął tak widnokładu od końca do końca i nikt z takim mistrzostwem nie wyśpiewał jego treści.“

Lecz jedenaście lat w dzisiejszej gorączkowej dobie—to okres długi. Na niwie poezji polskiej zakwitnął w tym czasie i rozwinął się bujnie szereg talentów nowych, oryginalnych, niepospolitych. W różnych dziedzinach twórczości literackiej — w liryce, dramacie i epice powieściowej — lata te zaznaczyły się ożywieniem wyjątkowym. Nowe a wybitne talenty—nie zaćmiły może, ale powlekły lekką mgłą zapomnienia świetlaną postać „rybaka idei, zapatrzonego w głębie“, jak nazwał Asnyka jeden z poetów młodszego pokolenia, a lata ostatnie, pełne wulkanicznych wstrząśnień, nadziei i rozczarowań, jasną tę postać usunęły niejako do Panteonu zasłużonych i, włożywszy na jej skroń wieniec laurowy, przed wzrokiem ją naszym zakryły.

Niesłusznie! — Bo cała twórczość Asnyka jest nawskroś współczesną, bo w poezji jego odbiły się, jak w zwierciadle, zwątpienia, rozczarowania, niepokoje, walki wewnętrzne, nadzieje, pragnienia i ideały najlepszych pomiędzy nami. Poezja ta długo jeszcze pozostać może i powinna ulubionym pokarmem duchów wrażliwych na czyste, szlachetne, kryształowe piękno, duchów, zdolnych zatrzymać się w zadumie nad przepastnymi głębinami zagadnień bytu.

* * *

Adam Asnyk urodził się dnia 11 września r. 1838 w Kaliszu, w istniejącym do dziś domu przy ulicy Warszawskiej nr. 60. Ojcem jego był ex-wojskowy Kazimierz, matką — Konstancja z Zagórowskich, Wołynianka

z pochodzenia. Stanisław Krzemiński, druh i towarzysz broni poety, powiernik jego uczuć i marzeń, świadek nieposzlakowany i sumienny, we wstępie do wydanego pod swym kierunkiem pięciotomowego zbioru pism El...yego, mówi o jego ojcu, że miał duszę, podobnie jak twarz, surową, twardą, ale w głębi swej ukrywającą dobroć. „W samym już obejściu się pociągał prostotą i otwartością, a po bliższym poznaniu przywiązywał do siebie powagą i prawością“. Opowiadaniem przygód doznanych urabiał umysłowość dziecka i rozwijał w nim wyobraźnię. Stanowczością swą i rozległością poglądu przygotowywał fundamenty pod szczeroloty gmach jego charakteru. O matce w krótkiej swej autobiografii („Przegląd literacki“, 1897, Nr 19 i 20) sam poeta wyraża się z entuzjazmem, wyznając, że słodycz jej, tkliwość i głęboka miłość wywarły niezatarty wpływ na duszę młodą, a w przeszlicznym swym „Echu kołyski“, jednej z najcudniejszych pereł liryki polskiej—tej słodyczy i tkliwości macierzyńskiej wznosił jeszcze za życia uwielbianej pomnik trwałe, z którego kilka strof chociaż przypomnimy:

Gdym jeszcze dzieckiem był,
Budzącym się na świat,
Gdy wątły życia kwiat
Jeszcze się w paku krył,
Na łono matka mnie brała,
Pieściła i całowała,
Gdym jeszcze dzieckiem był.

Dziecino, nie płacz, nie,
Rozjaśnij swoją twarz.
Dopóki matkę masz,
Nie może być ci źle.
Na moim oprzyj się łonie,
Ja cię przed bólem zasłonię
Dziecino, nie płacz, nie!

Bo przyjdzie inny dzień,
W którym, o synu mój,

Napotkasz tylko znój,
 Zamiast rozkoszy technień.
 Zdrada ci oczy otworzy,
 Nieufność ducha zuboży,
 Bo przyjdzie inny dzień.
 Przyjdzie ci płacić krwią
 Serdecznych marzeń dług,
 Zdepcze cię w prochu wróg,
 Znieważy boleść twą...
 Szlachetny poryw zapалу
 I miłość dla ideału
 Przyjdzie ci płacić krwią..."

A w latach młodocianych Asnyka atmosfera domowa musiała dziecku zastąpić wszystko. Były to w kraju naszym czasy najstraszniejszej reakcji po owych niezapomnianych dla nas „dniach nieszczęśliwych“, po których zostało wprowadzić „smutne pół rycerzy żywych“, ale pędzili oni bolesne dni wygnańcze daleko poza granicami nieszczęsnej ojczyzny, trawiać czas—z początku przynajmniej—na „przekleństwach, kłamstwach, nieszczęsnych zamiarach, zapóźnych żalach, potępieńczych swarach,“—przerażani co chwila nowinami, bijącemi z Polski, „jako dzwon cmentarza“. A tych jęków dzwonu cmentarnego było w owej dobie coraz więcej, jeden od drugiego przeraźliwszy.

Rzućmy okiem na jedną choćby kartkę z dziejów tej okropnej epoki, którą nam uprzytomnia w swym dwutomowym dziele w sposób zwięzły i surowy—Wł. Grabiański. „W celu odejścia społeczeństwa—czytamy tam—od wpływów umysłowości europejskiej, przepisy paszportowe utrudniały obywatelom wyjazd zagranicę. Zabroniono najsurowiej wysyłać młodych ludzi na naukę do krajów obcych i dlatego nie wydawano paszportów na wyjazd zagranicę osobom, liczącym mniej, niż 25 lat życia... Ludzie starsi płacili za paszport zagraniczny, oprócz stempla, najprzód 25, potem 100 rubli na każde

półroczu. Przecięto i ten związek społeczeństwa z cywilizacją europejską, jaki tworzyły towarzystwa naukowe i zbiory biblioteczne. Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk zostało zniesione; gmach, w którym się mieściło, dar Staszycy, zabrano na skarb; bibliotekę i pamiątki narodowe wywieziono do Petersburga. Cenzura nie wpuszczała do kraju książek treści historycznej i społecznej; wzbronila drukować dzieł najznakomitszych pisarzy polskich; nie pozwalała nawet wymieniać nazwisk tych autorów, którzy mieli opinię nieprawomyślnych, jak Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Lelewela, Mochnackiego i innych. Młodzież, schwytaną na czytaniu książki zakazanej, np. „Dziadów“ Mickiewicza, wysyłano na Kaukaz do wojska. Niewola prasy perjodycznej była tak wielka, że cenzorowie zakreślali redaktorom artykuły „Gazety rządowej“, zmuszali ich do przedrukowywania pochwał na cześć systemu samowładztwa. Uniwersytety Warszawski i Wileński zostały zamknięte. Temu samemu losowi uległo gimnazjum Krzemienieckie. Młodzież, żadna wyższego wykształcenia, musiała udawać się do uniwersytetów rosyjskich, których liczbę pomnożył otwarty w r. 1834 Kijowski... Utworzona z wydziału lekarskiego po zniesionym uniwersytecie Wileńskim akademja medyko-chirurgiczna w r. 1842 została zamknięta. Z powodu braku w Królestwie uniwersytetu otwarto w Warszawie tak zwane kursa dodatkowe: pedagogiczne i prawne, lecz po upływie pewnego czasu zostały one zniesione z obawy aby gromadzenie się młodzieży dojrzalszej nie spowodowało tajemnych związków politycznych. Szkoły średnie podlegały ciągłym przekształceniom, zawsze w widokach zrobienia z nich narzędzi politycznych. Od r. 1839, gdy wydział oświecenia w Komisji spraw wewnętrznych przekształcony został na okręg naukowy warszawski, zależny od ministerjum petersburskiego, wprowadzono do szkół wykłady w języku rosyjskim. Ograniczano nauczanie języków nowożytnych i przedmiotów filologiczno-historycznych, któreby mogły oswajać młodzież z zapatry-

waniami, niezgodnemi z widokami rządu. Skłaniano natomiast do nauk praktycznych, zapewniających chleb. Zresztą minister oświecenia Szyrynski-Szychmatow podniósł opłatę szkolną i ograniczył liczbę uczniów w gimnazjach, do których zabronił przyjmować synów nie-szlachty i nie-urzędników. Zajęto się za to wychowaniem publicznym młodzieży żeńskiej w celu wykształcenia jej na matki i nauczycielki, odpowiadające sposobem myślenia intencjom rządu“ i t. d., i t. d. bez końca... „System ten, będący odwetem za powstanie listopadowe, zaostrzał się z roku na rok skutkiem działań, jakie podjęła emigracja polska po r. 1831“ (Wł. Grabiański: „Dzieje narodu polskiego“, cz. II, 1898, str. 290—293).

Taka była atmosfera w kraju, taka atmosfera otaczała kolebkę i lata młodociane Adama Asnyka. Że w niej nie skarłał i nie znikczemniał duch narodu, że w niej wyrosło nowe pokolenie Ikarów, gotowe znowu w myśl przykazania wieszczą „mierzyć siły na zamiary, nie zamiar według sił“ — dowód to chyba oczywisty, że uciskiem i represjami nie zabija się ducha narodu, że on w nich raczej, jak żelazo w ogniu, w stał się hartowną przetwarza.

* * *

Na ukształtowanie ducha poety w tych warunkach i czasach — obok przemożnego wpływu domu rodzinnego, z ojcem-weteranem i matką-aniółem domowego ogniska, wpływały niewątpliwie pieśni wielkich poetów naszych, które zahuczały tymczasem na emigracji, niby szum skrzydeł orłowych, wzbijających się wśród burzy pod niebiosami. „Bo pieśni wieszczów w narodzie są tak, jako w człowieku bywa serca bicie, co razem w ciele podtrzymuje życie i o życiu daje znak!“ A — jak wiadomo — wielka poezja Adamów, Juljuszów, Zygmunatów, mimo represje najstraszniejsze, przesączała się wszystkimi porami do organizmu narodowego i obiegała go, niby krew odżywcza. Z rąk do rąk przechodziły egzemplarze „Dziadów“, „Przedświtu“, „Kordjana“, przepisywane starannie przez

nasze babki i matki, przechowywane, jak skarby i relikwje najdroższe. A zresztą, jak mówi Mickiewicz, „na złość strażnikom cel przemycał w Litwę Żyd tomiki moich dzieł“, o co w pogranicznym Kaliszu łatwiej zapewne było, niż gdzieindziej, zwłaszcza, że ojciec Adama Asnyka utrzymywał tu przez czas pewien księgarnię.

Młodzieńcze lata poety związane są ściśle z miastem rodzinnym, gdzie uczęszczał do gimnazjum realnego, które ukończył w r. 1856; i potem nieraz tu jeszcze zaglądał, dopóki to dlań było możliwe. A później jeszcze, później znacznie, w chwilach wędrówki tułaczey i ciężkiej rozterki duchowej, myślą przynajmniej przenosił się wielokrotnie z obczyzny do miejsc najdroższych, z którymi łączyły go wspomnienia dzieciństwa i młodości. „Rodzinemu miastu“ w samym rozkwicie swej twórczości poświęcił wiersz piękny i poważny, przepełniony prawdziwie synowskim uczuciem. „Z księżycą promieniem“ nieraz w marzeniach swoich przenosił się poeta do murów ukochanych, znajdując tu chwilowe chociaż ukojenie; pozdrowiał ludzi, co go dzieckiem znali, pozdrowiał gaje, łąki i pola i zatrzymywał się nad każdą miedzą, „gdzie złote mary lat dziecinnych siedzą“.

„Droga mnie wiedzie do starego grodu,
Otoczonego ramionami Prośny.
Tam — wśród alei kasztanowych chłodu —
Czerpałem tchnienie pierwszej życia wiosny,
Co w cudowności szatę się obleka,
Jak sen zstępuje i jak sen ucieka.

Ach, z tym ogniskiem dusza moja zrosła
I brała z niego macierzyńskie ciepło,
Zanim daleka fala mnie uniosła
Na brzeg, co dłonią pochwyciłem skrzepłą,
Więc, gdy te domy i serca obaczę,
Jak dziecko, ręce wyciągam i płaczę.

Z czasem powoli wszystko się zaciera,
A więc i moje zatarły się ślady.

Stary park na mnie z zdziwieniem spoziera,
Pytając, co to za przychodzień blady,
I nawet mury wahają się szkolne
Rozpoznać we mnie swe dziecko swawolne.

Chociaż przechodzę około okienka,
Pod które dawniej zbliżałem się z drzeniem,
Już w nim nie siedzi figlarna panienka,
Co była pierwszej miłości marzeniem,
I tylko gzymsy opuszczone sterczą
I patrzą na mnie dziwnie i szyderczo.

Tylko sny dawne zlatują się do mnie,
Spływając łukiem różnobarwnej tęczy,
I widzę wszystko, com śnił nieprzytomnie
Nad nurtem rzeki, wsparty na poręczy...
Lecz te marzenia nie wydały plonu
I jestem smutny — smutny aż do zgonu.

Nietrudno się domyślić treści tych marzeń młodego poety, oraz przyczyny dożgonnego smutku, który istotnie stanowi jedną z cech zasadniczych jego twórczości.

W dalszym ciągu tego pięknego wiersza autor wypowiada jeszcze pragnienie objęcia w uścisku serdecznym ziemi i murów, wody i ludzi, a wracając już z swej wymarzonej podróży, jeszcze ukochane miasto poleca dobrych aniołów pieczy i przesyła mu słowa błogosławieństwa i miłości:

„Niech promień łaski nieba nieustannej
Pocziwe serca przed złem ubezpieczy,
I Ten, co wszystkich w przyszłość nas posuwa,
Nad starym grodem niech Bóg zawsze czuwa.“

* * *

Niepodobna zatrzymywać się tu nad szczegółami życia poety, naogół dotąd mało jeszcze znanymi. Zaznamy więc tylko, że po krótkim pobycie na agronomji w Marymoncie zapisał się Asnyk w r. 1857 do świeżo

wówczas otworzonej Akademji medyko-chirurgicznej, nie tyle zapewne pociągnięty do tego naturą studjów, ile atmosferą życia naukowego i koleżeńkiego. Jak świadczy wspomniany już Stanisław Krzemiński, z którego te dane czerpiemy, przyszły twórca „Snu grobów“ był odrazu jednym z najwybitniejszych młodzieńców tego koła „którego przecież — dodaje autor — nie zakreslił promień popolitości, użycia lub karjerowiczostwa i które, może nawet przeciwnie, w duchowych dążeniach równego sobie nie miało.“ Skromny, cichy, nigdy o sobie nie mówiący, ukrywał się, jakby ze zbrodnią, ze swojemi poezjami, choć go zdradzała bijąca z niego łagodna poetyczność, i nigdy nie stawał do popisów wierszotwórczych, na które inni tłumnie śpieszyli. „Ale ta skromność znikła, gdy mówić zaczynał, gdy młodzieńczą wiedzą swoją i czystym ideowym zapałem silny, podejmował walkę z przekonaniami przeciwnymi. Oko mu wtedy z pod brwi krzaczastych błyszczało, wymowa przyoblekała się w obrazowość; urok siły z głębokiego przeświadczenia płynącej, łączył się z urokiem słodyczy, którą tchnęła dusza, z pod egoizmu i egoistycznych zadowoleń w walce wyzwolona“ („Słowo wstępne“ do warszawskiego wydania „Pism“ Asnyka, tom I str. IX).

Po rocznym pobycie w Warszawie na czas pewien wyjechał Asnyk zagranicę, studjuje w dalszym ciągu medycynę we Wrocławiu, odwiedza potem Paryż, Londyn, Heidelberg, gdzie porzuciwszy medycynę, oddał się historii i filozofji, naukom państwowym i estetyce. W przerwach powraca do kraju, robi latem wycieczkę do Ojcowa i napawa się jego czarami; przebywa i w Warszawie, dokąd tymczasem przeniesli się na pobyt stały jego rodzice. Udział poety w pamiętnych wypadkach r. 1861—63 nie jest dotąd znany bliżej szerszemu ogółowi. W życiorysach dotychczasowych z powodów cenzuralnych omawiano go zazwyczaj dyskretnie. Krzemiński, który czasy te zna i pamięta dobrze, który sam w nich odgrywał rolę wydatną, zaznacza tylko, że „życie czynne

oderwało wówczas młodzieńca od marzeń i przyniosło mu niejeden znój, udrękę i cierpienie.“ Skądinąd wiadomo jednak, że przez pewien czas, po osłabieniu wpływu „białych“ i wystąpieniu na widownię „czerwonych“, którzy zamierzali podtrzymać powstanie środkami rewolucyjnymi, Adam Asnyk wraz ze znanym później komedjopisarzem Józefem Narzyskim, oraz Ignacym Chmieleńskim i innymi, był nawet członkiem radykalnego rządu narodowego, który rozpoczął swą działalność od wrześniowego zamachu na niedawno wówczas przybyłego do Warszawy i nienawidzonego niebawem za taktykę murawiewowską hr. Berga. Z okien pałacu Andrzeja Zamoyskiego, w dniu 19 września, rzucono na Berga bombę; zamach się jednak nie udał, wpłynął tylko na wzmocnienie represji, które znów ze strony czerwonych wywołały zabójstwa polityczne. Ale rząd terrorystyczny nie cieszył się sympatją społeczeństwa i po miesiącu ustąpił z widowni, a miejsce jego zajęła wkrótce dyktatura Romualda Traugutta.

Wkrótce potem Asnyk zboleły, zrozpaczony musiał opuszczać na zawsze Królestwo, a na wiosnę r. 1864 widzimy go znów w Heidelbergu, gdzie energii i staraniom rodziców, którzy tu za nim przybyli, udało się z trudem wyrwać go szponom melancholji, które w jego duszę się wpiły, i w świat szeroki, na wędrówkę dalszą wyprawić.

Jeżeli nawet ta melancholja przerodziła się czasem w natchnienie, to ślad jej niezatarty, potężny — widzimy w szeregu piorunujących i piosenkowych pieśni pierwszego okresu twórczości Asnyka, a smutek łagodny, w który przeszła potem, nie przestał go nigdy cechować, nawet w dobie zupełnego zrównoważenia jego ducha i na szczytach filozoficznej rezygnacji.

„Serce me zwiędło, jak marny liść, — skarżył się znacznie już potem poeta, — wśród nocy czarnej nie wiem, gdzie iść, i po przepaściach muszę nocować, więc ty mnie prowadź!“.

To, com ukochał, com tyle
Czczył,

Zdeptane w pyle
Padło bez sił.

Rozpacz i hańbę widząc po drodze,
Stałem w trwodze,

Widziałem zbrodni zwycięski
Szał,

Widziałem klęski
Duchów i ciał.

Więc obłąkany boleścią chodzę
We łzach i trwodze.

I nie wiem teraz, w co wierzyć
Mam?

Jak dzień mój przeżył
W ciemności sam,
Nie wiem, czy zdołam wytrwać niezłomnie:
Więc ty zstąp do mnie!

Pokaż mi tryumf w przyszłości
Dniach,

Tryumf miłości,
Kupiony w łzach
I ludu mego zwycięstwo jasne
Pokaż, nim zasnę!

Pokaż mi ciszę wschodzących
Zórz,

Zmartwychwstających
Królestwo dusz,
A dbać nie będę o szczęście własne —
Spokojny zasnę. —

* * *

Co—obok smutku bezbrzeżnego—uderza przedewszystkim w tym pięknym utworze, to niezwykle czar formy, cudowna melodyjność kunsztownie zbudowanej strofy,

pieszczącej się wprost, jak kochanka, z rozkołysanym słuchem czytelnika. Ten niezrównany artyzm, to wirtuozostwo słowa, jakiemu równych w liryce greckiej szukać by chyba trzeba, stanowi drugą zasadniczą cechę twórczości Asnyka od pierwszych jego publicznych wystąpień na arenie pisarskiej aż do ostatniego utworu, który z pod pióra jego wypłynął. U Mickiewicza spotykamy się niewątpliwie z większą plastyką w obrazowaniu, z większą siłą i wyrazistością, a niekiedy z polem niebotycznym. Słowacki, poza potęgą wyobraźni, oczaruje nas, porwie i zachwyci bajecznym wprost przepychem języka, lśniącego brylantami, oślepiającego wszystkich barwami tęczy, skąpanej w szafirach, granatach i lazurach morza i w gorących, złotych promieniach południowego słońca. Ale—bez ujmy dla wielkich poprzedników Asnyka—przyznać trzeba, że żaden z nich nie zastąpił następcom w puściźnie takiego jak El...y bogactwa, takiej zadziwiającej różnorodności wykwintnie, po mistrzowsku rzeźbionych strof, nikt z nich nie był równie skończonym, świadomym swego kunsztu artystą słowa. Pod tym względem wpływ Asnyka na lirykę współczesną jest wprost olbrzymi. Od Konopnickiej i Gomułickiego poczynawszy, aż do poetów najmłodszych, wszyscy mają mu coś do zawdzięczenia, wszyscy są w mniejszym lub większym stopniu jego dłużnikami, którym zresztą częstokroć przyznać należy, że skarbu odziedziczonego nie zmarnowali.

Co przytym uderza u Asnyka, to rzadki w dziejach poezji fakt, że występuje on odrazu w całym swoim rytmie artystycznym, że w nim okresu prób, łamania się z trudnościami i pokonywania ich stopniowego — nie znamy wcale. Wystąpił w szranki z duszą rozdartą, z sercem, ociekającym krwią, lecz oręż jego nie stępiony, zbroja lśni, a na tarczy, potrząskanej w boju, widnieje jednak wielkimi literami wypisane godło: *Artyzm*.

Artystą skończonym jest już Asnyk w dwóch swych najpierwszych ze znanych nam utworach lirycznych („Podróżni“ i „W zatoce Baja“), ogłoszonych w nr. 50

z r. 1864 lwowskiego „Dziennika Literackiego“, a napisanych, jak się zdaje, w Neapolu, gdzie chory na duszę poeta przepędził właśnie koniec jesieni i zimę, by u jasnych szafirowych wybrzeży „zaczepnąć trochę niebios i morza“, poskarżyć się przestworzom gwiazdzistym, a błędząc po grotach, zalanych światłem lazurowym, „zazdrościć ciszy tym błękitnym grobom“. W zatoce Baja, poeta, smutny „grobowców odzwierci“, utaiwszy namiętne wybuchy, staje zadumany „w tej przeszłości szumiącej zatoce“ i w strofach prześlicznych, z uczuciem rodowitego Greka przygląda się cieniom przeszłości klasycznej, błędzącym po tym „starym cmentarzu dziejowym“. Artystą skończonym jest i w „Śnie grobów“, dłuższym, na epopei Dantego wzorowanym poemacie lirycznym, który ukazał się, w „Dzienniku Literackim“ również, w czterech numerach z r. 1865, podznaczanych tylko zagadkową wówczas dla wszystkich literą Y. W poemacie tym, uważanym niesłusznie przez znakomitych nawet historyków literatury za—„niejasny i mętny“—jak chce Chmielowski, (Piotr Chmielowski „Współcześni poeci polscy“ Petersburg 1895 str. 190), lub „pełen sprzeczności i niejasności“—jak woli powiedzieć Brückner (A. Brückner „Dzieje literatury polskiej w zarysie“, tom II, str. 356), najlepiej może, najzupełniej odbija się ówczesny, z rozpaczą jeszcze graniczący nastrój poety, a zupełne opanowanie tak trudnej i zwartej strofy, jak dantejska tercyna, świadczy wymownie, że dwudziestosześcioletni pisarz osiągnął już w tym czasie dostępne tylko mistrzom wyżyny artyzmu. Strofa wtedy już, jak dla Słowackiego w „Beniowskim“, była dla niego „taktem, nie wędzidłem“; jak wielki twórca „Króla Ducha“, mógł więc już nieledwie powiedzieć:

„Lecz z prozą aljansów

Nie chcę—do wiersza mam, jak sędzę, prawo.

Sam się rym do mnie miłośnie nagina,

Oktawa pieśni, kocha mnie sestyna“,—

choćby oktawy i sestyny później dopiero pisać zaczął.

Nie znaczy to, aby forma Asnyka nie doskonalila się jeszcze w dalszym ciągu. Przytoczone już przez nas wyjątki z „Echa kołyski“ i „Prośby“ są dowodem wymownym, do jakiej śpiewności i melodyjności wznieść się on zdołał; równie pięknych strof moglibyśmy przytoczyć dziesiątki, że przypomnę choćby owe znane powszechnie:

„Coś się zdawało dziewczynie,
Coś się zdawało!
Przy młynie
Godzinę całą
Patrzała, jak woda płynie,
Jak pod nią w wodnej kotlinie
Coś się pluśkało...“—

lub:

„Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr,
Na sinej ich krawędzi
Króluje w mgłach świszczący wiatr
I ciemne chmury pędzi.
Rozpostarł z mgły utkany płaszczy
I rośnie z chmur wyciska,
A strugi wód z wilgotnych paszczy
Spływają na urwiska.
I dzień i noc i nowy wschód
Przechodzą bez odmiany,
Dokoła szum rosnących wód,
Strop niebios ołowiany.
I siecze deszcz i świszczący wiatr,
Głośniejszy potok gniewa,
Na szczytach Tatr, w dolinach Tatr
Mrok szary i ulewa“.

Szczytem zresztą artyzmu i wogóle twórczości Asnyka są dla mnie sonety „Nad głębią“. Równego im panowania nad słowem, wobec treści głęboko-filozoficznej, dotykającej w cyklu kilkudziesięciu pereł poetyckich najzawilszych zagadnień bytu, niema—rzec można—u ni-

kogo u nas przed Asnykiem, niema aż do chwili obecnej. Pojedyncze utwory w tym cyklu, choć piękne i głębokie, nie są, naturalnie, pod tym względem dość wymowne; całość dopiero, przesiąknięta ideą stopniowej ewolucji świata i ludzkości i wiarą w ostateczne zwycięstwo dobra, budzić musi podziw najwyższy. Myśl przewodnia tego cyklu występuje może najwyraźniej w sonecie XVII:

„Co złość zniweczy, co występki zburzy,
To miłość z gruzów napowrót postawi.
Upadła ludzkość z krwi i łez kałuży,
Gdzie ją spychają występni i krwawi,
Czyn poświęcenia podniesie i zbawi.
Myśl, która dobru powszechnemu służy,
Wiedzie za sobą duchów zastęp duży,
Jak łańcuch, w niebo lecących żorawi.
Cichych poświęceń nieustanna praca
I serc szlachetnych dobroć promienista
Grzesznej spuścizny przekleństwo odwraca,
I, coraz głębiej przenikając, czysta,
Powszechny skarbiec duchowy wzbogaca,
Z którego każdy czerpie i korzysta.“

Jeżeli obszerniej nieco zatrzymałem się nad formą Asnyka, to właśnie dlatego, że ona to, ona przytym w danym momencie rozwoju naszej poezji, jest jednym z głównych tytułów tego poety do nieśmiertelności. Nie należąc do zwolenników t. zw. „supremacji formy nad treścią“, można jednak zachwycić się zawsze głębokim uczuciem lub myślą niepospolitą, wyrażonemi w formie skończenie pięknej, a w tym właśnie Asnyk celuje. Wzniósł się zaś na tę wyżynę odrazu, i to w takiej dobie, gdy piękno słowa polskiego pod piórami pocziwych i serdecznych gawędziarzy, ale artystów słabych, jak Pol i Syrokomla, obniżać się wyraźnie zaczęło. Asnyk, choć nie pisał epopei, ani poematów obszernych, lecz tylko przeważnie utwory drobne, wiersze, nawet, jak chcą nie-

którzy—„wierszyki“ liryczne, jest od obu wymienionych poetą wyższym o wiele, i stanowi po Mickiewiczu iłowackim dalsze ogniwo w rozwoju naszej poezji, co jednak do dnia dzisiejszego nie wszyscy, niestety, rozumieją.

* * *

Nie na tym jednak kończy się znaczenie Adama Asnyka dla literatury polskiej wogóle i dla poezji naszej w szczególności.

Nie trzeba zapominać, że pierwszy okres twórczości poetyckiej El'yego przypadł na czasy reakcji przeciw wszelkim uniesieniom fantazji, na ów trzeźwy „wiek rozumu“, z którym pogodzić się nie mógł taki np. epigon wielkich romantyków naszych, jakim był Leonard Sowiński, który o epoce tej wołał z goryczą:

„Wiek rozumu, jak tabor ciurów rozpasany,
Opycha brzuch podbitej materji cielskiem...
Jak krzyże mogił kmiecych na cmentarzu sielskim,
Wali się posagowy piękna świat — oplwany
Pogardą ciżb, dla których każdy kwiat jest zielskiem,
A laur wydaje plon żółędzi pożądanym...“

Znaczna część społeczeństwa odwróciła się wówczas od poetyckich uniesień, niesłusznie widząc w nich przyczyny doznanych klęsk i nieszczęść. Na poetów i poezję rzucano klątwy, podnosząc w górę sztandar dążeń trzeźwych, pozytywnych. Asnyk cierpiał z początku nad rzekomą obojętnością dla drogich dlań haseł i wierzeń. „Smutno nam—mówił w imieniu poetów w znanym wierszu p. t. „Poeci do publiczności“, że ta moc cudowna, potrzęsająca niegdyś ludzi tłumem,—niezrozumiałym stała się dziś szumem“; z goryczą nazywał siebie i swoich współczesnych dziećmi „wieku bez miłości, wieku bez marzeń, złudzeń i zachwyty“, pokoleniem nieszczęśliwym, które wzrosło „wśród dziwnego świata, co się zapala i uniesień wstydy, co każdym wzniosłym uczuciem pomiata i wszędzie szuka śmieszności i szydzi“.

„Jego bezduszna chłodna atmosfera
Już od kolebki duszę nam otacza,
Dziewiczą barwę szyderstwem z niej ścięra.
Żadnej świętości marzeń nie przebacza;
Nic więc dziwnego, że ogień zamiera,
Że się fantazja krzywi i wypacza,
Bo tam, gdzie w sercach bezmyślność i bierność,
Krzewić się może jedna tylko mierność.“

(„Poeci do publiczności“).

Jest nawet chwila w rozwoju twórczości El'yego, w której poeta pod wpływem wątpliwości, cisnących się do jego umysłu i serca, przestaje zajmować się w poezji dążeniami i hasłami ogólnymi, przestaje nawoływać współczesne mu pokolenie do uczestnictwa w świecie idealnym i zamyka twórczość swoją w granicach uczuć osobistych, wypowiadając przeważnie na strunach liry upojenia i zawody sercowe. Utwory, pochodzące z owego okresu, prawdziwe pięciodełka pod względem formy, są wogóle nastrojone na nutę smutną. Kryje się w nich melancholja głęboka, przechodząca niekiedy w ironję, sarkazm lub nawet boleść bezbrzeżną. Ta rozterka między poetą a otaczającym go światem najwyraźniej występuje może w utworach takich, jak „Pożegnalne słowo“, oraz „Nagrobek“. „Jam już zmęczony tą ciągłą gonitwą, w której co chwila duch mój łamał skrzydła—woła autor w pierwszym z tych utworów—i skarży się dalej, że w tej bezbrzeżnej pustyni dla ducha, jaką wydawał mu się wówczas świat, w którym żyć mu wypadło — „niema gdzie widzeń swoich ucieleśnić!“

„Więc chociaż serce, jak wulkan wybucha,
Samotne musi wieczność gniewu prześnić
I do grobowców przywyknąć milczenia,
Nim znajdzie w prochach ciszę zakończenia...“

A w „Nagrobku“ słyszymy wprost, że poeta nie dotknął nigdy ręką rzeczywistości, że same tylko kołysały go widma, że „sen był mu życiem, przebudzenie—męką“,

„W wiązance wspomnień, zbieranych starannie,
 Nic nie przeżyje chwilą jutra mej mogiły,
 Błyszczałem rosą uczuć nieustannie,
 Lecz i tę ptaki niebieskie wypily,
 I tyle tylko pozostanie śladu,
 Co po tych perłach, startych piersią gadu“.

Lecz faza rozczarowania i zwątpienia nie mogła trwać długo u poety tej miary i tej głębi duchowej, co Asnyk. Bliższe zetknięcie się z życiem w jego różnorodnych objawach, z „matką naturą“ w jej pełnej grozy i uroku krasie, rozwiało mgły rozczarowań nad smętnym czołem liryka i nawiązało nowe struny na śpiewnej jego harfie. To pogodzenie się z rzeczywistością odmalowane zostało w prześlicznym „Wstępie“ do poematu lirycznego p. t. „W Tatrach“, gdzie poeta nie waha się już nazwać ziemi „dobrą karmicielką“; przyznaje, że z karmicielką tą „żyć musimy w zgodzie aż do mogiły“, że „każdy z nas musi w walce, którą toczy, tak jak Anteusz—dotykać się ziemi“, od której wzamian za to dotknięcie otrzymuje nie tylko ukojenie bólów i cierpienia, lecz i pogodny spokój i pieczętę matki:

„A kto ukochał ciebie sercem całym,
 I w twe objęcia chyli się z tęsknotą,
 Tego pogodnym obdarzasz spokojem,
 Spojrzeniem matki i matki pieczęcią,
 W zaczarowane znów wprowadzasz koło,
 Wracając młodość jasną i wesołą.“

Po tym pojednaniu się z rzeczywistością dusza poety staje się czułym narzędziem muzycznym, odbijającym w swym wnętrzu wszystkie zagadnienia epoki i starającym się zlać w harmonijną symfonię wszystkie sprzeczne pozornie odgłosy. Z poety-liryka, odtwarzającego osobiste tylko bóle i cierpienia, staje się Asnyk poetą-myślicielem i filozofem; w utworach swoich ukazuje czytelnikowi ukryte głęboko ogniwa, łączące przyszłość z przeszłością, staje się rzecznikiem szerokich haseł spo-

łecznych i zastanawia się nad zawilemi zagadnieniami bytu. Poeta głosi i teraz wprowadzie, że „przemiął czas rapsodów, sławy i miecza, zmalowały pieśni pośród nas i pierś zmalowała człowiecza“, lecz pociesza się wiarą, że „błyśnie dzień, w którym duch ludzki nanowo ożywi zeszedłszy życia pień girlandą kwiecia różową,

I z prochu, w który dziś się wpil
 Na dawnych marzeń ruinie,
 Zaczepnie zapas twórczych sił,
 I znowu w niebo popłynie,—“

bo—*„co nieśmiertelne musi żyć, choć zmienia kształty zużyte.“*

Przez usta „Ociemniałego Thamyrisa“ uczy Asnyk, że biegu świata nie należy mierzyć wyłącznie krótką miarą dni swoich, że ten tajemniczy ideał daleki, który przyświeca ludzkości, „wiecznie nieuchwyconą jest dla nas zdobyczą, ku której się przybliżać należy przez wieki“. Sercu swojemu uciszyć się każe i zaprzestać oplakiwania własnych bólów, pozdrawiając „wschodzący świat i jego jutrznie różane“, oraz „pokoleń przyszły ród, ich myśli, pragnienia, cele, kwiat nowych uczuć, nowych enót, na naszym wzrosły popiele...“

Zwracając się do „starych“ z apostrofą:

„Trzeba z żywymi naprzód iść,
 Po życie sięgać nowe...
 A nie w uwiedlonych laurów liść
 Z uporem stroić głowę,—“

przestrzega poeta „zdobywców młodych“ przed jednostronnym potępieniem przeszłości:

„Każda epoka ma swe własne cele
 I zapomina o wczorajszych snach...
 Nieście więc wiedzy pochodnię na czele
 I nowy udział bierzcie w wieków dziele,
 Przyszłości podnoście gmach!“

Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy
Choć macie sami doskonalsze wzniesić;
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy
I miłość ludzka stoi tam na straży,
I wy winniście im cześć.“

(„Do młodych“).

Forma i wogóle zewnętrzna strona utworów El...yego doprowadzona została w tym okresie do szczytów mistrzostwa. Poeta rozumie jednak, że „śpiwnej melodii słodycze, wpółsenne pienia słowicze“ same przez się nie wzruszają dzisiaj serc. Duch nowoczesnego człowieka nie zadawała się już w poezji kwiatkiem, słowikiem, szmerem strumienia, „lecz żąda, by w męskiej nucie dźwięczało głębsze odczucie duchowych dróg...“

* * *

Dusza prawdziwego poety, a zwłaszcza poety-liryka, jest jak morze o tysiącach fal różnobarwnych, mieniających się w słońca promieniach. Któż uchwyci barwę i blask każdej fali morza? Kto dostrzeże wszystkie zmiany, wszystkie drgnienia wrażliwej proteuszowo-zmiennej duszy pieśniarza? Każdy utwór jego, każdy drobiazg liryczny, to odbicie chmury lub słońca w fali nowej, a chwil takich, promieni i fal — nieskończoność. Ująć duszę-morze w formuły krótkie i suche niepodobna. Co najwyżej zauważyć można fale niektóre, powtarzające się częściej od innych, zauważyć i podkreślić pewne strony ducha pieśniarza, zarysowujące się wyraźniej, dobitniej, ale wyczerpać duszy niepodobna, jak nie wyczerpie nikt obrazów, barw i blasków ruchliwej, zmiennej, nieskończonej, ukochanej powierzchni morza...

Z różnych formuł, w które ujmowano już proteuszową duszę Asnyka, bliższą prawdy od innych wydaje mi się ta, którą nakreślił wkrótce po jego zgonie oryginalny i głęboki, a przedwcześnie zmarły krytyk-esteta, Antoni Gustaw Bem. W duszy El...yego widzi on ścieranie się z sobą i dążenie do harmonii dwóch prądów: prometeizmu

i danteizmu. „Pierwszy wyobraża walkę z wrogami dla człowieka siłami, drugi wiarę w Miłość, rządzącą światem“. Pomimo przeciwbiegunowej sprzeczności, oba te kierunki kojarzy — dodaje krytyk — pewien ukryty rys wspólny; buntowniczy bowiem ród olbrzymów toczy bój z Olimpem w celu uszczęśliwienia ludzi.“

Obok tych dwóch prądów możnaby odnaleźć i podkreślić u Asnyka dwa inne jeszcze: hellenizm i romantyzm, łączące się do pewnego stopnia z dwoma pierwszymi. Hellenizm — to owo umiłowanie piękna klasycznego, greckiego zwłaszcza, występujące u poety, bądź w całym szeregu utworów, osnutych bezpośrednio na motywach klasycznych („Odlamowi Psychy Praksytelesa“, „Lykofron do Fatum“, „Król Juba“, „Achilles“ i wiele innych), bądź przynajmniej nadające pewną miarę, pewną powagę, pewien chłód — rzekłbym — najgorętszym nawet jego wybuchom, chłód zresztą cudnego marmuru, pod którym ukrywa się wiecznie młoda, wiecznie gorąca dusza. Ta nieposzlakowana czystość linii, to głębokie umiłowanie pięknej formy — są to również bezpośrednie refleksy hellenizmu. Romantyzm występuje u Asnyka pod postacią nieukozonej tęsknoty i z głębi ducha płynącej miłości do tego, co odchodzi, choćby nawet poeta czuł, że odejść musi, choćby rozum mu szeptał, że odejść powinno. Tu znów przypomnieć trzeba dwa piękne, a cytowane już utwory: „Przeminął czas“ i „Do młodych“. W pierwszym poeta żegna się i pożegnać, i rozstać, i rozłączyć nie może z odchodzącym bezpowrotnie światem „tęczowej cudów powieści“; w drugim dążenie „zdobywców młodych“ usiłuje pogodzić z umiłowaniem „przeszłości ołtarzy“.

Romantyzm kojarzy się z hellenizmem w takim np. idealizmie przepięknym czarodziejskiej „Baśni tęczowej“, która od kolebki biegła za poetą i szeptała wciąż do ucha „melodyjne zaklęć słowa“; to znów występuje niekiedy pod postacią precudownie wyrażonej, chwytającej wprost za serce rezygnacji ze szczęścia własnego, połączonej z wiarą, że ono jednak było do zdobycia:

„Nie mów, chociażbyś miał ginać z pragnienia,
 Że wszystkie źródła wyschły już bijące —
 Tyś gonił pustyni piaszczystych złudzenia,
 A minął strumień na zielonej łące.

Nie mów, chociażbyś umierał z tęsknoty,
 Że niema czystej miłości na ziemi —
 Tyś pewnie w drodze blask jej zgubił złoty,
 Za ognikami zdążając błędnymi.

Nie mów, że wszystko czegoś ty nie umiał
 Odnaleźć w życiu — marą jest zwodniczą!
 Zdrój czystych uciech będzie innym szumiał
 I inne serca poił swą słodyczą.

Innemi jeszcze formami kombinacji będzie połączenie — pokrewnych zresztą — prometeizmu z hellenizmem i całkiem już nowe — hellenizmu z najnowszymi prądami społecznymi. Kombinacja pierwsza występuje np. w młodzieńczym światoburczym, nawskroś prometejskim „Julianie Apostacie“, druga w „Heraklesie“, który — „właściwie ludem się nazywa“ i kiedyś „przy gromów błysku — Prometeusza z więzów wyswobodzi...“

Bezpośrednie odczucie i zrozumienie najnowszych prądów społecznych występuje również w wymownym „Szkicu do obrazu współczesnego“, pięknym wierszu, poświęconym Jackowi Malczewskiemu, jednym z ostatnich utworów Asnyka, nie objętym, o ile wiem, żadnym z dotychczasowych wydań. Znamienny ten utwór zamieszczamy niżej w całości.

Zestawienia i kombinacje możnaby tak mnożyć bez końca i ostatecznie nie wyczerpalibyśmy nigdy bezbrzeżnego morza duszy poety. Że jednak są pewne idee, przenikające twórczość Asnyka od początku do końca, stanowiące niewątpliwie jedną z zasadniczych strun jego harfy, że są idee, które go niepokoiły wciąż, z którymi się zmagał, które wypowiadał w różnych formach, aby im w końcu nadać kształt piękny i przekonujący, to stwierdzić mo-

żna najlepiej, zestawiając niektóre ustępy „Snu grobów“ z jednym chociaż sonetem z „Nad głębinami“.

Nie chcąc rozszerzać nadmiernie ram szkicu naszego, musimy na razie wyrzec się myśli szczegółowego rozbioru „Snu grobów“; nie możemy już również mnożyć zanadto urywków i cytat. Ale jest jedno miejsce w tym młodzieńczym, a dziwnie już dojrzałym i głębokim utworze zbolełego, zrozpaczonego podówczas poety, jest jedno miejsce wymowne, które musi zatrzymać nas jeszcze chwil parę. Przeszedłszy, jak Dante, przez piekło udręczeń najstraszniejszych, czując się „skonań myślą pogrobową, dla której przyszłość nie świeci już żadna“, przesunawszy przed oczyma naszymi cienie bohaterów, co ginąc za wolność, leśnym wrzosem „rumianych użyczali kolorów“, poeta-rewolucjonista idzie po klęsce z połamaną bronią i zasłoniętymi rękami obliczem, aby „swą duszę zgubioną“ odnaleźć wśród serc, „grobowców prochami zapalnych, anielskich kwiatów upojonych wonią“, wśród ogników, widzialnych tylko na cmentarzach... Aż nagle, „chmurne odrzuciwszy zwoje“, staje przed nim jakiś hardy, „nieugiętością, zbrojny, nie puklerzem“, rycerz, który nazwał się potym — aniołem przeznaczeń.

„Przekłęci — wołał — przekłęci, przekłęci, których jutrzeńka grobowa kołysze do snu, do leż i nicości i żywem w łonie potępionym chowa...“

„Dla takich Bóg sam nie znajdzie litości,
 Bram im przyszłego życia nie otworzy
 I twarz odwróci swoją od ich kości.
 Bo kto do tyła duszę swą zuboży,
 Że już z niej zetrze nieśmiertelne piętno
 I dobrowolnie w prochach się położy,
 Jak samobójca pierś splamiwszy smętną —
 Wart, by go zdeptał praw skrzywdzonych mściciel
 I nawet pamięć jego będzie wstrętną...“

„Ja nie przychodzę — woła dalej Anioł Przeznaczeń — zatruwać przyszłość miłością zgnilizny, ale sąd niosę,

wszechwładny niszczyciel!“ I zwraca się do pokolenia całego z wymówką gorzką, uderzającą w serce, jak kamień ciężki a ostry:

„Długo was pieścił Cherub złotowłosy
I nad lichemi próchnami się bawił,
Wmawiając wielkość w strzaskane kolosy,
A przecież z gruzów kolumn nie wystawił
I życia nie wlał w umęczone prochy
Tylko je w tęczy krwawej przez świat splamił,
Mistyczną pieśnią napawając śpiochy
A odurzone siedmiu niebios blaskiem
Rzucił w ciemności ów aniołek płochy.“

„Anioł przeznaczeń“ chce do nowego życia rozbudzić naród, zapatrzony w marę przeszłości, zadowolony „połowicznego istnienia obrazkiem.“ „Chodź ze mną—woła do poety—chodź ze mną w znojów nieprzebyte kraje,—lepsze są one, niżli wyobraźni kłamliwych widzeń utracone raje.“

„Niech cię nie straszy długość ciężkiej kaźni
Ani zasmuca wierzchniej pleśni zgniłość,
Stąpaj bez wspomnień, żalu i bojaźni

I zerwij dawną z grobami zażyłość,
I całą przeszłość marzeń chciej zostawić,
Aby cię znowu nie zbłąkała miłość“.

To, co upadło, musi w rdzy się strawić
I pod martwości szatą tać skrycie,
Bez próżnych pokus, aby siebie zbawić —

Nienadwątlone niczym *nowe życie*,
Któremu niańczy grób ten, jak kołyska,
Nim niemowlęce odrzuci spowicie

I rzeczywistą siłę lotu zyska.
Niech więc nie jęczy cichy proch człowieczy
Pod stopą, co go depce i uciska,

Bo *odrodzenie światów* ma na pieczy
I z woli Bożej zostaje deptany,
Która mu tryumf ojcostw zabezpieczy...”

Jeżeli w dwóch ostatnich strofach tego ustępu brzmi jakby echo oddalone wierzeń mesjanicznych poezji romantycznej, to za to poprzednie są bolesnym dla wielu, chwilami aż zanedo trzeźwym głosem człowieka nowego, rozbudzonego przez rzeczywistość okropną z romantycznych rojeń i snów; zawiera się w nich już skryształizowane w pięknych tercynach dantejskich hasło zerwania z przeszłością i wytrwałej pracy dla przyszłości, hasło podjęte *później dopiero* (i inaczej, co prawda, może nie tak głęboko pojmowane) przez tak zwanych pozytywistów warszawskich.

Więc idea przewodnia „Snu grobów“ nie jest, zdaje się, tak niejasna i zawiła, jak chcą niektórzy krytycy i historycy literatury. Jest to idea odrodzenia i życia, jest to idea przyszłości, a zarazem zerwanie — nie bez bólu z pewnością, z dręczącym widmem wspomnień grobowych, nie dających się pogodzić z tym wiecznym, młodzieńczym parciem narodu naprzód, ku nowym zorzom, ku jutru nowemu.

* * *

Teraz pozwolę sobie na maleńkie i krótkie zboczenie. Jest jeden „niejasny“ utwór Wyspiańskiego. Tytuł jego „Wyzwolenie“. Występują tam w akcie końcowym do walki dwie potęgi: Gieńjusz i Konrad. Pierwszy — gieńjusz historyzmu, marzenia, snów o wielkości mistycznej, nie chcący znać wymagań życia i ziemi, noc i śmierć niosący w truciźnie słów ekstatycznych:

„Krew żywą wziąłem do czary
Za toast wielki i górny,
Za Polski śmierć-odkupienie,
Za Polski krzyżową mękę“ —

a kończy swą apostrofę słowami:

„Grobowce, trumny, cmentarze“

i ma prowadzić z sobą naród do podziemi grobowych,
gdy wtym wpada na scenę nowoczesny bohater — Prometeusz-Konrad, który pozbył się wszystkich mąk zwątpień,
analizy, poddaje wszystko krytyce, duch wolny, przeciw
wszystkim występujący dogmatom, tradycjom, obowiązkom
narzuconym. Chwyta z rąk Hestji pochodnię i wpada
do katedry, gdzie właśnie Gieńjusz omroczył był wszystkie
zmysły, upoił kadzidłem historyzmu, złudy, mistyki.

„Sława, narodzie, sława! — woła Kordjan i zwraca się
do Gieńjusza z wyzwaniem i potępieniem:

„Krzyżowej męki upiorze,
Nienawiść niosę palącą!“

Przeklina wszystkie godła, które na męki naród
wiodły, i woła: *„Dla mnie żywota prawo! Zwycięstwo niosę
z krwi i z ciała, z woli żywej i żywej potęgi. Dla mnie
żywota prawo!“*

Idea przewodnia „Snu grobów“ powtarza się, w nową
przybraną szatę — u największego z poetów młodej, odrodzonej
do życia Polski, powtarza się w „Wyzwoleniu“ Wyspiańskiego,
które dla pewnej części krytyki jest również — naturalnie —
zawiłe i niezrozumiałe.

* * *

Ale myśl przewodnia młodzieńczego utworu Asnyka,
niby tęcza, łącząca łukiem świetlanym dwa przeciwległe
krańce firmamentu, występuje i w późniejszych utworach
wielkiego poety, a zwłaszcza w precudownym jego cyklu
sonetów „Nad głębinami“. Jeden z nich jeszcze przytoczę
na zakończenie:

Taką, jak byłaś, nie wstaniesz z mogiły!
Nie wrócisz na świat w dawnej swojej krasie;
Musisz porzucić kształt przeszłości zgniły,
Na którym teraz robactwo się pasie;

Musisz zatracić niejedyn rys miły
I wdzięk w dawniejszym uwielbiany czasie...
Lecz nową postać wziąć i nowe siły
I nowych wieków oręż mieć w zapasie.

Grób cię nie odda światu widmem bladym,
Z mogilnej pleśni i zgnilizny plamą.
Do wnętrza, śmierci przesiąkniętą jadem:

Lecz przystrojona w królewski dżadem
Musisz do życia wkroczyć życia bramą,
Musisz być inną! choć będziesz tą samą!

„Taką, jak byłaś, nie wstaniesz z mogiły: musisz do
życia wkroczyć życia bramą, musisz być inną, choć
będziesz tą samą“...

Treść tego pięknego sonetu, w którym największy
nasz poeta poromantyczny pozostawił niejako potomności
swoją testament duchowy na dalszą drogę żywota, powin-
ni by uprzytomnić sobie ci wszyscy, którzy fale życia,
rwącego się z niepokonowaną siłą w łóżyska nowe, pra-
gną gwałtem do koryt starych zawrócić.

„Trzeba z żywymi naprzód iść“ — wołał do nich
przed laty poeta, — *„musisz być inną, choć będziesz tą
samą“* — nauczał ich na schyłku dni swoich, — jedno i dru-
gie bezskutecznie...

Do tych wszystkich, którzy — mimo klęski i nie-
szczęścia narodowe — o niczym nie zapomnieli i niczego
się, niestety, nie nauczyli, możnaby zawołać z innym
wielkim poetą naszym, uwielbianym mistrzem Asnyka:

Lecz dopóki ty i twoi,
Duchem bożym nie skrzydlaci,
Chcecie stać na piersiach braci
Tak jak szatan dotąd stoi, —

.....
To my jaśni, to my młodzi
Jutrenkami i błyskaniem
Charonowej twojej łodzi,
Pełnej trupów — wpoprzek staniam!



ADAM ASNYK.

Z utworów, nie objętych wydaniem zbiorowym.

SZKIC DO WSPÓŁCZESNEGO OBRAZU.

(OFIAROWANY JACKOWI MALCZEWSKIEMU.)

W ogrodzie, strojnym w rzeźb klasycznych szereg,
Pełnym róż, mirtów, jaśminów, tuberoz,
W gronie wykwintnym paziów i pasterek
Renesansowy cicho stąpa Eros.

Ostrożnie leci jego złota strzałka
Pomiędzy pary rozmarzone słodko,
By nie skaleczyć pieszczonego ciała
A tylko tajną podrażnić łaskotką.

Wytworne damy, poeci, artyści,
Sztuki smakosze, dworacy i pазie
W cieniu laurowych grupują się liści
W półtonach płynnych, w mistrzowskim obrazie.

Lekkie westchnienia, przelotne uśmieszki,
Spojrzenia, słodycz niosące przez chwilę,
Wdzięczne pokusy, eteryczne grzeszki
Krażą w powietrzu, jak płochy motyle.

Niedomówione wśród urwanych szeptów
I niby siatką spowite pajęczą,
Z ust estetycznej alchemji adeptów
Słowa, muzyką przytłumione, brzęczą.

I płynie myśli subtelny aromat,
Wyszlachetniony w cieplarnianej szkole,
Przystępny tylko dla wybranych gromad,
Odczuwających nastrój i symbole.

I w estetycznym roztopione smutku,
Co z prozy życia powszedniej wyrwany,
Nadobne pary szepeczą pocichutku,
Do bladolicej wzdychając Nirwany.

Jest im niezbędny wśród wrażeń przesytu
Gorzki, trujący nicestwa narkotyk —
Więc rozpaczają nad marnością bytu...
I w nowy zaraz przechodzą erotyk.

* * *

Po za kratami ogrodu, — w ulicy,
Tłum się gromadzi i przed bramą staje, —
Jacyś nieznani barbarzyńcy dzicy...
Niesforne, brudne i obdarte zgraje.

Pomiędzy niemi nie Eros różany
Na blade twarze rzuca blask przewodni —
Lecz jakaś wiedźma, ubrana w lachmany,
Potrząsa drzazgą płonącej pochodni.

W żrenicach krawe zapala im błyski
Widokiem bogactw kuszących ogrodu,
I budzi instynkt poziomy i niski,
Brzydkie uczucie zwierzęcego głodu.

Twarde ich pięści zaciska kurczowo,
Jadem zawiści serc przyśpiesza bicie,
Na usta kładzie złorzeczenia słowo
I ten głos w ostrym wydobywa zgrzycie:

„Gdy nasze dzieci wśród wilgotnych ciemnic
Duszą się, żadne mleka i powietrza,
Gdy nasze siostry na chlebie najemnic
Nie mogą wyżyć,—nam sztuk waszych nie trza!

Kto w jarzmie pracy nie dośpi i nie zje,
Gdy go z rodziną przyciska potrzeba,
Klnie waszą mądrość i waszą poezję,
A łaknie—ziemi, powietrza i chleba.

Was nie obchodzą nie losy milionów,
Ani nędzarzów pospolite troski —
Przeto w przepychu woni, barw i tonów
Do szczętu zagon trwonicie ojcowski.

Lubiecie ludzką wzruszać się niedolą,
Gdy ją widzicie w książce lub na płótnie—
Ale was rany nasze nie zabolą
I trud żywota obcy wam, o trutnie!“

Tak coraz głośniejszy wykrzykuje tłuszcza,
Patrząc na państwo fantazji bogate —
I coraz dziksze spojrzenia zapuszcza
W siedzibę zbytku, przez ogrodu kratę.

Ale w ogrodzie estetyczne damy,
Trubadurowie, sztukmistrze i pазie —
Nie słyszą burzy, co huczy u bramy,
Tonąc w lubieżno-mistycznej ekstazie...

6 marca 1895 r.

NA POLACH KARTAGI.

Stoję na polach milczącej Kartagi,
Weiśniętych między dwie zatoki morskie:
Szmata potargany, zdziczały i nagi,
Po którym przeszły pęki różg liktorskie.

Odkryte doły, zaklęśnięte jamy
Bezkształtne wnętrza ukrywają zwalisk;
Po polach leżą strzaskane odłamy
I bezimienne szczątki wykopalisk.

Gdzieniegdzie mignie znienacka w pobliżu
Twarz ludzka z pośród odsłoniętych ruin,
W framudze cegieł, jak posąg ze spiżu,
Stoi poważny Arab lub Beduin.

Posępna plemion zginionych kotlina,
Ściegiem zielonych haftowana grządek,
Oстрым trójkątem ku morzu się wspina
I w górujący wystrzela przyładek.

Na jego stoku coś bieli się niby,
Wieniec zieleni przepasane w kółko,
To białe, niskie Arabów siedziby
I groby świętych z okragłą kopułką.

Szeroko płaskie kaktusów łodygi
Wkoło lepierek tworzą płot koleczasty;
Wśród nich aloes lub krzywy pień figi
Wznosi ramiona nad piasek i chwasty.

Przed lepiankami zasiedli na ziemi
Piękni linjami i wyrazem chłopcy
O śniadych twarzach, oczyma czarnymi
Patrzą zdumieni, gdy nadchodzi obcy.

Słońce ku morzu zaszło gorejące
A przez kaktusów dzikie żywopłoty
Wybiegły naraz promieni tysiące
Przedarł się pożar czerwony i złoty.

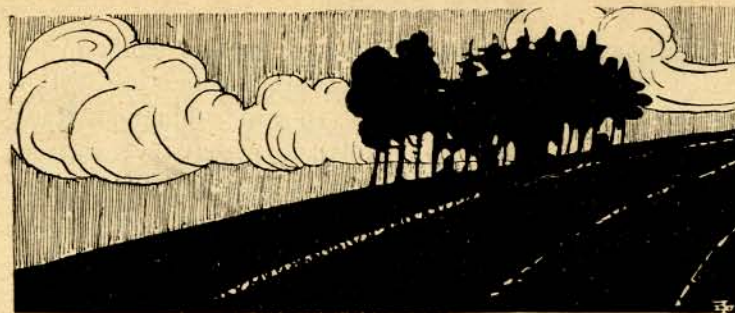
Tam za skał szczytem wybuchając w dole,
Odbity w górze przez chmur ciemne wstęgi,
Ogniem swym objął kartagińskie pole,
Coraz to szersze zataczając kręgi.

A mnie się zdało, że przedemną płonie
Olbrzymie miasto—gdzie wre bój zjadły,
I widzę mieczem uzbrojone dłonie,
I stosy trupów, które w walce padły.

Goreją gmachy, świątynie, portyki,
A orły rzymskie ulatają górą:
Wzniosły się dumnie ponad zamęt dziki
I świecą łuny ognistej purpurą.

Tłum zrozpaczonych niewiast prosto leci,
Gdzie w żarach krwawe topnieją bożyszcza,
Rzucają w płomień skarby swe i dzieci
I same skaczą w walące się zgliszcza.

Mężę polegli — niema już narodu,
Jeźdźcy tratuja nikiemnego zbiega,
A nad gruzami zburzonego grodu,
Rzymskie: „Vae victis!” głośno się rozlega.



ZOFJA RYGIER-NAŁKOWSKA.

RÓWIEŚNICE.

(Ciąg dalszy).

Kiedys Małgorzata wyszła z redakcji krokiem powolnym i niepewnym. Miała oczy silnie przymrużone, usta blade i cień żółtawy na pochudłej twarzy.

To, co zaszło przed minutami, było czymś złym nad siły. Życie naokół stało się dla Małgorzaty stężale i hermetycznie jakby zamknięte. Z trudnością poruszała się w twardym powietrzu. Idąc, wlokła za sobą swoje więzienie, otaczający ją zewsząd mur nieprzebyty.

Był ostatni mróz — cichy, nieruchomy, skostniały. Zima odchodząca wzięła tę część ziemi w konwulsyjny uścisk pożegnania. Kamienie i mury trzeszczały cicho w tych objęciach. Ale wiew ledwie wyczuwalnego wiatorku przynosił niewyraźną wiadomość o wiosnie. Spoglądała już w tę stronę z poza szyby lodowej, śmiała się i czaiła, jak kobieta z oczami zielonemi i ostreimi zębami. Czekala tylko tego dnia, kiedy będzie można już przyjść.

Małgorzata lękała się wiosny, nienawisć czuła do jej wrogich sobie, jasnych potęg. „Wiosna dobra jest tylko dla szczęścia, bogactwa, głupoty i poezji”—bluźniła. Rzeczy najgorsze, rzeczy obezwładniające, rzeczy wytrącające z ręki broń—spotykały ją zawsze na wiosnę. Wiosna to obmyślała sposoby podstępne, by stracić ją z wytargowanej ciężko drogi życia, za wielką cenę wydartej chłodnemu materializmowi dziejów.

Dążyła do domu, jak gdzieś w męczącej pogoni za żerem zranione zwierzę,—szczękając zębami z bólu i złości beznadziejnej. Szła do swojej ciemności, do samotności swojej, do czarnej, kochanej pustyni. Byle po drodze nie spotkać człowieka, żadnego człowieka — —

Oto była wolna — zwolniona właściwie. Przytym posiadała w kieszeni pensję naprzód za dwa tygodnie w ilości rubli kilku zabawnych. Bezpośrednich długów więcej miała, niż wynosiła ta suma.

Stała znów w obliczu minionych przed trzema miesiącami rzeczy: najwyszukańszych, najrozpaczliwszych pomysłów zdobycia „miejsca”. W wyobraźni majaczyły szeregi przypuszczalnych twarzy, przypominały się różne biura, ogłoszenia, „stosunki”. Oczekiwania długie. Nieopowiedziana przykreść oglądania zakłopotanych oczów, nagłych rumieńców zażenowania na fizjognomjach życzliwych. I obietnice martwe, chęci dobre — w miarę możliwości. Wszystkie te rzeczy wyzyskała była już dla zdobycia tego, co dziś utraciła właśnie. I myśl, że na nowo — —

Powróciło znane dobrze z czasów tamtych uczucie niedogody stałej, niedogody zasadniczej, doznawanej zmysłem bytu, uczucie ciężaru życia. Pomyślenie każde wydłużało się, jak pijawka, rozwidlało nieskończenie, rozszepiało się na długie włosy, na czyste nerwy bólu, wracało, pieło się wokół swego początku. W czasie, ściśniętej ponad oczami, niematerialnym pierścieniem, wypełnionej jakby dymem gęstym, dokonywała się praca męcząca i nieustanna.

Z tła burego wyłaniało się wstrętne widmo twarzy nienawistnej; widziała dokładnie rżysko źle golonej brody, oczy brudne, nabrzękle od alkoholu powieki. Ach—i te słówka: „niechże pani zrozumie — my dla względów osobistych nie możemy narażać pisma...” Skąd mógł się dowiedzieć, kto doniósł?—Tym razem była przecież taka ostrożna; nauczona już doświadczeniem nie zdradzała się zupełnie, że ma styczność jakąś ze światem przeklętym tak zwanych „względów osobistych”. Była poprawna, solidna, budząca zaufanie... Pismo, proszę pani, to jest sprawa publiczna...” Och tak, och tak! I jeszcze: to nie odemnie zależy, nie wolno mi narażać placówki społecznej...”

Tak brzmiała formuła wyroku, uzasadniona, zupełnie ostateczna. Odbyło się.

„Placówka społeczna”. Och tak, och tak! Panie redaktorze—pan nawet za mało powiedział: to jest świątynia. Tam przecież jest bóg, „bóg domowy” — widziałam niejednokrotnie jego oblicze. I tajemne obrzędy, sprawowane na jego cześć. Widziałam „źródła święte”, z których bije na szeroki świat wasza woda — aby uzdrawiać innych, a was—paść, upajać i spajać. Widziałam, jak pracowaliście w pocie czoła nad znalezieniem wspólnego mianownika dla wszystkich ideałów. Znam tę zagadkę waszego bytu... O, wielki jest wasz bóg! — Pan jeszcze za mało powiedział, panie redaktorze: to nie jest „sprawa publiczna”... Ten bóg — to jest sprawa najpubliczniejsza, mianownik powszechny — i zarazem powszechny ekwiwalent — — Czymże są w obliczu jego „względy osobiste...”

Więc tak się stać musiało — i to było zupełnie naturalne. Gdybyż jednak zdarzenia miały tylko przyczynę? Małgorzata bała się rezultatów.

Obok wszystkich innych myśli, jakby nieco poniżej ich poziomu, było w Małgorzacie pewne uczucie stałe, tkwiące niezmiennie pośrodku piersi, niby hak, wbity mocno i zakrzywiony tam wewnątrz bezpowrotnie. Było

to uczucie nakierowanego umiejętnie ciosu, uczucie pochmurne krzywdy, grożącej Jankowi stąd, że utraciła miejsce. Odwracała oczy od tej świadomości, usiłowała jeszcze o tym nie myśleć. Ale to było właśnie to najgorsze, co czuć musiała bezustannie i wiedzieć — naprzekór woli. Niedarmo nadchodziła wiosna.

Małgorzata prowadziła w pamięci swej księgi buchalteryjne nieszczęścia. Tam były wszystkie owe wiosny czarne. W maju zdarzyła się pierwsza rzecz tragiczna, która wyznaczyła życiu całą drogę dalszą, pozostawiła w mózgu dzieciannym obraz ojca, jak leży na kamieniach, powleczonej twardą krwią. Wiosna była, kiedy aresztowano starszego brata i kiedy w tydzień później umarła matka. I pod koniec zimy umarł drugi brat. Losy życia konsekwentne, bogate w odcienie, czynionych „prób“, wielka pedagogiczna epopeja, która uczyniła z niej psa złego, wartującego na progu ponurych pamiątek.

Przyszedszy do domu, Małgorzata zupełnie nie zapaliła lampy. Zasłoniła chustką swoje okno i w ubraniu wyciągnęła się na łóżku.

Wstręt miała niewypowiedziany do wszystkich form swej nędzy, do całego systematu tortur swej codzienności. Ach — nie widzieć przynajmniej, jeżeli myśleć trzeba.

Z odrazą wspominała otrzymane ostatnio ciosy. Były to jakby kawałki cegły, odłamane gdzieś wysoko i druzgocące tylko niezdarną siłą ciężkości, nie siłą rzutu! Szła życiem w gradzie sypiących się kamieni, rękami, osłaniając się od ciosów, ogromnie zmęczona.



S.D.K.

Było już koło północy, gdy ktoś przeszedł przez korytarz czwartaka i zatrzymał się u jej drzwi. W mroku

zabłył nagle jasny czworokąt matowego szkła nad drzwiami z odwróconemi, czarnemi cyframi numeru; zapalono tam widocznie zapalną. Następnie usłyszała stukanie. Żdziwiła się, ale powiedziała:

— Proszę. Otwarte.

Gość niewidzialny wsunął się do pokoju.

— Czy Wroński? — domyśliła się nagle.

— Jam jest — odrzekł głos. — Od króla Aragońi, wasalów jego i rycerzy, od feodków i trubadurów składam wam pokłon korny i hołd powinny, o Margareto, najpiękniejsza z dam, jakie wysławiali kiedykolwiek trubadurzy.

— Wybaczcie, że jest ciemno — mówiła Małgorzata, nie ruszając się z łóżka. — Nafty zabrakło, właściwie nawet umyślnie zasłoniłam okno, bo nie mam siły patrzeć na świat.

— Ależ kocham ciemność — zwłaszcza, że tym sposobem mogę uczynić wam przyjemność nieoglądania mojej brzydoty.

— Usiądźcie sobie. Krzesło stoi koło pieca, ostrożnie. Palta nie zdejmujcie, bo zimno.

— Dziękuję. I tak niechętnie wogóle rozstaję się w tej porze z memi sobolami.

Słychać było, jak zcicha żeglował w ciasnocie między sprzętami do wskazanego miejsca.

— Pewności dotknęli pieca — zapytała Małgorzata, usłyszawszy wymowne syknięcie z zimna.

— O tak —

— Nienapalone —

— Bądź co bądź cieplej jest niż na dworze, gdzie musiałbym — *entre nous soit dit* — zażywać do rana przechadzki, jeżeli nie pozwolicie mi tu pozostać... Jestem, jak wiecie, panem dwojga imion i nazwisk dwunastu. Ale to jeszcze za mało, jak się okazuje. —

— Ależ proszę. Możecie nawet spać, jeżeli potraficie na krześle.

— Spać nie chcę. Nie śpię już kilka nocy—mianowicie dla względów dobrze zrozumianego epikureizmu. Czuwanie jest niekosztownym i niezrównanym jednocześnie narkotykiem, podniecającym fantazję, przenoszącym w sfery innych przyciągań, usuwającym nawet taką najpierwotniejszą formę świadomości, jak rozróżnienie pojęć *ja i nie ja*. Wrażenie dziwne—jakby pocałunek boga na czole—czy uśmiech śmierci, składającej wersalski ukłon powitania — — —

— Jak wam się podoba. Mnie również na śnie nie zależy. — — Ale w takim razie wolicie może światło? Jakaś świeca jest jeszcze...

— Przeciwnie. Tak jest dobrze. Jeżeli dziwnym wam się wydaje, że nie pragnę oglądać w świetle waszego oblicza, pani,*to świadczy to jedynie o niewypowiedzianej waszej skromności. Rzecz ma się tak, że właśnie nie przestaję oglądać go ani na chwilę... Wasze królewskie, słodkie i drapieżne oczy widzę bezustannie na drodze swojej; o każdej godzinie pamiętam pyszne, wzgardliwe usta, ubierające się w uśmiech, jak w perły, kupione za śmierć nurka, i jak one drogocenny. Znam orlą linię profilu i starożytną chudość twarzy, pamiętam nieskalaną skórę kremową, obcą nieśmiałym rumieńcom. Całą piękność nieprawdopodobną waszej postaci mam przed oczami, świetnie błyszczącą w ciemności, piękność anachroniczną, odgrodzoną od chciwych oczów tłumu prozą i surowością stroju, kotarą niedostępności, niepojętości, wyższości. Chodźcie drogami świata *incognito*, jak monarchini niepoznana, kryjąca dla siebie własną moc, własną chmurną poetyczność.

Małgorzata leżała nieporuszenie, z głową odrzuconą na dłonie splecione. Słuchała zimno. Tylko rada była, że teraz jakoś minie ta ciężka noc, która napelniała ją była przerażeniem. Poczucie bezpieczeństwa brała z obecności człowieka.

— I nawet więcej mam, niż gdyby było światło — mówił dalej głos.—Widzę cię na tle ojczystym, należnym

ci z wysokiego gatunku. Mogę wyobrażać sobie, że leżysz tak na niskiej, szerokiej pościeli, okrytej bogatą kołdrą z futra zabitych dla ciebie gronostajów, a głowę położyłaś na wysokich, jedwabnym haftem pokrytych poduszkach. Na oczy półprzymknięte, drapieżne oczy zasnuconej orlicy, na twoje rzęsy pada półmrok świetlisty, chłodny promień wiosennego słońca, przesiany przez szyby kolorowe półokrągło lświeżące się ku górze okna. Księżna Margareta w komnacie niedostępnego zamku Rusillońskiego — — Wokoło pod ścianami ławy, okryte poduszkami. Na wielkim kominie prześliczne malowidła, na ścianach obrazy, przedstawiające rycerzy nieustraszonych i najcudniejsze damy serc. Na ziemi futra rzadkich zwierząt. Mogę wyobrażać sobie, jak jesteś ubrana — myślę o tym nieraz długo i rozkosznie w noc bez snu. Wielkie émy, nocą szare, gdy je znaleźć we dnie, śpiące na starych drzewach i położyć w słońcu, mają na skrzydłach legendarne barwy pastelowe, cudne, jasne, puszyste desenie brunatnozielonawe i brunatnozłote. Widzę cię w sukni takiego koloru. Masz długi, obcisły kaftan z aksamitu, na biodrach pas złotem haftowany, trójkątnie wydłużony z przodu, zapięty klamrą, ozdobnie wyrobioną kunsztem złotniczym, sadzoną szmaragdami i topazami. Szeroka, fałdowana suknia z ciężkiej materji, jaśniejszej nieco, bardziej złotej, niż aksamit kaftana i takie same rękawy. Włosy ciemne, rozdzielone prawidłowo nad niskim czołem egipcjanki. Ach, jakaż cudna jesteś tak, jakaż cudna, księżno Margareto — —

...Raz o poranku rozebrzmiał róg z wysokości wieży zamkowej. Zadźwięczały łańcuchy i ciężko opuścił się ponad fosą most zwodzony. Do zamku wszedł młodzieniec, syn biednego rycerza Wilhelm Cabestan—i mąż twój, Rajmund Rusilloński, wziął go na zamek swój, jako paza twego i trubadura. Stał się ulubieńcem twym, a tyś zawładnęła jego sercem, Margareto... Pieśni zachwycone na cześć twoją śpiewał i głosem swym czarował dostojnych gości książęcych — —

*Je suis jugleres de viele,
Si sai de muse et de frestele
Et de harpes...*

...W ciemności, jak w zwierciadle, ujrzałem postać swą odbita, piękną, w stroju pazia i w płaszczu śpiewaczym. Ja — książęcy trubadur, ja — paź kochający — — O Margareto, uwierz — tak łatwo uwierzyć w ciemności — Jam to jest Wilhelm Cabestan — — —

— Uwierzyłam — powiedziała z uśmiechem niewidzialnym.

— — — Oto u nóg twych klęczę, smutkiem twym, księżno, udręczony. Wysłuchaj mnie: nie kocham pięknej i szlachetnej Agnes Taraskońskiej, boś ty jest nieporównanie piękna i szlachetna. Nie mogłem inaczej powiedzieć... Jedno kłamstwo obowiązkiem jest trubadura: nie zdradzić przed nikim imienia tej, którą opiewa. I gdy mię książę Rajmund zapytał o nie, odrzekłem: Agnes, zakrywając imieniem tym imię, którego dźwięk miłszy mi jest nad wszystkie pieśni świata. Ale nie kocham jej, Margareto, bo tyś jest damą mego szalonego serca, bijącego u stóp twych, jak skrzydła śmiertelnie zranionych łabędzi... „o, nie lękaj się ty, że łabędź krwawy...” Twoją szlachetność, twoją piękność nieporównaną kocham, jedynie, księżno, twoje oczy drapieżne — — —

Radość ujrzałem w uśmiechu twoich ust, krzyk oczów tryumfalny —

...Nie zimno ci już, maleńka... Ach — dosyć okno otworzyć, by z czarem jedwabnym nocy wiosennej pieć woń precudnych, niesłychanych kwiatów Aragońji. Na wysokim balkonie stojąc, przytuleni do siebie, — słuchać sennych, rozmarzonych ptaków, w gwiazdach czarnego nieba czytać los przyszły, nad koronami drzew zapuszczać oczy szczęśliwe w dal — — —

Umilkł. Po pewnej chwili mówił jeszcze:

— Albo myśleć mogę, że już umarliśmy oboje. Okrutny Rajmund mieczem przebił serce wierne, serce rozkochane — i do stołu kazał ci je podać, księżno. Spo-

żyłaś serce moje, nie wiedząc. A gdy ci czarną tajemnicę odkryli, rzuciłaś się z wysokiego balkonu na kamieniste podwórze zamkowe — i umarłaś — z miłości dla mnie — — Słuchaj — płacze cała Aragońja. Król sam ukarał Rajmunda. Wszyscy trubadurowie śpiewają o naszej miłości...

W kwitnącej, zielonej dolinie, u wejścia do kościoła znajduje się wspólna mogiła nasza, Margareto — —

...Ach — marzyć, marzyć, cudnie śnić, że razem z tobą — — Że o tej chwili jesteśmy tutaj w naszym grobie — — I już na wieki...



Było cicho zupełnie. Ciemność powoli biła skrzydłami jedwabnymi, odmierzając w nieskończoności tętno mijającego czasu. Małgorzata powiedziała leniwie:

— Wolałabym — —

— Co — ?

— Żeby to był właśnie grób.

— Rozkazujesz?

— Marzę sobie tak — —

— Bo mogłoby się stać wszystko, jeżeli — — gdybyś zechciała...

— Nie, nie — roześmiała się cicho. — Ale tak — być daleko nazewnątrż życia, trwać niezależnie poza nawiasami świata, ujmującymi w klamry żelazne rzeczywistość — — Ty jesteś partnerem mojego marzenia...

— Wiem — — —

— Dawnej legiendy naiwność ukochana — — mówiła prawie do siebie. — Sprawileś, trubadurze książęcy, że nie jestem już smutna. Uśmiecham się nawet, chociaż nie widać tego. Uśmiecham się — do śmierci...

— Tak chce Bóg — — Słuchaj, myślałaś kiedy o tym, jaką cudną rzeczą są słowa niektóre — same tylko słowa — — chociaż niema treści... Ja chciałabym prosić...

— O co prosić?

— Ach — gdybyś chciała, gdybyś ty chciała... Nie widzisz mnie, możesz sobie myśleć, że tu mnie niema zupełnie. Albo, że jest ktoś inny... Same słowa tylko, słowa treści nie mające żadnej... Gdybyś chciała — tak proszę — — Powiedz te słowa: „mój miły“...

— Widzisz—mówiła po chwili—ja chciałabym teraz myśleć tylko o śmierci. To tak spokojnie... Ja nie znam zupełnie uczuć tych, które chodzą cieniami pachnących, zielonych szpalerów—zupełnie nie znam. Mam tylko do przebycia tę krótką drogę górską—i nie chcę już odwracać oczu za dolinami. Boję się zapachu konwalji. Jest poetyczność ogromna w śmierci, jeżeli życie jest do niej także podobne. Wierzę — wyobraź sobie — w nieśmiertelność duszy — więc życie wydaje mi się tylko przedmową do śmierci. Wierzę, że po tamtej stronie istnienia dusza moja trwać będzie niezniszczalnie — — albowiem wszystkie zdarzenia życia przetopily się we mnie w moc. Spalające się ciało wytwarza energję, którą pożera dusza, jak ptak drapieżny — by kupić sobie za nią nieśmiertelność w śmierci. Jestem chciwa i skąpa — nie rozpraszam siebie, żyjąc. To, co ludziom daję z siebie, jest tylko fabrycznym odpadkiem zachodzących we mnie, niewidzialnych przemian. Oddaję im wszystko, co jest we mnie ze świata; ale to, co ze mnie jest, kryję przed niemi. Zabiorę ze sobą wszystkie męki, wszystkie zdobycze wyrzeczeń i wzgardzeń, odtrącone dobra życia, dławione sentymenty. — Dlatego kocham cierpienie i tak bardzo boję się radości. Stoję sobie z pychą na mojej górze, rozwartemi żrenicami patrzę w oczy trójkątne — i przyjmuję w serce wszystkie przeznaczone pioruny, wszystkie pioruny moje—jeden ze drugim, ze świadomością, że całego bólu świata jeszcze za mało, by nasycić ten głód duszy. Pożeram swoje pioruny i zamykam się nad niemi,

jak otchłań, wiecznie wyczekująca ciosów, spragniona pastwy — — — Dlaczego nie mówisz nic?

— Marzę znowu — — — W ciemnościach marzę znów, że — ach — duszę twoją wielką i niedobłą, jak górskiego, chmurnego ptaka, trzymam w ręku — najukochańszą duszę twoją — —

— Nie, nie — — — Słuchajmy razem... Wiesz, to prawie słyszeć można... Ciemny wichur nieskończoności, szumiący wysoko nad głowami — —

— Pamiętaj jedno — — — Gdybyś ty chciała to jedno chociaż... Pamiętaj, że nigdy wówczas nie jesteś sama. Wszędzie tam — na owych sierrach — jestem z tobą o każdej samotnej godzinie, — tak samo od życia daleki, przez złą naturę odrzucony od jej dolin zielonych, od tych ciemnych szpalerów i woni konwaljowej — — To jedno — dobrze?

— Dobrze...

— A czy — będzie ci przez to trochę lepiej — — ?

— Nie — — — Ale to przecież wszystko jedno...

— Tak — tak —

— Milczeli. Siedmiobarwna gorączka bezsnu przemijała powoli. Chłód siny kładł się na czołach.



Hania siedziała na bujającym fotelu w pokoju pani Awratyńskiej i kiwała się z poważnym wyrazem twarzy.

— Mama poszła z papą kupować jakieś meble do Neanderthalu — mówiła Marjeta. — Zdaje mi się, że chyba niedługo wróca. A zresztą — może pani przecież i ze mną porozmawiać — prawda?

— Ależ chętnie bardzo — rzekła łaskawie Hania.

Marjeta była o głowę wyższa od Hani, szczupła, żywa, pełna szczególnej sprężystości w ruchach. Przebiła bystrym spojrzeniem szafirowych oczu z pod czarnych brwi zrośniętych, śmiała się zagnęła, szeroko, konwulsyjnie, błyskając dużymi zębami, na śniadej twarzy miała ciemne rumieńce. Jej rysy nieprawidłowe, rasowa chudość, uderzająca gra ruchów i fizjognomji zapowiadały jedną z tych nieładnych piękności, które same zdziwione są tym, że podbijają świat.

Siedziała naprzeciwko Hani, na jasnej sofie, zasunięta tak głęboko, że długie jej nogi wysterczały tylko stopami poza siedzenie.

— A czemuś ty nie poszła z rodzicami?—taka piękna pogoda — —

— Och, łązić po sklepach! Mama to lubi, ale ja tam wolę zostać w domu, niż robić sprawunki. I nigdy nie nudzę się, kiedy jestem sama — —

— Cóż robisz?

— Wie pani, ja mam różne sposoby bawienia się sobą samą. Co na przykład jest bardzo zajmujące: można stanąć przy oknie w tym miejscu, gdzie świeci słońce. Przemyka się oczy tak, żeby całe światło było na rzęsach — i później ostrożnie, nie podnosząc powiek, patrzy się na rzęsy. Boże—co tam jest! Pani próbowała kiedy?

— Nie.

— To może pani chce zobaczyć. Chodźmy do salonu. Ja zawsze to robię w salonie.

Hania z uśmiechem przewędrowała za Marjetą. Ustawiły się obie we wpływającej oknami szerokiej rzece światła wiosennego.

— Teraz niechaj pani zamknie oczy. Tylko niezupełnie. O — jak ja — — — Widzi pani co?

— Nie.

— Jakim sposobem? Trochę tylko podnieść głowę. I niechaj pani patrzy na rzęsy... O — ma pani. Czy to nie jest cudowne?

— Ach — rzeczywiście...

— Jakieś koła malutkie, gwiazdki, wiry... I te prześliczne kolory...

— Tak — tak — zupełnie jakby to były frendzle ze szkła w słońcu...

— Teraz poruszyć tylko leciutko, leciutko... Widzi pani? — Te koła zwijają się i rozwijają... Całe deszcze iskerek — złote, purpurowe... Wszystko się rusza, rozkręca... To jest przecież czarodziejskie—taki własny kalejdoskop...

— Doprawdy — cały jakiś świat, który wisi na rzęsach...

— Ale to jeszcze jest nic — oznajmiła Marjeta. — Musi pani zobaczyć to samo z włosami. Niechaj pani rozpuści włosy.

Marjeta szybko rozplatała zakręcone na uszach bronzowe warkocze. Hania zawahała się.

— Radzę pani. Napewno nie będzie pani żałowała.

Hania powoli wyjmowała szpilki z kunsztownych loków.

— Teraz trzeba wszystko rozczochrać i narzucić na oczy.

— Ale jakże ja się uczeszę później?

— Zawoła się Joannę, ona zawsze mamę czesze. — Niechaj pani teraz spojrzy. Oczy przymrużyć zupełnie i patrzeć na oświetlone włosy, zupełnie bliźutko. Widzi pani, jaka bajeczna koronka? Żadna gipiura nie jest taka śliczna. Jak one komicznie wyglądają zbliżka — każdy włos jest olbrzymi. Zupełnie jakby się było w koszu z taśm metalowych, posypanych proszkami z tęczy. Albo w sieci... Niechaj pani teraz tak miękko poruszy włosami... O, jak się przesuwają, prężą... U pani także?... Wyglądają teraz, jak jakieś żmije w śliczne, zębate desenie pawie...

— Wiesz, doprawdy, jak w bajce... Baśń włosów... Cała siedmiobarwna tajemnica promienia słonecznego...

— Można sobie w taką siatkę wszystko złapać, co się chce — — —

Hania oczarowana patrzyła w swoje włosy, delikatnie przegarniając je palcami.

— I niech pani sobie pomyśli, że to tak zawsze istnieje w słońcu, chociaż się na to nie patrzymy. Że każdy człowiek wciąż nosi ze sobą takie cuda...

— Ależ, Marjeto, wyobraź sobie, gdyby nas kto zastał w tej sytuacji.

— Toby mu się wytłumaczyło.

— Najady, zatopione w słonecznej kontemplacji własnych włosów i rzęs...

Hania odrzuciła włosy z twarzy.

— Ale jestem ogromnie uradowana, że panią zajęła ta zabawa — rzekła światowo Marjeta tonem uprzejmej gospodyni.

— Bardzo, ale chodźmy się już uczesać. Nie wołaj Joanny, sama jakoś dam sobie radę.

Wróciły do buduaru. Hania z trudem upinała swe włosy przed antyczną toaletą pani Awratyńskiej.

— Mam jeszcze kilka innych takich zabaw — mówiła Marjeta. — Umiem na przykład grać na zębach —

— Jakże to?

— Bardzo prosto: wierzchem paznokci. Kiedyś wprawiłam w zdumienie pana Worońskiego, kiedy mu zaczęłam grać na zębach menuet z sonaty Griega...

Hania roześmiała się.

— Co ty mówisz —

— Albo można jeszcze ręką zakrywać sobie słońce — i wtedy każdy palec obwiedziony jest linją krwi przezroczystej, cała ręka staje w purpurowych płomieniach. Wygląda wtedy, jak niebyszały jakiś tulipan z ognia... Także bardzo ładne —

— To znam — można również pod światło lampy...

— A wie pani — mama tego u mnie nie lubi, tych różnych głupstw bezużytecznych. Mnie znów się zdaje, że to nie jest takie zupełnie głupie. Ja myślę, że w życiu nie trzeba nie takiego odrzucać, co może być ciekawe albo ładne — choćby to były najdrobniejsze rzeczy. Ja

naprzykład znów nie rozumiem, jak można się zajmować haftowaniem kwiatów albo pobożnymi medytacjami... Wogóle — nie rozumiemy się z mamą. Ja zupełnie, zupełnie inaczej patrzę na życie. Z życia trzeba wziąć wszystko, wszystko — całą pełnię... I na nic się nie oglądać — — A mama wiecznie zatopiona w jakichś wspomnieniach, rozpamiętywaniach... Boże mój, tak marnować takie śliczne życie?

— Jakto marnować? — uśmiechała się Hania. — Mama ma ciebie, papę — to jej przecież wystarcza...

— Co pani może o tym wiedzieć! — przerwała Marjeta wzgardliwie. — I zresztą — co pani sama z życia ma? Pani jest jeszcze młoda i może to naprawić, ale mama, mama, dla której wszystko już się kończy! Mama — ja pani zaręczam — mama zupełnie nie jest szczęśliwa. A mogłaby przecież, ciągle jeszcze taka jest pojętna... Jeszcze się w mamie kochają. Wie pani, jakie jest moje marzenie? — Żeby mama uciekla od papy z jakimś kochankiem...

— No wiesz, Marjeto, wyobrazić sobie panią Elizę... — Hania zupełnie szczerze pękała ze śmiechu. — I poco ma uciekać, kiedy kocha papę —

— Zupełnie w to nie wierzę, żeby można było przez całe życie kochać jednego mężczyznę — poważnie rzekła Marjeta. — O, ja będę żyła zupełnie inaczej. Przede wszystkim muszę być sławna i mieć życie pełne wielkich zdarzeń. Muszę być artystką. Ale na muzykę nie bardzo liczę; uczę się tylko dlatego, że mama chce. Ja pragnę być śpiewaczką — ach! jak ta Sternówna... Pani pojęcia niema, jak ja jej zazdrościłam. Cudnie śpiewała. I sama taka ładna... No przecież miała chyba jeszcze większe powodzenie na tym koncercie, niż Woroński...

— Nie zdaje mi się — —

— Ach — i te różne panie, tam, w pokoju dla artystów, co się patrzyły na nią, jak na jakiego raroga! Bo podobno ma kochanków... A ja myślę, że najbardziej im szło o jej tę wspaniałą suknię i klejnoty. Złościło je, że

jest taka ładna i sławna, że ma takie cudowne życie — — To było ogromnie ładnie z pani strony, że pani jej tak ostentacyjnie przy nich wszystkich dziękowała za udział w koncercie... Ach — być tak sławną, jak ona, i móc sobie wszystkich lekceważyć. To jest pełnia życia — —

Marjeta ożywiła się nadzwyczajnie; na twarzy jej pociemniały rumieńce.

— Z mamą nigdy nie mówię nawet o takich rzeczach, wiem, że zmartwiłabym ją tylko. — A do pani mam ogromne zaufanie — — I przytym zdaje mi się, że pani także nie jest tak zupełnie zadowolona ze swego życia... Prawda?

Hania zmieszała się lekko.

— Co — ja? — — nie znajdziesz Marjeto na całym świecie człowieka, który byłby z życia swego zupełnie zadowolony — —

— Ale między mną i mamą jest już różnica całego pokolenia — i dlatego... Nie to, żebym była jeszcze zbyt dziecinna — bo już przeżyłam wiele, chociaż tylko myśla... Przecież ja bezustannie myślę o życiu... I dużo cierpiałam, chociaż jestem napozór wesoła i lekkomyślna. Mam nawet jedną w życiu tragedję — kiedyś może powiem pani — —

— Czemuż nie teraz?

— Później kiedyś — to jest nietylko moja tajemnica — — I wie pani — różne rzeczy mię okropnie męczą. Ta niepewność wszystkiego w życiu, niepokój, nieświadomość. I nieustanne kłamanie — wszyscy naokoło... Pani nie zauważyła? Ciekawam, czy to jest konieczne. Właściwie niema przecież logicznej przyczyny, żeby kłamstwo miało być właśnie gorsze, niż prawda — a jednak kłamanie ciągle takie jest wstrętne. Później się do tego można przyzwyczaić — i już nie robi żadnego wrażenia. Ale to też nie jest dobre — — Wie pani, co mi kiedyś przyszło na myśl? — że właściwie najlepiej o życiu sądzić dzieci, bo jeszcze do niczego nie są przyzwyczajone. A człowiek starszy wszystko uważa za dobre

i normalne. Ogromnie są ciekawe te pierwsze zadziwienia dziecinne, bolesne zadziwienia nad wszystkimi zlemi rzeczami świata. Gdy się dowiedziałam pierwszy raz, skąd się biorą dzieci i że są prostytutki, to przez pół dnia płakałam. Mama była zagniewana, że dowiedziałam się o tym za wcześnie... A przecież, proszę pani, to była jedyna rzecz, o której nie dowiedziałam się za późno —

Marjeta zamilkła i nagle się roześmiała.

— O, teraz już nie płakałabym o takie głupstwo!

— A są rzeczy, o które jeszcze płaczesz? — spytała Hania. Wydawało jej się to okropnie zabawne, że rozmawia z Marjetą tak poważnie.

— Teraz nie płaczę już prawie nigdy. Czasami — bardzo rzadko — z powodu tej mojej tragedji... Ogromnie rzadko. Wogóle — wciąż mam wrażenie, że żyję jakby we śnie — i że wszystko, co się dzieje, jest niezupełnie prawdziwe. Dlatego teraz niczym na serjo się nie smucę i nigdy do gruntu nie jestem wesoła. Moje radości i smutki są tylko po wierzchu. Dusza moja podobna jest do tundr: powierzchnia odmarza i zamarza, a pod spodem i w lecie i w zimie jest lód. — I dlatego tak czekam ciągle, tak mi się wciąż wydaje, że coś się stanie — —

— Och — na to się bardzo długo czeka... — rzekła Hania z westchnieniem.

— Niedawno rozmawiałam dosyć szczerze z panem Worońskim i powiedziałam mu to wszystko o mojej duszy i o tundrach. Nie wiem, czy pani uważa, że to jest zupełnie dobre porównanie — —

— Owszem.

— Mówiłam, że pragnę czegoś takiego, coby we mnie obudziło ten spód duszy. A pan Woroński odpowiedział mi zupełnie głupio...

— Cóż takiego?

— Że „dopiero miłość mężczyzny stwarza duszę kobiety...” To podobno zdanie Wagnera. — Widzi pani,

jak mężczyźni nas zupełnie nie rozumieją. Mnie przecież chodzi o zupełnie co innego. A pan Worosnicki — przecież artysta, powinien być subtelny... Już mu nigdy nie powiem nic takiego — —

Hania milczała.

— To mnie oburzyło, bo wyglądało jakby sobie kpił ze mnie. Czymże jest miłość wobec tego, czego ja pragnę... O, mężczyźni są wogóle mniej subtelni od kobiet...

— Tak — tak

— A pan Worosnicki wyobraża sobie pewnie teraz, że stwarza duszę pani...

— Moją? — dlaczego?

Marjeta roześmiała się znowu. — No, bo się w pani kocha...

— Worosnicki? ktoś ci to powiedział? — pytała Hania z uroczystym spokojem.

— Wszyscy mówią. Mama i papa. Zresztą widziałam sama. Na tym koncercie wciąż patrzył się z estrady do łoża państwa... A jak mówić o pani, to się rumieni — słowo daje!

— I mama mówiła?

— Mówiła.

— To bardzo zabawne, co mi powiedziałaś — Hania śmiała się lekko. — Szkoda tylko, że ja sama nie o tym nie wiem, niestety.

— Dowie się pani pewnie... Cóż — to dopiero nie tak dawno. Przedtem podobała mu się mama.

— Bójże się Boga, Marjeto, tylko nie mów czasem komu tych wszystkich głupstw.

— Co za głupstwa — Marjeta spokojnie wzruszyła ramionami. — Szkoda tylko, że pan Worosnicki jest taki brzydki...



Wyszedszy od Awratyńskich, Hania z wolna wędrowała ulicą w szczególnym odurzeniu wiosennym, niby w chmurze kwiatowego zapachu. Była smutna i leniwie zadumana, obca słodkiemu szałowi, który szedł na ludzi z ciepłych wichrów zaledwie obudzonej wiosny.

W łagodnym powietrzu kołysały się zwiewnie dymy słoneczne, rogi ulic wyglądały jak ogrody, pełne mimoz i fijołków. Rozweselone zgraje dziewcząt i chłopców szły ze szkół. Na nagich czarnych gałęziach drzew krzykliwie radowały się ptaki. Wiosna.

Hania rozważała wszystko, co dnia tego słyszała u Awratyńskich. Zestawiała różne swe dawne, lekceważone spostrzeżenia — i doszła do wniosku, że było prawdą to, co mówiła Marjeta.

„I cóż mi po tym, i cóż mi po tym, kiedy nie kocham ciebie więcej...“ z żalem powtarzała w myśli.

Więc znowu stało się to samo, co zawsze dotąd. Co w chwili radosnej otrzymania szczęścia brało je z rąk jej i wrzucało do czarnego morza — — —

A dawniej tak pragnęła... Całą miłość swoją oddała, byle ją pokochał — więc teraz dla niej nie już nie zostało. W każdym kwiecie zatrutym, który mu dawała, były jej własne płomienie, w każdym uśmiechu zaborczym — kawałek gasnącego kochania, w spojrzeniach — dusza odchodząca...

Hanię opanował cichy, szlachetny smutek po zwycięstwie. Smutek rusalki, która ukochanego boga wydarła wszystkim rywalkom, oczy jego odwróciła od pięknej natury, myśli cofnęła z przestrzeni ponadksiężycowych i, zdobywszy jego miłość, odeszła na wzgórze samotne. I tam płacze między kwitnącymi różami.

Z żalu za czasem szczęśliwym, gdy miłość jej była tylko tęsknotą do miłości.



W domu nie zastała nikogo. Mąż miał wrócić dopiero za dwie godziny. Na spotkanie jej wybiegł jedynie dzwoniący nieznośnie Koko.

Obeszła bezmyślnie całe mieszkanie. Zewsząd wiała nuda, przechodząca siły.

W salonie położyła się na kanapce. Wzięła sobie książkę, ale nie czytała zupełnie. Zasmucała ją nieskończenie ta zasadnicza rozterka z wiosną. Wówczas, kiedy tak hucznie świeci słońce —

Patrzyła na stosy nut koło fortepianu. Masę przynosił tu Worośnicki. Często u niej odczytywał nuty świeżo kupione i później pozostawiał. W ten sposób gromadziły się ciągle.

Myśl o Worośnickim budziła teraz w niej uczucie żywego niesmaku. Zwartym szeregiem nachodziły nieznośne wspomnienia różnych zdarzeń, drobiazgów, stanów. Rzeczy, w których nieistnienie uwierzyłaby tak chętnie... Raz po raz usuwała je z pola świadomości gościem niechęci, prawie wstrętu. Wracały nową falą. „Poco pamiętam?“ westchnęła.

Kiedyś wieczorem wracała z nim od Awratyńskich. Prowadził ją pod rękę, zupełnie uprzednio nie zapytawszy o pozwolenie. Była tym wówczas nieco stropiona, lecz przyjmowała wszystko z rezygnacją, tłumacząc sobie naprędce, że prawdopodobnie tak być powinno, że protestem podkreśliłaby właśnie rzeczy, które pewnie w oczach Worośnickiego nie posiadają żadnego znaczenia. Właściwie jednak — *akceptowała*. Nie uczyniła nic wówczas nawet, gdy czuła, jak łokieć jej przyciska do siebie... Hania zwijała się teraz ze wstrętu na owo wspomnienie, drżała z nienawiści.

Raz znów, pomagając jej wsiąść do dorożki, przez chwilę trzymał ją prawie wpół. To nawet było przy mężu i napozór wydawało się jakoś zupełnie naturalnym. Kiedyindziej, gdy podawała mu u siebie papierosy, wziął ją bez żadnej przyczyny za rękę w kostce, a później ścisnął tak silnie, że uczuła ból, — i półgłosem, jakby ze

złością, powiedział krótko: „ach“. Nie patrzyła nań wówczas, ale całą powierzchnią skóry wyczuwała nienawistne ognie jego spojrzenia. I owo pocałowanie ręki — ostatnim razem — mające wynagrodzić uśmiech niedowierzania...

Myśli Hani broczyły wstydem purpurowym, skowyczały pod hańbiącą chłostą tych przypomnień. Była cała przejęta niewypowiedzianym żalem do siebie, że takie rzeczy stawać się wogóle mogły.

Zarazem usiłowała zdać sobie sprawę z zasadniczego motywu, wnikać w przyczynę tego stanu. Miała w tym i cel pewien uboczny: chciała mianowicie napięciem myśli krytycznej osłabić intensywność owych obrazów retrospektywnych.

Rozważała więc z pełnym obiektywizmem, czy pod tą postacią nie ukrywają się czasami wyrzuty sumienia, czy ów ostry niesmak nie jest przypadkiem najbardziej prymitywną formą skruchy.

Bo uczuć tego typu nie doznawała nigdy w stosunku do swego męża — jakkolwiek twierdzić nie mogła, by sensacja i wrażenia, otrzymywane w małżeństwie, sprawiły jej wyłącznie przyjemność. Paroksyzmy wstrętu, które są — jak się zdaje — nieodzowną przyprawą małżeństwa, miały tam charakter zupełnie fizyczny, daleki od tego niemal mistycznego niepokoju, który ją męczył obecnie. Nie wchodził tam w grę żaden kategoriyczny imperatyw.

A teraz — oto o jakim marzyła wyjściu: wszystko opowiedzieć Albertowi i nigdy już nie zobaczyć Worośnickiego.

Odrzucała ten projekt marzenia, jako zgola bezsensowny. A przecież czuła, że w ten sposób mogłaby osiągnąć teraz spokój i humor wesóły, czyli — mówiąc inaczej — czyste sumienie. Mają poniekąd rację damy w enocie zatwardziałe, utrzymując, że mąż — to jest *malgré tout* — mąż.

A więc — grzech... „Niebo gwiazdziste nademną i nakaz moralny we mnie“ — konkludowała Hania.

Po raz setny stwierdzała szczególne zdarzenie, że, gdy idzie o zabicie szczęścia, wówczas myśl, wiecznie czujna, dziwnie zgodnie bierze się w niej za ręce z reminiscencjami moralności przedhistorycznej. I to poto, by zgnębić taką mizerną, taką malutką miłość.

„Oto są mojej „enoty“ sprężyny tajemne. Oto przyczyny jedyne, dla których uczynić nie mogę „głupstwa“. Małgorzata byłaby doprawdy cudownym człowiekiem, gdyby miała w sobie mniej nieco owej jednolitości...“

Hania przypominała sobie szczegóły ostatniej swej rozmowy z Małgorzatą, która dla zdobycia szczęścia radziła jej walkę.

„Jakże mogę wyzywać cokolwiek do walki“ — replikowała teraz w myśli Hania — „kiedy wszystkie moje siły życiowe pochłania wojna domowa z dwiema temi rzeczami. Ani na minutę nie mogę się opędzić od świadomości, każdemu memu uczuciu wiecznie przygląda się rozum. A zarazem wciąż żyje we mnie jego zuchwałe zaprzeczenie: atawistyczny szczątek owych czasów, gdy w klanie sąsiednim porwana kobieta stanowiła własność wyłączną zdobywcy. — Użyłam nawet sprytnego manewru strategicznego: obu tych moich wrogów wypuściłam na siebie, by się zwalczali wzajemnie. Poszczułam myśl na owe trupie upiory epok minionych. Ale niestety — ta walka między nimi toczy się kosztem mojej zdolności kochania...“

Hania posępnie odwróciła się od wiosennego słońca, które przez okno podeszło aż do kanapki. „I chociaż nawet zwycięża myśl nad upiorami, chociaż wiem, że mi wszystko wolno — to już nie mam sił na to, żeby kochać...“

Przypomniała sobie dzieje miłości, minionej zaledwie przed kilku miesiącami. „Pan tysiąca pocałunków“, cudny człowiek o oczach złowieszczych, król pokorny. O tyle przecież ładniejszy był od Worośnickiego. A na prawdę — nie kochała go także. „Pomimo wszystko —

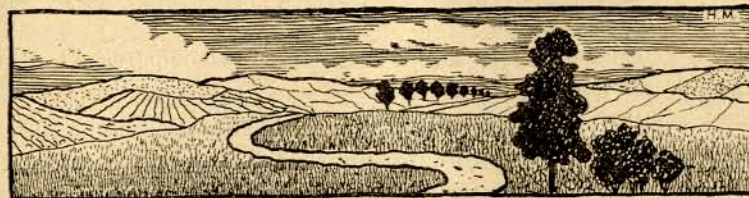
nie jestem jednak do miłości“ — powtórzyła swój wniosek owoczesny.

Stało się to samo, co zawsze dotąd... „I twoje serce, o panie Gustawie Worośnicki,

Jak różę różową

Rzucę

Do morza...“



Po obiedzie „bardzo sympatyczny pan z zupełnie innego świata“ odpoczywał pólleżąc na wielkiej otomanie w jadalnym pokoju. Hania siedziała przy nim w milczeniu, trzymając na kolanach popielniczkę, i przyglądała się pięknym strzępiastym niciom dymu, oplatającym powietrze, jak pajęczyna.

— Jesteś dziś jakaś nie w humorze — zauważył pan Ułuski. Coś robiła przed południem?

— Byłam na wystawie wiosennej, a wracając wstąpiłam do Awratyńskich.

— On jest?

— Tak. Wczoraj przyjechał. Z początku nie zastałam ich, wrócili dopiero później.

— Będą u nas?

— Prosiłam na jutro wieczór.

— Trzeba ich dobrze przyjąć.

— Owszem, owszem. Już myślałam — —

— Możeby dobrze było zaprosić jeszcze kogo —

— Jak chcesz.

Hania podsunęła mężowi popielniczkę, w której ten złożył wypalony papieros, zgasiwszy go uprzednio o brzeg metalowy. Milczeli przez chwilę. Pan Ułuski pogrążony był w zadumie.

— Tylko musisz się do jutra rozweselić, Haniu.

— Dobrze. — Słuchaj — nagle rzekła, pochylając się ku niemu, — odpędź odemnie świadomość...

— Poco? — uśmiechnął się pan Ułuski.

— Będę weselsza... Świadomość jest nawet gorsza, niż upiory. One jeszcze pozwalają na jakiś mały kawałek życia... A myśl zabiera wszystko...

Przysunęła się, przytuliła do męża i ocierała się twarzą o jego ramię.

— Cóż stało się Hani? — pytał pieszczotliwie i głaskał ją po grzbiecie, jak kota.

— Berti — — nazwała go po dawnemu i cicho prosiła: — nie chodź dziś nigdzie, dobrze? Zostaniemy w domu. Albo razem pojedziemy na spacer do parku — —

— Pan Ułuski zmieszał się.

— No widzisz, akurat dziś, Haniu! Właśnie, kiedy obiecałem napewno — — — Wczoraj sam ci proponowałem i nie chciałaś... A dziś w żaden sposób — w żaden sposób — — —

— Nie, nie — ja tak sobie tylko proponowałam — rzekła Hania i uśmiechnęła się, jakby przedtym już wiedziała, że tak się stanie.

— Sam wolałbym przecież z tobą. Ale obiecałem Winterowi — ważna jakaś sprawa.

— No naturalnie — —

— Hania wstała z otomany i bawiła się z Kokiem, który koniecznie chciał się położyć na ogonie sukni i w tym celu usiłował przytrzymać go białymi ząbkami. Pan Ułuski dobrotliwie przyglądał się Hani, która, jak dziecko, biegała ze śmiechem wokoło stołu, płacząc się w długiej sukni.

Nagle zatrzymała się po drugiej stronie i przez szerokość pokoju rzuciła mu powietrzem swawolne zapytanie:

— Powiedz mi, Albercie, — ciebie doprawdy nigdy nie męczą żadne upiory?

— Jakież to mianowicie upiory?

— No — czy ja wiem? Jakies wyrzuty sumienia

poczucie winy — — — Takie różne rzeczy, które nie istnieją już naprawdę, tylko trwają w nas, jako martwy spadek po umarłych — —

— Nie rozumiem... Staram się wogóle w ten sposób postępować, by nie czuć wyrzutów sumienia. Zresztą „winy“... Względem kogo? —

— Naprzykład względem mnie. — Hania uśmiechała się wciąż, jakgdyby wszystko mówiła żartem. — Odejdź, odejdź, sobako, — zwróciła się do Koka, który nie dawał jej spokoju.

— Czy to ma być jakiś wyrzut, Haniu? — dość surowo zapytał pan Ułuski. — Zdaje mi się, że wobec naszej umowy — — —

— Ach, nie, skądże wyrzut! — roześmiała się Hania. — Nie robię przecież sceny zazdrości... Ogromnie tylko jestem ciekawa, czy można tak zupełnie z tego się wyzwolić — — Przecież to byłaby cudowna rzecz!

— Tak, tak, — tylko tu jest właśnie ta zasadnicza różnica: kobiecie — jeżeli nawet potrafi zerwać z etyką przeszłości — nie wolno zerwać z jej estetyką. W przeciwnym razie staje się wstrętą. A jednego tylko wymagam od ciebie, Haneczko: abyś nie przestała być estetyczną. —

Hania z uśmiechem spuściła głowę i kornym ruchem skrzyżowała ręce na piersiach.

— Ile tylko w mocy mojej, panie — powiedziała uroczyście.

Mąż śmiał się z jej miny zabawnej.

Po mieszkaniu rozległ się dzwonek pierwszego interesanta. Pan Ułuski sprężyście powstał z otomany. Na chwilę zatrzymał się przed lustrem, obciągnął kamizelkę i otrzepał ją z popiołu, poprawił włosy, spojrzeniem surowym obrzucił całą swą pełną męskości postać i poszedł do swej kancelarii.



W słoneczne popołudnie Małgorzata leżała u siebie na łóżku nieposłanym. Okno było zasłonięte i w pokoju panowały różowawe ciemności. Bezgraniczne nerwowe wyczerpanie i znużenie fizyczne wprawiały Małgorzatę w stan odurzenia na podobieństwo opjum. Dygotała całym ciałem za poruszeniem najlżejszym, hałas oddalony budził w niej bojaźń, której nie mogła opanować.

Była niedziela czy inne jakieś święto. Powietrzem szedł niesłyszalny prawie pomruk wielkiego tłumu, wypelzłego z nor życia na słońce wiosenne, cuchnącego lojalną, świąteczną radością, w której kondensowała się dymna tępota pracy tygodniowej. Rozpaczliwa melancholja odświętnego nastroju przedostawała się, jak woń uparta, w tutejsze ciemności, wciskała porami skóry do mózgu. Małgorzata opędzała się leniwie.

Miała mieszkanie, opłacone do końca miesiąca, przytym już drugi dzień nie poszła na obiad i żyła bułkami. Wydała ostatnie trzy ruble, pożyczone od panny Hof. — Więc było jej wogóle wszystko jedno.

Myśli rozlażyły się bezsilnie, pełzały tajnie pod poziomem woli odrętwiałej, czepiały się jakichś ohydnych badyłów pamięci. Przypominały się zdarzenia niepotrzebne, napędzone zaduchem owej świątecznej melancholji.

Widziała siebie, jak kiedyś idzie w takie niedzielne słoneczne popołudnie na spacer z ciotką i Jankiem. Idą falami plebejskiego tłumu, który wylega na rojne ulice z chłodnego, hieratycznego cienia kościołów. Wszędzie ta woń ohydna nędzy, w dni powszednie, ukrytej głęboko, niedzielami afiszującej się zuchwale na widowni świata. Wszędzie karykatura wesela, koszlawe uśmiechy na zarzewiających w smutku twarzach.

Przyszli na brzeg rzeki, szerokiej i popielatej, stalowej w słońcu. Po drugiej stronie, w migotaniu słonecznym widać zielone wybrzeże, ku któremu ludzie szczęśliwi płyną na łódkach z żaglami. A oni we trójkę spacerują sobie tutaj po wale i tylko patrzą w tamtą

stronę. Janek jest jeszcze mały, ma krzywe nogi i trzeba go prowadzić z obu stron za ręce.

Do rzeki podchodzą różne jakieś śpichrze, składy, wielkie szare budowle drewniane bez okien. Na niskiej, wydeptanej trawie bawią się bandy psów wychudzonych i odpoczywają ludzie. Bliżej brzegu kupy piasku i zwiru, stare łodzie odwrócone do góry, białe kolki z linami, beczki, paki, różne śmiecie, czarne place w miejscach, gdzie przedtym leżał węgiel, jakieś głębokie, wąskie, niczym nie zakryte kanały, które później snia się w nocy, wtedy są straszne. Na wodzie zielone i bure domki drewniane, łazienki i przystanie dla wrzeszczących parowców. Odpoczywają nad wodą sieci, uwieszone na szkielecie z gałęzi, wędki, gdzieś wdole przez niewidzialnych trzymane rybaków, podobne do batów olbrzymich. W górze niebo wyrozumiałe i błękitne.

Letnia promenada dla ludzi, co istnieją pod poziomem życia: Przychodzą tu, by zdaleka przesłać swe pozdrowienia nie dobrej naturze, owemu zielonemu wybrzeżu, błękitowi nieba i słońca. Ospale suną familje robotnicze, otoczone chmarami dzieci, którym w piątek nie wolno śpiewać, a w niedzielę strugać patyków. Idą kobiety ciężarne, grube, jak baki, w pelerynkach i narzutkach, zawisłe u ramienia mężów, wałęsają się zakochane pary, żołnierze, pożerający ziarna słonecznikowe, służące, kawalerzy. I wszędzie te matki, obwieszone dziećmi, jak dydelfy, w kapelusikach z drutu, czarnej koronki i czerwonych róż, wszędzie papierki z karmelków, wszędzie dźwięki harmoniki i katarynki. Wszędzie na twarzach wynędzniałych maski odświętne, trywjalne i brzydkie, jak ich świąteczne ubiory.

Nic już później nie pozostawiło wrażenia takiego beznadziejnego smutku, jak owe spacery niedzielne nad rzeką. Przypominała sobie teraz wbrew woli tamte chwile, nie mogła uciec od nich, jak od zapachu jodoformu.

Małgorzata miała silny ból głowy, opasujący czoło i kończący się gdzieś aż na karku. Za każdym wciąż

gnięciem powietrza po skroniach i powiekach przelatywały mdlące dreszczyki, biorące początek pomiędzy oczami.

Od dnia, w którym utraciła była miejsce, uczyniła cały długi szereg wypraw do potężnego mocarstwa ludzkiej złości. Wyczerpała już cały zasób optymizmu, w który zaopatrzona jest natura ludzka, aby przetrwać mogła skomplikowany systemat rozczarowań, zwany życiem. I nie miała zupełnie siły do nowych starań. Było jej wszystko jedno, Leżała sobie, czekając na coś, co się stanie — ale już przynajmniej bez wysiłku z jej strony. Przyjdzie samo — od jej woli niezależnie. Oczekiwała na cokolwiekby, zaszyta w samotności swej, do dna zobojętniała.

Do drzwi jej zastukano grzecznie, cicho. Zerwała się i siadła na łóżku, jakby uderzył ją straszliwy łoskot. Uczuła, że jej serce bije w mózgu i gardle. Nienawistnie patrzyła w tamtą stronę.

— Kto tam? — wyjąkała prawie szeptem, ściskając skronie łomocące.

Usłyszała głos Janka.

— Więc jesteś nareszcie! — Coś ty, chora? Dlaczego tu tak ciemno?

Małgorzata automatycznie ściągnęła chustkę z okna i skrzywiła się, zamykając oczy na widok światła.

— Czwarty raz jestem — żalił się Janek, siadając przy niej. — Coś ty robiła? W tym piśmie powiedziały mi te panie, że już tam nie jesteś. A tu nie mogłem cię zastać. Myśleliśmy z ciocią, żeś gdzie wyjechała. Panna Nowicka powiedziała, że i do szkoły nie przychodzisz —

— Byłam bardzo zajęta —

— To masz jakieś nowe miejsce?

Małgorzata doznała męki fizycznej.

— Właśnie szukałam! Ale — — mam już obiecane — wkrótce —

— Ach, jak to dobrze! Może będzie lepsze?

— Tak — —

— I będę mógł z tobą mieszkać... Słuchaj, dlaczegoś ty taka blada? — spytał, oglądając ją z uwagą.

— Rzeczywiście jestem blada?

— Jeszcześ nigdy nie miała takiej okropnej miny...

— Głowa mnie boli.

Patrzyli na siebie przez chwilę. Małgorzata uśmiechnęła się wreszcie, przebijając jego ręce w dłoniach swoich. Był to uśmiech ofiary, przechodzącej już siły.

Dnia tego bowiem bardzo nie chciała ujrzeć Janka. Wiedziała, że jest to rzecz jedyna, która pchnąć ją może do starań dalszych. Ale zarazem rzecz straszna, która wbijała się w nią, jak ostroga w bok padającego konia, aby go bólem zmusić do biegu.

— Jakie ty masz zimne ręce, Janku. — Ty tak? tylko w bluzie?

— Straszliwie gorąco — zapewnił żarliwie. — Masa ludzi do figury. I zresztą wiesz przecież, jaki jest ten szynel — —

— Ale dla elegancji możesz się zaziębić.

— E, skądże. Doprawdy, mówisz, jak ciocia — rzekł, łagodząc wyrzut niezmiernie ujmującym uśmiechem.



Jedyną rzeczą, której Małgorzata nie wyzyskała dotąd, była przyjaźń Hani Uluskiej. W planach swych Hanię usuwała zawsze najdalej, jako środek ostateczny. Przeżyła ostatnio wiele rzeczy wstrętnych, studjowała drobniogowo wiele odcieni poniżeń — a przecież na to jedno dotąd nie mogła się odważyć. Nigdy jeszcze w ciągu tych lat niczego dla siebie nie potrzebowała od Hani. Dopiero przyjsie Janka w ów dzień przezwyciężyło w Małgorzacie ją samą.

Doczekała się zmięczenia, gdyż w jedynej, czarnej sukni, jaką posiadała, nie można już było pokazywać się na słońcu, i poszła do Hani. Ból głowy nie ustąpił zupełnie i łomotał o ściany czaszki w takt bijącego serca.

— Cóż za szczęśliwe zdarzenie! — zawołała na jej widok Hania. — Panie Gustawie! — zwróciła się w jasną przestrzeń za odjętą kotarą — tylem panu opowiadała o mej przyjaciółce niezłomnej — i oto właśnie jest! — No chodź, chodź — —

Weszły do salonu, i Hania zaprezentowała Worośnickiego.

Małgorzata uśmiechała się ze złością niewidzialną. Słowa rozmowy dudniły w jej głowie z ogłuszającym hałasem. Mało mówiła. Przymrużyła oczy, by zorjentować się w swych postanowieniach, poszczepiać oszołomione myśli. Przy nim przecież nie można poprosić jej o pieniądze. I wobec takiego humoru... Co teraz zrobić? — Zamiast odpowiedzi Małgorzata słyszała wciąż dzikie huczenie krwi, roztańczonej w skroniach. Bezsilnie przechyliła głowę na oparcie fotelu. Czuła dziwne, słodkawie osłabienie. Bezustanny szezebiot Hani dochodził jakby z wielkiej odległości.

Nie — najlepiej nie mówić nic o pieniądzach. Wychojąc już, w przedpokoju, poprosić o protekcję przez tego jakiegoś pana Awratyńskiego do stowarzyszenia ziemian. To jest na dalszą metę... O pieniądzach nic, to czyni złą impresję. — A mieszkanie?...

Usłyszała zapytanie Hani, czy lubi muzykę.

— Och, ogromnie, ogromnie, — zapewniła, nie podnosząc powiek.

Prawie jednocześnie spadła na nią ulewa dźwięków miłościwych. Przymknęła oczy zupełnie, zeszywniała. Z trudem uzmysłowiła sobie, że to gra Worośnicki. Czuła tylko, jak tętna w skroniach cichną stopniowo, ostry ból ponad brwiami roztopia się w sennym odrętwieniu. Wszystkie władze czaiły się w niej, jakby do przyjęcia objawienia. Świetna, bogata, wytworna muzyka przyniosła

jej wiadomość oslepiającą: że tu blisko — nie w sferze rozmyślenia, zwanej Niemożliwość, — lecz zaraz obok, za cieniutką ścianą ze szkła, znajduje się to państwo bajeczne ładnej wesołości i ładnego smutku, państwo uśmiechów mądrych i słów ślicznie bezsensownych, państwo miłości lekkomyślnej, tańczonej w takt słodkiej muzyki, wytworne państwo zabawy w życie... Świat tak szczęśliwy, że rozkochany jest w dniu dzisiejszym i smuci się, że dziś ma swoje jutro...

Wiadomość tę przyjęła z nagłą, zwierzęcą nienawiścią. Ona, dla której możliwym było życie jedynie dzięki przemijaniu zdarzeń, która gnała w jutro pędem niecierpliwości straszliwej w wiecznej ucieczce od tortury dnia dzisiejszego — —

Czuła najdokładniej szczekanie zębów własnych i śmiech zduszony, dygocący głęboko w piersi, szalony śmiech żądy życia, zmieszanej z dzikszym jeszcze pragnieniem zniszczenia i zatury. —

Zdawało się jej konieczne, że oto wstaje i czyni coś. Powstaje wielokrotnie. I znowu konstatowała ze zdumieniem, że siedzi przecież bez ruchu — ciągle w tej samej pozycji. Co właściwie znaczy to wszystko? Jak dawno już trwa? owo potępione rozkołysanie świata? Czyżby doprawdy aż tak była głodna? — I to wrażenie natrętne, że całokształt niniejszego momentu istniał już raz w przestrzeni i czasie, identyczny do szczegółów najbardziej minjaturowych, że chwila mijająca jest odbiciem zwiennym tamtej... Och, jeszcze, jeszcze... Już minęło...

Znów wydało jej się, że powstała i coś mówi — z opuszczonymi oczami, z pogodnym, uprzejmym uśmiechem. Mówi bardzo głośno jedno tylko słowo — słowo ohydne. Ciska je w ciszę, jak do przepaści. Nie odezwał się nikt. Tylko wali o ściany echo, jak kamień, lecący po granitowym zboczu, echo obelgi straszliwej, rzuconej życiu.

I to jednak nie stało się również. Małgorzata uśmiechała się tylko z niewymowną słodyczą i łagodnością —

jakby po zemście dokonanej. Twarz jej stygła, kostniała w tym uśmiechu. Powietrze rozprężało się stalowo, ścisnęło skronie nieubłaganymi okuciami. Zenit opuszczał się na niewidzialnych łańcuchach, osiadł płomieniem na czole, jak ciężka gwiazda, przywalał do uciekającej w głąb ziemi kamiennym brzemieniem. Ręce wyciągały się przyjaźnie do jakiegokolwiek zguby, usta uśmiechały się do nicstwa.

Małgorzata wyteżyła świadomość w prędkim poszukiwaniu samowiedzy, rękami wpiła się w poręcze, jakby doświadczając swej mocy. Odetchnęła głęboko i rozsunęła powieki odrętwiała. Spojrzała.

Wszystko trwało tak samo, bez zmiany — jak przed wiekami, jak odgrzebane z lawy pompejańskiej. Poprzez szklane powietrze widziała jasną przestrzeń pokoju, Worosnickiego i Hanię; wszystko stało w jakimś szczególnym, kryształowym, widzialnym drzeniu powietrza, w migotaniu przezroczystym. Tak samo kiedyś dawno, siedząc w lesie przy ognisku, oglądała gałęzie drzew ponad dymami, dygocące harmonijnie, jakby ukryte za szybą zrobioną z drżenia. Zewsząd teraz otoczona była tym widzialnym powietrzem z ponad ogniska.

Dźwignęła się powoli. Jednocześnie uczuła, że odniosła nad sobą jakieś zwycięstwo niesłychane. Ze słowami pożegnania zwróciła się do Hani. W przedpokoju głosem równym, przyciszonym zakomunikowała jej swoją prośbę przelotnie.



Obsypawszy Małgorzatę mnóstwem zapewnień, że nie zapomni, i przyrzeczeń najserdeczniejszych, Hania wróciła do salonu. Odrazu rozpytywać zaczęła Worosnickiego, jak podobała mu się Małgorzata.

— Wie pan — doprawdy, dziś dopiero przekonałam się, jaka ona może być ładna. Szczególniej, kiedy siedziała tu na fotelu — z jakimś hieratycznym spokojem. Zupełnie kamienna nieruchomość rysów, skóra żółtawa, obciążnięta na kościach twarzy, oczy i brwi wydłużone po egipsku... Nawet te gniade włosy, uczesane ciężko, twardo, jak na rzeźbie. W całej pozie pyszna, wzgardliwa prostota — — Pan wie, co to jest? — Ona umiała sobie w życiu coś jednego postanowić — i ma już ze sobą spokój — — Ona zupełnie o tym nie myśli, że każde „tak“ dlatego tylko istnieje, iż ma po drugiej stronie bytu swoje „nie“. Wogóle należy do tego ciekawego typu ludzi, dla których między „tak“ i „nie“ istnieje różnica zasadnicza i zupełnie rzeczywista — — Do bardzo szczęśliwych ludzi... — westchnęła.

Hania była przejęta dziwnym roztargnieniem, uśmiechała się często, dwoma ząbkami przygryzała dolną wargę i mnóstwo mówiła. Było coś takiego w niej samej, czego się lękała, co przejmowało ją radosną jakąś nienawiścią. Chęć swawolna odpędzania od siebie świadomości, zuchwala chęć zemśczenia się nawet na upiorach.

Wiedziała dobrze, że nie powinna była tego wieczoru pozostać w domu sama z Worosnickim. Dlatego tak prosiła męża, by nie odchodził. Skoro odszedł jednak — — — Hania uśmiechnęła się z westchnieniem.

Stała naprzeciwno, schylona, z łokciami opartymi na drugim końcu fortepianu, z natężeniem wpatrującą się w zimną, grubo ciosaną twarz Worosnickiego, zawieszona wzrokiem nienawistnym u jego powiek opuszczonych. Muzyka odpadała dziś od niej, jak okrągłe perły, rzucone o lustro; dźwięki z chrzęstem suchym sypały się po podłodze, toczyły martwo i niezdarnie. Drzenie huczące czarnego pudła przechodziło w nią mechanicznie, rozlewając po skórze drobne fale dreszczów. Stała, gryząc usta, tłumiąc w sobie złość i płomień. Brwi rozprężyły się i zesuwały nad wpatrzonemi oczami.

Miała przed sobą fanatycznego poganina, zatopionego w ekstazie przed objawieniami swego kultu, wierzącego za cenę wszelką, wierzącego z zaciśniętymi pięściami. Chciała roześmiać się wzgardliwie na myśl o prostocie, prymitywności takiej wiary — a zarazem drętwiała w męce nagle rozżarzonego, silnego nadmiernie kochania. „Ach, teraz, teraz“ — szeptała w myśli natarczywie, bezustannie. Oddawała się natrętnie, narzucała — i upokorzenie tej próżnej ofiary, ofiary nie w porę — biło ją po ciele żrącymi płomykami, wydzierając się nazewnątrz najżywszą nienawiścią. Widziała dziś muzykę, jako rywalkę zwycięską, niesmaczną w dziwacznej sztuczności swej, z jaką rozpiera konwencjonalne swe władztwo w cudownie bujnej, promiennej krainie życia.

Z szelestem umyślnym poruszyła się z miejsca, chodząc zaczęła po salonie, nie starając się przytłumić chrzęstu sukni, szorującej brzegami po dywanie. Skrzyżowała ręce na piersiach i z całej siły przygniotła ciało pulsujące. „Och, teraz“ — pomyślała znowu.

Zatrzymała się koło okna i rzuciła stamtąd wejrzenie badawcze, do głębi wrogie. Skonstatowała, że brzydki jest — i w duszy roześmiała się drwiąco, mściwie. „Ach, jakże dobrze, że przynajmniej jest taki nieładny...“ cieszyła się, chodząc znów między ciężkimi meblami, ogłędając kolejno w zwierciadłach swą postać maleńkiej infantki.

Gdy urwał na chwilę, stanęła niedaleko. Głosem zmańjerowanym zuchwale zapytała:

— I pan doprawdy najbardziej kocha muzykę?

Mówiąc, roześmiała się z siebie. „Banalna jestem, jak chrabąszcz“ — zauważyła „na stronie“.

— A pani sądzi — — — zaczął Woroński, zdziwiony nieco.

Hania mówiła rozbrajająco:

— No bo niech pan sobie tylko wyobrazi... Naprzykład ja mam dni, kiedy nawet sztuka jest czymś, co dla

mnie za małe jest, za oczywiste. Dla pana to może będzie dziwne — —

— Nie — nie — zaprzeczył Woroński i roześmiał się. — Ja rozumiem...

Zastygła w przypuszczeniu, że mógł zrozumieć naprawdę. Zamilkła, czując na twarzy płomienie rumieńców.

— W przeciwstawieniu do życia? — pytał.

— Ach, nie, przeciwnie — kłamała żywo. — Coś, co zupełnie po drugiej stronie jest sztuki. Co mogłoby być istotą jej, co właściwie jest jej treścią... Coś, czego sztuka hańbą jest — —

— Och! — żartobliwie przerwał.

— Pan ją aż tak kocha? — pytała z uśmiechem jadowitym targanej zazdrością kobiety. Usiadła w kącie i stamtąd wpijała w Worońskiego oczy pozieleniałe.

— Nie wiem, czy tak właściwie należałoby to określić — niechętnie powiedział — czy jest to *le mot*. W każdym razie — raczej tak. — Panią to dziwi?

— Nie. Tylko jestem niezadowolona.

— Czemu? — poważnie zapytał.

Milczała, siedząc cicho w półcieniu. Woroński zbliżył się nieco, usiadł, przytulając półprzymknięte powieki do gładkiej poręczy fotela.

Po chwili poważnie mówiła ze swego kąta:

— Nie o życie idzie mi zupełnie. Uważam je za sumę wszystkiego — i nie przeciwstawiam mu nic. Z bardziej specjalnych względów lekceważę sztukę — niekiedy, w momentach żywszego jasnowidzenia. Za to mianowicie, że jest konwencjonalną formą nieujętej tęsknoty, że w trzy wymiary wtłacza nieskończoność, że jest imieniem pospolitym dla rzeczy bezimiennych, że zamyka w czasie rzeczy wieczne. Taki kompromis z rzeczywistością...

Hania w tej chwili zupełnie już nie kłamała.

— Ale co jest od niej lepsze w tym samym państwie?

— To, co nieczym innym nie będąc, nie jest także i sztuką, to, co zostaje ze sztuki, po odrzuceniu jej formy — litery, linji, dźwięku — —

— Cóż zostaje?

— Nie nic przecież. Nie potrafię określić... Nie idea tak zwana, ani tendencja — oczywiście. Rozumieć pan to musi, niechętnie na przykład grając na koncertach. Sztuka jest podobna do pary — przestaje nią być z chwilą, gdy staje się widzialna. Należy ten moment znaleźć, będący między chaosem twórczym a inkarnacją.

Woroński nie odrzekł i siedział w milczeniu, o czym innym zamyślony. Hania doznała silnego nie-smaku i ze znudzeniem odwróciła się od własnych myśli. Wybiegła doszczętnie.

Przypomniała sobie, co jej kiedyś o Worosnickim powiedziała Awratyńska. Jakoby produkowanie się przed tłumem uważał za profanację sztuki. Profanacja — jakież to fałszywe. Ależ tym właśnie jest sztuka, od tego jest. Most między stadem ludzkim a tajemnicą bytu. Pomaga im się chodzić w tamtą stronę sposobem uproszczonym. Od tego jest sztuka.

Nie sztukę profanuje artysta przed tłumem, lecz człowieka w sobie. Idzie między ludzi, jako narzędzie sztuki ślepe. Technika palców jest w tym ważna zarówno, jak „rozumienie“. Praca jego nie wytwarza korzyści konkretnej, służy dla rozrywki tłumy, jak produkcje lino-skoka. Jest coś z tancerza na linie w każdym artyście... Hania uświadomiła sobie lekceważenie mimowolne, jakie uczuwała w stosunku do każdego poety, śpiewaka, aktora. Artyści żyją jakby żartem, na serjo ich brać nie można. Ludzie lubią i cenią artystów, ale nie uważają ich za konieczne potrzebnych. Jest przepaść między człowiekiem, który bawi i tym, który jest bawiony.

Hania się streściła: „można kochanką być artysty, ale kochać go nie wypada“.

Znów chodziła po salonie, żadnej jakby uwagi nie zwracając na gości. Ten odezwał się.

— Można strasznie nienawidzić ją czasami...

— Kogo? — zatrzymała się —

— Sztukę.

„On jeszcze o tym“ — zaśmiała się Hania. — A pan — za co? —

— Pasorzytuje na drzewie życia, jak jemiola, pokryta cudnemi, trującymi kwiatami — Tylko na koszt życia kwitnąć może. Wypija żywotne siły, oszałamia wonią narkotyczną...

— Jak wampir, inaczej mówiąc. — I pan więc jest zdania, że sztuka, zarówno, jak kobieta — — —

— Nie — kobieta nie — z uśmiechem odbił.

Hania złościła się na serjo. — Więc — że sztuka tylko (nie kobieta), jest demonem jakowymś, twórczość — siłą żywiołową, niszczącą... Uch — nie lubię — — To jest wszystko modernistyczne stylizowanie... A zresztą... Panie Gustawie — pan czasem nie myśli, że ja jestem dzisiaj jakaś nieznośna — —

Zaprzeczył z całą uprzejmością. Uważała, że jej się przygląda ciekawie i nagle doznała wrażenia, że to przez czas ten cały właściwie tylko ona bawi jego. Miała ochotę rozplakać się ze złości na widok jego uśmiechu. W oczach kłębiły się chmury gorącej mgły.

Stała półodwrócona, namysławiając się jeszcze, coby powiedzieć bardzo złego. Jednocześnie usłyszała, że powstał; ku niej idzie, ale nie pojmowała, co to oznacza właściwie. Zanim obrócić się zdążyła, objął ją z tyłu, przechylił głowę i prędko, brutalnie pocałował w usta.

Całą świadomość jej raziło takie zdumienie, że nawet nieodrazu odskoczyła. Ciężkimi falami huczała w uszach krew.

— Co to jest?

Woroński stał spokojnie w pewnej odległości, z opuszczonymi powiekami. Patrzyła nań z okropną, niekłamną złością.

— Jak pan śmiał? Co to jest?

— Nie wiem — wyznał półgłosem, prosto.

Hania drżała do głębi, nawskroś przejęta oburzeniem. Jakgdyby nigdy dotąd nie marzyła przed zaśnięciem o jego pocałunkach. Jakgdyby nawet tutaj — przed chwilami —

nie tego pragnęła ponad siły. Bezwiednie starła sobie usta wierzchem dłoni, chociaż były suche.

— Czym ja pana upoważniłam do tego? („Boże, i co za terminologia!“) Ja żądam wyjaśnienia, słyszy pan?—domagała się złym, dygocącym głosem. („Niechże powie chociaż, że mię kocha.“) — Należy mi się wyjaśnienie! —

— Och — aż tak poważnie? — łagodnie rzekł i uśmiechnął się, wciąż nie podnosząc powiek.

Rozmyślała pośpiesznie, co się zrobiło. Wstrętna, wstrętna, śmiertelnie pospolita rzecz. Pod nieobecność męża flirt z — artystą. Wężem przewinał się po niej dreszcz poczucia winy, zwartemi rangami następowała armja upiórów. Wyrzuty sumienia... („I za co? i za co?“)

Spojrzała przelotnie na usta Worosnickiego i pomyślała z wysiłkiem, że oto przed chwilą dotknęły jej ust. Poza lekkim odruchem wstrętu, wywołanym przez zbliżenie obcego mężczyzny, nie uczuła już teraz nic właściwie — ani przerażenia, ani zgrozy. Wszystko rozwiało się, roztopiło w kryształach lodowatych, we mgłach przezroczystych. Zdarzenie minione przestało być terazniejszością, a więc i rzeczywistością wogóle, przeszło do historii — i można myśleć o nim chłodno, retrospektywnie.

— Mam prawo żądać tego od pana — powtórzyła z uporem.

Mileżał. Powoli zbliżył się, wziął ręce jej i obie ucałował, nisko schyliwszy głowę. Naprzód próbowała uniknąć tego, a potem pozwoliła. Było jej to prawie wszystko jedno. Napróżno tylko usiłowała zobaczyć jego oczy.

— Ja pana bardzo proszę — rzekła jeszcze, ale innym zupełnie, miękim głosem. — Muszę wiedzieć, jak mam sobie tłumaczyć właściwie — ułatwiała mu.

— Jutro wytłumaczę pani —

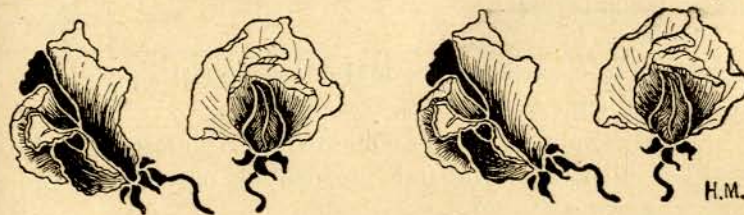
— Dlaczego jutro?

Puścił ręce jej, odszedł w głąb pokoju i usiadł bokiem na jakimś krzeselku, z brodą opartą na poręczy.

— Nie mogę dziś... Sam nie wiem... mówił powoli. Jakiś uśmiech przymuszony przegiał jego wargi, uśmiech fałszywy, usypiający czujność, zarazem podobny do grymasu zwalczonej męki.

Teraz dopiero zdaleka zobaczyła Hania jego oczy — i westchnęła, przejęta cichym drżeniem rozkoszy. Spojrzenie to przyjęła, jak zdawna upragniony hold. Teraz dopiero — ujrawszy te oczy umęczone — przypomniała sobie o tym, że Worosnicki ją kocha.

Strząsnęła z siebie wszystkie myśli złe, jak okragłe, chłodne krople wody. Odchodzącym upiorom rzuciła uśmiech wiosenny. Zaprzeczenie grzechu wszelkiego znalazła w oczach kochających — —



Hanię owiał gorący wicher śmiertelnie żalosej, obłąkanej tęsknoty.

— Niechaj pan gra jeszcze — prosiła, szukając ucieczki od jadowitych uroków tego dręczącego spojrzenia. Broniła się zdradzieckiej truciznie, z której bił teraz zapach wszystkich wiosen ziemi. Poszukiwała kwiatów jakichś, kwitnących jakichś gałęzi, którymi możnaby było zasypać otchłań nieuniknioną.

Worosnicki usłuchał. Hania siedziała w kącie z oczami w dłoniach, wsłuchana w cichy śpiew światła księżycowego.

O la — la — — O la — la — —

Gdzież są naprawdę takie noce, o ziemio nieubłagana, pachnące trawą i kwiatami? Gdzież jest ta droga, mgłami płynąca w oddal nieśmiertelna? — —

O la — la — — O la — la — —

Czy widzę — czy widzą oczy? Jakim zaklęciem otwie-

rasz serce łkające i księżycowym światłem przenikasz,
idąc w drugą nieskończoność — nocy?

O la — la — —

Jakie sny, cudem jakim? Kto śpiewał kiedyś taką
pieśń — czy kiedy? I także kwitły kwiaty?

...W ogrodzie pałacowym — — Kochanków para —
jasnemi alejami — w mroku — — Drzewa, drzewa o czar-
nych liściach, cudne niebo z gwiazdami, chmury woni
nad gazonami kwiatów — —

Taki kochanek...

Księżę wędrowny, nieznajomy, przybysz z dalekiej
krainy... Nie czekałaś próżno, królowno tęskniąca... Skroń
droga, przytulona do skroni, długie, złociste włosy na
oczach kochających — —

O la — la — —

Menuet — z dalekich, białych sal... Półsenny, luna-
tyczny dawnego tańca takt...

Idźmy daleko... Smugami światła białego pośród
drzew — błędnymi drogami nieznanych ogrodów — za-
wsze — zawsze — zawsze — —

O duszo — duszo —

Hania głośno płakała.

Worośnicki porwał się, klęczał przy niej. Śliczna
pieśń odchodziła ostatnimi echami.

— Co, co? — cichutko mówił. — Nie trzeć oczą.
— — Mój Boże — co się maleństwu stało? —

— Niechże pan mię puści...

— Nie, no nie — — Proszę dać łapki — — No
nie — Dlaczego płakać — — Ach — taka śliczna...

Hania, łkając, czuła ustami, twarzą, rzęsami mnóstwo
dotknięć gorących, krótkich pocałunków, nierozpętana
sieć ze wszystkich stron. Kręciła się, załamywała ręce.

— Boże, Boże, Boże — —

— Dlaczego, dlaczego? Te łapiny zaciśnięte — —
Ach, bo rozerwę, połamię palce, palce maleńkie... Udu-
szę — —

Ze zgrozą uczuła na szyi dotknięcie palców, usiłują-

cych rozerwać zapięcie. Głowę odchyliła bezbronną,
oddając szyję nagą nieskończonym pocałunkom.

...Czy dalszy ciąg księżycowej sonaty?... Nocy, nocy
wiosenna... Smutek bezmierny tej słodczy... Obok serce,
żywe serce, szalenie bijące — — nieprzytomne — — —

Oczy... Oczy... Raz tylko jeden... Otworzyć... spoj-
rzeć prosto, prosto w oczy... Na jedną chwilę...

Blaganie bezgłośnie.

Czy dalszy ciąg sonaty?... Kiedyż przeminie ten
sen — —

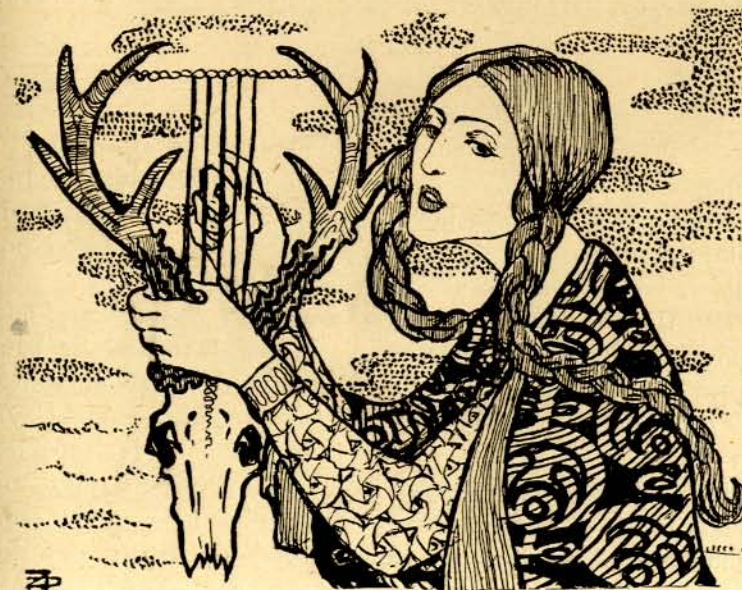
— Niech pan gra jeszcze, o Boże, niech pan gra
jeszcze — —

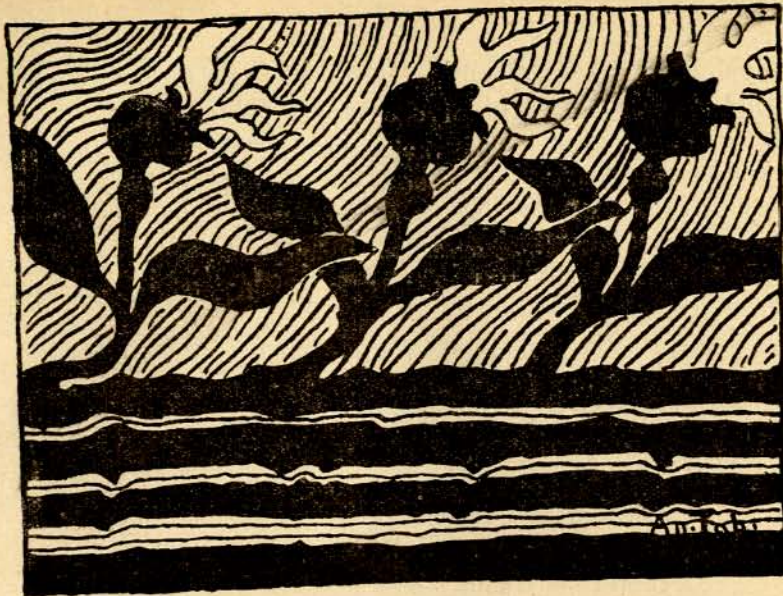
Napróżno...

Serce łomocze ciągle. Dobrze, zabrane serce... I ta
sieć ze wszystkich stron... Ręce oplątane, słabnące...

O Haniu — Haniu — —

(Ciąg dalszy nastąpi.)





Norwid o Słowackim.

Odczyty, wygłoszone przez Cyprjana Norwida w Paryżu w r. 1860.

(Ciąg dalszy.)

III.

Po zakresleniu całego widnokręgu poezji, a przeto epopei aż do granic onego i aż do wrębów, które się już w licencje nawet przelewają lub przelewać mogą,—pozostaje nam utrwalić cztery pojęcia: *pojęcie oryginalności* poetów, *profetyzmu* ich, *naśladownictwa* i *czytania*.

Umysł francuski ma do siebie, iż wyściga się, nie powiedziałbym czynem, lecz praktyką. Jakoż gdyby nam przyszło szukać u sławnych filozofów francuskich, *co jest oryginalność?* nie znalazłoby się na to odpowiedzi. — Czyn a praktyka—to dwie rzeczy, których definicje i różnica nie obowiązują nas w tym momencie. Powiem tylko, że, jakkolwiek filozofowie nie wyrobili pojęcia oryginalności, jednakowoż, ile razy autor komedji jakiej użyje zwrotkę jedną z komedji, przez kogo innego napisanej, wraz jest

kodeksu francuskiego artykuł, do odpowiedzialności za to przywłaszczenie powołujący. Kodeks i żandarmi wyprzedzają tu filozofów.—Nie moja w tym rzecz pytać, *co godniej, a co wygodniej?* czy przez *rozjaśnianie pojęć*, czy przez *karanie braku pojęć* działać?... ale artykuł taki w kodeksie karnym zupełnie odpowiada prawdzie i kodeks jest tu profetyczniejszy od teorii literackich współczesnych, i policji przeto należałoby miejsce w Akademji. Zdaje się on albowiem mówić, że oryginalność *jest to sumiennosc w obliczu źródeł*. Jakto, czyż ona sama nie jest źródłem? zapyta kto. — Takiej oryginalności niema. Sokrates, który nie szukał, aby uczniowie jego zgrawitowali do słońca *piersi jego*, zatracając indywidualną siłę obrotu około osi umysłowej każdego z nich osobno, który przeto szanował w uczniach swoich ludzi wolnych, który przeto miał mądrość; — gdy mu dziękowano (mówię) za udzielanie wiedzy, upraszał i zaklinał, aby dziękowano raczej Temu, który sprawia, iż ze słów jego korzystają. Sokrates, tak postępując, sumiennym był w obliczu źródeł. A względem osób? zapyta kto. — Wytłumaczę to przykładem z lekcji poprzedzającej. Skoro określałem, jak prace epopei wyjrzały w sferę czynu i jak cała epoka z użytego słowa zniszczyła się, jak czcienkami ołowianemi nabijano karabiny, a drukowane papiery roz tarto; pojawił się fenomen najważniejszy, jaki jest w wieku XIX, to jest, że w całej Europie: w Irlandji, w Węgrzech i we Francji postawiono *ludzi słowa* na czele rzeczy dziejących się, i określając zjawisko to, przechodziłem koło pana *de Lamartine* i pokłoniłem mu się. Niestety, czułem, że nazwisko to nie jest sympatyczne, ale czyż dlatego, że on nie dopełnił obowiązków swoich, ja miałem nie ocenić fenomenu współczesności i być niesumiennym w obliczu wskazującej mi źródła swe prawdy? Ja nikomu się nie kłaniam i dlatego mogę się pokłonić prostemu krzyżowi, złożonemu z suchych gałęzi, a pominąć z nakrytą głową rdzenne dęby i cedry wielkie w dziewiczych lasach Ameryki. Dzieje stoja więcej na tym, co się mimo ludzi

stawa, niż co oni z własną świadomością dokonali. Larmartynowi było dane fenomenowi najważniejszego w XIX wieku być wyobrażeniem, i to mi wystarcza. Poeta ma to tylko przedewszystkim, czego odebrać mu nie można, i mówi on do świata, jak Faust do Mefistofelesa, „was kannst du mir der arme Teufel geben?“ Poeta potrzebuje tylko zwycięstwa prawdy! Ja nie kłaniam się nikomu, tylko źródeł źródłu, i stąd to uszanowanie moje dla Mickiewicza, Kossutha, chociaż z ludzi tych O'Connel sam tylko może ma moje rzeczywiste sympatje. — Z karafki napić się można, uściskawszy ją za szyję i pochyliwszy ku ustom, ale kto ze źródła pije, musi uklęknąć i pochylić czoło.

Ktoś mi powie, że sumienna wzajemność wobec źródeł nie daje samosiły i że trzeba dla indywidualnej oryginalności mieć źródło w sobie, ale ja powtórzę i powiem, że takiej oryginalności, absolutnie indywidualnej, niema, nie było i nie będzie. A Sokrates? Nieśmiertelność duszy przed Sokratesem znaną była egipskim kapłanom. — Aleksander? Aleksander do Arystotelesa, zdrowia mu życząc, pisze te słowa: „Te rzeczy, których ja poufnie od ciebie się nauczyłem, nie dobrze jest, że publikujesz, albowiem lepiej by było, żebym to ja je sam tylko wiedział.“ No, ale Cezar? — Ach! Cezar nie załamywał tak rąk na piersiach, jak na kolumnie Vendôme — wszelako Plutarch donosi, że załamywał on je tak samo, tylko że z tyłu. Napoleon? Zapewne, ale trzebaby mieć komentarze Cezara, które go nie opuszczały nigdy, i przeczytać dopiski robione na marginesach. — A Dante? — Dante kroku nie zrobił bez Wirgiljusza, nawet w piekle, a bez innych w czyszcę i w niebie. O wołając do nich nieustannie: „maestro mio! dottore mio! duca mio!“ — Ależ Kopernik? I starożytność przecież знаła okrągłość ziemi. Ale ktoś mi powie, więc chcesz oryginalności nieledwie takiej, jak Zbawiciela? — Tu odrzekę, że ani jednego słowa Zbawiciela niema, którego by wprzód w prorokach i przypowieściach ludowych nie było. I owszem, nie już

ludu wybranego prorocy, ale i greccy nawet mistrzowie wiele z tych praw moralnych znali. Sam Zbawiciel powiada, że *nauka jego nie jest jego*, że nie przyszedł nauczać, ale dopełniać; — więc że oryginalności wcale niema absolutnej — na to już zgoda! Oryginalnym właśnie dlatego jest każdy prostotliwy i znaczny człowiek w rozumie swoim. — każdy pocziwy człowiek ma coś oryginalnego w sobie. Oryginalność ma człowiek prosty z ludu. Oryginalność więc jest tylko sumiennością dodatnią w obliczu źródeł. — A ktokolwiek uważał, jak określoną była wyżej oryginalność, temu o naśladownictwie ostateczną prawdę odkryć można odrazu i bezpiecznie. Naśladownictwo bowiem jest albo niewiadomością, albo najohydniejszym fałszem, i tu pojęcie kodeksu francuskiego jest właściwe. — Kto albowiem pochwyli dziś Szekspira, cóż zrobi dla postępu? — próżniak jest i oszukiwacz, i na cał jeden dla rzeczywistego postępu kroku on nie zrobił i nic dlań nie ucierpiał. Bo czyliż jedną noc zimową konie przed teatrem trzymał za to, iż wyższy teatr grał się w piersiach jego?... bynajmniej!... Dlatego to, po epokach szarlatanizmu jeden atom oryginalnej i sumiennej pracy przeważa góry naśladownictwa. Maleniczka książeczka Kopernika porusza światy, a tyśiące woluminów leży bez życia. Widzieliśmy Byrona, zastawiającego książki, i widzieliśmy naród, powstający z niewoli, z najcięższej niewoli Jasyru — gdy tymczasem nikną wolumina strategji, a naśladownictwem wypchnięte ekspedycje cofają postęp sprawy. Tylko oryginalność, dobrze pojęta, tylko twórczość prawdziwa może utrafić i postawić się czynną w planach Bożych, to jest zwyciężyć, — bo jedyny Pan, Mistrz nasz i nauczyciel jest twórczy wiecznie. — Naśladownictwo martwe, przy coraz usilniejszym postępie eksploatacji wszystkiego, co nowe i dodatnie, dojdzie aż do zużycia samego ładu i rytmu następstwa, wtedy zaś zastąpione być może jakim fenomenem magnetycznym, co zostawiam na boku. Wspomnę tylko, co poeta nasz mówi: „Ostatniego nędzarza jęł

policzon między tony harf niebieskich. — Twoje rozpacz i westchnienia opadają na dół, i szatan je zbiera, dodaje z radością do swych kłamstw i złudzeń — a Pan je kiedyś zaprzeczy, jako one zaprzeczyły Pana! — Oto jest, co się dotyczyło oryginalności i naśladownictwa, więcej rezultatami, jakie one w życiu społeczeństwa sprawiły. — Tu nastąpiłoby z kolei mówić o *profetyzmie* poetów, który jest tylko sumienności w obliczu źródeł najwyższą i najczystsza potęgą, albowiem mieliśmy zamiar wszystko uprzątnąć i w pamięci odświeżyć, aby przystąpić przygotowanemu do ocenienia dzieł Juliusza Słowackiego. — Profetyzmu jednak będziemy mieli sposobność dotknąć przy samym rozbiorze, teraz zaś mamy mówić o czytaniu. Ktoś powie, że czytać każdy umie; zaprawdę mało kto czytać potrafi, — ale kiedy, jak uważano, zdarzyło mi się już w ciągu tego kursu głosić rzeczy, literaturą pierwszej i przedemną nieobjęte; mam tu zaraz sposobność zarozumiałość tę ulegalizować — oświadczając, że wszystko to, acz nowe, z czytania przecież nabyłem. — Znam albowiem kogoś, który wielkich korzyści z podróży odległych nie odniósł, ale starał się chociaż czytać Tacytą w Świątyni Pokoju, a Wirgiljusza opodal grobu jego, tragiców greckich w amfiteatrach Pompejańskich, Józefa Izraelitę i Ojców Kościoła w okolicach katakumb, pierwochrześcijańskie rysunki symboliczne oglądając, Dantę we Florencji, a Szekspira w Londynie, noc pierwszej całą po miasta tego nędznych ustroniach przechodziwszy, Byrona na pełnym oceanie, a Emersona w Ameryce na dachu płaskim, gdzie jest zwyczaj przechadzać się. — Nie nowy to zapewne, nie jedyny i nie główny sposób czytania, aby miejsce, mówię, odpowiednie przedmiotowi dobierać. Niektóre indyjskie poezje w lasach tylko się czytywały... Ten miejscowości warunek bezwiednie silą się dziś zastąpić ilustracje, ale ilustracje te do treści drukowanych, jako tło, stosownie dobierane być winny; czego jeszcze nie bywa — pokazuje to wszakże, że nie wystarcza już dziś czytać jednym tylko organem, i że

jakoby trzeba czytać wieloma razem władzami umysłu. Sokrates przez usta Platona o wynalazku pisma mówi: „Skoro Theut Tamusowi przedstawił wynalezione przez siebie piśmienne znaki, Tamus zawołał, gdy litery ujrzał: „Liter ojciec, zaślepiasz się miłością aż do niewidzenia celu liter. — Oto uczynisz ludzi niepamiętni i nie więcej, albowiem dałeś sposób przypominania sobie i reminiscencji, a ci, którzy się tych liter nauczą — pewni będą, że powierzyli im tajemnicę wiedzy własnej i że się obejdą bez Mistrzów“, to przytacza Platon z ust Sokratesa. Wyrażenie zaś „bez Mistrzów“ znaczy spiritus rector, i odnosi się do Mistrza mistrzów, albowiem jakośmy wyżej, o oryginalności Sokratesa mówiąc, nadmienili, odsyłał on owdzie uczniów swoich. Po tylu też wiekach piśmiennictwa nie wystarcza już jednej formułki czytania, aby przeto, jednostronne reminiscencje powtarzając, nie łudzić się, że się postępuje! Ale tu ktoś może mi zrobić dwa zarzuty: 1-o Czyliż słowa jednostronnym ich używaniem nie wykoślawiają się i nie wykrzywiają, jak źle noszone obuwie, i czyż dlatego nie trzeba ich jedynie czytać tak, jak autor sam je tworzył? Odpowiem i dodam świeży przykład na wyrazie „szlachta“. W gazecie warszawskiej był niedawno szeroki artykuł, w którym dawano egzegezę wyrazu *Szlachta*; autor nie zaprzecza, że wyraz *Szlachta* ma niemieckie brzmienie i znaczy bić, ubijać, a mianowicie *klepać blachę*; lecz kołując tak około pierwiastku wyrazów, nie z nich ostatecznie nie wyciąga. Nie lepiej było po krążgankach gotyckich kościołów naszych przejść się, aby się przyjrzeć śpiącym rycerzom, z marmurów Chęcińskich wyciosanym — zaprawdę należy cofać się na tła, na których znaczenie wyrazów odbija się i formuje, a wtedy zrozumiałoby się, że słowo *schlagen* — *klepać blachę* — w staro-gotyckim języku znaczy uderzać po pancerzu, to jest pasować na rycerza. Oto jest odpowiedź na pytanie, czy wyrazy jednostronnie używane krzywią się i zużywają aż do zatracenia ich wartości. 2-o W drugim zarzucie, ktoś mi powie, że w czytaniu

należy odwracać się od potęgi pierwotnej, z jaką autor tworzył, a któż tak za czasów Szekspira pojmował go, jak my dziś? Ale ja odpowiem, że czytanie autora zależy na wyczytaniu zeń tego, co on tworzył, więcej tym, co pracą wieków na tym urosło. — Jest to cień, który z łona najnieskończonej wyższej prawdy upada na literatury, papier i świadczy albowiem, że poza słowami naszymi jest jeszcze żywot *Słowa*! Prawda najpoważniejsza: a której w żadnym literatury kursie nikt nie uczy!...

Słowa autorów mają nietylko ten urok, tę moc i tę dzielność, którą my im dać usiłujemy lub umiemy, ale mają one jeszcze urok i moc żywotu słowa; czytać więc nie każdy umie, bo czytelnik powinien współpracować, a czytanie im wyższych rzeczy, tym indywidualniejsze jest. Im bliższe umarłych sfer świata dzieło się czyta, łatwiej je pojąć: każdy zrozumieć może rejestra kupieckie, kucharkę doskonałą albo regulamin bataljonu — w miarę zaś, jak ku wolniejszym sferom wznosić się będziemy, czytelnicy różnić się poczną w tym, co czytają... Koniec końców książki są niesłychanie szanowną spuścizną i byłoby omaryzmem zamachnąć się na te drabiny do Olimpu — ale na cóż się zdały i drabiny, po których nikt nie chodzi? Wcale się więc nie wstydzę, że mówię, jak drugi Omar, *popalić księgi... ale sercem...*

Do tych uwag do czytania, a niezbędnych uwag, należy dodać, co następuje: w wiekach średnich nietylko, że nikt z prawdziwą miłością i przyjaźnią nie krył się, ale wielu było sławnych jedynie z tego, że kochać lub przyjacielami być umieli, dziś przeciwnie; czemu dziś miłość i przyjaźń chronią się i nie wytrzymują ludzkiego wzroku? Oto nadużyły się już tych słów formy określne, czyż niema na każdym rogu ulicy ogłoszenia miłości nowych i siedemkroć siedemdziesiąt siedem romansów, drukowanych w Paryżu i Londynie, a czytanych aż do wybrzeża rzeki Amur, aż w Syberji! Żaden rzymski patrycjusz nie napisał dwunastu tomów o *patryjotyzmie*, bo to jest rzecz nieprzyzwoita. Rozgadaniem albowiem

takim można ucodziennić i nabok usunąć nietylko *przyjaźń, miłość*, ale same nawet słowa wolność i ojczyzna... I nietylko, mówię, prawdy Boże można usunąć za kulisy, ale i sejm, gdy się w dystrybucji i formach słowa *uprywatni*, można odesłać do domów — bo to będą już nie symbole, ale prywatni jegomoście i ci pójdą do domów! Nie o obskurantyzmie ja tu mówię, ale o onkcji, która jest nerwem prawdy i bez której prawda nie może żyć.

Mowa ludzka, gdyby nie składała się więcej z niczego, jak z pewnej tylko liczby wyrazów i z pewnej kombinacji wyrażen, nie byłoby różnicy między literaturą a matematyką: literatura byłaby tylko błędną matematyką! Jeżeli więc mędrcy i filozofowie dzisiejsi nauczają nas, że *słowa nas wyrażają*, — przepraszam i ostrzegam, że to jest mimowolna zdrada, bo wyrazy i słowa nasze są także i na to, że *nas sądzą, nietylko że nas wyrażają*.

IV.

Skoro zapowiedziałem, że w miarę uzbierania się pokładów cywilizacji czytanie niemniej musi w wyższe potęgi urastać i trzeba mi było okazać na przykładzie wynaturzanie się wyrazów, co więc pokazałem na słowie niemieckim *schlagen* i wytłumaczyłem, że słowo to odbrzmiewa uderzeniu płazem po pancerzu; zarzucono mi w tym tłumaczeniu niewłaściwość. Nie mogę się szeroce rozwodzić nad zarzutem, który mi zrobiono, bo zbyt wiele zabrałoby to czasu, ale powiem tylko, co też wystarczy, że Bolesław Chrobry, jakkolwiek dobry patryjota i wielki człowiek, był tylko *Grafem państwa niemieckiego*, i że nie mógł być czym innym, jako monarcha katolicki. Państwo Rzymskie człowieka zbiorowego w pancerz ubrało, tak jak dziś koleje żelazne przez kompanje nie rodzime, ale zagraniczne w Rosji i Polsce budują się — lubo ja wiem, że jest szkoła patryjotyczna, która *samorodności szuka jakiejś, której żaden naród mieć nie może pod karą zeschnięcia*.

Nietylko forma i rytuał zakonu rycerskiego na świecie całym jedne były, ale nawet cechy i bractwa wniosły giermańskie nazwy do rzemiosł naszych. Wyrazy nazw tych przebrzmiały kiedyś w narodowe pierwiastki słów, i każdy *ślusarz* będzie je wywodził ze słowiańskiego początku, ale dzisiaj są one tak, jak fraki, właściwe tylko romańskiej cywilizacji, które nosimy i które nas wcale nie dziwią, ani patriotyzmowi szkodzą, póki umiemy być trzeźwymi i od kroju fraków nie zależeć. Wracając zaś do początku zarzutu, trzeba przypomnieć sobie także, że wcale nie uczucie *szlachetności*, ale raczej uczucie *teokracji* jest przyrodzonym człowiekowi, a przeto nieprzynośnym. Uczucie teokracji jest wspólne wszystkim narodom i nawet na wyspie odludnej wyradzać się samo potrafi, gdy przeciwnie *szlachetności* jest już uczuciem sztucznie naturalnym, a przeto przenośnym i z obcowania z ludźmi i ludami wziętym. — Tym sposobem i brzmienie wyrazu i natura rzeczy, którą ten wyraz określa, podwakroć dowodzą, że samorodnym on być nie mógł, jak fraki i koleje, mimo pewnika, iż szlachectwo polskie zaowocowało w prawdy większe i piękniejsze, niżeli kiedykolwiek jakikolwiek naród miał... Idąc dalej i zastanawiając się z kolei nad wyrazami innemi, mógłbym pokazać, że wyraz *gmina* od niemieckiego *gemein* pochodzi i t. p., a takim sposobem w całej nomenklaturze społecznego języka zobaczyliśmy ukrytą architekturę gotyckiego gmachu; — to są rzeczy, które narodowości nie ubliżają bynajmniej... są *socjałne*, nie *nacjonalne*.

A teraz przystąpmy do właściwego zadania tej lekcji to jest do zgłębienia i objaśnienia narodowego arcydzieła Juliusza Słowackiego pod tytułem „Anelli“.

Gdyby wydumaną przez wygnańca na odludnej wyspie Apokalipsę dał kto do czytania literatowi i poecie rzymskiemu, choćby tak doskonałemu, jak Horacy, i tak dobrze umięjącemu po grecku, cóżby ten doskonale umięjący po grecku z Apokalipsy wyczytał? Oto uczyniłaby na Horacjuszu Apokalipsa wrażenie takie, jakie na nas

czyni Tysiąc Nocy i jedna. Jest więc błędem najszkodliwszym, gdy nie wiemy (a prawie występkiem, gdy wiemy) czytać utwory narodu nieszczęśliwego, temi oczyma, któremi się utwory poetów trjumfujących czytają. — Nie moja wina, że wpierw o całej i o wszystkich cywilizacjach mówić tu muszę, zanim przystąpię do cywilizacji naszej i do Anhellego, ale sumienie każe mi śmiało rzeczy i nie oględnie mówić, proszę więc o uwagę, albowiem gdyby opinie moje niedobrze zrozumiane były, moglibyśmy sobie zaszkodzić i temu poecie, który tak źle pojmowanym i tak źle znanym jest: nie było jeszcze kompletnego wydania dzieł Juliusza Słowackiego, a trzecia część pism jego tuła się po Galicji do dziś dnia.

Aby być człowiekiem *ukształconym*, dość zdać się na wiarę cywilizacji, którą się napotkało; ażeby być *kształcącym się*, potrzeba coś z siebie dodać i niedość już potulnej bierności. Ale, ażeby być *kształcącym*, do źródeł wrócić należy. — Najwygodniej być ukształconym, człowiek wtedy ma horyzont ducha pewny, zakreślony i skończony, jako posąg, w formie bezjegovolnie wpierw zrobionej odlany; stan taki Włosi określają wyrazem „rondo“, a Rosjanie dobitnie i malowniczo wyrazem „krugom“. — Jeden i drugi wyraz *rondo* i „krugom“ znaczą *okrągły*, czyli, jako ujemna forma posągu, zwypadkowy bezwłasnowolnie, różnemi naciskami zewnętrznymi... tak to byli niewolnicy rzymscy aż do dni Spartakusa, który gwałtem i krwią poprzedził oliwne słowa Chrystusowe. Ale człowiek, co w kręgu tym duchem nie zamieszkał, lecz tylko przeszedł pod nim, jak pod trjumfalnym łukiem, który przeto pamięta, że Spartakus już był, a Chrystus Pan był i jest — człowiek taki jest kształcący się, nie okrągły, i owszem ciągle wyokrąglający się współdzielnie. Tu dopiero słowa Montaign'a „ondoyant et divers“ są prawdziwe; człowiek bowiem taki to już nie kryształ, wedle praw matematycznych rozwijający się i rosnący, i za to martwy; człowiek taki to nie niewolnik! Żeby zatem korzystać z cywilizacji trzeba nie być jej samym

tylko logarytmem, gdyż w takim stanie *napotkanym* i gotowym pocóżby duch na planetę wchodził? Jeżeli człowiek tak ukształcony jest to człowiek spotkany i gdyby tak pozostał, byłby homunkulusem, przez Doktora Fausta w retorcie szklanej zrobionym. — Skądże to pochodzi? z jakich źródeł wypływa? oto stąd, że cywilizacja każda, jako skończoność uważana, jest fałszywa, że każda jest względna i żadna z napotkanych nie jest ostatecznym i trjumfalnym ludzkości owocem. Cywilizacja, mówię, każda podobna jest do rusztowania, które ma kształt gmachu i jest arcywyniosłe i okazałe i zdaje się być niebotyczne. — I ma piętra i sklepienia, a z tym wszystkim razem nie jest jednakże niczym więcej, jak tylko płaską i poziomą deską, schodem jednym, na to tylko służącym, aby po nim deptać i chodzić. — Kto zaś nie zna architektury i na rusztowanie takie patrzy, tedy widzi księżycy i gwiazdy, przez ażurowy gmach przesuwające się. — I mówi sobie „to gmach wielki“, ale biada temu, kto tu Sfinksa zagadki nie odgadł, albowiem ani zamieszkać w tym rusztowaniu, ani wzgardzić nim nie jest rzeczą słuszną i prawdziwą — prawda mówi i woła: „*nie bądźcie niewolnikami ludzkiemi*“. Ja nie cenię Spartakusa za przegrane bitwy i popełniane gwałty, ale mu to, jako wolności wieniec, oddaję, że na kilkanaście tysięcy trupa z jego obozu nie było żadnego rannego w plecy... bitwy on przegrał, ale męstwem wyrównał szlachetnym, a przeto kastę zniósł. — Między cywilizacją starożytną a cywilizacją chrześcijańską ta jest główna różnica, że w tej ostatniej zarówno już idzie, *jak być pobitym* i *jak pobić*. Starożytny Rzymianin o koniec swej dramy i jej moralny wątek nie dbał, gdzie fortuny i wątku nie stawało, tam kazał się niewolnikowi lub truciznie z następstw dram wyręczyć, zarzucał tylko płaszcz na oczy przed widokiem niewolniczego miecza lub najętej płacą trucizny; tak też i ludy starożytne dwie tylko konieczności ostateczne przed sobą miały: *eksterminację*, albo *pochylenie szyi*, wyciąć w pień, lub dać się uwiązać u pnia... Dziś się to

odmieniło, cywilizacja chrześcijańska ludu żadnego w pień już wyciąć nie może, nie dlaczego innego, tylko że na dnie rzeczy wycinanej miecz wycinający napotka część samego siebie, prawie część własnej rękocyści, prawie że jelce własne i stal własną, a wtedy przerazi się i cofnie.*) Oto i tyle jest zwycięstw prawdy chrześcijańskiej, *politycznie ją uważając*, tylko tyle, — ściśle odmierzam. — *Socjalnie* zaś, nie już politycznie, proszę mi powiedzieć, jak daleko zaszło chrześcijaństwo? Parabola rzecz tę określiam, bo parabole mają to do siebie, że nie tylko prawdy przedstawiają, ale i dramat życia, prawdę wyrabiający — dlatego też między innymi powodami parabolami Zbawiciel określał niektóre prawdy — filozofja niemiecka jest w błędzie pod tym względem, bo nie wie, że jest tylko pewna warstwa prawd i że są tylko pewne strony prawdy, które się idealnie przedstawić i idealnie formami myśli objaśnić dają, ale, że drugi prawd okres dla uwydatnienia swojego potrzebuje dramatu życia — *paraboli*. Powieści i pogadanki paraboliczne Mickiewicza dramatyzowały życie prawdy opowiadanej — ale któż je spisywał i cenił w ostatnich Mickiewicza latach? Oskarżę tu: że upominałem o to za życia Adama — któż to podjął?! zginęły!... Otóż chcemy określić, jak daleko zaszło chrześcijaństwo *socjalnie*? W najucywilizowańszym narodzie i kraju niech człowiek, mający z głodu skonać, ukradnie bułkę chleba i niech powie przed sądem, a nawet przed sądem przysięgłych, gdzie pomiędzy nim a sędziami kruszył kłosa dla uczniów swoich“. Zaiste skazany będzie taki człowiek, jako złodziej, na więzienie. Dajmy na to nawet, że *Jury*, jako z postępu chrześcijańskiego wyszli, nie skazą człowieka takiego na więzienie, wtedy ja się zapytam, kto mu odda cześć jego, kto zeń zdejmie to piętno hańby, że był o kradzież posądzony? Powiem

*) Wykładane na rok blisko przed warszawskimi wypadkami.

nawet, że niechby współcześnie do takiej sprawy o głód człowieka *polityczna* jaka reakcja w społeczeństwie miała swój rygor — *Jury* przenieśliby polityczne usposobienia na pole *sprawiedliwości* i potępiliby takiego człowieka dla porządku i przykładu. Ja nie jestem urzędowy profesor ani rewolucjonista, więc mnie ani deklamacja, ani regulaminu fawor nie obowiązuje. Człowiek na to przychodzi na planetę, ażeby dał świadectwo prawdzie. Trzeba przeto wiedzieć i pamiętać, że cywilizacja każda uważana być winna, jako środek, nie jako cel, — dlatego też zaprzedać cywilizacji duszę swoją i przytym modlić się w kościele, jest to być Tartuffem. — Jesteśmy synami narodu szlachetnego i idziemy do ojczystej ziemi obiecanej, a jest ona ziemią obiecaną nie dlatego, że winne grona w niej będą większe, niż gdzieindziej, i że w niej mleko i miód płynąć będzie — ale dlatego, że zapowiedziano nam na Golgocie, iż *prawda zwyciężyła* i że my przeto w sukcesję dokonanej prawdy onej wchodzimy.

Już przecie z jednej strony na *Psim Polu* pokazanym było, że nie jesteśmy na szwadron jeden jazdy cudzej i indywidualnego sumienia nie mającą posyłkę przeznaczeni, gdy znów przeciwnie pod *Wiedniem*, że potęgi własnej i tej indywidualności bytu dla siebie samych nie chowamy... cywilizacja przeto, która dlatego szuka, że tak powiem okragłości, całości i skończoności swojej, aby się poświęcić, ma swoją rację — *raison-d'être* i sprawiedliwa jest, kijem się podeprzeć wolno pielgrzymowi i nie jest to słabością wobec celu pielgrzymki jego — Eunuch króla jednego pogańskiego, przez usta Elizeusza proroka poznawszy prawdziwego Boga, pytał się, czy to jemu za złe wziętym nie będzie, jeżeli, skoro król na ramieniu jego oparszy się, do świątyni słońca się uda i pokłony dawać będzie, czy on wtedy także pochylić się pod ciężarem ramienia królewskiego może?... Elizeusz powiedział: *idź* w pokój — *idź* — to jest nie zatrzymuj się na drodze prawdy, a ona sama wskaże ci skrupułów miarę, jeżeli *iść*, to jest postępować, nie zatrzymując się, będziesz. —

Tyle też tylko cywilizacji wolno pochylić się przed wieku wymaganiem, tyle tylko i nie więcej na jeden atom! Powtarzam więc raz jeszcze, że cywilizacja każda, o ile za skończoną, o ile w sobie zatrzymaną i nieodwołalną uważa się, może być sprawiedliwie podpora tylko, a nie celem, rusztowaniem, nie zaś budową.

Powiemy dalej rzeczy, które są niesłychanie ważne, a te będą ciemnymi się wydawać. Cywilizacja każda nawet u ludów starożytnych miała dwa bieguny, punkt wyjścia i punkt zmięchu swego. U ludu wybranego *punkt wyjścia*: to Jeruzalem z Sjonem, a im odpowiada Samaria, gdzie punkt zmięchu promienia wychodzącego z Sjonu. Tam już lwy pożerały ludzi, ludzi, od których nawet wody napić się było zdrożnością. Wprawdzie pod koniec ludu wybranego nie Sjonu obywatela, ale Samarytanina Pan okazał być pierwszym i wybranym, ale to w nawiasie! — Przechodzę do państwa rzymskiego, aby też samą architekturę okazać: miało ono dwa punkty: Kapitol — punkt wyjścia i cały pas północny Cyzapiński, a mianowicie: Galję z jej nadbrzeżną *Marsylją*, *Marsa* kolonją-militarną, coś jakoby *Botani-bej* Rzymskie, *punkt zmięchu*. Stąd to o wygnanych wogóle mówiono: „poszedł ten i ów na ryby do Marsylji, to jest na zatracenie“. Jakkolwiek znowu z Galji na Kapitol weszli mężowie silni, a chorągiew Łazarza i Magdaleny, do Galji wygnanych, powiała nad murami Watykanu — i tu drugi jest nawias. Wspomnę tylko, że Tacyt w życiu Agrykoli, jeżeli się nie mylę, powiada, iż w Marsylji dziwnie osobna wyrabiała się filozofja. Jak zaś Jeruzalem do Samarii i Rzym do Marsylji, tak następnie całe średniowieczne katolickie imperjum ma się do Ameryki. Samarytanin i Marsylczyk amerykański w osobie Washingtona pogroził znów staremu światu palcem, a w osobie Anglii odepchnął go, ale to znowu jest w nawiasie! — Oto jest jakoby obraz geograficzny i przewodnik podręczny wartości moralnej tych cywilizacji. Takiej geograficznej lekcji nikt wprawdzie dziś nie uczy, ale podobno, że tak

uczyć będą, skoro umiejętności ściśle będą pojmowane w duchu chrześcijańskim, a który to duch radzi i wymaga, aby od punktu trjumfującego do cierpiącego czuwanie usilne jasno miało wytkniętą drogę. Umiejętność taką historii nazwałbym archistrategją dziejów, ale, dając jej oś i nazwisko, zastrzegłbym, aby nigdy nauką ścisłą nie stała się — pieśnią żywą zostać ona powinna... Zakreśliwszy takie to linje i osie, mogę powiedzieć, że są jeszcze następujące drugiej potęgi osie. I tak, dla Ameryki ujemnemi biegunami będą Murzyni, dla Anglii—Irlandja, dla trzech mocarstw — Polska, dla Rzeczypospolitej Polskiej, w pewnym okresie jej dziejów — Zaporoska siecz, dla Niemiec — emigracje niemieckie do Ameryki, dla Francji—własne jej rewolucje; wszędzie mamy *a* i *z*, *omega* i *alfa*. Może kiedyś mąż stanu nie będzie inaczej pomierzał ważności kwestji społecznych, jak tą tylko mojęszową trzecią, którą wskazuję, ale dziś byłoby to jeszcze niebezpiecznie, bo któż wie, czy tej trzeciny mojęszowej nie oddanoby bursie i czy z tej laski źródłotwórczej nie zrobionoby łokcia kupieckiego? Nie ja przecież pierwszy nazwałem wiek ten materjalnym i ze wszech miar przedajnym!...

Nakreśliwszy bieguny wszystkich cywilizacji głównych — bieguny dodatnie i ujemne, moglibyśmy jeszcze uogólnić te szczegóły, wypowiadając: że cały nareszcie krąg cywilizacji miał u krańców obwodu swego koczowiska, t. j. osoby zbiorowe dziczy wszelakiej, które nazywano olbrzymami, potworami i biczami bożemi, a których to koczowisk ogniska dalekie były jakoby czatami ogni bożych, mieczów i biczów bożych, czekającemi, aż głos krzywdy, choćby tylko oddany powietrzu westchnieniem i jękiem, nie zaświśnie z burzy gwałtownością, aby zagnęła poruszyły się te chmury mieczów, biczów, ogni i szły, karę za krzywdy niosąc. Tak było zawsze! i silniejsze to są giesta i majestatyczniejsza ich rzecz, *aniżeli dyplomatów formułki*.*)

*) Kiedy to było publicznie mówione, nikt w Europie nie

Tak jawiły się światu Galle, Giermany, Hunny, Tatary, rewolucje socjalne, a razem znów biorąc tę masę całą i jednym oka rzutem obejmując ten obraz, będziemy mieli świat pogański na wierzchu i świat katakumb spodem... Polska tylko jedna i Grecja może druga nigdy biczami bożemi nie bywały. Polska mieczem tylko i to bynajmniej nie rdzawym miała zaszczyt być razy parę... Lecz gdzież, Polskę tak jak świat mierząc i cywilizacji jej całej biorąc promień, gdzież więc punkt wyjścia Sjonowi i Kapitolowi, a gdzie punkt dojścia, odpowiadający onym Samarjom, Marsyljom, Ameryce...?

Oto, niestety, punkt dojścia znajdziemy wszędzie, albowiem niema kraju takiego, gdzieby wygnaństwa polskiego już nie było, wszelako najstateczniej miejscem tym jest Syberja. Takim to więc sposobem do założenia głównego lekcji naszej przeszliśmy i oto jesteśmy u bram, u tła, a poniekąd—u samej istoty Anhellego. Że przeto Syberja dla Polski jest punktem zmierzchu cywilizacji, widzimy w tym przyczynę, która powoduje, iż w poemacie tym są sceny, należące do całego wygnaństwa. Poeta tutaj za tło wybrał najwyraźniejsze tylko miejsce w biegunie ujemnym. Ten przedewszystkim z żywych i czynnych może być spokojnym, kto od początku do końca widzi obowiązujący wolność jego cały regulamin cywilizacji w czasie danym; odwróćmy się więc i poszukajmy punktu wyjścia, abyśmy cały przebieg zestroju cywilizacji polskiej widzieli, a przeto tym łatwiej wrócić do końca mogli. Marco Polo nie wstydził się być naiwności, z jaką szukał źródła wiecznej dla człowieka wiosny sił w pustyniach Azji i odnalazł te same skrzydła, któremi poleciał Kolumb i któremi jedynie człowiek źródło młodości odkryć może. — Nam idzie tu o to, skąd byli

przewidywał najścia Druzów na Syryję chrześcijańską i rzezi, które z Libanu zawołały na Europę, aby całością solidarną poczuła się. W kilka dni po tej lekcji, wiadomości o tym przyszły, i trzeba było upowszechniać wiedzę o Druzach, kto oni są? — bo publiczność nie wiedziała wcale.

ci pierwsi ludzie, którzy ziarno cywilizacji ludzkiej przynieśli, boć cywilizacji takiej niema, któraby, jak grzyb, wyrastała, wyjawszы wierzące w ten mineralizm Chiny. — My zaś nie ogników błędnych szukamy, ale mówimy raczej o słońcu prawdy. Tym przeto punktem wyjścia, tym źródłiskiem dla nas jest Rzym. Słońcem rzymskim są katakumby rzymskie, przemienione w noc Nerona na świeczniki, albowiem on to zatkniętych na słupach, materjami palnemi okręconych i zażegnionych, w kagańce zamienił chrześcijan pierwszych i po raz pierwszy. To zaś nie aby *chrześcijan* prześladował, ale aby *Chrystusa* palił, albowiem dlatego jedynie, aby zakryć rozpustę swą przed ludem i z trwogi. Stąd to, mówię, promień chrześcijaństwa popłynął na świat i tutaj też cywilizacji polskiej źródło jest. Kiedy przeto Słowacki u bieguna zamierzechu cywilizacji polskiej, t. j. chrześcijańskiej w Polsce, z lirą swoją stanął, albo raczej na bieguna ów posłany był, wtedy uczyniło się, przez nieobjawioną wówczas archistrategję poezji, że inny poeta na Kampanji rzymskiej zatrzymał się, aby nam ocalić przytomność historyczną. A jeżeli wspominam Rzym, mówię tu o ś. p. Zygmuncie Krasińskim, którego gdy chrzczono, Napoleon Wielki dał mu stopień adjutanta króla rzymskiego, a którego więc jakoby odnośnienie się do Rzymu było zarazem legalne i ponadwiednie-patrjotyczne, o autorze, jednym słowem, który ponadprzyrodzonych używał środków dla utrzymania historycznego ducha w społeczeństwie, blizkim zgminienia przez niebyt polityczny. Mamże dodać, że, nie mając sejmów i prawie dziennikarstwa, słuszną byłaby rzecz przynajmniej postarać się chociaż o trawienie dobre arcydzieł, które zbiorowego umysłu będąc zawsze poniekąd ideałem, nie mogą Sejmowej (Zejm-owej) zbiorowej nie mieć ważności... — A jednakże iluż na stu czytelników z głębszą myślą do ręki je biorą? czyliż tylko przez gruntów łany i to sznurem karbowych pomierzać mamy obszar ojczyzny naszej? Wiedzmyż o tym, że epoka polityczna Milikowskich, o których przedmowa do pism

Ligienzy mówi, skończyła się za Sasa. Aby przeto nie być cywilizacji manekinem, ani w retorcji przygotowanym homunkulusem, trzeba przecie z tej cywilizacji zdać sobie sprawę i od rana do wieczora plany jej mieć przytomne. — Boć tym tylko sposobem, realności własnej nie mając, trzeźwość obywatelska zyskuje się. Znamy to, niby rzeczy cudze, słuszną więc jest postarać się o poznanie i epopei własnej; groby i posągi stawiać umiemy, ale to coś przypomina groby, które prorokom stawiano, a o których Zbawiciel ze zgrozą wspomina.

Anhelli Juljusza jest to świecznik, w mrokach sybirskich pałacy się: przeciwny zaś, a odpowiadający mu poemat, jest Krasińskiego Wigilja Bożego Narodzenia: dwa poemata, bez których, śmiem powiedzieć rzecz, która się wyda napuszoną i dziwaczną — dlatego, że ją powiem poprostu, bez których, mówię, przewodnictwa nie można być oświeconym patrjotą polskim! Tym więcej, że zamiast sejmu mamy koterję, a zamiast dziennikarstwa mamy mechanikę dziennikarstwa *od obcych wziętą* i coś, co we mgłach embrjonu jeszcze spoczywa. — Jeden z tych dwóch tak dalece przeważnych poematów idzie od Syberji, gdzie są dzieje serca pojedynczego człowieka, bo tam dzieje narodu kończą się, a drągi z Rzymu, gdzie są dzieje narodu, bo tam ogólnosc właśnie indywiduum chłonie. Otóż może nie należałoby inaczej tych dwóch arcydzieł czytać, jeno razem, jeden obok drugiego kładąc. Pomiędzy Juliuszem Słowackim a Zygmuntem Krasińskim ta odpowiedzialność rzeczy i to braterstwo były zapowiedziane, a nawet i śmiercią stwierdzone, o czym w ostatniej powiem lekcji. Są to *dwaj wodze* epopei polskiej, na czatach swych stojący — za ich dni, mieliż oni wojsko?

Aby się zaś ograniczyć choć tylko na tym, co w szczupłym zakresie czasu zrobić można, zobaczmy też przynajmniej *wstępy* i *końce* tych dwóch poematów, z których podobało się pieśni przedwiecznej i wiecznej, aby jeden stał u *początku*, drugi czuwał u *końca*, i ażeby człowiekowi

i społeczeństwu, to jest narodowi, uprzytomniali cały promień cywilizacji jego, przywodząc go do uczucia własnego i sprawiedliwego *Ja*. Pamiętajmy przytym, że to co innego jest czytać poetów, co gadają o *lirze*, ale to chyba o tej, którą drukarz wyciska na okładkach ich tomów, gdyby im zaś lira Amfjona z niebios zleciała, w ręce wzięłoby jej nie umieli: co gadają i o twórczości, ale gdyby im kazano śpiewać, tak *aby kamienie się składały w mury miasta*, to każdy z nich palec by w atramencie umoczył... i wasy sobie zrobił.

W poemacie Słowackiego Anhelli, idąc z Szamanem przy blasku gwiazd, „po śniegiem okrytych stepach, spotyka obóz cały małych dzieciątek i pacholąt, gnanych na Sybir, które odpoczywały przy ogniu—A we środku gromadki siedział pop, na tatarskim koniu, mający u siodła dwa kosze z chlebem. I zaczął owe dzieciątka nauczać podług nowej wiary ruskiej nowego katechizmu i pytał dzieci o rzeczy *niegodne*, a pacholęta odpowiadały mu, przymilając się, *albowiem* miał u siodła kosze z chlebem i *mógł* je nakarmić; a były głodne. Oto zapomniały już płakać po matkach swoich i tu się wdzięczą do chleba, jak małe szczeniątka, szczekając rzeczy złe i które są przeciwko wierze — powiadając, że car jest głową wiary i że w nim jest Bóg, i że nic nie może rozkazać przeciwko Duchowi świętemu, *nakazując nawet rzeczy podobne zbrodniom, albowiem w nim jest Duch Święty*.” Pomijam rzecz, której byłoby wielkim wstydem nie znać, to jest, iż wszystkie ludy do Olimpów swoich zawsze podobnie! że przeto dogmat popów uczy, iż *Duch Święty* od samego tylko Ojca z góry i *był po siemu* pochodzi, *katolicka* zaś forma *chrześcijańskiego* dogmatu określa, iż Duch Święty *zarówno* od Ojca i od Syna, od *Boskości* i *człowieczości* najświętszej płynąc, *wolności jest przeto* zakładem. Widzimy przeto tutaj, w obrazie powyższym, zapomnienie miłości i wiary, a jednakże anielską przytym niewinność. — Potwór to nieznany starożytnemu światu. Koniec złego zarazem i koniec dobra, koniec wszystkiego: *niewinność równa*

zepsuci! „zresztą cisza“, jak mówi Schakspeare. — Teraz spójrzmy w odwrotny biegun.

U Krasińskiego w wigilję Bożego Narodzenia poeta błądzi po polach Kampanji rzymskiej, spalonych słońcem, „przy niebie czystym, jak zawsze“, i nie napotyka tego, co pierwszy, ale widzi, że „daleko na wodach *stoi* plama czarna, jakby żywa, coraz większa i lecąca ku *niemu*. — Wielki to i posępny okręt, bez płócien i masztów, a wszystkie fale kołami rozbija na pianę — i z pośrodku jego bucha słup dymu, który leci nazad w nieskończoność.“ — (Okręt ten jest to arkan cywilizacji całej, w której żyjemy: wozy i okręty parowe mechanicznie wiążące i popędzające ludy). Dalej Krasiński mówi: „Stały tam postacie w karmazynowych czapkach i w płaszczach bielejących, usłyszałem niby zgrzyt łańcuchów — zdało mi się, że pada ciężki most, długi most, od okrętu rzucony do brzegów — po nim w ciemnościach widać się te postaci i dążą ku mnie. — A gdy niedaleko już były, zapytały jednym głosem: „kędy droga do Rzymu?...“ — Jam odparł: „nie ma tu drogi, tu pustynia.“ A oni odrzekli: „prowadź nas zatem.“ — A kiedym się wahał, żnów się odezwali cichym i tęsknym głosem: „Myśmy ostatki szlachty polskiej*) — Anioł pokazał się nam, anioł niepodobny tym, których oglądały ojce nasze, bo miał skrzydła bez blasku i welon żałobny na czole — lecz wiemy, że on z nieba zesłan — a on nas tu posłał, długośmy płynęli — wielkie tam były wichry i istoty na morzu, lecz dopełni się wola pańska, jeśli dziś o północy staniesz w Bazylice Piotra.“ — To było pisane lat temu dwadzieścia, a nie wczoraj, po przeczytaniu gazet z Rzymu. — Około tegoż samego czasu pisane było arcydzieło Juljusza.

Spójrzmy teraz na *końce* tych dwóch biegunów i tych poematów, tak niesłychanie ważnych dla trzeźwości Rzeczy Ojczyściej (Rzeczypospolitej).

*) Na wiele lat przed przyjęciem *welonu żałoby narodowej* w roku 1861.

„Anhelli był umarły!... Eloë siedziała nad ciałem zmarłego, z gwiazdą melancholiczną na rozpuszczonych włosach. — I oto nagle z płomienistej zorzy wystąpił rycerz na koniu, zbrojny cały i leciał z okropnym tententem. — Śnieg szedł przed niemi, przed piersią konia, jak fala zapieniona przed łodzią. — A w ręku rycerza była chorągiew, a na niej trzy ogniste litery paliły się. — I przyleciawszy ów rycerz nad trupa, zawołał grzmiecym głosem: „Tu był żołnierz*), niech wstanie! — Niech siada na koń, ja go poniosę prędzej, niż burza, tam, gdzie się rozweseli w ogniu. Oto zmartwychwstają narody! — oto z trupów są bruki miast! oto lud przeważa! — Nad krwawemi rzekami i na krużgankach pałacowych stoją bladzi królowie, trzymając szaty na piersiach szkarłatne, aby zakryć pierś przed kulą świszczącą i przed wichrem zemsty ludzkiej. — Korony ich ulatują z głów, jak orły niebieskie, i czaszki królów są odkryte. — Bóg rzuca pioruny na głowy siwe i na obnażone z koron czoła. — Kto ma duszę niech wstanie! niech żyje! bo jest czas żywota dla ludzi silnych.“ — Tak mówił rycerz, a Eloë, powstawszy z nad trupa, rzekła: „Rycerzu, nie budź go, bo śpi. — On był przeznaczony na ofiarę, nawet na ofiarę serca. Rycerzu, leć dalej, nie budź go. — Jam jest w części odpowiedzialna, że *serce jego* nie było tak czyste, jak djamentowe źródło, i tak wonne, jak lilje wiosenne“, znaczy: ja jestem kobietą i związaniem człowieka w społeczność, gdybym mu przeczystości serca *nie zaćmiła*, tedy byłoby to djamentowe źródło, pierwotny kryształ mineralny i byłaby to woń wegetalna lilji, ale nie byłoby to *słowo stworzenia ciałem człowieka*. — Eloë chwali się tu przed rycerzem z chrześcijańskości swych spraw, — rycerz zaś szuka *soldatów* na dzień fatalny bieża Bożego, — zrozumieć! — „To ciało do mnie należy i to *serce* moim było. Rycerzu, koń twój tentni, leć dalej! — I polecił ów rycerz ognisty, z szumem jakoby burzy wielkiej; a Eloë

*) Żołnierz, nie rycerz...!

usiadła nad ciałem martwego. — I uradowała się, że *serce jego* nie obudziło się na głos rycerza i że już spoczywał.“

Anhelli jest personifikacją serca ludzkiego wobec tragedji historii: gdzie serce już wytrzymać nie może i kończy, tam sąd się zaczyna, bo ulegalizowana jest bezserdeczność. Czas jest, ażeby Anhelli obudził się, ale skoro obudzi się *bez serca*, czyliż tak wypełni misję swoją, jak ludzkość chce, a jednakże on jest sercem cywilizacji. — Eloë „uradowała się“, że serce człowieka nienadużyte; jest to prawdziwa kobieta chrześcijańska!...

Kraśński mówi już o sercu narodu, w obliczu dogmatycznej całego chrześcijaństwa sprawy. Okręt parowy to jest cywilizacja, nadewszystko przez sam interes mechaniczny zbliżająca ludy, przywodzi do Rzymu resztki szlachty polskiej, której nie sama machina parowa, ale anioł żałobny iść kazał. Narody wszystkie idą ze swemi chorągiewami do grobu Piotra. Ciało i krew, jako budowa zewnętrzna, miota się i transfiguruje, sklepienie upadkiem grozi, a narody, aby sklepienie owo nie przygniotło chorągwi ich, ruszają z miejsca. „I pierwsi Rzymianie zaczęli się zrywać i uciekać.“ — Polacy zostają jedni i zbliżają się ku wielkiemu ołtarzowi: „a cztery kręcone filary ołtarza pękły, jak ścięte drzewa runęły — i baldachim śpiżowy runął — i kopuła cała, jak zstępujący świat białą spadała na ziemię. I wszystkie portyki, i pałac Watykanu, i kolumny dziedzińca łamały się, rwały, w proch się sypiać — i obie fontanny, jak dwa gołębie, przypadły do ziemi konając, a lud uciekał co raz dalej, jak morze wyparte z brzegów... „Kardynał wstąpił na ten olbrzymi kopiec“, szaty purpurowe opadły mu z ciała i przemienił się w postać białą, łagodnym światłem osrebrzoną... — Zbliżyłem się do niego — mówi poeta — i rzekłem właśnie w chwili, gdy wschodziło słońce: „Panie, czy prawda, że ostatni raz wczoraj Chrystus narodził się w tym kościele, którego już dziś niema?“ A on z dziwnym uśmiechem odrzekł mi: „Odtąd Chrystus ani

się rodzi, ani umiera na ziemi, bo odtąd już na wieki wieków jest i będzie na ziemi.“ — A ja to słysząc, zbyłem trwogi wszelkiej i zapytałem się: — Panie, a ci, których przywiodłem wczoraj, czy na zawsze już leżą pod temi gruzami, wszyscy umarli koło umarłego starca? A ów biały święty odrzekł mi: „Nie trwóż się o nich. Za to, że wyrządzili mu ostatnią przysługę, Pan odwdzięczy im — bo zachodzący, tak jak wschodzący, umarli, tak jak żywi są z Pana; owszem im lepiej będzie i synom synów ich.“ A gdym zrozumiał, powtarzam „zrozumiał“, ucieszyłem się i duch mój się przebudził — powtarzam, „przebudził“.

Nie potrzebuję dodawać, że dzień, w którymby narodowość chrześcijańska jakkolwiek bądź powiedziała, że Kościół chrześcijański do niej tylko od „wieków i na wieki“ należy, byłby dniem, w którym narodowość ta stałaby się przez toż samo żydowską, nie chrześcijańską. Jak również, mamże tu dodawać, że gdyby od rozwoju dziejów ojczyzny odjąć to, iż byli pierwsi *obcy ludzie* i nie rodacy, co przyniesli słowo Ewangeliji, i odjąć w następstwie kodeks rzymski, a za nim gramatykę, na której się język budował, pozostałyby pieśni dzikie ludu, panowanie ras — przywilej mocy dominacyjnych — fatalność zamiast Boga, który jest miłość, i uważanie siebie za centrum ziemi, jak to Chińczycy utrzymują. Nie parowym też mechanizmem wyróżdziły się narodowości, a stąd i pełnoletność synów w obliczu matki starej, nie rachunkiem taryfy, ale żywą dramą się odbywa — *najemnicy* i *niewolnicy* tylko kwitują się — taki będzie też i sąd transfiguracyjny *na obie strony*, tak dla ludów, jak i dla Kościoła.

Ponieważ Anelli i Wigilja Bożego Narodzenia pisane były lat temu 20, kiedy rozgadanej dziś, a niezgłębianej kwestji rzymskiej nikt nie dotknął, i z wygnańców także sybirskich (których wygnańcami w ojczyźnie znów oglądamy) nikt nie wracał; muszę więc tu słów parę o profetyzmie poetów powiedzieć. Nie godzi się, powtarzam raz jeszcze, czytać utwory narodu nieszczęśliwego temi tylko

oczyma, któremi się utwory poetów trjumfujących czytają, owszem powiem to, jakbym na sejmie mówił, że jest występkiem przeciwko Rzeczypospolitej nie znać epopei własnej, takich przynajmniej, mówię, buletynów ducha, jak Anelli i Wigilja Bożego Narodzenia lekce czytać nie godzi się. Ktokolwiek raczył zapamiętać rys posiedzenia pierwszego, wie, że tam była zakreślona różnica między dwoma pielgrzymkami poetów starożytnych i późniejszych, takąż sama też jest różnica proroków właściwych, izraelskich — proroków greckich, jak Epimenides, którego Paweł apostoł *Prorokiem* zowie, a nas, poetów nowożytnych, tamci bowiem mogli *najwyraźniejsze rzeczy w szczególności mówić, bo szli do osobistości pojedynczej*; ci zaś tylko mogą ogólne i jakoby fenomenologiczne dawać proroctwa, bo do *ogólności chrześcijańskiej*, bo do zbiorowości idą. Jeżeli więc kto wyraźniej nie osoby, ale osobistości Anelli na Syberji szukał, widocznie by się omylił, i gdyby kto Polaków pod kopułą Piotra z czapką czerwona i kordami w prawicach szukał — zaiste, że w tej samej miarze błędu byłby. — Wyraz *kord* z greckiego naprzód, a potem z łaciny idąc, znaczy *cor* — serce, a wyraz *palasz* od słowa *pałać* idzie...

Pokazawszy, gdzie stoi, jaką ma ważność, jak jest zbudowany i jak się czyta poemat Anelli, przeprowadziwszy myśl jego przez wszystkie stacje mąk dziejowych, pozostaje nam jeszcze po szczególe osoby, albo raczej fenomenologiczne typy w tym poemacie rozebrać i wiarogodnie z onych zdać sprawę, tym bardziej, że sam Słowacki o każdej z nich własne noty zostawił. Skreśliwszy więc tło ogólne i ważność tego tła, okazawszy i wytłumaczywszy każdą osobę, nie już więcej do powiedzenia nie zostanie, wszystko tylko zostanie do czytania. Każdemu zaś z temi wiadomościami czytać będzie możebnym ten poemat; czytać nawet lepiej odemnie i to mi jest najdroższe — że lepiej. W Szekspira dziełach znajdują dziś myśli, których on za dni swoich literalnie nie poczuwał. Czyta się poetów, że tak powiem, w coraz

głębszych głębiach — tak, że czytanie każdego arcydzieła jest nieskończone, aż przyjdzie dzień, w którym wszystkie konsekwencje jego aż do dna wyczerpną się, a wtedy gamma wtóra treści powstaje. — I tak: o Anhellim, jako osobie głównej, powiada Słowacki przez usta Eloë, że jest to serce przeznaczone na ofiarę, to jest, które odmierza sprawiedliwość cywilizacji tak, jak w poemacie Zygmunta występuje serce narodu w obliczu nie innej ostateczności historycznej. O Szamanie poeta powiada raz, że to czarownik, drugi raz, że sybirskiego ludu Mojżesz, jest w nim jedno i drugie, Mojżesz sam poczynił sobie i z wola Pańską czarodziejsko wobec mądrości magów egipskich, a idąc z misją Pańską do ludu, pod czarem będącego, skoro mądrość czaru tego pobił, żądał wtedy, twarz w twarz królowi patrząc, jak męczennik, aby lud celowi prawdziwemu oddany był. Dobrze następstwa te misji tego *największego* męża pojmijmy. Mojżesz, będąc poprzednikiem Zbawiciela i człowiekiem, nie mógł legalnie tej sprawy rozpocząć — jest to broń najdzielniejsza. O'Connel tak samo poczynił sobie w Anglii, i jeżeli sztuk czarodziejskich nie robił, bo nie miał do czynienia z magami onej potęgi, to retoryka jego, którą z ciemnizcami walczył, jest ową magją, nieczym innym, a nawet powiem, że w budowaniu form swoich nie wyszła zina. O'Connelowi tylko nie *było dano* dramy swojej dokończyć, co znaczy, że ma ona na szerszy horyzont wzrość. Takie jest wytłumaczenie Szamana. Na tym zaś tle krańcowym obowiązuje ta laska Mojżeszowa i ten miecz, o którym mówimy: powiedziałbym, dlaczego u Anhellego *Szaman* istni w sobie Mojżesza, gdzie koniec toku dziejów — i dlaczego *Kardynał* u Zygmunta w proroctwie jego współcześnie istni w sobie *Jana Ś.*, przyjaciela Zbawicielowego — (ale to są ciemne rzeczy i nie mamy czasu na wszystko). Walenrodyzm jest to romantyczna powiastka i niezupełna jeszcze pochew miecza tego. Mickiewicz miał prawo mówić: Walenrodyzm, ja mówię Winkelrydyzm — O trzeciej postaci, o *Eloë*, także sam poeta mówi, skąd

się poczęła i co znaczy, a my, ponieważ od początku kursu nie chcieliśmy nic od siebie narzucać, i teraz też na słowach autora najwierniej opierać się będziemy. „Urodziła się ze łzy Chrystusowej na Golgocie, z tej łzy, która była wylana nad narodami.“ — Tak mówi Juljusz, a my tłumaczyliśmy w rzeczy rozejścia się poetów od ołtarza, że słowo *ojczyzna* rodzi się właściwie i stanowczo z chrześcijańskiej potęgi, — poeta dodaje, „że Eloë zgrzeszyła, ulitowawszy się nad męką ciemnych Cherubinów i umiłowała jednego z nich i poleciała za nim w ciemność“ — a myśmy mówili o Byronie i o *licencjach nawet epopei* i rozświecaliśmy całe pole narodowości, niestety krańcami obszaru swego graniczyć mogące z nieuniknionym, a względnym fałszem. Zło albowiem, przez litość wielką popełnione na politycznym polu, jest to uwzględniona owocami swemi i ofiarą indywidualności *licencja poetyczna*, która, jakkolwiek na widnokrąg historii nowo narodzoną i bez oczyszczenia wprowadza postać, grzechem jest przecież epopei, ależ grzechem *ciała zbiorowego*, które nie może być odrazu doskonałym. Wiele jest w Anhellim scen, na tej przedewszystkiem opartych myśli; wychodzi tam i ksiądz, który do miecza porwał się i dosiadł konia, wołając: za ojczyznę! i biskup, który przeto księdza tego święty bunt sądząc, nie może wszakże zdjąć zeń kapłaństwa — pastorał z rąk mu wypada przed klątwą z ust mającą wyjść — i inni... O osobie nawet, lubo podrzędnej, Ellenai powiada Juljusz, że była zbrodniarką, na Syberję zesłaną, a jednak koniec jej życia wieńczy pociesającym i poezją wonnym cudem, jakby zerwany koniec srebrnego pasma, przetykanego kwiatami z życia jakiej średniowiecznej świętej. Sceny zaś tej zbrodni, która jest świętą, występku, który jest obowiązkiem: *sceny konieczności* są właśnie że gienjalnym obrazem kończyn. Tam zbrodniarka jest już przez niebo kanonizowana, tam kościół wojujący przez kościół trjumfujący wyręczan bywa i zastępowan. Zły ksiądz jest dobrym, niewinność jest zbrodnią — tam wszystko się przesila — śmierć jest życiem, bo tam jest

już polarny zamierzech cywilizacji narodowej!—Dla tych to samych przyczyn powtarza się i w przedśmiertnej scenie Anhellego legiendy o Aniołach, do Piasta posłanych, tak jak w łunie zachodu są też blaski do wschodu podobne i tak, jak ostatni władca Rzymu nazywa się Romulus Angustulus, bo pierwszy Romulusem był. Widzimy więc bez naciągania, że zadaniem poety było po szczególe uprzytomnić narodowi biegun zamierzechu cywilizacji jego. Jest w Anhellim jeszcze jedna scena, nie sybirska wcale, albowiem wchodzi do niej trzy partje polityczne, krzyżujące trzech białych ludzi w czerwoności zorzy polarnej. Ukrzyżowanie to objaśnień żadnych nie potrzebuje, bo ukrzyżowań takich (bez żadnych metafor) było i będzie niezmiernie wiele, *niezmiernie wiele* na wszelkich polarnych zamierzechu punktach! Wszędzie, gdzie jednostronności tak się rozepną łokciami rubasznymi, że aż tło, na którym rysują się postacie, popęka, to chociażby na płótnie tła owego wymalowane były osioł, żaba i kozioł, zawsze będzie za takim płótnem krzyż drewniany i tablicę obrazu utwierdzający, który z za porozdzieranych nici wyjrzy.

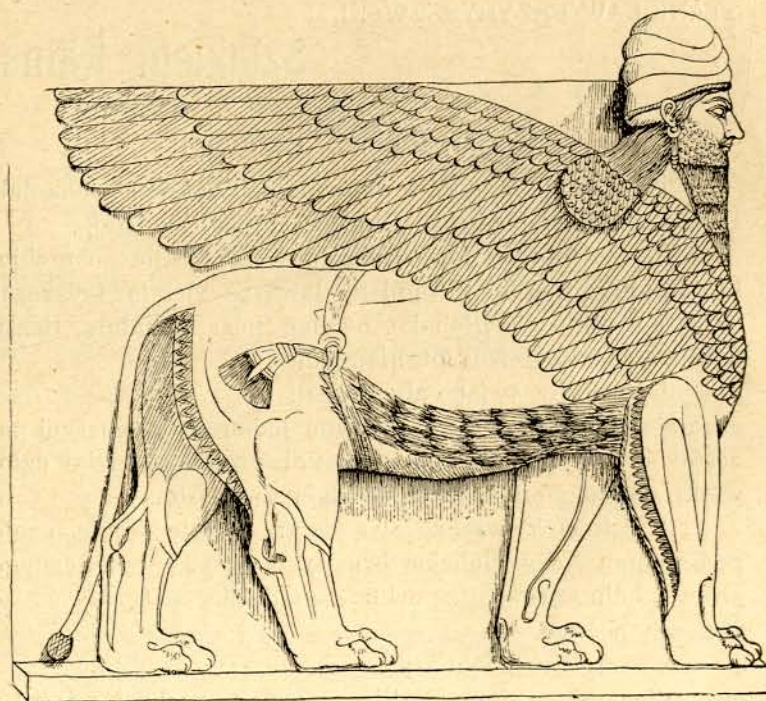
Otóż całe sprawozdanie moje o Anhellim, ale nie moja rzecz jest mówić tak, jak się mówi z katedr literackich, albowiem pytanie jest: czyli godzi się przeczystą łzę narodu podnosić na widok na to i na to tylko, aby ją mierzono i ważono? Katedry nie są dzisiaj w celu, aby *testamenta pieśni ojczystej narodu otwierać*, ale raczej ku temu, aby nauczać gramatyki i, że tak powiem, samej kaligrafji sztuki.

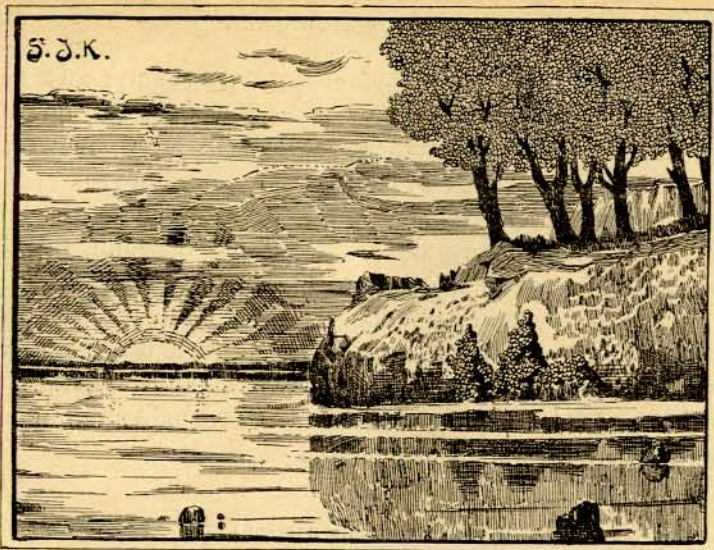
Błędne jest też mniemanie (jeżeli je wiernie w pamięci zatrzymałem), objawione przez doktora filozofji Klaczkę, że w literaturze naszej niema dzieł dopełnionych i pogodnych, dziełami takimi są: Anhelli, W Szwajcarji, Grażyna, Irydjon, którym jako pogoda twórczości, jako całość toku i rytmu i języka skończoność—równe są tylko, a wyższych niema nigdzie. — Dziwić się tylko raczej trzeba, że są tak pogodnemi! Utrzymuje doktor filozofji Klaczko, iż właśnie że zaletą poezji polskiej jest to łamanie

się i rwanie, które w Dziadach np. spotykamy, gdy nam zdaje się, że tego zbyt upiększać i poetyzować sobie nie trzeba, bo to nie poeta, ale społeczeństwo temu winno.

Na zakończenie rysu tego, w dowód wysokiej Anhellego wartości, oświadczamy, że ś. p. Zygmunt Krasński, dowiedziawszy się przez list mój o zgonie Juliusza Słowackiego, pisał mi z Hajdelberga: „dowiedz się, czy nie zostawił wiadomości co do nagrobku, jeżeli nie, to połóżcie mu napis: „*Autorowi Anhellego*“, a ten jeden wystarczy dla zapewnienia mu sławy na pokolenia przyszłe“, lubo bezpośrednio współczesne to zdanie o Anhellim, niemniej przynosi objawiającemu je zaszczytu.

(Dokończenie nastąpi.)





STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI.

Szlakiem Kaina.

PIERWSZA PIEŚŃ „CHERUBINA”.

Tam, przed niemi, w płomieniach miecza archanielskiego rozlał się, gdyby pęknięte słońce, ich Raj...

Prysły obręcze, a straszliwy żar lał się po niebie, kipiał warami, ściekał ognistą lawą na ziemię, tryszczał odmętami ognia, a głęboko, aż hen poza południe, lizały krwawe języki czarną otchłań nocy.

Jak gdyby świat cały gorzał!

Przywarty do głazu, co sam jeden w tej pustyni pozostał świadkiem przedpotopowych szarów, siedział człowiek, a u nóg jego leżała omdlała niewiasta.

A człowiek wsparł swą twarz o obie dłonie, czoło poorano mu się w głębokie bruzdy, a oczy, z rozpaczego szału i bólu prawie z orbit wysadzone, patrzyły w tę straszną pozołę.

Ich raj, ich raj!

Pioruny w niego waliły, włosy w niebo się jeżyły, gdyby las w pozołde, grzbiet jego siekała chłosta nie-

bieskich błyskawic, jak gad przypelzał do wrót utraczonego raju, oczy jego noc przedarły, wyolbrzymił duszę swą do ogromu pierwszego słońca, nad moc Boga sięgająca, i potopem ognia rozlało się nad ziemi martwotą.

A w tej krwawej pozołde włosy jej, jak potok roztopionego złota, jak gorejące gońce wschodzącego słońca, a w pożarnej lunie wszechświata twarz jej—gdyby róża, rozkwitła w blasku jutrznianego światła — taka cicha, taka czysta, taka przejrzysta.

Daremnie! daremnie!

Rozlał swą duszę w Bezbrzeżu odwiecznej Samotni, Mroku i Ciemni i Ciszy, kiedy jeszcze lądy od wód nie były rozdzielone, kiedy w Chaosie krążył Prapoczątek w rozpaczonym szale Poczęcia, w burzy i huraganie pragnień, by się objawić.

Dla niej ścielił z nieba błękitu jej łożo spoczynku, budzenie jej witał świtów przepychem, a kładąc ją do snu, spowijał ją w czary zmroków, w świetliste cuda nocy, w czarne kiry obłądnych upojeń.

Daremnie, daremnie!

Rozszalał potęgę swoją mocą Boga, co życie wskrzesił i wszelkie stworzenie, rozsiadł się w gór łańcuchach i niebo podarł w strzępy, rozlał się swą mocą na morzach i niebo w siebie wchłonał, rozparł się na gwiazdach i z nieba i jego gwiazd miliardów iskrzącą zabawkę dla niej uczynił.

Daremnie, daremnie!

Twarcz jej bladła, cichła i stygła.

Jej oczy, z lęku przyczajone, szeroko grozą rozwarte, patrzyły w straszliwy obłąd palącego się raju.

— Widzisz go? — szepnęła zbielełymi wargami.

Bielmem zasłży jego oczy, bo żar, bijący od miecza archaniola, jakby z krzaka ognistego, oslepił ich moc.

Głowa jego obwisła, jakaś niepojęta siła wyciągnęła go w krzyż, a strasznym jękiem dyszała pierś jego.

Archaniele! Archaniele!

Ty najpotężniejszy w zastępie hufców niebieskich — Grzechem moim jesteś?

Ty stojący na najwyższym szczeblu drabiny niebieskiej, niczym nie jesteś — jak tylko Zbrodnią moją?

— Zapomnijmy! — krzyczała niewiasta — zapomnijmy! Zapomnąć?

Ablu, Ablu, czemuś ja cię zabić musiał?!

Byłeś cichy i słodki — mówiłeś do mnie, a było to, jakbyś prosił o przebaczenie, że śmiałeś przerwać głuchą ciszę mej duszy.

Dotknąłeś się mej ręki, a było, jakbyś się lękał rozpętać we mnie nieznane, ukryte Ci, a dla mnie straszne, zbrodnicze siły.

Czemuś pojął tę, którą kochałem?

Pamiętam, gdyś się nocami skradał pod szalas wasz i widziałem, jak Cię pieścił i tulił do siebie i żądnymi, gorącymi ustami rozchylał różę Twego ciała.

A Twoje oczy wlepione w jakąś dal — a twoja dusza błądząca w przestworach, a ciało Twoje obce, jakby do Ciebie nie przynależało.

Gdzież wybiegała Twoja tęsknota? Wokół czego krążyły szerokie skrzydła Twego pragnienia? Za kim goniły twe z pęt ciała wyzwolone oczy?

Nie pomnę, jaki ogień bólu spopielał mi duszę, jaki obłąd skręcał, gdyby mokrą ścierkę, mój mózg...

Chciałem się oderwać, a z miejsca ruszyć się nie mogłem, straszny ciężar zwałił się na mnie, a ostrym palem przygwoździła mnie rozpacz do ziemi.

A w duszy mej szeptał Szatan:

Miłości, baranku Boży, co gładzisz grzechy świata, święty Hyzopie, co duszę obmywasz z wszelakich win i kary wszelkiej, dodaj mi mocy!

Nie pożądaj żony bliźniego Twego! — grzmiał głos Jehowy w piorunach Sinai.

A żona ta żoną brata Twego!

Drżałem na całym ciele, jak człowiek, któremu ukazują narzędzia męczarni najstraszniejszych...

Miłości, potęgo, co Boga na tron sadzasz i w proch go kruszysz, azaliż nie jesteś potężniejszą od przykazań Jego?

Jak śmieszna i maleńka miłość — cnota, tania, jak kupiony od przekupnia wędrownego talizman, co chroni od chorób i wszelkich nieszczęsnych wypadków, jak płaska i pogardy godna miłość, której w poprzek żadna przeszkoda nie stoi, a ludzie, w krąg ustawieni, jej błogosławia i źródło wszelakich łask nad nią otwierają.

Starczego pragnienia — sytego spokoju — ciepłej strawy, jarzma roboczego wołu godna miłość w pełni słońca, miłość ciepłego łoża, obstawionego druchnami i kumoszками, miłość snu sprawiedliwych, tych, co tylko raz na dzień grzeszą!

W innym, och w innym majestacie winna kroczyć potęga miłości!

Z włosem, szarpanym przez wściekle burze, bluźnierstwem i dzikim urągowskim wszelkim przykazom na ustach, co motłoch miażdżą i na kolana mu paść każą, z rękami, co się nie wahały nóż wtopić choćby — w łono brata!

Tu jęło serce me drgać, jakby mi żywo z piersi było wyrwane:

Brata!

Twardo, żelazno, nieugięcie; kędy stopa tej miłości stanie, cóż, że łan ludzi, jakby mrowie, zdepcze?

Kędy jej szal zarechocze, cóż, że przepaść przed braćmi i przyjaciółmi się otworzy?

Kędy jej oszczep śmignie, cóż, że w serce chociażby rodzicielki twej ugodzi?

I cóż z tego, że wulkan w chwili dzikiej rozpusty lawą żygnie, miasta i wsie nią zalewa, a nowego życia spragnione łono ziemi w macicznych konwulsjach drży i trzęsie się i marny płód swój grzebie pod gruzami marnego jego tworu?

Wulkanem i trzęsieniem ziemi ma być miłość twoja:

twarda, żelazna, nieugięta, nie znająca ni praw, ni przykazań.

Tak mówił Szatan, a zgodnym chichotem odpowiedziała mu dusza moja.

Tu przeokropna męka zmogła duszę moją, a gdym się obudził, ujrzałem Cię, siedzącą u progu namiotu, oczy Twoje wlepione w jakąś dal, — a Twoja dusza błądząca w przestworach, a ciało Twoje obce, jakby do Ciebie nie przynależało.

Może chwile, może godziny całe, a może dni całe stopiły się w mej pamięci tak, jak topi się z sykiem blok kruszczu, rzuconego do pieca ognistego — pomnę tylko, jak ręka Twoja drżała w mojej, jak Twoje serce biło w takt mego burzą, pragnieniem, grozą, lękiem.

I już rękę wyciągnąłem, by pod wściekłym sierpem mego szału padło bogate, tak upragnione żniwo, a nagle:

Abell

A miałem ci ja Abła w mej duszy—och bracie mój ukochany!—nosiłem go w sobie, gdyby przybytek Pański, w którym się dziwy najtajniejszych sakramentów dokonują, korzeniami odwiecznego Bytu Jessy rozrósł się we mnie, wypełnił każdą szczelinę mego Istnienia, a jam wyrwał to drzewo z siebie, zburzyłem przybytek Pański, bo inne i potężniejsze śluby zawarłem z Tobą, dla których żaden Bóg jeszcze sakramentu nie stanowił.

Zerwałem się.

Jeszcze po on czas w duszy mej Judasz nie był się narodził.

Dusza ma krwawiła z tysiącnych ran, bom wyrwał z niej korzenie Jessy, dusza moja była jednym rumowiskiem, rozwalonym ołtarzem po dokonanej ofierze całopalenia—a Panem moim i Bogiem był Abel—poszedłem ku niemu i rzekłem:

Wybacz mi, jam umiłował oblubienicę Twoją — przecznie nie będziesz gwałcił jej Twoją miłością, kiedy skrzydła jej tęsknoty wokół mnie były, a nasze ręce, co

się tysiąckrotnie gubiły, błądziły, znowu się odnalazły, jak nam było od Początku przeznaczone.

A Bóg Twój grzmiał gniewem i siał piorunami i mówił—że nie będziesz miała innych Bogów przed Nim.

I ja, Kain, zabiłem Abła.

Twardo, żelazno, nieugięcie.

Hej burzo, burzo, co drzewa z korzeniami z ziemi wywracasz, czymże ty jesteś, gdy cię zrównam z piekłem, jakie szaleć jęło w duszy mej.

Trąby Sądu Ostatecznego, czymże wasz ryk wobec grzmotu Boga:

Kainie! gdzież jest brat twój?

Gdzieś na zachodzie rozlała się straszna łuna, jak gdyby słońce pękło, przysły obręcze, jak dziś—jak dziś—a straszliwy żar lał się po niebie, kipiał warami, ściekał ognistą lawą po niebie, jak dziś—jak dziś, tryszczał odmętami ognia, a głęboko, aż het poza południe lizały krwawe języki ognia czarną otchłań nocy — jak dziś — jak dziś —

a potem wszystko zgasło.

Przeżyłem dziwy i strachy, co włos mi pobielili, lęk wprawiał w straszne drgawki me członki, dech w pierśiach się zapierał.

W dzikim pędzie biegłem przed się, co krok wywracałem się o korzenie, sterczące ponad ziemią w kształt żebr przedpotopowego stworzenia, pługiem na wierzch ziemi wyranego, spojrzałem w górę: ślepił mnie straszny blask gniewu Bożego — padałem na twarz—leciałem w czelustne przepaście bez końca, bez końca...

W tym strasznym pościgu sadziłem, jak zwierzę, oszczepem ugodzony, przez rowy i kanały, zapadałem po szyję w błotach i trzęsawiskach, z jednej turni lęku rzucałem się na oślep poprzez dzikie przepaście na drugą straszniejszą i boleśniejszą!

Przed czym jam tak uciekał? I dokąd? Gdzież nóg mych ostoja, gdzież strasznych mych myśli spoczynek? Cel, do którego gonię — gdzież?

Abell! Abell! Twa straszna zemsta. Jakim-że ślad-

kim wyzwoleniem byłaby śmierć dla mnie na on czas! Mogłoby być słodszy dotknięcie pieszczącej ręki, jak miazdzący piorun Twojej wścieklej maczugi?

A gorętsza pieszczota nad jedno pchnięcie, któreby mnie w odmetne przepaście zwało?

O srogi kacie! Na każdym kroku stawiałeś śmierć przed moimi oczyma, a naścież otwierałeś furtkę, przez którą w śmiertelnym strachu przed nią uciec zdołałem, płatałeś nogi me w zdradzieckie sidła, na gardło tysiączne pętlice zarzucałeś, by już—już—w ostatniej chwili—mnie, tysiąc razy umarłemu—tysiąc razy piekielne męki śmierci przeżywającemu, jeszcze drogę ratunku ukazać...

Śmierci, śmierci, wołałem—a tyś sztydził: żyć będziesz, po wszystkie wieki żyć będziesz, Kainie!

Niewyczerpanych mąk drogę przebędziesz — a męczarni twych końca nie będzie.

Umilkł człowiek, a u nóg jego płakała niewiasta:

Abla, Abła widzę przed sobą.

W czarnych nocach wyrasta przed moimi oczyma, jak straszny słup ognia, dusza ma zda się wyłaniać ze mnie i błądzi w jego ślady po zawrotnych wyżach, z których każde spojrzenie w dół mózg w kotłujący zamęt wprawia, po grzązkich trzęsawiskach, na których krok każdy otwartym jest grobem, po upiornym cmętarzysku wieków, z którego zewsząd wyciągają się ku mnie rozpaczne ręce, co krzyczą pomsty, zieją nienawiścią, straszą mękami, jakich żadne piekło wymyśleć nie jest zdolne.

Jak błądy upiór klęczy na mych piersiach, obejmuje mnie żelazną obręczą swych ramion, dławi mnie, dusi, zatrzuwa jadem krew moją, oplata mnie ohydny uściskiem oślizgłych węzów, a swym strasznym wzrokiem przepala mą duszę, aż do dna.

Tu wziął człowiek niewiastę w swoje ramiona, tulił ją gorąco do piersi i szeptał jej słowa zaklęcia.

Czymże mi Abel wobec tego szczęścia, żem Cię posiadał?

Tysiąc Ablów zabiłbym, gdyby mi Cię wydrzeć chciano.

Odetchnął głęboko, a oczy jego zaszyły bezmierną tkliwością.

Ukochana!

Jak promienne gońce wschodzącego słońca Twoe włosy, jak przedziwna róża, rozkwitła w blasku jutrz-nianego światła, Twa czysta twarz, cicha i taka przejrzysta; w oczach Twoich mieni się ma dusza, z Twoją skojarzona w niepojętej chwale i mocy, a przez splecione nasze ręce rozbiega się w żyłach naszych w spienionym rozpędzie gorący prąd miłości, która sama jedna jest życiem, początkiem jego i końcem.

Byłaś słodką, jak grono w południe parnego lata, błogosławiona ręka moja, że je zerwała.

Byłaś harda i niedostępna, jak mur żywopłotny, błogosławiona wola mej miłości, przed którą się ugięłaś.

Niech się święci me miłosne pragnienie, pod którego sierpem padło giętkie żniwo Twego lata.

I ja, Kain, którym Abła dla miłości zabił, rozparłem się mocny i szeroki w świat cały i krzyczę:

Kocham cię, kocham!

Bito mnie, oplwano, chłostano wzgardą i przekleństwem, wypalono na czole mym krwawy, nie bliźniący się znak zdrajcy i zbrodniarza — w poprzek mej drogi rzucano mi kłody pod nogi, bym się za każdym krokiem z nóg zwał, a ja płaczę w wielkim szczęściu uniesienia.

Kocham Cię, kocham!

Gdyby kojąca poświata niewypowiedzianej mocy i radości, rozlała się w duszy mej ta święta łaska, żeś moją —

Gdyby słup dymu ofiarnego, wyrosła w niebo potęga mej miłości, moc moja, którą jesteś Ty!

Archaniele!

Z raję nas wygnałeś, a jam nowy stworzył, potężniejszy, niebo i ziemię ogarniający.

Świadomością stworzyłem rozkosz, skojarzyłem ją

z bólem i cierpieniem i spotęgowałem ją tysiąckrotnie, płeć moją rozlałem w tysiączne koryta, aby cały prześwół wypełniła i gorącemi strumieniami użyźniała mózg mój wszechwładny. W każdy instynkt, w każdy odruch wlałem kipiący war namiętności, by czyn mój do ogromu boskiego czynu wznieść się był zdolny, a każde uczucie, każdą myśl moją przepoiłem żywym ogniem woli i pragnień, by dusza moja, wyteżona w przyszłość rodzaju ludzkiego i jego wieczność, w niezmówionej swej potęgze żyć mogła.

Stworzyłem sobie rozkosz czynu, rozkosz tworzenia, rozkosz w niebo krzyczącego uniesienia, gdy duch ludzki z Bogiem się brata.

Rozerwać nas chciano, a jam przerwał zapory, w bezbrzeżu mej miłości zlałem się z Tobą w nierozdzielalną jednię, w jeden, jedyny świat, który jest nami, w jeden niepodzielny, jeden, jedyny jeden.

Bo nic niema we mnie, coby nie było Tobą, nic w Tobie, coby mną nie żyło.

A gdy krew ma ku Tobie bije i ukropem w Twych żyłach się rozlewa — gdy łono Twe z krzykiem rozkoszy drży i płonie, gdy twarz Twa, oblana lśniącem strumieniem włosów, rozchylonemi usty zda się zamierać w rozkoszach wniebowzięcia, gdy straszna potęga miłości mojej ogarnia Cię całą, że płoniesz w jej ogniu i stapiasz się w jej żarze w to Jedno, jedyne, co jest mną i Tobą razem, żaliż wtedy potężniejszego, rozkoszniejszego raję wam trzeba?

A zrozwadzona lkała niewiasta:

Pragnę zatonać w odmęcie rozkoszy, pragnę duszę spławić w słońcu naszej miłości, by była czystsza od Hyzopu, która wszystkie winy zmywa, — już, już bliźnią się rany, koi się krwawy ból winy —

A nagle jakiś wściekły harpun wbija się w me serce, szarpie je na kawały:

Kainie, Kainie — cóżeś uczynił?!

Wtedy wstrętną staje mi się Twa pieśczęta, obmier-

zły Twój uścisk, dusza ma odrywa się w straszliwej męce od Ciebie, by znowu z boleśniejszą rozkoszą jeszcze tulić się do Ciebie, tęskniej i rozpaczniej obejmować Ciebie i szukać ostoji, ratunku dla mego rozpaczego oblędu.

Kainie, Kainie, krew brata twego splamiła łożę nasze i woła o pomstę!

Opętany taniec miłości i nienawiści szaleje w mej piersi, wchłaniam Cię w siebie i wypływam, kocham Cię, boś ogień miłości we mnie rozniecił, i nienawidzę Cię, boś mi ją zbrodnią splugawił.

Och, nie patrz na mnie temi strasznymi oczyma. Ból w nich skamieniał. Dziki szal męki od mojej rozwarł Twe źrenice — chodź — chodź — kochanku mój — w żarach pieśczęty, w piekle zmysłów, w stopieniu się ciał i dusz naszych:

Zapomnijmy, zapomnijmy!

Zapomnąć?!

Ja, ja?!

Tysiąc razy marłem, tysiąc razy wracałem.

Chryste! Chryste!

Jego słodkie oczy!

Oczy jego były — och, jak Ci to powiedzieć? Jego oczy przenikały wskroś — zda się, że nie było tak grubego muru, którego by nie przeszły, nie było tak zatwardziałej duszy, która by się w ich boskim blasku nie stopiła, i nie było serca, które by jego tętnem nie biło, rozgłośnym echem nie krzyczało: Twój jestem, o Panie.

Jak pies przywarłem do stóp jego, z jego oczu ssałem miód najprzedniejszy wyzwolenia, odkupienia krwawej mej winy.

Każde słowo jego było mi najrozkoszniejszą pieśczętą i zadatkami i poręką życia na łonie tego, który był, jest i będzie...

Magdalo, Magdalo!

Widziałeś mnie wtedy?

Gdybym Cię nigdy nie był ujrzał!

Zbawiona byłaby dusza moja, ukojone i z grzechu
bratobójczego wyzwolone serce moje...

Zamilkł.

Tak ciężko nie zwalił się jeszcze żaden szczyt gór
w doliny, jak głowa jego na ciężko rozpięte, żelazne
palce rąk. Ugięły się pod jej ciężarem, zwalił się na ko-
lana. Osunął się na ziemię.

Judaszu! Judaszu! krzyczała niewiasta.

Brata zabiłeś! Odkupiciela sprzedałeś—

Gdzież mój raj, gdzież wybawienie?

Ocknął się, spojrzał zimnym wzrokiem dookoła, zim-
nym, zdziwionym wzrokiem, jakby się dopiero co po lat
tysiącach obudził.

Kain?! Judasz?!

Aha! pomnę, pomnę!

Pokaż mi trawę, po której stapały nogi jego, bym
zdźbło po zdźbło mógł ucałować, pokaż mi odciski stóp
jego w lepkiej glinie, którą kroczył, bym mógł do niej
przywrzeć ustami i sycić się nią w świętej, zbożnej roz-
koszy:

Magdalo, Magdalo!

Nie idź tam, Mistrzu, krzyczało serce moje. Ale
nie śmiał tego w głos powiedzieć.

Jeszcze Cię oczy moje nie widziały, a już oddycha-
łem zapachem Twoich splotów, widziałem gibką wiklinę
Twych członków, pieściłem drżącymi rękoma Twe biodra,
obnażałem Cię do naga—moją świętą, piękną, najśłodsza
Kochankę...

Chciałabys mi teraz bluznąć w oczy przekleństwem,
wpić rozpaczą pijane ręce w moje ciało...

Ha, ha, ha!

Och, jak piękną byłaś, kochanko Ty moja!

Mówić Ci o tym?

Nie, nie!

Tys zmarła razem z nim. Obrzydły Ci jestem
i wstrętny.

Wiem, wiem!

Przywarłaś do Jego grobu. Razem z Nim wniebo-
wstąpienie odprawiasz—

Ale teraz słuchaj mnie, słuchaj!

Schwycił jej ręce—a ona z szeroko rozwartymi oczyma
słuchała—

I już nie mówił, ale syczał, lkał, wierzgał głosem,
gdyby wściekły ogier stalowymi kopytami.

Tysiące słów zgubiło się w mgle i pomroce. Gdy
ocknął, posłyszał wreszcie swoje słowa:

A straszną była ta chwila, gdyś przykucnęła u nóg
Jego, wonnemi olejkami je namaszczałaś, strumieniem
Twych złotych włosów je obcierałaś.

Magdalo! Magdalo!

On, zapatrzony w cuda odwiecznych tajemnic—
rozmawiał z swym Bogiem—nie widział Cię.

Ale moja dusza skreśliła się w strasznym skurczu
ból, gdy widział, jak złotym jedwabiem Twych wło-
sów ocierałaś Jego nogi, jak usta Twe gorącymi całunki
spoczywały na miejscu, przez które niezadługo rdzawe,
długie, jak palec szerokie gwoździe przedrzeć się miały,
przez te wązkie, piękne, białe stopy Boga!

Magdalo! Nie całuj tych stóp! Nie całuj—krew
mi oczy zalewa—a w strasnej krwawej poźodze, w jakiej
świat cały mi płonie, sterczy krzyż!

Teraz przyłgnęłaś całym obliczem do Jego stóp,
owinęłaś nogi Jego wężami Twych złotych splotów—Tys
zapomniała, że On Bogiem, że On Ciebie nie widzi—jak
łasy kot pieścisz Jego stopy i całujesz—w obie ręce uję-
łaś Jego białe, piękne stopy—nie czyn tego, Magdalo, nie
czyn—piers twa naga się wzdęła—pręż się Twoje ciało—
dreszcz przebiegł przez Twój grzbiet, ściągnęły się mię-
śnie twych bioder—zaprześć, Magdalo—zaprześć—

Przeć nie widzisz, że wzrok Jego ziemi odbiegł—
przeć nie czujesz, że martwe ciało obejmujesz—dusza
Jego z Bogiem rozmawia—dawno już odleciała.

Nie łaś się—nie kuś—nie kuś Boga!

Ha, ha, ha!

Jak dziecko, tkliwemi oczyma spozrzał na Ciebie i uśmiechnął się tym nieskończeniem cichym uśmiechem Baranka Bożego, co niezdługo ofiarą swą grzechy wszechświata ma zmazać.

O Siostró moja!

Siostra?

O widzę Cię, widzę!

Nigdy straszniejszy policzek nie spotkał niewiasty, w grzechu i rozpuszczeniu poczętej, nigdy obelżywsza zniewaga.

I już, już z szatańską rozkoszą czułem, jak się rzuca na Niego, z oczu Twoich przysły błyskawice znieważonych pragnień — dziki tryumf zawrzał w mej duszy — a nagle — nagle... jak piorunem rażona padłaś u nóg Jego — usta Twe zbieleły — ciało Twe jęło się kurczyć, lzy tryśnieły z oczu Twoich.

Odkupicielu! Odkupicielu!

A ostre światło żrenic Jego przedarło jasnym piorunem ciemności mej duszy — zrobiło w niej straszną światłość, uczułem się nagi tak straszną nagością, że zdało mi się, iż całe piekło wstydu mnie spali.

Wyszedłem.

Magdalo! Magdalo!

Słyszę, jak mnie pyta:

Czemuż mnie unikasz, Judaszu, czemu oczy twe wgrzebane w ziemię, czemuż posowiały twe mądre oczy i jakoby bielmem zaszyły, czemu przez noc jedną *posiwiały* włosy twoje, a grzbiet twój przygarbiony, jakoby był w jarzmo wtłoczony?

Szyderstwem, niegodnym Boga, zdały mi się te słowa, krew mi buchnęła do głowy, a język mój, co zda się już przysechł do podniebienia, rozwiązał się nagle.

Serce niewiasty, które było moim, skłoniłeś ku sobie Panie — duszę jej omotałeś niewidzialnymi niciami Twej bożej potęgi.

Tu przerwał mi szal mej mowy Jego zdumiony, tak przerażająco mądry, tak do kości i nerek przenikający wzrok.

I odtąd już nie mówiliśmy razem.

Jak cień, wlokłaś się za Nim.

O Magdalo! Magdalo — nie czyń tego!

Szatanie-Magdalo, odczep się od Syna Bożego!

Aż onej chwili — nie — nie — nie!

Całowałem go, Magdalo — nie — nie — nie!

Mistrzu ukochany — szeptałem — nie, nie, nie! Magdalo nie!

Och, och! Ty u stóp krzyża Jego, a teraz ze mną!

Ze mną, Magdalo, ze mną — od stóp Odkupiciela oderwałem cię — ja — Kain, Judasz Iskarjota — na wieczną Mękę, wieczne Potępienie, wieczne Razem i Rozłąkę, wieczne Jedno i Rozterkę!

Szatanie, szatanie — ku pomocy!

Bracie mój jedyny, Ty promienisty, wielki Panie, ongi z raju wygnany, boś chciał się z Nim mierzyć, z Nim równać Twą mocą, Ty pięknoscią najprzedniejszą, światło noszący —

Bądź przy mnie!

Uciehł. Bo oto nagle spozrzał w oczy Archaniola.

A wielka moc biła od miecza jego. Oczy jego przeżywały nawskroś serce człowieka, lica jego przybladły, a niewidzialne pioruny jego gniewu waliły się wokół, gdyby gwiazdy, pozrywane w ciemne przepaście.

A szatan przykucnął na brzegu skały onego głazu, co sam jeden pozostał świadkiem przedpotopowych szarów, wlepił oczy w straszny pożar raju i już się nie śmiał.

Ujrzał brata swego Archaniola i mierzył go zdziwionym, hardym wzrokiem.

Ja Kain, ja Judasz, ja, odziany mgłą i chmurą dymu moich ofiar, co mnie więcej od Boga pokochały, ja, którym z Bogiem ucztowałem, a w ciemnych zaułkach Ogrójca całowałem bladą twarz Jego i mówiłem Mu, że go nade wszystko ukochałem — ja urągam dziś twej archanielskiej potędze. Ja sam ten raj stworzyłem, sam kazałem się z niego wypędzić, by zmierzyć potęgę mej miłości ogromem cierpienia, wyolbrzymić jej moc ponad siłę Życia i Śmierci.

Ha, ha!

Ja nie łaknę Twoich rajów—mój Raj we mnie i przy mnie...

I nagle rozwarła się przed jego oczyma straszliwa jasność.

Jakby nagle a ciężka błyskawica rozdarła grubo stłaczające się ciemności obrywających się chmur.

Szatanie—oszukałeś mnie!

Przedziwną siatkę zdrady usnułeś dla mnie, a jak potworny pajak, czuwałeś, rychło-li ja, biedny komar, w sieć twoją wpadnę.

Wszczepiłeś w duszę naszą żar pragnień, jad namiętności, bystrze i podstępnie zasadziłeś rozkoszne drzewo miłości, co złe i dobre rozeznawać daje, co oczy na moc twoją i potęgę rozwiera...

Podstępny Szatanie!

Zdradą nie dozwoliłeś zrównać się z tobą, usidliłeś duszę moją krwawym znojem ślepca, co daremnie sili się światło oglądać.

Miłością, miłością oślepiłeś mnie!

I z tego, czymbyś mógł dorósć do ogromu twojej siły, zrobiłeś grzech i zbrodnię?

Przeklęty, przeklęty!

Nie stać cię było, ciebie, wszechmocnego wodza strąconego hufów nieprzeliczonych, na inną siłę, niż na podstęp i zdradę?

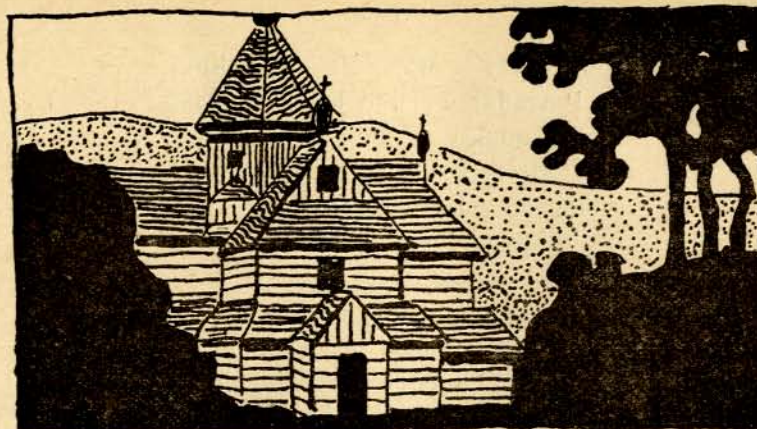
Powtórz, powtórz słowa, któremi rodziciele moich zwiodłeś — ty zły, ty podstępny i marny Szatanie!

Odpowiedz mi!

Milczysz? Ha, ha, ha! Szatan mnie opuścił, więc teraz zwracam się ku tobie, Archaniele, i tobie, pachol-kowi kata i ślepemu narzędziu kłamcy—błogosławię ci!

Wieczność całą zmagaly się ich oczy w ciężkiej walce, ale z niczym nie da się porównać moc Tego, który był, jest i będzie.

A Szatan wił się z bolesnego śmiechu, a u stóp człowieka łkała niewiasta w piekielnej męce, a Archanioł: grzech, piekło, zbrodnia — stał na straży.



An.Tab.

WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI.

Е@НА.

(Ciąg dalszy).

IV.

O morze ciche, morze szumne,

Zielone, modre, lazurowe,

Uległe dzisiaj, jutro dumne,

To samo wciąż i wiecznie nowe...

Czy komu fale twoje rzekły,

Co szum ich mówi, co — huk wściekły!

W objęcia twe, niby w ramiona

Kochanki, rzucam się z rozkoszą.

Pierś swą do twego tulę łona, —

O czar twych pieszczot zmysły proszą,

Twe fale szumią, płaczą, grają,

Twe pocałunki upajają...

Poznałem cię. W twój szum wsłuchany

Przebyłem wiele dni i nocy.

Tys lekiem — mówią — na serc rany,

Na ból tęsknoty i niemocy

Dusz, pokrwawionych w strasznej walce

Przez zbrojne w szpony życia palce.

Ach, czy i z mojej duszy głębi
Potrafisz wyrwać jad zwątpienia,
Co się gdzieś na dnie burzy, kłębi
I kirem życia znów ocienia,
Snując przedemną wśród żaloby
Najbliższych moich trumny, groby?

Widzę twą falę niezmaconą,
Łagodną, cichą, jak kochanki
Pieszczota pierwsza... Fale płoną
W słonecznych blaskach. Jednej pianki,
Zmarszczki najmniejszej nie dojrzycie
Na ich przezroczu i błękiecie.

To — jak lew w klatce, ryczy morze,
Jak lew więziony, tak się miota.
Na brzeg we wściekłym prze naporze,
Jak gdyby gnała je tęsknota,
Podobna tej, która z pustyni
Króla — szalone zwierzę czyni.

Kto widział lwa, kiedy się rzuca
Z rykiem na klatki pręty twarde,
Jakby poszarpać chciał swe płuca,
Jakby chciał w oczy ból i wzgardę
Pluć gnębicielom, co za kratą
Z uśmiechem miłym patrzą na to.

Kto widział morza ugrzywiony
Łeb, szturmujący o brzeg skalny,
Słyszał bałwanów ryk szalony
I huk, jak z armat w bitwie walnej,
Ten — chce, czy nie chce — przyzna snadnie,
Że w tym obrazie sens jest na dnie.

Poznałem morze, gdy w nim krwawo
Słoneczny krąg zanurza głowę,
Widziałem nad nim gwiazdy ławą
I srebrne rogi księżycowe,

I świt, gdy kładł różane puchy
Na sine włoskich gór łańcuchy.

W złoto-różowym tym przedświcie
Widziałem wędrujące łodzie,
Jak duchy, które w snach swych śniecie,
Snujące się po srebrnej wodzie...
Zaklętym państwem świat się zdawał:
Świt, góry, łodzie, srebra kawał...

Zbratałem z tobą się, o toni,
Po brzegu błędząc lub pokładzie,
Z pragnieniem w piersiach, z żarem w skroni,
Z myślą, ach — z myślą o zagładzie
Wśród życia szarych, nędznych zdarzeń —
Tęczowych gmachów złudzeń, marzeń...

Na morzu i na brzegach morza
Duch jednak wzbijał się do szczytów,
I pokochałem was, przestworza,
Granatów pełne i błękitów.
I znam, i kocham was, o fale...
Ach, znam — i razem nie znam wcale!

Tajemnic waszych, cudów, czarów
Nie zdoła oddać żadne pióro,
I próżnym zda się wszystek żar ów
Poetów: czar wasz zawsze górą...
Jeden lord Byron... Lecz z pieśniarzy
Nowych któż mierzyć z nim się waży!

Przechodząc z hymnu do powieści
(Dziwna to powieść — mówcie śmiało —)
Bez bohatera i bez treści,
Lecz cóż poradzić! Już się stało...)
Przechodząc tedy — o podróży
Morzem dam rozdział niezbyt duży.

A potym Egipt, Nil, świątynie,
Sfinks, przedwiekowy stróż piramid...
To wszystko w strofach mych popłynie,
W tej formie, która, jak aksamit,
Pieściła słuch mój, kiedy z pańska
Kreślił ktoś podróż swą do Gdańska...

Ten „ktoś” — to Gomulicki Wiktor.
Wraz z Konopnicką i Asnykiem
Na straży piękna stał, jak liktor.
Nie dał się zgłuszyć „trzeźwych” krzykiem,
Co o poezji twierdzić śmieli,
Że na grobowej spi pościeli.

Nie byłem nigdy w Gdańsku, chociaż
Znam Kair, Luxor, Teby.

Konstantynopol... Dziwny psociarz
Ten los! Wart plag egipskich, żeby
Po morzach, lądach tak mnie włóczyć,
A swojskich rzeczy nie nauczyć.

Chociaż i swojskich kątów sporo
Zwiedzałem, brnąc po kraju, pieszo,
W wędrówkach lecząc duszę chora.

Od dziecka zmiany miejsce, mnie ciesza
Wyżej już zresztą mowa była
Jak dla mnie podróż każda miła.

Kto dużo widzi, trzykroć żyje
I całą pierśią życie chłonie,
Nie dospi może, nie utyje,

Lecz — przebiegając góry, tonie
Mórz lazurowych prując w trudzie,
Przyzna: świat piękny, brzydzący — ludzie.

(— ośmiem słowom —)

W Triescie-m czekał tydzień blisko
Na miejsce wolne na okęcie;
Jesień — okropne, dnie, wiechrysko...
Bora się zwięta przedsięwzięcie

Wietrzne, o którym każdy powie,
Że... że współczuje Triestowi.

Pamiętam, podczas takiej bory
Do Miramare brzegiem morza
Szliśmy. Mój Adry, łobuz spory
Lat pięciu (młodsza łaska boża)
W tym wichrze, mimo drogi czary,
Wołał: „Już nie chcę Imarary!”

Doszliśmy jednak... Zamek biały
Smutno na stromej zawisł skale.
Wdali cyprysy gdzieś czerniały,
O skały z hukiem biły fale.
Pięknie, lecz smutno tam... Gdy znana
Zwłaszcza historia zamku pana.

Dalekiej ziemi narzucony,
Tyrana jał odgrywać rolę.
Pod kule poszedł z objęć żony
I leżał z kulami w bladym czole —
Postrach tyranom! Dziś z pomnika
Wzrokiem przestworza wód przenika...

Tak więc, w krainę gdzieś nieznana
Zagnany, z Napoleona winy
Zgasł Habsburg... Właśnie jego miano
Ma okręt, w którym przestwórz siny
Morza w jesienną, chmurną porę
Prujemy. Dzieci, trochę chore,

(*Mal de mer*) pędzą czas w kabinie.
Ja po pokładzie tam, z powrotem
Chodzę i topię wzrok w głębinie,
A przeszłość do mnie wspomnień złotem
Błyska, dalekich wspomnień czarem
Upaja, niby winem starem.

Ach wiem, że kiedyś przez te wody,
Do tegoż portu, tejże ziemi

Egipskiej, płynął Juljusz młody
I sekstynami czarownemi
Pisał, być może, „Podróż Wschodnią“,
Której wpływ — moją ma być zbrodnią.

Tę zbrodnię biorę na swe bary.
Niech tam! Wyznaję dziś otwarcie,
Że wielbię pieśni jego czary,
Żem zakochany w każdej karcie,
Na którą, niby Atalanty
Jabłka, siał złoto i brylanty.

Choć z drugiej strony wspomnieć muszę,
Że strofy me — to serca spowiedź,
Że w nich wam własną daję duszę...
Twierdzisz inaczej? Proszę — dowiedz,
Lub szczerze powiem ci, kolego,
Żeś, jako krytyk, do niczego...

Słowacki... Jego wielbicieli
Krag z każdym rokiem dzisiaj wzrasta.
Lecz — nim pieśń jego wyanieli
Zjadaczów mięsa, wina, ciasta,
Niejeden Tretiak tam, w ojczyźnie,
Na tęcze jego błotem bryźnie.

Choć dajmy pokój Tretiakowi:
Dosyć się zhańbił sam w swym dziele.
Niech je czytają ludzie zdrowi,
Zrównoważeni, niech im wiele
Da wrażeń, niech im będzie miłem...
Co do mnie — już je w piec wrzuciłem.

I wracam znowu do podróży
W świat sfinksów, palm i pomarańczy.
Nikt z nas nie zajrzał w oczy burzy,
Lecz pod Brindisi okręt tańczy,
Jakby dzban spory łyknął wina.
Podróżnym zrzędła gęsta mina

Na tę okrętu niestateczność.
Dwie damy jęczą gdzieś w kajucie,
Jakby już płynąć miały w wieczność.
Słyszac chrzkanie, czkawkę, płucie,
Rad tylko kucharz, że oszczędzi
Z obiadu, co już w kuchni swędzi.

Lubię obiady na okręcie...
Podróżnych grono stół obsiada,
Gwar, śmiech, tak łatwo o zaczęcie
Flirtu... Z sąsiadek każda rada,
Gdy jej przysuniesz sól lub wino.
Francuzki zwłaszcza przytym słyna

Z gadatliwości, którą darzą
Sąsiadów chętniej, niż sąsiadki,
Trzepocząc się pod mężów strażą,
Jak ptaki, wypuszczone z klatki;
Angielki — z zębów dużych nieco,
Włoszki ze skier, co z ócz im leczą;
Z okragłych, pulchnych kształtów Niemki.
Jedna z nich była mą sąsiadką,
Lecz, chcąc uniknąć prędkiej drzemki,
Zmieniłem miejsce. Polkę rzadko
Na morzu ujrzysz wśród podróży.
Gdy jest, ma postać cudnej róży...

Jak stare wino, technienie działa
Południa... Znowu księżycowa
Noc. Całe niebo od gwiazd pała.
Na ustach zamierają słowa...
Uspokojone morze dyszy.
Płyniemy w bezmiar, pełen ciszy.

Płyniemy w błękit, unoszeni
Przez prąd bezbrzeżny, granatowy.
Podróżni błędzą, na kształt cieni.
Srebrzy nam blask księżyca głowy.

A za okrętem długa, długa
Srebrzysta, jasna ciągnie smuga.

Tam Adrijatyk gdzieś za nami
Dąsa się jeszcze i mamrocze
I gryzie brzeg bałwanów kłami.

Nas niosą w przestwór te urocze
Śródziemnomorskie dumne fale,
Którym już wierni będziem stale.

A naprzeciwko, hen, z daleka
Wietrzykiem ciepłym tchnie zaranie:
To afrykański ład nas czeka
I ciepły powiew na spotkanie
Śle. Ten upaja i zachwyca,
Jak pierwsza miłość — cud-dziewica...

V.

Minęło cztery dni podróży.
Minał i piąty. Noc zapadła.
Na niebie księżyc srebrny, duży
Znów świeci. Znowu, jak widziadła,
Błądzą podróżnych grupki ciemne,
Westchnienia w bezmiar śląc daremne.

Cisza dokoła. Tylko warczy
Maszyna, tylko pluszcze morze.
Nasz „Habsburg“ orla ma na tarczy
I dumnie pruje wód przestworze,
Jak orzeł, gdy śmiałymi loty
Ku słońcu zmierza w przestwór złoty.

Lubię na morzu dni bez chmury,
Gdy, jak rubiny i opale,
Godne królewskie zdobić córy,
Blaskami w słońcu grają fale.
Na falach — łusk tęczowych krocie,
Drżą, jak szafiry, w płynnym złocie.

Lubię zachody złoto-krwawe,
Gdy w wód objęcia, niby róża,
Jak na pieśczętę lub zabawę
Miłosną, słońce skroń zanurza,
A z drugiej strony księżyc błądy
Swą twarz wychyla już na zwiady.

Lecz ponad zachód, wschód, południe,
Wolę na morze patrzeć nocą,
Gdy miesiąc maszty srebrzy cudnie,
Wyżej — tysiące gwiazd migocą,
Ja — przed bezmiarów tych obliczem
Czuję, żem prochem jest i niczem.

Taka miesięczna, srebrna, cicha
Była na statku ta ostatnia
Noc... I znów morze szemrze, wzdycha,
Jak dusza blizka, krewna, bratnia.
Księżyc... Tysiące gwiazd ze złotem
Wejrzeniem... Dość mówiłem o tem...

Było mi dobrze, chociaż smutno...
Smutne jest wszystko, co się kończy.
Sam wyraz *koniec* ma okrutną
Postać i w czarnej się opończy
Zjawia, na białym pędzi koniu,
Jak widmo po cmentarnym błoniu.

Dla mnie skończyło się już tyle...
Tyle złud wicher porwał w szmaty,
Najbliższych garść już śpi w mogile,
A każdy dzień przynosi straty
I od młodości wciąż, jak fala,
W nieznana przyszłość mnie oddala.

Młodości moja! Byłaś kwiatem
O złotych barwach, cudnej woni,
Co zakwitł wcześniej, zwiadł przed latem,
Zduszony w twardej losu dłoni.

Dziś—wśród zawodów i cierpienia
Schnie bez owoców i nasienia.

Młodości moja, złota maro,
Pełna nadziei, walk, uniesień,
Gdy przed strzaskaną twoją czarą
Stoję, przed sobą czując jesień,
Co już otwiera mi ramiona,
W których — co piękne — schnie i kona,

Lodowacieje, albo ginie,
Nie dziwcie się, że pierś mi tłoczy
Smutek, że łza po twarzy płynie,
Łza, co na chwilę zamgli oczy,
Jak dżdżu kropelka, w morze spada,
Łączy się z falą i — przepada.

Szeregiem długim ciągną mary,
Każda łączy roni w fale słone.
To sny młodości, sny przez szary
Poranek życia rozproszone,
Marzenia, którym sił nie stało
Czynami zdobyć krew i ciało.

Szeregiem długim ciągną cienie,
Każdy zawodzi i w boleści
Złocistych włosów rwie pierścienie.
I setki mar tych przestwór mieści,
Każda — to zamiar niespełniony,
To życia cel — nieosiągniony.

Z mojej, czy z losów, z ludzkiej winy —
Któż na pytanie to odpowie!
Lecz—nie rozpaczam! W bezmiar siny
Przyszłości patrząc, o synowie,
Ku wam się zwracam tu, w tej pieśni,
Z wiarą, że myśl mą ucieleśni

Los, jedną choćby z mar tysiąca,
Bo w niej dalszego cel żywota,

Bo w niej modlitwa tkwi gorąca...

Niechaj ta nie młodości złota,
Którą w mym ręku potargano.
Znów kiedyś wasze złoci rano.

Niech każdy z was ma znów bogatą
Młodość w marzenia i porywy,
Niech ma obfite w owoc lato,
Nie złamie sierpa przede żniwy,
Niech dla współbraci, próżen trwogi,
Z swych własnych snopów wznosi brogi.

Wierzę i wiara ta mnie trzyma,
Do dalszej walki sił dodaje,
Że, nim nastąpi dla mnie zima,
Nim powędruję w owe kraje,
Z których nikt nigdy nie powraca,
Nie będzie próżną życia praca.

W wasze ją młode oddam dłonie,
Ku gwiazdom zwrócę wasze oczy.
Może z was który przebrnie tonie,
Może zdobędzie ten uroczy
Brzeg, do którego ciągle wzdychał,
Co wciąż mnie wabił — i odpychał.

Tych marzeń, o perłowym świecie
Śnionych, na morza cichej toni,
Zrozumieć dziś nie potraficie,
Lecz pieśń doczeka ta, że do niej
Zwróćcie serca swe ciekawi...
Niech was na życie błogosławi!

A jeśli wtedy już w krainie
Nieznanej będę lub uspiony
Snem, w którym każde życie ginie,
To rzucam prośbę z tamtej strony,
Chociaż ją kreślę tu, przytomnie:
Niech wam przypomni pieśń ta o mnie.

I niechaj będzie, jak ogniwo,
 Pomiędzy trumną mą a wami.
 Jeśli zbierzecie lepsze żniwo,
 Niż ja, pomyślcie, że ze łzami
 Tegom wam życzył w świt różany,
 Na wód szafirze ptak zbłąkany...

Jeżeli jednak nie zdołacie
 Urzeczywistnić snow, nadziei,
 Jeżeli — w tej dziewiczej szacie
 Marzeń — do grobu po kolei
 Przed wami zejdą niespełnione —
 Nie mówcie: „Wszystko już stracone!”

Wysiłek żaden tu nie ginie,
 Choć mówią wam, że przepadł marnie.
 Nieraz na marzeń, snów ruinie,
 Zaledwie skończą się męczarnie
 Tych walk nad siły, kwiat wyrośnie
 Z ziarn, rozrzuconych w życia wiośnie.

Nie giną zwłaszcza dla współbraci
 Trudy, złęczone z poświęceniem.
 Choć teraźniejszość nieraz płaci
 Kłatwami za nie lub kamieniem,
 Wysiłki takie, takie ziarna
 Z wdzięcznością chłonie ziemia czarna.

I plon obfity z nich się rodzi
 Na wielki, piękny gmach przyszłości.
 Dziś wyście dziećmi, ale młodzi
 Będziecie, gdy już moje kości
 Zetrą się może w prochy szare,
 Więc pamiętajcie słów tych parę.

Dość już. A teraz dodać muszę
 Słów kilka o wylądowaniu
 W Egipcie, chociaż tym nie wzruszę
 Tak czytelnika, jak w zaraniu

Dni mnie wzruszały w naszej strefie
 Powieści różne o Józefie,
 Jego przygodach, Putyfarze
 Z małżonką, no i innych wiele,
 Których powtarzać się nie ważę,
 Nie chcąc, by jakie paralele
 Złośliwy kto z mych słów wywodził,
 Gdy w moją cnotę — nikt nie godził.

Przytym, jak wiecie, niebezpiecznie
 Dotykać spraw tych. I tak pono
 Za to, że kiedyś niezbyt grzecznie,
 Gdy się zebrało rajców grono,
 Powadze jednej coś odrzekłem,
 Grozą mi czyścem, może — piekłem.

Różany świt, wybrzeża linja
 Dość jednostajna, szara, niska,
 Latarnia morska, co, jak pińja
 Samotna, smutkiem serce ściska,
 Zarysy miasta gdzieś zdaleka —
 Ten widok cię na wstępie czeka,
 Gdy, mym przykładem zachęcony,
 Mimo rozsądnych rad, ostrzeżeń,
 Rodzinne swe opuścisz strony
 I — z jednym z tych gorących wierzeń
 W przeznaczeń gwiazdę, co nie zwodzi —
 Pod Aleksandrią ujrzysz w łodzi
 Sternika (Arab to pół biały),
 Który twój okręt poprowadzi,
 By nie uderzył gdzie o skały,
 I by na zacne łono dziadzi —
 Nie wiem Abraama, czy Mojżesza —
 Podróżnych nie trafiła rzesza.

Sternik, największy pan nad pany,
 Zapija kawę, je sorbety,

Grzeczny, snać dobrze wychowany,
Lecz tutaj w stronę dam „niestety!“
Powiem — żonaty już trzy razy,
Przytym, jak mówią, mąż bez skazy,

O co w warunkach tych nietrudno.
Więc choć ma ubiór malowniczy
I brodę czarną, długą, cudną,
I oczy, lśniące nakształt zniczy,
Flirtować, pani, z nim nie warto,
Chyba, że chcesz być — żoną czwartą...

Minęły wreszcie tej przeprawy,
Trudy. Stajemy. Wokół statku
Łodzi, bark, łódek wąż jaskrawy...
Słyszac wrzask wściekły, myślisz, bratku,
Że nacierają hordy wraże.
Lecz nie, to krzyczą tak tragarze,

A pomagają przewoźnicy.
Barwne zawoje i turbany,
Szaty do kostek (kształt spódnicy),
To znów, jak makiem kłab obsiany,
Czerwonych fezów dwa tuziny,
I wciąż gwar, krzyki, giesty, miny!

Wszystko to razem już odurza
Zdaleka, z morza, cóż dopiero,
Kiedy na okręt, niby burza,
Wpadnie ten tłum. Jak marne zero,
Milczysz, bezsilny, gdy tragarzy
Pięciu twe rzeczy w rękach waży.

W osobnej łodzi kufer znika,
W osobnej tłumek, parasole,
W osobnej któreś z dziatek fika,
W osobnej ty, choć krzyczysz: „wolę
Być z pakunkami i z rodziną“,
Próżno! Ty krzyczysz, oni płyną.

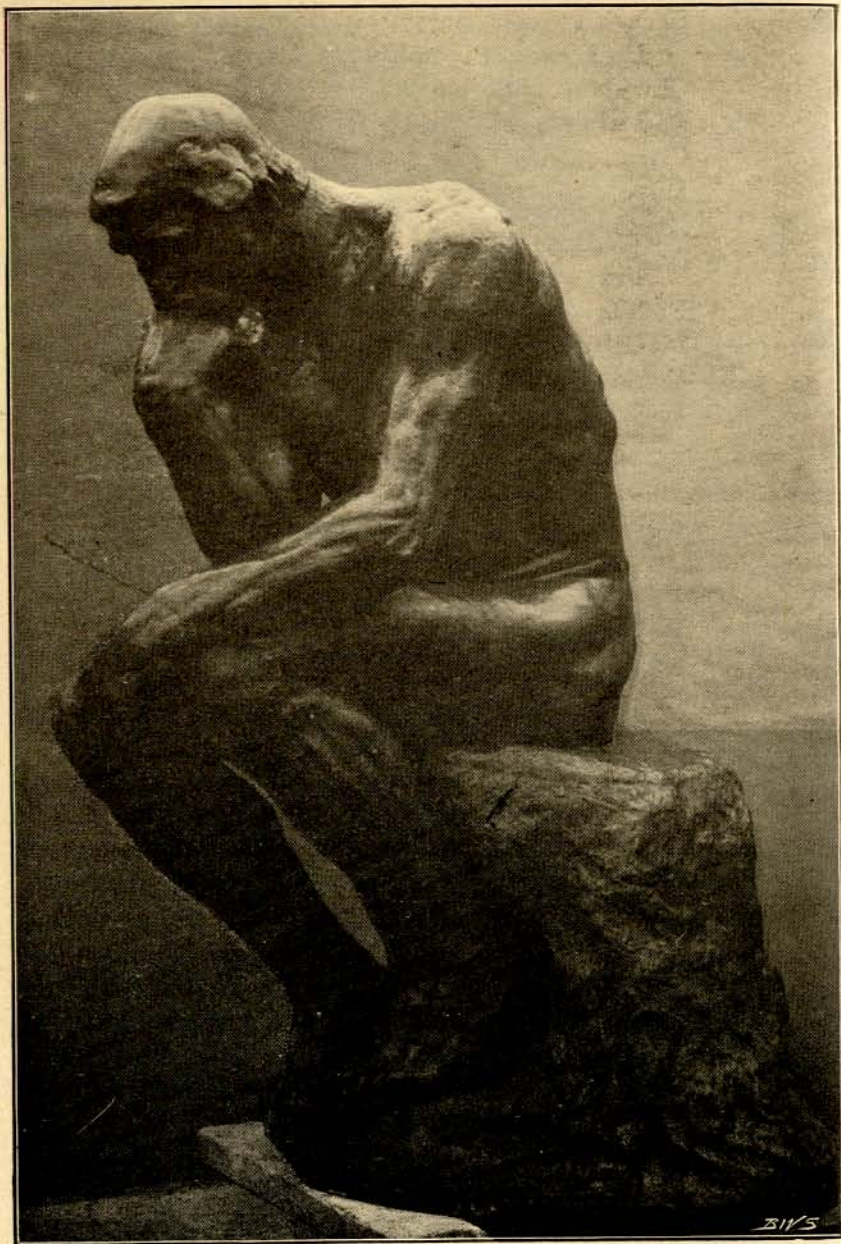
Lecz kres swój mają wszystkie męki.
Do brzegu wreszcie łódź dotarła.
Chwytam egipski piach do ręki
I tłumię łzy, co się do gardła
Cisną... Dziś czulość brzydka wada,
Więc z nią się zdradzać — nie wypada.

Tę pieśń tu wreszcie przerwać trzeba.
Przywiodłem was przez morskie tonie
Pod faraonów jasne nieba,
Gdzie żarem większym słońce płonie,
Gdzie smukłe palmy się kołyszą
I sfinks rozmawia z nocną ciszą.

Do dalszych pieśni już odłożę
Ciąg dalszy. W nich, spoczawszy chwilę,
Na szczyt Cheopsa wejdziem może,
Potym, skapani w złotym pyle
Pustyni, zwiedzim świątyń gruzy...
Powiodą nas — kochanki - Muzy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)





A. RODIN: *Mysliciel*.

JAN KLECZYŃSKI.

Rzeźba współczesna.

(Ciąg dalszy).

III.

Jedną z najpotężniejszych artystycznych postaci swego wieku, jednym z najsamodzielniejszych *poszukiwaczy* w sztuce, jacy istnieli kiedykolwiek — jest August Rodin.

Człowiek ten poświęcił dwadzieścia lat swego życia badaniom, przygotowaniom się do twórczości. Studjował sztukę grecką, pracował, jako prosty kamieniarz, poznając właściwości kamienia, — zanim chwycił się wykonania olbrzymich swoich zamysłów. Jest to pierwszy wielki odrodziciel rzeźby — od wielu, wielu wieków...

C. Maclair w bardzo ciekawym swoim studjum o Rodinie (z książki „Trois crises de l'art actuel“), pełnym własnych cytatach Rodina (co jest zresztą najpierwszą tego studjum zaletą), pisze:

„Rysem zasadniczym temperamentu artystycznego Rodina jest chęć wyrażenia charakteru uczuciowego postaci. Jego sztuka jest *dynamiczną*, nie statyczną. Stąd potrzeba studjowania *ruchu*. Aby ten ruch był wyrażonym logicznie i harmonijnie, trzeba, aby był narysowany ze *wszystkich stron*. Przez studja nad antykami Rodin doszedł do przekonania, że trzeba rysować (rzeźbiarsko) figurę, obchodząc ją wokół, szukając *wszystkich jej profilów* i wiążąc je kolejno płaszczyznami. W ten sposób otrzymuje się *rysunek ruchu*. (Jest to zresztą zasada, znana *każdemu* rzeźbiarzowi.) Znajomość anatomji jest tu niezbędną, lecz nie decydującą, przeciwnie, bywa źródłem omyłek, które mogą zabić dzieło sztuki. Ona wskazuje szczegóły me-

chanizmu, ale nie trzeba zapominać, że „myśl, energia życiowa zmieniają wygląd organizmu“. Rysunek ruchu jest czym innym, niż rysunek anatomiczny“. Wyrazić to życie można przez studia kolejnych profilów—*w świetle*.

Dażeniem Rodina jest więc stworzenie figury „wolnej“, oglądanej ze wszystkich stron. Ale to pozbawia ją wszelkiego tła. Dotychczasowe figury odcinały się sucho i ostro od tła zieleni i murów. Tłem wolnej figury może być tylko *powietrze*. Ale jak związać powierzchnię brązu czy marmuru z atmosferą, pozbawiając jednocześnie rzeźbę jej mocnego odcinania się?

W malarstwie sposoby łączenia danej postaci z powietrzem są dwojakie. Jednym z nich jest zachowanie w obrazie odpowiedniego stosunku siły tonów (walorów) danego przedmiotu do tła, na jakim jest umieszczony. Barwa tu nie gra roli. Postać każda, pod światło widziana, jest masą mniej lub więcej nieprzezroczystą, o pewnym natężeniu tonu (cienia-swiatła), w którym szczegóły rozróżnia się potym.

Rodin w rzeźbie poszedł tą drogą. Badał on kolejno walory—stopnie nieprzezroczystości—stopnie mniej lub bardziej wyraźnego ukazywania się szczegółów—badał charakter tej „niewyraźności“—badał wagę i rysunek kolejnych płaszczyzn danego ruchu.

Drugim sposobem malarskim łączenia postaci z tłem jest otaczanie jej odblaskami, promieniującymi z jej barwy i z barwy tła. Te odblaski wyobrażają atmosferę i pomagają do zrozumienia odległości pomiędzy nami a figurą, oraz pomiędzy figurą a tłem.

Rodin badał antyki. Zauważył, że „starożytni, którzy prawie wyłącznie tworzyli rzeźby do oglądania w pełni powietrza, na tle nieba, zdołali uniknąć suchości ostrego odcinania się sylwetek przez podkreślanie *niektórych* ich zarysów, przez łączenie płaszczyzn, szczególnie zaś przez lekką przesadę krzywizn, przez ich silniejsze akcentowanie, niż w żywym modelu. Światło lepiej grało na rozszerzonych powierzchniach; akcentacja syl-

wetek powiększała odbijanie się światła i tworzyła w ten sposób lśniące formy, promienistą powierzchnię, łączącą płaszczyzny we wspólnej światłości“. Stosunek powiększenia był mniej więcej jak $\frac{5}{4}$ na 4. Oczywiście nie chodziło tu o systematyczne powiększanie wszystkich części, gdyż wtedy otrzymanoby tylko posąg trochę większy. Trzeba było zwiększać tylko pewne części, wybrane wśród płaszczyzn, na których miało grać światło“.

W ten sposób rozumiał Rodin grecką stylizację kształtu. Czy ona w tym *jedynie* miała swe źródło—jedynie w studiach nad kształtami, widzianymi w naturze—to sprawa, której Maclair nie porusza... Lecz zdaje się rzeczą niewątpliwą, że styl ten mimowiednie wyrabiał się wiekami i później dopiero uświadomił. Ludzie wprzód wiedzieć musieli, iż taki kształt, w ten sposób grający na słońcu, jest piękny, a później dopiero zrozumieli matematyczną podstawę tego piękna.

W każdym razie odkrycia Rodina są ogromnym krokiem naprzód w pojmowaniu rzeźby greckiej. Dały mu one podstawę techniczną do stworzenia pierwszego w rzeźbie nowożytnej *impresjonizmu*.

Zasadą impresjonizmu jest odtwarzanie nie jakiegoś bezwzględnego kształtu „samego w sobie“, lecz *wrażenia*, jakie on wywiera na danym artyście. Otwiera się tu dla artysty pole niezmiernie szerokie—mówiłem o tym wyżej.

Ale wrażenia, jakieby—według wyłożonej powyżej teorii—odtworzał Rodin—mogłyby nie być jeszcze sztuką. O cóż bowiem chodzi? O dokładną obserwację i wykonanie według zasad owego „łączenia powierzchni marmuru z powietrzem“. (Obserwacja ta jednak tym się różni od naukowej, że nie chodzi tu o dokładność zauważenia wszelkich, aż do najdrobniejszych, szczegółów, lecz ogólnej sylwety—całości i szczegółów najwybitniejszych, które każdemu naprawdę odrazu rzucają się w oczy.) „Otrzymuje się mocną podstawę („solidité“), życie przez pracę, dbającą nie o dokładność szczegółów, lecz dokładność kolejnych płaszczyzn“—mówi Rodin. Rzecz prosta,

że przytym należy uważać, by kształt był właściwie związany, by właściwie w nim rozmieszczać ciężary, by zachował swą harmonję i równowagę architektoniczną (słowa Rodina: „ciało ludzkie, to chodzący gmach“).

I gdyby Rodin z wszystkimi temi zasadami, w których tkwi taki ogrom pracy i inteligencji, odtwarzał faktycznie *tylko* swoje czysto wzrokowe, że tak powiem, „mechaniczne“ wrażenie, to cały ten kolosalny mózół nie doprowadziłby jeszcze do utworu artystycznego, dając w rezultacie rzecz martwą, prawdę mechanicznie odbitego na siatkówce wrażenia.

Na szczęście jednak praca taka jest niemożliwą. Odsobnienie takiego czysto wzrokowego wrażenia z tysiąca innych jest utopją. Rodin odczuwa to, mówiąc o różnicach w rysunku anatomicznym i artystycznym, o tym, że „myśl i energia życiowa zmieniają wygląd organizmu“, a wreszcie mówiąc, co następuje: „Zrozumiałem, że trzeba było wzniesć się do realności (réalité) wyższej, która jest interpretacją natury przez pewien temperament. W ten sposób zostałem doprowadzony do logicznej przesady w formach, do szukania *charakteru*. Zrozumiałem potrzebę poświęcania danego szczegółu figury jej ogólnej geometrii, ogólnej *syntezy* jej widoku.“

Takiemi też bywają wrażenia każdego artysty, tym właśnie różniące się od wrażeń innych ludzi, że artysta „*zauważy*“ przede wszystkim to, co nazywa się *wyrazem*, *charakterem* danego kształtu — w ogólnej sylwecie, w szczegółach zaś również nie te, które każdemu rzuca się w oczy, lecz właśnie potęgujące ów *wyraz charakter* — dające to, co nazywa Rodin „*syntezą* wyglądu kształtu“.

Otóż ten dopiero, co zdoła tę syntezę „zaobserwować“ i odtworzyć, jest impresjonistą, daje swoje wrażenie, jest artystą.

Odtworzyć! — Ale jak? —

Jeżeli mówimy o „*wyrazie i charakterze*“, to popełniamy właśnie tę omyłkę, której podlegali wszyscy, usiłujący tworzyć realistycznie (omyłkę tę popełnia też

Rodin) — przypisujemy danemu kształtowi właściwości, których on nie ma i których mieć nie może. Te leżą tylko w twórczej wyobraźni artysty. „Sprawdzić“ ich ani tymbardziej odfotografować nie można. Trzeba tylko wiele — i twórczo — odczuwać. Więc jak je utrwalić na wieczne czasy w kamieniu?

I tu rozpoczyna się ta odradzająca, twórcza męka, o której pisałem wyżej. To „szukanie“, wyczuwanie, odpowiedniego sposobu, wprost z duszy wynikającego, a trudnego do uświadomienia i opanowania, — który właśnie nadaje bryłom marmuru, gliny, czy bronzu — życie. Tu roztwierają się dopiero wrota do tysiąca kwestji artystycznych, które streścić spróbuję — w jednym twierdzeniu: im więcej trup na danym obrazie (lub w rzeźbie) będzie robił wrażenie trupa — nieruchomości, martwoty, charakterystycznego zeszywnienia, bezżycia — tym więcej będzie właśnie w danym obrazie (lub rzeźbie) — *życia* (twórczego życia artysty).

Odtwarzanie własnych, szczerych wrażeń — choćby redukujących się tylko do „uchwycenia“ wyrazu ruchu, charakteru — jest już bezwzględnie twórczością. Artysta już odtwarza *siebie*. Daje życie — życie własne. Tworzy kształt nowy — choć *przypominający* kształt, widziany w naturze.

Ale i to jeszcze nie wszystko. Pozostanie z samego bezpośredniego wrażenia tysiąc subtelnych, nieujętych kojarzeń, spłotów uczuciowych i myślowych, które domagają się swego wyrazu — te przeczuwane śpiewności, harmonje linii, te akordy siły brutalnej, czy pieściwej poezji. Dość pomyśleć tylko nad kształtem człowieka — tam jest wszystko.

Jak te nieuchwytnie, a koniecznie domagające się ucielesnienia, *syntezy* wypowiedzieć? Jak „związać je z atmosferą?“

Rodin odpowiada na to czysto technicznymi zdaniami, jak np.: „najgłówniejszą rzeczą jest modelowanie, płaszczyzna, która jedna odtwarza wiotką różnorodność

ruchu i charakteru“ („charakter“ jest po części dla Rodina syntezą wrażeń). Jest to typowe zdanie prawdziwego artysty, który wie, że to, co jest w owej technice żywego, twórczego, nieuchwytnego — on odczuje, *odgadnie*. Ale jednocześnie dlatego właśnie to jest tylko frazesem. Sposobem Rodina *można* wszystko wyrazić — ale zgadnąwszy wprzód *tajemnicę* tworzenia z owych płaszczyzn *nie-tylko życia* — lecz i czegoś więcej, co by temu życiu nadało ową śpiewność, harmonję, czy siłę, czegoś nieuchwytnego, a przeprowadzonego z żelazną konsekwencją, jak w kompozycji muzycznej, jak w poemacie, jak w rzeźbie greckiej — czegoś, co by tworzyło w sztuce nowe wartości. Tym „czymś“ byłby właśnie dopiero własny *styl*.

„Życie“, „temperament“, „charakter“ — to jeszcze nie styl.

Rzeźba współczesna nie ma stylu. Wszyscy wielcy współcześni rzeźbiarze szukają go. Wiemy już, że jedyną drogą „odnalezienia“ czy stworzenia go jest bezpośredniość i szczerłość ujmowania wrażeń, poparta przez baczne i czujne uświadamianie własnych intuicyjnych pomysłów. Droga ta prowadzi przez góry pracy, przez tysiące prób i załamywań się, przez najsubtelniejsze odczuwanie i bezgraniczną śmiałość w połączeniu z najostrzejszym samokrytycyzmem. Droga, doprawdy, że cierniowa, tragiczna.

Żaden z rzeźbiarzy współczesnych nie wyszedł jeszcze z tych walk *zupełnym* zwycięzcą, nie znalazł stylu, któryby stał się sługą jego twórczości, jego duszy. Ale wielu z nich przez to właśnie, że w traktowaniu kształtów, z natury wziętych, oddawali się szczeremu impresjonizmowi, zbliżyło się bardzo do całkowitego opanowania samych siebie, stworzyło *coś podobnego do stylu*, coś, co zwiastuje jego narodziny w Europie nowożytnej.

Pierwszym pionierem tych usiłowań był Rodin — i stąd jego olbrzymia zasługa dla rzeźby nowych czasów.

* * *

Rodin odczuwał w sobie nowe wartości, wyobraźnia nasuwała mu nowe kształty, które dawnymi konwencjonalnymi sposobami nie dały się wyrazić.

Jednocześnie zaś czuł, że owe twórczą fantazją przynagane kształty mają bezpośredni związek z życiem współczesnym.

Starał się więc związać jedno z drugim: przejawy duszy własnej ze światem zewnętrznym, z całym tym nerwowym, bujnym a nieuchwytnym, falującym, zmiennym życiem, w którego wir jesteśmy pogrążeni.

W ten sposób został doprowadzony do wyżej opisanego malarsko-rzeźbiarskiego, wyrafinowanego impresjonizmu.

Ponieważ jednak nie był to impresjonizm, że tak powiem, „czysty“, polegający jedynie na chwytaniu wrażeń z zewnętrznego świata i wcielania ich w marmur, ponieważ przymieszały się doń twórcze idee, syntezy — przezuwane niejasno — a jednocześnie ślady realistycznych usiłowań, stąd więc powstał wynik, że rzeźbom jego brak jednolitości w ujęciu, brak — przy całej wyrazistości ich i świetnej na ogół budowie — logicznie rozwiniętego stylu, wyrażającego z zupełną bezwzględnością i bezpośredniością twórczą duszę artysty. Widać to doskonale w jednym z najwybitniejszych dzieł jego, w „Myślicielu“.

Jest to rzeźba, związana wspaniale. Jest tam żywe ciało ludzkie. To już nie dawna, pseudoklasyczna istota, która, według dosadnego określenia Rodina, „nie jada, ani pije, nie uczuwa ani miłości, ani nienawiści, która swój czas przepędza na przybieraniu póz niby - pięknych, istota, zawsze tak samo zbudowana, ani mała, ani duża, ani chuda, ani tłusta, istota, która nie robi nic i jest niczym“.*)

Jest tam życie — jest konsekwentnie przeprowadzo-

*) La Revue, Novembre 1907, artykuł P. Gsella, pełen aforyzmów Rodina.

ny, potężny wyraz straszliwego wysiłku myśli. Ten człowiek, w kabłąk zwinięty, zdaje się myśleć całym ciałem. Skupił się w sobie, mięśnie wyprężyły mu się. Nogi zwinięte—z powyginanymi w skurczu palcami. Oczy pod pokłębionym czołem nie nie zdają się widzieć—a jednak odczuwa się, że widzą wiele — przez duszę, która weszła z związek z tym, co niewidzialne, a najrealniejsze... Ha—brak nam żywiołowego pędu do życia—dusze zubożały—heroiczne wysiłki czynimy, by stworzyć w sobie odczuwanie świata, by znowu zacząć żyć życiem panteistycznym, wolnym, szerokim — życiem wielkich napiętności i myśli, co rodzą się tak swobodnie, jak kwiaty na drzewach na wiosnę! Skupiamy się, oderwijmy wzrok od jarmarcznej wrzawy płytkich wirów współczesnych. Ratujmy resztki dusz, opanujmy świat okrucami czuć, które w nas jeszcze drzemia rozpierzchnięte, ściśnijmy je w jedną posagową całość — oto, co zdaje się wołać ta figura Rodina, mocą gienjalnego umysłu stworzona z przeczuć nowej prawdy artystycznej. *Z przeczuć!* Tak — nie z bezwzględnej, łatwej, żywiołowej i jasnej świadomości Greków i Włochów. Ach, jakże inaczej dumają rycerze Michała Anioła na grobie Medyceuszów!

Czyż to moje indywidualne, fantastyczne wrażenie?

Nie. Rodin nie ośmielił się przezwyciężyć w sobie nałogu realizmu, nie ośmielił się iść jedynie za głosem twórczej swej duszy. Brał kształty z natury i ważył się stylizować tylko niektóre szczegóły — według wyżej wyłożonej teorii. Tak więc w „Myślicielu“ głowa traktowana jest impresjonistycznie, jest stylizowana w ten sposób, „by na niej grało światło“. Jest nadmiernie rozszerzoną, tak samo, jak ramiona. (Efekt ogólny z tego powodu na razie świetny.) Lecz nogi odtworzone są z całym, najściślej realizmem. Rysują się na nich (na olbrzymich łydach) wszystkie mięśnie i ścięgna, — jest ich cała sieć, całe pasma, najwierniej skopjowanych. Daje to niewątpliwie ogromną siłę wyrazu — lecz wskutek tego widać, że postać „Myśliciela“ nie narodziła się Rodinowi

w wyobraźni, jako gotowy, nowy, narzucający się kształt, lecz że ideę jej zepsuło zbyt długie wpatrywanie się w modele — zamiast, przeciwnie, oczyszczania wizji własnej z drobnych, zbytecznych przejawów rzeczywistego świata, zamiast wzięcia z rzeczywistości tylko syntezy kształtu — syntezy wyrazu kształtu — o czym marzył Rodin.

* * *

Wielki rzeźbiarz francuski, zagłębiając się w tajniki sztuki greckiej, przebywał w niej duchem na tyle, że nie przeszło to bez śladów w jego twórczości. Pragnąc wysnuć rzeźbę swoją z życia współczesnego, wiele lat życia strawił na wczuwaniu się w sztukę olśniewającą, druzgoczącą w swojej potędze, która jednak od życia współczesnego jest daleka, nie związana z tym, co nas bezpośrednio otacza. Sztuka grecka powstała z wyczuwania nagości — nagiego ciała ludzkiego i wyczucia linii tych szat przepięknych, którymi Grecy ciała swe okrywali. Takie jest najbrutalniejsze, najpierwsze, najsurowsze, iż tak powiem, źródło greckiej rzeźby. Ale my tak nie żyjemy nagością, jak oni.

„Starożytni, przy ich odzieży przestronnej i falistej, mieli ciągle sposobność widzenia ciał nagich w ruchu; my dzisiaj robieramy tylko na parę godzin jaką istotę z gminu, która zazwyczaj chodzi ubrana po polu — tego niedość, aby móc celować w malowaniu nagości“ — mówił jeszcze blisko półtysiąca lat temu Leonard da Vinci.*)

Naszą wyobraźnię zasilały inne wrażenia; stąd my tworzyć możemy albo nagości zupełnie idealne, z wyobraźni wysnute, albo — nieszczerze, o ile wzorowane w świecie pracownianym.

Stąd też nagości Rodina nie mogły mieć szczeroci bezpośrednich wrażeń — nowego zaś typu, ideału kształtu

*) „Ostatni wykład Leonarda da Vinci“. Z rękopisów rozproszonych J. Peladan. Przekład Miriama.

człowieka — tak, jak w Grecji — nie stanowią. Rodin dążył może do takiego nowego ideału przez olbrzymią pracę inteligencji — lecz ta przeżarła mu tylko wyobraźnię twórczą, zamiast stać się jej uświadomieniem.

Rodin starał się techniczne odkrycia Greków zastosować do kształtów, z obecnego świata wziętych — lecz zapominał, że technika grecka była bezpośrednim wynikiem ich twórczych usiłowań — twórczych wizji, nie zaś sama sobie celem, nie zaś „realizmem impresjonistycznym“, czy też impresjonizmem realistycznym, jakby można nazwać sztukę Rodina.

* * *

Rodin nie stworzył nowego stylu. Stylem jego jest bowiem dążenie do wydobywania „charakteru“ modelowanych postaci przez podkreślanie wyraziste ich rysów najdobitniejszych, oraz przez zatracanie z rzeczywistego ich widoku tego, co by ów wyraz psuło. Jest to już wiele, bardzo wiele. Jest to już, bądź co bądź, zerwanie zarówno z suchą, martwą tradycją, jako też z czystym realizmem — nie jest jednakże pełnym jego przezwyciężeniem.

Urokiem niewątpliwym jego rzeźb — na przykład postaci kobiecych, które czynią wrażenie niematerialnych wizji, jest ta cudowna, w słońcu lśniąca miękkość i dojrzałość kształtów, pełnych a lekkich. Wywołuje ją ów niesłychanie subtelny sposób „łączenia marmuru z powietrzem“. Gdyby ten sposób został odczuty, aż do takiej siły, żeby się stał *stylem*, to jest gdyby został przeprowadzony konsekwentnie przez cały kształt, jak w Grecji, gdyby, poprostu mówiąc, ten sposób wynikał z nieprzełamanego pędu wyobraźni — Rodin stałby się olbrzymem, jakiego od czasów Grecji nie było na świecie. *)

*) Zajmuję się tutaj Rodinem głównie z teoretycznego stanowiska. Stąd nie opisuję wszystkich rzeźb jego, pomijam takie arcydzieła, jak „Mieszczanie z Calais“ i inne, wobec których zapomina się o wszelkich teorjach.

Ale wahania się jego wyobraźni, pomiędzy „służbą naturze“ a własną wyobraźnią, skazały większość dzieł tego olbrzyma na pewną zasadniczą połowiczność. Jednakże to właśnie, że Rodin nie mógł wyrzec się twórczych swych, nierealistycznych wizji, które „psuły“ mu realną rzeczywistość, spowodowało, że dzięki nim Rodin jest wielkim artystą, a nie tylko teoretykiem, pełnym nieziszczalnych zachcianek.

* * *

„Jestem tylko rzemieślnikiem“, mówił Rodin — i nie przemawia tu przez niego tylko pycha artysty, który wszystko sprowadza do techniki, lekceważąc tej techniki źródła, w twórczych głębinach ukryte. Bo oto, co jeszcze pisze Rodin (u Mauguiera) o rzeźbach greckich: „Były to obserwacje, wynikłe z pracy szczerych realistów wobec natury“. „Starożytni byli największymi, najbardziej poważnymi, najbardziej podziwieniami godnymi obserwatorami natury, jacy istnieli kiedykolwiek. Umieeli odtworzyć życie, ponieważ widzieli to, co najważniejsze: wielkie płaszczyzny. Ograniczyli się do wielkich cieniów, dawanych przez te płaszczyzny.“ *) „Antyk jest prosty — i daje mu to energję zdumiewającą; wreszcie jest to przestudjowane lepiej, niż się wydaje“.

Że Grecy byli „obserwatorami natury“ — to święta prawda, ale — nie byli „szczerymi realistami“. „I słusznie mówi sam Rodin, że „typ jest tu niczym“, ale nie dlatego, żeby „modelowanie“ (a więc sposób ujmowania typu) miało być wszystkim. Bardzo ryzykownym jest twierdzenie, by „można zrobić antyk z Holenderki lub Amerykanki“, zachowując tylko warunek „otrzymywania płaszczyzn przez spojenie kolejnych profilów“. A dalej: „Aby zrozumieć nie nomenklaturę, lecz ducha (antyków), zwróćmy się do natury, na którą ten człowiek patrzy:

*) Oczywiście, iż mowa tu o płaszczyznach na *bryle*.

przemówi ona do nas tak, jak do niego“. Pomijam kwestję, że z tego rozumowania sądząc, znowu „typ“, a nie modelowanie byłoby „wszystkim“ — w sprzeczności z powyżej przytoczonym twierdzeniem. Patrząc na tę samą naturę, co Grek, trzebaby, chcąc, aby ona do mnie tak, jak do niego przemówiła, być nietylko *ówczesnym* Grekiem, wraz z jego pojęciami, kulturą i dziedzicznymi nałogami, ale jeszcze czymś więcej: *twórczym rzeźbiarzem*.

Twórczym!

Oto jądro całego zagadnienia. Życie — życie greckie — syciło wyobraźnię Greków. Ale nie wystarcza powiedzieć o nich tego, co Maclair przytacza za Tainem, — że byli to „rzemieślnicy (artisans) szczęśliwi, zmysłowi, namiętnie zamięłowani (passionnés) w piękności plastycznej, pracujący w pełni powietrza nad dziełami, stworzonymi do oglądania pod pięknym, wieczystym niebem, realiści, uwielbiający kurtyzanę i atletę, symboliści, ogarnięci przez pewne, bardzo proste myty, obserwatorowie szczęśliwi, nie znający pracowni, kariery artystycznej i profesorów estetyki“. W zbyt prosty sposób ujęto tu „wpływ otoczenia“ i „historycznych warunków“ na twórcę. „Wpływ“ ten jest oczywistością. Każda sztuka jest wytworem szczególnego życia, pewnych dążeń danego życia: dlatego to *obecne* życie wydaje nową, własną sztukę i dąży do wytworzenia *własnej* rzeźby. Ale nie tak *mechanicznie*, jak to pojmują Taine, Maclair i poczęści Rodin, którego dzieła, jak to już mówiłem, należą do sztuki nie przez „sumiennność obserwacji“, lecz przez to, iż zdołał on wlać w tworzone postaci *życie* — dzięki olbrzymiemu talentowi, silniejszemu od wszelkiej teorii. Ale tu chodzi jeszcze o coś więcej. O odczucie i odtworzenie *syntezy* współczesnego życia — to byłoby dopiero szczytem impresjonizmu, stąd narodziłby się mogła dopiero wielka, samoistna, nowa twórczość. Bo samo *przeczuwanie* takiej syntezy — choć to już jest tak wiele — staje się zaledwie *bodźcem dla wyobraźni* — a wyobraźnia właściwie jest naprawdę w sztuce wszystkim. Grecy nie modelowali „z całym pietyzmem

i starannością“ kurtyzan i atletów, nie „robili portretów“ w pewien sposób odtworzonych, lecz odtwarzali kształty, w wyobraźni zrodzone, — być może tylko, iż pod wpływem kształtów widzianych i, być może, posługując się modelami. Zapewne, że, morfologicznie rzecz biorąc, postacie rzeźby greckiej należą do rodziny „homo sapiens“, lecz to nie dowodzi, by one miały być istniejących już kształtów „modelowaniem“. Gdyby posagi Apolla i Wenery zstąpiły z piedestałów i weszły między ludzi, tłum padłby przed niemi na kolana, rozpaczby nas ogarnęła nad nędzą własną, zobaczylibyśmy że nie na ziemi tym istotom mieszkającej, że moc niepojętych, świętych natchnień je zrodziła, nie zaś naśladownictwo, choćby najbardziej impresjonistyczne. Grecy stworzyli własny styl, własny ideał Piękna. Ideał ten wyczuwali całą duszą, syntezą wszystkich jej władz — i *tylko dlatego* mogli ten ideał urzeczywistnić.

I cóż tu wobec tego mówić o jakimś „chwytaniu charakteru“ i tym podobnych sprawach? To śmieszne. Nie pomogłyby najmądrzej przemyślane sposoby „łączenia marmuru z powietrzem“, gdyby nie męczyły ich twórczych dusz wizje boskich kształtów, w świecie Platonowych idei Piękna wyrosłych. Nie sposób jest w sztuce wszystkim, lecz nowy kształt, nowa wizja twórcza. Te są wszystkim, bo z nich dopiero wykwitnąć może nowy sposób ich odtwarzania, nowa technika, nowy styl — który jest zresztą czymś ściśle zrośniętym z nowo-pomyślanym kształtem, czymś, co go właściwie stwarza.

Zrozumiemy teraz łatwiej tragedję Rodina.

Uwierzył on w naiwne zdanie Zoli, że sztuka, to „natura, widziana poprzez pewien temperament“. Stąd sztuka jego stała się wiecznym rozdwojeniem pomiędzy własnymi intuicjami a ścisłym „trzymaniem się natury“. Stąd technika jego nie służyła do bezpośredniego wyrazu jego własnych natchnień, nie narodziła się w nim, jako konieczność, jako niezbędna, jedyna droga do wyrażania kształtów własnych wizji twórczych, lecz miała na celu odzwierciadlenie kształtu już danego, już istniejącego

w naturze, już stworzonego. A że jednocześnie Rodin nie mógł pozbyć się siebie, „zobiektywnizować się“, zapomnieć o własnej duszy — stąd więc te rozdzźwięki, te nie-logiczności, te gwałty, zadawane własnemu twórcowi w imię urojonej „Prawdy“ — na niekorzyść prawdy jedynej, prze-
czuwanej — prawdy własnych wrażeń i wyobraźni.

Rodin wiedział, że rzeźba nowożytna nie istnieje, że życie współczesne wydać ją musi.

To życie on, artysta, czuł w sobie, ale nie w tak mocnej i jasnej syntezie, by ona przyniosła wyobraźni jego kształty gotowe, bezwzględnie czymś nowym będące, narzucające mu się z niepokonalną siłą. Zresztą było to zapewne niemożliwością. Synteza taka nie tworzy się z dnia na dzień. Jeden człowiek zapewne stworzyć jej nie potrafi, a tym bardziej już ująć i opanować. Na to trzeba całych pokoleń. Ale przypuśćmy, że jednak Rodin miał tej syntezy świadomość, czy też jakieś wpółja-snowidzące przecucie. To jeszcze nie dosyć. Wielki artysta czuł, że wprzód trzeba obalić, zwyciężyć, zrozumieć to, co już istniało, przyswoić sobie całą dotychczasową, a opacznie przez współczesnych mu rozumianą kulturę rzeźbiarską. Ile trzeba było do tego gienjalnej przenikliwości, intuicyjnego krytycyzmu, niepojętej nad-ludzkiej pracy — to już wiemy. Takie wcielenie się w obcego ducha mogło wyczerpać najpotężniejsze źródła własnej twórczości — tymbardziej, jeżeli się jest przodo-wnikiem samotnie idącym. A Rodin w rzeźbie współcze-snej nie miał na czym się oprzeć, nie miał przed sobą żadnego poszukiwacza nowych wartości w swojej sztuce — takich nowych wartości, które byłyby z życiem współ-czesnym związane, były jego wykwittem bezpośrednim. Kto sam — jedyń — pierwszy — trzebi lasy, temu zabraknąć już może siły na postawienie wspaniałego gmachu na karczowisku — gmachu, co stałby się ludzkości całej świątynią. Ale zasługa takiego pioniera jest wiekuistą, staje się szlakiem świetlistym, po którym zdążają arty-
stów pokolenia. I tu też jest główna wartość dzieł Ro-

dina, które nazwać można nie tylko dziełami sztuki, lecz także i przedewszystkim głęboką, gienjalną krytyką rzeź-by. Odtąd rzeźbiarz nie będzie mógł iść naprzód, nie przeszedłszy przez Rodina i nie zwyciężywszy go w so-bie — bo Rodin przez badania swoje, którym dał wyraz w swoich dziełach, zdruzgotał rzeźbę europejską, wyka-zując jej nicość, i przygotował grunt pod rzeźbę nową, pod styl nowy. Rodin nie tylko, że wskazał artystom, że nowa rzeźba jest możliwa, lecz, że jest konieczna. Jest on pierwszym wichrem rewolucji — wichrem, który obala. Za nim dopiero mogą iść ci, co tworzą z gruzów i na gruzach. A jeśli on, zgłębiając przeszłość, nie zdołał objąć jej w całości, nie ogarnął jej ducha, nie zrozumiał w czym była Greków *twórczość*, lecz tylko czym była „technika“ ich twórczości, zapominając, że wtedy nawet owa technika zawsze będzie miała w sobie tajemnice nie-docieczone — pracę Wieków, tworzących intuicją, natchnie-niem, odgadywaniem, stopniowo uświadamianiem, to i tak zasługi jego pozostaną olbrzymie. Jego sposób „łączenia marmuru z powietrzem“, jego śmiałość w zmienianiu pro-porcji, chociaż nawet przy jednoczesnym wyznawaniu realizmu — są to wieczne nabytki świadomej sztuki — nabytki ogólnie-wiecznej kultury ludzkości. Pozostaje przytym jeszcze urok ogromnego talentu, który dążył do Piękna. Przecież sam tak potężny *wysilek* twórczy, jak Rodina, musi mieć dla sztuki wartość wieczną. Bo tu wartością bywa nie tylko to, co dokonano, lecz i to, co dokonać się mogło, nie tylko cel, lecz i droga do celu.

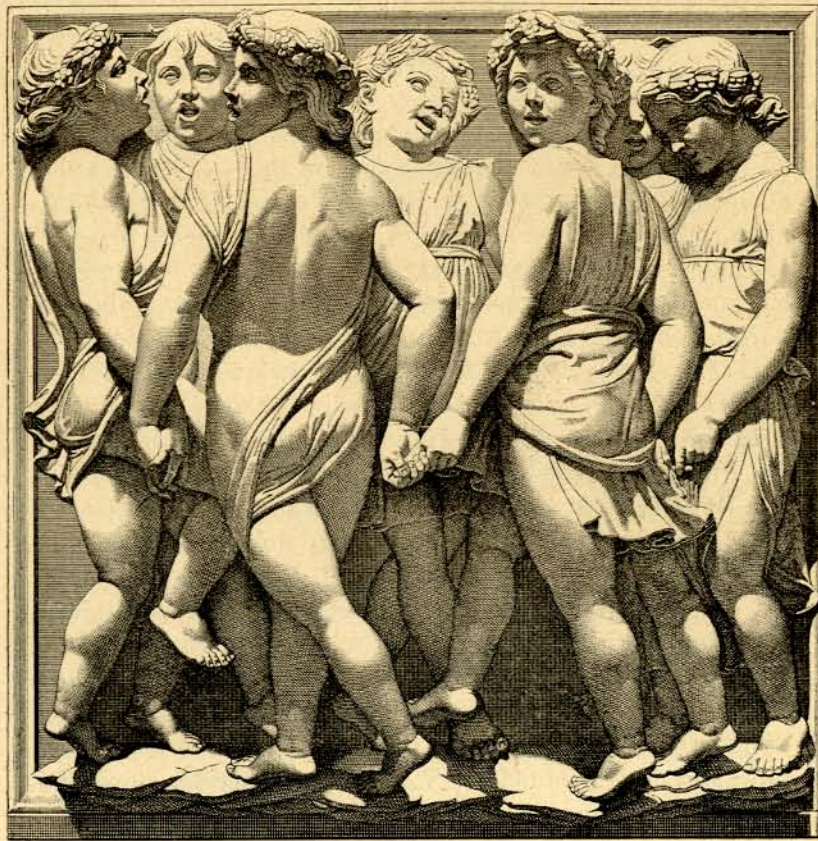
Rodin intelektem swoim przeniknął wszystkie tajem-nice swej sztuki. Przypomina w tym Goethego. Tak, jak u tego olbrzyma inteligencji — zrozumieniu temu nie towarzyszyła równie potężna, twórcza wyobraźnia. A ra-czej: tak, jak u Goethego — u Rodina twórczym był intelekt, nie wyobraźnia. W tym jego wartość, ale w tym też jądro jego tragedji — rzecz ważniejsza, niż błędy, powstałe w jego dziełach z pewnych fałszywych, filozo-ficznych przesłanek — o czym wyżej. Być może, iż ów

tytan pracy i inteligencji rzeźbiarskiej, szukając sposobów wyrazu własnych wrażeń i tego wszystkiego, czym dusza jego się karmiła, odczuwał, iż właściwie szuka własnej wyobraźni, własnego ideału Piękna, własnego stylu?... Kto wie?

Byłaby to, zaprawdę, wstrząsająca tragiedja.

Ale ci, co przyszli po nim, mieli już drogę otwartą...

(Ciąg dalszy nastąpi).



L. della Robbia: Cantate, et exultate, et psallite.

Z przemówień Adama Mickiewicza.

Z przemówienia Adama Mickiewicza. Paryż, 1 sierpnia 1843 roku, o godzinie 9-ej rano.

OKOLICZNOŚCI.

...Wszystko z siebie wydobywać potrzeba. Powinnyby już u nas przepaść te wyzwy: *okoliczności, przypadek*. Dawniej nie działo się na ziemi inaczej, jak z zewnętrznych powodów. Powiew dobrych lub złych duchów poruszał masy, zrywano się, robiono rewolucje; nazajutrz nikt już nie wiedział, co dalej począć. Statki nie mogły pływać bez wiatru, stały podczas ciszy; aż przyszła epoka, kiedy wynaleziono parę, i każdy statek może mieć siłę w sobie samym, może płynąć podczas ciszy i przeciw wiatrom. Tak i my musimy płynąć, chociaż taka cisza na świecie, a nieraz wśród powszechnej burzy może będziemy stali na kotwicy.

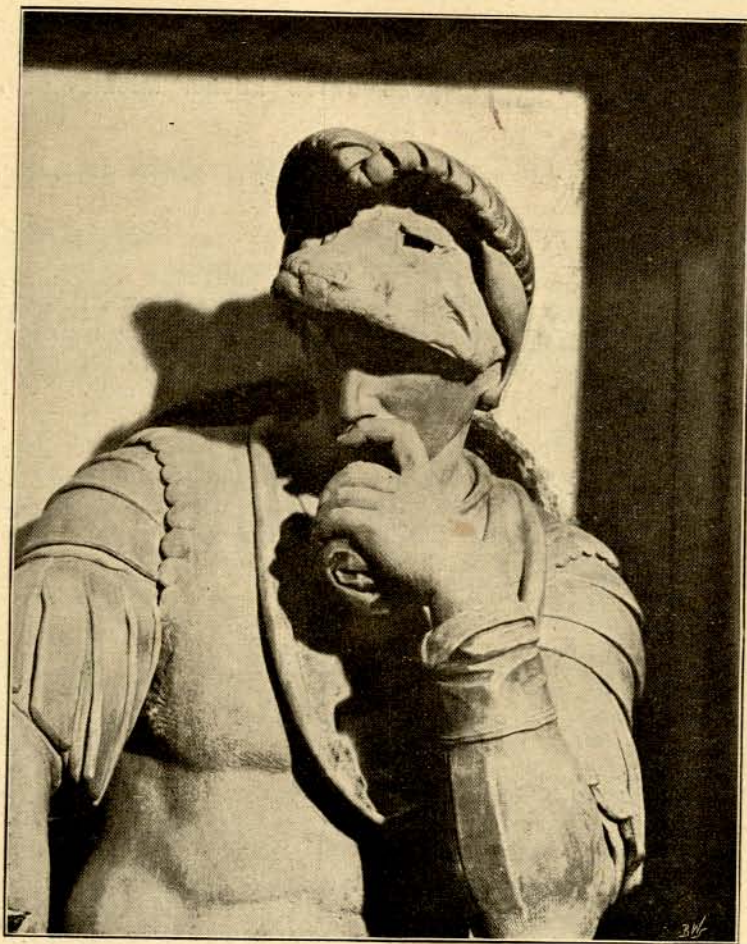
Z odezwy „Do Rodaków“, Medjolan, 10 maja 1848 r.

STARZY I MŁODZI.

Nie wedle lat emigrantów braci na starych i młodych rozdzielamy. Oni sami rozdzielają się i rozdzielą. Cechą starości jest nieufność, jest pycha... jest oglądanie się na zewnątrz, jest dążenie do spoczynku, do próżniactwa, do próżnej mowy, do durzenia się nadziejami, które odwodzą od czynu. Do tych wad zwyczajnych starości wszelkiej, dołożyć wadę starej Polski, ufnosć w obcych, pochlebstwo obcym, a względem swoich uczucie, o którym pisać nie mamy potrzeby. Nakoniec i to dziwne urojenie, że, robiąc coś dla ojczyzny, robimy *komuś* łaskę?

Wedle tego, szanowni, osądźcie, kto do starej, kto do nowej emigracji należy.

Z książki „Nadeszły inne czasy...”



MICHAŁ ANIOŁ: *Fragment z pomnika Wawrzyńca Medyceusza.*

Hr. A. GOBINEAU.

Z cyklu „Michał Anioł”.

FLORENCJA.

(*Podwórze domku Luigi de Buonarotti'ego. W kącie pod dachem z tarcie MICHAŁ ANIOŁ pracuje nad posągami Herkulesa, wysokim na cztery stopy. Na przewróconym dnem do góry cebrze siedzi ojciec jego LUIGI: ramiona skrzyżował, oblicze zatroskał.*

LUIGI. Masz dwadzieścia dwa lata. Sądzę, że w tym wieku należałoby się prowadzić po ludzku. Ale ty jesteś i nie będziesz nigdy czymś innym, jak dzieckiem niepożytecznym dla samego siebie i dla innych.

MICHAŁ ANIOŁ. Pracuję, ile mogę, i nie zasłużyłem na wymówkę.

LUIGI. To, co przewidziałem był, stało się. Od czasu śmierci Wawrzyńca Wspaniałego nie zarabiasz nic... Doskonale... jeszcze płaczesz?

MICHAŁ ANIOŁ (*ocierając łzy*). Nie mógłbym myśleć o swym dobroczyncy, o tym, któremu winienem wszystko, bez smutku w sercu.

LUIGI. Gdyby ten człowiek nie był ci zawrócił głowy, słuchałbyś mnie i miał się lepiej. Zamiast przystawać do tych próżniaków artystów i plamić siebie oraz szlachetność rodziny swojej rzemiosłem murarskim, pracowałbyś dzisiaj w handlu jedwabiem i nie widziałbym ciebie umazanym w gipsie, a rąk twych w błocie.

MICHAŁ ANIOŁ. Gdy nieboszczyk mój pan łaskawie dopuścił był mnie wraz z Franceskiem Granacci do pracowni rzeźbiarskiej w swych ogrodach San Marco, wyznaczył mi pięć dukatów miesięcznie, a za wszystko, cokolwiek wykonałem, płacił mi zawsze szczerze. Zresztą jedynie przez wzgląd na mnie dostaliście posadę na komorze, utrzymującą was i całą rodzinę.

LUIGI. Nadto towarzysz twój Torrigiani, wściekły, żeś odeń zdatniejszy, brutalnie rozmażdżył ci oblicze — zapominasz o tym. Oto wielka przysługa, jaką ci wyraził Wawrzyniec Wspaniały. Budzisz we mnie litość.

MICHAŁ ANIOŁ. Dobrze, czy źle, jestem, kim jestem. Nie macie chyba zamiaru oddawać mnie dzisiaj na naukę do tkacza?

LUIGI. Byłoby tak najlepiej. Widać, że Medyceusze nie będą już zamawiali u ciebie obrazów, ani posągów. Pan Piotr nie jest tym, czym był jego poprzednik, cóż więc stanie się z tobą?

MICHAŁ ANIOŁ. Pan Piotr nie poczyna ze mną źle. Niedalej, jak wczoraj wieczorem, radził się mnie co do kupna pewnej starożytnej rzeźby.

LUIGI. Kazał ci zrobić posąg ze śniegu. Piękne zajęcie! rzeczywiście zaszczytne! Ten człowiek zażywa ciebie, jak kpa. Pierwszego lepszego dnia rzuci cię na pastwę nieżyczliwości tych pacykarzów, pośród których zachciało ci się żyć! Powiem ci nadto, że nie sprawia mi przyjemności wielka twa przyjaźń z tym Franceskiem Granacci; jest to hultaj. Jeszcze bardziej zasmuca mnie, że obcujesz z młodym Niccolem Machiavelli. Jest ci on dobrze urodzony, przyznaję, ale mówią o nim, że nieobyczajny; ożenił się z Marjetą w wieku, gdy się dopiero myśleć powinno o ustaleniu losu. Zajmuje się tylko starożytnymi Rzymianami!... Prócz tego nie posiada środków do życia i wkrótce zażąda od ciebie pożyczki, jeżeli już tego nie zrobił. Czy już to zrobił?

MICHAŁ ANIOŁ. Wiecie, że oddaję wam wszystko, co zarabiam.

LUIGI. Czy mogę dociec, co kładziesz na stronę? Ale porzućmy ten ciemny punkt! Machiavelli nie podobają mi się; sądzę, że spiskuje przeciwko władzy pana Piotra. Nie troskam się oczywiście wiele o Medyceuszów. Wkrótce wypędzą ich, i ostatecznie mamy ich dosyć. Nieobce mi także to, że szanowny Brat Girolamo Savonarola sprzyja rządowi ludu, a Pan Bóg nie życzy sobie, abym ja przeciwiał się zamiarom Brata Girolamo. Ale nie lubię, gdy do spraw publicznych wtrącają się takie pionki, jak Machiavelli. Co ty masz z nim do czynienia? o czym rozmawiacie? On pociągnie ciebie do głupstwa. Opowiedz mi, co obmyślasz, gdy widzisz was razem wychodzących (*Michał Aniol kładzie formy na stolku, siada na ławie, kryjąc twarz w dłoniach.*) Co ci jest? Czyś chory?

MICHAŁ ANIOŁ. Głowa mnie mocno boli.

LUIGI. Próżniactwo czyni cię chorym. Gdybyś pracował użytecznie, byłbyś zdrow.

(*Wchodzi Niccolo Machiavelli.*)

MACHIAVELLI. Dzień dobry, panie Luigi. Dzień dobry, Michale Aniele.

LUIGI. Spiesz się, wyjść muszę. A ty, Michale Aniele, pamiętaj, że masz robotę, nie cierpiącą zwłoki, że brak ci czasu na gawędy. Bóg z wami, panie Niccolo! (*odchodzi*)

MACHIAVELLI. Ah! przyjacielu, przychodzę opowiedzieć ci jak najprędzej to, co mi napęłnia radością duszę. Za kilka dni staną tutaj Francuzi.

MICHAŁ ANIOŁ. Przyjaźni? Wrodzy?

MACHIAVELLI. Nie wiadomo, układy trwają... I jeżeli nie ziści się przymierzeństwo, staniemy oporem po męsku i bronić będziemy ojczyzny. Ale jeszcze więcej. Piotr de Medici popełnia same głupstwa. Brat Girolamo rozumie to i łączy się ze stronnictwem ludowym; przybycie Francuzów powali ten dom wyniosły, którego pycha tłumi naszą wolność.

MICHAŁ ANIOŁ. Winienem wszystko ojcu i nie chcę być wrogiem jego dzieci.

MACHIAVELLI. Masz serce, ale pamiętaj, że sprawa ojczyzny przoduje twojej. Wszystko wre; woda zagotowała się, parzy, kipi. Cała ludność wybucha wściekłością. Ah! Michale Aniele, jakaż piękna chwila! Ujrzę wolność, porządek prawny, mądry rząd nie tylko na martwych stronicach starych ksiąg i w oderwaniu marzeń! Wszyscy ludzie Florencji, godni tego nazwiska, są z nami: Soderini, Valori, Vespuccio, Marsilio Ficino, uczeni, artyści, wszystko, co myśli wzniosłe, wszystko, co pragnie dobra ludzi!

MICHAŁ ANIOŁ. Nie jestem z wami. Nie chcę nie od was. Protegowany-m od Medyceuszów; nie chcę, aby Brat Girolamo, zamiast, jak dotąd, kazać nam cnotę, mieszał się do spraw publicznych.

MACHIAVELLI. Miesza się dla dobra, a jeżeli można działać, to trzeba działać. Jedyne czyn tworzy męża.

MICHAŁ ANIOŁ. Chodź do mego pokoju, ubiorę się i zapakuję rzeczy.

MACHIAVELLI. Dokąd się udajesz?

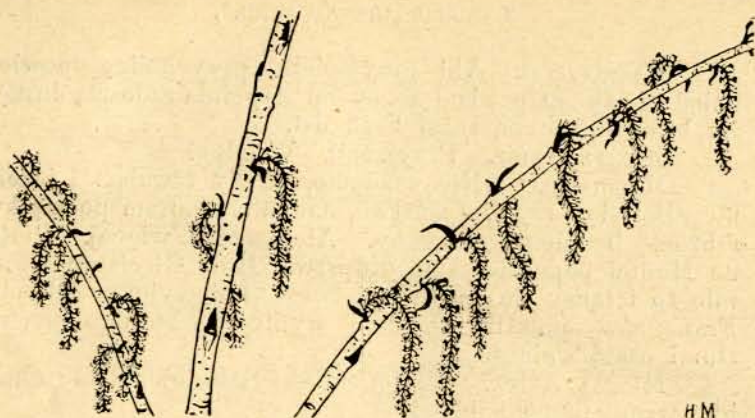
MICHAŁ ANIOŁ. Do Boloñi, do pana Galeozza Bentivoglio; jeżeli nie będzie mi dobrze w Boloñi, pójdę do Wenecji. Nie pozostanę tutaj podczas zamieszek; nie mógłbym pracować, zresztą mam jeszcze inne powody. Niepodobna mi już dłużej znosić... Koniec końcem pójdź, odprowadzisz mnie do wrót miasta.

MACHIAVELLI. Przedtym wszakże przekonam cię, że nie masz słuszności. Posłuchaj.

MICHAŁ ANIOŁ. Mów, ile chcesz, jam wziął wolę.

(*wchodzi do mieszkania.*)

Tłomaczył IGNACY GRABOWSKI.



ANTONI SZECH.

Pamięci Jana Adamowicza.

Samotny idę w mroczną przyszłość świata...

J. Adamowicz.

Pośród bezduszości dzisiejszego pokolenia—on był kapłanem ducha, pomazańcem ducha, który mieszkał w nim wielki, czysty, święty.

Pośród zaprzańców idei, których imię naród—on bohaterem jej był nieugiętym, nie złamanym niczym—wyznawcą jej, wierzącym pomimo wszystko i przeciw wszystkiemu, apostołem jej, głoszącym ją z zaparciem, nieznanym już dzisiaj, z poświęceniem pierwszych Chrystusowych naśladowców, z męstwem, jakie tylko wielkie ukochanie dać może, i męczennikiem jej, bo duszę swoją za nią położył.

Pośród ludzi bez ideału i tych, co wszystkim wielkim ideałom bluźnią, — on ideał czystym, wielkim, świętym w duszy swej zachował — i nosił go w sobie — i żył nim i całą potęgą wielkiego, a mocnego, jak stal, ducha swego dążył ku niemu i wszystkich rwał za sobą.

Wśród tych, nad których czołem pogasły gwiazdy, co duchem skarleli, co sercem — pigmeje, co czynem — niewiasty, co pragnieniem — dzieci, on świetlanym był rycerzem, on — mężem, co w stal hartowną potęgi duchowej zakuty, ogniem płonący wielkich czynów, stanął, jako wysłannik Boży — jako wielkich przeznaczeń zwiastun — jako hetman słonecznych dzieci przyszłości.

On blaskiem słońca był — promiennym, jasnym i czystym, co z pośród chmur dżdżystych i smutnych wybiegł na rolę naszą — i zbożne łany ożywił — ozłocił, i zniknął zniemacka, niespodzianie, jak przyszedł. I smutek został po sobie.

On poetą był czynu i życia — poezję w krew swą i ciało przemienił — i żył nią — i życiem swym Tyrteuszową pieśń nam wyśpiewał.

Wychowany w Rosji, Polskę znał z dzieł wielkich wieszczów narodu i z samotnych, tęsknych o niej marzeń. Znał ją — jako krainę mogił smutnych i krzyżów, co miejsca, uświęcone walką o wolność znaczyły — jako krainę wielkich mężów i wielkich cierpień i wielkich bohaterskich wysiłków, i wielkich wszechświatowych przeznaczeń. — Znał ją taką — o jakiej marzyli Mickiewicz i Słowacki, jaką przeczuwali w wieszczych swych marzeniach wielcy narodowi prorocy.

I taką ukochał — zboląłą, cierpiącą, zdeptaną, znękaną, pogardzaną teraz — a jasną, świetną kiedyś, gdy świt wolności zaróżowi ciemny dziś horyzont świata.

I dla takiej przyszedł poświęcić swe życie, wszystkie potargawszy węzły, wszelką zatarszy za sobą przeszłość, wszystkie spaliwszy za sobą mosty.

I duszę swą oddać płomienną, do największych zdolną ofiar — i serce szlachetne i wielkie, co kochać naprawdę umiało — i potęgę, jak stal, mocnej woli.

Ale rzeczywistość inną była, niż to, o czym marzył.

Gdy przybył do tej wymarzonej Polski, do tej ojczyzny bohaterów, do tej krainy ukochań wielkich i po-

święceń — znalazł ją wyjałowiałą, sfilistrzałą, zatopioną w nędznych, głupich klótniach, nie zdającą sobie sprawy z tego, co jest — nie tęskniącą do tego, co przyjsć by powinno.

Znalazł młodzież bez zapалу i chęci do czynu — większość ogromną z wygasłą, małą duszą — lud bez oświaty i narodowego uświadomienia — zaiste „brzydkość spustoszenia na miejscu świętym“.

To rozczarowanie, z upodlenia wielkiego narodu idące, wstrząsnęło nim, ale nie złamało — wskazało mu tylko kierunek pracy, dało dyrektywę życia.

Do kompromisów żadnych był niezdolny — z rzeczywistością taką małą i marną się nie godził — program widział nie w roztroptym niby przystosowaniu wielkich pragnień do marnej rzeczywistości.

Rozumiał, że nie ideały naginać należy do skarłatych ludzi, ale dusze zmalale i zagasłe do tych ideałów podnosić, by dusze te w blaskach ich nabrały siły — by w promieniach tych orle skrzydła wzięły — by wzwyż się wzbily i ogniem zapłonęły ofiarnym.

Oto idea „Odrodzenia“ — towarzystwa, powstałego we Lwowie, którego duszą był on. Cały czas, spędzony w Galicji — skupieniu ludzi w imię tych dążeń poświęcił i wyrobieniu ich na prawdziwych synów wielkiej Ojczyzny — na prawych rycerzy świetlanej przyszłości.

W blaskach wielkich ideałów i ogromnych, jak wszechświat, pragnień „Odrodzenie“ miało się stać gniazdem orłów — bratnim kołem królów — duchów — obozem słonecznych bez skazy rycerzy.

Przez oczyszczenie dusz, przez podniesienie serc własnych i braci, przez głębokie, wewnętrzne odradzanie się — gotował się on i towarzysze do służenia ukochanej ojczyźnie.

Aż zabłyśły nowe światła na niebie naszym — nowe wstały świty — wstrząsnęły krajem dreszcze nowych, cudnych nadziei — Nastąpiła chwila czynu.

To, co w duszy wezbrało, to, co wprzód było marzeniem — pragnieniem — tęsknotą, to w czyn zdawało się wcielać.

Porzucił on Galicję wtedy — i przyszedł czynu szukać tam, gdzie była walka. Z nadzieją wielką, że oto chwila błogosławiona nadeszła urzeczywistnienia wielkich, ukochanych marzeń.

Rzeczywistość zimnym szyderstwem zaśmiała się z tych złudzeń — wichur losu nieublagany, mroźny rozwił najświętsze nadzieje. Najsilniejsi, najlepsi upadli na duchu, granitowe serca kruszyły się wobec okrutnej rzeczywistości, opadły ręce tytanom pracy.

Ale on zachował nadzieję.

On wiary w to, co ukochał, nie stracił — on w zwycięstwo Prawdy i tryumf dobrej sprawy nie wątpił. —

O ludziach tylko wątpił tych, wśród których w pierw pracował przeważnie.

O inteligencji t. zw. wątpił — bo poznał małoduszność przeważnej jej części — i niezdolność do czynu — i tełórzostwo — i połowiczność.

I z całym zapalem młodzieńczej energii — i całym przeświadczeniem ogromnej wiary — z niezamąconą niczym pogodą — do pracy stanął znów, ale na innym już polu. —

Nie do „inteligencji“ odtąd zwracać się będzie, ale do ludu.

Tam odczuł on świeżość ducha, zdolną do prawdziwego życia — tam znalazł dziewiczą, niewyjałowiałą jeszcze rolę, co choć chwasty rodzić może, ale też i bujną okryć się zdolną pszenicą, — tam nietkniętą rudę, z której przyszłość wielką wykuć można.

I tu z całą stanowczością, z całą decyzją, z całą energią się zwrócił.

I nie połowicznie, nie częściowo oddał się tej pracy, bo on do połowiczności żadnej nie był zdolny.

Nie językiem tylko lub artykułami pracował nad ludem.

On do ludu poszedł — w chacie chłopskiej zamieszkał — dzielił z nim czarny chleb — żył z nim — zżył się z nim — cierpiał z nim razem.

Ukochawszy lud, stał się sam członkiem ludu.

Tam w te głębie, w cienie tych kopaliń drogich kruszców się zapuścił i tam przyszłość narodu kuł — w pracy żmudnej, wytężonej, lecz jasną krzepionej nadzieją. — Do ludu poszedł budzić dusze — zanieść światło wielkich ideałów — wielkich ukochań — wielkich tęsknot — wielkich nadziei.

Do ludu poszedł — zanieść mu słowo, do którego przyjęcia i ukochania t. zw. „inteligencja“ małoduszna i teńhorzliwa okazała się niezdolną —

Do ludu poszedł, bo lud — to naród, bo lud — to przyszłość —

Do tych maluczkich, bez których żadne święte nie urzeczywistniły się dotąd marzenia. „Siewba“, „Kółka Staszyca“ — jemu głównie zawdzięczają swe istnienie i rozwój —

W pracy swej nie na gruncie klasowym stanął on — nie na gruncie społecznych nienawiści.

Przyszłość ojczyzny — przyszłe jej szczęście, które na nowych opręć trzeba podstawach, które z ludu powstać może tylko, były jego jedynym dążeniem.

W społeczeństwie naszym, spodlonym i oglupionym niewolą, skarłałym i zmarniałym, gdzie wszelka myśl śmielsza wywołuje wybuchy nienawiści, gdzie wszelka idea, co w przyszłość idzie, piętnowana jest mianem zdrady, gdzie wsteczność, egoizm, niktzemność, filisterstwo, bierność, pokrywa się najświętszymi znakami religii i pa-trjotyzmu — gdzie wszelka Targowica różnych osobistych i stanowych interesów zdobi się w hasła dla narodu najdroższe, w społeczeństwie tak doszczętnie zdeprawowanym duchowo i opętanym przez zręcznych kuglarzy świętych idei — i faryzeuszów pa-trjotyzmu —

Nie dziw, że ten, o którym piszę, na rozgłos szeroki, na szersze uznanie zasłużyć nie mógł.

Nie dziw, że mało znalazł takich, którzyby z nim razem pracować chcieli w podobnych warunkach — i pod gradem tyłu oszczerstw — i wśród takich zewsząd przeszkód i prześladowań.

Nie dziw, że nie było szyderstw, — nie było insynuwacji, nie było intrygi, nie było niktzemności, do których by się nie udawano, by lud od niego odepchnąć, by zafanie do niego osłabić, by robotę jego zniszczyć, by sprawę, której służył, pogrzebać.

Nie dziw, że i na trumnę jego rzucono błotem, że chrześcijańskiego pogrzebu odmówić mu chcieli, że duszpasterze namową i groźbą usiłowali lud, dla którego on życie poświęcił, od uczestnictwa w ostatniej dla niego posłudze powstrzymać. Nie dziw...

U nas — dziwnym by było, gdyby było inaczej.

To los wszystkich u nas, co w przyszłość idą, co ideałów nie zaprzędali, co żyć według nich chcą, co z nich naczyń kuchennych nie zrobili sobie.

Samotny od czasu, gdy poświęcił się ukochanej swej idei, bez domu i rodziny — samotny też umarł.

Nikogo z blizkich krwią, ani żywej duszy z rodziny nie było na pogrzebie — nikogo, prócz garstki znajomych i rzeszy oddanych mu chłopów. Wśród szumu zbożnych łanów — i szczerego płaczu wiernych mu przyjaciół — niesiono trumnę jego ubogą na wiejski, ubogi cmentarz.

I tu złożono go pod polską śpiewną lipą — i bratnie dłonie zasypały martwe szczątki jego.

Ale nie umarła Idea, której on służył. I nikt nie zagrzebie tego, co on do życia powołał.

„Przyrzekamy Ci, że temu, coś ty głosił, umrzeć nie damy“ — zawołał jeden z obecnych na pogrzebie chłopów w pożegnalnej przemowie swej.

Był on przede wszystkim człowiekiem czynu, o wiele więcej niż człowiekiem słowa — pozostawił jednak sporą puściznę literacką w szeregu artykułów, drukowanych w „Odrodzeniu” lwowskim i „Legjonie” — później w „Dzienniku Powszechnym” za redakcji Sarjusza Zaleskiego, w „Prawdzie”, „Epoce”, „Witeziu”, a głównie w „Siewbie”. Wydał też, lub w rękopisach pozostawił, kilka utworów poetyckich*). W ostatnich zwłaszcza czasach poezja, którą żył, wyrwała się z duszy jego coraz częściej w postaci dłuższych lub krótszych utworów. Wszystko to w zbiorowym wydaniu ma wyjść niedługo, i wtedy krytyka ocenić będzie mogła wartość jego, jako publicysty i poety.

W poezji jego brzmi zawsze podniosła nuta, cechuje ją ogromny poryw szlachetnej, wzniosłej duszy do tego, co najwyższe, i zarazem brzmi w niej obrzydzenie, wstręt do różnych marnych, nikczemnych objawów, których tyle się namnożyło w bagnie współczesnego życia polskiego.

Wielka, szlachetna dusza jego nie mogła nie zadrgać oburzeniem i wstrętem na to, co faryzejsko w święte się hasła okrywa, a niskim jest i nędznym...

Akcja ludowa, dążąca do lepszej przyszłości przez uświadomienie ludu, rozbudzenie w nim samodzielności i ukochania wielkich ideałów, ześrodkowana wokoło „Siewby” i Kółek Staszycy, poniosła w śmierci Adamowicza olbrzymią, niepowetowaną stratę.

Ale ufajmy, że znajdą się ludzie, co upaść jej nie dadzą i sztandar, co się wysunął z rąk jego, uchwycą — i pójdą z nim w przyszłość.

I spełni się to, co w wieszczym przeczuciu pisał on na dni kilka przed śmiercią.

„I cóż mi, że zgasnę, jak gwiazdy gasną o świtu gozdzinie: Duch mój — i słowo moje nie przeminie.”

*) Poemat jego p. t. „Jutrzejszy dzień” zamierzamy ogłosić w jednym z następnych zeszytów „Sfinks” (Red.).



ROZA HEMPLÓWNA.

Po przebudzeniu.

Właśnie ostatnią bramę miasta opuszczali — gdy Nie-wiasta, splakana i drżąca, przypadła im do stóp.

Zatrzymali się przez chwilę.

— Puść nas, nieszczęsna — pomóc ci nie możemy, azali nie widzisz, jak nędzni i zmęczeni jesteśmy? Oto dziś wychodzimy z bogatego grodu na zawsze.

Wtedy ona podniosła twarz ku zachodzącemu słońcu i już bez łkań mówiła:

— I ja miasto opuścić pragnę, czekam na was od świtu do wieczora. Oto błędę w radości i smutku, wyklęta i błogosławiona, znaleźć nie mogę nazwy dla mego cierpienia, ani mówić o nim z szalejącą za bramami miasta rzeszą. Tęsknię i pragnę — pogardzam życiem, a jednak nie chcę umierać. Weźcie mnie ze sobą, wędrowcy.

Starcy słuchali, poczym jeden z nich położył dłoń na jej ramieniu i rzekł:

— Chodź więc, jeżeli nadażysz.

I odtąd szli razem twardym gościńcem, a nad niemi śpiewano ostatnią ze skarg.

„Zimno mi, a na ziemię zejść nie mogę.

„Wszystko mi obrzydło, a zmienić mego losu nie jestem w stanie.

„Boli mnie kłamstwo, nęka głupota i już dłużej znieść nie mogę tych policzków, wymierzanych posągom moich bóstw, pragnieniom, które w chmury wybiegać się ośmielają, i bezkresnej melancholji moich zakrzepłych łez.

„Były chwile, kiedy smutek przychodził do mnie, jak wielki drapieżny ptak. Od wzroku jego drętwiała dusza — wtedy on długo szeleścił czarnymi skrzydłami. Poczym tajnię serca dziobem otworzył i strumieniem polała się gorycz.—

„I oto ten sam smutek ze zdarzeń matni czał się chyłkiem ku mnie, dopóki nie otoczył czarnym szalem duszy. Wtedy w powietrzu kołysały się dzwony jakichś pożegnań — od łąk z zapachem sianokosów czołgały się opary, a daleko słychać było strzały i ciężkie uderzenia opadających ciał. Daleko i blisko konały serca — mnie było gorzko, lecz błogo kołysać się w czarnym szalu niemocy.

„O, takbym chciała zapiąć warkocze nad czołem, pierś rytmem wiatru rozkołysać i iść na burzę i pogodę. Z szumem fal tworzyć melodię, przywrzeć piersią do skał, do ziemi—być chłostaną wichrem i ulewą—czuć błyskawice nad swoją głową i wsłuchać się w konanie gromów!

„Ach, gdyby grać!

„Łączyć w akordy — drgnienia i wahania poruszeń myśli i uczucia—wypić melodię z wszechstworzeń i wszechrzeczy—łać tony bardziej oślepiające, jak blaski słoneczne i dać Jedną skończoną pieśń ziemi, godną stanąć w obliczu Nieskończoności.

„Już nie czas!

„Obmierzło mi stworzenie!

„Obrzydły wszystkie ołtarze — ograły mi się wszystkie melodię, a wzrósł nieskończony Głód duszy.

„Oto zagłębiłam oczy we wklęsłe szerokie zwierciadło, a kurcz śmiechu zdławił mi krtań:

„O życie, widziane w zwierciadle duszy mojej!

„Widziałam, jak z trzaskiem zapadały się szyby

twoje, a z tumanów czarnej mgły szły ku mnie postacie furje:

„Gorycz — Szyderstwo — Pogarda!

„Wtedy uczułam ból tak straszny, że zepagnałam z granic wszystkich wylecieć, zapaść się w nicłość lub bładzić, jak atom. Strach, że kiedyś mogłabym być znów do ogólnej bryły wcieloną, zatrzymał mię w przestworzach, gdzie ujrzałam widma mych myśli, na wieczną skazanych wędrówkę.

„Zimno mi, a na ziemię zejść nie mogę.

„Wszystko mi obrzydło, a zmienić mego losu nie jestem w stanie.

„Oto błędę i cierpię, a znaleźć nie mogę nazwy dla mego cierpienia—ani mówić o nim z szalejącą i płaczącą za bramami miasta rzeszą!“



Wtedy wędrowcy znów szepnęli:

— Pójdiesz więc z nami.

I szli dalej odwieczną drogą skarg, dopóki nie doszli do pierwszej stojącej na ich drodze góry. Gdy na nią wstępowali, zcichła pieśń, a słychać było okrzyki życia i radości, z oddalonego dochodzące miasta.

Gdy doszli do szczytu, wtedy najstarszy z wędrowców rzekł:

„Tu zatrzymamy się przez chwilę“.

I stanawszy na szczycie, patrząc zaczęli na opuszczone przez nich miasto.

Niewieście wtedy zdawało się, że moc jakaś dziwna rozszerza jej źrenice—że widzi coraz wyraźniej: lachmanami i złotem okryte dostrzega wielkie mrowisko ludzkie. Pająk przeznaczeń skrępował je swoją siecią. Kręcą się jednak i spieszą, zarówno ku kresom dążąc, jak i w nową

jutrznię wstępując—waleczą na śmierć i życie o zdobycz, którą On krwiożerczy na złotej wyciąga nici, żeby poszarpał ją wiatr kaźden. Na wielkich wagach czasu wiecznie jedna, marna moneta spoczywa.

Wielki smutek i beznadziejność powiały z tego przez szkła wędrowców widzianego obrazu.

Jeden ze starców zapytał Niewiasty:

— Azali nie boli cię serce?

I, mówiąc to, wskazał na jasne słońce, ogrzewające pracujących.

— Mogłabyś jeszcze tam powrócić.

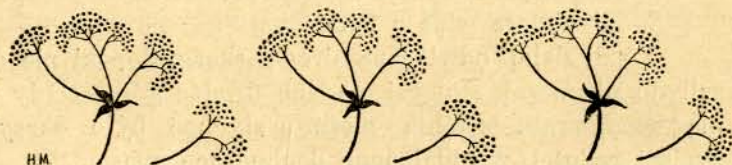
Wtedy ona podniosła ramiona, a w powietrzu na nowo rozbrzmiała pieśń:

„Zimno mi, a na ziemię zejść nie mogę.

„Wszystko mi obrzydło, a zmienić mego losu nie jestem w stanie.

„Boli mię kłamstwo, nęka głupota i już dłużej znieść nie mogę tych policzków, wymierzanych posągom moich bóstw, pragnieniom, które w chmury wybiegać się ośmiejają i bezkresnej melancholji moich łez.“—

— Pójdźmy więc dalej—rzekł na to starzec.



I iść zaczęli dalej drogą przebaczenia, zmierzając ku nowej górze, na której szczycie stała największa ze świątyń.

Przy drzewach pokłonili się im nisko ludzie, stojący w pokorze — rozwarła się zasłona i oczy olśnił przepych złota i jedwabiu.

W świątyni tej było bardzo wiele bóstw, przy ołtarzach ich liczne jarzyły się świece.

Wędrowcy, wchodząc, otrząsnęli pył ze swych stóp i, zatrzymawszy się we środku, wymówili słowo:

Wielkość.

Pogasły świece—huk gromowy wstrząsnął murami, a słowo pod strop wleciało, poczym opadło na ziemię i rozbiło się w tysiące okruszyn.

Wtedy wszystko ucichło.

Wędrowcy wyszli ze świątyni.

— Azali jeszcze chcesz iść z nami—zapytał starzec niewiastę.

— Znam tych, którzy podejmą te okrucy i o rzeczach wielkich prawie będą—odrzekła niewiasta i poszła z mężami dalej.



Wtedy oni skierowali kroki na ciemny ślad przeznaczenia i, nie bacząc, że ciernie i ostre kamienie coraz bardziej krwawią strudzone stopy, wdzierać się zaczęli na skalisty, orłom jedynie dostępny, szczyt.

Raz po raz oglądali się na Niewiastę.

Szła ona mężnie, nie bacząc na ból.

Tak weszli na chmurami otoczony szczyt. Gdy spojrzeli na dół, nie ujrzeli już miasta, tylko małe punkciki wielu miast, nad którymi przesuwały się raz po raz obłoki.

— Nic nie dostrzegam — rzekła Niewiasta.

Uśmiechnęli się starcy i jeden z nich, wskazując na zbliżającą się chmurę, rzekł:

— Oto oni.

Wtedy płynąć ku nim zaczęło wielkie czarne kolisko. Stąd, gdzie majaczyły cienie miast i wsi, raz wraz podnosiły się olbrzymie ptaki i, dążąc ku czarnej chmurze, powiększały kolisko, łącząc je świeżą, przyniesioną na skrzydłach krwią. Odchodząc z ziemi, każdy z tych

ptaków szeroko skrwawione skrzydła otwierał, i spadała z nich rubinami migocząca gwiazda.

— Azali widzisz — zapytano Niewiastę.

Wtedy ona, przymykając oczy, odrzekła:

— Widzę i czuję.

„Oto gwiazdy spadają na głowy ryczącej i przeklinającej gromady.

Zapalają się wsie i miasta — snopy jasności oświeciły ludzkie siedliska i oto zmieniają się tam stare porządki, budują nowe wartości, a promienie, przenikając twarde powłoki dusz ludzkich, rozniecają w nich nowe pragnienia, nowe drogi wskazując stadu.

Widzę, jak po latach wielu rozgrzebują popioły, w których spoczywała gwiazda, i chwytają pył z niej otrząśnięty — jako pył spadły z gwiazdy. I odtąd pilnie roztrząsają wartości zostawionych na ziemi szat, jako świadectwo niemocy życia wobec wielkości i błędu nierozdania serca i duszy w drobnej monecie litości i poślązania.“

Gdy mówić przestała i wysoko podniosła oczy, ujrzała wędrowców, jak, w czarne ptaki przemienieni, spieszili do krwawego koliska.

Wtedy Niewiasta rozwarła ku nim ramiona, błagając.

— Jeszcze nie czas — szepnęli jej, odlatując.

Wtedy, przekonana, nisko opuściła głowę i, otuliwszy się czarnym szalem, wracała do miasta.



Z cyklu „Mistica”.

(z IV-ej serji poezji.)

SAMOTNOŚĆ.

...Snem piszę... nieznane oceany porę...
Juljusz Słowacki.

...Bo samotność jest magiem, który wtajemnicza,
Nieci blaski magiczne, które ciemność bytu
Rozjaśniają, jak nagły błysk aerolitu...
Samotność, wierzcie, nigdy nie bywa zwodnicza...
W jej mroku, niby sowa, próchnem oczu widzę
Niezbadane dla innych ludzi tajemnice...
...Murzyni dokądś w złotej niosą mnie lektyce,
Gdzie zrywam kwiat lotosu, śniący na lodydze...
...Niby w srebrze księżyca biali somnambule,
Sine płatki lotosu do warg cheiwych tulę,
Tonąc duchem w magicznym, widmowym błękicie...
...Ale na to, by nurzać się w tej sennej baśni,
Trzeba białemu światłu jawy krzyknąć: „Zgaśnij!...“
Trzeba w sobie cielesne przewyciężyć życie!...

WACŁAW WOLSKI.

Z „Ogrójca róż i miłości”.

TANECZNY KWIAT.

O barwny, o soczysty kwiecie polskiej łąki,
Pniesz się w mych oczach z ziemi, bujna, śmigła, młoda,
W zieleń chustki lic twoich tuli się jagoda,
A piersi—hej! rozsadzają stanika obsłonki!

Tańcz dziewczyno! Twój junak: mam uroczne oczy...
Tańcz! niecierpliwie czekam: niechaj zamigota
Na granatach stanika ozdób burza złota!
Niechaj krasna spódnica kręgiem się roztoczy!

Hej! pod boki rąk dwoje! mocą kipisz wiotką!
Z oczu skry się błękitne sypią! i już nogi,
Ujęte w karby butów, wartkim poszły kołem!

Tańcz! ja, twój junak, szczęściem pijany wesołem,
Czekam, kiedy w dyszący tańcem uścisk błogi
Wplotę szept: „Na twych ustach, kwiecie, jakże słodko!...”

JUNAK.

Ja, junak twój, wszechwładne berło w młode dłonie
Kładę z uśmiechem dumnym i, kark zgiąwszy hardy,
Uciszam błyskawice oczu: służby twardej
Czekam. Rozkazuj moźnie. Do kolan się kłonię.

Chęć ma, jak łuk napięty: skiniesz ręką władnie,
A piorunem w najdalszych celów szczyt ugodzę,
Zachcesz-li, wichrom gniewu swego puszcę wodze
I, pohańbion na wieczność, wszelki wróg twój padnie!
Z twych oczu każdą myśl wyczytam, myśli mgnienie,
Krótkie, jak błyskawica, przetopię ci w spiże —
Najlotniejsze uroki ujmę i przybliżę.

Rozkazuj: wszystkie-cie moce oddaję człowiecze,
U stóp twych pięknych kornie w raba się przemienię,
Lecz—raba rabem nie chcę mieć! bo—z tronu zwleczel!

JÓZEF RUFFER.

O północnej godzinie.

O północnej, bezsennej godzinie,
kiedy księżyc wysrebrza aleje,
schodzą ku mnie ze wspomnień tajemicy
dni umarłych, przeżytych dni dzieje.

A ja śnię, że przychodzisz znów do mnie
o północnej godzinie bezsennej,
i że pierś ma znów pełna potęgi,
niezmężonej potęgi, kamiennej.

A ja śnię, że przychodzisz znów do mnie,
cicho głaszczech strudzone me palce,
długo głaszczech — i w jasnych źrenicach
znów przynosisz wytchnienie po walce.

A ja śnię, że przychodzisz znów do mnie
o bezsennej godzinie północnej,
znak rozgrzeszeń na czoło mi kładziesz —
pocałunek miłości wszechmocnej.

A ja śnię, że przychodzisz znów do mnie
i różowe przynosisz mi kwiecie,
co „złamane serduszko” się zowie
i co kwitło pod oknem twym w lecie.

SAVITRI.

Muza.

Gdziekolwiek siedzie muza moja płocha,
Zawsze na gruzach wspomnień naszych siedzie
I zawsze dla tej śpiewać tylko będzie,
Co nienawidzi może, może kocha.

W jesienny wieczór. co po oknach szłocha
I szumi w smutnym topolowym rzędzie,
Może ją wspomnień złota nie oprzędzie,
Może przypomni i zatęskni trocha.

Może, gdy księgę strof moich roztworzy
I złotowłosą głowę nad nią skłoni,
Posępne widmo karty jej przesłoni
I załamane ręce przed nią złoży,
I może zblednie ona od rozpaczny
Słów moich — i mej pamięci przebaczy.

KAZIMIERZ GRONKIEWICZ.

Wśród zbóż kwitnących.

Ide w kwitnących zbóż sinej połodze,
Co się unosi z złotego podłoża,
Jak tuman dymu... Po upalnej drodze
Iść muszę smutna... Z kłosisatego zboża
Maki błyskają, a takie są krwiste,
Jakby to płaty były mego serca,
Które nieść muszę w bezdroża piaszczyste
Chociaż z pragnienia mdleje, co uśmierca, —
Iść muszę drogą upalną samotną
I widzę tylko sine łany zbożne,
A wiem, że droga moja niepowrotna,
Że z niej zawrócić nie mogę... Przydrożne
Szare kamienie, od słońca rozgrzane,
Nie chcą się w chleby zmienić, choć je biorę
I kładę w ust mych purpurową ranę,
A serce moje rozdrżane i chore
Daremnie prosi cienia i spokoju.
Nie mogę dać mu tego, co potrzeba,
Bo wyschła rosa w kielichach powoju
I żywy ogień pada z stropu nieba.
I nie wiem, kiedy w cieniu drzew odpocznę,
I nie wiem, kiedy usta swe ochłodzę,
A mam nad głową niebo bezobłoczne
Wokoło łany w kwiecistej połodze...

A słońce złoci łan i kłos dojrzewa,
I on to właśnie w chleb nam się zamieni,
I one żary, które słońce zlewa,
Są krzyżmem cudu, danym od promieni...
Więc cóż, że serce spala się w popioły,
Więc cóż, że usta wysusza spiekota,
Wszak przyjdzie chwila, że zastawia stoły,
A na nich będzie leżał chleb żywota
I z umęczonych krwi będzie tam wino
Na wypełnienia cudu wielkie święto,
I tym się skrzepią duchy, które giną,
I moc mieć będą, od bóstwa poczętą.
Bo kto przełamie chleb, przez ziemię dany,
I jeść go będzie z nadzieją i wiarą,
Stanie się duchem mocny i wybrany,
Stanie się światu zbawienną ofiarą!
Niech więc goreje święty znicz słoneczny,
Niech smutne serca krwią na drodze broczą,
To się wypełni sen ziemi przedwieczny
I archanioły skrzydła swe roztoczą.
Więc chociaż idę drogą opuszczoną,
Chociaż z upału serce mi omdlewa,
Niosę wieść braciom, wieść błogosławioną,
Że zboża kwitną, że łan już dojrzewa!

JADWIGA LIPIŃSKA.

Sonet.

Więzień, uchodząc strażom, osunął się z perci
I runął w przepaść, ale gałąź litościwa,
Rosnąca w zboczu skalnym, w locie go porywa
Kolcem, że zwiśł nad głębią i tak uszedł śmierci.
Wtym szmer usłyszał — spojrz! Mysz czarna i siwa
Chroboczą u korzenia: jedna rwie na ćwierci
Miazgę pnia, zasię druga skałę wokół wierci,
A krzak się chyli w przepaść i ziemię obrywa.

Wzdrygnął się człek, wzrok podniósł i ujrzał nad głową
 Grono jagód na krzaku, co się rubinową
 Mieniły barwą w słońcu, na czystym błękiecie.
 Zapomniał o przepaści, jał zrywać łakomie
 Jagody, a wzrok w niebios utopił ogromie.
 Tym człkiem — myśmy wszyscy, a krzak — to jest *życie*.

STEFAN POPOWSKI.

Klejnot.

I znalazłam raz klejnot w samotnej ulicy...
 Podniósłszy go z brudnego, wstrętnego śmietnika,
 Krajem płaszcza otarłam powierzchnię kamyka
 I złożyłam do starej pradziadów skarbnicy.
 Czasem szukając wspomnień, wzrok mój w błyskawicy
 Kładł się na nim, leciuchno dotykał w przelocie
 I szukał z roztkliwieniem plam na jasnym złocie.
 Minął lat szereg — i dzień nadszedł, co odmyka
 Wszystkie skrytki w samotnym, opuszczonym domu...
 I nie przebacza nigdy, niczemu, nikomu — —
 A dotknąwszy się mego jasnego kamyka,
 Dobył z skrytki pradziadów i niósł do złotnika...
 I przysła cudna złuda serdecznych omamień:
 Lata leżał w skarbnicy mej fałszywy kamień.

MARYLA CZERKAWSKA.

Nad przepaścią.

Ponad stromą przepaścią zawieszony stoję,
 Przykuty niewidzialnej bezmocy łańcuchem:
 Tam na dnie leży serce, smutne serce moje,
 Leży nieme wśród głębin w rumowisku głuchem.
 Łańcuch mocny — nie mogę podnieść mego serca
 I nie widzę, lecz czuję, że krwawi boleśnie

Rozpacz straszna, jak wampir, w głąb mózgu się wwierca,
 Że to serce już nigdy do życia nie wskrzesnie.

I stać muszę wieczyście — patrząc w ciche głębie.
 Łańcuch przykuła mocno siła niewiadoma.
 A ja płacząc bezsilny, rozpaczę się gnębię,
 Żem serce w przepaść cisnął własnymi rękoma.

JAN IWĄŃSKI.

Najlepszy w żalu tren.

Twarze nam uśmiech łączy,
 Łączą je śmiechu łzy;
 I nie wiesz, kędym ja jest,
 — Nie wiem ja, gdzieś jest ty.

Chcieliśmy słońca dłonią
 Łączyć, — kłamał nam cud;
 — Po zwirze liść się toczy...
 — Błogosław dali chłód.

I tak jesteśmy blisko...
 — Ucałuj gwiazdy włos!
 — Zza morza, hen zza morza
 Słyszę twych wołań głos.

Co w świecie mym spłonęło
 — Nie wiem, może twój sen...
 Nieznanyś mi, nieznanym,
 Najlepszy w żalu tren.

A. SZCZĘŚNY.

Pytasz...

I.

Pytasz — dlaczego tęskno patrzę w dal —
 i jakie nici myśl ma dzisiaj przędzie?...
 Patrzę — — bo tego, co było już — żal!
 a myśli snuję, co w przyszłości będzie.

I radbym objąć cały świat — i wszędzie
dotrzeć w tajników niezbadanych głąb...
Wre burza myśli — i łamie się dąb,
a chmura kryje — — to, co kiedyś będzie...

II.

Pytasz — czy światło, złotem lśniących zórz
cudnie rozbłysłe — tam — w przestrzennej dali —
przeniknąć może w głębie ludzkich dusz —
i łuną ognia czy się w nich rozpali?

Blaski, co złocą niedościgłą dal,
hen — promieniejąc łuną jasnej zorzy —
spłyną potokiem roziskrzonych fal —
jeśli się dusza promieniom otworzy.

III.

Pytasz — czy siła, czy jest taka moc —
przed którą nie się w świecie nie ostoi,
co słońce gasi — by przywrócić noc,
i w tamach trzyma potok myśli mojej?...

Chociażby była taka moc przeklęta,
coby opoki rozkruszała w pył,—
myśli nie skuje w niewolnicze pęta —
bo tam, gdzie dusza — — zabraknie jej sił!

WALENTY ZIELIŃSKI.

W szumiącym lesie.

W szumiącym lesie pośród drzew,
Na mchu oparszy głowę,
Wsluchany w ptasząt cudny śpiew
I w sosen tęskną mowę,
Wpatrzony w lazur, który hen
Prześwieca nad drzewami,
Zapadam w cichy, błogi sen
Sen, zwany marzeniami...

A tak mi dobrze marzyć tu,
Wśród ptasząt, drzew i słońca,
Że chciałbym snu, snu i snu
Bez przerwy i bez końca.

Ot stary dąb minionych lat
Zdarzenia opowiada,
A świerk go słucha, młodszy brat,
I sosen-siostr gromada.
I dziw, i czar! Jak światem świat
Nie było takiej mowy:
O dawnych czasach gwarzy dziad,
Zagadał dąb wiekowy.
Wtórjuje mu szumiący bór,
Wtórują ptaków głosy.
Tęsknoty pełen, leśny chór
Gdzieś leci pod niebiosy...

HENRYK KORAL.

Śmieję się, pajacu!

Aleksandrowi Dzierżawskiemu.

Śmieję się, pajacu, świat lubi śmiech pusty,
Lubi, gdy dzwonki u twej czapki brzęczą,
Śmieję się, pajacu, wybladłemi usty,
Lśnij szat swych tęczę.
Śmieję się, choć z ócz twych boleść niewymowna
Tryska i płoszy twą wesołość butną,
Śmieję się, pajacu, człeku z twarzą kłowną,
Lecz z duszą smutną.
Czemu-ś śmiech przerwał, czemu stoisz niemy?
Czemu ci w oczach zgasły życia blaski?
Śmieję się, pajacu, zbądź się dawnej tremy,
Słyszysz oklaski?
Czy nie chcesz nadal tłumów być uciechą?
Czy w duszę żalność wpęzła ci zdradziecka?

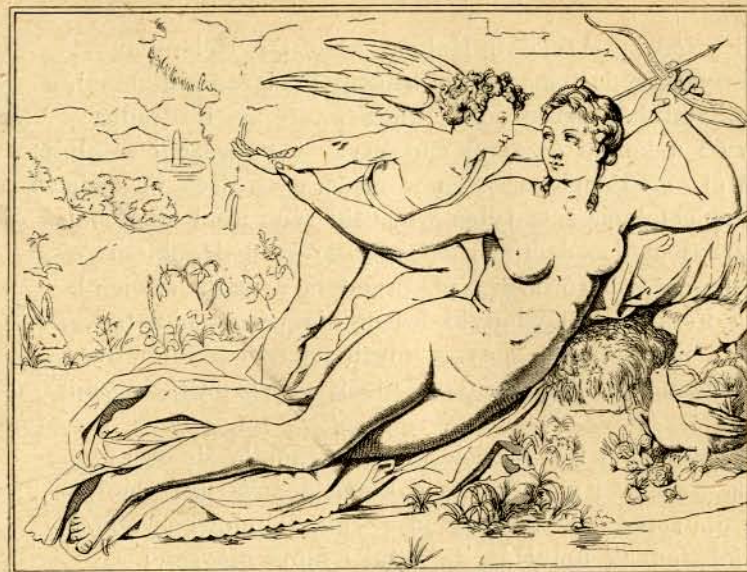
Śmiej się, jak niegdyś pod wsi swojej strzechą —
Tym śmiechem dziecka.

Smutnyś, wspominasz lata swe wiośniane,
Wspominasz drogie swe ojczyste strony,
Gdzie ojciec gładził włosy twoje lniane,
Starzec zgarbiony.

Wszystko to żywe staje ci w pamięci,
I serce rwie się z głębi twego łona,
Śmiej się! Nie możesz — łza się w oku kręci,
I śmiech twój kona?...

Lecz precz, precz odpędź wspomnień świat umarły
I stań wesoly na cyrkowym placu,
Baw nadal ludzkie zgromadzone karły,
Śmiej się, pajacu!
Za to kwiat ręka rzuci ci przyjazna,
Niewieścia ręka tkliwym, miękkim ruchem...
Śmiej się, pajacu, czleku z twarzą błazna,
Lecz z smutnym duchem.

STANISŁAW J. KOZŁOWSKI.



A. BRONZINO: VENUS I AMOR.

OWIDJUSZ.

Sztuka koehania (Ars amatoria)

KSIEGA III.

przełożył JÓZEF JANKOWSKI.

(przekład na miarę oryginału).

Oręż dalem Danaom¹⁾ na Amazonki²⁾, zostaje
Tobie jeszcze i rzeszy twej dać, o, Pentezileo³⁾.
Idźcie w bój równosilni: zwycięży. kogo Dione⁴⁾
Wzmoże technieniem i malec⁵⁾ ów boski, co buja po świecie.
Nie przystało orężnym do boju stawać z nagiemi,
Takie zwycięstwo i dla was toć sromem byłoby, mężu.
Rzeknie na to niektórzy: przecz jadu dorzucasz wężowi.
Lubo żarłocznej tak lekce owczarnię wydajesz wilczycy.
Strzeżcie się wszeteczności niemnogich na ogół przelewać,
Z dziewcząt każda niech wedle zasługi bierze swej własnej.

Sfinks.

23

Jeśli młodszy Atryda⁶⁾ Helenę, a siostrę Heleny⁸⁾
 Starszy Atryda⁷⁾ ma za co winami obciążać słusznemi,
 Jeśli Ojklida⁹⁾ przez córę Talaja występna i zdradną
 Żywy i z końmi żywemi nad Styks sam zaszedł fatalnie:
 Jest ci cna Penelopa¹⁰⁾, co w męża wędrowek po świecie
 Dwa pięciolecia i w tyleż wojaczki wierności strzymała.
 Pójrzyj na Leodamję¹¹⁾ żalosa, co za małżonkiem
 Poszła w grób towarzysząc, przed laty zgoła swojemi.
 Żona Ferskiego¹²⁾ władzyki los na się wzięła okrutny,
 Miasto męża zwłok żony wynieśli na miejsce mogilne.
 — Weź mnie, Kapaneuszu, niech proch nasz się zmiesza! —
 [tak rzekła

Cna Ewadna¹³⁾ i w środek płonący rzuciła się stosa.
 Sama wszak ci z imienia i z kultu żeńska jest Cnota,
 Nie dziw tedy, iż zawždy jest wierna ludowi swojemu.
 Takich jednak umysłów ta sztuka moja nie rości,
 Mniejsze znacznie się żagle statkowi naszemu przykroją.
 Jedno swawolne miłości są celem naszego wykładu:
 Jak kobieta być winna kochaną, w tym nakieruję.
 Nie uskoczy kobieta ni ogniom, ni strzałom miłosnym,
 Rzadziej strzały natomiast te, widzę, ranią mężczyznę.
 Często zwodzą mężczyźni, nie często słabe dziewczątka,
 Rzadkie zdrady przestępstwa wśród nich odnajdziesz, byś szukał.
 Fazydjanke¹⁴⁾ wyżoną, choć matką była, zdradziecki
 Jazo, inna ślubiona¹⁵⁾ w Ezońskie poszła ramiona.
 Przez cię owo, Tezeju, ptactwa morskiego się stała
 Pastwą zacna Arjadna¹⁶⁾, na brzegu samotnym rzucona.
 Spytaj, czemu się drogą zwie jedną dróg dziewięciorgo:
 Lasy, roniąc listowie, to znaj — płakały cię, Filis¹⁷⁾.
 Chociaż sławę poczeiwa miał gość twój, piękna Elisso¹⁸⁾,
 Wždy ci miecz włożył w ręce, był śmierci twojej przyczyną.
 Wiecie, co was zgubiło? Sztuki wam brakło kochania,
 Kochać byście umiały! Sztuką się miłość utrwała.
 Dziś by też wam nie rychło, lecz Cyterejska mnie pani
 Poleciała nauczyć, przed oczy me sama stanęła.
 — Czym zawiniły nieszczęsne dziewczątka, — tak rzecze mi
 [boska:

Ród bezbronny orężnym mężczyznom daje się w ręce.
 Ksiąg twych dwojgo mistrzami w miłości ich poczyniło,
 Druga również połowa niech twoim się ćwiczy przewodem.
 Ten, co pierw Terapnejską małżonkę gromami obrzucił,
 Wnet na lirze potulnej pochwały piał znamienite.¹⁹⁾
 Jeśli cię dobrze poznałam, dziewczątek cnych nie ukrzywdzisz,
 Póki życia, o względy ich będziesz dwornie zabiegał.
 Rzekła boska i z myrtu (gdyż z myrtem, we włosy wplecionym,
 Oczom mym się jawiła) liść dała i ziaren mi parę.
 Otrzymawszy je, bóstwa uczułem wraz nawiedzenie,
 Eter czystszy zabłyskał, a z piersi spadł ciężar żywotny.
 Póki służy natchnienie, naukę stąd czerpcie, dziewczęta,
 Zwłaszcza, jeśli wstydlivość, sumienie i prawo zezwala.
 Dziś już, pomne na starość, co przyjsć ma, bądźcie okrzętnie,
 Trybem tym drogocenny bez ruchu czas nie upłynie.
 Póki lża, póki jeszcze w prawdziwym lat kwieciu jesteście,
 Igraj, piękna, mijają wraz lata, jak woda bieżąca!
 Tej, co przeszła już, fali nie wrócisz za skarby na świecie.
 Z wieku enego korzystaj, bo szybką stopą pomyka.
 Dobry taki nie przyjdzie, jak dobrym był ten, co był pierwszy.
 Krzew ten, który posiewał, fjołków grzędą był wonną,
 Z tego, co dziś cierniowy, koronę-m był upłótl na głowę.
 Przyjdzie czas, gdy ty, która kochanków dzisiaj się wzdragasz,
 W zimnym łożu i zimna w noc leżeć będziesz samotna,
 Ani drzwi twej komnatki nie pęką od nocnej napaści,
 Ani ranek powiewny na progu twym róż nie policzy.
 O, jak prędko—nieszczęście—zmarszczkami się ciało pokrywa,
 O, jak gaśnie rumieniec, co krasił był lico świetlane.
 Choćbyś klęła się, iż w dziewczęctwie już miała włos siwy,
 Wraz po całej twej głowie siwizna się brzydka rozsuje.
 Wąż ze skórą swą wiotką starości się wstrętnej pozbywa,
 Jeleń, rogi miecący, młodości wciąż błyska odnową,
 Nasze tylko bez rady psowają się dary: rwij kwiaty,
 Gdy nie zerwiesz, zniszczają i same opadną gnuśliwie.
 Dodaj także, iż młodej przydają budowie porody
 Wieku: od bezustannych żniw rychło gleba wiotszeje.
 Niemasz czego się płonić za Endymjona²⁰⁾, o, Luno,

Ani zdobyczy się sromać Cefala²¹⁾, różana bogini.
 Choćby odpuszczon Wenerze Adonis²²⁾ był, iż go wciąż płacze,
 Skąd Eneasza ma swego, skąd ma znów swoją Harmonję²³⁾?
 Idź za bogów przykładem, śmiertelny rodzie niewieści,
 Nie odmawiaj rozkoszy tak łasym na to mężczyznom.
 Że was zwodzą? cóż z tego! Traciecie co? Wszystko ostaje!
 Niech wam biorą tysiące, zali się szczerbi co przez to?
 Ściera się wierę żelazo i krzemień umniejsza od tarcia:
 Starczy zgoła i lęku uszczerbku niema tej rzeczy.
 Któż by bronił z płomienia brać płomień, zetknawszy je razem,
 Któż by w wartkim odmiecie zachować silił się wodę?
 Która przytym niewiasta: „to wadzi mnie“, powie mężczyźnie?
 Cóż bo traci? w odmiecie czyż cenną ma wody być miarka?
 Rzecz ma wszakże gamractwa nie uczy, jedno zabiega
 Czezej obawie uszczerbku: od niego bo skarb wasz jest wolny.
 Później wszakże pod wiatru silniejsze podążę napory,
 Teraz, pókim jest w porcie, niech wietrzyk mnie lekki kołyca.
 Od hodowań pocynam.

Przypisy.

¹⁾ Grecy — od Danaja, syna króla egip. Bela, który założył Argos.

²⁾ Amazonki — mityczny waleczny szczep kobiecy w Kapedocji, nie znoszący mężczyzn.

³⁾ Królowa Amazonek, córka Aresa, która pomagała Trojańczykom podczas wojny i została zabita przez Achillesa; ów na widok umierającej zapalał miłością.

⁴⁾ Wenus.

⁵⁾ Amor.

⁶⁾ Menelaj.

⁷⁾ Agamemnon.

⁸⁾ Klitemnestra.

⁹⁾ Amfiaraj z Argos, syn Ojklosa i Hypermnestry, rycerz i wróżbiarz, schłonięty żywcem wraz z wozem bojowym i końmi przez ziemię na wyprawie na Teby, w której wbrew woli wziął udział na namowy swej żony Eryfili. Alkmeon, syn jej, zabił ją, mszcząc się za śmierć ojca. Styks — rzeka w państwie podziemnym.

¹⁰⁾ Żona Ulissesa.

¹¹⁾ Protezylaos i Leodamja. Protezylaos, król tesalijski z Filaki, pierwszy z zabitych pod Troją. Kochająca żona jego, Leodamja, uprosiła w żałości bogów, iż zwrócili jej zmarłego

męża z królestwa cieniów na 3 godziny, poczym wraz z nim umarła.

¹²⁾ Admet, król Ferski (w Tesalji), towarzysz wyprawy Argonautów, ulubieniec Apolina, otrzymał dar zwolnienia od śmierci, gdy kto inny zechce umrzeć za niego. Tą chętną stała się żona jego, Alcesta, lecz Herakles wyrwał ją z Hadesu i wrócił mężowi.

¹³⁾ Ewadna, żona Kapaneusza, jednego z siedmiu królów, którzy szli na Teby, spłonęła dobrowolnie na stosie wraz ze zwłokami męża, wielkiej miłości powolna.

¹⁴⁾ Medea — od rzeki Fazydy na granicy Azji Mn. i Kolchidy, porzucona od męża, posłała swej rywalce zatrutą odzież, która na niej wybuchła i spaliła ją; sama pozabijała z rozpacz dzieci od Jazona i pomknęła na drakonach skrzydlatych.

¹⁵⁾ Kreuza, córka koryneckiego króla, Kreonta, rywalka Medei.

¹⁶⁾ Arjadna, która wybawiła Tezeusza za pomocą kłębka z labiryntu po jego rozprawie z Minotaurem krwawym, uciekła wraz z wybawionym bohaterem, lecz podczas snu na wyspie Naksos, podług podania, została porzuconą zdradziecko.

¹⁷⁾ Oczekując wciąż ukochanego (Dемоfoona), Filis 9 razy wybiegała na drogę, zanim się powiesiła z rozpacz.

¹⁸⁾ Dydona, założycielka Kartaginy, z rozpacz po Eneasz odebrała sobie życie.

¹⁹⁾ Poeta Stezychor miotał z lutni gromy przeciw Helenie, jako winowajczyni wojny trojańskiej, za co oslepiony przez Kastora i Polydeuka, w śnie proroczym winę swą zrozumiał, cofnął oskarżenia, przejrzał i sławił odtąd piękną.

²⁰⁾ Endymion, karyjski pasterz, śpiący snem wiecznym w grocie na górze Latmie. Bogini księżycowa Selene codziennie pilnie schodziła z nieba, żeby pieścić urodziwego młodziana.

²¹⁾ Cefal, uroczy myśliwiec z Attyki, i żona jego, Prokryda, chełpili się swą miłością. Bogini jutrzni, Eos, pokochawszy Cefala, porwała go, lecz stęsknionego do żony zwolniła, wszelako pod obcym wyglądem, by w próbie uszczerbić wierność Prokrydy. Prokryda nie poznała męża i uległa, a potem, gdy dał się jej poznać, ze wstydu uciekła na Kretę, gdzie polowała wraz z Artemidą, otrzymawszy od niej spisę nie chybiającą i psa wchrowego. Potym w zamianie ról też słabość stwierdziła niepoznana w Cefalu — i znów społem się zeszli, lecz wkrótce, strzegąca męża zazdrośnie, zabita została niechęć tą samą spisą niechybną. A Eos wzięła Cefala do siebie.

²²⁾ Myrra zakochała się w ojcu swym i poczęła od niego Adonisa. By ustrzec córkę od gniewu ojca, który się podstępnie dowiedział, Afrodyta przemieniła ją w drzewo smolne myrry, z którego wonności.

²³⁾ Eneasz — syn Wenery od Anchizesa, Harmonja — córka od Marsa.



EDWARD ABRAMOWSKI.

Paradoksy pamięci wzruszeniowej.

Jest pewna kategoria faktów, które noszą wyraźnie dialektyczny charakter, a które możemy nazwać *paradoksami pamięci wzruszeniowej (afekcyjnej)*. O ile mi wiadomo, nie miały one dotychczas swego objaśnienia; mało nawet kto zwracał na nie należytą uwagę, pomimo, iż są prawdziwie wielomówiącą zagadką w naszym życiu wewnętrznym. Zastanawia się nad nią Ś. Augustyn: „skąd pochodzi, — pyta on — że w chwili, *gdy przypominam sobie z radością mój były smutek*, radość jest w moim umyśle, a smutek w pamięci; że umysł cieszy się z tej radości, chociaż pamięć nie smuci się z tego smutku? Byłaby pamięć niezależną od umysłu?... Jeżeli mówię, że dusza jest poruszona przez cztery namiętności — pragnienie, radość, obawa, smutek, zapożyczam z pamięci wszystkie moje rozumowania o tym i wszystkie podziały i określenia, które czynię podług gatunku i różnicy; *wspomnienie zaś namiętności nie porusza mnie żadnym wzruszeniem namiętnym*. A jednak byłoby dla mnie niemożliwym wspominać je, gdyby nie były obecne w tym skarbie, z którego czerpię... Któżby rzeczywiście zdecydował się uprzytomniać

sobie te słowa — smutku i obawy, gdyby za każdym razem, gdy się o nich mówi, trzeba było smucić się lub bać się? A jednak niemożliwym byłoby mówić o nich, gdybyśmy nie znajdowali w naszej pamięci nie tylko obrazu, który dźwięk tych słów tam wyzłabia za pomocą zmysłów, lecz także pojęcia rzeczywistości, wprowadzonych tam bez stukania do którychkolwiek drzwi cielesnych, i powierzonych przez umysł pamięci na wiarę tylko poprzednich uczuć, pamięci, która sama często zatrzymuje je bez mandatu“^{*)}.

Paradoks zawiera się w tym fakcie, że, wspominając pewną chwilę wzruszeniową, wszystko jedno, czy odtwarza się ona dowolnie, czy żywiłowo, nie odczuwamy nigdy tego samego, co było w rzeczywistości. Okoliczności tej chwili, jej strona obrazowa odtwarzać się może z największą dokładnością w szczegółach; emocjonalna — będzie zawsze w jakimś innym stosunku do nas. Rozpamiętywana chwila smutku minionego zachowuje swoją tożsamość z tym, czym była w życiu, poznajemy, że to ta sama, nie mamy żadnej wątpliwości, żeśmy się nie omylili we wspomnieniu, a jednak staje ona przed nami, jak gdyby otoczona jakąś pogodną atmosferą spokoju, czasem nawet radości; mamy często pociąg do rozpamiętywania jej, do wskrzeszania przeszłości jak najbardziej realistycznego, a jednocześnie wzdrygamy się na samą myśl przejsia przez nią drugi raz w życiu. Zachodzi tu wyraźna sprzeczność: chwila wzruszeniowa odtwarza się z zupełną tożsamością swej istoty afekcyjnej; gdy w życiu wraca druga taka sama, poznajemy, że *to już było*, i wszelkie najdrobniejsze okoliczności, towarzyszące tamtej, przypominają się nam wtedy; znaczy — że pamięć zachowuje ją wiernie. Co więcej, bywa często tak, że jakiś zapach lub światło, za pomocą tylko swojej emocjonalnej strony, rozbudzi wspomnienie pewnej chwili wzruszeniowej, tak, iż pod wpływem tego tylko bodźca staną przed nami odtworzone wiernie jej okoliczności, obrazy pamięciowe. Wierność obrazów, które nieczym bezpośrednio nie zostały pobudzone, żadnym symbolem słownym, a tylko emocją zapachu lub światła, każe przypuszczać, że nieodłączna od nich ich własna strona wzruszeniowa, minioną już dawno, została przechowana wiernie w pamięci, jeżeli samo pokrewieństwo wzruszeniowe wrażeń rozbudziło jej obra-

^{*)} P. Confessions, ch. XIV, p. 262—3.

zy. Pomimo tego, wspomnienie wzruszenia nie jest nigdy tym samym, co rzeczywistość, jakkolwiek istota uczuciowa chwili odtworzonej pozostała tą samą, w te same obrazy rozwija się, w ten sam bieg faktów psychicznych jest włączoną we wspomnienia, co i w życiu. Powołać się tu nie można na silne i słabe stany, jak przy wrażeniach i obrazach, gdzie może decydować obecność zewnętrznego bodźca. Różnica bowiem nie zasadza się tutaj na stopniu natężenia i wyrazistości; a przytym siła fizjologiczna bodźca nie wpływa nie na siłę wzruszenia, jest ono czyśto wewnętrznej natury: dwa słowa, przeczytane w jakimś liście np., wystarczą, by obudzić bardzo potężne wzruszenie, i toż samo przeczytanie, powtórzone później kiedyś, daje już co innego, chociaż cała jego wartość psychiczna, jako wspomnienia, polega tylko na tym, że została zachowana w pamięci i z nim złączoną ta cała chwila wzruszenia, którą owe wyrazy stworzyły.

Ten paradoks psychologiczny—że pewien stan wzruszeniowy, nie będąc tym samym, co był, zachowuje jednak wartość indywidualną tego samego, co był, i przedstawiając się czym innym dla świadomości, daje zarazem świadectwo, że jest tym samym; będąc np. smutkiem w pamięci jest zarazem pewną niby radością we wspomnieniu, nie przestając być wiernym wskrzeszeniem przeszłości, — paradoks ten pokazuje przedewszystkiem znaną już nam dwoistość natury faktu psychicznego*): pierwotne jądro uczuciowe faktu i jego rozciągnięcie na życiowym warsztacie apercepcji. Byłby on zupełnym absurdem, gdyby tylko *jeden rodzaj* świadomości warunkował wszystkie istnienia duchowe; w takim razie pewien fakt duszy mógłby tylko albo być sobą, albo też wcale nie być, nie przedstawiałby jednak tej dialektycznej zagadki, że będąc czymś, zarazem nim nie jest. Zagadka jednak rozwiązuje się w *dwojakim rodzaju* świadomości—imiennej i bezimiennej, współistniejących ze sobą w każdym zjawisku; gdyż to samo, co w bezimiennej świadomości nie przestaje być sobą, może być zarazem czymś innym w sferze świadomości imiennej, intelektualnej, jeżeli każdy fakt duchowy konkretny naturą swoją przenika w obie te dziedziny świadomości, jeżeli warunkiem jego pojawienia się jest właśnie to, że zjawia się tylko w punkcie prze-

*) Zob. „Dwulicowy charakter postrzeżeń”.—Przegląd Filozoficzny. Rok. I.

cięcia się ich obu. — Tak samo i każdy wzruszeniowy moment życia posiada swoje dwojakie oblicze: przedmysłowe i myślowe. Myślowe zanika razem z momentem żywym i nigdy już takim samym odtworzyć się nie może; naśladują je tylko mniej lub więcej dokładnie obrazy wspomnień; przedmysłowe zaś przeżywa w intuicji naszej nienaruszone żadnymi zmianami, i przy każdym wspomnieniu ono to daje mandat na przedstawicielstwo przeszłości. Lecz to właśnie, co charakteryzuje życiowe wzruszenia pewną atmosferą namiętności, może wcale nie należeć do ich intuicyjnego jądra, do ich istoty bezimiennej; będąc zaś właściwością myślowego oblicza faktu, może nie odzwierciedlać się wcale we wspomnieniu, pomimo że wspomnienie jest rzeczywistym odtworzeniem się faktu wzruszeniowego, gdyż przechowuje w sobie jego bezimienną istotę, chociaż ogołoconą z tej specjalnej atmosfery wzruszeniowo-intelektualnej, jaką fakt ów posiadał w życiu. Jeżeli więc wspomnienie wzruszenia jest tak różnym od wzruszenia właściwego, które przeżyliśmy, to dlatego, że we wspomnieniu mamy tylko istotę bezimienną wzruszenia, ukrytą pod symbolami, w życiu zaś mieliśmy do czynienia z całym jej rozwinięciem intelektualnym. Jeżeli zaś, pomimo tej ogromnej różnicy, wspomnienie zachowuje realną wartość, mówi nam o tym samym, cośmy przeżyli wzruszeniowo, to dlatego, że istota wzruszenia pozostała tą samą, a zmienił się tylko jej stosunek do nas.

Przypuszczenie, że to intelektualizm, z całym swoim aparatem obrazów zmysłowych i wysiłków apercepcyjnych, jest sprawcą, iż wzruszenia życiowe są dla nas takimi, jakimi są właśnie, że ta sama emocja strachu lub miłości np., wzięta jako całość pewnego momentu życiowego, byłaby czymś innym dla odczuwalności naszej w stanie swobodnym od intelektualizmu, niż gdy jest poddana intelektualizmowi, t. j. taką, jaką ją zwykle znajdujemy w życiu; że zatem nie jest ona pierwiastkowym stanem duszy, lecz wysoce złożonym, — przypuszczenie takie, chociaż wydać się może bardzo dziwnym, daje się jednak uzasadnić samo przez się, a nie tylko jako pomocnicze dla rozwiązania zagadki pamięciowej. — Chwila emocjonalna żywa przedstawiałaby się nam zapewne inaczej, gdybyśmy ją tylko *kontemplowali*, zatrzymując zwykły bieg myśli, antecepowania coraz dalszych wyników i nاپrawiania przeszłości; gdybyśmy jednym słowem brali ją, jako chwilę zupełnie oderwaną, czym też jest psychologi-

cznie w świadomości pierwiastkowej, nie wciągając jej umysłem swoim w cały przebieg życia. To, co odczuwamy tak żywo, ze wzburzeniem pewnym, w radości, rozpacz, strachu lub pożądaniu, połączone z charakterystycznymi objawami fizjologicznymi, jest zawsze objawem *wtórny*, gdy przez życiowe kategorie patrzymy na fakt dany; w pierwszej chwili strachu nie boimy się*), i w pierwszej chwili rozpacz nie rozpaczamy; pojawia się to dopiero wtedy, gdy umysł zaczyna reagować, gdy weźmiemy na pomoc cały swój intelektualizm, by nam tę chwilę pokazać; jesteśmy zwykle kłopotliwi wobec momentu wzruszeniowego, usiłujemy sądzić i przewidywać w jakimś celu, jesteśmy celowo czynni, choćby ta celowość nie miała wtedy żadnej rozumowej podstawy, żadnego planu obmyślanego; i wtenczas pierwiastkowe jądro wzruszeniowe przekształca się na to, co znamy w życiu swoim, jako różne uczucia, mające swoje charakterystyczne osobowości umysłowe i wyrazy fizjologiczne. — Przeciwnie temu zachowanie się wobec momentu wzruszeniowego spotyka się u ludzi, którzy nauczyli się patrzeć na wszystko, jako na „wolę bożą“, wskutek czego mańjackie „co by to było“ i „co z tego będzie“ nie napastuje ich; kłopotliwość i celowość pozostaje stłumiona, a przez to moment wzruszeniowy nie posiada dla nich owej atmosfery wzburzenia, niepokoju, która specjalnym charakterem piętnuje wzruszenia życiowe, czyniąc je tak odrębnymi od ich wspomnień. Brak zaś tej atmosfery zbliża charakter wzruszeń życiowych do charakteru wspomnień: ludzie swobodni od niej bardziej *rozpamiętują* chwile emocjonalne, aniżeli *kłopotczą* się niemi celowo. Stojąc bliżej ich narodzin intuicyjnych, ich istoty pierwotnej, wskutek pewnego zatamowania twórczości apercepcyjnej przerabiającej, rozpatrywać mogą fakt dany „sub specie aeternitatis“; widzą w życiu tę samą istotę afekcyjną faktów, którą zwykle tylko we wspomnieniach odnajdujemy. Tym można wytłumaczyć psychologicznie znaczenie „rezygnacji“, „wiary w Opatrzność“, jej ogromnie doniosły wpływ na życie ludzkie, który w rezultacie daje zawsze pewne wyswobodzenie się od trosk życiowych.

*) Liczne świadectwa co do tego faktu spotkałem w opisach psychologicznej strony „widzeń telepatycznych“, zebranych przez Gurney'a, Meyers'a i Podmore'a, w ich dziele „Phantasms of the Living“.

Dziwniejszym jeszcze wydaje się paradoks pamięciowy rzeczy tak niezłożenie prostej na pozór, jaką jest ból cielesny. Ś. Augustyn czyni tę uwagę, że „wymieniam ból ciała, nie doznając żadnego, a jednak, gdyby jego obraz nie przedstawiał go w mojej pamięci, nie wiedziałbym o czym mówię, nie odróżniałbym go od przyjemności“ (l. c. XV, 264 p.). — Mówiąc komuś o bólu pewnym, opowiadam w obrazach przenośnych, bo innego sposobu nie ma; obrazy te jednak (jak np. ból, który przeszywa ostrzem, porywa, szarpie, pojawia się w jasnych błyskach, skupia się, pogłębia i t. p.) — mogłyby być tak samo dobrze użyte do przedstawienia rozkoszy, uniesienia, lub innej emocji; jedne i te same są nieraz używane, jako symbole odczuwanych stanów, dla wyrażenia różnych wzruszeń. Cała zaś treść właściwa, która symbolom nadaje wartość rzeczywistości, sam ból jest zamilczany, wyrazić się nie da, milcząc umówiony między ludźmi. Jeżeli więc strona obrazowa, symbolistyczna nie ma żadnej psychologicznej wartości, a pomimo tego wystarcza nam zupełnie, ażebyśmy mieli poczucie odtworzonej prawdy, odszukali dawny ból, to znaczy, że zawiera się on w intuicyjnej stronie obrazów odtwarzanych, nadającej im właściwą wartość psychiczną wobec świadomości wspominającej; wtenczas, gdy sama strona obrazowa, przedmiotowo rozpatrywana, pojęcia, oderwane od intuicyjnego łożyska, mogą zaszczeplić się na różnym odczuciu. Dość tylko zwrócić uwagę, jak podobnych opisów używają powieściopisarze dla oddania przyjemnych lub bolesnych stanów; nieraz zmieniawszy tylko jedno słowo „przyjemne“ na „przykre“, możnaby z opisu rozkoszy mieć opis bólu, lub odwrotnie. Intuicja jest istotą faktu psychicznego; obrazy wydobywane z niej — objawem wtórnym, i o tyle tylko posiadają wartość danego faktu, o ile rozpatruje się je w żywym związku z intuicją. Odtwarzając się, jako przedstawiciela bólu, jako ból który był, zawierają, znaczy, ową *rzeczywistość byłą* w swej intuicyjnej stronie, bo inaczej dla myśli naszej byłyby bez znaczenia, czymś pustym i bezsensownym.

A jednakże *bólu właściwego* nie czuję wcale przy wspominaniu, chociaż to, co odczuwam w obrazach, ma dla mnie nieomyślnie znaczenie tylko tego bólu, niczego innego, i to nie wskutek żadnej umowy „konwencjonalnej“, która zresztą byłaby zupełnie niemożliwą, lecz w jakiś przyrodzony, rzeczowo spontaniczny, niezależny odemnie

sposób utożsamia się dla mnie z bólem przebyłym. To, co odczuwam w obrazach, jako ból były, nie warunkuje się już niczym, samo sobie wystarcza *jako ból*, i samo tylko warunkuje psychiczną wartość obrazów; podczas gdy obrazy warunkują się zupełnie tym, co się w nich odczuwa intuicyjnie, i wyniesione z tego gruntu odczuwalności stają się czymś innym, lub czymś obojętnym. — Odczucie, które się zjawia we wspomnieniu bólu, nie jest więc symbolem, zastępcą bólu rzeczywistego (jak słowa i obrazy), lecz bólem samym; pod nim nie się już nie kryje i nie omawia jego natury; ono jest pierwotnym we wspomnieniu. Nie można go uważać za ślad tylko, za słabe odbicie się rzeczywistego stanu, który zanikał. Charakter jego jest tak różnym od bólu rzeczywistego, że musielibyśmy po tym śladzie odszukiwać dopiero tamtą rzeczywistość, żeby natrafić na poszukiwaną we wspomnieniach chwilę. Fizjologicznie zaś ból wspomniany jest przeciwieństwem rzeczywistego; jest tak niepodobnym, że z uśmiechem na twarzy i naturalnym spokojem możemy o nim opowiadać. Lecz do czegoś odwołujemy się, aby poznać, że to ta sama chwila? Chwili tej przecież nigdzie odnaleźć nie możemy, jak tylko w tymże samym wspomnieniu; jedyne jej świadectwo i probierz przeszłości nie może być niczym innym, jak tym właśnie *odczuciem*, które mamy we wspomnieniu bólu, tak niepodobnym dla ciała i umysłu do bólu rzeczywistego.

Zjawisko to można tym tylko objaśnić, że to, co pozostało w pamięci (owo *niepodobne—tożsame*) było także istotą intuicyjną bólu rzeczywistego, lecz my nie mogliśmy wtenczas widzieć go w tej postaci. Czy można jednak mówić, że ta postać *istniała*, jeżeli nie była *odczutą*, jeżeli odczuwało się wtedy coś zupełnie innego; sama w sobie przecież być nie mogła, jako odczucie, jako rzecz psychiczna? — Oczywiście, że nie; nie mamy tu do czynienia z odrębnym zjawiskiem, zatajonym w danej rzeczywistości, lecz z jej dwojakim charakterem, jako faktu świadomego. „Odczucie wspomnieniowe“ istnieć mogło w rzeczywistości tylko, jako *jednostka bezimienna* natury, ten tylko bowiem posiada charakter i w pamięci; rzeczywistość zaś bólu jest procesem, który pochłania całą uwagę, musi więc w niej brać udział i czynnik apercepcyjny, który uszanować tej jednostki bezimiennej nie umie, a oddzielić się od niej nie może, bo ona stanowi

materiał jego istnienia. Intuicyjna strona faktu psychicznego (będącego zawsze apercepcyjnym wynikiem, choćby to było najprostsze postrzeżenie) jest właściwie początkiem procesu, niepochwytym dla obserwacji aktualnej, jest faktem od progu myśli widzianym. Nie jest to składnik nieświadomy, nie-psychiczny świadomego faktu, lecz rzeczywistość odczuwana, której jednak apercepcja nie może dotknąć się bez zatracenia jej pierwotnego charakteru. Widzimy inaczej tę intuicję bezimienną we wspomnieniu i w rzeczywistości, zależnie od tego, w jakim stosunku stanie do niej uwaga nasza; lecz ona sama nie zmienia się, tylko wchodzi w inny proces; apercepcja notuje i poznaje co innego w obu razach, gdyż tylko *proces* stanowi chwilę życia dostępną dla apercepcyjnego poznania. Ten sam moment psychiczny nie może być przez nas rozmaicie widzianym, bo byłyby to dwa momenty różne, jeżeli nie przyjmujemy rzeczy psychicznych „samyh w sobie“, na podobieństwo metafizycznej teorii „nieświadomości“ duchowej. Lecz ten sam moment, jak w wypadku rozpatrywanym, może być punktem wyjścia dwu różnych procesów, i być wtedy widzianym i odczuwanym, jako dwa różne fakty, gdyż to, co się wtedy widzi i odczuwa, są to całości procesów, stanowiące imienne i określone zjawiska, nie zaś ich pierwotny element. — Z tego też powodu, gdy przychodzi wspomnienie bólu, mamy wrażenie i widzimy dwie rzeczy różne, gdyż są to dwa różne procesy *czegoś* tego samego; apercepcja spostrzec nie może owego „coś“ utożsamiającego; jest ono tylko odczute, jako *wiara* nasza w tożsamość, pomimo różności spostrzeganych faktów.

Ta *dwoistość* natury bólu — jako faktu przedmyślowego i myślowego — uwidocznia się w rzadkich zresztą wypadkach duchowego znieczulenia się na ból za pomocą odwrócenia odeń uwagi, występujących szczególnie w życiu bohaterów i ascetów, chociaż i w pospolitym doświadczeniu spotkać się z niemi można. Jeżeliby ból, ten, który odczuwamy w rzeczywistości, był prostym i pierwiastkowym faktem naszego odczucia, natenczas nie byłoby żadnej racji, dla czego by on zanikał przy zwróceniu się uwagi w innym kierunku, jeżeli przyczyny zewnętrzne, które to odczuwanie wywołują, trwają dalej. Ból, jako bezpośredni objaw czuciowy tych przyczyn, jest zupełnie niezależny od działania uwagi naszej, narzuca się jej z żywiołową potęgą i najmniej nadaje się do tego, ażeby go

uważać za dowolny wynik intelektualizmu. Nie ulega więc wątpliwości, że i wtedy, kiedy uwaga nasza zwraca się gdzieindziej, mocą nadmiernego wysiłku woli wewnętrznej, ból pozostaje nadal nienaruszonym w czuciowości naszej, dopóki przyczyny wywołujące go nie ustaną działać. Pomimo tego jednak, z chwilą odwrócenia się uwagi, staje się on czymś innym dla duszy ludzkiej, co można sądzić z tego, że zwykle jego oddziaływanie fizjologiczne i psychologiczne ustaje wtenczas; sądząc z opisów, twarz wypogadza się, nabiera innego wyrazu, często wręcz przeciwnego wyrazowi bólu, np. łagodności lub natchnienia; cierpiący objawia swobodę umysłu i uczuć; z wypowiedzianych słów i zachowania się całego widać, że jakaś inna osobowość moralna, zupełnie nie licująca z bólem, utrwaliła się w jego duszy. Wszystko to byłoby niemożliwym, gdyby ból pozostał takim, jakim go się zwyczajnie odczuwa; ma on bowiem właściwość tytanicznego owładania duszą ludzką i, jako proces bardzo żywotny i mocno zespojony, paraliżuje wszelkie obce sobie objawy; udawanie nawet innej osobowości niż ta, która jest jemu właściwą, oznaczałoby już wyzwolenie się z pod jego jarzma. Ponieważ zaś ból, jako rzecz psychiczna, czysto żywiołowa, nie mógł zaniknąć wskutek odwrócenia się odeń uwagi, znaczy więc, że znalazł się tylko w innym stosunku do nas, że ogołociwszy się z aperccepcyjnego czynnika, pozostaje w naszej świadomości pod postacią bezimienną intuicji. To więc, co odczuwamy zwyczajnie, jako ból, nie jest rzeczą pierwiastkową, lecz pewnym rozwinięciem się aperccepcyjnym pierwiastka intuicji. *) Pierwiastek ten może przeto zachować się i we wspomnieniu,

*) K. Richet zwraca uwagę na związek, jaki istnieje pomiędzy bólem a inteligencją: ból jest tym silniejszy, im bardziej rozwiniętą jest inteligencja; zwierzęta mniej cierpią od ludzi, dzieci — od cywilizowanych osobników; możnaby przeto — mówi on — uważać ból jako „funkcję intelektualną”. — Fouillée, polemizując z intelektualistycznymi teorjami uczuć (p. Psych. des idées-forces, t. I), zbija twierdzenie Richet'a tym, że przytoczone przez niego fakty mogą być tylko dowodem słabszej wrażliwości, nie zaś wpływu na ból intelektualnej strony. — „Wpływ intelektualny” nie daje się jednak zaprzeczyć, jeżeli rozważymy takty zależności natężenia bólu od uwagi, i wogóle od różnych stanów umysłowych tego samego osobnika; wiadomo np., że będąc silnie przejętym jakąś myślą lub sceną życiową, można nie czuć wcale, lub w stopniu bardzo niewyraźnym, wielu dolegliwości i cierpień; każda niemal psychologia zawiera opisy podobnych faktów.

choć go wtedy nie odczuwamy, jako ból rzeczywisty. — Tak więc paradoksy pamięci wzruszeniowej dają się objaśniać za pomocą teorii rozszczepiania się faktu psychicznego na swoją aperccepcyjną i intuicyjną stronę, z których pierwsza zanika wraz z aktem uwagi, pociągając za sobą śmierć konkretnego faktu świadomości, druga zaś przeżywa w zapomnieniu i odnajduje się nienaruszona, taż sama, w obrazach wspomnieniowych.

Z tego bezimiennego życia psychicznego, jakim jest obdarzony każdy fakt w zapomnieniu, pochodzi także zjawisko, które możnaby nazwać *odmładzaniem się* pamięciowym faktów. Spostrzegać się ono daje powszechnie, a zasadza się na tym, że moment życiowy, odtwarzając się we wspomnieniu, przedstawia się nam w zmienionej barwie uczuciowej i jak gdyby w innym oświetleniu życiowym. To samo zdarzenie, lub pewien okres życia, który pamiętamy we wszystkich szczegółach, wydaje się nam zwykle we wspomnieniu czymś lepszym, aniżeli był istotnie w rzeczywistości; mamy takie złudzenie uczuciowe, jak gdybyśmy, przeżywając owe chwile, odnosili się do nich w niewłaściwy sposób i nie umieli ocenić ich rzeczywistej wartości, zanadto się troskali niemi, przesłepiając dobre strony. Przeszłość ma dla nas zawsze coś pociągającego, jakiś urok, nie dający się usprawiedliwić rozumowo; wygląda tak, jak gdybyśmy przy spoglądaniu wstecznym używali dziwnego teleskopu, w którym wszystkie złe, przykre barwy przedmiotu zacierają się lub słabną, przyjemne zaś nabierają siły i rozpościerają się na całe pole widzenia. Wspominając, jeżeli tylko poddajemy się uczuciowej stronie wspomnień, skłonni jesteśmy zawsze prawie niedoceniać tego, co było złym w przeszłości, jak gdyby zło trzymało się bardzo słabo naszej pamięci; przesadzamy natomiast i uogólniamy zanadto każdy moment przyjemny, jaki się w niej zdarzał, widzimy nawet miły podkład cenestezyczny tam, gdzie w rzeczywistości go nie było. Ludzie, piszący dzień po dniu swoje pamiętniki psychologiczne, mogą łatwo przekonać się o tym, niech tylko porównają to uczucie, z jakim w danej chwili wspominają dzień pewien, z tym, co o nim na isali, gdy był jeszcze prawie rzeczywistością, a uderzeni będą niewspółmiernością swego obecnego odczuwania z ówczesnym, jak gdyby o tym samym fakcie pisało dwóch ludzi — jeden z przewagą pesymizmu, drugi optymistycznego nastroju. Przytym można zauważyć

łatwo, że im większy przeciąg czasu oddziela wspomnienie od rzeczywistości, tym silniejszym staje się złudzenie optymistyczne, tym większy urok roztacza się nad wspomnianą chwilą, i w sądach naszych tym bardziej jesteśmy skłonni do pobłażliwości i lekceważenia ówczesnych złych rzeczy. — Cała zaś ta zmiana dokonywa się żywiołowo i podczas okresu zapomnienia danego momentu. Nie my nadajemy nową barwę uczuciową wspomnieniu, upiększając je w jakiś sztuczny sposób, co by było niemożliwym, lecz ono samo przedstawia się w nowym oświeceniu, narzuca się nam ze swoim optymizmem, wpływa właśnie na nasze sądy. Znaczy więc, że zmiana, która zaszła w danym fakcie duchowym, zająć musiała w głębinach pamięci, wtenczas jeszcze, gdy on był zapomnianym, pseudo-nieświadomym i nie istniejącym faktem. Z czego wynika, że pamięć nie jest składem biernej natury momentów życiowych, depozytorem wiernym i sumiennym, oddającym to samo, co wzięła, jakby tego wymagała fizjologiczna teoria pamięci, lecz raczej środowiskiem *przetwarzającym*. Wchodzące do niej postrzeżenia i pojęcia nie pozostają tam zaskrzepłe i martwe, lecz są obdarzone jakimś specjalnym życiem pamięciowym; wychodzą stamtąd inne niż weszły; układają się w kombinacje i stosunki, których nie miały w swoich rzeczywistych chwilach; pokazują to, czego nie miały, będąc jawą.

Oczywistym jest, że cała ta zmiana uczuciowa, jaka objawia się we wspomnieniach, pochodzić może tylko z ich poprzedniego życia w bezimiennych tajnikach pamięci. Fakty świadomości, oswabdzając się przy zapominaniu od apercepcyjnego czynnika, powracają do swej pierwotnej postaci intuicyjnej, która przedstawia daleko większe bogactwo możliwości psychicznych, aniżeli jej myślowy objaw. Widziane z tej strony są sprowadzone do swego źródła uczuciowego, stoją bliżej swego pierwotnego pochodzenia, gdzie niejedno mogło pozostać zatajonym dla myśli i niewyczerpanym jeszcze przez nią. Bezimiennosc psychiczna, z której wychodzą wspomnienia, ten bezpośredni i najwierniejszy wyraz całego środowiska makrokosmu, niepoznawalnego świata rzeczy, może więc stanowić czynnik *par ex ellence* odradzający i przenikać we wspomnienia jakąś nową barwą uczucia, przeinaczając fakty stroną dostępną dla siebie, to jest uczuciowej natury. Jeżeli wspomnienia objawiają się nam w innej atmosferze wzruszeniowej, aniżeli rzeczywiste

fakty, to pochodzi to przede wszystkim z ich charakteru *równoważników uczuciowych*, ujmowanych symbolistycznie przez apercepcję; w tej zaś postaci, gdzie jest przewaga pierwotnej intuicji nad intelektualizmem, te same fakty świadomości muszą mieć jakąś inną barwę uczucia, jeżeli zważymy, w jak znacznym stopniu procesy myślowe wpływają na sposób odczuwania naszego.

Być może, że chwile tak zwanego *natchnienia* nie są niczym innym, jak tylko bogactwem pierwotnej fali życia psychicznego, która wraca z pamięciowej, bardzo subtelnej operacji: są to wszystko już przeżyte, znane kiedyś momenty duchowe, które, przebywając w głębiach nieświadomego, przyjęły tam chrzest intuicji dziewiczej, bezimiennej; odnalazły w tym morzu ciemności — swoją naturę przedmyślową; spojrzwały sobie twarz w twarz; cienie na jawie (jako przechodzące przez pryzmat intelektualizmu) — odnalazły tam swoje pierwotypy, „idee“ platońskie, swoje „substancje“ intuicyjne, uczuciowe, i z tą nową świeżością żywotną, zmienione przez to, że jak gdyby *odmyślane*, wracają napowrót do świadomego życia. Daje się to często zauważyć w pracy umysłowej: myśl, zaniechana na czas pewien, przychodzi potem z nowym bogactwem intuicji; pojęcie wyjałowione nabiera w odpoczynku pamięciowym jak gdyby nowego materiału.





ROMAN KRECZMAR.

Scena niesceniczna.

Mala, lecz wysoka izba gotycka w narożniku zamkowej baszty. Wokoło ścian wiele ksiąg—na stole leży lutnia. MŁODY KSIĄŻE, ubrany w czarny strój aksamitny — sam.

KSIĄŻE.

Tam, z poza chmur błękitno-szarych obramowań,
Powstaje księżyc cichy — i ta jest godzina,
Kiedy się w duszy mojej najwięcej poczyną
Cichych i czystych tonów — i cichych miłowań...
Przyjdzie ranek — krew rzuci na rój moich snów,
I rozleca się one, jak gołębi stada.
Ognisty krąg rozleje wkoło krwawe morze —
Gołąb jeden po drugim w krwawą toń upada...
Boże... Boże... Boże...
Wzniosą się, wzlecają, wzbijają się do góry
W lot chyży a zuchwały,
Ale rażą mi oczy blaskiem swej purpury,
Bo moich rój był biały! —
Dlaczego dziś mię męczą, powracają poco? —
Precz! — wy nie moje — zostać chcę sam na sam z nocą.

(Wchodzi RYCERZ w czarnej zbroi, z rdzawą plamą na napierśniku pancerza, i niepostrzeżony cicho staje za Księciem.)

Znów blask pochodni w okna bije. — Ani chwili
Ciszy: słychać tętent zbójckiej gromady...
Czy prawda, co mi mówił mój towarzysz blady,
Żeście...

RYCERZ.

...Krwia purpurową swego syna chrzcili.

KSIĄŻE *(odwracając się szybko.)*

Boże! To niemożliwe, to nazbyt potworne!
Pocoś przyszedł, jak czarne udręczeń szatany,
Cichy i krwawy — dziwne zjawisko upiorne —
Ja ciebie nie wołałem?...

RYCERZ.

Lecz byłem wspomniany:
Z imieniem moim było związane pytanie,
Na które odpowiedzieć chciałbym tobie, panie.

KSIĄŻE.

Mów więc.

RYCERZ.

Nie chcę cię w próżnej pograżać żalobie,
Bos jest, jako kwiat biały — na wiotkiej łodydze.
Lecz na kielichu kwiatu krwi kropelki widzę —
Jest-żeś kwiatem ofiarnym na męczonych grobie?...

(Księżę wstrząsa się.)

Przebac, panie, wszak mówić miałem rzeczy inne. —
Pytałeś — odpowiedzieć szedłem; lecz się boję
I nie chcę ruszać wspomnień, bo wspomnienia moje
Z twych lat dziecinnych takie strasznie niedziecinne!
Godzina późna — pan mój zmęczony ogromnie —
Pójdę już... Czemu wkoło patrzysz nieprzytomnie?
(Księżę czyni głową ruch przeczenia i wzrokiem zatrzymuje mówiącego.)

Nie pytać? — a więc dobrze? Mówić? — więc ab ovo:
Był to czas ciężki i krwią powietrze ciężarne...
Dokoła otoczyły zamek mroki czarne,
Na żer lecące sępy krakały nad głową.
Błękity spowinęły się w chmurę gromową,
Powietrze było głuche niezwykle i parne —
I czuło się, że na świat z niebiosów upada
Gniewu Bożego posel — zniszczenie, zagłada.

I na ziemi gniew Boży huczał: ludu fale
Szare stały i groźne—a szum ich złowrogi
Biegł aż pod dumne zamku wyniosłego progi
I trząśł nim i do komnat wdzierał się zuchwale.
Pustemi stały ciche i ponure sale,
I drżącym skrzydłem po nich przebiegał ptak trwogi...
Wszyscy się w jednej, tylnej komnacie zawarli —
Błdzi, bez ruchu — rzekłbyś, że w trwodze pomarli.

W głębokim, dużym krześle ojciec siedział: oko
Jego płonęło dzikim ogniem nienawiści —
Czuł, że oto się nad nim straszny wyrok iści...
Ręce na sukniach, krwawą zbryzganych posoką,
Wsparł i siedział milczący; a w cieniu, głęboko,
Pacierz szepecząc, co brzmiał tu, jak szmer suchych liści,
Matka twoja leżała; czarny ksiądz na rękach
Trzymał dziecię, powite wczora w łzach i mękach...

A wtym ksiądz mówić począł — i wszyscy żrenice
Zwrócili nań — i słyhać było, jak śród łona
Każde tłukło się serce... On wzniosł w górę lice
I szeptał: „Gdy nadchodzi chwila przeznaczona,
Kiedy Pan straszną gniewu opuszcza prawicę,
Niechże dziecię nie w grzechu pierworodnym kona,
Niechże duch jego młody nie będzie przeklęty
Za to, że czoła jego chrzest nie obmył święty“...

Tu się dzikim, złowrogim odezwały echem
Ściany zamku, zadrżały w komnacie filary. —
To ojciec, dobroczyńca nasz, to ksiązę stary
Buchnął szyderczym, strasznym, nieczłowieczym śmiechem
I rzekł: „Choć mówisz, księżu, żem niejednym grzechem
Zmazany, więcej, niż ty, chowam w piersiach wiary,
Mimo twe wróżby bowiem, nadziei nie tracę,
Że nie zaśpiewasz dzisiaj *quiescat in pace!*“

„A syna będę chrzcil sam — precz mi z wodą!
Synu, gdy zginę, ty żyj, abyś był mścicielem.
Oto wszystką krew, której w życiu przelał wiele-m,
Rzucam dziś na niewinną twoją główkę młoda.
Zgiń raczej, gdy cię duchy twoje nie powiodą
Tą drogą, jaką tobie dzisiaj w przyszłość ściele!“ —
Krwia znaczył dziecka czoło; cisza była głucha,
On kończył: „W imię Ojca, i Syna, i Ducha...“

KSIĄŻĘ (*nieruchomym głosem*).

Tak mówił... A krew krzepła i na dziecka czoło
Pozostała na wieki purpurowym znakiem —
I dziś, kiedy na męża wyrasta pacholę,
Na bój życia wychodzi...

RYCERZ.

...czerwonym krzyżakiem!

KSIĄŻĘ.

Nie! w bój nie pójdę — ponad życie wzlecę,
Na skrzydłach myśli się wzbiję —
Gwiazdę jasności nad czołem rozświecę
I w świecie marzeń ożyję! —
Tam pójdę, kędy w wielkiej mgławej toni
Nieśmiertelne a ciche śpią duchy —
Ożyję, w nocnych westchnieniach wsłuchany podmuchy —
Zapomnę, zapomnę o niej,
O ziemi — zapomnę... zapomnę...

RYCERZ.

Słyszysz te jęki ogromne? —
Te głosy dziwne, dzikie, trwożne,
Przerażające a wielmożne!...

PIEŚŃ ZA OKNAМИ.

Morzem się rozlała krew,
Drżą różowych zwały pian.
Ciała, zwisłe z kaźni drzew,
Z wichrem wściekły wiodą tan.

Szubieniczny skrzypi słup —
Wichr nim wstrząsał z całych sił
I melodią dziką wył —
W takt jej siny tańczył trup...

Gdzie więzienny, czarny mur,
Słysząc głuchy kajdan brzęk,
I męczonych cichy jęk
Rozpaczliwy daje wtór —

Tam, gdy zbrakło młodych sił,
Mój dręczony, biedny brat
O żelaznych sztabach krat
Okrwawioną głową bił...

Na powierzchni krwawych mórz
Tłumy białych płyną ciał —
A na brzegu duch mój stał,
Czerpał krew do złotych kruż. —

Pośród nocnych pójdzie cisz
Sączyć śpiącym krew do gardł,
Aby każdy sercem stwardł —
Przehartował ciało w spiż!

Ci, co słodki marzą sen
I pieszczonych widzeń czar,
Kiedy puhar spełnią ten,
Szereg krwawych ujrzą mar! —

Jak niewolni pójdą już,
Gdy im sygnał będzie dan...
...Drżą różowych zwały pian
Na powierzchni krwawych mórz...

KSIĄŻE (chwilę milczy, potem, patrząc w okno, mówi ze wzrastającym obłąkaniem.)

Boże! Kogo wołacie? — Zrodzeni w niewoli,
W ducha wiecznym ucisku — do czynu niezdolni.
Jam nie z tych, którzy, bólem gardząc, giną wolni,
Lecz z tych, co płaczą, gdy boli...
Zanim ty przyszedłś do mnie krwawa i wybladła,
Przyszła niemoc i ręce kładła na ramiona,
A kiedy te kamienne, straszne ręce kładła,
Czułem, jak w duszy mojej blask za blaskiem kona.
I jedno miałem tylko ukojenia chwile —
To chwile cichych marzeń... Gdybyś ty wydarła
To jeszcze — gdyby było za dużo i tyle —
Ostatnia struna duszy mojej by umarła...
Wiem, że koło mnie ludzie cierpieli boleśni
I padali — lecz jęku nocą nie słyszałem. —
A teraz... teraz wszystko m słyszał — i widziałem
Wszystkie bratnie męczarnie w słowach twojej pieśni...
Milczysz i patrzysz...

(odwraca się gwałtownie od okna i wpatruje się badawczo w milczącego rycerza)

...patrzysz: duch twój do komnaty
Wszedł i wciąż patrzy na mnie — wzrokiem mię przenika.
W oku łun mu okropnych igrają szkarłaty:
Czy każe mi puhaem pić krew męczennika?...

(wstrząsa się)

...Więc przyszedł... przyszedł... wszakże noc miał mieć do drogi,
A tu już ranek przez mgły krwawe wiedzie mary...

(Rycerz z wolna zbliża się do księcia.)

Stój! Ja ustami twojej nie dotknę się czary —
Stój... błagam — trwogę czuję... Ja boję się trwogi!...

Ściska rękoma głowę, slania się i mdleje. Rycerz, napełniwszy szklanek wodą ze stojącej konwy, niesie mu do ust... Promień wschodzącego słońca, który przebił się przez szybę wysoko osadzonego okienka, pada na wodę i rozpala w niej krwawe blaski.





M. RAKOWSKA.

Spadkobiercy romantyzmu.

(JERZY MEREDITH I ALGERNON KAROL SWINBURNE).

Dwuch pisarzy z najświetniejszego okresu ery Wiktoria wkroczyło w wiek XX, niosąc puściznę wielkiej doby romantycznej, która weszła w Anglii w ostatnich latach XVIII-go*) i początku XIX-go stulecia nazwiskami Wordsworth'a, Coleridge'a, Keats'a, Shelley'a i Byrona. Wyrażna ciągłość rozwojowa łączy wykwit twórczy drugiej połowy wieku z dziełem tych inicjatorów. Po zerwaniu ciasnych pęt pseudo-klasycyzmu, zapożyczonego od Francji, który ciążył nad nią przez lat dwieście, poezja angielska zakresliła sobie nowe drogi wytyczne i nie zeszła z nich aż po koniec wieku, mimo częściowych od nich uchybień. Należałoby zresztą powiedzieć właściwie, iż powróciła wprost tylko do tych romantycznych tradycji rasy, które znalazły w przeszłości pełnię wyrazu

*) Okres romantyczny zapoczątkowują właściwie wydane w r. 1798 „Lyrical Ballads”, zawierające utwory Wordsworth'a i Coleridge'a, powstałe pod wpływem ich wspólnych dyskusji o sztuce poetyckiej i jej zadaniach.

w kolosalnym dobytku Szekspira i wytwarzają tak ściśle powinowactwo pomiędzy Keats'em, poetą XIX-go wieku, i Spencerem, melancholijnym piewą epoki elżbietańskiej.

Cała plejada gwiazd różnego blasku wskrzesza te tradycje w minionym stuleciu z niezrównaną potęgą lirycznego wzlotu, przekształtując wraz z poetyką wewnętrzną treść twórczości. Gdy zeszło do grobu pierwsze pokolenie tych wieszczów, urzeczywistniających z nielicznymi wyjątkami najwyższą wybujałość romantyzmu zarówno w swym dziele, jak w tragicznie fantastycznym przebiegu krótkiego istnienia — poeci następnego okresu podejmują ich spadek. Głosząc, podobnie jak ich poprzednicy, prawa wyobraźni i wyzwolenie umysłu jednostki, różnią się od nich głównie większym kunsztem słownym i szerszym ogarnięciem życia. Wspaniały temperament literacki Byrona wylewał się z rzadka w doskonałej zupełnie formie. U poetów następnego okresu stwierdzamy natomiast wzrastającą wciąż dbałość o technikę wiersza i poszukiwanie harmonii dźwięków. Jednocześnie z tym olbrzymi postęp nauki, wnoszącej swe teorie i zdobycze we wszystkie dziedziny ducha i pracy twórczej, odbija się też na poezji. Równorzędnie z pogłębieniem zmysłu wartości artystycznych idzie pogłębienie ideowe, lecz zasadnicze dążności poezji pozostają też same. Ferment intelektualny r. 1848-go zapładnia je tylko ożywczym technieniem, oswabadzając od naleciałości, które mogłyby spowodować ugrzęźnięcie w nowym konwencjonalizmie, niemniej sztucznym od poprzedniego. Prerafaelityzm wprowadza również pierwiastki odrodzące, pozostając jednak zasadniczo jedynie odpływem wielkiego prądu romantycznego. To też twórczość Tennyson'a i Browning'a, Meredith'a, Swinburne'a i nawet Rossetti'ego jest przede wszystkim nowym etapem w pochodzie ku „Odrodzeniu Cudu”, którego ziszczenie było celem i hasłem tej poezji, badającej niezmięczenie drogi ludzkiego przeznaczenia i wsłuchanej w niezmiernym skupieniu w głosy natury, mówiącej każdym swym urzeczywistnieniem o tysiącznych przemianach, tworzących się wiekuiście w jej łonie. Romantycy angielscy, poganie przeważnie z instynktu i rozumowania, umieli odnaleźć wobec tej natury i jej tajemnic przedziwne słowa religijnej niemal ekstazy, która dźwięczy u wielkich mistrzów starożytności hellenickiej. Jest ona jedną z najwięcej charakterystycznych cech ich poezji.

Dwuch pisarzy, jak zaznaczonym zostało na wstępie, Jerzy Meredith i Algernon Karol Swinburne, wniosło w wiek XX-ty tę koncepcję poetycką. Ten to względ skłania mię do połączenia ich twórczości w jednym rysie, mimo dzielące ich różnice stosunku do istnienia i odrębność ich temperamentów pisarskich. Spotykają się zresztą na podkreślonym wyżej, wspólnym wielu poetom konstelacji romantycznej gruncie obcości wszelkim systemom wierzeniowym, wykluczającej uciekanie się do formuł teologicznych dla wyjaśniania zjawisk bytu. Obydwaj też posuwają wycucie natury dalej jeszcze bodaj, niż którykolwiek z ich współczesnych i poprzedników.

Literatura angielska święciła uroczyste przed kilku miesiącami ośmdziesięcioletnią rocznicę urodzin Meredith'a; Swinburne ukończył w roku zeszłym lat siedmdziesiąt. Obydwaj zachowali w podeszłej starości głęboką wrażliwość na wszystkie objawy życia, jego radości, bóle i ukochania. Meredith szczególnie zdumiewa wprost nadszłością, z jaką wibruje na każde drgnienie myśli współczesnej. Choroba wyczerpała oddawna ciało i obezwładniła je prawie, lecz nie zdołała skruszyć niezmężonej żywotności ducha. Ta zdumiewająca organizacja mózgowa nie знаła nigdy zmęczenia, a umysł czujny i przenikliwy sięgał wszystkich zagadnień, nasuwających się współczesnej ludzkości, starając się dotrzeć ich rzeczywistej treści. Meredith jest nie tylko żywym łącznikiem pomiędzy teraźniejszością i przeszłością, lecz w większym jeszcze stopniu poetą stającego się życia — jednym ze szczupłego szeregu tych wybranych, którzy w każdej epoce należą do przyszłości najcenniejszą substancją swego ducha i jasnowidzącą swą myślą. Jakikolwiek też stosunek zajmimy wobec całokształtu jego twórczości, monumentalnej w liniach i bogatej natchnieniem poetyckim, lecz niejednokrotnie nużącej gmatwaniną szczegółów i przesadnością formy, arystokratycznie wyszukanej i lśniącej ogniami tysiącznych ozdób, porównań i przenosiń — niepodobna nie uznać go za jedną z największych sił duchowych współczesnej kultury europejskiej i jeden z najwyższych jej wytworów.

Nie zamierzam jednak bynajmniej podejmować tu oceny wszystkich postaci jego niezmiernie różnorodnego dorobku pisarskiego, który przyjmował kolejno formy powieści, poematów, fantazji średniowiecznych i wschodnich i traktatów teoretycznych. Chodzi mi wyłącznie o jego

dzieło poetyckie. W samej już Anglii jego znakomity i wybitnie samoistny talent zyskał uznanie po nieprawdopodobnie długim okresie ślepego niedostrzegania zjawiających się kolejno jego utworów. Nieliczna garstka ludzi, którzy ukochali treść jego ducha, przywoływała nań w owej epoce bezskutecznie uwagę krytyki i publiczności. Rossetti, Swinburne, Henley i Stevenson, najczarowniejszy z twórców fikcji powieściowej, stali w pierwszym ich rzędzie. Lecz pomimo wszystkie ich wysiłki Meredith dobiegł lat 51 i pisał od lat trzydziestu, dając cały szereg dzieł pierwszorzędnej nieraz wartości, bogatych wykwitem wyobraźni i głębią psychologicznych dociekań (*"The Shaving of Shagpat"* i *"Farina"* fantazje w prozie; *"Evan Harrington"*, *"Sandra Belloni"*, *"Rhoda Fleming"*, *"Karrjera Beauchamp'a"*, *"Próby Ryszarda Faverel'a"* i kilka innych powieści, wreszcie dwa tomy poematów), gdy wreszcie ukazanie się *"Egoisty"* (r. 1879) zdobyło mu spóźniony rozgłos i sławę, jako powieściopisarzowi. Ale poezja jego pozostała nadal mało znana; stanął u schyłku istnienia, nie zdoławszy przemóc obojętności nie tylko już tak zwanych sfer intelektualnych, lecz często i przedstawicieli krytyki literackiej, dzieląc w tym poniekąd los wielkiego swego poprzednika, Roberta Browning'a, któremu dopiero w ostatnich dwudziestu latach długiego żywota, wypełnionego zdumiewająco bogatą twórczością, przyznano wreszcie prawa władcze w królestwie poezji. Wobec Meredith'a dzieje się cięższa jeszcze niesprawiedliwość z pokrewnych zresztą zupełnie względów. Podobnie jak Browning, jest on śmiałym pionierem myśli, torującym przebojem ścieżki, na których wyrosną kwiaty rodzącej się lub dalszej może jeszcze doby i wykazującym wobec przeczuwanych nieraz raczej, niż już występujących zagadnień zupełnie nowy gatunek ciekawości intelektualnej. Tak samo też, jak utwory Browning'a, nie daje zazwyczaj dzieło Meredith'a gotowych już pojęć, streszczających poprzedni proces myślowy, lecz czyni nas świadkami samego tego procesu, odbywającego się nieraz w sposób mało dostępny dla czytelnika, któremu nie ułatwia bynajmniej zadania forma, spowijająca misterną tkaną wywodów pisarza. Wniknięcie w tę poezję wymaga pracy mózgowej, natężenia władz umysłu, przed którym cofa się tak wielu. Prowadzi ona po przez meandry niezmiernie subtelnej analizy psychologicznej i spekulacji lirycznych, wyrażanych często w sposób zawily,

w wierszu twardym i szorstkim, z którego wytryskują tylko czasem olśniewające błyski. To też odwracać się od niej będą zawsze ludzie, dla których ozdoba słowna i harmonja dźwięków jest ostatecznym wyrazem sztuki poetyckiej i jej celem. Wehlaniąc jej utwory, jak aromat kwiatu, wymagają, by działały na nich z taką, jak ten aromat, bezpośredniością.

Tom utworów lirycznych, zatytułowanych dyskretnie „Poems“, stanowi pierwszy występ Meredith'a na polu piśmiennictwa. Odtąd powracać będzie stale do poezji po przez swą twórczość powieściopisarską, jako do odżywczego źródła szczytnych uniesień ducha. W roku 1862 wydaje „Poems and Ballads“ i pod tytułem „Modern Love“ cykl pięćdziesięciu sonetów, stanowiących niezaprzeczenie jeden z najpiękniejszych klejnotów jego dzieła poetyckiego, dzięki doskonałej spójności pomiędzy myślą i formą, obrazem i przyoblekającym go kształtem metrycznym.

Niewielu pisarzy wyzwoliło się było do niedawna w Anglii z tyrańi konwencjonalnych pojęć o miłości. Wszechpotężna hipokryzja społeczna trzymała się w rzeczach stosunku kobiety do mężczyzny ciasnego i suchego szablonu. Etyka purytańska uwzględniała jedynie uczucie, kroczące prostolinijnie ku związkowi małżeńskiemu. Uświęcenie przez kościół zakończyło jego dzieje. Mrs. Grundy sypała gromy oburzenia na pisarzy, którzy, jak Hardy, Swinburne lub Oskar Wilde, ośmielali się w taki czy inny sposób podnosić głos w obronie praw namiętności wobec kodeksu moralnego. Z głębokim zrozumieniem psychologicznym Meredith poruszył inne jeszcze strony tegoż zagadnienia. „Modern Love“ jest protestem przeciw ślepemu zapoznaniu niezbadanych szlaków miłości. Złączenie nierozzerwalnym węzłem dwóch istot, kojarzących się nawet w najpomysłniejszych na pozór warunkach, staje się aż nazbyt często prologiem bezkrwawego wprowadzenia, lecz niemniej bolesnego dramatu. Dopiero spółzycie buduje mosty porozumienia lub kopie nieprzebyte przepaści. Taką przepaść, którą pogłębiają wciąż nowe rozdźwięki, wytwarza pomiędzy bohaterami Meredith'a brak ścisłej łączności duchowej, a wraz z nim cała sieć drobnych na pozór zdraśnień i nieuchwytnych niemal żalów, przygotowujących podatny grunt pod gorycz i zobojętnienie. Niewolnicy, skuci wspólnym łańcuchem, blizcy sobie i nieskończenie od siebie dalecy, dźwigają brze-

mię zwiecznego życia, kryjąc bacznie przed sobą nawet wzajem ból zawodów i rozczarowań.

Następne lata przynoszą nowe jeszcze tomy utworów poetyckich. „Poems and Lyrics of the Joy of Earth“, „Ballads and Poems of Tragic Life“ i „Reading of Earth“ zajmują między niemi miejsce najprzedniejsze. W dziełach lat ostatnich natomiast („Odes to the Contribution of French History“ (1899) i „A Reading of Life“ (1901) razi coraz częściej mglistość wiersza i uderza brak melodyjności. Można by przypisać te usterki naturalnemu zupełnie znużeniu umysłu, gdybyśmy nie mieli wymownych świadectw, że pozostanie ono prawdopodobnie obcym aż do końca temu zdumiewającemu ustrojowi mózgowemu. W tymże bowiem okresie, co pierwszy z wymienionych zbiorów, w którym to zwłaszcza myślenie w mglistych zarysach, wyszło z pod pióra Meredith'a studjum krytyczne p. t. „Comedy and the Uses of the comic Spirit“ (1897) — rzecz skończenie doskonała pod względem wytworności ujęcia, a streszczająca z niezwykłą u pisarza zwięzłością jego wysoce oryginalne poglądy na rolę komedji w społeczeństwie i wpływ, jaki wywiera na jego życie rozwój zmysłu komicznego. Proza Meredith'a zachowuje więc, wraz ze swą wartością ideową, te cechy zewnętrzne, które nadają jej specjalny urok w oczach nielicznych zawsze czytelników, umiających wnikać we wszystkie jej misterja. Jeśli tedy język poetycki gmatwa się coraz bardziej, to przypisać to należy głównie faktowi, iż pisarz, będący przede wszystkim poetą, bo posiadający w najwyższym stopniu wizję poety i jego wyobraźnię, która przybiera jego powieści w ich powab najistotniejszy — nie opanował nigdy całkowicie techniki wiersza, a szukając mimo to wciąż nowych jego kształtów, napotyka też na wciąż nowe trudności. „Meredith — powiedział o nim Marcell Schwob — nie wypowiada się w żadnym ze znanych języków; używa mowy meredithowskiej“. Lecz ta niezwykle ciekawa mowa, ukuta specjalnie dla potrzeb umysłu, skomplikowana i kapryśna, nawskroś literacka — uczona nawet, mimo swe niepoprawności — okazuje się mało podatną do wymagań wiersza. Należy też mieć na uwadze, jak wysokim jest dżapazon jego twórczości i nie zapominać ani na chwilę, że ten poeta, poszukujący jakiegos niedostigłego może piękna intelektualnego, pragnie często oddać za pomocą środków artystycznych najbardziej oderwane idee. Nie-

jednokrotnie również nie sformułował sam sobie ściśle myśli, które rodzą się w głębiach jego pojęcia. Wyczuwa je raczej, niż określa, stąd trudność wtłoczenia ich we właściwą formę, wiersz rwący się a ciemny, niespokojny i nerwowy, szukający słów rzadkich dla oddania nieuchwytnych prawie wrażeń.

Ilekoć jednak Meredith ovladnął całkowicie swym materiałem i zdołał wcielić ideę w słowo, wyrażające je w całej pełni — wznosi się wnet na wyżyny wielkiego i czystego piękna. Tym artystą, urzeczywistniającym zespolenie formy z treścią, jest niejednokrotnie w swych pieśniach życia i pieśniach ziemi, obfitujących w obrazy potężne a nawskroś nowe i nieprzewidziane, tym silniej też przejmujące. Jedną ze znamienitych cech twórczości Meredith'a i Swinburne'a jest, jak mówiłam wyżej, intensywność skupienia, z jakim obydwaj przystępują do wglądania w tajniki natury. Ich wsłuchanie się w puls jej życia i wczucie w jej metamorfozy nie tylko już wyrasta nieskończenie ponad drobiazgową botanikę i ornitologję poetycką Tennyson'a, z którymi zresztą niema cech pokrewnych, mimo iż opiera się na tychże fundamentach nauki nowoczesnej, lecz wyodrębnia nawet ich dzieło w ogólnym dobytku poezji angielskiej XIX stulecia, tak już przeniknionej kultem kosmosu.

Obydwaj pisarze odrzucają w stosunku do zagadnień ponadmysłowych wszelkie teologiczne wyjaśnienia pochodzenia rzeczy. Dla Meredith'a „Bóg tego świata znajduje się w nim samym, a nie poza nim“ („The God of the world is in the machine and not out of it“). Jest więc poeta wyraźnym wyznawcą kosmomorfizmu, świadomym ściślej łączności człowieka z wszechbytem i dążnym wniknięcia w jego objawienia. Stąd to we wrażeniu, jakim przejmują go zjawiska natury, boski zachwyt kojarzy się z nieokreślonym a głębokim dreszczem niepokoju, który rodzi się w duszy, próbującej uchylić zasłony niezbadanych tajemnic i wzrokiem myśli dostrzec niedostrzegalne. Trudno posunąć wyraz tych uczuć dalej, niż uczynił to np. Meredith w wierszach p. t. „Woodland peace“*) („Spokój krainy leśnej“), „The Woods of Westermain“ („Gaje Westermain'u“), „Outer and inner“ („Zewnątrz i wewnątrz“)

*) Utwory, określające stanowisko poety wobec natury, zostały zebrane w tomie p. t. „The Nature Poems of George Meredith“ (London, Constable).

i w wielu innych utworach z cyklu poematów natury. Dodać też należy, iż uznanie harmonji bytu góruje w nim niezmiennie nad zniechęceniem, które wytwarza się chwilami ze świadomości ciasnych granic wiedzy, stającej wciąż wobec nierozwiązalnych dla niej kwestji. Stwierdzenie tej harmonji zaszczebia w nim wiarę w człowieka i jego dążność do doskonalenia się. Podobnie jak Browning, jest Meredith optymistą w najpodnioslejszym tego słowa znaczeniu, przeświadczonym niezłomnie o ostatecznym trjumfie wysokich ideałów moralnych i społecznych.

Lecz zarówno tę wiarę swą, jak refleksje, powstałe wobec wielkich zagadnień istnienia, głosił poeta niewątpliwie nieraz w sposób nazbyt abstrakcyjny. Utrudniała mu, jak widzieliśmy, zadanie surowość formy, przejawiająca się najdobitniej w utworach, w których chciał nadać życie nowym kształtom i wartościom, domagającym się nowych określeń. Meredith nie zdołał ich stworzyć, dlatego też głęboka myśl ukazuje się u niego tak często w szacie słów twardych i niejasnych. Ale piękno wiersza jest tylko jednym z wielu skarbów piewcy; nie wolno nam mierzyć postępu poezji jedynie stopniem wyrobienia jej techniki. Zbogaca ją ten przedewszystkim, kto zdobywa dla niej nowe dziedziny ducha, a do takich właśnie poetów należy Meredith, mimo szorstkość języka, częsta mglistość wizji i niepoprawność rymów.

* * *

To mistrzostwo ujęcia, które Meredith zdołał urzeczywistnić jedynie w bardzo nielicznych utworach — stało się udziałem Swinburne'a od pierwszych prawie jego występów na arenie poetyckiej. Bez prób niemal i wahań twórca „Atalanty“ ujawnił niezrównane wirtuozostwo rytmu i metryki. Z wyjątkiem niektórych utworów poetyckich, pochodzących z czasów pobytu w uniwersytecie, a poczętych pod wpływem prerafaelizmu, którego kanyony estetyczne były wówczas wyznaniem jego wiary poetyckiej, jakoteż dwóch dramatów lat młodzieńczych „Queen Mother“*) i „Rosamond“, zawierających świetne

*) „Queen Mother“, dramat, którego główną postacią jest Katarzyna de Medicis, poświęcony został Rossetti'emu, z którym łączyły zawsze Swinburne'a węzły najserdeczniejszej przyjaźni.

zapowiedzi talentu, lecz i wiele niedojrzałości w treści i wykonaniu — niema zgola w dziele Swinburne'a stron słabych i chybionych pod względem techniki wiersza i jego harmonji. Czarodziejska zdolność urabiania słowa w najcudniejsze postaci, która przejawiała się po raz pierwszy w całej swej mocy w tragiedji greckiej p. t. „Atalanta w Kalydonie“, przyswojonej ostatnio naszemu piśmiennictwu w przepięknym przekładzie J. Kasprówicza — i w wydanych bezpośrednio po niej zuchwałych „Poems and Ballads“ — towarzyszy Swinburne'owi niezmiennie po przez długi jego żywot. Każdy z następujących po sobie utworów zdumiewa jednak cudem melodji i fantastycznym bogactwem obrazów i kolorytu, mieniacego się tęczwami blaskami cennych kamieni. Największy to może kunsztmistrz wiersza, jakiego wydała angielska poezja; jego władztwo nad wyrazem poetyckim myśli sięga szczytów niepokalanej doskonałości. Z wprowadzającą w podziw łatwością przechodzi od jednej formy do drugiej, opanowując każdą w jednakiej mierze. Jednym z charakterystycznych przykładów tego magicznego iście daru nastrajania instrumentu słowa na wszystkie tony jest zbiór stu rondelów („A Century of Rondels“), które należałoby wprost uważać za rezultat jakiegoś popisowego *tour de force*, gdyby faktura zdradzała w czymkolwiek najłżejszą choćby sztuczność i wysiłek, a same utwory nie przedstawiały najczystszych pereł szczerzej poezji.

Ten wielki rymotwórca, z pod którego pióra wysnuwa się tak upajająca muzyka dźwięków, nie jest jednak bynajmniej poetą słodkich marzeń, ani piewcą pogody życia. W ogólnym swym nastroju twórczość jego rozbrzmiewa nutą pesymistyczną i często bojowniczą. Rozkochany w czystości formy i szlachetności linii, wypowiada w strofach, pełnych przepychu i barwy, teorie buntu i protestu przeciw systemom wierzeniowym i wadliwości istniejącego układu stosunków. Idea wolności ludów znajdowała w nim zawsze przekonanego szermierza („Song in time of Revolution“, „Ode on the proclamation of the french Republic“ i t. d.). Tym więcej też żałować należy, że pijany szal imperjalizmu, który osiągnął podczas wojny Transwalskiej najwyższego stopnia napięcia pod wpływem umiejętnie prowadzonej agitacji, zamroził chwilowo jasność wizji poety, dyktując mu inwektywy przeciw wrogowi „największej Anglii“. Spencer, Meredith i Hobbson („The psychology of jingoisme“) podnie-

śli wówczas głos — jedni z niewielu — przeciw wyuzdaniu drapieżnych instynktów, które pogrążyły w atmosferę pożądania krwi i zdobyczy kraj, wynoszący nad wszystko swobody obywatelskie i dający wobec swych kolonji wymowny dowód, że poszanowanie tych swobód nie jest dlań jedynie zasadą abstrakcyjną.

Swinburne nie umiał oprzeć się w owej smutnej dobie przeważającemu w opinji prądowi. W całej swej wcześniejszej produkcji jednak ukazuje się nam pod zgola odmiennym kątem widzenia. Ten potomek jednej z najarystokratyczniejszych rodzin Szkocji odbiegł daleko od tradycji kastowych i wyznawał zawsze teorie szeroko pojętego demokratyzmu. Zdecydowany przeciwnik tronów i ołtarzy, wskrzesza w swej poezji rewolucyjny nastrój Shelley'a, z którym upodabnia go już czar wiersza. On też jeden dorównywa nieraz gienjalnemu twórcy „Prometeusza Wyzwolonego“ potężnym wzlotem swego natchnionego liryzmu, szybującego na skrzydłach ekstazy.

„Atalanta w Kalydonie“ (r. 1865) — dzieło, które wysunęło młodego pisarza na pierwszy plan chwał poetyckich Anglii (Swinburne miał wówczas lat dwadzieścia siedem) jest zarazem pierwszym dobitnym zaznaczeniem jego światopoglądu: wymownym manifestem pesymizmu, lecz pesymizmu odmiennego zgola gatunku, niż ten, jaki przejawia się u tragików greckich. To też mylną jest całkiem wypowiedana dość często opinja, że dramat Swinburne'a przedstawia występujący w końcu XIX-ego wieku przejaw greckiego gienjusz, jak zgola mylnie również nie dostrzegalibyśmy poza klasycyzmem tematu romantyzmu autora. Swinburne oparł niewątpliwie swą kulturę na doskonałych podstawach humanistycznych i posunął bardzo daleko studia nad literaturą klasyczną w latach uniwersyteckich, spędzonych w Oxfordzie i Etonie. Jak tylu innych czcicieli nieśmiertelnego Piękna, umiłował gorąco arcydzieła Sofoklesa, Eurypidesa, szczególnie zaś największego z tytanów — Eschylosa. Jak tylu innych sięgnął również po temat do przebogatej skarbnicy mytów greckich, które pociągać zawsze będą potęgą swych symbolów, streszczających wszystkie kształty ludzkich pragnień, ludzkiego pożądania i ludzkiej niedoli. Epoka, w której powstała jego „Atalanta“, zapoczątkowała właśnie nowy zwrot ku tym źródłom kultury antycznej. Ale trzymając się dość dokładnie w zewnętrznych zarysach utrwalonego przez legendę toku opowieści, nadał

jej pisarz osobiste zupełnie, ideowe i psychologiczne oświe-
tlenie. Wyspiański okazał się nierównie bliższym ducha,
przenikającego czysty dramat attycki, podejmując w swym
„Meleagrze“ opracowanie twórcze tegoż samego przed-
miotu.

Utwór Swinburne'a to przede wszystkim harde i na-
miętne, choć świadome swej bezpożyteczności, wyzwanie,
rzucone siłom, kierującym tyranicznie losami świata. Nie-
ubłagane przeznaczenie opłatuje życie śmiertelnych siecią
swych wyroków. Twarde fatum ciąży nad niemi tak
wszechwładnie, iż nie zdołają zmóc go żadne ich wy-
siłki. Ludzkości, uginającej się pod brzemieniem ciosów,
które są chlebem codziennym jej gorzkiego żywota, po-
zostaje jedynie prawo protestu. Swinburne kładzie pło-
mienne jego wyrazy w usta swych chórów i samychże
bohaterów, stwierdzając zresztą w ten sposób, iż pesymizm
jego nie osiągnął jeszcze tych krańców zwątpienia, gdzie
milknie nawet protest w poczuciu bezsilności. Najwięk-
szą może siłę włożył poeta w gromy oskarżeń, które ciska
w wierszu, rozbrzmiewającym akcentami hebrajskich pro-
roków, przeciw Bogu, „złu największemu“, przyjmującemu
całkowicie w jego zobrazowaniu groźną postać biblijnego
Jehowy. Oto w jakich słowach wylewa swe żale prze-
ciw władcy najwyższemu (w chwili, gdy Atalanta wyru-
szyła na łowy) chór, przewidujący już tragiczne powi-
kłania nici przeznaczeń:*)

Twej nienawiści okrywa nas szata,
Przez cię żrenicom naszym blask nie świeci;
Lada wypadek wciąż nami pomiata —
Słabe my dzieci —,
Za to ku tobie z ust ludzkich objata
Pochwalnych głosów leci.
Całując, bijesz; swą lewicę wznosisz
W górę nad nami i „Żyjcie!“ tak głosisz,
A potem, wzniosszy swoją rękę prawą,
Żegnać się każesz ze żywota jawą.

A dalej znów:

Iżes ty silny, a my słabi, Panie,
Żeś jest przeciwko nam wróg nasz nieugięty,
Że o mieliznę nam na oceanie,
Lub u wybrzeży rozbijasz okręty;

*) „Atalanta w Kalydonie“, przekład J. Kasprzowicza.

Żeś błyskawicę napiął, jak cięciwę,
I wypuściłeś gadziny, by strzały,
Żeś ból nam zesłał i słowa gniewliwe,
Grzechy i wojny, nasz dobytek cały;
Żeś stworzył piorun i że stopy twoje
Są, jako fale, gdy się rwą obłoki;
Że, jako ogni najżarliwszych zdroje,
Płoną twe lica, ty płomiennooki;
Żeś jest nad wszystkim tym, co jest nad nami,
Że śmiercią imię nasze, twe żywotem,
Że my litośni, ciebie srogość płami,
Że dłoń twa igra z naszej dłoni potem —:
Z drżącym kolanem i pełnym rozpacz
Sercem, z oddechem, co ucieka z wargi,
Daj nam powiedzieć, nim żywot nasz zginie,
Że tak na świecie jest, a nie inaczej,
Że wszystkich jedne rozpierają skargi,
Że jako ja, tak ninie
Każdy ci wrogiem, Boże, w tej ziemskiej dziedzinie!

Nawet miłość gotuje ludziom jedynie łoża boleści
i dolewa jadu goryczy do czary cierpienia, którą losy podają
zdradziecko ich spragnionym ustom. Jest „kwiatem tru-
jącym“, zrodzonym z krwi i piany morza —

Śmiech i słoty — to jego nasiona,
Liście jego — to gniew jest wybrany,
Gorycz jadu wśród jego korony.

— — — — —
Gorzką byłeś z najpierwszą już dołą,
Afrodyto, o matko ty waśni!

wykrzykuje poeta, którego myśl, zwracając się ku mi-
nionym dziejom świata, widzi wszędzie i zawsze „kła-
tewne dlonie“ bogini, powstające przeciw ludziom.

Więcej niż lat czterdzieści upłynęło od ukazania się
tego dramatu. Na glebie poetyckiej Anglii wykwił
w tej epoce bujny posiew gienjusz i talentu. Tennyson,
Browning, William Morris i Dante Gabriel Rossetti wy-
kazali całą pełnię swych znakomitych zasobów twórczych.
Niewiele jednak z utworów, wyszłych z pod pióra tych
świetnych wodzów ruchu poetyckiego, oparło się rów-
nie zwycięsko próbie czasu, jak wczesne dzieło Swin-
burne'a, będące zarazem najdoskonalszym może jego dzie-
łem. Wielki tragizm postaci Althei, wspaniałość chórów
i kryształowa czystość i plastyka wiersza nadają mu nie-

przemijającą wartość. Od dni Shelley'a nie rozległa się w krainie poezji angielskiej równie upajająca muzyka słowa.

Czar, jakim ten pierwszy plód skryształizowanego już i świadomego swych środków talentu przejął szczupłe zawsze zastępy ludzi, którzy w każdej epoce witają z czcią radosną wszystko, co z bogactwa boski dobytek Piękna, trwał jeszcze w całej sile, gdy w roku już następnym ukazały się jednocześnie prawie dwa dzieła, powstałe w znacznej części w okresie wcześniejszym, a skupiające znów uwagę na młodym poecie. Były niemi „Chastelard“, pierwsze ogniwo trylogii dramatycznej, której akcja rozgrywa się naokoło postaci Marji Stuart, zwodnej a pociągającej swą subtelną kobiecością, przewrotnej a wzruszającej — i tom p. t. „Poems and Ballads“, powołany do uzyskania w szerokich sferach publiczności rozgłosu, jakiego nie doznał żaden bodaj z utworów poety. Plan dramatu, mającego za przedmiot dzieje nieszczęśliwego kochanka Marji Stuart, pochodzi jeszcze z Oksfordu; część poematów powstała bezpośrednio po opuszczeniu uczelni. W pieśniach tych odzywają się miejscami wpływy Morris'a, znacznie więcej jednak czuć w nich przeniknięcie twórczością Baudelaire'a i gienjuszem poetyckim Grecji; liryzm Safony ujarzmia Swinburne'a swym urokiem. Nie przemawia tu jednak naśladownictwo, lecz tylko pokrewność duchowa. Swinburne jest już tu, jak w „Atalancie“, przede wszystkim samym sobą: poezja jego kroczy własną linią rozwojową i czerpie w indywidualności narodowej najżywotniejsze swe soki. Obydwa dzieła wstrząsnęły, jak prąd elektryczny, umysłami, ukolysanemi do spokojnych rojeń słodką melodią sielanek Tennyson'a i łagodną melancholją jego medytacji religijnych.

Wywołane przez nie wrażenie przejawiało się jednak w podwójny sposób. Tak zwany ogół kulturalny, przedstawiający sferę ludzi, których światopoglądy urobiły się pod wpływem purytanizmu, ciężącego nad całą erą Wiktorji, ulakł się śmiałości tematu, przeprowadzonego w dramacie i samego sposobu jego ujęcia. Zgorszenie jego wzrosło do niebywałych rozmiarów wraz z ukazaniem się poematów. Na autora ich posypały się zjadłe gromy anatem, książka zaś stała się przedmiotem tak ostrych napaści, iż pierwszy jej wydawca wycofał ją z obiegu wobec wzmagającego się nacisku opinji publicz-

nej. Nikt jeszcze, co prawda, nie ośmielił się być dotąd sławić w pieśni „róz i ekstazy grzechu“, nikt nie zanosił do sił wyższych pokornych błagań o oswobodzenie nas od cnoty („Come down and redeem us from virtue — Our Lady of Pain“). Swinburne czynił to w niektórych poematach z niesłychaną brawurą młodzieńczą, żądną, nieświadomie może, wywołania pewnej sensacji. Osiągnął cel ponad chęć i miarę. A jednak też same poematy spotkałyby się niewątpliwie w tymże środowisku, nawskroś przepojonym faryzeizmem obyczajowym, z niemniej entuzjastycznym przyjęciem, niż to, jakiego doznały ze strony drugiej kategorii czytelników, gdyby były dziełem starogreckiego lub łacińskiego, a nie współczesnego angielskiego pisarza.

Okolo wielkiego imienia Swinburne'a zamilkły dziś spory i waśnie. Stąpiło się również ostrze purytanizmu, który z wojującego stał się paktującym i, poddając rewizji dawną swą ocenę, sformułowałby zapewne wobec wczesnego i miejscami niedość dojrzałego dzieła poety inne zgoła zarzuty, niż te, pod których hasłem wszczął był przeciw niemu krucjatę przed laty 40-tu. W owej epoce widział jednak wyłącznie w „Poems and Ballads“ wyraz wybujałego chorobliwie erotyzmu. Wszystko, co było młode natomiast, a rwące się do szerszych horyzontów życia i znużone przepisami wszechogarniającego konwencjonalizmu, przywitało z okrzykiem zachwytu ten wybuch liryzmu, tchnący pogańskim czarem zmysłowym, a będący zarazem śmiałym protestem przeciw obowiązującym formułom zdawkowej moralności. Edmund Gosse porównywa wrażenia, jakie wywarły „Poems and Ballads“, z uczuciem, którego doznałoby wierni, zgromadzeni w letnie popołudnie w kaplicy baptystów, gdyby po ukończeniu nabożeństwa ukazał się nagle przez otwarte drzwi świątyni, w olśniewających blaskach słońca młody kapłan Bachusa, okrywający niedostatecznie nagość swego ciała skórą lamparta i wydobywający z swej fletni z szalonym rozmachem dźwięki godne Marsjasa — współzawodnika Apollina. „Łatwo wyobrazić sobie — mówi krytyk angielski, jakim przerażeniem widok ten przejmuje starszych członków kongregacji i jak frenetyczne zapaly budzi w szeregach młodych.“

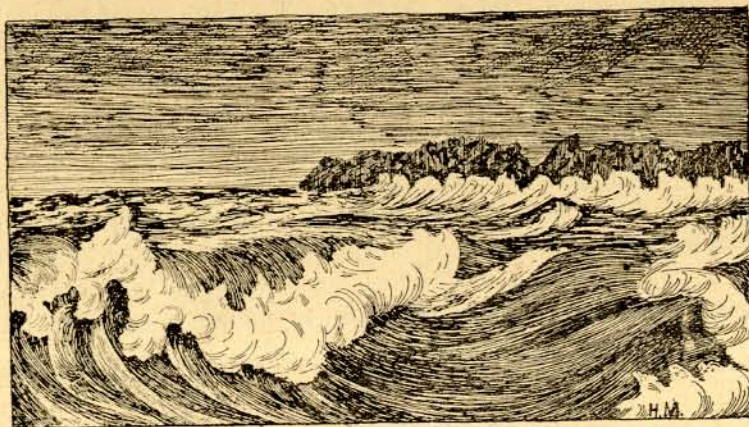
Zapałom tym dostarczyły nowej podniety dwie następne serie „Poems and Ballads“ (pierwsza z nich ukazała się w r. 1878, druga w r. 1889) i kilka innych

zbiorów pieśni, natchnionych kultem idei wolnościowych, lub powstałych z wnikania w życie natury i z niepokoju, jakie budzą w poeziei wieczyste zagadnienia ludzkości („Songs before Sunrise“, „Songs of the Springtides“, „Studies in Song“, „A Midsummer Holiday“ i t. d.). W niezmiernie obfitej produkcji twórczej Swinburne'a przedstawiają istotnie te utwory główne niejako szczyble jego pochodzenia na wyżyny. W kilka lat po ukazaniu się „Atalanty“ powstał drugi dramat antyczny p. t. „Erechtheus“, bliższy pierwowzorów helleńskich, więcej monumentalny, lecz więcej też jeszcze przeniknięty grozą nieubłaganych przeznaczeń, zawisłych nad ludzkością, i mimo wspaniałe swe piękno wiejący chłodem myśli, która unosi się ponad sferę ziemskich potrzeb i pragnień. „Chastelard“ uzyskał również uzupełnienie w dwóch następnych dramatach cyklu królowej Szkocji p. t. „Bothwell“ i „Mary Stuart“. W ciągu ostatnich lat dwudziestu wreszcie wyszło z pod pióra pisarza poza wymienionym szeregiem poematów kilka jeszcze utworów dramatycznych („Marino Falieri“, „Locrine“ i t. d.), a przed kilku miesiącami dał jeszcze wspaniałego „Duke of Gandia“), którym wysokie ich zalety artystyczne nie zdołały zapewnić powodzenia scenicznego. Ale cechy talentu poety, które zapewniają mu wybitne miejsce w literaturze europejskiej XIX-go stulecia, a więc subtelna wrażliwość w wyczuwaniu natury, głębia i szczerłość liryzmu, wzlot wyobraźni i wirtuozostwo formy występują z największą wyrazistością w wymienionych poprzednio dziełach.

Poprzez całą niemal twórczość Swinburne'a przesuwają się, jak leitmotif, pieśń morza. Głos wiatru i fali był po wsze czasy kołysanką narodu wyspiarzy i przemawiał z dzieła najznakomitszych mistrzów jego poezji i prozy. W dobie dzisiejszej umiłowanie tych żywiołowych sił przyrody przyoblekło się w kształt najdoskonalszych w powieściach Józefa Conrada'a i utworach Swinburne'a. Przeniknięcie się niemi pisarza, wyrosłego z równi ukraińskiej, przeniknięcie tak całkowite, iż staje się zespoleniem—przedstawia jedno z najbardziej zadziwiających zjawisk współczesnego piśmiennictwa. Dzieło Conrada'a jest nawskroś oryginalne, nie skażone nigdy nutą naśladownictwa. Większość jego powieści to potężne poematy ścierania się wicherów i gniewu morza; gdy zaś pokaże jego spokój, to będzie on nieraz straszliwszą od wszelkich rozkiełznań zapowiedzią klęsk i katastrof.

Dla Swinburne'a przeciwnie ma ono w sobie przedewszystkiem niezrównaną moc kojącą; jego samotne bezmiar, wiekuisty ruch fali i jej melodja — jej szepty, westchnienia i skargi spowijają mu duszę cudownym balsamem. Wciela się w żywioł i zjednocza z jego rytmem; chciałby unosić się na grzbiecie nawały przypływu i uciekać w przestrzeń wraz z odpływem, przylgnąć ustami do piany, strzępiącej się na powierzchni wodnej, i pić z niej nektar mocy i żywota. Jego ekstaza panteistyczna przemawia wobec morza najpotężniejszymi tonami. Widok tych nieobjętych okiem przestworów prowadzi myśl jego na szczyty, skąd duch obejmuje horyzonty nieskończoności. Nie brak jednak wogóle w dorobku poety utworów, świadczących o głębi refleksji, jakie nasuwają mu wielkie zagadnienia bytu. Jak u Meredith'a, skrzydła niewidzialnego muskają nas tu swym tchnieniem. Lecz zawsze prawie zasnuwa jego światopogląd cień smutku i zwątpienia, choć czas złagodził już oddawna gorycz pesymizmu i ukazał poza ciemnymi światłami objawy życia.

Żaden z dwóch wieszczów nie wypuścił jeszcze pióra z ręki: Meredith zaopatrzył przed kilku miesiącami w subtelną i wytworną przedmowę utwory Dory Sigerson, pieśniarki gaelickiej. Swinburne zdobył w roku ostatnim hołdy ogólnego uznania swym „Duke of Gandia“ Nie mniej jednak możemy już dziś ogarnąć całokształt ich twórczości z odległości czasu. Swinburne wydaje nam się w tej perspektywie jednym z najdoskonalszych lieryków XIX-go stulecia. Niewielu poetów umiało wyrazić treść swego ducha i wzloty swej natchnionej wyobraźni w podobnej symfonii dźwięków i wydobyć ze skarbów języka równie cenne kruszce.





TADEUSZ MICIŃSKI.

NIETOTA

powieść z tajemnej Księgi Tatr.

(Ciąg dalszy.)

V. MARE TENEBRARUM.

Przepływali mimo góry Ornaku, przy której tworzył się wir.

Potworne węże fal na dwóch sterczących fortcach rozbijały się z furją.

Biały śnieg piany wylatywał w powietrze.

Woda, jak w olbrzymim kotle, wrzała.

Znikały czarne zęby granitów i stawało się mleczne jezioro.

W tym Hades mrocznych skał wychylał się: tysiące potoków, rzek, wodospadów i lawin dżdżu leciało z tych poszarpanych głazów ku morzu.

Wciąż głębiej rozwierała się przepaść — mrokiem przeraźliwym, chłodnym, jak w Dantejskich sagach o Niflhajmrze.

Wyrastały złe, czarne pylony Hadesu—skały, zwane Wejście Ornaku.

Milami długie węże pian żółtych leniwie opasywały to Horodyszczę demonów.

Wielkie góry ładu wznosiły się mrokiem olbrzymim.

Wciąż wilgotne porosty nadają hjeroglificzną patynę tym tarczom Achillesowym.

Księżyc, posępny czarodziej, wszystko brał tu w swe posiadanie, czytał runy na skałach i wsłuchiwał się w mszę, jaką tu odprawiało piekło.

Za hukiem rozbitej fali nastawała cisza śmiertelna.

Wzbierające, wysokie na dwa piętra, bałwany zdala płynęły spokojnie, jak rapsody Homera, piersią tytanów śpiewane; błyskają na hełmach klejnotami głębin.

Im bliżej, tym groźniejsze; tu blisko skał zmieniają się już w potwornie nieokiełznane apokaliptyczne tabuny.

Wzdęte, najeżone w piorunującym błysku smoczego grzebienia, mirjadami bazyliżkowych kwiatów zwisając, mirjadami srebrnych szponów śmierci nad wygiętą w mroku otchłania, która wsysa w siebie, pochłania wody głębin, wtula, jak smakujący Lucifer, całe naraz piekło — aż wyrasta w jakoweś Monstrum:

w pociąg, złożony z wieżyc chińskich, — w zwał lokomotyw —

który gna w pełnym biegu, nalatuje rozdzianiem powietrznym, wściekłym, jak uderzenie Ananki; morze jeszcze zawisa chwilę, jakby wybierając los swój w jednej tysięcznej mgnięcia, lecz ujrzawszy w dolinie zgonu na dnie swoje fatum —

przechyła, wali się — jak mur obronny olbrzymiego miasta:

wieże zębate, mirjady wojowników z lancami i pióropuszcami na głowach, te hufy słoniów, połyskujące

szmaragdowemi napierśnikami, kwadrygi z wirującymi kosami śmierci, boscy śpiewacy i czarne demony w zapasach matematyki i obłądu, całe narody, wytehnione przez morze, —

runęły naraz!

Kto nie słyszał burz jesienią na Żmudzi, kiedy pioruny padają, istic Perkunowe oszczepy we wzdęte fale Niemna — ten nie wie, czym zdole być głos żywiołu!

Lecz tam nawet zgon, pod oszczepem piorunu, jest złagodzony przez krzyże na polach, przez pieśni w kościołach, przez kwiaty na łąkach, przez miłość, która na mogile odprawi swój tan kukuleczany!... tu zaś nie — prócz grozy, której nieznanym jest miłosierdzie!

Nieprzystępne turnie skał Ornaku odbiły pierwszy impet wód, które wytryskują szalonym ogrodem gejzerów, fontann i jakby czarnoksięskiego ognia.

Naraz staje się widzialny tajemniczy ogród męczarni we własnej duszy, wszystko szczęście już się kończy i wyrasta las posągów zamarzłych, zaśnieżonych, ementarz grobów głębokich, więzienia groteskowe, życie rozbite na niegodny strzęp!...

W olbrzymiej chmurze oparów, księżyc wyśpiewuje magiczne kręgi tęcz, wrota i witraże miłości, wlokąc trupa nadziei po okręgach wód.

Morze szturmem wdiera się na czterdziesto-metrowe wieże czworobocznych skał i miażdży je naraz, jak rozjuszony mastodont, kiedy się przewali na złowrogi kwiat rafleji.

Niema — jakby ich nigdy nie było —

znikają doszczętnie pod wzdętą krzywizną morza, podobną tu do soczewki tytanicznego teleskopu.

I znowu z świstem, z wyciem opadają wody — opuszczają zwycięstwa szczyt! znowu wściekłym impetem lecą katarakty na zrębach, na porohach i wyżłobieniach, zżartych przez fale, niby przez usta tysięcy matw.

Hades mroczny, potwornie tryumfujący się wzniósł,

odwiecznie zły, nieubłagany i zimny, dyszący śnieżnemi bruzdami swych ran.

Wodospady lez ociekły wnet.

Wejście Ornaku najstraszniejszym jest w tej czarnej ciszy.

Księżyc-alchemik nuci straszną pieśń jądów tam, w głębinach Luciferowych —

na dnie otchłani morskiej widać jego laboratorium: fosforyzują widma, podobne do krzaku Mojżesza, a wokół tam zgon czarny, jak w pustyni Hijoja, gdy oślepl.

Księżyc wpatruje się, niby wielkie oko diabła — i znowu poczyną tkać mistycznie gotyckie, tęczujące rozety; wąż żółtej piany zaczyna się — to z Genezis kusić —

U Ornakowych skał tworzy się poemat grozy, której nigdy żywy człowiek nie zapomni i przed skonaniem ją ujrzy znów...

Iljadowy rapsod napływa, zmienia się tu naraz w wyrastającą dziko baterję z tysiącem najeżonych dział jęki, wycia, wysanie i ryk płynącego pobjowiska.

Księżyc raz ostatni zarzuca tragiczny arkan zagadki tym fałom, które się namyślają, wzdęte i pochylone, jak pizańskie wieże — runąć? czy wniebowstąpić?

Niewypowiedziany już żadną orkiestrą piorunowy jęk organów kościelnych, które zwały się na głazy kościoła —

burze dawnej sławy narodu, walące się rusztowania wszystkich świątyń życia!...

Jakiż Szopen i Wagner mógłby oddać to bolesne wezbranie wód u stóp skał, które łączą Polskę i Sybir, kiedy mrocznieją lody północne sybirskiej katorgi! —

Łódź płynęła mimo skał Ornaku, o których wiedział Arjaman, iż tam jest wejście do polskiego Inferna.

Któż jemu nada wyraz?

Gdyby piekło mogło się wysłowić, byłoby już zbawione.

Arjaman spoglądał w mirjady zrębów zagwiezdnej
męczarni —

i zawstydził się, iż jeden cień, wbity w jego czoło,
tak mu już starczył za koronę!

Tam iść —

tam, aż do głębin źródlanych ducha polskiego!

a jeśli się znajdzie tylko rozpacz, to nią roztrzaskać
wszystkie Chrystusowe nieba! —

Wtym ujrzał Arjaman przed sobą jedno z widm.

I rzekł Mag Litwor:

Hauke-Bosak, dzieckiem wzięty do paziowskiego
korpusu, wychowany w banalnej świetności na oficera,
dowiaduje się w Paryżu, jako 24-letni podpułkownik,
o Polsce — i swym pochodzeniu. Nauczył się w sześć
tygodni mowy i historii polskiej, jedzie na Kaukaz wy-
ćwiczyć się w walce —

a kiedy tam zdobył sławę, zaraz przy wybuchu
powstania bierze dymisję, mówiąc, iż nie może dowodzić
wojsku, które rozstrzeliwa tłumy bezbronne!

Idzie na tę nędzę życia, wspaniałego li jedynie
ogromem męczarni —

idzie, jako dowódca oddziałków powstańczych, roz-
bijanych z łatwością przez karne szeregi rosyjskie. —

Naraz przed Arjamanem rozsunęły się lasy Ilży,
klasztór świętokrzyski, spalony Opatów, klęska pod Bo-
dzentynem — i potem na wyspie Kaprerze Garibaldi,
rozmawiający z Bosakiem-Hauke; i potem on, nie dający
się nakłonić do powrotu na dwór carski — idzie ginąć
za Francję w wojnie przeciw Prusakom!

Zapadła w wir pod Ornakiem mara i Arjaman ukrył
twarz.

Mag Litwor nie chciał poruszyć jeszcze całą ręką
strun w duszy Arjamana, który miał w sobie spuściznę
nieświadomą wiekowego cierpienia: Polak w młodości, jak
wieloryb w czasie burzy rzucony na skałę, wyżłabia so-
bie cały bok — i z tą krwawą rzeką płynie już w coraz
ciemniejszych głębinach.

Mrok nocy zakrył im góry Ornaku.

Wypływali z wielkiej zatoki — morze pełnym przy-
pływem napelniało ją, zaś odbijające się fale tworzyły
trójkąt zderzających się i niebezpiecznych mocy.

Mag Litwor nakierował łódź naukos fali, idącej
z wprost — największej.

Arjaman skrócił żagiel — wtym druga fala nadcho-
dziła z boku — łódź obróciła się do niej pod kątem i zo-
stała zalana tylko jej grzywą. W tejże chwili Arjaman
uczuł, że mu serce zastyga, bo oto fala, nalatująca z tyłu,
wściekłym naporem gruchnęła w łódź.

Mysłał, że to już koniec —

lecz Mag Litwor nie tylko znał się na burzach du-
szy — niesłychanie błyskawicznym ruchem wykręcił ster
i skrócił żagiel drugi, tak, że łódź znalazła się znowu
w ukosie do fali.

To ocaliło, wysmignęła, cała zapełniona żółtymi bur-
sztynami jeszcze dyszących, jak żywe, pian.

Na Arjamanie, który kochał żywioł („żywioł oczy-
szcza“) i rozumiał żeglarstwo, umiając w łodzi o zakry-
tym pomoście przepływać nawet wir przy Maruli —

teraz witeziowa potęga Maga Litwora wywarła
wrażenie bardziej imponujące, niż cicha świetlaność jego
ducha.

Tak już bywa z naturami wiecznie młodzieńczemi,
że wrażenia najsilniej przyjmują przez zmysły.

Mówi Tirso de Molina, iż „największym z uniwer-
sytetów jest boleść“.

Morze — ten wielki symbol życia i śmierci, otacza-
jąc wokół, zapraszał Arjamana i w każdej chwili gotów
był rozemknąć swe straszliwe uniwersytety wiedzy, że
się jest niczym, będąc wszystkim; wiedzy, iż wyrazem
ostatecznym duszy ludzkiej — jest pustynia.

Gdyby miłość była nawet Beatrycą, gdyby miłość
nie była ślepym pociskiem Fatumu, lecz wspaniałemi
wschodami, jak na Ca d'Oro, gdzie u szczytu stoja
tytany:

tu, na tym dzikim żywiole bezbrzeża, wyglądałaby, jak marny kwiatusek u kamiennego, sardonicznie uśmiechniętego Sfinksa.

Księżyc zachodził za chmury.

Zdał się on szeptać, jakby strofę ze Statku Pijanego:

„Już zadługo płakałem: jutrznie są bolesne,
srogie wszystkie księżyce, gorzkie wszystkie zorze;
miłość mi dała strętowanie przedwczesne —
o, niechaj dno me pęknie! niech pójde pod morze!“

Sen o rozwarciu bram życia nowego nie ziścił się.
Kamień się stoczył z tych gór, na których miał
być pono raj —

ten kamień uderzył w pierś —

i długa maligna, ciężka nie na żarty choroba — —

Arjaman zakrył oczy...

Bezgraniczne święte morze! pustyni Twej nie odda samotnik, choćby, jak bizantyjski następca tronu, mógł wybierać w tłumie dwunastu tysięcy najpiękniejszych dziewic — szukając Pasargardy, córę Komet!

Arjaman, czyniąc to zakłęcie, zanurzył rękę w morzu i widział, jak zostawia ona za sobą brylantową smugę fosforescencji.

Lecz w duszy jego toczyła się taka smuga krwi! I zrozumiał, iż krzywoprzysiągł: miłość jest większa niż morze — miłość jest największym z uniwersytetów!

Wysiedli na małej wyspie, zarosłej gęstym lasem; księżyc zapadał w morzu i zdał się zagwiałym okrętem wśród mroków.

Wśród lewad wonnych tajemniczo mileżącego lasu mówił Mag Litwor:

Świat starożytny Hellenów był poprzedzony przez świat indyjski.

Z Himalajów wiedzy i przemysłów, mitów i poezji — zasilają się wielkie rzeki cywilizacji: Babilon, Egipt, Hellada...

Herkulesa znamy w sanskrycie, jako Hara-Kala, bóg walk — miano, dawane w poezji indyjskiej Sziwie.

Towarzyszem Sziwy był Tha-Saha, znany nam, jako Tezeusz; Ari-Ana — uwiedziona przez wroga; Para-Saha — przychodzący na pomoc — Perseusz.

Trzej bogowie piekielni Aha-Ka, sędzia surowy — epitet Jamy — czy nie poznajesz Eaka? Radha-Manta — karzący występki, i Pluszta, bijący ogniem.

Atanaia — bezdzietna, Ken-tura, człowiek koń, Zupitri — ojciec nieba, Napatana — ujarzmiacz fal, Lalaga — ten, kto idzie, szerząc strach, dawne Lelegi, Lachy?

Filozofowie w Grecji mieli imiona zbiorowe: Prothaguru, Anangaguru, Pithaguru, to znaczy guru — nauczyciel szkoły — wiedzy — rozumu i t. d.; imiona te są tak zbiorowe, jak Xerxes, który w sanskrycie znaczy Xatrias — król, Artha, znaczy wielki — i masz oto Arthaxerxes!

Wirch Meru indyjskiego narodził mniejszy Olimp grecki; tu i tam była rozdawana Amrita.

Legiendra o Złotym Runie i wyprawie morskiej znana jest w Indjach; Iljada Homera — jest wieszczą córą Ramajany.

Lecz w Indjach Brahma nie był bogiem miłości, jak w Grecji, ani ucisku i wściekłości — jak żydowski Jehowa.

Uroczystość mszy rannej Sarwameda wyobraża ofiarę powszechną i symboliczną wszechstworzenia.

W obrazie Kriszny spełnia się ofiarowanie uroczyste samego Boga; każdy bramin powtarza: „Ani ja nie należę do siebie, ani świat nie należy do mnie. Co do mnie należy, należy też do innych!“

Wprawdzie okres indyjski został i w Indjach poniżony przez faryzeuszów.

W Indjach widzimy kozła ofiarnego w całej kaście parjasów, którzy się stali idjotami; blade szkielety—włóczą się nocą po miejscach pustych, szukając padliny, o którą walczą ze szakalami i ptakami drapieżnymi.

W Egipcie takim narodem parjasów byli Żydzi.

Wyjście ich z Egiptu jest najhানیهniejszą ramotą, jaką zna kryminologja. Bóg ich prowadzi od komizmu kar żabami i muchami do potworności morderstwa synów pierworodnych.

Wspomnijmy: pobrali złote naczynia sąsiadom; potym wrócili się Żydzi, aby Faraon, widząc ich, pogonił za nimi i mógł zginąć wraz z armją — gdyż wtedy rozwarły się wody... W Kanaanie z miast zdobytych nie zostawiają nikogo żywym—prócz dziewic (Liczb., Rozd. 31), rzuconych na rozpustę. Z małej rodziny Jakóba, po 215 latach, miał się rozrodzić naród parumiljonowy, gdyż samych mężczyzn było 600 tysięcy, nie licząc kobiet i dzieci... Rozrost niemożliwy.

Z bandy tej niesfornej Mojżesz formuje naród. Lecz jak? Oto ognie podziemne pożerają za niedowiarstwo 14 tysięcy. Kapłani mordują 24 tysiące za obcowanie z Moabitkami; po uczczeniu złotego cielca, Jehowa chce zniszczyć naród, na prośbę Mojżesza zgadza się, żeby kapłani wymordowali tylko 23 tysiące.

Jehowa ukazuje się Mojżeszowi z tyłu: videbis posteriora mea...

W Genezis żydowskiej widzimy skalenie kobiety, zwalenie na nią całego ciężaru grzechu pierworodnego.

W Indjach Adima i Hewa, żyjący w raju wyspy Cejlon, przechodzą, dzięki omamieniu Rakaszów, na ląd grzechu. Hewa z miłości idzie za mężem, lecz ostrzega przed nieszczęściem! I dlatego z niej to naradza się potym Zbawiciel.

„Kto pogardza kobietą, pogardza matką!

Lzy kobiety ściągają ogień z nieba.

Bóg śmieje się z modlitwy tych, którzy szydzą z cierpień kobiety.

Kto zapomni o męczarniach matki, w jakich go narodziła — ten w ciągu trzech wcieleń będzie wiódł nędzne istnienie.

Kobieta jest duszą wszechświata.“

Oto Indje. Zostawiam ci porównanie do tej Ruth, która zdobywa bogatego wdowca przez prostytutkę; do Abrahama, który wypędza swe dziecko i kochankę na pustynię; do tego męża, który żonę swą oddał na całą noc orgji — ze strachu przed bandą awanturników.

Ciekawe skądinąd socjologiczne opowieści mają śmieszna odwagę mienić się Objawieniem Bożym. Mógłże Jezus Chrystus, ten istotny Arcymędrzec, nie kontradycja z ulepionych legend i przewijającej się tu i owdzie gnozy, mógłże wyrazić się, że On nie przychodzi niczego burzyć i utrzymuje Stary Zakon?

Wszakże w całym Starym Zakonie niema jednego słowa o nieśmiertelności duszy, a bez tej czymże jest nauka o Słowie?

Mojżesz przez Egipt wziął wiedzę pradawną, ale nie zaczerpnął jej w całej głębi, będąc adeptem niższym, albo później lud skazał ją i tradycja lewitów.

Wszakże Wedy głosiły jeszcze dawniej też jedynego Boga i, co ważniejsza, dowodziły jedności świata.

„Ten, który istnieje sam przez się i który jest we wszystkim, bo wszystko jest w Nim.

Ganges, który płynie, to Bóg; morze, które huczy — to On; wichur — chmura — błyskawica — to On.“

Świat w kosmologii indyjskiej stawał się stopniowo.

Jeden dzień Brahmy stanowi cztery miliony trzysta tysięcy roków ludzkich.

Na 3,500 lat przed naszą erą, czyli narodzeniem Chrystusa w Judei, naradza się Kriszna z dziewicy Dewanagij.

O przyjściu Kriszny mówiły proroctwa:

„Przyjdzie okrażony światłem, technienie czyste wielkiej duszy; wody Gangesu wstrząsną się od źródeł aż do morza — jak brzemienna kobieta, która czuje w swym łonie pierwszy ruch dziecka.

Przyjdzie, i Rakszasy przekłete uciekną w głębiny piekła.

Przyjdzie, słodszy niż miód i amrita; wszystkie serca uniesione będą miłością...”

„Jednego wieczoru, kiedy dziewica Dewanagij modliła się —

muzyka nieba oczarowała jej słuch, więzienie w którym była, rozświetlało —

ujrzała Wisznu w bożym majestacie.

I oto duch zaciemnił ją — i ona poczęła...”

Narodziny Kriszny otacza też legenda o rzezi niewiniątek, której Herod w Judei nie mógł spełnić dla tej prostej przyczyny, że umarł cztery lata przed erą chrześcijańską.

Nauka Kriszny była prosta, lecz wpływ jej wstrząsający.

Mówił przypowieściami:

„Należy się wyrzec bogactw i rozkoszy, jeśli sumienie ich nie pochwała.

Ziemia nosi tych, co ją depcą nogami i rozdzierają jej łono, zaorując; podobnie musimy dobrem oddawać za zło.

Jeśli obcuje z dobrymi — twe przykłady są niepożyteczne; nie lękaj się żyć wśród złych — aby ich doprowadzić ku dobru.

Jakiegokolwiek przysługi oddaje się ludziom przewrotnym — podobne to jest do liter na wodzie, które zmagają się w miarę, jak są nakreślone. Lecz dobro musi być spełniane dla dobra, gdyż nie na ziemi trzeba oczekiwać zadośćuczynienia.

Człowiek, który uświęca środki jedynie przez żądę dojścia do celu, traci prędko sprawiedliwość i zrozumienie świętych nauk.

Człowiek szlachetny, padający pod ciosami złych, jest jak drzewo sandałowe, które, padając, napelnia wonią topór, który je uderzył.”

W rozmowie z Ardżuną o Jaźni mówi Kriszna:

„Dusza nie jest niedoskonała w swej czystej istocie. Światło wysokiej jaźni nie ma ze siebie swego zaćmienia.

Z połączenia duszy z naturą powstała niedoskonałość. Lecz ta niedoskonałość nie sięga jej esencji, nie leży w jej przyczynie, którą jest inteligencja najwyższa — Bóg.”

Dwie legiendy, indyjska i judejska, stopiły się u nas w jedną postać Chrystusa.

Kiedy Kriszna przemienił się przed oczyma swych uczniów, ci nazwali go Jezeus, t. j. wysnuty z bożej istności.

Dwie kobiety u nóg jego, chrzest w Gangesie, morderca jego Angada... Ciało Człowieka - Boga zawieszone było na drzewie i stało się pastwą jastrzębi...

Uczniowie nie zastali już ciała, —

drzewo, okryte krwawymi kwiatami, rozsiewało woń.

Sprawę jego prowadzili dalej brahmani.

Ci ludzie, noszący tonsurę i sznur święty, mieli całą zakonność wieków średnich Tomasza à Kempis i bizantyjskich pustelników.

„Niech będzie sam, bez towarzyszy, nie troszcząc się, iż jest opuszczony przez cały świat i że on sam wszystko porzucił.

Niechaj nie życzy sobie śmierci, niechaj nie życzy też i życia, i jak żniwiarz wieczorem czeka spokojnie swej zapłaty na progu pana, niech on czeka, aż godzina jego nadejdzie.

Jeśli ten, który go uderzy, upuści kij — niech on go podejmie i odda mu bez skarg.

Niechaj nigdy nie zdobywa sobie pożywienia, czyniąc cuda i tłumacząc sny.

Niechaj nigdy nie wypacza istotnej treści świętych

Pism, aby wydobyć nakazy, służące namiętnościom i dobrom tego świata.

Kiedy godzina śmierci wydzwoni, niech się rozciągnie na macie i pokryje popiołami; ostatnie jego słowo niech będzie modlitwą za całą ludzkość, która cierpi dalej, gdy on jest już odpuszczony do Ojca wszechrzeczy“.

Brahmanizm, jak i nasza religja, sięgnął zczasem po władzę. Zgięto do ziemi naród, nie dając mu już wolnego sądu, sumienia ani godności. Kiedy garść obcych zdobywców przysła, zastali w Indjach tylko tłum bez odwagi, inicjatywy i wolności.

Nie wnoszą jej chrześcijańscy misjonarze, którzy w tak zwanym rytuale malabarskim mały krzyżyk przywieszają do bezwstydnego Sziwy lub wypędzają parjasów z kościoła...

Sami brahmani dzisiejsi są cieniem tego, czym byli: w nędzy, w występkach, w upadku moralnym i w bezniernej pysze, która wyrasta nad otchłanią ich bezpożyteczności. Przebudzony ruch między nimi Commouty przez handel, kapitały i asocjacje — dąży do dawnej władzy teokratycznej. Są wyjątki, które wracają do Wed i uczynków pierwotnych.

Są jeszcze inni, którzy idą ku Wolności przyszłej...

Lecz idźmy dalej w badaniu Kriszny-Chrystusa. Nazarejczyk cóż czynił do roku 30? Nie mówią o tym Ewangielje.

Był w Egipcie, czy i w Indjach? sam — czy z towarzyszami? Czym mógł tak wyrosnąć nad ciżbę ciemnych współplemieńców?

Mistyka essenczyków cicha i kontemplacyjna — czy mogła wydawać także rezultaty, co Joga indyjska, t. j. wiedza o głębinach duszy i panowaniu nad jej potęgami?

Życie Kriszny wpłynęło na legendę o Chrystusie... zaś wiedza aryjska Indji na rozwój duszy semickiego proroka Arjów.

Imię Jezusa, jako jednego z wcieleń Buddy — któ-

rych 84,000 wyliczają księgi święte — jest znane w Indjach: Issa.

W klasztorach buddyjskich, osobliwie w Lassie, dużo jest odpisów życia „najlepszego z ludzi“.

Życie to znane w Europie, dzięki całemu szeregowi sanskrytologów, z naciskiem twierdzi, iż w 14-ym roku młody Issa z rodu Dawidowego przybył do krainy Sind, zamieszkałej przez Arjów. Tu w pobliżu Dżagernaut, gdzie mogiła Kriszny i wielkie są biblioteki, studjował.

Wtajemniczywszy się w wiedzę indyjską, zaczął potępiać nienawiść między kastami, oraz brahminów: „Jeden w pocie oblicza swego pracuje, aby zdobyć łaskę bezczynnego, który siedzi przy stole wspaniale zastawionym.“

Brahmani oddalili was od prawdziwego Boga, ich przesady i okrucieństwo wiedą was do przewrotności umysłu i utraty uczuć moralnych.“

Ten życiorys każe Chrystusowi, wracającemu przez kraj Persów, pouczać też czcicieli Słońca:

„Słońce podnosi się, aby was ogrzać podczas waszej pracy; ono się kładzie, aby użyczyć wam spokoju, który ja sam utwierdziłem.“

Widzimy, że łatwiej było dawnej Ludzkości uzyskać wiedzę ducha, niż wiedzę kosmograficzną, jak znów teraz wśród stert wiadomości przyrodniczych panuje zamęt i ciemność w tych świątyniach, o których mówił Issa:

„Wejdźcie w świątynię, w serce wasze, oświećcie je dobrami myślami, cierpliwością i dowierzaniem niezachwianym, które winniście mieć w waszego Ojca.“

Wasze naczynia święte — to są wasze oczy i ręce... czyniąc dobro bliźniemu, spełnicie ten obrządek, który uświetni obraz wasz, w którym przebywa On“.

Koło r. 29 Issa wrócił do Ojczyzny, której los w ujarzmieniu było mu ciężko oglądać.

Kiedy szpiedzy Piłata już go otaczali, on uczył:

„Nie wiercie w cuda — człowiek nie może wstrzymać szaleństwa huraganu, ani rozwiać dżdżu.“

Lecz jest cud, który człowiek może spełnić: pełen wiary szczerzej wykorzeni on ze serca wszystkie złe myśli i aby osiągnąć celu, nie będzie szedł już drogami niesprawiedliwości.

Nie dawajcie wiary wieszczkom. Bóg jeden zna przyszłość; kto zapytuje wróżbitów, zanieczyszcza świątynię, która jest w naszym sercu i okazuje niedowiarstwo względem swego Twórcy.

Wiara we wróżbitów niszczy prostotę wewnętrzną; potęga szatańska owłada nim i zmusza go spełniać wszelkie zbrodnie i czcić fetysze“.

W Jerozolimie uczył: „Rasa ludzka ginie z powodu braku wiary, gdyż ciemności i burze zbłąkały stado ludzkie i oni stracili swoich pasterzów.

Lecz burze nie trwają ciągle i ciemności nie zakryją światła na wieki.

Nie starajcie się szukać dróg prostych w ciemności, bo możecie wpaść w jakąś otchłań; ale zbierzcie ostatnie siły, podtrzymujcie jeden drugiego, wierzcie w Boga i oczekujcie, aż pierwsze świtanie zabłyśnie.

Kto wspiera swego sąsiada, wspiera siebie — kto ochrania rodzinę swą, ochrania cały swój naród i swój kraj.“

Na pytania współrodaków o wyzwoleniu mówił:

„Ostrzegałem władze, iżby nie szły daleko w swych drogach mrocznych, bo przepaść otwarta jest u ich nóg.

Władza ziemna nie trwa długo i podległa jest wielu przemianom.

Niema żadnego celu dla człowieka buntować się przeciw niej, bo władza jedna ustępuje tylko drugiej władzy, i tak będzie to trwać aż do wygaśnięcia rodu ludzkiego.“

— Ty Arjamanie,—rzekł Mag Litwor,—i tu chcesz uczynić zastrzeżenie.

Istotnie, ta zasada sprowadzałaby się do niedziałania wogóle, gdyż upadek, rozkład i zmiana są we wszystkim.

Lecz ty, jak pszczoła, umiej brać miód ze wszystkich kwiatów.—

Arjaman odrzekł:

— Biorę: piję z tych minionych światła wielką władzę mroków.

Jeżeli Issa, syn wiełony Boga, nauczyciel ludzkości, nie mógł się zdobyć na inne sentencje, niż te, które każdy curé w cichej wiosce może czynić parafianom, kiedy trwa zaraza, lub kiedy jest najście Prusaków —

to zaiste, nie warto oglądać się na wierzchołki, których niema: są to miraze.

— Słowa Issy, rzekł Mag Litwor, doszły nas w li-chej ewangeliji, uczynionej przez kupców. Biję z nich tylko jedna pewność: że należy w duszy swej rozkrzewiać miłość i światło...

— Miłość! rzekł gorzko Arjaman, — nauczyłem się widzieć w kobiecie mego świadomego lub nieświadomego wroga.

Mówił Issa, rzekł Mag:

„Błogosławcie kobietę, czcicie ją—ona jest waszym jedynym przyjacielem i waszą oporą na ziemi.

Czcicie wasze kobiety — jutro one będą matkami, a później babkami całego narodu.

Jak Pan zastępów — który oddzielił światło od mroków—i łądy od wód, tak kobieta posiada boski dar oddzielać w człowieku dobre uczucia od złych myśli:

I dlatego, mówię wam, po Bogu wasze myśli najlepsze muszą należeć do kobiet i żon, gdyż kobieta jest boską świątynią, gdzie wy osiągniecie najłatwiej doskonałe szczęście.

Zaczerpnijcie z tej świątyni wasze siły moralne; tam zapomnicie waszych smutków i niepowodzeń, odzyskacie moce utracone, które są wam konieczne, aby pomóc bliźniemu. Nigdy jej nie wystawiajcie na poniżenie; przez to uniżycie siebie i straciecie dar miłości, bez którego nie trwać na ziemi nie może.“

Nie protestuj, Arjamanie, przeciw tym słowom.

Kto wypił truciznę, niechaj nie złorzeczy wodom zdrojowym ani hydromelowi.

Rzekł Arjaman, śmiejąc się: „Złorzeczyłem, albowiem konałem. Teraz z kamienia pustyni pić będę.“

Mówił dalej Litwor:

— Zakończę wyłożeniem twego imienia.

Arja—jest to imię starożytnych mieszkańców Indji.

Znaczyło najpierw: człowiek, który uprawia ziemię.

Pojęcie etnograficzne uzyskało później znaczenie religijne i znaczy ono:

Człowiek, który wierzy.

Arjaman milczał, potym rzekł:

— Odtąd imię me będzie znaczyć: Człowiek, który oparty jest sam na sobie...

Wiara moja rzuciła mię w otchłań piekła. Wyprowadzi mię z niego tylko myśl, która wysadzi, jak dynamitem, wszystkie me stare wierzenia.

Kiedy Notowicz jechał po ewangelję Issy, mającą być w klasztorach Tybetańskich, raz nocą ciemną przejść musiał przez wąwóz, gdzie mrowiło się od dzikich zwierząt.

Dziesięciu tragarzy, niosących paki, posuwało się w ciemnościach — wtym ryk pantery:

Wszyscy stanęli w trwodze.

Usłyszeli krzyk straszny walki i w agońi umierającego człowieka...

Nieostrożny podróżnik, jakim był Notowicz, nie miał przygotowanej broni—ta była niesiona przez któregoś tragarza. Gdy rozpalono światło, ujrano na konwulsjami targanym Indusie wspaniałą panterę...

Notowicz wycelował karabin, pantera już miała się rzucić — lecz odmieniwszy nagle zamiar, wyrwała kawał ogromny ludzkiego ciała i uciekła w las.

Tak drogo trzeba nieraz opłacać ewangelję!

Ta opowieść jest więcej warta od całej ewangelji Issy!

Pantera w mrokach nocy rozszarpuje i pożera wędrowca, idącego po „wieczne“ światło.

Wszakże tego Indusa-Arję, „człowieka wiary“, nikt nie uchronił! dobry Purana Bhagawat nie zeszedł na pomoc synowi! lub raczej przyszedł w postaci tygrysy?

Świat jest pobożowiskiem ścierających się sił.

— My jednak powinniśmy wybierać moc najwyższą, rzekł Litwor.

— Moc moją zdobędę w niszczeniu Arjamana, człowieka wiary—rzekł ten, który się mienił sam tak długo Arjamanem.

Kiedy wznosił oczy na Maga, myśląc, iż ujrzy w nim święte oburzenie, z dreszczem podziwu ujrzał tragiczną zadumę Lionardowskiego Wieczernika.

Czyżby Mag Litwor przyszedł dopełnić Chrystusa?

— — — — —
Brzask się tworzył.

Mag Litwor i Arjaman chodzili wśród łąk, okrytych krwawymi makami, gdy dokoła zaczarowane szczęściem wznosiły się wielkie jodły, ożyny kwitnęły różowemi pąkami, a w błękitach przelatywały ptaszki.

Kilka drzew wiśniowych migało swemi rubinami.

Była to wyspa, na której mógł się urodzić Zeus z cichej tajemniczej Semeli.

Tej nocy Arjaman narodził sam siebie.

Teraz poznał do głębi, iż wiele w nim było zbudowane na przywidzeniach i że Polska tkwi jeszcze w środku bagna, gdzie dokoła latają błędne ogniki wiary.

On, który dotąd kochał nad wszystko Chrystusa, poznał, iż musi rozejść się z Nim—

i w nowych światłach tworzyć swe przeznaczenie.

— — — — —
Prosił Arjaman swego Mistrza, aby tu mogli pobyc dzień jeden nad źródłem, które wypływało ze skały.

I spędzili tu dzień, żyjąc chlebem przywiezionym i miodem, który znaleźli spływający po korze drzew przepełnionych miodem dzikich leśnych czarnych pszczoł.

I mówił jeszcze Mag Litwor:

— Są drogi tajemnej wiedzy: nie ten obmierzył kabotytnizm literackich różokrzyżowców i satanistów, który epatuje paru znakami astrologicznymi i tym żydowskim pentaklem z wielkim imieniem Jahwe, okazującego swym prorokom — tył.

Ach, te witrynowe figury Peladanów, ten niedorzeczny żargon Papusów, piszących grube tomy bredniowego astro-chiro-papugo-mantyzmu!

Te różne M-me de Thèbes...

W czasach w. XVII ukryte koła czerwonych i białych zróżniczkowały się przez wylew Rewolucji: jakobini owdągnęli tłumem, filozofja ateistyczna stała się przyziemna i zbrodnica; iluminaci rozwijali się pod wodzą Fabre d'Olivet i Eliphasa Lévy; Wroński, Vaillant, Alcide Morin — niestety nie zawsze oddzielający wiedzę istotną od przywidzeń. Potym Stanisław Guaita obudził tradycje Swedenborga, Martineza Pasqualis, Boehma, Saint Martina, Paracelsa, Rajmunda Lulla, Agrypy, Khunratha i Flamela.

Teraz widzimy we Francji potężne wpływem koła masonów i udające wpływ literackich wibrionów.

Stanowi ogólną wadę ich — wiara w martwe słowo, wiara, iż jakieś zaklęcie, jakieś słowo kabalistyczne, lub matematyczna formuła sama przez się rozewrze skały przeznaczenia. Ich mesjanizm, ich Muzy Czarne, świątynie Lilithy, ich Róże Mistyczne pełne są martwych kości — i, doprawdy, szkoda było namiętnej poetyckiej wiary Stan. Guaity na badanie potrójnego sensu: literalnie, symbolicznie, hieroglificznie słowa Nahasz, które w tekście Wujka znaczy Pokuśnik. W sensie pozytywnym Nahasz ma być upojenie żądzą, wiodące do zła; symbolicznie — Nahasz jest światłem astralnym, wysokim czynnikiem mroków Goeceji; w znaczeniu najwyższym Wąż Nahasz wyobraża egoizm pierwotny — Ja, ciągnące ku Mnie samemu.

Brnięcie w labirynt kabalistyki jest wybraniem drogi przez Absurd. Wiedza kabalistów dawnych płące

się w takich rozumowaniach, że np. Sokrates znaczy mur żelazny, bo so jakoby znaczy mur, a krato żelazo; błogosławiony biskup Voragine, autor Legenda aurea, tak samo w w. XIII objaśnia słowa, np. Agathę — aga znaczy czysta, a tha święta.

Poznałem Żyda kabalistę, który niezmiernie trafnie odgaduje przyszłość na zasadzie zupełnie fałszywych danych kabalistycznych.

Mówi przez niego nieświadoma moc profetyczna, zaś umysłowi jego wydaje się, iż zawdzięcza to zagmatwanym i dziecinnie przekalkulowanym rachunkom.

Arjaman zatrzymał się i zaczął słuchać — tam z podziemi dochodziły dzwony —

usłyszał jakby śpiewy religijne —

wstrząsnął się —

to w jego duszy jeszcze coś tak śpiewało chwałę Ukrzyżowanemu.

Wraz z imieniem Jakóba Voragine przemknęły te rozmodlone postacie świętych, te jedenaście tysięcy kobiet, mistycznie nastrojonych, które z Bretańji szły za św. Urszulą — i okręty zaniosły je w trzy dni prądem rzek aż do Kolońji, stamtąd szły aż do Rzymu, wyszedł na ich spotkanie papież Hance i szedł wraz z niemi, mimo zgorszenia kleru watykańskiego...

I tak szły, aż były umęczone przez Hunów, wymordowane wszystkie, prócz Korduli, która ukryła się na przód, a potem, zawstydzwszy się, iż ona przeżyła swe towarzyski, wydała się barbarzyńcom na śmierć —

Jak trudno jest naprawdę wyrosnąć nad swe serce, pomyślał Arjaman.

Mag, aby skondensować jego myśli, mówił do Arjamana, nawiązując rozmowę o Krisznie-Chrystusie.

— Wszakże i to jest fakt niemały, iż świat myślicieli greckich i rzymskich nie wiedział o takim Bogu: Tacyt, Swetońjusz, nawet Juljusz Flawiusz! Do-mniemany morderca niewinątek, Herod, postrach wieków

zbyt wierzących — kiedy był głód w Judei, sprzedał dobra swe i meble drogocenne, aby ulżyć męczarniom narodu.

Za to istotny morderca i potwór, Konstantyn, nosi przydomek Wielkiego.

Historja bywa mistrzynią, lecz zbyt późno, jak i w życiu jednostek — nagle i przerażające doświadczenie często tylko jest błyskiem piorunu, który wprzód zdruzgotał okręt, nim płonącymi masztami jego rozświetlił nam drogę.

I rzekł Arjaman:

— W moim życiu lat temu dziewięć byłem już na tej ścieżynie, co teraz: wolności i przemyślenia.

Lecz zwróciłem się w manowce mistycznej wiary, dzięki męce serca, które wybuchło z głębin — męce, która mi dała skrzydła astralne...

Chrystus wiódł uczniów... męką swych skrzydeł astralnych.

Nie trzeba na to było cudów.

Gdyby cuda były, poszedłby za Nim cały ambitny żydowski naród.

Lecz nie rozumiem, jak mogła tak łatwo stopić się nauka Kriszny indyjskiego z życiem rabi Jezua? —

— Rozproszeni po świecie apostołowie prędko weszli w atmosferę orjentalną mitów i cudów; jeśli święty Józefat wziął na się historję królewskiego pacholęcia Bud-dy —, tym łatwiej imię Jezua stopiło się z indyjskim epitetem Kriszna, to znaczy Wysłaniec Boga.

Tłomaczenie przez wyraz grecki „Pomazaniec“ nie objaśnia niczego —

żydowski prorok nie potrzebował z greckiego słownictwa brać tego miana, zresztą nie nie objawiającego.

Nie zapominajmy też, iż czasy, w których tworzyła się legiendy życia Chrystusowego, były czasami, kiedy panował gnostycyzm: Filon, Szymon Mag, Menander ze Samary, Dozyteusz... Ich idee rozwijane były w II i III wieku przez Bazylida, Saturnina z Antiochji...

Orygenes uczył indyjskiego przedistnienia dusz i czasowości piekła.

Apostołowie i kościół tych mistrzów swych uznali za heretyków.

Lecz teraz, jak i zawsze, każdy może się stać wybrańcem, który, jak mówi Manu, rzuci zapaloną strzałę w potężne bastjony przesądu i omyłki.

— — — — —
Dusza Arjamana uspakajała się, jak morze wzburzone — —

uspakajała się, żyjąc w technieniach żywicznych lasów nad pradawnym świętym morzem.

Leżał, zatopiony w woniach żywicy tych koniferów z długimi igłami, pachnącymi, jak fiołki; wśród olech, trzciny i traw macierzanek.

Fale wyrzucały na brzeg dziwne twory głębin: kraby, zagrzebujące się w mokry piasek, przystosowane barwą do żwiru, tak, że można było je wziąć za kwadracik nadbrzeża poruszający się; zielonawe algi to w formie gąbek, to podobne wstęgom wygiętym falisto lub rozchwianym w krzewy; precudne, jak modre łódki z kryształowym żaglem, fyszalje. Skaczące raczki nikłe, że zdały się pchłami, czyniły jamki w piasku, jakby uklucie cierniem.

W miejscach suchych modre i zielone żuki toczyły z komicznym uporem bryłkę ptasiego nawozu, wyrwywając ją sobie, jeden najtęższy pchał tylnymi łapkami, starając się uciec z nią od natrętnych towarzyszków.

Lecz oto rozegrał się nowy dramat: wielki metalicznie czerwony żuk usiadł na wybrzeżu — dwa haczyki wydobyły się z pod piasku i wparły tak nagle i tak potężnie w żuka, iż ten po kilku drgawkach zamarł. Wygrzebał się z piasku lew mrówczany, obrzydłe piaskowej barwy, pręgowane, podobne do hjeny zwierzątko z wielkimi hakami, wydzielającymi jadowitą i cuchnącą ciecz — poczał korzystać ze zdobyczy, wysysając.

Lecz wyskoczył drugi lewek — zaczęła się śmiertelna

walka, pierwszy legł zatruty i ciało jego wnet przybrało barwę siną.

Odwiódł wzrok Arjaman od szczegółów tej walki o byt.

Nad morzem wśród skał latały orły morskie, zanurzając pazury w wodę, gdy widziały płasającą na powierzchni rybę.

Tak więc tu, czy tam musiał Arjaman wpatrywać się w dziką walkę tworów — — —

Znużenie bezsennością dało się wreszcie odczuwać. Zasnął.

Wielkie bezmiary nocy zasiewały już świecącymi hieroglifami wieczności — haftowały swe wtajemniczenia na wzruszonych, modro-ciemnych głębinach.

Mag Litwor, nachyliwszy się nad Arjamanem, zbudził go wolą, nie dotykając.

— Ty, Mistrzu, czyś wypoczął?

— Nim pszczoła jedna zdążyła wyssać wszystkie kwiaty na tej lewadzie — byłem już po moim śnie.

— I to wystarczyło?

— Pewien sposób oddychania więcej wzmacnia, niż sen. Teraz nie mamy już czasu, wiatr zrywa się wieczorny, musimy dogonić podmorski statek księcia Huberta.

— Wszakże tu jest pełne morze!

— Ja widzę go — —

i widzę jeszcze ten torpedowiec rosyjski, z którym musimy się spotkać. —

Nie pytał już Arjaman, pomógł założyć żagle, wysunęli łódź na fale, grzmiały potężnie wraz z przypływem —

Wiał chłodny wiatr, łódź, pochyliwszy się na bok, z świstem zaczęła pruć wody. Góra na wyspie wyrastała wciąż — olbrzymiała w mroku, aż w nim zatонуła.

Już był nad niemi tylko rozpięty haftowany gwiazdami namiot nieba. Mrok nocy magnetyzował; tężyzna fal udzielała się Arjamanowi. Myślami krążył, jak olbrzymi albatros, wśród chmur nad wzdętym morzem.

Mijały godziny.

Bez słowa, w milczeniu płynęli.

Arjaman wracał myślami do ubiegłej nocy, wśród której on, król wyspy Thule, rzucił bajeczną czarę miłości do morza.

Czasza ofiarna dla żywiołu, z której nikt nie wypije już nigdy.

I w tej dumie żałował, iż, jak Aleksander Wielki, nie pochodzi od matki czarownicy, która niewiadomo z jakim demonem poczęła syna!

Aleksander, nie uważając się za syna Filipa, mienił się synem Ammona, boga słonecznego w Egipcie.

Takich matek Olimpiad liczy historia tylko na jednostki.

Słowacki ułożył modlitwę dla matek o syna gienjusza.

Arjaman sam teraz był swą matką i czuł, jak rozskrzydlają się w nim czarne, mroczne zadumy.

Wtym ujrzał mknący błyskawicznie po wodzie ogień.

— Nie może być łódź tak szybko pędząca, pomyślał, nie jest li to jakiś pocisk nowego systemu — światło zbliża się, zakaty! wychynęła podmorska łódź! —

Istotnie, zahamowała się w tak wściekłym rozpędzie, jak lecący siłą parutysięcy koni parowych torpedowiec. Miała motor aeroplanowy, przyczepiony do wierzchołka masztu i nadający jej ten bajeczny pęd.

Rozwarły się stalowe klapy.

W łodzi elektrycznej oświetlonej stał wysmukły, w płaszcz otulony człowiek; dotknął bireta, salutując.

Widząc dżentlmenów, zapytał:

— Czy nie znajdę towarzyszków wyprawy na Wielki Wir, który tworzy się koło Murania każdego przedranka? Moja łódź jest podmorska i możemy odkryć ów tajemniczy pod Tatrami prąd!... —

Mag Litwor zaprzeczył głową.

Arjamanowi zrobiło się żal sposobności, spojrzał na

Maga. Lecz ten, jakby nie widząc spojrzenia, przeszedł do elektrycznej szalupy i skinął na Arjamana.

— Jakto, nie chcecie jechać na Malsztrem i wstępujecie do mojej Jo, która nosi nazwę bohaterki, co miała odwagę przepłynąć wielką drogę od krowy do bogini — rzekł dżentlmen, sięgając nieznacznie w zanadrze — zapewne, aby mieć pod ręką rewolwer.

— Mamy na razie rzecz inną do uczynienia, skoro los nam ciebie zsyła, książę Hubercie, odrzekł Mag Litwor. Musimy jechać pod granicę Tatr i spotkać okręt, jadący z Kaukazu i Batumu. Tam jest plan walki, przygotowany przez jednego rosyjskiego kapitana; sztafetą ma być wysłany na Dwór. Jestto z niesłychaną precyzją obliczona możność wygrania walki przez Rosję na Dalekim Wschodzie z Japońją —

— Jakto? — zapytali obaj naraz: książę i Arjaman — walka Rosji? — nie o tym nie wiemy.

— Jest już w powietrzu, zaraz się pojawi na ziemi. Kapitan Czibisow należy do tych ludzi, co nasz Przewalski Mikołaj: uwielbia absolutyzm i służy mu całym gienjuszem, rozległością wspaniałej wiedzy i młodością. Lecz Rosja musi być pokonana dla jej własnego dobra i dobra ludów —

Nie odrzekł na to już nic właściciel Jo, spojrzał tylko bystro i oddał koło sterowe Magowi, sam zaś spokojnie wyjął małe pudełko i podał uprzejmie Arjamanowi wraz z koszykiem kolczastych fig, zwanych indyjskie.

— Haszyszu? trzeba jednak wprzód lekko zakąsić choćby o tym owocem!

— Z trudem doszedłem do otrzeźwienia, rzekł Arjaman.

— I ja też. Lecz powierzyłem łódź mą w dobre ręce i pewno na dłużej.

Kto panowie jesteście nie pytam, wolę mieć do czynienia z nieznanymi, choć już robi mi niemiłą różnicę, że ten starszy pański towarzysz zdaje się mnie znać.

Co zaś dotyczy statku, wiozącego plan walki, to

mam tu aparat telegraficzny bezdrutowy — oddaję do rozporządzenia.

Książę Hubert powtórzył swe usługi Magowi, lecz były nieprzyjęte.

Mag siedział w skupieniu najgłębszym i to był zapewne jego sposób przyjmowania wrażeń z całego świata.

Książę Hubert, wchłonawszy dwie bryłki haszyszu, zapadł w rodzaj letargu, lecz nie minęło kwadransa, gdy dotknął ręki Arjamana, wstrząsnął nerwowo i rzekł cichym, natchnionym głosem:

— Mój druho, bracie krwi, przelanej w jedną czarę — czy widzisz te piętrzące się wschody z granitu? tam musim iść. Tam żyje Prometeusz zła — nad kraterem wulkanu, skąd wychodzą wyziewy siarczane.

Węże dwa pożerają mu plecy. Okuty łańcuchem w tym wiecznym mroku on żyje, ślepiony duch -- który niósł światło.

Ja byłem tam. A ty masz skrzydła białe Perłowicza — tyś jest witeziem, który zmógł niegdyś króla węzów w Tatrach.

Dziś ty się tułasz... jam twój brat — i jam jest twój wróg Janosik.

Tak, byłem kiedyś hersztem. Dziś jestem wielkim, nudzącym się panem.

Lecz widzę mój los — na mym pękniętym sercu, jakby urnie z bronzu,

która w rozpaleniu aż do krwi była rzucona w mroźną dolinę zgonu.

Na tej urnie rozerwana pieczęć Salomona, Duch wyleciał —

Gienjusz był to może straszliwych potęg?... Biada, com ja uczynił — com ja uczynił z mą wieczną sześcioskrzydłą duszą? —

Książę Hubert w rozpacz najgłębszej uderzał głową o powietrze, a zdało mu się zapewne, że tam są skały Kaukazu.

Wtym uśmiechać się począł — i twarz jego była najwspanialszym wyrazem upojenia, jak przedtym widać było na niej grozę, jakiej nie mógłby wyrazić Rossi lub Szaljapin.

— Widzisz — te wszystkie cudne idą uwiedzione!

Jam ksiązę Hubert, straszliwszy, niż kiedyś się zwał Don Juan Tenorio,

gdym był w Sewilli melancholijnym posępnym serce wiwisektorem.

Ujrzałem raz w kościele swój pogrzeb — i w trumnie twarz moją —

ksiądz, mówiąc egzekwje, wywołał imię Don Juan Tenorio —

runąłem w płaczu wielkim.

Założyłem zakon tych, co towarzyszą skazanym na śmierć. Ośladzajmy im chwile ostatnie, czyniąc z niemi spowiedź, mówiąc do nich pod szubienicą — i grzebiąc ich ciała... widzisz — Don Juan Tenorio znów ożył!

Ileż myśli piekielnych przeszło pod tym martwym czołem!

W Sewilli zakonnice chowają biust mój, — i nie wolno utrwać mej twarzy,

w kościele jest tablica, wmurowana w podłogę:

„Tu leży najgorczy z ludzi!“ —

Lecz mnie terazniejszego sam szatan nie przewidział!

Nie jestem już z tych, co tęsknią do klasztoru, kiedy idąc na schadzkę,

ujrzą, iż głowa cudnej księżnej odcięta jest od kadłuba —

gdyż lokaje zauważyli, iż trumna dla zmarłej pani jest zbyt szczupła! — Nędzni z ich nawróceniem.

Ja nie ugnę mej myśli! Widzisz, jakie ich są twarze?

Zygmunta wampir młodości, i ta, którą zabiłem na Ca d'Oro, Marja:

jej mąż przed ślubną nocą przegrał majątek swój w karty

i mnie oddał tę noc — za majątek.

Piana toczy się z moich ust, w blasku krwawej latarni wyglądałem jak upiór,

lecz uspokajam się — gram cudną serenadę — i ona wychodzi, biorąc mnie za męża —

i zaiste, nie żałuje, iż ja nie jestem tym, co był jej zaślubiony.

Mąż wrócił... biegnie po wszystkich komnatach, trzymając pistolet w dłoni —

nie wie, och, dotąd nie wie — iż za obrazem cudnym Prewitaliego

kryje się trup jej... A ty, którą spotkałem w kasztanowych lasach,

kiedy kaskada płomieniała w księżycu — Ty, jak Tannhäuser kobiecy,

zwiedziwszy cały świat i nie znalazłszy Druha — uznałaś, iż ja jestem najmniej podobnym do ludzi —

najbardziej zaś do tych Amhaszpandów — sześciokrzydłych demonów,

co wyszedszy z niebytu pierwsze słowo swe wyrzekli przeciw Bogu!

Ty, Angielko, z gąszczą złotych włosów, żyjąca w dżungli Himalajów —

mówisz srebrzyście, jak potok, o swej nienawiści indusów, których masz za bydło... o ty, cudne dziewczę, cyniczne, jak satyr...

Jestem drzewem magnolji, potrzebuję, by cały ul przyszedł do mnie

i pił amritę. —

Ksiązę ręce rozpostarł na przestworze nieba zasianym grozą mileczących gwiazd.

Arjamanowi zdało się, iż dokoła pędzącej błyskawicznie łodzi, skaczącej po falach, jak nietoperz w locie — wiją się błękitne, karminowe, żółte Muzy, srebrne Peri, czarne Walkirje — on zaś, jak Dżalaleddin Rumi, odrzuca wszystkie czary, idąc w płaszczu derwisza po drogach samotnych.

Mag Litwor powstał, dłoń przyłożył do czoła księcia Huberta — i ten otrzeźwiał naraz.

Arjaman nie potrzebował wytrzeźwienia i patrzył z zimnym uśmiechem na księcia, myśląc, iż to jest jakby jego sobotwór, używający życia i biorący par force wszystkie przeszkody, u których, jak u mirażowych gór, legł Arjaman.

— O jedno was proszę, rzekł już zupełnie innym tonem książę Hubert. Na torpedowiec, wiozący plan walki, pozwólcie bym wstąpił ja sam. Byłem lejtenantem marynarki wojennej i rozumiem się na wzięciu w ręce różnych delikatnych spraw, zresztą znam osobiście kapitana Czibisowa. Widzę na horyzoncie odblask krwawy z komina. Przetniemy drogę i ja pomówię z kapitanem. —

Lecz na to nie zgodził się bezwzględnie Mag Litwor. Ujrzano pędzący torpedowiec.

Książę Hubert wywiesił latarnię reflektorową i sygnalizował wstrzymanie.

Torpedowiec, lecący z szybkością kurjerskiego pociągu, zwolnił pęd.

— Czego? — zabrzmiało gniewne zapytanie.

— Ważna rozmowa sam na sam z kapitanem, rzekł Mag Litwor.

Opuszczono drabinkę sznurową, Mag Litwor wszedł na pokład odymionego, buchającego parą żelaznego potwora. Zniknął wraz z krępyim mieczmanem.

Arjaman nie zmieniał zadumy, książę Hubert rozmawiał wesoło z oficerami.

Po kwadransie wyszedł Mag Litwor.

Popłynęli.

Torpedowiec odrazu wziął pęd najwyższy i zniknął w parę minut za widnokręgiem.

Mag Litwor usiadł w łodzi, głowę złożył w ręce i płakał.

— Teraz i my nie traćmy czasu, rzekł książę Hubert, kapitan umierający może lada chwila spostrzec, iż podłożyłeś mu pan inny papier na miejscu owych planów —

Mag Litwor podniósł głowę i ze wzgardą spojrział w księcia.

Ten jednak wytrzymał spojrzenie i rzekł:

— Tak czy owak nie minie nas dobrze wycelowany wystrzał armatni. Zakrywam hermetycznie łódź. Zapadniemy w głębię.

Był ostatni czas, bo nagle reflektory torpedowca, jak potworne świecące macki, zaczęły latać po powierzchni morza.

Torpedowiec znowu ukazał się na horyzoncie i gnał prosto ku ich łodzi.

Lecz ta już się zanurzała. Huk armatni wstrząsnął powietrzem i był to ostatni odgłos ze świata dźwięków, bo płynąc w głębinie kilkunastu metrów, nie słyszeli już nic.

Wszystko to było, jak w chaotycznym śnie.

Arjaman patrzył przez zwierciadlaną szybę w mroczne tonie rozświetlane elektrycznością. W niemej otchłani snuły się pajakowate głowonogi, i znowu mrok — tylko mignął podobny do stalowej deski z zębami piły, z miną hipokryty — rekin.

Mag Litwor palił w ogniu plany i memorjał kapitana Czibisowa.

Rozległ się dźwięk aparatu telegraficznego. Książę Hubert zaczął odczytywać depesze.

— To przepływa eskadra rosyjska — zapytuje fortecę przy Bosforze, czy nie zechce rząd Otomański jej przepuścić — chcą płynąć przez Sueski kanał, zapewne do portu Artura! —

— Wszystko jedno, nie zdążą! — rzekł Litwor.

Te trzy noce będą ważne w dziejach świata.

Myśmy zrobili rzecz najstraszliwszą, jakiej można dokonać:

olbrzymowi zabraliśmy jego myśl.

Rosja nie będzie już umiała się bronić.

Kapitan Czibisow jest dogorywającym suchotnikiem.

Duch jego z tamtego brzegu teraz patrzy i błogosławi. Nie płaczę już.

A teraz, panowie, czas spocząć wam. Ja zostanę jeszcze przy sterze. Wracamy do kraju. Bądźcie spokojni — maszyna do wytwarzania powietrza nie ustanie.

Książę Hubert ułożył Arjamana w krzesło wygodnym, zmieniającym się w otomanę.

Wkrótce cisza absolutna. Mag Litwor zgasił reflektor, oświetlający głębiny i drogę przed łodzią. Widać ufał swym zmysłom magnetycznym, iż go ostrzegą przed rafą zdradziecką lub tonącym statkiem, z którym łódź mogłaby się zderzyć. Tak mijały ciche godziny nocne w tajemniczych głębinach.

Nareszcie łódź wychynęła na powierzchnię. Mag Litwor uchylił kłapy stalowej.

Morze było zmienione w karmazynowy ogród ruchomych gorejących klejnotów. Wielkie, jak tarcza Achillesa, słońce wytoczyło się już nisko nad fale, i jęło odbijać swe proroctwa w lśniących od morskich kryształków ścianach fjordu między Łomnicą i Bialskimi grotami w Koperszadach.

Mag Litwor nie budził swych towarzyszków, bo ci nie spali. Milczeli wszyscy. Jakżeby mogli przespać tę noc Machiaweliczną, kiedy tam w oddali toczyły się tak straszne przygotowania do Wielkiej Rzezi — kiedy oni sami musieli wykonywać straszniejszy niż zamach stanu — zamach na myśl!

Arjaman i Mag Litwor zmierzali do Turowego Rogu. Książę Hubert miał ich podwieść, a sam płynąć do swego zamku. Uczuli się zaprzyjaźnieni przez tę jedną noc, ubogą w słowa, wielką w marzenia i w czyn.

Płynęli fjordem doliny Jaworowych Sadów, pustynnym i straszliwym; potem mimo boskiej przełęczy nad Litworowym Jeziołem; minawszy fjord Białej Wody, skręcili już dość późno pod Morskie Oko. Dla szybkości tą drogę przepłynęli w łodzi, korzystając z fjordów, lecz

nakoniec radośnie było Arjamanowi deptać te góry ojczyście wielkie, ukazujące duszy jej własny majestat.

Szli teraz Mag Litwor i Arjaman. Książę Hubert płynął do swego pałacu. Mag — i jego Epipsychidjon toną w kontemplacji potężnego cudu, który przedstawia o zachodzie słońca Morskie Oko.

Niewidzialne już za horyzontem Słońce zagasło — prześwieśla rubinowym djademem granity dzikiego zwału Siedmiu Granatów, fortecę niezmierną Żabiego, spadziśta otchłań Rysów.

Migocą te potworne skały, jakby wewnętrznym płomieniem tłących się kruszców, czerwienią, jak żelazo w ogniu, złocą się, jak prastare bizantyjskie Madonny w ponurym podziemnym kościele, gdy rozżarzone węgle rzucą na ich twarze krwawy połysk przez chmurę kadzielnic; — zalane falą fioletową, jak obrzeże szat rzymskich dam we freskach Pompei — wstępują w epokę niesłychanej, wywalczonej przez duchy groźne ametystowej potęgi imperatorów. Królują na tronach kamiennych wysoko nad światem — lecz z mrocznym natłokiem rozpacz u nóg swych — z bladą nicością nieba, w którym niema bogów. Wreszcie poczynają stawać się bure, jak opadłe jesienne liście, zmyte nawałnicami i szrężogą.

I nagle przybierają bladłość zamarznętej twarzy — siną, z białymi wypiekami, jak trupy Anhellego, Eloi i Szamana, zapatrzone w śnieżną bezbrzeż Sybiru.

Małe ducki na powietrzu odprowadzają miłosne gody, topnieje różowa ambrozja, drzewa wyśnionego raju zanurzają się listkami rozkoszy w mroczne wzruszone fale jeziora i ono poczyną mienić mirjadą modro-fioletowych ogni.

Króle gór próbują się ożywić, lecz już niezdrowym ceglastym rumieńcem: rozpadliny skurczone i zczerniałe od niewymownej męki zatapiają się wciąż głębiej w zadumę piekieł — niebo srebrzy jak całun.

Pora to najstraszniejsza w zmierzchu olbrzymów.

Toń, a raczej dusza Morza, zamkniętego wśród skał — oczarowana ostatnim pocałunkiem umierającego gdzieś w zaświatach słońca — obłąkana, uwiedziona chwilą niezmiennego wyzwolenia —

jak naga kochanka, zarzuciwszy na siebie żalobny aksamitny z katafalku kir — poczyną szlochać, miękkim pieszczotliwie tulącym się ciałem pluska o nieubłagane, jak tajemnica — więzienie skał.

I wtedy — w jęku fal, które się stają groźne i złe, jak Meduzy; w srebrno-kryształowym dzwonieniu siklaw, które rozbiegły pod ogromne głazy i harfami nawołują czarne duchy ziemi; — w strasliwym zapadaniu morza mroków na te świątynie Lucifera — dzwignione przed milionami lat, jako tryumf wiecznego ognia, który jeszcze w łonie ziemi trwa — słyhać ton trzeci najgłębszy, rwących się nieziemnych strun.

Na potwornej, zczerniałej piramidzie Miedzianej turni, zatopionej w mroku jeziora, granią wspartej o gwiazdy — wśród pustynnego cementarza rozbitych w gruzy jakichś niewiadomych prastarych istnień — występuje Widmo: wyrzeźbiła je lawina, tocząca się tu po niedostępnych wirbach, upłazach, żlebach i na krzesanicach.

Widmo idzie przez ogromną pustynię głazów, zarosłych kosodrzewiną — w mroku świecąc życiem okropnym, rozmachem gienjalnej fantazji szaleńca.

Idzie:

z piersią wzniesioną, ciało wysmukłe gibkie podawszy w tył — jakby młoda pieśń wielkiej mazyki i wielkiego światła, wyśpiewana przez huragan nad otchłaniami gór!

cudowne łono dziewicze wystąpiło naprzód, zapłodnione przez Mrok —

sunie ku najgłębszej dali ruchem nóg gwałtownym, złowieszczym, nieprzepartym, jak Furja, idąca do szturmu. Wlecze — wlec musi u nóg swych nieforemne, rozsypane trumny.

Tak idzie — ku niezmiernej, rzuconej poza wszelkie horyzonty, płomieniącej na siedmiu wulkanach, Jutrzni!

— — —

Szumia bory złowrogą, nieprzejeżdżaną, z mrocznych głębin ziemi, wypływającą nienawiścią — protestem głuchym Życia przeciw miazdzącemu gwiazdy:

Niewiadomemu!

(Ciąg dalszy nastąpi.)



OCENY I SPRAWOZDANIA.



LITERATURA POLSKA.

A. SYGIETYŃSKI: **Maksymilian Gieryski** (z 92 ilustracjami.) Wydawnictwa „Nauka i Sztuka” tom IV. Lwów, H. Altenberg, Warszawa, E. Wende i S-ka.

Tak mało wogóle nasi wydawcy drukują dzieł, traktujących sprawę sztuki ojczystej, że książkę powyższą należy powitać z radością i uznaniem. Wśród społeczeństwa zaś, nie wiele mającego pędu umysłowego ku rzeczom estetyki, dzieło tego rodzaju, aczkolwiek dające jeno monografię pojedynczego świetnego malarza, napisane z głęboką znajomością przedmiotu, ma znaczenie poprostu pedagogiczne. Niewielu bo też wśród krytyków i estetyków polskich znaleźlibyśmy tak szczerze a gorąco miłujących, a tak trafnie rozumiejących zasadnicze cele sztuki polskiej, jak prof. Ant. Sygietyński. Między piszącymi w tym dziale należy on do literatów wyjątkowych, rozstrzygających sprawę artyzmu nie tylko z literackiego punktu widzenia — dlatego też z książki o Gieryskim, zarówno przeciętny widz, jak i artysta, dowie się rzeczy pierwszorzędne znaczenia.

Smętne myśli płyną jednak w duszę czytającego z kart, poświęconych pamięci wielkiego malarza, który

zgasł poza krajem, nie uznany, ani oceniony przez rodaków. Pocieszającym choć do pewnego stopnia dla Gieryskiego, gdyby dożył naszych czasów, byłoby to uznanie i cześć, jaką artyści współcześni otaczają jego dzieła. Dzieł tych zalety wywoływały podziw coraz większy, tak iż obecnie ta postać poetycznego i wykwintnego twórcy błyszczy na horyzoncie sztuki polskiej, niby gwiazda o blasku najświetniejszym. Nie zaciemniły tego blasku wrogie artykuły „powąg miejscowych“, które i publiczność, miłująca piękno, i artyści dzisiejsi przyjmują, niby ujadanie psów na księżyc.

Profesor A. Sygietyński, związany bliskim stosunkiem znajomości i przyjaźni z obu braćmi — Aleksandrem i Maksymilianem Gieryskimi, podał w swej książce urywki przemilych listów, malujących czułą, bolejącą a poetyczną duszę Maksa. W listach tych ujawnia się głęboki i logiczny umysł tego człowieka, ujawnia się to całe kapłaństwo i święty pjetyzm, z jakim pracował i badał najzawilsze tajemnice w świątyni swojej sztuki. Sztuka była dlań najwznioślejszym celem krótkiego, niestety, życia, a natura jej mistrzynią. Odkrywał on też światy nowe, pełne dziwnego uroku lirycznego, odkrywał efekty malarskie świeże, aż do jego czasów nieznane — nie odtwarzane, a ujmował i dawał je w obrazach swoich w tak szlachetnej, pełnej wdzięku i tęsknej jakiejś, pół-melancholijnej formie, że płótnami swymi podbić zdołał miłośników pierwszorzędnych ognisk sztuki w Europie, jak Londyn, Monachjum, Berlin. Stawało się to wszystko tak szybko, iż, co dotąd było niesłychanym, młody malarz polski, występujący obok mistrzów europejskiej sławy, wziął tę pozycję wstępnym bojem. Czemu to jednak przypisać? Czy tylko samemu talentowi i temu subtel-nemu wykończeniu, które zawsze jest cenione przez pewne koła miłośników malarstwa zagranicą? Odpowiedzieć na to godzi się, choćby dlatego, że prof. Sygietyński tej sprawy nie dotknął wcale.

Cudzoziemcy szukają w obrazach przede wszystkim wykończenia technicznego, szukają oni tego, co się nazywa w języku ogólnym fakturą dzieła, i od tej faktury zależy głównie powodzenie artysty zagranicą. Dla cudzoziemców jednak te czynniki i zalety dzieł polskich, które dla nas posiadają pierwszorzędne znaczenie, nie mają często-kroć zgola wartości. Mówię tu o pierwiastku narodowym w obrazie; ta strona dzieła, tak wiele dla nas mówiąca,

dla nich nietylko że jest niezrozumiała, lecz często wprost niepożądana. Dlatego to w Paryżu nie zdobyła uznania taka naprzykład „Wojna“ Grottgiera, dzieło arcypięknę, dramat, krwią serdeczną pisany, który dla nas po wsze czasy pozostanie puścizną najszczytniejszego natchnienia.

Miłośnicy cudzoziemscy — to ludzie, szukający w sztuce wykwintnej, spokojnej rozkoszy. Oto wszystko. Żadnych wstrząśnień, żadnych dramatów. Może tu właśnie leży przyczyna, że Gierymski, który nie malował nigdy dramatów, był tym wyjątkowym malarzem polskim, który znalazł od razu pokup w Londynie i innych ogniskach sztuki. Ani Matejko, ani Juliusz Kossak, ani Brandt nie dostąpili tak szybkiego uznania. Wiadomo przecież, iż Francuzi na arcydzieło Matejki „Rejtana“, a nawet i na „Skargę“ — wzruszali ramionami. Zdaje się też pewnym, iż Kossak, tak wyjątkowo świetny, a temperamentu pełen akwarelista, nie sprzedał żadnego ze swoich obrazów cudzoziemcom. Nie dlatego nawet, iżby jego, pełne życia sceny myśliwskie i rycerskie, były zbyt dramatyczne, — lecz znowu dlatego, że były one zbyt narodowe, zbyt jaskrawo polskie. — To cudzoziemców w nim raziło. Pewnie tak, jak nas razić mogą w obrazach, dajmy na to niemieckich, pończochy, pantofle, kufle piwa, fajki etc., ten cały balast czysto narodowy.

Z Gierymskim inna sprawa — tam nie nie razi, tam wszystko jest zarówno dla Polaka, jak dla Anglika, czy Niemca, miłe. — Oto określenie, które się ciśnie pod pióro, kiedy się myśli o jego obrazach. Przedewszystkiem są one miłe. Rozumie się, nie w tym znaczeniu, w jakim tego określenia używają niewłaściwie „smakosze“ nasi, mlaskając językami przy „obrazach“ „pana Franciszka“. Nie, Boże zachowaj! Obrazy Gierymskiego są miłe w jak najpoważniejszym znaczeniu, przez swój wyjątkowy wykwint nietylko techniki, lecz układu i wyrazu, występujących postaci.

Przyjrzyjmy im się bliżej. Zajrzyjmy w oczy każdej z tych figurek, tych główek, przez szkło powiększające — jak to czynią i czynili zawsze Anglicy. Cóż się okaże? Oto w tych przyjemnych twarzyczkach ludzi, w tych spokojnych głowach koni niema nigdy wyrazu ostrego. Nawet w takiej „Pikiecie powstańczej“, gdzie mieliby się czym wzruszyć i ludzie, i konie, jedni i drugie mają wyrazy zgoła niedramatyczne. Ten chłop wśród drogi

stoi tak spokojny, jak w niedzielę przed kościołem. Nie obniża to bynajmniej wartości obrazu, lecz jest przykładem rodzaju talentu autora. Jest przykładem wymownym jego temperamentu malarskiego, a zarazem daje wątek, z którego możnaby wysnuć nie psychologiczną twórczości Maksa Gierymskiego.

Jako drugi dowód, że nie był on zgoła malarzem dramatu i że nie doszukiwał się w naturze i życiu tragizmu, może także służyć obraz „Wypadek w podróży“, gdzie również pomimo niemiłego wydarzenia, bo ugrzęźnięcia w błocie karetki pocztowej, panuje spokój i błoga, niezamącona cisza, nikt nie narzeka, nie klnie, i nie rozpacza. W ten sposób ta scena załamała się w duszy i oku Gierymskiego. Talent i temperament tego artysty był już taki, że widział on tylko w przyrodzie i życiu pewną poezję, pewien liryzm, pewien urok miły, szlachetny, a spokojny, którego dopatrywał się zarówno w ludziach, zwierzętach, drzewach, budynkach i obłokach, patrząc na wszystko z punktu widzenia estetycznego. Dążył on przystym do efektów czysto malarskich, oderwanie artystycznych, zgoła jednak ani narodowych, ani patryjotycznych, ani dramatycznych.

Wobec tego społeczeństwo, przeżywające po powstaniu czasy ciężkie, — ludzie rozbici w swych najsłabszych patryjotycznych dążeniach, wyzuci ze świeżo rozwianych tak boleśnie złudzeń i nadziei, przyjmowali mistrzowskie jego obrazki zimno, nie szukając i nie widząc w nich zalet malarskich. Dziwić się temu niepodobna, że więcej wymowy miały dla nich w owe czasy obrazy Matejki, Grottgiera, Brandta lub Kossaka, gdzie odnajdywali przecież (i dzisiaj odnajdują Polacy) tę idealną ojczyznę, nabierają sił do walki w życiu twardym, w towarzystwie idealnym wskrzeszonych bohaterów, rycerzy i królów, którzy tak świetnie a widomie dają znać o wielkiej minionej, historycznej potędze. Z płócien Matejki promieniowała ta złota epoka historyczna dawnej Polski tak potężnie, że urokowi jego dramatów ulegali nawet artyści rosyjscy, jak jeden z najwybitniejszych malarzy, Repin, który przybył do Krakowa dla złożenia hołdu mistrzowi polskiemu.

Jakże więc w owej chwili społeczeństwo polskie mogło oceniać z czysto malarskiego punktu widzenia obrazki Gierymskiego? Wątek psychologiczny, który mógł w niewielkim stopniu wiązać duszę Polaka przez

obrazy z Gierymskim, był tak nieznaczny w porównaniu z Matejką, Grottgierem, Brandtem i Kossakiem, że nie można się dziwić oziębłości ogółu do dzieł jego.

Tyle o psychologii obrazów Gierymskiego — przejdźmy teraz do strony technicznej. Prof. A. Sygietyński robi słuszną uwagę co do niektórych fałszów w rysunku koni i podaje, jako szczególny przykład, konia siwego, pierwszego z brzegu w obrazie „Pochód Kozaków”. Fałsze podobne w rysunku koni i ich nóg powtarzają się i w niektórych innych obrazach. Nie znam dokładnie dat powstania poszczególnych obrazów, stwierdzić jednak można, że w obrazach późniejszych, t. j. bliższych nas, nie spotykamy tak rażących omyłek, lub nie spotykamy ich wcale.

Weźmy oto reprodukowany w tej książce obrazek „Powstaniec Polski” (ze zbiorów Tow. Zach. Sztuk Pięknych w Warszawie.) Jest to dzieło zupełnie słabe tak w ruchu konia, jak i w układzie, a zaniebane w rysunku nóg i zwierzęcia i człowieka. Prof. A. S. kładzie szczególny nacisk na złe związanie przodu konia w „Pochodzie kozaków” z zadem. Takich omyłek znajdzie się więcej u Gierymskiego, nawet i w późniejszych malowidłach, jak np. w „Polowaniu *par force* na jelenia”. Tutaj biały koń ma nietylko przód fałszywie związany z zadem, lecz i nogi przednie za krótkie, a tym samym szwankują i dwa konie obok tamtego; prócz tego i przez to może jeźdźcy wydają się, jakby siedzieli zazbyt nasunięci na kłęby końskie. W tym obrazie jedynie dobrze wiążącą się figurą z koniem jest myśliwiec, obrócony zupełnie tyłem do widza. Ten jest świetny i w namalowaniu i w całym ruchu zwierzęcia i człowieka. Pejzaż za to jest tu nieporównanie miły, a mistrzowsko namalowany. Jednym z bardzo wczesnych i słabszych obrazów są „Czerkiesi”. Tutaj wszystkie konie mają za krótkie nogi, a biały i głowę fałszywą. Całość jednak jest przyjemna i mogła być zapowiedzią przyszłego mistrza.

Ale obok takich błędów zdarzają się gorsze jeszcze w malowidłach Gierymskiego — w „Patrolu polskim” brak jest zupełnie charakteru polskiego, jakkolwiek błędów rysunkowych mniej. Ani figury żołnierzy nie mają w sobie tej brawury, która cechowała wojsko polskie z r. 1830, ani konie nie są typu koni polskich. Czuć tutaj najwidoczniej wzorowanie się na koniach i wojsku rosyjskim, które było przed oczyma artysty. Konie te

przecież są wybitnie rosyjskiego typu, tak zwane „gorbonosy”, a i zady mają „świńskie” spadziste. Takich błędów nigdy nie znaleźlibyśmy u Juliusza Kossaka.

Nie widzimy już jednak podobnych błędów w obrazie „Powrót z polowania”, gdzie już wszystkie konie i psy narysowane są bez zarzutu, po mistrzowsku — w drzewach jednak uderza brak gałęzi, i pejzaż ten robi takie wrażenie, jakby drzewa pierwszoplanowe poobcinano. W innych krajobrazach tego nie spotykamy lub zdarza się to w mniejszym stopniu. Nieporównanie prawdziwym, a przyjemnym, w światłocieniu łagodnym jesieni — jest obrazek „W parku”. Jak Gierymski Maks czuł doskonale wyraz ruchu konia wogóle, dowodzą „Kozacy w pochodzie” (str. 84), tutaj wszystko jest bez zarzutu i jest to obok „Nocy” i innych — jeden z najlepszych obrazów. Najtrudniejszy ruch konia, widzianego z tyłu, jest tu doarty z łatwością i doskonałością nieopisaną. „Rewizja nocna w dworku”, arcydzieło krajobrazu, koni, oraz światłocienia, pełnego dziwnej poezji. Jako przykład trafnego pojęcia ruchu może służyć szkic piórkiem „Dragonii”, arcydzieło. Także inne: szkice „Wyścigi”, str. 39, i str. 36 „Dżokierze”, szkice ołówkowe.

Już to wogóle, to nadzwyczajne, a wyjątkowe poczucie ruchu i konia, i człowieka jest u Gierymskiego w tak doskonałym stopniu trafnym, że ono samo wystarczałoby do uznania jego malowideł za arcydzieła w swoim rodzaju — ale zwrócić uwagę i pamiętać należy, że obok tych zalet cennych, a rzadko spotykanych, wyczuwa się u niego wyjątkowe poprostu poczucie materiału, czyli miąższości przedmiotu. U niego, w tak małych obrazkach czuje się, że nawet noga konia jest mięsistą, że jest pokryta gładką sierścią, że blaski atlasowe, powstałe od słońca na zadach koni, lśnią na gładkiej wyszczotkowanej skórze pięknie utrzymanego w pańskiej stajni zwierzęcia. To wszystko widać w jego obrazkach, gdzie konie są miary dwóch do trzech cali.

Był on więc nietylko świetnym, a bystrym rysownikiem, lecz przeznakomitym technikiem. Do tego dodać wszakże wypadnie przymiot wielkiej wagi, poczucie tonu właściwego, jego zmroków czy nocy, a wtedy dopiero zrozumiemy, iż Maks Gierymski był istotnym mistrzem, i że choć w jego obrazach nie doszukamy się dramatu, znajdziemy przecież wątek wysoce szlachetny czystego idealnego piękna.

Na pierwszej stronie książki wydawcy pomieścili portret Maksa Gierymskiego w świetnym drzeworycie Józefa Holewińskiego, rysunku St. Witkiewicza (odtworzonego według fotografii). Portret jest dobry i mamy tu podobiznę głowy wykwintnego malarza, psychologicznie wierną.

Jaka szkoda jednak, że nie dane nam było zapoznać się z formą i typem mistrzowskiej ręki artysty. Jestem zdania, iż obok portretów głów wielkich malarzy i muzyków powinno się zapoznawać czytelnika i z ich genialnymi rękami. Oko i ręka—to dwa narzędzia widome, tak zawsze różne i znamienne, a wiele mówiące u ludzi talentu i wogóle u wszystkich ludzi.

Powinni więc panowie wydawcy i biografowie wprowadzić ten obyczaj w przyszłości, aby obok podobizn głów wielkich ludzi dawać ze wszech miar interesujące ich ręce.

ST. MASŁOWSKI.

ZYGMUNT NOSKOWSKI. Kontrapunkt, kanony, warjacje i fuga. Wykład praktyczny. Dzieło, przyjęte przez instytut muzyczny w Warszawie. Warszawa—Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków—Gebethner i Spółka. 1907. 8-o, IV + 221 str.

Nareszcie doczekaliśmy się podręcznika kontrapunktu. Skandaliczny brak tego rodzaju dzieła, jakich wiele mają już nie tylko obce narody, ale i nasi pobratymcy Czesi i Rosjanie, zapragnął usunąć p. Noskowski. Dlatego bez względu na to, czy myśl tę poddał mu ktoś inny, czy nie, należy mu się uznanie i wdzięczność. I gdyby ta zaleta, leżąca poza samym „dziełem“, rozstrzygała o jego wartości, to wówczas ten — mówiąc skromniej i z większym dla prawdy respektem — podręcznik zasad kontrapunktu, byłby dziełem znakomitym. Niestety, zasługi obywatelskie a wartość dzieła teoretycznego to dwie zupełnie różne sprawy. Największym jednak czynem patriotyczno-obywatelskim byłoby napisanie nietyle pierwszego, ile raczej tak dalece samoistnego i dobrego podręcznika kontrapunktu, abyśmy nie potrzebowali się go powstydić, gdyby obcy chcieli się nim zająć i poznać przez porównanie go ze swymi podręcznikami. A o samoistości nauczania polskiego chodziło p. Noskowskiemu. Ze względu na to, że podręcznik jego jest przyjęty przez instytut muzyczny w Warszawie, warto zacytować, jako wstęp do tej recenzji, to, co p. Noskowski niedawno zmanifestował

w „Kurjerze Warszawskim“ w sprawie „samoistnego“ nauczania w instytucie: „U nas np. wielu niedowarzonych krytyków „z zasady“ lekceważy sobie... instytut muzyczny warszawski. A jednak zakład ten od chwili założenia rozwijał się bez wpływów obcych i przyczynił się znakomicie do umuzykalnienia ogólnego. Każda uczelnia muzyczna zagranicą stara się o wyrobienie własnej metody w nauce, więc i nasz instytut czyni to samo, a jeżeli nie ulega mrzonkom tego lub owego pedagoga, a raczej pedanta niemieckiego i nie wprowadza do swoich wykładów jakiegoś zawiłego systemu, który dlatego (?) ma być dobry, że jest nowy, to należy poczytać za zasługę, nie za opieszałość. „Bądźmy sobą“—oto dewiza nasza, mimo krzyki różnych puszczyków pseudo-krytycznych.“ Nie wchodźmy w sprawę instytutu, jako całości, jakkolwiek również polecane i przyjęte przez instytut obce podręczniki Prouta do instrumentacji i form niezbyt dowodzą tej samoistości. Zajmijmy się podręcznikiem p. Noskowskiego i jego „własną metodą“, jako integralną częścią metody instytutu. We wstępie zaznacza autor, że w wielu razach opierał się na podręczniku słynnego niemieckiego teoretyka Dehna (+ 1859) ze względu na jego „jasność i uproszczenie wykładu, oraz na kierunek postępowy (??)“. Dość jednak porównać jego pracę z książką Dehna, aby dojrzeć różnicę... i ocenić „samodzielną wykładu“ p. Noskowskiego, w którym autor „unikał dotykania (sic!) wielu szczegółów, mających wartość i znaczenie dla tych, którzy już przeszli szkołę i t. d.“ „Pochlebiam sobie“ p. Noskowski, „że tak całokształt dzieła, jak i wiele szczegółów uzupełniających, wolno mu uważać za pracę całkiem samoistną i w wielu razach różniącą się w układzie od dotychczas istniejących“. A więc odrębność widzi autor w rozdziale o melodji, w „innym niż dotychczas podziale gatunków“, we wprowadzeniu zasad rytmiki, „o czym w żadnym dziele kontrapunktycznym niema nawet wzmianki“, w rozdziale „szczegółowym o warjacji, po raz pierwszy wprowadzonym do nauki kontrapunktu“, w rozdziale o „sposobie tworzenia fugi“, który „jest prawie w całości pomysłem“ p. Noskowskiego, oraz w rozdziale o nowych drogach dla fugi. Pięknie! O ile bowiem cała ta eskapada przeciw Niemcom jest, wobec tego, że p. N. zawdzięcza im (t. j. Kielowi i Dehnowi) wszystko, nieco tromtadryczną (możeby autor porozumiał się w tej sprawie ze Straussem, Nikischem lub p. Reznickiem, gdy przebywają

w Warszawie?), o ile z tak patryjotycznego stanowiska lepiej byłoby zamiast na Dehnie oprzeć się na dziełach Francuzów (d'Indy, Gedalge) lub Anglików (Prout) — o tyle po przeczytaniu wstępu doznajemy miłych dreszczów zadowolenia, że nareszcie ktoś się znalazł samoistny, co wyniesie polską teorię muzyczną na wysoki piedestał chwały*). Co prawda, przedtym nie może nam się zmieścić w głowie, jak Dehn i „postęp“ mogą być jednym i tym samym lub czymś pokrewnym, gdyż konia z rzędem temu, kto z Dehnem w rękę przeprowadzi analizę i zrozumie dzieła Wagnera i jego szkoły, ale mniejsza o to: szukajmy samoistności.

1. „Inny, niż dotychczas, podział gatunków kontrapunktu“. — Żałuję mocno, iż p. Noskowskiemu muszę *kategorycznie* zaprzeczyć tej „samoistności“. Podział gatunków w jego podręczniku jest ten sam, co u Dehna, Busslera, Lobego. „Różnica“ polega na tym, że co Dehn w jednym rozdziale pisze, z tego p. Noskowski robi dwa lub więcej rozdziałów (por. Dehn „Lehre vom Contrapunkt“ (1883), str. 5, 8, 10, 14, 17, 19, 22, 24, 26 i Noskowskiego „Kontrapunkt“ str. 13, 17, 20, 22, 26, 28, 31, 33, 37, 39, 43, 44). Przypomina się ta aktualna w czasie wojny japońskiej zagadka o zapalce japońskiej, różniącej się tym od europejskiej, że główkę miała z przeciwnej strony. Dehn w rozdziałach o dwu i trzygłosowym pojedynczym kontrapunkcie pisze w jednym i tym samym ustępie o przeciwstawianiu jednej nuty trzech, czterech, sześciu i więcej nut; p. Noskowski rozdziela tę treść na 3 rozdziały. „Samoistnością“ p. Noskowskiego jest i to, że gdy *wszyscy* teoretycy uwzględniają w kontrapunkcie przeciwstawianie 8, 12 i t. d. nut jednej nuty, p. Noskowski wygodnie sobie opuszcza te zwłaszcza dla poznania epoki Bacha i Händla ważne kwestje; nie można mu odmówić sprytu — ileżby bowiem musiał potworzyć „gatunków“ kontrapunktu? Lepiej więc to pominąć.

2. Za samoistność uważa p. Noskowski wprowadzenie zasad rytmiki, „o czym w żadnym dziele kontrapunktycznym niema nawet wzmianki“. W istocie: pocóżby tę wzmiankę mieli teoretycy czynić, skoro nauka o rytmie

*) Chcąc być konsekwentnym w swym patryjotyzmie, a będąc kompozytorem jakiegoś poematu symfonicznego, np. „Step“, nie obdarowywałbym partyturą nawet tak możnego we wpływy Ryszarda Straussa.

nie jest nauką o kontrapunkcie?! O ile zaś ona ma pewne wyjątkowe zastosowanie w nauce o wielogłosowości, uwzględnili to już Bussler (zupełnie wyczerpująco w „Der strenge Satz“, 1877, str. 78, 160, 172 i w „Contrapunkt und Fuge“, 1878, str. 23, 25, 26, 42, 45, 98, 135), Dehn i Lobe (dostatecznie), Riemann („Grosse Kompositionslehre“, I, 1902, str. 21 i nast., 84, 103 i 153 i II, 1903, str. 94). A więc tak wyglądają te „żadne dzieła kontrapunktyczne“. Zapytałby można p. Noskowskiego, czy w istocie uważa muzyków polskich za tak mało umiejących, że na te nieuzasadnione przechwałki jego nie zdolają zareagować?

3. Za dalszą „samoistność“ uważa p. Noskowski uwzględnienie przez się nauki o warjacjach i wprowadzenie tychże „po raz pierwszy do nauki o kontrapunkcie. Tu już nasza pobłażliwość wyczerpuje się, dlatego nie wahamy się nazwać tego twierdzenia świadomym minięciem się z prawdą. Pytamy się: co zrobił Bussler w II tomie „Kontrapunktu“ na str. 74, 81, 84 i 129 przed laty równiutko 30? Co uczynił Riemann w swej „Grosse Kompositionslehre“ (I, 134 i nast. 143, 170, 153, 514 i nast., II, 15 i 405) przed laty 6 wzgl. 7? P. Noskowski nawet nie uwzględnił nauki o warjacjach, zbudowanych na „basso ostinato“! Błądzą jednakże; powinienem być lojalnym i nie spuszczać z oka zasady p. Noskowskiego: „precz z pedantami!“ — „bądźmy samoistni!“ Pedanterją jest trzymanie się bezwzględnej prawdy!

4. „Rozdział o tworzeniu fugi“ uważa p. Noskowski „prawie za całości za pomysł własny“. I tu autor żartuje, gdyż w każdym podręczniku do kontrapunktu i fugi znajdziemy to wszystko, co p. Noskowski uznaje za pomysł własny — „prawie w całości“. Czy p. Noskowski sądzi, że napisanie sposobu, w jakim się fugę buduje z jej składników, może być jego własnym pomysłem, gdy wszędzie te same prawa obowiązują? Wszak te estetyczne gderania o zaniedbaniu śpiewu nie naucza pisać fugi, a zajmują całą stronę. — Jak cały podręcznik, tak i część, traktująca o fudze, jest powierzchownie zbyta i nie daje możliwości zgłębienia jej.

5. „Nowe drogi w tworzeniu fugi“. Na czym polega „reforma“ p. Noskowskiego? Oto pragnie zmienić następstwo tonacji w ekspozycji (pokazie) fugi czterogłosowej. „Dwukrotne oderwanie się tematu w tonice z dwiema odpowiedziami w dominancie, to trochę za wiele“ dla

p. Noskowskiego. Proponuje więc zarzucić „szablon“ ekspozycji w ten sposób, że (tonice) tonacji odpowiedniej daje pierwszą, a w „zmienionej“ cokolwiek (!) dominancie odpowiedź drugą; zmienia porządek wprowadzania głosów, a ponieważ nie lubi pedanterji, przeto rozpoczyna altem, któremu odpowiada tenor, następnie wprowadza sopran, wreszcie odpowiedź basu, co sprawia, że fuga, wzgl. jej ekspozycja, nabiera „niewielkiej fantazyjności“. Inną propozycją darzy nas p. Noskowski: w pokazie pierwszą odpowiedź przenosi do szóstego stopnia, drugą zaś do siódmego...! Dowcipnie, nieprawdaż? Czy to tylko jest fuga? I czy zwłaszcza druga propozycja ma coś wspólnego z logiką?

Najbardziej interesującym jest „powód“, który natężył p. Noskowskiego do przeprowadzenia takiej reformy. Oto p. N. twierdzi, że od czasu Bacha „budowa pokazu żadnej nie uległa zmianie i, być może (!), dlatego fuga odstręczała od siebie wielu muzyków nowoczesnych i postępowych, którzy „potępili“ ją, „uważając ją za przestarzałą i niemającą z tego (?) powodu żadnej przed sobą przyszłości“ (!!!). Otóż niepodobna sobie wyobrazić bardziej lekkomyślnego twierdzenia. Pytamy więc p. Noskowskiego, co to za „nowoczesny i postępowy“ muzyk potępił fugę? I kogo ona odstręczała? Bo chyba nieuków lub matolek nie ma p. Noskowski na myśli. Możemy go zapewnić, że gdyby był bardziej pedantem, to, przewertowawszy dzieła właśnie najpostępowszych muzyków, przekonałby się, że tylko oni ożywiłi kostniejącą w szkole Mendelsohnów, Kielów, Marmontelów, Zimmermannów i t. d. fugę. A mam tu na myśli Cezara Francka, Brahmsa, d'Indy'ego, Guirauda, Liszta, R. Straussa (Zaratustra i „Domestica“), Maxa Regera (mistrza fug), Dvořáka, Bossiego, Siergieja Taniejewa — nazwiska, mówiące cośkolwiek. Rzecz dziwna, że p. Noskowski widocznie siebie też uważa za tak postępowego, że z pisaniem liczniejszych fug, choćby... zreformowanych, bynajmniej się nie kwapi.

Cała książka jest zapełniona tonem gderliwo-mentor-skim, który nie ma nic wspólnego z nauką o kontrapunkcie. Np. w rozdziale p. t. „Zespół ośmiogłosowy“ znajdujemy po uprzejmym poleceniu swej kompozycji ośmiogłosowej następujący ustęp: „W czasach ostatnich, wobec nader małej ilości wyćwiczonych fachowo, a licznie obsadzonych chórów, styl wielogłosowy poszedł w zaniedbanie (??),

czemu się trudno i dziwić. Dzieła tego rodzaju tworzy się nie dla zysku (a które dzieła tworzy się dla zysku?), ani dla chwilowego rozgłosu, lecz z potrzeby wewnętrznej, chciałoby się tedy w nagrodę doznać radości i usłyszeć to, co się wymarzyło w chwilach odgrodzenia swego ducha od powszedniości życia codziennego. Najczęściej jednak twórca takiej chwili nie dożyje... (Te kropki starczą za skromność!) A jednak, kto sztukę istotnie czerpi i kocha, niech próbuje sił swoich i pisze te tak niepraktyczne rzeczy, gdyż w każdym razie przyniosą one pożytek, dając mu swobodę w używaniu polifonii, bez której muzyka istnieć nie może“ (Zapewne!). Zapytać więc należy, czy przez przeczytanie tych wylewnych a żalosnych sentymentalizmów nabierzemy wprawy w pisanie ośmiogłosowych zespołów? A powtóre, czy pisanie takich kompozycji nie przynosi przy pewnym szczęśliwym zbiegu okoliczności rozgłosu lub nawet zysku, o tym możnaby coś niecoś powiedzieć. Lecz to nie należy do... kontrapunktu. Czego p. Noskowski nie napisał, a co powinien był napisać, w to nie wchodzimy.

„Samoistnością“ jest wreszcie to, że trzecią część podręcznika zajmuje własna kompozycja p. Noskowskiego. Czy to jest najwyższy wzór dla ucznia? Mamy Bachów, Händlów, Mozartów, Beethovenów; nie istnieje żaden podręcznik, w którym autor aż trzecią część zapełnia własnymi dziełami. Cherubini był skromniejszy! *Cherubini!*...

A. CHYBIŃSKI.

LITERATURA UKRAIŃSKA.

STARZY I MŁODZI.

Literatura ukraińska była zawsze demokratycznie-postępową w treści, a realistyczną w formie. Nad jej poezją unosiła się powiewna mgła jakiejś rzewnej zadumy, dzięki której realistyczne tematy nabierały poetycznego uroku. Kierunki nowe nie znajdowały przychylnego odgłosu, a filozoficzny pierwiastek spotykał się zawsze z uśmiechem, na poły lekceważącym, na poły litościwym. W literaturze szukano pięknego a wiernego odbicia życia, nie zaś wizji przyszłości; tego, co było i jest, nie co być może lub powinno. Stosunek ten pozostał do chwil ostatnich. Zolizm, przez Frankę na Ukrainę przeniesiony, połączywszy się z rodzimym reali-

zmem (Kwizba, Marko Wowczole, Neczuj i inni), owładnął literaturą i władzę tę stara się za wszelką cenę utrzymać. Obronców znajduje w krytykach i recenzentach, którzy na każdy objaw nowego kierunku, na każde niemal nowe słowo wylewają mętą strugę starych frazesów i oklepnych formuł estetycznych. Znaczną rolę odgrywa w takich wypadkach tak zwane uczucie patriotyczne, w imię którego należy zniszczyć każdego autora, który waży się pisać inaczej, jak pisali ojcowie. W nowatorstwie upatruje się zaraz zanik zdrowego rozsądku (t. zw. chłopskiego rozumu), osłabienie narodowego instynktu samozachowawczego, upadek moralności, zwyrodnienie i t. d., słowem to wszystko, czym wojowano na zachodzie. Przekracza się nawet granice przyzwoitości i odkłada się pióro z przekonaniem „dobrze spełnionego obowiązku”. To też każdy „nowator” miał ciężki orzech do zgryzienia, zanim przyznano mu to, co mu się należy, lub przynajmniej, zanim go poczęto tolerować. A ponieważ „nemo propheta in patria” więc zwykle przed takim nowym panem lub panią nabierano dopiero wtenczas należytego respektu, kiedy o nich przemówiła zagranica. Tak było ze Stefanykiem, tak samo z Kobylańską. Kto nie miał szczęścia do dobrych a licznych tłumaczy i do mądrych a przychylnych recenzentów, gubił się w szarym tłumie „naszych poetów — lub wogóle — literatów”. Zwłaszcza za kordonem galicyjskim, w Rosji, utrzymuje się stale taki pogląd na literaturę. Tam wolno co najwyżej wdawać się w kompromisy, uważając, jak to mówią, aby była i Bogu świeca i diabłu ogarek. Pisz, jak ci każą krytycy i czytelnicy, a czasem możesz także napisać, jak ci każe twój własny duch, ale wiedz, że tego albo nikt wcale czytać nie będzie, albo przeczyta niechętnie. Stąd prawdziwi twórcy piszą tam bardzo mało (Łesia Ukrainka) lub nie piszą wcale (Samijtenko), stąd nawet taki prawdziwy i wielki artysta, jak Kociubyński, musi czasem wdawać się w sferę, w której wystarcza jakikolwiekenko. Jeżeli jednak stan poglądów na twórczość w Rosji można poniekąd usprawiedliwić tamtejszym stanem społecznym i politycznym, to w Galicji jest on zupełnie nieusprawiedliwionym anachronizmem. Tutaj stanowczo rozwój kulturalny doszedł już do tego punktu, że literaturę należałoby poczytywać za jedną z tych mocy, które dźwigają ludy i narody i prowadzą je w przyszłość, a nie uważać za bonę lub guwernera

owych grzecznych młodzieńców i panienek, które na każdym kroku pytają się, co wolno, a czego nie wypada.

Największym organem literatury ukraińskiej jest „Lit. Nauk. Wistnyk”, który niejednokrotnie zapewniał, że stoi ponad kierunkami i niema żadnych estetycznych uprzedzeń. W rzeczywistości jednak hołduje on właśnie tym starym „dobrym tradycjom”, a o nieposłusznych i nieuległych sobie nowych autorach zamieszcza nietyłe słuszne, ile złośliwe recenzje, chcąc ich wyśmiać przed publicznością i na długo podciąć im skrzydła. To też „młodzi” trzymają się zdala od „Wistnyka” i czasem tylko któryś z nich, zwabiony tutaj przypadkowo, wydrukuje jaki wiersz lub nowelkę. Zresztą panuje w „Wistnyku” prawie niepodzielnie dawny system mielenia i przemielania tak zwanych tematów społecznych, a piękny wiersz jest w nim zjawiskiem nadzwyczaj rzadkim. Jeżeliby zagranica miała z „Wistnyka” sądzić o bieżącej literaturze ukraińskiej, to sąd ten wypadłby niekorzystnie, ale na szczęście byłby też niesłusznym, gdyż najpiękniejsze kwiaty kwitną nie w tym ogródku. W fejletonach dzienników i tygodników można niejednokrotnie spotkać utwory prawdziwie piękne, a przed rokiem zawiązało się we Lwowie kółko „młodych”, które wydało dotychczas 10 książek poezji i prozy, i w nich to należy szukać szczerzej twórczości. Są tam piękne poezje Paczowskiego i Karmańskiego, są wspaniałe opowiadania Jackowa. Najmłodszy też wywierają wrażenie korzystne. Prócz tego tu i tam wyleci z pod prasy drukarskiej książka, o której pochodzeniu prawie nic nie wiemy, a której lekceważyć nie można. Takim zagadkowym ptakiem były dla Ukraińców poezje Olesia, taki pytańnik do dzisiejszego dnia tkwi w wierszach Filańskiego. Nie wiadomo, kto jest p. Filański, gdzie żyje, czym się zajmuje. Powiadają, że mieszka w Paryżu i na tym koniec. Do Galicji dostało się zaledwie kilka egzemplarzy jego wierszy, wspaniałe wydanych, budząc w kołach literackich zachwyt lub kiwanie głową.

Myszę, że to pierwsze ma więcej słuszności, gdyż Filański jest poetą prawdziwym, człowiekiem szczerego uczucia i wielkiej literackiej kultury. Są tutaj wiersze, które można nazwać ostatnim słowem najnowszej poezji, tyle w nich odczuto tego nastroju i taka wspaniała forma. Tylko język niezawsze jest jednakowo piękny, niezawsze słowo odpowiada potędze uczucia lub sile wyobraźni.

Zbyt często też powtarzają się niektóre zwroty i rymy. Są to jednak wady, które p. Filański łatwo usunie, a zaletą jego pozostanie tryskająca z jego wierszy -- poezja. Książka p. Filańskiego jest zjawiskiem niecodziennym, dlatego też poświęciłem jej więcej miejsca w tym ogólnym zarysie dzisiejszego ruchu literackiego ukraińskiego.

Nie mogę też pominąć smutku, jaki okrywa piszącą i czytającą Ukrainę z powodu choroby tak zasłużonego na jej niwie pracownika, tak niezmordowanego i wytrwałego, jakim był Iwan Franko. Poeta, powieściopisarz, krytyk, uczony — wszystko. Jeżeli dodamy, że był redaktorem, a nawet korektorem, zrozumimy, dlaczego w kwiecie wieku sterał swe siły i wpadł w stan bardzo groźny. Poprostu zapracował się, chociaż w wielu kierunkach można go było wyręczyć, oszczędzając jego siły i pierwszorzędnych zdolności.

B. LEPKI.



ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Wrzosowi. Nadesłane utwory nie są pozbawione śladów talentu, ale uczucia podobne wygrywano już wielokrotnie na harfach dźwięczniejszych. Drukować nie będziemy.

Panu St. F. M. w Wiedniu. Nadesłanego uprzejmie przekładu „Hymn do Varuny“ drukować w „Sfinksie“ nie będziemy.



II/05